



# SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI

KRZYŻACY  
CZARNO-BIAŁA LEGENDA





SŁAWOMIR  
LEŚNIEWSKI



KRZYŻACY  
CZARNO-BIAŁA LEGENDA

Wydawnictwo Literackie



# Spis treści

Karta redakcyjna

Od autora

Kolebka

Stulecie w Ziemi Świętej

Europejski przyczółek

Zaproszenie z północy

Zakon zapuszcza korzenie

Pruski poligon

Krwawy podbój

Zakon od środka

Gdańska zdrada; Wojna z Polską

Odnowiony konflikt

Płowce; Pierwsze ostrzeżenie

Czas potęgi

Litewskie rejzy

Witold – pożądany sojusznik

Droga ku wielkiej wojnie

W przededniu  
Propagandowe starcie  
Przeciwnicy  
Grunwald. Złamany kręgosłup?  
Zażegnany kryzys  
Dyplomatyczna dogrywka  
W odwrocie; Czas porażek  
Zbuntowany Litwin  
Przed burzą. Związek pruski  
Wojna trzynastoletnia  
Ostatnie starcie  
Hołd; Przeobrażenie  
Tragiczny spadek  
Dalsze losy  
Zakończenie  
  
Bibliografia  
Źródła ilustracji

Opieka redakcyjna: ANDRZEJ STAŃCZYK

Redakcja: ANNA WOJNA

Korekta: JOLANTA STAL, ANETA TKACZYK, MARIA WOLAŃCZYK

Wybór ilustracji: MARCIN STASIAK

Projekt okładki i stron tytułowych: KIRA PIETREK

Fotografie na pierwszej stronie okładki: Shutterstock/PrasongTakham  
(ogień), iStock/alessandroguerriero (wojownik), PAP/Tomasz Waszczuk  
(rycerze na koniach)

Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Wydawnictwo Literackie, 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07808-2

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

Księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

## GRUNWALD. ZŁAMANY KRĘGOSŁUP?

„Rozbiegli się jak obłąkani po domach, salach i izbach i wiele nocy spędzili na lamentach, smutkach i skargach”.

(Jan Długosz o reakcji przebywających w Malborku braci zakonnych na wieść o klęsce wojsk krzyżackich pod Grunwaldem)

**B**itwa pod Grunwaldem zajmuje szczególne miejsce w polskiej historii. Została przedstawiona w setkach popularnych monograficznych opracowań i w opasłych dziełach poświęconych polskiej wojskowości. Data jej stoczenia, jako jedna z nielicznych, kojarzy się większości Polaków. Podobnie jak przekaz mówiący o wielkim zwycięstwie wojsk króla Jagielly nad armią krzyżacką. Tyle i tylko tyle. Bardziej szczegółowe informacje i frapujące okoliczności towarzyszące jednej z największych batalii końca średniowiecza dla zdecydowanej większości rodaków, którzy znajomość historii wynieśli przede wszystkim ze szkoły, pozostają jednak w sferze niewiedzy. Dlatego w tym rozdziale pozwolę sobie jedynie naszkicować przebieg starcia i położyć główne akcenty na mniej znane fakty, rozwiewając jednocześnie jakąś część narosłych wokół Grunwaldu mitów. Zebrało się ich niemało, podobnie jak w przypadku przeświadczenia o ogromnej technicznej przewadze wojsk zakonu nad armią Jagielly i Witolda. Obraz bitwy wypaczył w znacznym stopniu Długosz, który w wielu fragmentach swojej relacji opierał się na Zbigniewie Oleśnickim, jej uczestniku i przypuszczalnym



autorze *Kroniki konfliktu Władysława króla polskiego z Krzyżakami w roku Pańskim 1410*, pragnącym ukryć własną nieudolność i manipulującym faktami.

Wznowienie wojny nastąpiło wieczorem 24 czerwca. Tym razem to Polacy i Litwini zaatakowali pierwsi. Celem uderzenia stało się pogranicze kujawskie i Nowa Marchia; Żmudzi- ni wykonali sabotażowy zagon w kierunku Ragnety. Z Torunia widać było łuny pożarów płonących wsi. Jedynie trzy tygodnie dzieliły zakon krzyżacki oraz Polskę i Litwę od jednego z największych starć w końcówce europejskiego średnio-wiecza. Nim jednak do niego doszło, przeciwnicy zdążyli po- pełnić po kilka poważnych błędów i nawzajem się zaskoczyć.

Jagielle i Witoldowi udało się zmylić krzyżackich szpiegów i utwierdzić wroga w przekonaniu, że ich armie połączą się w Warszawie, czemu nie mógł przeszkodzić. W rzeczywisto- ści stało się to już na prawym brzegu Wisły, w odległości tyl- ko trochę większej od zakonnych granic niż sto kilometrów. Polacy sforsowali rzekę po przygotowanej zawczasu w naj- głębszej tajemnicy przeprawie. Jej twórca, niejaki mistrz Ja- rośław, rozpoczął budowę mostu na łodziach już w zimie, za- raz po naradzie w Brześciu, a jego pracę w Kozienicach nad- zorował starosta radomski Dobrogost Czarny z Odrzywołu herbu Nałęcz. Poszczególne części przeprawy splawiono w dół rzeki, zmontowano je w całość pod Czerwińskiem i Pola- cy przeszli na drugi brzeg Wisły, szerokiej w tym miejscu na około pięćset metrów, w ciągu trzech dni! Mistrza Jarosława przedstawia się jako genialnego twórcę, a jego dzieło uznaje za szczyt ówczesnych osiągnięć technicznych. Dobrze jed- nak wiedzieć, że zaledwie kilka lat wcześniej w dziele *Belli- fortis* jego autor, Konrad Kyeser, związany z dworem Luk- senburgów, przedstawił opis i dokładny szkic podobnego mostu i przypuszczalnie podsunął Polakom pomysł zbudowa- nia wzorowanej na nim przeprawy. Ulrich von Jungingen

zapewne nie tracił czasu na lektury tego rodzaju rewolucyjnych opracowań i wieści o moście mistrza Jarosława zbyt lekceważącym komentarzem.

Trzy dni po sforsowaniu Wisły do obozu Jagielly pod wsią Jeżów przybyli posłowie Zygmunta Luksemburskiego, a wraz z nimi Krzysztof Gersdorf, przed którym król nie ukrywał potęgi własnych wojsk. Zarówno on, jak i posłowie węgierscy krążący w następnych dniach pomiędzy polsko-litewskim obozem a Krzyżakami mieli im przez cały czas dostarczać aktualnych wiadomości na temat wojsk polskiego króla. To było dziwne zachowanie. Mikołajczak postawił tezę, że władca „samą demonstracją siły chciał wymusić przyjęcie korzystnych warunków pokoju”. Niewykluczone zresztą, że miał na to nadzieję do samego końca, jeszcze w dniu bitwy, zwlekając do ostatniej chwili z daniem sygnału do walki. Przesądziło o nim dopiero kategoryczne wezwanie do boju wysłane przez wielkiego mistrza, a słynne dwa nagie miecze wręczone Jagielle przez pysznych Krzyżaków – rzekomo jako wyraz lekceważenia i pogardy dla przeciwnika – stanowiły w rzeczywistości symboliczne rzucenie rękawicy, co było wpisane w rycerski etos. W tradycji krzyżackiej, wprost przeciwnie niż w polskiej historiografii, zachowanie wielkiego mistrza, który zrezygnował z zaskoczenia i wyzwiał wroga na bój, było oceniane jako wielce honorowe.

Polacy i Litwini przekroczyli zakonną granicę 9 lipca. Zaraz po tym doszło do poważnego incydentu, który zresztą był później wykorzystywany propagandowo przez Krzyżaków. Grupa litewskich wojów ograbiła kościół i dopuściła się profanacji Najświętszego Sakramentu. Dwaj z nich zostali skazani na śmierć, a karę powieszenia na oczach wojska musieli wykonać na sobie własnoręcznie. Ale żądzy rabunku i mordu w armii, w ten pokazowy i jakże brutalny sposób, nie udało się ugasić. Cztery dni później, po kilkugodzinnych walkach,

żołnierska tłuszczą wdarła się w mury Dąbrowna, mordując i grabiąc wszelki dobytek. Mieszkańcy i załoga zostali bezlitośnie wyrżnięci lub poszli do niewoli, miasteczko puszczono z dymem, a nieliczni zbiegowie roznieśli wieści o barbarzyńskim zachowaniu armii Jagielly i Witolda.

Wielki mistrz, którego największym strategicznym błędem było dopuszczenie do połączenia wojsk polsko-litewskich, zdołał częściowo go naprawić, zabezpieczając przeprawę na Drwęcy pod Kurzętnikiem i tam zamierzając stoczyć bitwę obronno-zaczezną, ale po odejściu wroga z okolic solidnie umocnionego brodu podjął decyzję o jej wydaniu w innym miejscu. To zaś, jak pokazał przebieg wydarzeń, okazało się fatalnym wyborem. Ulrich von Jungingen lepiej jednak manewrował swoimi oddziałami i 14 lipca pojawiła się przed nim szansa na pełne zaskoczenie przeciwnika między Frynowem i Grunwaldem. Nie wykorzystał jej wobec zmęczenia własnych wojsk i zmiany kierunku marszu przez armię polsko-litewską. Udało mu się natomiast dobrze wykorzystać warunki terenowe i ukryć przed nieprzyjacielem swój odwód w obszernej dolinie. Do konfrontacji doszło najajutrz w rejonie Stębarku i Grunwaldu.

Sojusznicze wojska zajmowały front szerokości około trzech kilometrów, mając w pierwszym rzucie ponad trzydzieści chorągwi i resztę wojsk uszykowanych w głąb ugrupowania. Prawe skrzydło tworzyły oddziały Witolda, z Litwinami w centrum, chorągwiami smoleńskimi po ich prawej stronie i Tatarami po lewej, natomiast na drugiej, lewej flance ustawiły się polskie jednostki z chorągwiami małopolskimi, gończą i św. Jerzego w centrum szyku, oraz Wielkopolanami usytuowanymi na zewnątrz.

Krzyżacy stanęli w trzech rzutach składających się odpowiednio z dwudziestu pięciu, około dziesięciu i szesnastu chorągwi; te ostatnie, ukryte dobrze przed nieprzyjacielem i

mogące liczyć około trzech i pół tysiąca ludzi, stanowiły odwód. Na czele zajęła pozycje artyleria i – prawdopodobnie – oddziały piesze.

Obie armie długo tkwiły naprzeciw siebie, co w panującym upale nie mogło być niczym przyjemnym, szczególnie dla ciężkozbrojnej krzyżackiej jazdy. Jagiełło żarliwie się modlił, przyjął komunię, ale też zdążył pasować na rycerzy kilkuset giermków, co zwykle czyniono już po bitwie. Powstaje pytanie, czy postępując w ten sposób, chciał osłabić siły fizyczne Krzyżaków, podobnie jak miał to zrobić w końcu XVII wieku Jan Sobieski z Turkami pod Chocimiem, z rozmysłem aplikując im całonocne czuwanie w strugach marzącego deszczu. A może raczej, co już sygnalizowano, jeszcze w ostatniej chwili liczył na rozejm?



Władysław Jagiełło i Witold modlący się przed bitwą pod Grunwaldem, Jan Matejko, 1855 rok.

Właściwa bitwa, poprzedzona rozpoznawczym uderzeniem lekkiej jazdy Witolda na pozycje krzyżackiej artylerii, rozpoczęła się w południe. Stało się to krótko po epizodzie z nagimi mieczami i cofnięciu się przez krzyżackie wojska, które w ten sposób dały więcej wolnego pola do rozwinięcia szyków przez wroga. Jak napisał biskup Oleśnicki w *Kronice konfliktu*: „Trwała zaś bitwa przez sześć godzin i wówczas dopiero Krzyżacy zwrócili się do odwrotu. Tym razem uszli aż do swoich obozów”.

Wojska Jagiełły i Witolda zaatakowały jednocześnie na całym froncie. Pierwsza faza starcia przyniosła większe powo-

dzenie Krzyżakom. Polakom udało się zepchnąć wroga o sto kilkadziesiąt metrów, ale Krzyżacy to samo uczynili z Litwinami, co spowodowało niebezpieczne rozluźnienie szyku na styku armii polsko-litewskiej. Doskonale wykorzystał ten moment Ulrich von Jungingen, kierując dodatkowe siły w powstałą lukę. Najpierw rzucili się do ucieczki Tatarzy, pociągając za sobą nie tylko jazdę litewską i Rusinów, ale też wielu polskich rycerzy i czesko-morawskich najemników spod chorągwi św. Jerzego. Na placu, wśród resztek swoich wojsk, pozostał Witold, który, jak napisał Długosz, „biczem i potężnym krzykiem” usiłował bezskutecznie powstrzymać panikę, a także trzy trwające nieustępliwie na pierwotnych pozycjach chorągwie smoleńskie dowodzone przez rodzonego brata wielkiego księcia, kniazia Semena-Lingwena Olgierdowicza. Dzielni Smoleńszczanie ponieśli ogromne straty, a jedna z chorągwi została wybita niemal do nogi.

Historycy do dzisiaj spierają się, czy ucieczka części armii wielkiego księcia była taktycznym posunięciem obliczonym na sprowokowanie Krzyżaków do złamania własnych szyków i męczącej pogoni, zresztą często stosowanym przez Tatarów. Wydaje się, że stanowiła raczej spontaniczny, wymuszony sytuacją odruch. W przeciwnym razie uciekające oddziały z pewnością wciągnęłyby przeciwnika w przygotowaną wcześniej zasadzkę. Tak się jednak nie stało i po pewnym czasie zarówno powracający na pole bitwy Krzyżacy, jak i wojownicy Witolda – jedni i drudzy przetrzebieni liczebnie, ale pełni bojowego animuszu – znów przystąpili do walki.

Losy batalii ważyły się do wczesnego wieczora. Walce towarzyszyły dramatyczne momenty, choćby utrata chorągwi przez polskiego chorążego, co na krótką chwilę, do czasu jej odzyskania, spowodowało wybuch radości po stronie wroga. Zupełnie niespodziewanie zagrożone zostało życie Jagiełły, zaatakowanego przez pojedynczego jeźdźca, „gościa” zako-

nu Dypolda von Köckritza, który oderwał się od formacji i z nastawioną kopią szarżował na króla. Władca nie uniknął starcia i ranił napastnika, dobił go zaś Oleśnicki. Jednak decydującym momentem bitwy okazała się kapitulacja walczącej po stronie zakonu chorągwi św. Jerzego. Jej śmiertelnie wyczerpani rycerze nie byli w stanie kontynuować walki i największa krzyżacka jednostka poszła w pęta, co fatalnie odbiło się na morale reszty walczących wojsk. Po latach burgundzki szlachcic Enguerrand de Monstrelet zanotował w swojej kronice – o czym wspomina Witold Mikołajczak – że dowódca chorągwi dopuścił się zdrady: „I, jak niosła powszechna wieść, bitwa została przegrana wskutek zdrady wielkiego konetabla z Węgier, który znajdował się w drugim hufcu chrześcijan i bez walki uszedł ze swoimi Węgrami”. Zarzut zdrady i ucieczki to oszczerstwo wynikające z nieznamości faktów, ale wskazanie, że to rycerze spod znaku św. Jerzego przyczynili się do klęski, jest zgodne z prawdą. W dalszej części bitwy poddać się miała również chorągiew ziemi chełmińskiej, ale to nastąpiło już po rozbiciu głównych sił krzyżackich i nie miało wpływu na ostateczny wynik; dostarczyło jednak zakonowi asumptu do tego, aby obarczyć jej dowódcę i dowodzonych przez niego rycerzy odpowiedzialnością za przegraną.

Po godzinie piętnastej, kiedy szala już wyraźnie przechyliła się na stronę polsko-litewską, Ulrich von Jungingen podjął rozpaczliwą próbę odwrócenia losów bitwy. Osobiście poprowadził do boju odwód złożony z kilkunastu chorągwi ciężkozbrojnej jazdy. Uszykowane w potężny klin stanowiły pancerną pięść, której uderzenie miało rozstrzygnąć o krzyżackiej wygranej. Siły te szybko jednak zostały osadzone przez przeważające liczebnie i rozgrzane bojem polskie rycerstwo. Szczególnie wykazała się chorągiew krakowska i Małopoleanie. Jak można wyczytać w *Kronice konfliktu*: „już w

pierwszym zderzeniu padli mistrz, marszałek i komturzy całego Zakonu Krzyżackiego”. Wraz z ich śmiercią w Krzyżakach zgasł duch walki. Odwód został otoczony i wybity lub poszedł w niewolę. Część wrogich oddziałów szukała schronienia w taborze, ale nie dał on im wystarczającego oparcia. Dość szybko został zdobyty, a zwycięzcy znaleźli na wozach stopy powrozów, mających posłużyć pętaniu polskich i litewskich jeńców. Ale nie tylko to. Były tam również wielkie zapasy wina, którym Krzyżacy zamierzali uczcić spodziewany triumf. Tę zdobycz Jagiełło potraktował w sposób wystawiający mu świetne świadectwo jako wodzowi. Nakazał rozbicie beczek, a strumienie czerwonego wina dały później asumpt do obrazowych twierdzeń o pobojuwisku ociekającym krwią.

Bitwa dogasała w zapadających ciemnościach. Polacy i Litwini triumfowali. Ostatnim mocnym akordem krwawej batalii był pościg za uchodzącymi we wszystkich kierunkach resztkami wojsk krzyżackich. Lekkie chorągwie prowadziły go na przestrzeni ponad trzydziestu kilometrów. W pogoni za pierzchającym wrogiem wziął udział sam monarcha i tylko dzięki niemu część uciekinierów została oszczędzona. Jak zanotował Długosz: „droga na przestrzeni kilku mil [staropolska mila liczyła ponad 7,5 kilometra – przyp. S.L.] była usłana trupami, ziemia nasiąknięta krwią poległych, a powietrze pełne głosów jęczących i konających”.

Bitwa dokonała strasznego upustu krwi po stronie krzyżackiej. Pobojuwisko zaległy stopy nieprzyjacielskich trupów. Tysiące poszły w pęta. Padli prawie wszyscy najwięksi dostojnicy i około dwustu braci-rycerzy. Polacy i Litwini ponieśli zdecydowanie mniejsze straty. Zginęło jedynie kilkunastu liczących się rycerzy, ale żaden z wybitnych i powszechnie znanych. Jeśli nawet nie wierzyć w tym względzie relacji Długosza, to z pewnością istotny dowód stanowi późniejsza



korespondencja, w której brak informacji o przeciwnej treści.

Nazajutrz u stóp Jagiełły wyrosła sterta zdobytych na wrogu chorągwi. Należały do Krzyżaków i ich gości, między innymi rycerzy ze Szwajcarii i Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Wśród nich wyróżniał się bogactwem szczegółów i pięknem wykonania gonfanon (gonfalon; wywodząca się z czasów rzymskich prostokątna chorągiew mocowana krótszym bokiem do drzewca i po przeciwległej stronie zakończona tzw. ogonami lub płomieniami) biskupa Pomezanii ze złotym orłem na czerwonym tle, który władca wysłał w prezencie królowej Annie. Pozostałe złożono w kaplicy polowej, później zaś krzyżackie znaki – łącznie trzydzieści dziewięć bannerów i gonfanonów miało trafić do katedry krakowskiej. Ten akurat bitewny łup nie posiadał charakteru materialnego, ale uznawano go za niezmiernie cenny. Jeszcze po upływie kolejnych pięciuset lat sztandar miał zachować swój nadzwyczajny charakter. W średniowieczu za zwycięzcę w bitwie uznawano tego, kto opanował pole walki i zmusił wroga do odwrotu, a skala triumfu liczona była liczbą zdobytych na nim chorągwi.

Powszechne jest uformowane przez liczne opracowania historyczne, w tym może w największym stopniu przez dzieło Stefana Marii Kuczyńskiego, przekonanie o zapożyczeniu przez Jagiełłę taktyki i strategii od Mongołów (Tatarów). I zarazem o wielkiej mądrości polskiego króla, bijącego pod tym względem na głowę wielkiego mistrza. Świadczyć o tym miała jakoby okoliczność, iż Jagiełło nie wdawał się osobiście w walkę, stojąc z orszakiem i zabezpieczającą go chorągwią na wzgórzu, skąd miał dobrą panoramę bitwy i możliwość szybkiego reagowania na zmieniającą się sytuację. To jednak jeden z wielu mitów. Już kilkanaście lat przed Grunwaldem we francuskim traktacie militarnym można było przeczytać

zdanie, cytowane przez Nadolskiego, że władca podczas batalii powinien: „przyglądać się, jak jego ludzie walczą, a jeśli zajdzie potrzeba, zbliżyć się do jednego lub drugiego, aby ich zachęcić i dodać im odwagi, a gdyby wszystko miało być stracone, powinien móc się ratować, bo lepiej przegrać bitwę niż stracić króla, bo utrata króla może równać się utracie królestwa”. Jak pamiętamy, do tej mądrej przestrogi zastosował się pod Płowcami Łokietek, chociaż uczynił to bez wspierania się wywodami jakiegokolwiek uczonego statysty.

Wydaje się, że Jagiełło był nie tylko nominalnym wodzem jako monarcha, ale rzeczywiście dowodził w bitwie. Tu i ówdzie podaje się w wątpliwość tę okoliczność, wskazując Witolda, czasami zaś Zyndrama z Maszkowic, marszałka Zbigniewa z Brzezia lub któregoś z czeskich rycerzy.

Podczas samej bitwy i późniejszego pościgu armia krzyżacka została rozbita, ale nie całkiem unicestwiona. Niektórzy z rozbitków zdołali w ciągu doby przebyć ponad sto kilometrów i już nazajutrz znaleźć się w Malborku. Ale wielu nigdy tam nie dotarło. Rycerzy z krzyżami na płaszczach tępiłono z największą zajadłością. W jednej z krzyżackich kronik, tzw. *Kontynuacji Possilgego*, można przeczytać wiele mówiące zdanie na temat zachowania Polaków i ich sprzymierzeńców podczas bitwy: „nie godzili w nikogo innego tylko w braci i w konie”. Ci, którzy nie zginęli w bitwie lub nie utopili się w okolicznych bagnach, byli tropieni i zabijani w trakcie ucieczki. Jak obrazowo napisał Paweł Pizuński: zwycięzcy „zabijali wszystkich, którzy choćby tylko wizualnie przypominali Krzyżaka. Czasami wystarczyło, że uciekinier miał brodę. Komtura Tucholi Schwelborna rycerze polscy dopadli pod Elgnowem i ścięli «w godny pożałowania sposób»”. Różne treści mogą się ukrywać pod tym stwierdzeniem, ale chyba nie to, że komtur żegnał się z życiem po rycersku.



**D**o man zalt von gottes gedinc / an der  
 vnd p'lar vmb sint marien magdalene  
 tag / des tags ein grosser bris so peynen  
 zumpfen dem nisten ordel an einem / vnd  
 dem kung von polen an am dorn teil / vnd  
 hatten si zu beiden siben vmb edelnein geworben  
 vnd nigen democh dem merreie zom nisten or  
 den dann si ouer dem mer eren vnd gutes gunden

Bitwa pod Grunwaldem w *Spiezer Berner Chronik* Diebolda Schillinga; lata 80. XV wieku.

Jeńców potraktowano w różny sposób. Noc spędzili w większości pod gołym niebem, ważniejszym dostojnikom zapewniono nocleg pod namiotami. Większość schwytanych do niewoli rycerzy i prostych żołnierzy wkrótce zwolniono w

zamian za przysięgę, że w ciągu dwóch i pół miesiąca stawią się w Krakowie i zapłacą okup. Tak potraktowano zagranicznych gości zakonu, jego poddanych walczących w bitwie i zaciężników. Nawet w epoce, kiedy honor wynoszono na piedestał i częstokroć ludzie posługujący się mieczem nic ważniejszego od niego nie posiadali, oczekiwanie spełnienia powyższego zobowiązania stanowiło niemałą naiwność. Nie popełniono jej wobec krzyżackich braci rycerzy, książąt krwi i dowódców wojsk zaciężnych, chociaż, być może, to właśnie od nich należałoby w największym stopniu oczekiwać dotrzymania słowa. Jednych uwolniono, inni trafili do niedługoj w wielu przypadkach niewoli, ale kilku, dokładnie trzech, czekał zupełnie inny los.

Jednym z nich był wspomniany już wcześniej komtur Pokarmina, Markward von Salzbach, pojmany przez ojca Jana Długosza, Jana Wieniawę Długosza z Niedzielska. Wraz z dwoma innymi Krzyżakami, wójtem Żmudzi Schenburgiem i Jurgiem Marszałkiem, został przekazany na życzenie króla w ręce Witolda i już nie wyszedł z nich żywy. Prawdopodobnie 20 lipca został na rozkaz księcia uśmiercony i stało się to w zgodzie z odwiecznym schematem; ludzi, którzy za wiele wiedzą, a jeszcze więcej mogą powiedzieć, wielcy tego świata wolą się pozbyć. Szybko i bez ceregieli. A Markward von Salzbach wiedzą kompromitującą Witolda z całą pewnością dysponował. Ale nie tylko. Podobno również przy jakiejś okazji ciężko obraził księcia, zarzucając mu wiarołomstwo, co akurat było zgodne z prawdą i zapewne wywołało tym większą wściekłość Litwina, ale również posunął się do naruszenia czci jego matki, nazywając ją „ladaczną i nieczystą matroną”. Być może jednak ważniejsze było jeszcze coś innego. Oto Markward von Salzbach i dwaj pozostali nieszczęśnicy zaledwie kilkanaście miesięcy wcześniej uczestniczyli w delegacji, którą w Kownie przyjmował wielki książę. Zapisków

z przebiegu rozmów nikt nie czynił, ale mogły tam zostać przedstawione różne propozycje. Znając charakter Witolda, jego mało chlubne czyny i polityczne wolty, niewykluczone, że padła nie tylko oferta kolejnej zmiany politycznego frontu, ale może i jakieś kompromitujące zapewnienie o ewentualnym jej przyjęciu przy spełnieniu określonych warunków.

Powodów, dla których komtur Pokarmina nie miał prawa przeżyć, nabierało się – jak widać – kilka. Książę skorzystał z nadarzającej się okazji i bez skrupułów pozbył się Krzyżaka, a wraz z nim dwóch jego kompanów, którzy żadnej obrazy się nie dopuścili, ale mogli być powiernikami komtura i znać mało budującą przeszłość księcia. Było potem trochę krzyku i zarzutów kierowanych pod adresem Witolda – jakkolwiek by było, chrześcijanina, a zachowującego się niczym dziki poganin – ale cel uświęcił środki. Martwi Krzyżacy już nie mogli mu w niczym zaszkodzić. Być może zresztą nie tylko jemu. Niewykluczone, że trzej zakonni rycerze zostali zgładzeni za przyzwoleniem samego Jagiełły, który też mógł się obawiać ujawnienia przez nich posiadanej i kompromitującej wiedzy o faktach, które powinny pozostać w głębokim ukryciu. Może o tym świadczyć monarszy rozkaz wydania krzyżackich dostojników w ręce wielkiego księcia.

W całej swojej historii zakon nie poniósł równie wielkiej klęski jak pod Grunwaldem. Stanowiła cios, z którego nie sposób było się do końca podnieść. Ludwиг von Baczko, żyjący na przełomie XVIII i XIX wieku kronikarz dziejów Prus, cytowany przez Andreasa Kosserta w książce *Prusy Wschodnie. Historia i mit*, użył barwnego porównania, oceniając to, co się wydarzyło w połowie lipca 1410 roku: „Od czasu owej nieszczęsnej przegranej bitwy pod Tannenbergiem (Grunwaldem) dzieje niemieckiego zakonu przypominają historię choroby suchotnika, którego mimo niezliczonych dolegliwości, odczuwanych co dzień, wciąż jeszcze trzyma przy życiu

nadzieja na ozdrowienie, aż w końcu nieoczekiwanie krwotok nagle położy mu kres”. Już nigdy do końca swojego istnienia zakon nie zdołał odbudować zasobów ludzkich. Ponad ćwierć wieku po Grunwaldzie, w roku 1437, liczba braci-rycerzy w Prusach sięgała czterystu, a po upływie kolejnych kilkunastu lat, w przededniu wojny trzynastoletniej, miała się obniżyć do trzystu. Miało to związek ze spadkiem liczby członków w konwentach na terenie Rzeszy, ale także z kryzysem gospodarczym i spadkiem dochodów zakonu. Mnisi w białych płaszczach, sprzeniewierzając się zakonnym regułom, zawzięcie strzegli swojego stanu posiadania i z rozmysłem regulowali liczbę ewentualnych rywali – beneficjentów pruskich bogactw. Taki stan rzeczy Hartmut Boockmann określił „problemem moralnym” stanowiącym jedną z głównych przyczyn upadku zakonu.

Wracając do głównego nurtu rozważań, wypada stwierdzić, że klęska pod Grunwaldem miała z pewnością wymiar militarnej katastrofy. Lecz nie tylko straty ludzkie, a na pewno nie przede wszystkim one, wyznaczały jej pułap. Wolno postawić tezę, że jeszcze gorszy był wstrząs wynikający z nagłej utraty przekonania o własnej niezwyciężoności i propagandowy bagaż wiążących się z tym skutków.

Często w historycznych opracowaniach dla opisanego tego, co się przydarzyło zakonowi krzyżackiemu pod Grunwaldem, są niemal jednym tchem używane określenia w rodzaju „śmiertelny cios” i „złamany kręgosłup”. Obu nie można odmówić barwności, ale ze względu na częstość używania przy różnych okazjach określenia te zamieniają się w banał. Na dodatek, w przypadku pierwszego z nich, jakże odległy od prawdy. Nie można mówić o „śmierci” zakonu, gdyż nie tylko przetrwał on Grunwald, ale jeszcze kilkakrotnie przeżywał swoje wielkie dni i po licznych przeobrażeniach istnieje do dzisiaj. Cios, jaki otrzymał, był, owszem, obezwładnia-

jący, ale ani śmiertelny, ani nawet łamiący kręgosłup. Zakon nie stał się bynajmniej bezradnym inwalidą zdanym na łaskę zwycięzcy i bardzo szybko pokazał, że jest w stanie otrząsnąć się po druzgocącej klęsce militarnej. Jej wymiar można porównać jedynie z trzynastowieczną porażką kawalerów mieczowych w bitwie pod Szawłami, po której zdecydowali się połączyć z Krzyżakami. Teraz ci drudzy znaleźli się w podobnej sytuacji; wielu szeptało o konieczności szukania ocalenia w fuzji z joannitami, ale ostatecznie koncepcja ta nie znalazła dość zwolenników. Być może najlepiej oddaje pogruwaldzką rzeczywistość stwierdzenie użyte przez Williama Urbana o uznaniu bitwy „za nieuleczalną ranę, która doprowadziła do wykrwawienia się zakonu na śmierć”. Ale proces ten siłą rzeczy musiał trwać jeszcze przez jakiś czas.

Wydaje się, że Krzyżaków przed zupełnym upadkiem, poza zachowaniem Władysława Jagiełły, o czym będzie mowa, i splotem innych sprzyjających im okoliczności, w największej mierze ocaliła wytrwałość i żelazna konsekwencja, a także struktura ich państwa, którego podstawy organizacyjne, siła polityczna i finansowa okazały się na tyle mocne, aby mogło ono przetrwać największy kryzys w swoich dziejach.

Był on niezmiernie kosztowny i spowodował przełom w stosunkach z państwem polsko-litewskim, rozpoczynając okres jego militarnej i wojskowej dominacji nad Krzyżakami, jednak już kilka miesięcy po Grunwaldzie stało się jasne, iż na moment decydujących rozstrzygnięć przyjdzie jeszcze długo poczekać.

## OD AUTORA

**W** historycznej świadomości Polaków Krzyżacy budzą jednoznacznie negatywne skojarzenia. Na czoło wybija się ich okrucieństwo, bezwzględność i niegodziwość. To przez pryzmat tych cech Polacy zwykli oceniać ponad trzystuletnią obecność zakonu krzyżackiego nad Bałtykiem, często niemal zupełnie dezawuuując jego zasługujące na pozytywną ocenę dokonania. Patrząc na dzieje tego rejonu Europy, nie można bowiem pomijać zupełnie faktu, że zamieszkującym go ludom, obok barbarzyńskich rzezi, bezmiaru cierpień i bezwzględnego podboju, przynieśli Krzyżacy również cywilizacyjny i kulturalny rozwój. Bez wątplenia jednak jego cena okazała się wyjątkowo wysoka. Zresztą nie tylko dla Prusów i spokrewnionych z nimi plemion, które nie zdołały się oprzeć brutalnej aneksji prowadzonej przez zakon krzyżacki. Jego sprowadzenie na polskie pogranicze stało się złowieszczym wstępem do późniejszych, trwających przez dwa stulecia krwawych wojen z Królestwem Polskim. Ostatecznie przyniosły one Krzyżakom bezdyskusyjną militarną klęskę, jednak Polska i Litwa nie przekuły sukcesu osiągniętego na polach bitew w triumf o wymiarze politycznym. Państwo zakonne zostało zsekularyzowane, ale po wiekach Prusy – ekspansywny spadkobierca dawnych „panów pruskich” – przyłożyły rękę do upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Historii zakonu krzyżackiego, jego powstaniu i krzepnięciu oraz krwawej drodze ku potędze, krachowi i odrodzeniu – na tle schyłkowego okresu średniowiecza z jego rycerskim etosem i ponurym kolorytem – poświęcona jest ta książka.



## KOLEBKA

„Zapoczątkowali (...) szpital ku czci świętej Boga rodzicielki dziewicy Marii, który pierwotnym imieniem nazwali szpitalem świętej Marii Niemców w Jerozolimie, z nadzieją i ufnością, że Ziemia Święta przywrócona zostanie kultowi chrześcijańskiemu”.

(zapis w kronice *De Primordiis Ordinis Theutonicis narratio* z 1244 roku)

**W** 1187 roku na cały świat chrześcijański spadła straszna, porażająca wręcz wiadomość. Jerozolima, święte miasto wyznawców Chrystusa opanowane osiemdziesiąt osiem lat wcześniej podczas pierwszej krucjaty, dostała się w ręce muzułmanów. Jej los podzieliły liczne inne miasta i warownie Królestwa Jerozolimskiego, a jedna z największych armii, jaką kiedykolwiek udało się zebrać krzyżowcom, została starta w proch w bitwie pod Hittin. Dokonał tego Saladyn (Sallah ad-Din), genialny wódz i władca, któremu udało się zjednoczyć muzułmanów i zadać klęskę Frankom, jak nazywali zachodnich najeźdźców. Tych ostatnich nie uchroniły przed nią nawet święte relikwie na czele z drzewem Krzyża Świętego, co w Europie uznane zostało za Bożą karę wymierzoną za odejście od prawdziwej wiary i grzechy popełnione przez potomków zdobywców Ziemi Świętej. Jednak nad tym odczuciem przeważały wściekłość i chęć natychmiastowego odzyskania Jerozolimy. Autor jednej z ówczesnych kronik, *Narratio itineris navalis ad*

*Terram Sanctam* a. 1189, napisał, że „(...) trąby, rozbrzmiewające szeroko ponad krajami chrześcijan, i obietnica papieskiego odpustu poruszyły niezliczoną rzeszę ludzi, którzy zapragnęli zaradzić temu nieodżałowanemu nieszczęściu”. Z Francji, Anglii, Niemiec, Włoch, Sycylii i innych krajów wyruszyły do Ziemi Świętej zbrojne wyprawy. Obok potężnych rycerskich zastępów pod przewodnictwem koronowanych głów – króla Francji Filipa II Augusta, władcy Anglii Ryszarda I Lwie Serce i cesarza Fryderyka Barbarossy – z odsieczą dla Grobu Pańskiego udali się liczni pielgrzymi i pomniejsze grupy krzyżowców.

Spośród takich właśnie kontyngentów jeden z najsilniejszych opuścił wiosną 1189 roku Lubekę i Bremę. Na pięćdziesięciu statkach znalazło się dwanaście tysięcy krzyżowców, którzy późnym latem dopłynęli pod oblężoną przez chrześcijan Akkę, jedną z najpotężniejszych twierdz Królestwa, jakie obok Jerozolimy zdołał zdobyć Saladyn. Była to najliczniejsza grupa Niemców w Ziemi Świętej, gdyż armia prowadzona przez cesarza uległa zupełnej dezorganizacji po jego tragicznej śmierci już u wrót Syrii (Barbarossa utonął w czasie forsowania rzeki Salef lub podczas kąpieli). Do Akki dostały się jedynie resztki jego wojsk, zaś pozostałe uległy rozproszeniu.





Oblężenie Akki, 1189–1191.

Podobnego losu uniknęli Bremeńczycy i Lubeczanie, którzy w historii trzeciej krucjaty pozostawili istotny ślad. Wśród szczęku oręża i toczących się miesiącami prac oblężniczych znaleźli czas na założenie niewielkiego szpitala zajmującego się chorymi i oferującego pochówek na pobliskim cmentarzu. W ten sposób zainicjowali powstanie jednego z największych zakonów rycerskich późnego średniowiecza, którego pełna nazwa brzmiała: Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Istnieją dokumenty, które sugerują, że taki niemiecki szpital istniał już dawniej; miał powstać przed rokiem 1143, być następnie podporządkowany joannitom i zostać zlikwidowany wraz z upadkiem Jerozolimy, gdzie przez te wszystkie lata miał swoją siedzibę. Przy życiu pozostała jednak część braci i należące do bractwa włości, przede wszystkim na terenie Niemiec. Oczywiście krzyżowcy z Lubeki i Bremy, zakładając nowy szpital niemiecki w Akce, uczynili wszystko, aby je przejąć, co im się zresztą powiodło. Okoliczność ta wywołała jednak konflikt z dużo starszym Zakonem Szpitalników (joannitów) roszcującym sobie prawo do objęcia schedy po starym szpitalu niemieckim. Podobnie rzecz się miała z zewnętrzną oznaką twórców nowego szpitala, czarnym krzyżem na białym płaszczu, który kłuł w oczy posługujących się

podobnym symbolem templariuszy, najsłynniejszy nie tylko w samej Ziemi Świętej średniowieczny zakon rycerski. Pomimo presji ze strony zazdrosnych o swoje wpływy i nieskorych do dzielenia się łupami szpitalników i templariuszy Niemcy nie zamierzali z czegokolwiek rezygnować i postawili na swoim. Ich bractwo szybko krzepło i umacniało się.

Historia zapamiętała je jako zakon krzyżacki.

## STULECIE W ZIEMI ŚWIĘTEJ

„A ponieważ trudno rozerwać potrójnie spleciony sznur, dzięki Boskiej opatrności do dwóch wymienionych zakonów doszedł trzeci, bardzo potrzebny Ziemi Świętej, i stał się połączony z pozostałymi dwoma”.

(kronikarz Jakub z Vitry w *Historia orientalis* na temat trzech najpotężniejszych w średniowieczu zakonów rycerskich)

Jeszcze podczas walk o Akkę Krzyżacy uzyskali wsparcie króla jerozolimskiego Gwidona de Lusignan, który w przypadku zdobycia bronionej przez niewiernych twierdzy przyrzekł im podarować kilka budynków w pobliżu Bramy św. Mikołaja. Akka rzeczywiście padła, a król obietnicy dotrzymał. W połowie lipca 1191 roku Krzyżacy stali się właścicielami kompleksu zabudowań pozwalających na zakwaterowanie chorych i rannych, i na opiekę szpitalną. Wielu z nich w sposób bardzo konkretny wyraziło za nią podziękowanie, dokonując różnych zapisów na rzecz

szpitala. Bez wątpienia to właśnie wsparcie materialne płynące ze strony przede wszystkim niemieckich pielgrzymów stanowiło filar, na którym wspierał się rozwój zakonu. Nadanie dokonane przez Gwidona stało się wstępem do powstania podobnych ośrodków w całej Europie. Jak napisał współczesny niemiecki historyk Klaus Militzer, autor *Historii zakonu krzyżackiego*: „do 1230 roku zakon założył co najmniej dwadzieścia sześć szpitali w całym świecie chrześcijańskim”. Później zaczęły przybywać kolejne.

Jednym z pierwszych wielkich niemieckich dostojników, którzy wsparli szpital, był syn Barbarossy, Fryderyk książę Szwabii. Przywłókł się pod Akkę z niedobitkami, ale miał przed sobą niewiele życia. Ciężko chory, sterany trudami wyprawy, skorzystał z oferty niemieckiego szpitala i został jego pacjentem. To była szczęśliwa okoliczność dla raczkującego zakonu. Czując zbliżającą się śmierć i będąc pod wrażeniem jakości opieki, jaką go otoczono – Fryderyk wyraził życzenie, aby rodacy zajęli się jego pochówkiem. Wcześniej jednak wysłał list do brata, przyszłego cesarza Henryka VI, z prośbą o zalegalizowanie i możliwie hojne wsparcie szpitala. Ten zadośćuczynił jego prośbie i w okresie kilku następnych lat stał się patronem niemieckiego szpitala. Podobnie postąpił papież.

Henryk VI hojnie zaopatrzył swoich nowych podopiecznych, nadając im posiadłości w południowych Włoszech, głównie w Apulii, oraz wyposażając w przywileje handlowe w Kalabrii i na Sycylii. Nie ustępowali mu w tym dziele księżęta Austrii i landgrafowie Turynii. Nadania stanowiły silną podstawę materialną dla dalszego rozwoju Krzyżaków. Jak stwierdził Nicholas Morton, autor monografii *Krzyżacy w Ziemi Świętej 1190–1291*: „Dla każdej organizacji religijnej w Lewancie posiadanie dóbr na chrześcijańskim Zachodzie stanowiło ważny element

zaplecza materialnego. Dzięki posiadaniu ziemi możliwe było dostarczanie na Wschód zapasów oraz dodatkowej siły roboczej i innych zasobów. Nietrudno wyobrazić sobie, że starając się rozszerzyć swoje wpływy we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, Henryk mógł entuzjastycznie wspierać niemiecki zakon w Ziemi Świętej”.

Jego istnienie nabrało nowego wyrazu w wyniku zorganizowanej przez Henryka VI krucjaty będącej w założeniu kontynuacją nieszczęśliwej wyprawy ojca. Henryk zadbał o możliwie najlepsze przygotowanie wojsk, jednak ze względów zdrowotnych im nie towarzyszył. Główna armia wylądowała pod Akką w końcu września 1197 roku, ale niebawem nadeszła wieść o śmierci cesarza. Wydawało się, że ta nieszczęśliwa okoliczność spowoduje fiasko wielkich planów związanych z krucjatą, a nadto może mieć również fatalny wpływ na dalsze losy niemieckiego szpitala. I faktycznie; krucjata zakończyła się niepowodzeniem, lecz losy szpitala potoczyły się znacznie bardziej pomyślnie.

Wielcy panowie uczestniczący w wyprawie postanowili czym prędzej powrócić do ojczyzny, aby mieć wpływ na wybór kolejnego władcy. Nim jednak odплыnęli do Europy, zadbali o przyszłość swoich rodaków skupionych wokół akkańskiego szpitala. W marcu 1198 roku, krótko przed wyruszeniem armii w drogę powrotną, możni i najważniejsi rycerze niemieccy zdecydowali o jego militaryzacji na wzór joannitów i templariuszy. Bez kłopotów uzyskali zgodę miejscowych notabli, ale decydujące zdanie miało należeć do papieża. Petycja, która do niego dotarła, spotkała się ze zrozumieniem i Innocenty III zgodził się na przekształcenie bractwa w zakon o regule templariuszy (w zakresie zbrojnej walki z poganami) oraz joannitów (w zakresie opieki nad chorymi i pielgrzymami). W 1199 roku dotychczasowi mnisi opiekujący się niemieckim szpitalem – stali się zakonem

rycerskim. Czekał ich jednak trudny, kilkunastoletni okres, podczas którego mogli liczyć jedynie na pomoc tych samych patronów, którzy zadecydowali o powstaniu zakonu, a także na wsparcie ze strony niemieckich pielgrzymów, w mniejszych i większych grupach podążających na Wschód.

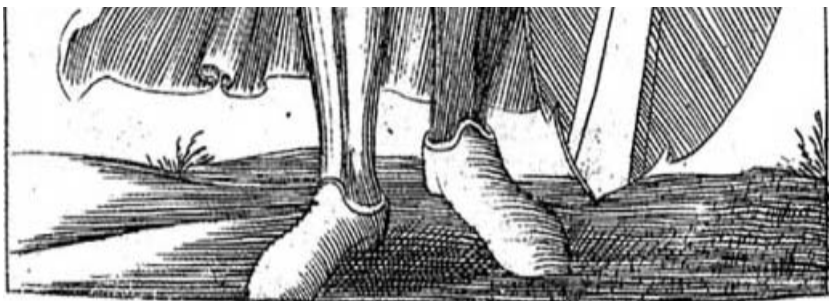
W Niemczech trwał okres chaosu i walk o tron, mało kto interesował się losem niewielkiej grupy mnichów rozwijających swoją wspólnotę na skrawku palestyńskiego wybrzeża. Zresztą samo istnienie europejskich państweczek otoczonych morzem niewiernych stało pod znakiem zapytania. Zarówno im, jak i Krzyżakom udało się jednak przetrwać, a w Niemczech skomplikowana sytuacja polityczna w międzyczasie się wyklarowała. Po władzę nad Niemcami, jako król, sięgnął w 1212 roku Fryderyk II Hohenstauf (również król Sycylii), który w 1220 roku miał zostać cesarzem, a następnie przyozdobić swoją tytulaturę również godnością króla Jerozolimy. I to właśnie on, obok papieża i możnych w Ziemi Świętej, okazał się największym sojusznikiem i dobrodziejem zakonu. Nie stało się to bynajmniej od razu. Początkowo, aż do roku 1215, drogi Fryderyka i Krzyżaków, którzy po śmierci Henryka VI odwrócili się od Hohenstaufów i związali bliższą współpracą z ich przeciwnikami politycznymi, Welfami (przedstawiciel tego rodu antykról Otton IV Welf w 1209 roku został cesarzem Niemiec i nosił ten tytuł przez dziewięć lat, do swojej śmierci), rozeszły się. Fryderyk II zorientował się, że rosnący w siłę Krzyżacy mogą stać się jego zbrojnym ramieniem na Bliskim Wschodzie, gdzie pragnął roztoczyć swoją władzę jako obrońca chrześcijan w Ziemi Świętej i zastąpić w tym dziele cesarza bizantyńskiego. Jednak w roku 1210, kiedy na wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego wybrany został Hermann von Salza, niewiele wskazywało, że wizja Fryderyka II może się ziścić. Jak napisał żyjący w XIII



wieku kronikarz Piotr z Dusburga, autor *Kroniki Ziemi Pruskiej*, Krzyżacy mogli jedynie „wystawić dziesięciu rycerzy zakonnych z uzbrojeniem, nie więcej”. Ponad dziesięć lat istnienia zaowocowało tak „potężnym” militarnym potencjałem! Zresztą równie skromnie rozpoczynał swoją karierę zakon templariuszy.

Herman von  
Salza





Hermann von Salza, rycina z 1684 roku.

O ile do szybkiego rozwoju templariuszy wydatnie przyczynił się słynny Bernard z Clairvaux, który opracował ich regułę i głosił powołanie do wielkich czynów w imię Chrystusa, o tyle rozwój zakonu krzyżackiego nastąpił za sprawą wydarzeń towarzyszących piątej wyprawie krzyżowej w latach 1217–1221. Jedną z ważniejszych postaci okazał się wspomniany Hermann von Salza, pierwszy po trzech poprzednikach z tym tytułem (Heinrichu I Walpocie, Ottonie von Kerpenie i Heinrichu von Tunnie) mistrz Krzyżaków, o którym można powiedzieć, że nie tylko z przynależnego mu tytułu okazał się wielki. To on po kilku latach sprawowania najwyższej godności w zakonie dostrzegł, że należy związać jego przyszłość z osobą Fryderyka II. Zresztą bardzo szybko stał się jego bliskim współpracownikiem i doradcą.

Dokonując prezentacji wielkiego mistrza, William Urban w dziele *Krzyżacy. Historia działań militarnych* posłużył się niezwykle ciekawym porównaniem: „Herman von Salza był budowniczym imperium na miarę Henry’ego Forda albo Johna D. Rockefellera, dostrzegającym szanse wszędzie tam, gdzie inni widzieli tylko trudności, potrafiącym działać w ramach istniejącego systemu na rzecz budowy nowego typu potęgi, wykorzystującym zdolności i kapitał innych ludzi dla osiągnięcia celów, o których osiągnięciu nikt inny nawet nie

marzył”. Ponadto obdarzony był szczególną cechą: „Należał do tego rzadkiego gatunku ludzi, którzy budzą spontaniczne zaufanie do ich uczciwości i kompetencji (...)”. Ta wspaniała laudacja na cześć czwartego wielkiego mistrza nie jest przesadzona. Nie ma wątpliwości, że należy mu się miejsce w gronie najwybitniejszych europejskich polityków pierwszej połowy XIII wieku. Historycy są zgodni, że wraz z jego obiorem dzieje zakonu krzyżackiego nabrały zupełnie nowego wyrazu. Hermann von Salza nie szczycił się bynajmniej wielkością rodu. Pochodził z rodziny ministeriałów, co oznaczało korzenie rycerskie, ale, jakkolwiek by to brzmiało, nie w pełni szlacheckie (ministeriałowie zwani są czasami niewolnym rycerstwem, rycerzami służebnymi). Właśnie spośród tej warstwy królowie, cesarze i książęta Rzeszy już od XI wieku mieli zwyczaj wybierać zdolnych ludzi na urzędy związane z zarządem podległymi im terytoriami, ale również powierzać im godności dworskie. Kalkulacja była prosta. Dość niski stan i zupełna zależność stanowiły gwarancję lojalności. Jeżeli nie absolutnej, to z pewnością zdecydowanie większej niż w przypadku rycerzy lenników. Hermannowi von Salzowi nie była pisana typowa ścieżka kariery. Szczęśliwie dla siebie, co podkreśla Urban, wybrał inną drogę i wstąpił do małego jeszcze znanego zakonu rycerskiego; gdyby zgłosił akces do templariuszy bądź joannitów, pomimo niebagatelnych przymiotów umysłu i zdolności, o których była mowa, być może jego postać pozostałaby mało znana lub zupełnie anonimowa i nie zapisałaby się na kartach historii.

Prawdopodobnie przez kilka pierwszych lat po wyborze wielki mistrz przebywał blisko Fryderyka II, ale pozostawał w jego głębokim cieniu. Wyszedł z niego dopiero podczas krucjaty. Nie wydaje się, aby pomiędzy 1210 a 1217 rokiem

zakon krzyżacki nagle zwiększył swoje siły zbrojne do jakiejś imponującej liczby i zapewne jego udział w krucjacie nie łączył się z ich znaczącym zaangażowaniem w toczone walki. Tym bardziej że już od kilku lat Krzyżacy wysyłali część sił do Siedmiogrodu, o czym będzie jeszcze mowa. Ich siłą stała się raczej aktywność dyplomatyczna, udział w głośnych przedsięwzięciach i sama osoba Hermanna von Salza. Wielki mistrz uczestniczył w wielkiej naradzie wodzów krucjaty, jaka odbyła się w Akce. Nietrudno sobie wyobrazić, że opisane cechy charakteru pozwoliły mu szybko zyskać wśród nich mocną pozycję, nieadekwatną do pozycji zajmowanej ówczesnie przez Krzyżaków. W siedemnastowiecznej Polsce popularność zdobyło powiedzenie, że choć państwo nie ma wystarczającej armii, to za armię stanie Sobieski; z von Salzą było podobnie. Krzyżacy nie mieli dość rycerzy, aby rozstrzygać bitwy i ważyć w istotny sposób na losach wojny, posiadali natomiast genialnego polityka, który z powodzeniem rekompensował te braki. W dzisiejszych czasach, ze swoimi talentami, byłby być może rozchwytywanym przez największe światowe korporacje menadżerem. To głównie dzięki niemu w ciągu zaledwie kilku lat, jeszcze przed krucjatą, zakon wzbogacił się o wiele nowych nabytków terytorialnych w strategicznym rejonie, jaki stanowił basen Morza Śródziemnego. Wiele z nich znajdowało się w miejscach, przez które wiodły szlaki krzyżowców do Ziemi Świętej, co jasno wskazuje, że przede wszystkim z nią wiązali los zakonu. Krzyżacy otrzymali nadania na Cyprze i na Peloponezie w księstwie Achai. W 1212 roku współbrat zakonu – jak sam siebie określał król Armenii Leon II – sprawił im wspaniały podarunek w postaci twierdzy Amudain wraz z otaczającymi ją terenami.

Podczas piątej krucjaty chrześcijanom udało się zebrać największą armię od czasów wyprawy Ryszarda Lwie Serce z

końca ubiegłego wieku. Jej ewidentną słabością był brak jednego wodza. Do komendy nad armią krzyżową pretendował król jerozolimski Jan z Brienne, ale również władca Węgier Andrzej II i król Cypru Hugo I. Na domiar złego rycerze zakonni słuchali wyłącznie rozkazów swoich wielkich mistrzów. Powodowało to chaos i zapowiadało nieuniknione kłopoty. Hermann von Salza od początku przyjął postawę człowieka usiłującego doprowadzić do porozumienia pomiędzy poszczególnymi dowódcami. Ten cel go przerósł, a pierwsze efekty krucjaty na terenie Ziemi Świętej były znikome. Raid krzyżowców do Jordanu i wokół jeziora Genezaret okazał się jedynie pokazem siły pozbawionym namacalnych skutków. Na dodatek Andrzej II postanowił wracać do swojego kraju. Kiedy jednak do Akki przybyła flota fryzyjska, a potem krzyżowcy francuscy, postanowiono uderzyć na będący najbogatszą prowincją muzułmanów – Egipt. Zdobycie delty Nilu oznaczałoby również oskrzydlenie Jerozolimy i znacznie ułatwiłoby jej opanowanie. Plan ten, przyjęty entuzjastycznie przez wodzów krucjaty, mógł wpłynąć na dalsze losy chrześcijan w Ziemi Świętej.

Bezpośrednim celem ataku stała się Damietta leżąca nad jednym z ramion Nilu, niedaleko od ujścia do Morza Śródziemnego. Na wieść o zdobyciu strzegącego ją fortu zmarł zarządzający Egiptem młodszy brat Saladyna, Al-Adil, zwany przez krzyżowców Safadinem. Wówczas władzę w Egipcie przejął jego najstarszy syn, Al-Kamil. Krzyżowcy popełnili błąd, rezygnując z natychmiastowego ataku na twierdzę, a dodatkowo w ich obozie wybuchły niesnaski wobec podważenia pozycji Jana z Brienne przez papieskiego legata, kardynała Pelagiusza. Pod oblężoną Damiettą doszło do pata, który przerwała propozycja Al-Kamila. Jesienią 1218 roku poinformował on Franków, że jest skłonny wydać im

Jerozolimę, a także Betlejem, Nazaret i Prawdziwy Krzyż w zamian za opuszczenie przez nich Egiptu. Wydawało się, że to bajeczna propozycja. Jednym z najmocniej optujących za jej przyjęciem, obok króla Jana, okazał się Hermann von Salza. Było jednak kilka „ale” i to one zadecydowały o odrzuceniu oferty Al-Kamila. Wycofanie się krzyżowców z Egiptu wobec faktu, że kilka miesięcy wcześniej muzułmanie zniszczyli mury Jerozolimy – uczyniłoby w praktyce Święte Miasto całkowicie bezbronnym. Ponadto sprzeciw zgłosił Pelagiusz, traktujący jakiegokolwiek układ z niewiernymi jako grzech. Negocjacje zostały zerwane, co ostatecznie nie wyszło chrześcijanom na zdrowie. Póki co Damietta padła; zdobyto w niej ogromne skarby, ale krzyżowców dzieliły wewnętrzne spory.

Zimą stosunki między królem Janem i wspierającymi go zakonami a kardynałem – mocno się zaogniły. Po zdobyciu Damietty nie podjęto decyzji o natychmiastowym uderzeniu na Kair i to był największy błąd. Dodatkowo armię opuścił Jan z Brienne, a dowództwo objął nieobeznany z arkanami sztuki wojennej Pelagiusz. Mimo to w połowie 1221 roku sułtan ponowił swoją propozycję oddania Jerozolimy, rozszerzając ją o zapłatę odszkodowania za zburzone mury, ponadto o całą Palestynę i ofertę trzydziestoletniego pokoju. Ale i jej, co już trąciło szaleństwem, coraz bardziej pewny siebie Pelagiusz nie przyjął. Liczył na rychłe przybycie posiłków pod wodzą księcia bawarskiego Ludwika i samego cesarza Fryderyka II. Ten ostatni zakazał Ludwikowi podejmowania ofensywy przed swoim pojawieniem się w Damietcie, ale książe, łasy na wojenną sławę, zlekceważył rozkaz władcy i natychmiast po wylądowaniu dogadał się z Pelagiuszem w sprawie uderzenia na Kair. Krok ten był niebezpieczny wobec możliwego wylewu Nilu, ale większość dowódców z aplauzem przyjęła decyzję o marszu na

południe. Wśród nich był Hermann von Salza, którego tym razem, jak się niebawem miało okazać, zawiódł instynkt wskazujący dotychczas najlepsze rozwiązania. Zresztą i Jan z Brienne, który powrócił do armii, nie odważył się sprzeciwić powziętym zamiarom w obawie, aby nie być posądzonym o tchórzostwo.

Teraz wypadki potoczyły się szybko. Liczna armia krzyżowców – kronikarze obliczali ją na niemal pięćdziesiąt tysięcy samych zbrojnych, nie licząc hord pielgrzymów, co jednak wydaje się liczbą przesadzoną i odpowiadało raczej stanowi wojsk w chwili opanowania Damietty – ruszyła w górę wzbierającego z każdym dniem Nilu i w niegościnnym terenie dała się otoczyć wojskom Al-Kamila. Sułtan wykorzystał system śluz do zalania obszaru, na którym znajdowali się krzyżowcy. Fala krytyki spadła na Krzyżaków, którzy podpalili pozostawione w obozie zapasy, zdradzając w ten sposób wrogowi, że go opuszczają. Ale skuteczny odwrót okazał się niemożliwy. Przeciwnik odciął połączenie floty krzyżowców z zapleczem i nieustannie atakował ich wycieńczone oddziały. Sytuacja stała się beznadziejna. Tak bardzo hardy dotychczas Pelagiusz wysłał do sułtana prośbę o zawarcie rozejmu. Al-Kamil okazał się wspaniałomyślny i w zamian za ewakuację Damietty zgodził się na ośmioletni pokój i dodatkowo na zwrot Prawdziwego Krzyża. Do momentu wydania Damietty w rękach muzułmanów miało pozostawać dwudziestu czterech chrześcijańskich dostojników.

W tej grupie, obok wielkich mistrzów szpitalników i templariuszy, znalazł się Hermann von Salza. Fakt ten świadczył o jego rosnącym znaczeniu. Przez cały okres krucjaty był jedną z wiodących postaci. Jego podpis, obok podpisów kilkunastu najwybitniejszych uczestników krucjaty, można znaleźć na dokumentach wysyłanych do



papieża Honoriusza III i Fryderyka II. Honoriusz, w korespondencji zwrotnej, umieszczał wielkiego mistrza wśród wąskiego grona adresatów. Jest to znamienna okoliczność, gdyż wcześniej, przed krucjatą, w papieskich listach zakon krzyżacki nie pojawiał się w jakimkolwiek kontekście. Ale dzięki Hermannowi von Salzie jego ranga błyskawicznie wzrosła. Świadczy o tym wysokość wsparcia finansowego, jakiego cesarz udzielił zakonowi rycerskim podczas krucjaty. Oto Krzyżacy otrzymali podobne dotacje jak templariusze i joannici, którzy zobowiązali się wystawić po siedmiuset konnych i dwa tysiące pieszych wojowników, a zatem siły, o jakich posiadaniu niemieccy mnisi mogli podówczas jedynie zamarzyć. Ale ich rola była inna.

Za sprawą Hermanna von Salzy, który podczas krucjaty i zaraz po niej odbył podróże do Europy i spotkał się zarówno z papieżem, jak i Fryderykiem II i pozostawał z nimi w bardzo bliskich stosunkach, Krzyżacy stali się zaufanymi pośrednikami Honoriusza III w jego kontaktach z dostojnikami w Ziemi Świętej. To im w połowie 1220 roku powierzył do przewiezienia fundusze dla armii i przywódców krucjaty. Nie może zatem dziwić, co celnie stwierdził Morton, że w momencie, kiedy doszło do dramatycznych wydarzeń w Egipcie i kapitulacji armii krzyżowców, Hermann von Salza „zarówno przez chrześcijan, jak i przez muzułmanów musiał być postrzegany jako osoba o znaczących możliwościach i wpływach. W przeciwnym razie jego wartość jako gwaranta traktatu byłaby niewielka”. Ocenę tę dodatkowo potwierdza fakt, iż następnie mistrz Krzyżaków wraz z mistrzem templariuszy uczestniczyli w poddaniu miasta Al-Kamilowi. Tylko z pozoru była to formalność. Do Damietty przybyło wielu pielgrzymów i rycerzy z hufcami, którym nie w smak było wydanie twierdzy niewiernym. Nie obyło się bez

poważnych problemów. Kiedy obaj mistrzowie zjawili się w mieście i ogłosili treść ustaleń z Al-Kamilem, doszło do buntu załogi, która po przybyciu floty hrabiego Malty czuła się na siłach przeciwstawić Saracenom i nie widziała potrzeby wydania Damietty. Siedziby Jana z Brienne oraz templariuszy i Krzyżaków zostały zaatakowane. Dość szybko doszło jednak do ostudzenia nastrojów i na początku września wypełniono warunki pokoju.



Fryderyk II przyjmuje poselstwo Arabów na zamku w Palermo w 1230 r., z prawej – Hermann von Salza, obraz Arthura von Ramberga, 1860–1866.

Podsumowanie piątej krucjaty, jakiego dokonał Steven Runciman w trzecim tomie *Dziejów wypraw krzyżowych*, brzmi nad wyraz gorzko: „Gdyby w armii chrześcijańskiej znajdował się choć jeden mądry i powszechnie szanowany wódz, krzyżowcy zdobyliby prawdopodobnie Kair i obalili rządy Ajjubidów w Egipcie”. Nie znalazł się, gdyż wszystkich

przytłoczył swoją osobą Pelagiusz, zły duch krucjaty, i zepsuł wszystko, co było do zepsucia. Zawsze tacy bywali i bywają. Nie osiągnięto niczego, zaś poniesione straty, materialne i propagandowe, okazały się wyjątkowo bolesne. Na miejscowych chrześcijan spadły represje, pozamykano ich kościoły i obłożono nowymi podatkami. Swoją dotychczasową pozycję stracili włoscy kupcy. „Żołnierze krucjatowi odjeżdżali więc do stron ojczystych z palącym i zasłużonym wstydem”. Z drugiej zaś strony „Strach przed chrześcijanami zachodnimi wywołał w islamie nową falę fanatyzmu”. Jednym z nielicznych, którzy opuszczali Damiettę bez poczucia osobistej klęski, był Hermann von Salza. Co prawda kierowany przez niego zakon również poniósł ciężkie straty w zabitych wśród tych, którzy z wielkim mistrzem ruszyli do Egiptu, ale bilans trwającej przez cztery lata krucjaty okazał się dla Krzyżaków wyjątkowo korzystny. Dotychczas stanowili bowiem niewielkie, szpitalno-rycerskie bractwo, głównie dzięki papieżowi, który w licznych dokumentach podkreślał ich wielkie zasługi, teraz zaś – stali się rozpoznawalni w chrześcijańskim świecie. Doskonałą ilustracją tego faktu stanowi dokument wydany w połowie stycznia 1221 roku, w którym znalazło się zdanie: „Rycerze Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, cieszący się sławą nowych Machabeuszy naszych czasów, odrzucający doczesne pokusy i własne dobro, podejmując krzyż, ruszyli za Panem; to poprzez nich Bóg wyzwala Wschodni Kościół od plugastwa pogan”. Dwa lata później papież zwrócił się z apelem zachęcającym odwiedzających Ziemię Świętą rycerzy do wstępowania w szeregi zakonu krzyżackiego, w zamian za zwolnienie z części pokuty. W świecie zdominowanym przez religię ewentualne zmniejszenie przymusowej ekspiacji za winy musiało się jawić jako atrakcyjna

perspektywa i z pewnością znaleźli się chętni do skorzystania z takiej oferty. Tym bardziej że wstąpienie do zakonu krzyżackiego, pomijając element przygody, dla wielu mniej zamożnych rycerzy stanowić mogło szansę na zrobienie kariery.

W ciągu paru lat Honoriusz III nadał Krzyżakom pięćdziesiąt siedem przywilejów, a ich szeregi powiększyły się o licznych rycerzy z krajów niemieckich. Mimo to Hermann von Salza – jak twierdzi William Urban – nabrał przekonania, „że przyszłości jego zakonu nie należy wiązać wyłącznie z Ziemią Świętą”. Nauczki spod Damietty i Kairu z pewnością nie potraktował bezkrytycznie. Był na tyle inteligentny, aby z poczynionych podczas krucjaty obserwacji wyciągnąć wniosek, że byłoby zbyt dużym hazardem angażować wszystkie siły i interesy Krzyżaków na wąskim skrawku azjatyckiego wybrzeża Morza Śródziemnego, otoczonym zewsząd przez świat islamu. Musiał zdawać sobie sprawę ze słabnącej siły chrześcijan i malejących szans na powrót do sytuacji z poprzedniego stulecia.

Jeszcze w trakcie krucjaty, mimo wysłania większości mnichów z wielkim mistrzem do Egiptu i łączących się z tym znacznych kosztów, począwszy od 1218 roku Krzyżacy zaangażowali się w pomoc przy budowie najświetniejszej w Ziemi Świętej twierdzy templariuszy – zamku Atlit zwanego też Zamkiem Templariuszy lub Pielgrzyma (Château Pèlerin). Ich wsparcie miało głównie charakter finansowy. Po wybudowaniu mury obronne przytłaczały ogromem i potęgą: zewnętrzny wznosił się na piętnaście metrów i był szeroki na sześć metrów, natomiast wewnętrzny był dwukrotnie wyższy i szerszy! Atlit nigdy nie został zdobyty, a templariusze opuścili go sami w 1291 roku, kiedy już niemal wszystkie chrześcijańskie posiadłości dostały się w ręce niewiernych.

Pomysłem Hermanna von Salzy była natomiast budowa zamku Starkenberg, powszechnie znanego pod nazwą Montfort, położonego około dwudziestu kilometrów w linii prostej od Akki. W założeniu miał on nie tylko stanowić jej osłonę, ale również drugą najważniejszą obok stolicy królestwa siedzibę zakonną. Ponadto w zamku znaleźć się miały zakonny skarbiec i archiwa, miała tam też rezydować starszyzna. Od razu można zadać pytanie: czy taka koncepcja miała racjonalne podstawy? Paweł Pizuński, autor książki *Sekretne sprawy Krzyżaków*, udziela jednoznacznej odpowiedzi, z którą trudno się nie zgodzić: „Rzadko kiedy stolicę buduje się w głuszy, na szczycie niedostępnego wzniesienia otoczonego gęstym lasem”. W posiadanie stromego wzgórza, na którym postanowiono wybudować zamek, Krzyżacy weszli około 1220 roku, ale musiało upłynąć sporo czasu, niemal cała dekada, nim rozpoczęli prace budowlane, które miały trwać kilkadziesiąt lat. Z apelem o finansowe wsparcie budowy wystąpił papież Grzegorz IX, obiecując w zamian odpust i zwolnienie darczyńców z części długów.

Przewlekłość powstawania Montfort wynikała nie tylko z braku odpowiednich funduszy, trudności z dowozem zaopatrzenia i kłopotów związanych z pozyskaniem wystarczającej liczby robotników. Łączyła się również z trwającym już w pełni zaangażowaniem Krzyżaków w Europie. W każdym razie kiedy w roku 1239 wielki mistrz zegnał się ze światem, jego dzieło było ciągle w powijakach. Dopiero sześć lat później, wraz z nowym odpustem udzielonym przez Innocentego IV, prace przyspieszyły. Po dwóch kolejnych dekadach twierdzę najprawdopodobniej wreszcie wykończono. Zdaniem Pizuńskiego „był to pierwszy zamek krzyżacki, który łączył w sobie funkcje siedziby wspólnoty zakonnej z funkcjami typowo

militarnymi”. Swoimi gabarytami nie mógł imponować na tle innych twierdz pozostających chociażby we władaniu szpitalników i templariuszy. Posadowiony na wąskim grzbiecie skalistego wzgórza opływanego wodami strumienia Wadi Karm i drugiego potoku był długi na sto metrów i szeroki na nie więcej niż dwadzieścia metrów. Mimo to zdołano zagospodarować w jego wnętrzu wszystkie niezbędne pomieszczenia na czele z kaplicą, refektarzem (jadalnią) czy dormitorium (sypialnią). Wydaje się, że w Montfort było również dormitorium dla kobiet, sióstr zakonnych pracujących przy chorych oraz kobiet-pielgrzymów. Wybudowano je jednak na zewnątrz, poniżej murów obronnych i pod ich osłoną, tak aby białogłowy były oddzielone od zakonników, który to wymóg wynikał z krzyżackich statutów. Zresztą hospicjum w Jerozolimie, nabyte przez nich w roku odzyskania Świętego Miasta (1229), składało się z dwóch oddzielnych budynków: dla pielgrzymów mężczyzn oraz kobiet.

Centralnym punktem systemu obronnego, wykorzystującego naturalne zalety posadowienia fortecy, były sucha fosa, most zwodzony i potężny kwadratowy donżon o szesnastometrowych bokach, strzegący bramy wjazdowej. Z zamkiem Montfort łączy się zupełnie unikatowy w historii zakonu urząd kasztelana, który miał dbać o porządek, aprowizację i bezpieczeństwo fortecy. Wśród zakonnej starszyny był wpływową postacią, powoływał go i odwoływał wielki mistrz w obecności całego konwentu. Z imienia i nazwiska znanych jest jedynie kilku kasztelanów. Niewykluczone, że ich wybór dokonywał się właśnie w Montfort. Zresztą na zamku w 1244 roku powołano na urząd wielkiego mistrza Henryka von Hohenlohego. Tam też rezydował podskarbi zakonu zawiadujący jego głównym skarbcem. Nie znaczy to

bynajmniej, że wszystkie ważne transakcje odbywały się w Montfort. Wysocy dostojnicy, chociażby biskup Akki, dla których podróż po bezdrożach mogła być uciążliwa, mogli liczyć na załatwienie swoich finansowych rozliczeń w stolicy.

W latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych zakon nabył wiele posiadłości z dala od Akki, głównie w Sydonie i w jego pobliżu. Stało się to w wyniku skupowania przez zakony rycerskie dóbr od ubożających panów feudalnych. Krzyżacy cieszyli się nowymi nabytkami zaledwie kilka lat. Satysfakcji z panowania nad pozyskanymi ziemiami oraz w paśmie górskim Schuf pozbawił ich w 1268 roku najazd sułtana mameluckiego Bajbarsa. Nagłość ataku i łatwość, z jaką mamelucy dokonali aneksji ziem Franków, stały się dla Krzyżaków sygnałem do częściowej ewakuacji Montfortu. Prawdopodobnie zaraz po wycofaniu się oddziałów Bajbarsa skarbiec i archiwa przewieziono do Akki. Szybko okazało się, jak przezorne było to posunięcie.

Pokój zawarty z Bajbarsem miał trwać pięć lat, ale sułtan zerwał go już w 1271 roku i jego potężna armia wkroczyła na ziemię Franków, by położyć kres ich obecności w Ziemi Świętej. Na początku czerwca oddziały mameluków podeszły pod Montfort. Poprzedziły je wieści o upadku należącej do templariuszy Safity (Białego Zamku) oraz uchodzącego za niezdojbyty Krak des Chevaliers (zwanego „Twierdzą rycerzy” lub „Zamkiem Kurdów”). Ta potężna forteca należąca do joannitów, która swego czasu oparła się Saladynowi, obsadzona przez zaledwie dwie setki rycerzy i trochę tubylczych żołnierzy, broniła się bohaterko przez pięć tygodni, ale ostatecznie nie zdołała się przeciwstawić ogromnej przewadze wroga. Niejako z rozpędu sułtan zdobył kolejną twierdzę szpitalników, Akkar. System obrony oparty na sieci niezdojbytych, jak się mogło wydawać,

twierdz – rozpadał się w mgnieniu oka niczym kostki domina. Obroniła się niewielka Maraklea na skalistej wysepce nieopodal Tortosy; w oporze trwał jeszcze Chastel Blanc, ale było jedynie kwestią czasu, kiedy ściśle otoczony ze wszystkich stron zamek wywiesi białe flagi.

Montfort, z którego Krzyżacy byli tak bardzo dumni, bronił się zaledwie przez tydzień. Okazało się, że nie zasługiwał na tak wysoką ocenę, jaką ponad dekadę wcześniej wydał na jego temat wielki mistrz templariuszy, wymieniając zamek wśród fortec zdolnych oprzeć się nawet budzącym powszechny strach Mongołom, którzy pojawili się w Syrii. Tomasz Bérard nie mógł wówczas wiedzieć, że to nie oni przyniosą zagładę resztkom królestwa. Okazało się, że usytuowanie zamku, z pozoru trudno dostępne, dawało jednak przeciwnikowi zbyt duże pole do ostrzału. Już pierwszego dnia obrońcy zasypani zostali śmą strzał i kamiennych pocisków wystrzeliwanych z licznych katapult. Nie one jednak doprowadziły do zdobycia zamku. Po sześciu dniach oblężenia Bajbars nakazał wykonanie podkopów i aby zachęcić swoich ludzi do ciężkiej i niebezpiecznej pracy – co opisał w swojej kronice Ibn al-Furat – przyrzekł im po tysiąc dirhemów za każdy wydobyty kamień. Trudno stwierdzić, jak wielka to była suma, ale kiedy dwadzieścia lat później padły ostatnie posiadłości Franków w Syrii i Palestynie, na pełnym chrześcijan targu niewolników w Damaszku sprzedawać miano kobiety w cenie zaledwie jednego dirhema. Iście bajeczny dar Bajbarsa dla żołnierzy spowodował, że już następnego dnia po rozpoczęciu prac inżynierskich muzułmanie zwalili zewnętrzny mur, zaś obezwładnieni takim pokazem inżynierskiej sprawności obrońcy nie odważyli się kontynuować walki. Rozsądek pozwolił im na uratowanie życia. Bez prawa zabrania ze sobą jakiegokolwiek majątku czy broni, mieli pod eskortą



udać się do Akki, ale łupy zdobyte przez mameluków w zamku Montfort nie były duże.



Ruiny zamku Montfort, lata 60. XX wieku.

Sułtan nakazał zniszczenie Montfort i na początku lipca z twierdzy pozostało tylko nędzne rumowisko. Kilkumiesięczny wypadek jego wojsk spowodował, że w głębi lądu Frankowie utracili wszystkie swoje zamki i twierdze. Ale wieści o pojawieniu się w Akce floty pod wodzą syna króla Anglii Henryka III, księcia Edwarda, który planował zawarcie skierowanego przeciwko mamelukom sojuszu z Mongołami, odwoływały Bajbarsa od kontynuowania ofensywy. Postanowił zawrzeć rozejm i odłożyć ostateczną rozprawę z Frankami na stosowniejszy moment. Jednak to nie Bajbars, który zmarł w 1277 roku, a jeden z jego następców, Al-Aszraf Chalil, okazał się tym, który zakończył

niemal dwustuletnią epopeję chrześcijańskich państw w Ziemi Świętej.

Miało to miejsce w 1291 roku. Bezpośrednim wstępem do wojny stała się masakra muzułmanów, jaką na ulicach Akki urządzili przybyli do miasta włoscy krzyżowcy. Rzeź wywołała po stronie mameluków nieopisany gniew. Stało się jasne, że Akkę i pozostałe chrześcijańskie miasta czeka walka na śmierć i życie. Jak mógłby wyglądać los ich mieszkańców, Frankowie przekonali się dwa lata wcześniej, kiedy padł Trypolis, a jego ulice spływały potokami krwi. Twierdza szykowała się do swojej ostatniej walki z rozpaczliwą odwagą. Nastąpił moment nadzwyczajnej solidarności i poświęcenia. Obrońcy, zarówno członkowie zakonów, jak i mieszkańcy Akki, zapomnieli o dawnych urazach i nieporozumieniach. Jedynie Genueńczycy, którzy wcześniej zawarli z sułtanem oddzielny pokój, mieli się uchylić od walki. Z Europy przybyło trochę rycerzy, zakony zmobilizowały swoje wszystkie siły. Nie każdy uniósł jednak ciężar odpowiedzialności. Część mężczyzn wymknęła się z miasta i odplynęła na Cypr. Swoistej dezercji dopuścił się wielki mistrz Krzyżaków Burchard von Schwanden, który w obliczu nadchodzącej próby zrezygnował z piastowanej przez siebie godności. Jego miejsce zajął nieustraszony, pełen zapału niemiecki mistrz Konrad von Feuchtwangen, który natychmiast zadbał o sprowadzenie do Akki nie tylko możliwie wielu rycerzy zakonnych, ale również zaopatrzenia.

Wielki mistrz i krzyżacy dostojnicy wciąż mieli nadzieję na utrzymanie się na Wschodzie. Mamelucy nadeszli na początku kwietnia. Za murami Akki czekało na nich niespełna tysiąc rycerzy oraz konnych sariantów (braci służebnych) i niemal piętnaście tysięcy pieszych wojów. Templariusze i szpitalnicy stanęli ramię przy ramieniu,

broniąc przedmieść dzielnicy Montmusart. Krzyżacy zajęli pozycje między domem zakonnym a stanowiącą centralny punkt obrony, flankującą mur wewnętrzny, Wieżą Przekłętą. Nierówna, heroiczna walka o Akkę trwała ponad miesiąc. Z Cypru z odsieczą przybył król Henryk II, ale posiłki okazały się zbyt małe. Do decydującego szturmamamelucy poszli 18 maja. Obrona pękła i wróg wdarł się do wnętrza miasta, gdzie przez jakiś czas trwały zaciekle walki. Pod wieczór Akka była w rękach niewiernych, przez kilka następnych dni opór mieli stawiać jedynie templariusze w swoim zamku. Większość obrońców padła w walce, część zdołała uciec na Cypr, wielu dostało się do niewoli. Krzyżacy okupili obronę Akki ogromną daniną krwi, ale wydaje się, że ponieśli mniejsze straty w ludziach niż templariusze i joannici. Arabski kronikarz Abu al-Mahāsin, opisując ostatnie chwile zwycięskiego szturmamameluków, stwierdził, że „tego samego dnia niemieccy szpitalnicy poprosili o amnestię i takiej udzielono im oraz ich kobietom”. Prawdopodobnie chodzi o siostry zakonne zatrudnione w szpitalu.

W ciągu następnych paru tygodni mamelucy zdobyli cały pas wybrzeża, a w rękach Franków pozostała jedynie ufortyfikowana wyspa Arwad, na której rycerze świątyni mieli się utrzymać aż do 1302 roku. I to był koniec chrześcijańskich państw w Ziemi Świętej. Jak napisał Runciman: „Przez kilka miesięcy oddziały sułtana przeczesywały wybrzeże, niszcząc systematycznie wszystko, co mogłoby się przydać Frankom, gdyby jeszcze raz odważyli się wysadzić siły zbrojne na ląd. Wycięto sady, zdewastowano system irygacyjny. (...) Pas nadmorski znalazł się w ruinie”.

Potrójny sznur, o którym tak obrazowo napisał cytowany na wstępie tego rozdziału Jakub de Vitry, nie okazał się jednak na tyle mocny, aby uratować Królestwo Jerozolimskie

i pozostałe ziemie chrześcijan przed niewiernymi. O ile jednak najważniejsze z jego ogniw, templariuszy, już niebawem miała spotkać zagłada w wyniku spisku uknutego przez króla Francji Filipa Pięknego, o tyle dwa pozostałe zakony czekała długa i bujna historia.

Upadek Akki i utrata posiadłości w Ziemi Świętej nie pozostały bez konsekwencji dla dalszych dziejów zakonu krzyżackiego. Niewykluczone zresztą, że fakt ten pozwolił mu skonsolidować siły i wykorzystać je w zupełnie innym miejscu, co w konsekwencji wyszło Krzyżakom tylko na dobre. Gdyby w 1291 roku nie doszło do katastrofy i cudem ocalałe szczątki chrześcijańskich domen na wybrzeżu Palestyny trwały jeszcze przez jakiś czas, dalsze trwonienie zasobów materialnych i ludzkich na ich podtrzymanie z pewnością miałyby negatywny wpływ na podjęte przez Krzyżaków działania i ograniczyło ich aktywność w innych rejonach. Utrata posiadłości w Ziemi Świętej pozwoliła zakonowi wykorzystać posiadane siły w miejscu o wiele większym potencjale niż skrawek ziemi na azjatyckim wybrzeżu. Pomimo wiążącego się z nim symboliczno-religijnego znaczenia.

Na krótko przed zdobyciem przez mameluków Akki Konrad von Feuchtwangen przeniósł główną siedzibę Krzyżaków do Wenecji, na terenie której już od kilku dziesiątek lat zakon posiadał swoje dobra. (Ciekawostkę stanowi fakt, że szczątki zmarłego pięć lat później wielkiego mistrza spoczęły w Trzebnicy pod Wrocławiem obok szczątków księcia Henryka Brodatego, władającego Śląskiem i Krakowem). Postąpił odmiennie niż dwa starsze zakony, które postanowiły przenieść się na stosunkowo nieodległy Cypr z nadzieją, że stanie się on doskonałą bazą do rychłego powrotu do Ziemi Świętej. Prawdę mówiąc, Wenecja również posiadała podobne walory. Republika

Świętego Marka dysponowała potężną flotą, z której krzyżowcy płynący na Wschód wielokrotnie korzystali i trudno było sobie wyobrazić jakikolwiek skuteczny atak skierowany przeciwko muzułmanom bez wykorzystania weneckich statków transportowych. Ale krzyżackie plany związane z ewentualnym odzyskaniem Ziemi Świętej, z Jerozolimą czy bez niej, nie były równie wyraziste jak w przypadku templariuszy i joannitów, którym mogło się zdawać, że wprowadzenie ich w życie i spełnienie jest jedynie kwestią czasu. Jednak ani Wenecja, która niespełna dwadzieścia lat później za sprawą Zygryda von Feuchtwangena (prawdopodobnie związanego więzami rodzinnymi z poprzednikiem, chociaż brak pewnych danych pozwalających ustalić stopień pokrewieństwa) przestała stanowić siedzibę zakonu, ani dalsze i mocno niepewne losy Ziemi Świętej, pomimo silnej partii optującej za jej odbiciem, nie miały w największym stopniu zaprzętać uwagi Krzyżaków. Od kilkudziesięciu lat ich zakon rozwijał bowiem swoją potęgę w miejscu o wiele bardziej gościnnym niż wąski pas ziemi w Syrii i Palestynie.

Stworzył państwo nad Bałtykiem.

## EUROPEJSKI PRZYCZÓŁEK

„(...) jak ogień w piersiach, jak mysz w plecaku,  
jak żmija w łonie”.

(słowa odnoszące się do Krzyżaków zawarte w liście  
króla Węgier Andrzeja II do papieża)

uż w trzeciej dekadzie swojego istnienia zakon krzyżacki stanął przed szansą stworzenia terytorialnego władztwa na terenie Europy. W 1211 roku otrzymał bogatą donację od króla Węgier Andrzeja II na terenie należącej ówczas do tego państwa Transylwanii, którą zaczęto potem zwać Siedmiogrodem. Była to ziemia Borsa (prowincja Burzenland; okolice dzisiejszego Braszowa) obejmująca teren ponad tysiąca kilometrów kwadratowych. Krzyżacy otrzymali ją w charakterze beneficjum bez przyznania niezawisłości terytorialnej. W zamian, zwolnieni od podatków i danin oraz obdarowani wieloma innymi przywilejami, w tym prawem sądu, mieli przyjąć na siebie obowiązek zabezpieczenia południowo-wschodnich granic królestwa przed najezdami koczowniczych plemion Połowców. Nie potrafili sobie z nimi poradzić lennicy monarchy, który planował udział w wyprawie krzyżowej do Ziemi Świętej.

Na wyborze mało znanych jeszcze podówczas Krzyżaków, nie zaś templariuszy bądź joannitów, dysponujących nieporównanie większymi możliwościami militarnymi i doświadczonych w zwalczaniu pogan, zaważyły związki rodzinne Andrzeja II; jego żona Gertruda pochodziła z niemieckiego rodu von Andechs. Nie mniej istotne były bliskie kontakty z landgrafami Turynгии; córka węgierskiego monarchy, Elżbieta, miała zostać żoną landgrafa Ludwika IV, jednego z opiekunów zakonu. Jego ojcem był Herman z Turynгии, suweren rodziny Salza; niewykluczone, że mistrz krzyżacki nosił imię właśnie na cześć księcia.

Zawierając umowę, która była nie dość jasno sprecyzowana, obfitowała w niedopowiedzenia i stwarzała możliwości interpretacyjne, każda ze stron zupełnie inaczej widziała jej ostateczny cel. Węgierski władca wyobrażał sobie, iż Krzyżaków zadowolili możliwością zasłużenia się Bogu

w walkach przeciwko stepowym poganom i sowita zapłata za wykonane usługi, a później – rola zdyscyplinowanych wasali, działających jedynie w ramach wyznaczonych przez suzerena (suwerena). Krzyżacy od samego początku mieli jednak zdecydowanie inne plany.



ue succellit Andreas filius Bele  
 terii. Qui andreas coronatus est  
 uicesimo septimo die post obit  
 regis laodici quarto kal. Junij  
 impentbecostes cuius uxor fuit  
 domina Gertrudis de Almania  
 de qua genuit Belam, Coloma  
 num, Andream et beatam Elizabeth:

Et phalar humani generis  
 inimico pseudobio suatene. et  
 uxorem bankbam magnifici ui  
 ri domina memorata in foidic  
 audam suo filii hospiti deluden  
 dam. Quam ob causa ius Bank  
 banus de genere hor omnibus  
 suum gladium in imagine sang  
 uine miserabiliter cauentant.  
 Et dno uulnar sauciati. Anno  
 domini 60. cc. xij. interfect. Cu  
 ius corpus in monastio husco  
 num monachor: de pelis timu  
 Lanur. P auus nec uor flebilis

in somnuptora pannoma. et  
 in omni genere bankbai. ex  
 tribus et hontendus sagunt  
 effusio subsecuti. Andreas  
 uxor iherosolimam.



Ost hec ter Andreas tena sancta  
 utinunt ad mandati dni pape.  
 Quod mandatum accepit. dix  
 dit adhuc dix. sicut habet erit  
 de uoto et uoti redimpcone. licet  
 uniuersis. Quia ipse compleuit  
 et redemptio uotum pris. Et ibi  
 terra sancta sup exercitu xpia  
 norum contra soldanum babi  
 lome capitaneus et dix pfiat.  
 et mor uictor effiatu. gloriosu.  
 o. Anst autem trib: mensibus.  
 Regali tenq: theauro expos  
 to diuersorum sco: pipim re  
 lique compantur. Caput vi  
 delictu pibomis spisi. et cap  
 bit o. agarte uiguis et mis





Podobizny Andrzeja II w *Kronice Ilustrowanej* (*Chronicon Pictum*) – na iluminacji po prawej węgierski król na czele piątej krucjaty.

Rycerze z czarnymi krzyżami na białych płaszczach złamali przyjęte ustalenia i z pożądanymi gośćmi szybko stali się niebezpiecznymi intruzami usiłującymi wykroić dla siebie odrębne władztwo terytorialne i wyłączyć je spod podległości węgierskiego króla. Podczas gdy on szykował się do krucjaty, a następnie przez dwa lata wojował, Krzyżacy energicznie utwierdzali swoją pozycję w przekazanej im w zarząd domenie. Nie ograniczyli się bynajmniej do samej walki z koczownikami. Wręcz przeciwnie. Z Rzeszy przybywali chłopcy, z każdym rokiem coraz liczniejsi, a dziki dotąd kraj zaczął się szybko zaludniać. Osłonę dawały ludności niewielkie gródki wzniesione przy wykorzystaniu najprostszycy materiałów: ziemi i drewna. Obok nich powstało również pięć kamiennych warowni, stanowiących zarówno obronę przed koczownikami, jak i bazę dla ekspansji na kontrolowane przez nich terytoria. Ich nazwy: Kronstadt, Marienburg, Kreuzburg, Schwarzenburg, Rosenau mieli później nadać Krzyżacy zamkom wzniesionym w Prusach.

Połowcy, którzy przez dziesięciolecia siali zamęt na rubieżach królestwa, zostali od nich odepchnięci i sami musieli przejść do defensywy w obliczu coraz liczniejszych

wypraw Krzyżaków, mających chrapkę na aneksję terenów w dole doliny Dunaju. Żelazna konsekwencja, z jaką mnisi zabrali się do poskramiania koczowników, oraz ich błyskawiczne sukcesy zaniepokoiły węgierską szlachtę. Nagle okazało się, jakimi możliwościami dysponuje niewielki liczebnie, ale doskonale zorganizowany zakon rycerski. Ważną rolę odegrał oczywiście element zawiści i zazdrości; miejscowym wielmożom, w przeciwieństwie do Krzyżaków, nie udało się poskromić stepowego wroga. Ale nie tylko to i zapewne nie w największym stopniu wpłynęło na stosunek węgierskich możnych wobec Krzyżaków. Zakonnicy nie zamierzali dzielić się z nimi zdobyczami z wypraw ani respektować uprawnień miejscowego biskupa. Najwyraźniej tworzyli własne autonomiczne władztwo, a tempo ich sukcesów na każdym musiałoby robić wrażenie. W oczach wielu wysoko postawionych Węgrów już nie Połowcy, ale Krzyżacy zaczęli stanowić problem dla ich królestwa. Moźni uznali, że ich monarcha popełnił poważny błąd, ściągając Krzyżaków nad Dunaj.

Kiedy rozczarowany przebiegiem krucjaty i doznany stratami Andrzej II powrócił na Węgry, zasypały go skargi na Krzyżaków. Sięgano w nich zarówno po fakty, jak i zmyślane historie, byle tylko zaszkodzić mnichom i przedstawić ich w możliwie niekorzystnym świetle. Król początkowo nie chciał wierzyć w stawiane zarzuty i gotów był pozostawić Krzyżaków na zajmowanych przez nich ziemiach. Wydawało się, że mimo wszystko będą mogli liczyć na jego wsparcie i ochronę. Jednak po długiej nieobecności w kraju pozycja władcy wobec możnych osłabła do tego stopnia, że w 1222 roku musiał się zgodzić na obdarowanie ich licznymi przywilejami zapisanymi w tzw. Złotej Bulli. Była ona odpowiednikiem *Magna Charta Libertatum*, dokumentu, który zaledwie siedem lat wcześniej

brat Ryszarda I Lwie Serce, Jan bez Ziemi, wystawił angielskiej szlachcie. Andrzej II, jakby chcąc powetować sobie wspomniane ustępstwo wobec poddanych, twardo opierał się przed kolejnymi. Sytuacja coraz bardziej się zaogniała, gdyż po stronie możnych stanął następca tronu, książę Bela. Im naciski były większe, tym mocniej król trwał w oporze. Nie tylko odmówił cofnięcia donacji na rzecz Krzyżaków, ale wydał statut rozszerzający ich uprawnienia i zawierający nowe nadania. Krzyżacy otrzymali kopalnie soli i ziemię wołoską do Dunaju. Wśród przywilejów znalazło się także prawo do wznoszenia zamków z kamienia. Jednak Krzyżacy, co pokazać miała bliska przyszłość, nie otrzymali już dość czasu, aby z niego skorzystać.

Jest pewne, że mocno i skutecznie wstawiali się za Krzyżakami królewski zięć Ludwik i jego żona. Wydaje się, że mnisi powinni na tym wsparciu poprzestać i starać się załagodzić stosunki z możnymi. Jednak Hermann von Salza zwrócił się o dodatkowe wsparcie do papieża. I to był wielki błąd. Zasiadający od 1216 roku na Stolicy Piotrowej Honoriusz III, podobnie jak jego poprzednicy nie gardzący żadną okazją do wzmocnienia znaczenia i potęgi Państwa Kościelnego, wiosną 1224 roku wydał bullę i objął ziemie zajmowane przez Krzyżaków protektorem, co w praktyce oznaczało, iż stają się one jego lennem. Zewnętrznym tego wyrazem było nałożenie na nie symbolicznego czynszu w wysokości dwóch grzywien. Przewrotność Krzyżaków i arogancja papieża, samowolnie dysponującego węgierskimi ziemiami, otrzeźwiły króla. Wreszcie dostrzegł to, na co bezskutecznie usiłowali otworzyć mu oczy możni. Andrzej II zadziałał szybko i zdecydowanie. Zażądał, aby mnisi bez zwłoki opuścili jego królestwo, i jednocześnie wkroczył do ziemi Borsa z licznymi oddziałami. Zdobył jeden z zamków (pisze się o Kreuzburgu) i zażądał zwrotu niesłusznie

pobranym przez Krzyżaków podatków. Na nic zdały się papieskie wyjaśnienia, że w rzeczywistości chodziło jedynie o protekcję nad zakonem, ani pełne pokory i tłumaczeń listy ślone do Andrzeja II przez wielkiego mistrza oraz innych krzyżackich dostojników. Podobnie nieskuteczne były próby zignorowania królewskiej woli.

Kiedy Bela, upoważniony przez ojca, zaczął gromadzić oddziały, mnisi zrozumieli, że dalsze przeciwstawianie się węgierskiemu władcy może zakończyć się dla nich krwawą łaźnią i zostaną potraktowani tak, jak oni sami zwykli traktować swoich wrogów. Porównanie sił wypadało dla nich dalece niekorzystnie i o skutecznym oporze nie mogło być mowy. Pozostawało albo zginąć w nierównej walce, albo pogodzić się z losem i zrezygnować nie tylko z ambitnych planów, ale również z materialnych efektów podjętych przez siebie działań. W poczuciu doznanej krzywdy, gryząc z wściekłości wargi i przeklinając Węgrów oraz ich władcę, mnisi w białych płaszczach wraz ze sługami i dobytkiem, nie ryzykując walki, zaczęli opuszczać ziemię Borsaa i pobliskie terytoria. W gniewie wyburzyli częściowo niektóre z warowni. W liczbie tych, które się zachowały, był niewielki drewniany zamek Dietrichstein w Branie, który został zniszczony kilkanaście lat później podczas wielkiego najazdu Mongołów. W tym samym miejscu – lesiste wzgórze panowało nad szlakiem wiodącym z Transylwanii na Wołoszczyznę – w końcu następnego wieku powstał kamienny zamek, którego panem po następnych kilkudziesięciu latach miał zostać osławiony gospodarz Wład Palownik, pierwowzór literackiego Draculi. Przydomek zawdzięczał ulubionej „rozrywce” towarzyszącej prowadzonym przez siebie wojnom – wbijaniu jeńców na pale.

W ślad za braćmi zakonnymi nie opuścili natomiast Siedmiogrodu liczni niemieccy chłopci z rodzinami, którym Andrzej II pozwolił pozostać. To był dobry, obopólny interes. Okazało się, że potomkowie jego nowych poddanych mieli pozostać na terenie Siedmiogrodu aż do połowy XX wieku, kiedy po drugiej wojnie światowej zostali wysiedleni przez rząd Rumunii.

Andrzej II, który przecież nie posiadał umiejętności widzenia przyszłości w szklanej kuli, być może nie był do końca przekonany, że podjął właściwą decyzję. Tym bardziej że opuszczona przez Krzyżaków placówka nie mogła liczyć na właściwe zabezpieczenie przez rodzime oddziały i Połowcy wkrótce mieli znów o sobie dać znać. Jednak po latach Węgrzy mieli powód do błogosławienia władcy, który swoim zdecydowaniem uratował ich przed teutońską zaborczością i oszczędził tragedii, jakiej już niebawem doznać miały inne narody.

Krzyżacy odchodzili z Węgier w fatalnych nastrojach. Jak słusznie rzecz ujął Urban: „Katastrofa węgierska silnie zachwiała wiarą Zakonu Krzyżackiego we własne możliwości”. Nagły krach dalekosiężnych planów musiał stanowić wyjątkowo bolesny cios. W gremiach zarządzających zdawano sobie sprawę, że utracono nie tylko wielkie nakłady materialne i ludzkie zaangażowane w Siedmiogrodzie, ale został także nadwątlony wizerunek zakonu. Musieli odejść w atmosferze skandalu, brutalnie odprawieni, niczym byle najemnicy, nie zaś rycerze walczący dla boskiej chwały. Nie wiadomo było także, jak zachowają się potencjalni darczyńcy i czy w ogóle tacy się pojawią. W zawieszeniu pozostawało pytanie, czy zakon otrzyma jeszcze kiedykolwiek szansę podobną do tej, jaką stwarzał pobyt w Siedmiogrodzie.

To ostatnie pytanie, najważniejsze ze wszystkich, miało pozostawać bez odpowiedzi stosunkowo krótko.

## ZAPROSZENIE Z PÓŁNOCY

„Dla księcia mazowieckiego propozycja osadzenia Krzyżaków, instytucji kościelnej, powołanej między innymi do zwalczania niewiernych, była jak najbardziej do zaakceptowania. Niewiedza (może raczej niepełna wiedza) o wydarzeniach węgierskich nie pozwalała na właściwszą ocenę sytuacji i zdanie sobie sprawy z dysproporcji sił”.

(Henryk Samsonowicz w biografii Konrada Mazowieckiego)

**T**o, co zakończyło się zupełnym krachem w Siedmiogrodzie, czyli budowa niezależnego państwa, z doskonałym skutkiem powiodło się Krzyżakom nad Bałtykiem. Stało się tak za sprawą księcia mazowieckiego Konrada, który krótko po usunięciu Krzyżaków z Siedmiogrodu wyciągnął ku nim przyjazną dłoń i jednocześnie zasłużył sobie na fatalny wizerunek złooczyńcy, nieumyślnie fundując rodakom cały bezmiar późniejszych nieszczęść.

Zapewne bracia zakonnicy i Konrad Mazowiecki zgoda nic albo bardzo niewiele o sobie wiedzieli, ale w pewnym momencie ich drogi, nomen omen, się skrzyżowały i okazało się, że są sobie nawzajem potrzebni. Książę mazowiecki poszukiwał kogoś, kto mógł zapewnić bezpieczeństwo północnym rubieżom jego domeny najeżdżanej od lat przez pogańskie plemiona, natomiast Krzyżacy, po utracie ziemi

Borsa, wyczuwali, że również w Ziemi Świętej może im się wkrótce zacząć usuwać grunt spod nóg i wskazane było przenieść się w miejsce bardziej sprzyjające ich ambitnym planom.

Odpowiedzialnością za sprowadzenie Krzyżaków należałoby obciążyć przede wszystkim niepokonany, brutalny charakter księcia i wrodzone mu okrucieństwo, wyróżniające go – o co wcale nie było łatwo – na tle licznej gromady popędliwych, bezwzględnych krewniaków. To właśnie on, na całą dekadę przed skierowaniem feralnej oferty do Krzyżaków, uśmiercił człowieka, który w nadzwyczaj skuteczny sposób zapewniał spokój i bezpieczeństwo granicy z poganami. Był nim zwany „tarczą Mazowska” wojewoda płocki Krystyn z rodu Gozdawów, uzdolniony dowódca, który stworzył sprawny system obrony przed najezdami należących do grupy etnicznej Bałtów nadbałtyckich pogańskich plemion – Prusów i Jaćwięgów. Prusowie nie zdołali przekształcić wspólnoty i rządów rodowych w ustrój feudalny i byli mocno zapóźnieni w rozwoju gospodarczym i społecznym w stosunku do sąsiadów. Ich ziemie rozciągały się na wybrzeżach Bałtyku i sięgały od Niemna (Memla), na północnym wschodzie, po dolną Wisłę na południowym zachodzie. Podzielone były na jedenaście regionów o różnej skali zaludnienia. Do najslabiej zaludnionych należały graniczące z Mazowszem ziemie chełmińska i Galindia. Położone na północ od nich Pomezania i Pomezania oraz Sambia miały zdecydowanie więcej ludności. Uzupełniały je Barcja, Warmia, Natangia, Nadrowia, wysunięta najbardziej na wschód Sudowia oraz położona na północy w stosunku do pozostałych pruskich plemion Skalowia.





*Ubiory w Polsce*, ilustracja autorstwa Jana Matejki. Pierwszy od lewej: Henryk IV Probus (1257 lub 1258–1290) – książę wrocławski i krakowski, trzeci od lewej – Konrad I Mazowiecki (1187–1247) – książę Mazowsza. Obok Konrada stoi jego żona Agafia (Oafia).

Wbrew ocenom Piotra z Dusburga ich liczba nie była bynajmniej zawrotna. Według współczesnych ustaleń nie przekraczała dwustu tysięcy. Piotr z Dusburga, wzorem wielu innych ówczesnych kronikarzy, beztrąsko zonglujących danymi liczbowymi, stwierdził, iż sami tylko Sambowie mogli wystawić niemal pięćdziesiąt tysięcy zbrojnych, a ich pobratymcy Sudowie (Jaćwięgowie) obok sześciu tysięcy konnych również „prawie niezliczoną liczbę innych wojowników”. Natychmiast budzi się skojarzenie z innym niemieckim kronikarzem, Widukindem, piszącym w bliźniaczo podobny sposób o tłumach pieszych wojów, jakimi dysponowali w X wieku Słowianie. Z badań polskich uczonych wynika, że wojskowy potencjał Prusów był w rzeczywistości o wiele skromniejszy. Henryk Łowmiański,

autor książek poświęconych zakonowi krzyżackiemu i Prusom, określa możliwości mobilizacyjne wszystkich pruskich plemion na około trzydzieści tysięcy wojowników, przy czym z liczby tej jedynie co dziesiąty miał służyć konno. Gerard Labuda natomiast, w zbiorze artykułów zatytułowanym *Studia krytyczne o początkach Zakonu Krzyżackiego w Prusach i na Pomorzu*, wskazuje, że do wypraw poza rodzime ziemie Prusowie mogli użyć nie więcej niż niespełna szesnastu tysięcy ludzi (w związku z przytoczonymi dość rozbieżnymi danymi narzuca się pytanie, czy w niszczących rajdach na Mazowsze uczestniczyli również piesi wojownicy, co raczej urągałoby podstawowej taktyce tego rodzaju wypraw, polegającej na szybkości i ruchliwości). W XII wieku były to i tak znaczące liczby. Wydaje się natomiast, że niemiecki kronikarz nie przesadził, pisząc o licznych grodach Prusów. Archeolodzy prowadzący prace wykopaliskowe na ich ziemiach doliczyli się aż pięciuset takich siedzib. Oczywiście rzecz dotyczy różnych stuleci, wiele ze wspomnianych osad istniało jeszcze na długo przed przybyciem Krzyżaków, ale można przyjąć, iż w pierwszej połowie XIII wieku ziemie pomiędzy Wisłą a Niemnem były dość gęsto naszpikowane grodami obronnymi. Zwykle budowano je na wzgórzach, w trudno dostępnym terenie otoczonym lasami, mokradłami i rzekami. Były to miejsca, gdzie w czasie zbrojnego najazdu, pod osłoną ziemno-drewnianych umocnień, chroniła się okoliczna ludność.

Być może silnie umocnione grody przydały się Prusom już na początku XI wieku, kiedy wedle niepewnych przekazów miał wyprawić się przeciwko nim Bolesław Chrobry. W następnym stuleciu doszło już do kilku w pełni potwierdzonych zapisami kronikarskimi najazdów polskich książąt na ich ziemie. W latach 1107–1108 i 1110–1111 uderzył

na nich Bolesław Krzywousty, prowadzący niezwykle aktywną, zdobywczą politykę nad Bałtykiem, zarówno na jego zachodnim, jak i wschodnim wybrzeżu. W połowie stulecia, w 1147 roku, w ślady ojca poszedł Bolesław Kędzierzawy. To był szczególny moment, kiedy trwała druga wyprawa krzyżowa do Ziemi Świętej wywołana upadkiem hrabstwa Edessy, państwa chrześcijan założonego podczas pierwszej krucjaty. Jej najbardziej gorliwym orędownikiem i organizatorem był sławny opat cystersów Bernard z Clairvaux, twórca reguły templariuszy. Pomimo jego wysiłków i wielkiego odzewu na wezwanie do udziału w zamorskiej wyprawie wielu możnych postanowiło w inny sposób przysłużyć się Bogu i zasłużyć na odpuszczenie grzechów, nie ponosząc przy tym nazbyt wielkich kosztów ani nie ryzykując uciążliwej i trwającej przez wiele tygodni podróży, która ostatecznie mogła co prawda przynieść chwałę i łupy, ale też zakończyć się śmiercią lub częstokroć gorszą od niej saraceńską niewolą. Moźni z Niemiec, Polski, Danii, Czech, Moraw zamiast za morze – postanowili wybrać się z mieczem i krzyżem przeciwko Słowianom połabskim. Wśród wodzów ogromnej armii liczącej około dwustu tysięcy ludzi znaleźli się margrabia marchii północnej Albrecht Niedźwiedź oraz książę Saksonii Henryk Lew, którzy po ośmiu stuleciach stali się idolami dla innego śmiertelnego wroga Słowian – Adolfa Hitlera.

Światły teolog i filozof, ale także wyczulony na piękno poeta, uznawany powszechnie za opata wszystkich krzyżowców, Bernard z Clairvaux, kiedy dowiedział się o planach tej wewnątrz europejskiej krucjaty przeciwko Wioletom i innym trwającym wciąż w pogaństwie Pomorzanom, wezwał, aby „z pomocą Bożą wytępić ich pogańską wiarę albo cały ten lud dokumentnie zniszczyć”. Prawy człowiek Kościoła... Wypowiedziana przez niego

zachęta była zgodna z credo wyłożonym w dziele *Pochwała nowego rycerstwa*, w którym tępienie pogan w każdym miejscu i czasie było miłe Bogu. Ni mniej, ni więcej nawoływał do holocaustu w imię prawdziwej wiary, za jaką w swoim, mimo wszystko mocno ograniczonym, rozumie uznawał kanon religii rzymskokatolickiej. I usłyszano go. Przez ziemie pomiędzy Łabą i Odrą przetoczył się walec śmierci. Książę Obodrytów postawił się twardo, zniszczył Lubekę i obronił własną stolicę, ale ostatecznie ugiął się pod nawałą, zgodził na przyjęcie chrześcijaństwa i został lennikiem Henryka Lwa. Inne słowiańskie plemiona, Połabian i Wioletów (Lutyków), spotkał o wiele gorszy los. Jak w opracowaniu *Opat krzyżowców. Święty Bernard* napisał Andrzej Zieliński: „Palono i wycinano w pień wszystko, co tylko napotkano po drodze (...) Spustoszone nie tylko ziemie pogańskie, ale również, niejako z rozpędu, chrześcijańskie od dawna Pomorze”. W tym brutalnym rozlewie krwi z animuszem uczestniczyło polskie rycerstwo pod wodzą Mieszka Starego. Być może dane było mu przeżyć chwile wstydu i refleksji, kiedy zza obwieszonych krzyżami murów obronnych Szczecina, na znak, że mieszkają w nim chrześcijanie, naprzeciw krzyżowcom wyszedł z procesją biskup woliński Wojciech, były kapelan Krzywoustego, ojca polskiego księcia. Tam wreszcie rzeź się zakończyła, ale jej echa rozeszły się po Europie i wywołały odruch sprzeciwu wobec atakowania ziem zamieszkałych przez chrześcijan pod pretekstem ich nawracania. Papież, poddany presji biskupów z ziem, przez które przetoczyła się barbarzyńska krucjata, zapowiedział przeprowadzenie śledztwa.

Bolesław Kędzierzawy, jak już wspomniano, ruszył przeciwko Prusom. Odrzucił sugestie Bernarda z Clairvaux, który w korespondencji z biskupem krakowskim Mateuszem Cholewą zalecał krucjatę na Ruś przeciwko bezbożnym

schizmatykom, równie nienawistnym papiestwu jak nadbałtyccy i inni poganie. On, w przeciwieństwie do owładniętego religijnym amokiem opata, myślał o Rusinach w zupełnie innych kategoriach. Ostatecznie stało się tak, że w wyprawie przeciwko Prusom właśnie oni mieli go posiłkować. Wincenty Kadłubek w *Kronice Polskiej* napisał o nich, że „jak śliskie żaby wskoczyli w odmęt odszczepieństwa i jeszcze wstrętniej zanurzyli się w błocie głęboko zakorzonego bałwochwalstwa”. Takie odhumanizowanie pogańskiego wroga pozwalało bez głębszych moralnych oporów wziąć udział w jego eksterminacji. Nie wystarczyło jednak, aby go złamać raz na zawsze. Kilka plemion uznało się za pokonane i zobowiązało do płacenia trybutu, ale po odwróceniu polsko-ruskich drużyn sytuacja powróciła do poprzedniego stanu. Po niemal dwudziestu latach Bolesław postanowił raz jeszcze wybrać się na północ z mocnym postanowieniem podboju ziem Prusów i przymuszenia ich do przyjęcia chrztu. Jednak to nie kwestie wiary, ale utrata trybutu stanowiła główny motor jego działań. Zachowanie i intencje księcia tak przedstawił Kadłubek: „Mniemał bowiem Bolesław, że wystarczy mu, gdy odda się księciu, co jest książęcego, choćby odmówiono Bogu, co jest Bożego. Żadnej bowiem nie wymierzano kary za zbrodnię odstępstwa, byleby przestrzegano płacenia podatków”. Tym razem w wyprawie mieli uczestniczyć niemal sami Polacy. Książę krakowski i senior w jednej osobie działał prawdopodobnie pod silnym wpływem młodszego brata, Henryka Sandomierskiego, sławnego uczestnika zbrojnej pielgrzymki do Ziemi Świętej, który sprowadził do Polski joannitów. Po rocznym pobycie w Palestynie zamarzyło mu się nawracanie na prawdziwą wiarę rodzimych pogan, ci jednak okazali się przeciwnikiem równie odważnym i niezłomnym jak muzułmanie. Krucjata

ruszyła w końcu 1166 roku i zakończyła się bolesną klęską już po pierwszej bitwie. Henryk, podobnie jak setki polskich wojów, zginął w urządzonej przez Prusów zasadzce, zaś Bolesław szczęśliwie uniknął śmierci i już nigdy więcej nie powrócił na ich ziemię. Uczynił to w końcu wieku książę Kazimierz Sprawiedliwy, któremu udało się zmusić Jaćwingów do uznania jego zwierzchnictwa, ale sukces nie okazał się trwały. Dopiero w następnym stuleciu zarówno Prusowie, jak i Jaćwingowie oraz parę innych nadbałtyckich plemion miało się ugiąć przed brutalną, świetnie zorganizowaną zbrojną machiną zakonu krzyżackiego.

Wspomniany wcześniej wojewoda Krystyn nie tylko potrafił skutecznie bronić rodzinnego Mazowsza, ale także nie dopuszczał do przenikania przez nie zagonów wroga wymierzonych w inne dzielnice książąt piastowskich. Stan ten trwał przez kilkanaście lat, a Konrad mógł bez obawy o północne kresy swojego księstwa angażować się na innych frontach, chociażby na Rusi. Wojewoda, któremu nieodmiennie towarzyszyły sukcesy i wciąż rosnąca popularność, stał się w końcu ofiarą własnego powodzenia. Donosy i intrygi w połączeniu z budzącą się w Konradzie zazdrością oraz obawą, aby nazbyt potężny poddany nie zechciał jej zdyskontować, zrobiły swoje i książę postanowił się pozbyć Krystyna. Podzielił on los wielu innych dostojników i ludzi władzy, chociażby przyrodniego brata Krzywoustego, Zbigniewa. Krystyn został najpierw brutalnie okaleczony i oślepiiony, a następnie zamordowany. Porywczy ponad miarę i okrutny do imentu książę nie mógł uczynić nic bardziej nierozważnego. Pomijając już kwestie moralne, pozbycie się wojewody było bowiem nad wyraz bezmyślne. Konrad za jednym zamachem pozbawił się doskonałego dowódcy i administratora. Konsekwencje tego posunięcia ujawniły się natychmiast. Poganie zintensyfikowali swoje

najazdy. W latach 1218–1220 Bałtowie zajęli ziemię chełmińską. W *Roczniku kapituly krakowskiej* obrazowo zapisano, że „mur całego Mazowsza rozpadł się wraz z ziemią mazowiecką, dotąd spływającą mlekiem i miodem”. Wypada zauważyć, o czym wzmiankują niektórzy historycy, że rok po śmierci Krystyna z niezwykłą wręcz inicjatywą wystąpił podobno Leszek Biały. Proponując papieżowi uznanie dzieła nawracania Prusów za równorzędne udziałowi w krucjacie do Ziemi Świętej, miał rzucić myśl utworzenia na granicy z poganami wielkiego targu, dzięki czemu, poprzez handel, możliwe byłoby głoszenie wśród nich Słowa Bożego. Byłaby to piękna, zupełnie ponadczasowa idea, ale z pewnością nie do przyjęcia dla papieża, całkiem odmiennie pojmującego realizację boskiego dzieła wobec niewiernych. I pomyśleć, choć to jedynie ahisteryczne gdybanie, że jej przyjęcie być może przekreśliłoby koncepcję sprowadzenia do Polski Krzyżaków. Wydaje się jednak, że bliżsi prawdy mogą być ci badacze, którzy uważają, że zamysłem Leszka Białego był przede wszystkim najpierw podbój ziem pogan, a dopiero potem urządzenie wspomnianego targu.

Konrad, w przeciwieństwie do brata, nie zamierzał się bawić w żadne mniej lub bardziej pokojowe rozwiązania i nedorzeczne eksperymenty. Postawił na twardą, zbrojną konfrontację. W porozumieniu z innymi piastowskimi książętami przeprowadził dwie wielkie wyprawy odwetowe, siejąc na ziemiach Prusów śmierć i pożogę. Wzięli w nich udział również rycerze niemieccy, którzy w ten sposób oszczędzili sobie ryzykownej podróży do Ziemi Świętej. Niewykluczone, że w kontyngencie przyprowadzonym przez śląskiego księcia Henryka Brodatego, podówczas chyba najpoważniejszego pretendenta do zjednoczenia rozbitego państwa polskiego, znaleźli się templariusze, joannici i

pochodzący z Moraw Krzyżacy, którzy w tym czasie, idąc w ślady dwóch starszych zakonów, rozpoczęli osadnictwo na ziemiach Śląska.

W 1223 roku, zapewne z inicjatywy Henryka Brodatego, książę mazowiecki stworzył system obrony północnych ziem Polski nazwany „stróżą”. Jego idea polegała na stałym dozorowaniu granicy przy użyciu wymieniających się oddziałów dostarczanych przez różnych władców. Wydaje się, że ten sposób zapewnienia spokoju na północnych kresach byłby o wiele efektywniejszy niż organizowane od przypadku do przypadku krucjaty. Jednak się nie przyjął. „Stróża” przetrwała zaledwie niespełna rok, do ataku Prusów, podczas którego z pola walki uciekli rycerze z rodu Gryfitów, pozostawiając Odrowążów samotnie w obliczu wroga. Wkrótce poganie zintensyfikowali swoje działania. Już w 1224 roku, o czym w *Rocznikach czyli Kronikach Sławnego Królestwa Polskiego* pisze Jan Długosz: „barbarzyńscy Prusowie wdarłszy się do klasztoru w Oliwie biorą do niewoli opata z braćmi i całym konwentem, uprowadzają w kierunku Gdańska i wszystkich w okrutny sposób mordują. I odtąd zaczęli pustoszyć ziemię chełmińską i lubawską bezczelnymi, tajemnymi napadami”. Konrad powierzył walkę z Prusami niewielkiemu zakonowi Rycerzy Chrystusowych z Prus zwanych również „braćmi z Dobrzynia”, którą to niewielką osadę im nadał. Mimo chęci i religijnego zapału Rycerzom Chrystusowym nie powiodło się w walce z poganami i obie ziemie „uległy całkowitemu spustoszeniu i zniszczeniu”. Jeśli jednak Prusowie myśleli, że nagła odmiana sytuacji zwiastuje im długoletni okres przewagi, to się mylili. Nie mogli żadną miarą wiedzieć, że każdy następny łupieżczy wypad i pograniczny sukces, paradoksalnie, zbliża ich do katastrofy. Ich chrystianizacja była nieunikniona i jedyną niewiadomą pozostawało, kiedy



to się odbędzie i za jaką cenę. Byli jednym z ostatnich ludów w Europie otoczonych z kilku stron przez dobrze zorganizowane, chrześcijańskie państwa – tworzone przez Niemców, Polaków, Duńczyków – dysponujących zdecydowanie większym potencjałem gospodarczym, ludnościowym i militarnym. Jak stwierdził niemiecki dwudziestowieczny mediewista Hartmut Boockmann: „Wszyscy oni wówczas maszerowali (...) w kierunku północno-wschodniej pogańskiej Europy – na Inflanty, Estonię, Kurlandię, Litwę i kraj Prusów”. Ale też bardzo długo zamieszkujący te tereny poganie nie dawali się w swojej masie nawrócić na chrześcijaństwo.

Skoro jednak nie byli ich w stanie spacyfikować krzyżowcy i niewystarczający okazał się mający postać efemerydy pomysł księcia śląskiego, trzeba było sięgnąć po inne rozwiązanie. Nadchodził czas sposobny dla Krzyżaków.

Konrad nie miał o nich, niestety, bliższej wiedzy, zaś wyobraźni mu zabrakło. W 1226 roku zaproponował przedstawicielom zakonu krzyżackiego podjęcie się obrony granicy jego księstwa przed Prusami i w zamian zadeklarował nadanie im ziemi chełmińskiej. To była dobra handlowa transakcja, z pozoru korzystna dla obu stron. I nie bez kozery bliźniaczo podobna do tej, jaką kilkanaście lat wcześniej zawarli Krzyżacy z władcą Węgier. Konrad działał w porozumieniu z księciem śląskim Henrykiem Brodatym i to właśnie on, człowiek mający rozległe kontakty z zachodem Europy, wskazał mu Krzyżaków. Trudno, aby stało się inaczej, skoro jego szwagrem był król Andrzej II. Ale Henryk najprawdopodobniej nie przekazał Konradowi bliższych szczegółów o tym, co się wydarzyło w ziemi Borsa. Może zresztą sam nie posiadał na ten temat pewnych informacji, jeśli w ogóle jakiegokolwiek. Wieści o krzyżackich machinacjach i echa bezwzględного ich potraktowania

przez węgierskiego monarchę pewnie nie przekroczyły Karpat i nie dotarły na Mazowsze, gdyż w przeciwnym wypadku Konrad zastanowiłby się głębiej nad swoją decyzją. Ale nie mogąc przewidzieć przyszłości, prawdopodobnie – i tak by ją podjął. Bowiem pomysł powierzenia Krzyżakom obrony północnych granic księstwa wydawał się ze wszelkich miar sensowny. Przy czym nie chodziło o same liczby. Około pięciuset rycerzy z pocztami, tylu bowiem, obok duchownych, służby i „półbraci”, ówczesnie liczył zakon, nie mogło wywrzeć większego wrażenia i przesadnie zaimponować. Tym bardziej trudno było sobie wyobrazić, że tak niewielka garstka ludzi może w jakikolwiek sposób zagrozić księciu i mieć wpływ na losy państwa polskiego. Konrad nie zdawał sobie bowiem sprawy, że prawdziwa i niezwykle groźna potęga zakonu krzyżackiego opierała się na rozległych kontaktach międzynarodowych i przychylności Rzymu. I że rosnąca z każdym rokiem w siłę rycerska machina, gotowa z animuszem zwalczać pogan, z jeszcze większym zacięciem skłonna jest kosztem swojego dobroczyńcy pomnażać własną potęgę materialną.


Sprowadzając Krzyżaków nad Wisłę, Konrad zamierzał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Liczył na to, że wykorzysta biegłych w rycerskiej sztuce zakonników nie do samej obrony, ale i do podboju ziem pogan. Przy ich pomocy chciał odebrać kompetencje nadane przez papieża Honoriusza III cystersom i biskupowi Chrystianowi w zakresie chrystianizacji Prusów, których objął opieką Stolicy Apostolskiej. W praktyce oznaczało to ograniczenie wpływów książąt piastowskich w kwestii pruskiej i pozbawienie ich możliwości dokonywania zdobyczy terytorialnych na ziemiach pogan. Cystersi z Nadrenii pojawili się na ziemiach polskich w pierwszej połowie poprzedniego wieku i w 1143 roku założyli klasztor w Łeknie,

niedaleko od Poznania i Gniezna. Ponad sześćdziesiąt lat później Innocenty III zobowiązał ich opata do zorganizowania misji na terenie Prus. Jako pierwszy działalności misyjnej podjął się niejaki Godfryd, a jego następcą został wspomniany wyżej biskup Chrystian, który szybko wykazał się sukcesami na tym polu. Chrystian zdobył zaufanie wielu miejscowych książąt, którzy wraz z podległą sobie ludnością postanowili zmienić wyznawaną dotychczas religię i przyjąć chrzest. Lecz akurat to nie pozostawało w zgodzie z polityką i oczekiwaniami Konrada Mazowieckiego i innych książąt. Pokojowe pozyskiwanie pogan dla Jezusa Chrystusa przekreślało możliwość ich zwalczania orężem i brania łupów. Niepokój musiał budzić nie tylko dokument z 1218 roku, w którym Honoriusz III zabronił krzyżowcom wkraczać na ziemie Prusów bez jednoznacznego zezwolenia ze strony biskupa Chrystiana, ale również późniejszy o trzy lata, nakazujący doprowadzać do niego wszystkich schwytanych Prusów w celu ich ochrzczenia. Właśnie chrzest na pokojowej drodze, nie zaś podbój i zmuszanie do niego siłą, stanowił początkowo niepodważalny, jak się mogło zdawać, priorytet w polityce tego papieża. Kwestię wiążącą się z nią konsekwencji dla polskich książąt poszukujących sposobów pomniejszenia znaczenia biskupa Prus, którego podejrzewano o chęć sformowania własnego władztwa biskupiego, jednoznacznie wyłożył w swojej książce *Święte wojny Piastów* Dariusz von Güttner-Sporzyński: „Pod egidą papieża Chrystian, jako biskup Prus, otrzymał pełnię władzy nad sprawami duchowymi i ziemskimi swoich niedawno ochrzczonych poddanych. Taka polityka, zmierzająca otwarcie do odcięcia piastowskich książąt od nowych zdobyczy terytorialnych, mogła zachęcić polskiego władcę Mazowsza i polskiego władcę Pomorza [Świętopełka gdańskiego – przyp. S.L.] do osłabienia misji biskupa

Chryściana i cystersów. Przykładem podjętych przez nich działań były próby osiedlenia w tym rejonie zakonów rycerskich, takich jak Krzyżacy i kalatrawensi”. Ci drudzy wywodzili się aż z odległej Hiszpanii, gdzie w 1158 roku zostali powołani do obrony zamku Calatrava przed muzułmanami, a następnie byli wykorzystywani do ich zwalczania podczas nabierającej rozpędu rekonkwisty. Podsycany rosnącym fanatyzmem religijnym zapał do walki z niewiernymi zaprowadził ich niewielką, kilkusobową zaledwie grupkę rycerzy aż nad Bałtyk; ale oni, w przeciwieństwie do Krzyżaków, zamierzali poprzestać wyłącznie na niej.

Honorius tercius





Papież Honoriusz III, sztych z *Liber chronicarum*, 1493 rok.

Plan Konrada posiadał jednak słabe punkty. Książę nie docenił zdolności organizacyjnych Krzyżaków i ich niczym nieposkromionej zaborczości. Nie obejmował również wyobraźnią dalekosiężnych politycznych planów zakonnych braci. Nieświadom zagrożenia stworzył im przy tym cieplarniane warunki do systematycznego utwierdzania własnej potęgi.

Ta zaś miała wzrastać nie tylko w zawrotnym tempie, ale również przy współudziale Polaków, ich przyszłych ofiar.

## ZAKON ZAPUSZCZA KORZENIE

„Zakon miał władać Prusami tak, aby nie  
zawładnęła nimi żadna inna siła”.

(fragment dokumentu wydanego przez papieża  
Honoriusza III w 1234 roku w Rieti, przytoczony przez  
Hartmuta Boockmanna w książce *Zakon krzyżacki*)

**N**a pograniczu pruskim pierwsi zakonni wojownicy postawili nogę prawdopodobnie w 1228 roku. Był to niewielki liczebnie oddział dowodzony przez Konrada von Landsberga. Składał się zapewne z nowicjuszy, być może również ozdrowieńców pochodzących z terenu Niemiec, którzy po wyleczeniu z ran i odbyciu rekonwalescencji znów byli gotowi do służby. Oddział liczył zaledwie siedmiu rycerzy oraz około setki giermków i sług. Jak scharakteryzował ich Urban: „Byli oni dobrze uzbrojeni, dobrze wyposażeni i bardzo dobrze wyćwiczeni, ale żaden z nich nie mógł uchodzić za supermena. Zewnętrznie wyglądali jak zwykli rycerze; wewnętrznie byli gorliwymi mnichami”. Tu historyk pije do zakonnej reguły nakazującej codzienne, ośmiokrotne modły, co musiało zabierać znaczną część czasu, ale stopniowo, w miarę oddawania się przez Krzyżaków bardziej przyziemnym obowiązkom, doznawało ograniczeń. Prusowie mieli już wcześniej do czynienia z rycerzami-mnichami, jednak ci, których przyprowadził Konrad von Landsberg, wyraźnie się od nich różnili. Już samym swoim wyglądem budzili przestrach i zmuszali do szacunku. Jak napisał Henryk Sienkiewicz w *Krzyżakach*:

„Rosłe i silne ich postawy (słabych nie chcieli Krzyżacy przyjmować), szerokie ramiona, kręte brody i srogie spojrzenia czyniły ich podobniejszymi do drapieżnych zbójów-rycerzy niemieckich niż do mnichów. Z oczu patrzyła im odwaga, hardość i pycha niezmierna”. Wizja pisarza, znanego z barwnego stylu i pewnej przesady w opisach, zapewne nie odbiega jednak w tym przypadku od rzeczywistości. Prawdą jest bowiem, że nowicjusze aplikujący do zakonu krzyżackiego musieli sprostać dość wygórowanemu standardowi fizycznemu i w jego szeregach trudno było uświadczyc braci-rycerzy z widocznymi niedomogami w tym względzie.

Na razie jednak przybyła tylko awangarda, nieledwie zwiad Krzyżaków. Na więcej nie mogli się zdobyć, gdyż w tym samym czasie trwała krucjata Fryderyka II, która miała doprowadzić do odzyskania Jerozolimy w drodze ugody z sułtanem Al-Kamilem, a Hermann von Salza wsparł go niemal wszystkimi siłami zakonu. Musiał jednak w sposób zauważalny zaakcentować, iż Krzyżacy poważnie traktują umowę i będą ją realizować. Ostatnią rzeczą, jakiej mógł sobie życzyć wielki mistrz, była zmiana decyzji po stronie księcia Konrada lub pojawienie się na mazowiecko-pruskim pograniczu, obok działających tam już innych rycerskich zakonów, templariuszy i joannitów. Zwłoka mogła oznaczać zaprzepaszczenie podjętych dotychczas wysiłków oraz snutych planów.

Pierwszą siedzibą von Landsberga i jego ludzi był gródek na niewielkim wzniesieniu na lewym brzegu Wisły, położony dokładnie naprzeciwko dzisiejszego Torunia. Nazwali go Vogelsang (ptasi śpiew). Sądząc po tym, co napisał cytowany przez Urbana, żyjący w XIV wieku, niemiecki kronikarz i kapelan wielkiego mistrza Nicolaus von Jeroschin, czyniąc tak, posłużyli się ironią, bowiem:



„Śpiewało tam wielu rannych, nie tak jak śpiewają skowronki, ale bolesną pieśń umierających”. Vogelsang był darem księcia Konrada, podobnie jak i kolejny gródek usytuowany po drugiej stronie rzeki w tzw. Starym Toruniu. Po niemiecku jego nazwa brzmiała Torn i wydaje się, że nawiązywała do znanej im z Ziemi Świętej twierdzy Toron (Tibnin), zbudowanej na początku XII wieku dla zachowania muzułmańskiego jeszcze podówczas Tyru.

Późniejsza tradycja głosiła, że ta pierwsza strażnica na pruskiej ziemi powstała w konarach potężnego dębu, wzmocnionego drewnianymi blankami i otoczonego zasiekami. Miało w niej pełnić służbę siedmiu Krzyżaków. Wydaje się, że rzeczywistość była inna. Mogło być tak – co sugeruje znawca średniowiecznej wojskowości Andrzej Nowakowski – że potężnych rozmiarów dąb rósł wewnątrz fortalicji i w takim razie służył załodze wyłącznie jako doskonały punkt obserwacyjny. Niezależnie od tego, ile w krzyżackiej legendzie jest prawdy, a ile opowieści tworzących barwny „mit założycielski”, początki z pewnością były skromne. Co jednak nie znaczy, że tak również zachowywali się Krzyżacy. Przeciwnie. Nawet na nowym dla siebie i niepewnym gruncie nie potrafili ukryć swojego prawdziwego oblicza. Bogobojni z pozoru bracia dopuścili się wobec schwytanych przez siebie pogan haniebnych uczynków, pokazując niewyobrażalne barbarzyństwo. Między innymi pochwycili znacznego pruskiego wielmożę, niejakiego Pipina, i za rzeczywiste bądź domniemane winy, jakich dopuścił się wobec chrześcijan – taki przekaz można znaleźć w źródłach – dosłownie wypatroszyli go z wnętrzości, stosując tzw. karę kiszek. Po wyciągnięciu ich z rozciętego brzucha i przybiciu jednego końca do drzewa, goniono nieszczęśnika wokół pnia tak długo, aż w mękach skonał. To nie była dobra prognoza na przyszłość, ale

Konrad, i nie tylko on, wolał jej nie widzieć. Może dlatego, że sam pławił się w okrucieństwie, tracąc w nim nie tylko miarę, ale także przestając je dostrzegać u innych. Zupełnie coś innego liczyło się dla księcia. Gotów był zapewne przymknąć oczy na dużo większe barbarzyństwo, byle tylko osiągnąć swoje cele.

Setka Krzyżaków miała szczęście, że miejsce, w którym stacjonowali, było dość bezpieczne. Zawdzięczali to znacznemu wyludnieniu okolicznych ziem. Ci z nielicznych Prusów, którzy na nich zamieszkiwali, w części przyjęli chrzest i nie potraktowali nowo przybyłych zakonników z wrogością. Pracę misyjną prowadził wśród nich nie tylko biskup Chrystian. Duże zasługi położył na tym polu także legat papieski, biskup Wilhelm z Modeny, człowiek obdarzony charyzmą i autentycznie przekonany, że nawracanie pogan powinno odbywać się bez użycia siły, zaś religia chrześcijańska powinna im się kojarzyć wyłącznie z dobrocią. To piękne przesłanie Krzyżacy mieli szybko zbrukać. Początkowo Konrad von Landsberg bardzo się pilnował i z wielką ostrożnością badał teren wokół Vogelsangu. Kiedy już poczuł się stosunkowo pewnie, wysłał zwiad na drugą stronę Wisły. Nie obyło się bez starcia z autochtonami – padli zabici, a Krzyżacy zgodnie ze średniowiecznym schematem prowadzenia walki – spalili napotkane osady i dokonali zniszczeń zasiewów. Przed wycofaniem się pozostawili po sobie jasny przekaz: ochrzczycie się albo niebawem przyjdziemy znowu. Zapewne nie interesowali się faktem, że kierują go po części do religijnych neofitów, którzy porzucili już dawne wierzenia.

Po pierwszym rajdzie na prawy brzeg Wisły przyszły kolejne. Konrad von Landsberg, mając świadomość swoich ograniczonych sił, traktował je wyłącznie jako element rozpoznania przyszłego przeciwnika. Krzyżacy zapuszczali

się coraz bardziej w głąb ziemi dobrzyńskiej, ale nie wznosili żadnych umocnień i stałych placówek. Czekali na posiłki. Wielki mistrz mógł je nadesłać dopiero po zakończeniu krucjaty w Ziemi Świętej i ciągle w mocno ograniczonej ilości. Był to czas, kiedy on i zakonna kapituła ciągle jeszcze liczyli na możliwość korzystnego obrotu spraw w Siedmiogrodzie. Gdyby tak się stało, najprawdopodobniej właśnie tam zakon byłby gotów zainwestować środki materialne i ludzkie w skali większej niż nad granicą z Prusami, które jeszcze w tym czasie – to opinia Williama Urbana – mimo bardzo interesujących perspektyw „zajmowały ostatnie miejsce w jego kalkulacjach”. Włochy, Niemcy, ciągle jeszcze Ziemia Święta, pomijając już wspomniany Siedmiogród, to były atrakcyjniejsze miejsca dla rozwoju zakonu niż Prusy.

Na czele posiłków, które wyruszyły w kierunku Bałtyku, wielki mistrz postawił człowieka na wskroś rzutkiego i inteligentnego, nadając mu urząd mistrza krajowego Prus. Pochodzący z Dolnej Saksonii Hermann von Balk, który pojawił się w Vogelsangu wraz z grupą rycerzy i sług w 1230 roku, patrząc z perspektywy czasu, okazał się jedną z najważniejszych postaci zakonu, niewiele ustępując samemu Hermannowi von Salzie. W szeregi zakonu wstąpił prawdopodobnie podczas trzeciej wyprawy krzyżowej i tak jak wielki mistrz miał umrzeć w 1239 roku. Posiadał podobne cechy charakteru: obdarzony zmysłem organizacyjnym i energią, łatwo zdobywał zaufanie, był rzetelny i słowny. Ale też, co pokazała już niedaleka przyszłość, miał okazać się bezlitosny dla Prusów, w każdym razie dla tych spośród nich, którzy odrzucili propozycje dobrowolnego przyjęcia chrztu. O szczególnej pozycji Hermanna von Balka świadczy fakt, że na pieczęci, którą się posługiwał, obok motywu przedstawiającego ucieczkę Świętej Rodziny do Egiptu

widniało jego imię. Później już żaden z mistrzów krajowych nie zasłużył sobie na takie wyróżnienie. Wydaje się, że wszechstronnie utalentowany von Balk miałby wielkie szanse zostać następcą Hermanna von Salzy, gdyby nie tylko nie zmarł piętnaście dni przed nim, ale również rok przed śmiercią nie zrzekł się wszystkich godności zakonnych. Swoje rządy nad Wisłą wysłannik wielkiego mistrza rozpoczął od dyplomacji. Spotkał się z Konradem Mazowieckim i biskupem Chrystianem, a owocem przeprowadzonych przez niego rozmów stało się prawdopodobnie uzyskanie potwierdzenia praw zakonu jako suwerena do ziemi dobrzyńskiej. Najpierw należało oczywiście zdobyć ją na Prusach, lecz Hermann von Balk nie miał wątpliwości, że tak się stanie. Nie działał jednak pochopnie i bez pośpiechu budował grunt pod przyszłą ekspansję. Postępował podobnie jak Konrad von Landsberg. Balkowi udało się opanować grody w Rogowie i Starogardzie należące do wspomnianego pruskiego wielmoży Pipina, który wcześniej roztoczył swoją władzę nad znaczną częścią ziemi chełmińskiej.

Do wielkiej wyprawy mistrz krajowy przygotowywał się przez następne dwa lata. Mieli w niej uczestniczyć nie tylko Krzyżacy, których wciąż było zbyt mało, aby porywać się na takie cele. W organizacji krucjaty przeciwko poganom walnie dopomógł papież Grzegorz IX, reorganizator Inkwizycji i organizator barbarzyńskich wypraw przeciwko albigensom, który w 1230 i 1232 roku opublikował dokumenty nakazujące wszystkim krzyżowcom udającym się na krucjatę do Prus walczyć pod rozkazami Krzyżaków. Na jego apel odpowiedzieli rycerze z Niemiec i z Polski. Znaleźli się wśród nich Konrad Mazowiecki, Henryk Brodaty, Władysław Odonic. Przybyli też Morawianie. Liczne oddziały zmobilizowali władcy Pomorza

Wschodniego, bracia Sambor II, książę lubiszewskotczewski, i Świętopelk Gdański. Wraz z pocztami uzbierało się kilka tysięcy zbrojnych. Przyozdobieni na tę okazję znakiem krzyża, prowadzeni przez tych, którzy tym znakiem szczylic się na co dzień, latem 1234 roku wkroczyli na ziemię Prusów.

Rozpoczął się pierwszy akt trwającego przez pół wieku podboju. W jego trakcie miały zostać położone trwałe podwaliny pod państwo zakonu krzyżackiego nad Bałtykiem.

## PRUSKI POLIGON

„I zaprawdę zakon ten, jak wiadomo, został w szczególności powołany do walki z wrogami krzyża i wiary i winien walczyć różną bronią i sposobem według rozmaitych owych ziem nawyków i podstępów”.

(zapis ze Statutów Zakonu Krzyżackiego)

**S**zanse pogan na zwycięstwo w starciu z idącą na nich potęgą były niewielkie, by nie powiedzieć, że iluzoryczne. Nie mieli atutów, by je osiągnąć, mogli jedynie odwlec w czasie moment ostatecznej klęski, co im się udało.

William Urban bez entuzjazmu, wręcz sceptycznie odniósł się do wojskowych możliwości Prusów. W jego przekonaniu „Uzbrojenie przeciętnego wojownika było bardzo skromne, do tego stopnia, że można uważać, iż był on praktycznie bezbronny. Maczugi i kamienie, których walczący używali w zasadzkach i w obronie grodów, nie były orężem wystarczającym w decydujących bitwach, w których nieprzyjaciel korzystał z koni i zbroi”. Ten opis jest jednak chyba przesadzony: w rękach pruskich wojowników są maczugi i kamienie, nie ma natomiast – co trudno sobie wyobrazić – tak prostej i powszechnie dostępnej, ale również skutecznej broni jak łuki i włócznie. Zapewne niemiecki historyk chciał tak bardzo uwypuklić słabość uzbrojenia Prusów, że aż popadł w karykaturalną przesadę. Jest jednak rzeczą aż nadto oczywistą, na co wskazał Henryk Łowmiański, używając przy tym określenia kojarzącego się

raczej z Kozaczyzną, że „czerń pruska nie mogła mierzyć się z Krzyżakami w otwartym polu i tym się tłumaczy, dlaczego poganie woleli uprawiać partyzantkę, nękać nieprzyjaciela niespodziewanymi napadami i zasadzać się nań po puszcach i moczarach”. Prawdę mówiąc, przyjęcie przez Prusów jakiegokolwiek innej taktyki walki świadczyć by musiało o braku rozumu ich przywódców. Pamiętajmy jednak, o czym była wcześniej mowa, że i oni posiadali swoją jazdę wywodzącą się z kręgu szlachty, która jednak na tle zachodniego rycerstwa, ze względu na swoje uzbrojenie ochronne, mogła uchodzić za lekką jazdę. Ale akurat taka idealnie przystawała do miejscowych warunków naturalnych i dobrze się sprawdzała podczas grabieżczych wypadów, kiedy największym atutem była szybkość manewrów.

Do większej konfrontacji pomiędzy krzyżowcami i Prusami, obnażającej ich wojskowe możliwości, doszło już podczas pierwszej wspomnianej krucjaty pod przewodnictwem Krzyżaków. Piesze tłumy pogan walczących bez zachowania szyków i niemal pozbawione konnicy zostały zmasakrowane przez pomorską jazdę podczas starcia na zamarzniętej Dzierzgoni. Podczas pościgu krzyżowcy wycięli większość wrogów. Trwałą konsekwencją wyprawy, poza miłym Bogu i jego ziemskim wyznawcom unicestwieniem paru tysięcy niewiernych, stało się wybudowanie w samym sercu Pomezanii, na miejscu dawnego pruskiego grodziska o nazwie Kwedis, nad uchodzącą do Nogatu rzeką Liwą, grodu w Kwidzynie, leżącego z grubsza w połowie drogi pomiędzy Toruniem a Bałtykiem. To jeszcze nie był ów kamienny, budzący mimowolny szacunek zamek, jaki przetrwał do naszych czasów; taki miał powstać kilkanaście lat później. Na razie chodziło o obronne grodziszcze zabezpieczone wałami z ziemi i drewna, ciągle jeszcze w tej części Europy dobrze

spełniającymi swoje podstawowe przeznaczenie. Krzyżacy tego rodzaju umocnienia mieli stosować jeszcze przez długi czas, aż do początków XV wieku. Budowa Kwidzyna została pieczołowicie zaplanowana i przygotowana, o czym pisze Piotr z Dusburga: „mistrz i bracia, przygotowawszy sobie wszystko, co do budowy grodów było konieczne, potajemnie popłynęli do kępy kwidzyńskiej (...) i zbudowali na tym wzniesieniu gród”. Mogli oczywiście posłużyć się miejscowym budulcem, którego było pod dostatkiem, ale zależało im na czasie. Potem wielokrotnie sięgali po tę metodę, spławiając w dół Wisły przygotowane zawczasu materiały budowlane, co pozwalało im z wielką sprawnością i szybko wznosić grody obronne, a to był czynnik wielkiej wagi podczas podboju Prus. Podobno podczas którejś z wypraw dobrze zabezpieczony wałami i palisadą oraz fosą gródek powstał zaledwie w osiem dni!

Jeszcze w tym samym roku, bądź dwa lata później, Kwidzyn otrzymał prawa miejskie po lokacji na prawie chełmińskim (stanowiło ono modyfikację funkcjonującego od końca poprzedniego stulecia prawa magdeburskiego, a swoją nazwę wywodziło od powstałego rok wcześniej Chełmna nad Wisłą, które jako pierwsze było wedle niego lokowane), o co się postarał wizytujący nowe ziemie zakonne w obecności mistrza krajowego Hermann von Salza. Prawo chełmińskie nadawało mieszkańcom liczne przywileje i autonomię: własne sądownictwo, ulgi podatkowe i celne, wolność targową, możliwość zakładania młynów, przywileje w zakresie łowiectwa i rybołówstwa itd. Jednocześnie jednak nakładało m.in. obowiązek służby wojskowej w wymiarze pozostającym w proporcji do nadanego przydziału ziemi, a także roczny czynsz. Wkrótce podobne przywileje miały otrzymać inne grody: Grudziądz, Brodnica, Radzyń Chełmiński, Kowalewo Pomorskie. Warto dodać, że grody



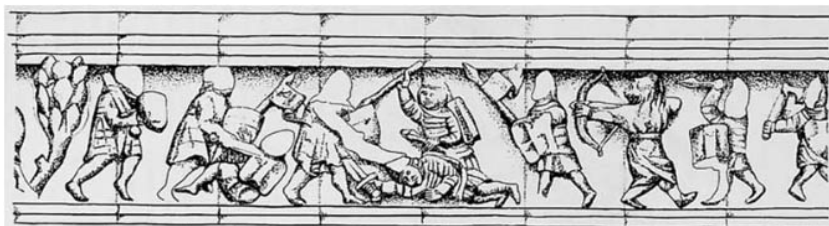
zakładane przez Krzyżaków od podstaw, czyli w miejscu, gdzie nie istniały wcześniej siedziby Prusów i innych plemion, były urządzone wedle ścisłego schematu. W wytyczaniu ulic posługiwano się miarą tzw. pręta chełmińskiego o długości 4,35 metra. Dziesięć prętów dawało jeden sznur. Ulice miały szerokość 2,5 pręta.

To był zaledwie wstęp. Odtąd mniejsze lub większe armie krzyżowców będą wyruszały przeciwko poganom niemal co rok. Już wkrótce na ziemiach położonych na prawym brzegu Wisły powstaną kolejne umocnione punkty, od których Prusowie, w przypadku ich zaatakowania, będą się zwykle odbijać niczym morskie fale od skał. Ciągłe nieliczni Krzyżacy z największym pietyzmem traktowali każdą nową zdobycz. Wymyślili prosty sposób na pozyskanie ludzi do obrony rozszerzającej się z roku na rok zakonnej domeny. Rekrutowali ich głównie spośród polskich rycerzy, obdarowując niewielkimi nadaniami w ziemi dobrzyńskiej, w zamian za co zobowiązywali ich do służby wojskowej na rzecz zakonu. Na zdobyte tereny przybywali także, co prawda początkowo w niewielkiej liczbie, mieszczanie i chłopci z Niemiec. Ale największy rezerwuar ludzki stanowili tubylcy. Zadziałał znany z historii wielu podbojów mechanizm. Tak było chociażby w Saksonii niszczonej mieczem i ogniem przez Franków, i na ziemiach Słowian zachodnich, których wyższe sfery w pewnym momencie, pragnąc ocalić życie i majątki, opowiedziały się po stronie najeźdźców. Wiele szlachty pruskiej, widząc bezsens walki z rosnącymi w potęgę Krzyżakami i ich licznymi sojusznikami, zaczęło przechodzić na ich stronę wraz z poddanymi. Miał tak również postąpić syn nieszczęsnego Pipina, rezygnując z zemsty i podzielenia w nierównym boju losu ojca na rzecz schylenia karku przed Krzyżakami. Po otrzymaniu od nich nadań w okolicy Ostródy i Gont stał się

lojalnym poddanym, wykonując feudalne powinności. Krzyżacy desygnowani przez zakon do szkolenia i dowodzenia oddziałami złożonymi z tubylczej ludności zwani byli adwokatami. Jako znawcy miejscowych zwyczajów, na dodatek doskonale posługujący się językiem pruskim, w zakonnych szeregach cieszyli się znacznym uznaniem i poważaniem. To głównie oni byli przewodnikami dla rycerstwa uczestniczącego w kolejnych krucjatach. Chętnych zaś do ich odbycia ciągle przybywało. Nie mogło być inaczej, skoro – jak napisał Eric Christiansen w książce *Krucjaty północne*: „Pełne odpuszczenie można było uzyskać raptem w kilka tygodni”. Po ścięciu garści pogańskich dzikusów i spaleniu paru ich wsi – chciałoby się dodać.

W 1235 roku zakon odniósł cenny sukces. Nim jeszcze pierwsze białe płaszcze z czarnymi krzyżami pojawiły się nad Wisłą, Krzyżacy rozpoczęli starania o uzyskanie prawnych gwarancji korzyści, jakie w przyszłości mogły dla nich wyniknąć z zaangażowania w Prusach. Węgierska nauczka nie poszła na marne i nie mogło być mowy o jej powtórzeniu. Wielki mistrz Hermann von Salza i zakonni dostojnicy szybko rozszyfrowali zamiary polskiego księcia; Konrad chciał posłużyć się nimi w podboju kraju pogan wyłącznie dla siebie. Nie zamierzali do tego dopuścić, ale swój cel osiągnęli dopiero w połowie lat czterdziestych, kiedy już byli mocno zaangażowani w działania zbrojne na pograniczu polsko-pruskim. We wspomnianym 1235 roku bliski przyjaciel wielkiego mistrza, cesarz Fryderyk II Hohenstauf, wydał prawdopodobnie tzw. Złotą Bullę z Rimini. Dokument ten, potwierdzony przez Honoriusza III, który w ciągu kilku lat radykalnie zmienił swoje wcześniejsze zapatrywania na sposób chrystianizacji ludów nadbałtyckich, uczynił zakon właścicielem nie tylko samej

ziemi chełmińskiej, ale również wszystkich terytoriów zdobytych na Prusach jako „własności św. Piotra”, a zatem korzystającej z klauzuli najwyższego uprzywilejowania. Mówiła o tym także wspomniana na wstępie bulla papieska, wyjmująca spod władzy świeckiej pruskie zdobycze zakonu.



Rozwinięty fryz z kolumny z przełomu XIII i XIV wieku, znajdujący się na zamku w Malborku. Przedstawiona jest na nim scena walki Krzyżaków z Prusami.

Dla porządku warto dodać, że również cesarz, jedenaście lat przed wydaniem bulli z Rimini, optował za pozostawieniem wolności nawróconym przez biskupa Chrystiana Prusom. Teraz Hermann von Salza wpłynął na zmianę stanowiska Fryderyka II, co zapewne ze względu na ich bliskie relacje nie okazało się zbyt trudne do osiągnięcia. Zresztą historycy skłaniają się ku twierdzeniu, że treść bulli została ułożona przez wielkiego mistrza, a cesarz ją jedynie podpisał. Tym samym koncepcja państwa zakonnego, którą spotkało tak dramatyczne niepowodzenie na terenie Siedmiogrodu, otrzymała szanse na udaną realizację w Polsce i nad Bałtykiem. Konrad pozbył się konkurencji w postaci biskupa Chrystiana i cystersów, ale w Krzyżakach zyskał rywala o wiele bardziej niebezpiecznego i bezwzględniejszego. A na dodatek mającego potężne wsparcie w cesarzu i papieżu.

Na następną wielką ofensywę przeciwko Prusom Krzyżacy zdobyli się w latach 1236–1237. Doprowadziła ona do

opanowania znacznej części ziem zamieszkałych przez ich plemiona, w szczególności bałtyckiego wybrzeża. Wielu Prusów padło, inni poszukali schronienia w trudno dostępnych kryjówkach, duża część pod przymusem poddała się chrztowi bądź dobrowolnie przeszła na stronę wroga. Niepoślednią rolę w ich pokonaniu odegrał margrabia marchii miśnieńskiej Henryk III Dostojny, którego żaglowce zwycięsko starły się z flotą Prusów; po jej pokonaniu książę wysadził oddziały na tyłach wroga. Poganie bili się z wielką odwagą, ale nie mieli poważnych widoków na zwycięstwo. Zasypany gradem strzał i bełtów z kusz, szarżowani przez ciężką jazdę krzyżowców, szans na w miarę wyrównaną walkę mogli szukać jedynie w leśnych ostępach, gdzie liczyły się inne walory. Jak napisał Urban: „Zachodni sposób prowadzenia wojny zmiotł Prusów z pól bitewnych i wyeliminował ich jako równorzędnych przeciwników”. Jednak z powyższym zastrzeżeniem. Podczas wspomnianej krucjaty założono Elbląg, a krótko później zdobyta i umocniona została warmińska Bałga. Doszło również do połączenia zakonu krzyżackiego z kawalerami mieczowymi (łacińska nazwa: Fratres militiae Christi de Livonia) działającymi od przeszło trzydziestu lat na terenach dzisiejszej Łotwy i Estonii, dokąd sięgały również zainteresowania królów duńskich. Ich bractwo, zwane także zakonem inflanckim, rycerzami chrystusowymi lub zakonem liwońskim, powstało w 1202 roku.

Założycielem zakonu był cysterski opat Teodoryk. Formalnie bracia zakonni podlegali biskupowi ryskiemu Albertowi von Buxhöwdenowi, który wcześniej, korzystając z pomocy oddziałów saskich, podbił plemię Liwów i założył Rygę, a następnie przy pomocy wyspecjalizowanych w sztuce wojskowej rycerzy chciał zabezpieczyć terytorium podległej sobie diecezji. Już dużo wcześniej, w XII wieku, na

wspomniane ziemie zwane Inflantami i pozostające pod luźnym zwierzchnictwem ruskich książąt Nowogrodu, Pskowa i Połocka wyprawiali się Niemcy i Skandynawowie oraz kupcy z Gotlandii, pragnąc oczyścić je z piratów dających się we znaki bałtyckiemu handlowi. Jednocześnie próbowali ochrzcić i podporządkować sobie miejscowe plemiona, ale do tego nie mogło wystarczyć wygranie jednej czy drugiej bitwy. Należało na stałe pozostać w niegościnnym kraju, czego ogromna większość przybyszów z Zachodu i Północy czynić nie zamierzała. Zwykle powracali do swoich stałych siedzib zaraz po odbytej kampanii, niektórzy zaś, pozostający w mniejszości, czynili to, kiedy zbliżała się surowa zima. Starszyny pogańskich plemion szybko zorientowały się, że elementem taktyki obliczonej na ich przetrwanie musi być umiejętne wykorzystanie wzajemnej wrogości wschodniego prawosławia i zachodniego katolicyzmu i umiejętne lawirowanie pomiędzy rozbieżnymi interesami wrogich im potęg. Długo się to udawało, ale początek końca nadszedł wraz z powstaniem Zakonu Kawalerów Mieczowych, którzy, podobnie jak Krzyżacy, działali według reguły templariuszy. Ich wielki mistrz rezydował na zamku w Wenden (Kieś). Pierwsze lata istnienia zakonu inflanckiego stały pod znakiem sukcesów w starciach z Bałtami i licznych zdobyczy terytorialnych. W szeregach zakonu obok jego członków (w szczytowym okresie istnienia zakon tworzyło niespełna dwustu pełnoprawnych braci-rycerzy; jego słabością były brak zaplecza w Niemczech i niedostateczne dochody niewystarczające na zaciąganie wystarczającej liczby najemników) walczyło wielu miejscowych wojowników i krzyżowców-gości. Biskup ryski mógł być dumny ze swojego pomysłu; stworzony przez niego zakon radził sobie nie tylko z poganami, ale strzegł go przed zakusami książąt ruskich i

Danii, usiłującej narzucić swoją władzę na wybrzeżach Bałtyku. Kawalerom mieczowym, którzy niemal od samego początku myśleli o stworzeniu niezależnej, nadbałtyckiej domeny, udało się jednak uzyskać daleko posuniętą niezależność od biskupa. Narastające coraz bardziej nieporozumienia sprawiły, że w 1218 roku Albert von Buxhöwden wezwał na pomoc króla duńskiego Waldemara II, ale nie było to przemyślane posunięcie. Władca Danii nie dość, że opowiedział się po stronie zakonu, to na dodatek zajął część Estonii. Odtąd biskup mógł się jedynie przyglądać, jak bracia-rycerze, mający stanowić jego zbrojne ramię, budują własne suwerenne państwo. Zresztą cztery lata później Inflantczycy uderzyli na Duńczyków i odebrali im estońskie posiadłości wraz z Rewelem. Interweniować musiał Rzym, w sprawę wdali się papiescy legaci, jeden z nich dostał się do niewoli popędliwych braci, po czym wywiódł przeciwko nim skargę i doprowadził do procesu. To wówczas wielki mistrz pozostających pod prężeniem zarzutów i płynącej zewsząd krytyki mieczowców, na dodatek zagrożonych powstaniem miejscowej ludności, zwrócił się do Krzyżaków z propozycją połączenia obu zakonów. Liczył przede wszystkim na realną pomoc z Niemiec, gdzie zakon krzyżacki posiadał już w tym czasie mocną pozycję. Póki co, oferta nie wywołała zainteresowania; podówczas jeszcze żadne skowronki, nawet te z Vogelsangu, nie śpiewały o pruskich, dalekosiężnych planach Krzyżaków. Inflantczycy przezwyciężyli trudną sytuację i zdołali się otrząsnąć z problemów. Przez następne lata krzepili w siłę i odgrywali decydującą rolę w regionie.

Kiedy wydawało się, że przed prowadzącym samodzielną politykę zakonem inflanckim otwierają się wrota do podboju rozległej krainy, przyszła niespodziewana klęska. W 1236

roku kawalerowie mieczowi zostali rozgromieni przez Żmudzinów w bitwie pod Szawłami, w której obok wielu zakonnych rycerzy padł również wielki mistrz. Wyprawę na te ziemie, dotychczas omijane, zorganizowano na specjalne życzenie oddziału rycerzy przybyłych z Holsztynu i to ich niesubordynacja na polu walki w dużym stopniu przyczyniła się do klęski. W starciu ze Żmudzinami, będącymi jednym z dwóch wielkich odłamów plemion litewskich, i przybyłymi im z pomocą pobratymcami z tzw. Auksztoty podległej księciu Mendogowi zginęła połowa kawalerów mieczowych oraz większa część holsztyńskich krzyżowców. W dużym stopniu zawiniły ciężkie zbroje i potężne bojowe rumaki, które w normalnych warunkach stanowiły niepośledni atut, lecz w ciężkim, podmokłym terenie okazały się przekleństwem. Wydaje się, że właśnie nieszcześliwa bitwa pod Szawłami ostatecznie zadecydowała o połączeniu się mieczowców z Krzyżakami, co w praktyce oznaczało ich inkorporację i początek istnienia inflanckiej gałęzi zakonu krzyżackiego, której pierwszym mistrzem krajowym został Hermann von Balk. Formalne połączenie odbyło się w rezydencji Grzegorza IX w Viterbo w obecności przedstawicieli obu zakonów. W dokumencie wystawionym przez papieża 12 maja 1237 roku, cytowanym przez Williama Urbana, można przeczytać: „Ponieważ niczego nie cenimy sobie wyżej nad szerzenie wiary katolickiej, mamy nadzieję, że prośba mistrza i braci odniesie pożądaný skutek, że Pan pozwoli Braciom Szpitalnym znaleźć odważnych ludzi w Inflantach (...) i dlatego postanowiliśmy, że mistrz i bracia i całe ich mienie ma być przyłączone do tego zakonu”.

Krzyżacy już od pewnego czasu poprzez swoich wysłanników przygotowywali grunt pod takie rozwiązanie. Wysłani do Inflant przez Hermanna von Salzę dwaj komturowie nie wyrażali się jednak zbyt dobrze ani o

dyscyplinie panującej wśród rycerzy bratniego zakonu, ani o jego organizacji. Podczas dorocznego zgromadzenia najwyższych krzyżackich dostojników zamiar przyłączenia kawalerów mieczowych nie spotkał się z aplauzem; wręcz przeciwnie. Jednak możliwość rozszerzenia wpływów na Inflanty okazała się na tyle atrakcyjna, że inkorporacja się dokonała. Ocena komturów i poważne obawy potwierdziły się w dużej mierze sześć lat później, kiedy książę nowogrodzki Aleksander Newski, na zamarznętym jeziorze Pejpus, pokonał wojska zachodnich krzyżowców, a w ich liczbie również Duńczyków i oddziały zakonu inflanckiego posiłkowane przez służących im Bałtów. Sławna „bitwa na lodzie” została przedstawiona w głośnym propagandowym filmie Siergieja Eisensteina z 1938 roku pt. *Aleksander Newski*, choć oczywiście w sposób mocno odbiegający od rzeczywistości. Krzyżacy, a właściwie należałoby napisać – krzyżowcy, w wyobraźni wielkiego reżysera żyjącego w państwie Stalina stali się „blond olbrzymami, palącymi żywcem niemowlęta”, natomiast służący im Łotysze i Estończycy ukazani zostali niczym karły. Nieprawdziwe są sceny z rycerzami zakonnymi, pod którymi załamuje się lód i którzy setkami idą pod wodę. Ciężkozbrojne rycerstwo nie odważyłoby się wkroczyć na taflę lodową, tym bardziej na początku kwietnia, kiedy stoczono bitwę; najprawdopodobniej do starcia doszło na brzegu jeziora. I to nie krzyżowcy mieli przewagę, gdyż Rusinów było kilkakrotnie więcej, a bitwę stoczyli jedynie z awangardą wroga, co ich przewagę jeszcze bardziej uwypukliło. Mocno wykoślawiający rzeczywistość film Eisensteina w jednym nie kłamie: droga na Ruś została przed krzyżowcami zamknięta, co skutecznie powstrzymało Krzyżaków przed ekspansją na ziemię ruskie, atakowane już od 1223 roku przez mongolskie hordy. Udało im się natomiast podbić rozległe tereny od



granicy ze Żmudzią na południu aż po Rewel na północy. Ich ofiarą padły plemiona Zemgalów, Kurów, Latgałów, Estów, Liwów, zaś w połowie XIV wieku miało dojść do formalnego wykupienia Estonii od Danii. Jednak mariaż obu zakonów nie był w pełni udany i w przyszłości prowadzić miał do wielu zdrażeń. Od początku Krzyżacy mieli z kawalerami mieczowymi dużo kłopotów. Nie dość, że wielu ich rycerzy nie uznało połączenia i wołało pozostawać poza zakonnymi strukturami, to Inflantczykom, przedzielonym od silniejszego partnera szmatem ziemi, udało się zachować znaczną autonomię pozwalającą prowadzić w wielu sprawach własną politykę.

Wielokrotnie, przy różnych okazjach, będzie o tym jeszcze mowa.

## KRWAWY PODBÓJ

„Prusowie widząc, że bracia w czasie tej wojny zostali osłabieni stratą braci, rycerzy, broni, koni i innych rzeczy potrzebnych do prowadzenia walki, dodali zło do zła i gwałt do gwałtu, i ponownie odstąpili od wiary i wiernych i powrócili do dawnych błędów (...)”.

(Piotr z Dusburga w *Kronice Ziemi Pruskiej* o wybuchu drugiego powstania pruskiego)

**Z**wycięstwo Aleksandra Newskiego z 1242 roku nie przeminęło bez echa. Wieść o nim szybko się rozeszła i na opanowanych przez Krzyżaków terenach, poza Inflantami, wybuchły groźne powstania podbitej i – jak się mogło wydawać – na trwale spacyfikowanej brutalnym terrorem ludności. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w krótkim czasie, region po regionie, całe Prusy stanęły w ogniu. Nieliczni już zatwardziali poganie, którym udało się skryć przed przymusowym chrztem, i ci – będący w zdecydowanej większości – którzy pod przymusem lub z dobrej i nieprzymuszonej woli go przyjęli, a teraz gremialnie odrzucili narzuconego przez Krzyżaków Boga, połączyli siły i wystąpili przeciwko ciemieżcom. Po ich stronie stanął władca, który jeszcze kilka lat wcześniej był niebezpiecznym, związanym z Krzyżakami przeciwnikiem i sprawcą masakry ich współbraci. Książę Świętopelk, nie bez przyczyny obdarzony przydomkiem Wielki, w ciągu tych kilku lat, jakby wbrew zdrowemu rozsądkowi, wdał się w konflikty ze

wszystkimi. Od własnych braci Sambora i Racibora poczynając, poprzez książąt Pomorza Zachodniego, a kończąc na książętach piastowskich i Krzyżakach. Ci ostatni z każdym rokiem umacniali swoją pozycję w Prusach i dla dalekowzrocznego polityka, a takim był książę pomorski, stało się jasne, iż jest jedynie kwestią czasu, kiedy wyciągną ręce po ujście Wisły. Tylko rozliczne talenty wojskowe i dyplomatyczne oraz wybitne cechy charakteru uchroniły go przed totalną porażką i utratą książęcego tronu, o co, zważywszy na zestawienie i kaliber wrogów, było nietrudno. W każdym razie doszło do tego, że dla Świętopełka jedynym sposobem na przeciwstawienie się potężnej koalicji stał się sojusz z Prusami, naturalnym przeciwnikiem Piastów i Krzyżaków. Obie strony, połączone wspólnym interesem wyparcia zakonu z ziem pomiędzy Wisłą a Niemnem, zapomniały o niedawnych waśniach i wspólnie ruszyły do boju. Świętopełk, nazwany przez Piotra z Dusburga „synem szatana” z „sercem przepełnionym podstępem i oszustwem”, co można potraktować jako mimowolny hołd dla jego politycznych i militarnych umiejętności, rozpoczął działania wojenne, jak przystało na wytrawnego wodza. Nim ze swoimi oddziałami wyszedł w pole zmierzyć się z Krzyżakami, wiosną opanował dolny bieg Wisły oraz przeciął nieprzyjacielską żeglugę i dostawy sflawiane rzeką dla zamków w głębi lądu. Istotną rolę odegrał w tym przedsięwzięciu obronny gród w Sartowicach na lewym brzegu rzeki, usytuowany na północny wschód od Świecia, który książę wybudował kilka lat wcześniej z myślą o pobieraniu cła od towarów przewożonych przez Krzyżaków. Jednocześnie ruszyli na nich Prusowie. Początkowo głównie Pomezanie i Pogezanie, a zaraz potem przyłączyły się pozostałe plemiona. Jak obrazowo napisał Robert F. Barkowski w książce *Historia wojen gdańskich. Średniowiecze:*

„Pożoga powstania przetoczyła się niczym burza przez obszary dolnych Prus”.

Po obu stronach walczono z największą zawziętością. Powstańcy mścili się za utratę wolności i lata wyzysku, Krzyżacy rozpaczliwie walczyli o przetrwanie na zdobytych ziemiach. Większość zamków padła w ciągu pierwszych tygodni buntu. Ich załogi zostały wycięte w pień. Bracia zakonni, a w jeszcze większym stopniu wysługujący się im tubylcy, nie mogli liczyć na jakąkolwiek litość. Tę, i to nie w każdym przypadku, okazywano jedynie kobietom i dzieciom, zagarniając ich w niewolę. Na terenie Dolnych Prus powstańcom oparły się jedynie Bałga i Elbląg. Zresztą podobna sytuacja zaistniała również w ziemi chełmińskiej, którą jesienią najechał Świętopełk. Tutaj w rękach Krzyżaków atakowanych przez Pomorzan i pruskich wojowników pozostały jedynie Toruń, Chełmno i Radzyń. Szczególnie zażarte były walki o Toruń. Reszta zamków i umocnionych punktów poszła z dymem, często wraz z załogami i ludnością cywilną. Wojowie księcia pomorskiego srożyli się o wiele bardziej niż Prusowie i wszędzie tam, gdzie dotarli, nie przepuszczali nikomu. Ich ofiarą padło około czterech tysięcy niemieckich, ale też zapewne i niemała grupa polskich kolonistów. Jednym z powodów powodzenia antykrzyżackiej koalicji było zaangażowanie przez zakon części posiadanych sił w Inflantach, co oczywiście osłabiło oddziały pozostawione na terenie Prus. Nad Krzyżakami zawisło widmo utraty dotychczasowych zdobyczy i musieli się zdobyć na najwyższy wysiłek, aby tego uniknąć. Jakże potrzebnej pomocy – udzielił im Kościół.

Legat papieski Wilhelm z Modeny rzucił na Świętopełka klątwę za najazd na ziemię chełmińską, pozostającą przecież pod szczególną opieką Stolicy Piotrowej. Miała ona wielkie znaczenie propagandowe: wojna z chrześcijańskim księciem

mogłaby postawić zakon w złym świetle, lecz zwalczanie władcy wyklętego i usuniętego z kręgu wyznawców Chrystusa – zmieniało zupełnie postać rzeczy, skutecznie usuwając dylematy moralne u tych wszystkich, którzy mieli wyciągnąć miecz przeciwko Świętopełkowi. Chodziło przede wszystkim o rycerzy-gości, bez których Krzyżacy najprawdopodobniej nie mieliby większych szans na zduszenie buntu i pokonanie zdeterminowanego wroga. Ci zaś zaczęli przybywać z odsieczą dla Krzyżaków na apel papieża, który ogłosił krucjatę. Była ona wymierzona jednocześnie i w Prusów, i w księcia, który odważył się wspomagać wrogów Kościoła. Nad Wisłą, obok licznych krzyżowców z państw niemieckich, pojawili się również rycerze z odległej Austrii. W wyprawę zaangażował się Konrad Mazowiecki i jego synowie, Bolesław Mazowiecki i Kazimierz Kujawski; przybył także władający Wielkopolską Bolesław Pobożny. Krzyżaków wsparli natomiast młodszy bracia Świętopełka, a zauroczony nimi Racibor w niedalekiej przyszłości sam miał wstąpić w krzyżackie szeregi.

Fatalną dla księcia zapowiedzią utraty inicjatywy w wojnie stały się wydarzenia z początku grudnia 1242 roku. Niewielki oddział krzyżowców dowodzony przez paru Krzyżaków na czele z byłym marszałkiem zakonu, Dytrykiem von Bernheimem, zaskoczył nieznacznie liczniejszą załogę Sartowic. W zdobytej warowni, obok niej samej, najcenniejszym łupem okazała się relikwia w postaci głowy świętej Barbary, patronki flisaków i rybaków. Zdobycz trafiła następnie do Chełmna, a potem do Stargardu. Książę bezskutecznie usiłował odbić strategiczną placówkę, a potem jego hufce zostały rozbite w polu przez oddziały Dytryka von Bernheima, do którego Świętopełk najwyraźniej nie miał szczęścia. Sytuacja księcia gdańsko-pomorskiego uległa jeszcze większemu pogorszeniu, kiedy do walki

przeciwko niemu przyłączyły się wojska Piastów. Teraz nierównowaga sił stała się aż nadto odczuwalna. Świętopełk utracił pas ziemi nadnoteckiej z Nakłem, którego przerażona załoga poddała się na sam widok przygotowań oblegających do szturm. W tym czasie Krzyżacy, wykorzystując nieobecność Świętopełka i większości jego armii zaangażowanej w innym rejonie, na czele rycerzygości, niemal bezkarnie, napotykać jedynie znikomy opór, bezwzględnie spustoszyli Pomorze Gdańskie. Dotarli nawet pod najważniejszy książęcy gród i spalili klasztor w Oliwie. O opanowanie doskonale umocnionego i bronionego przez liczną załogę Gdańska jednak się nie pokusili. Lecz ten fakt nie mógł wpłynąć na wynik wojny. Niezlomny książę zdał sobie sprawę, że nawet z pruską pomocą nie zdoła pokonać krzyżowców, którzy mogli liczyć na kolejne posiłki. Jego domena leżała w ruinie, ludność, która nie zdołała się ukryć lub znaleźć schronienia w obronnych grodach, została wymordowana lub powędrowała w niewolę. Świętopełk, przymuszony sytuacją, zdecydował się na zawarcie rozejmu. Jego warunki nie okazały się nazbyt twarde. Najcięższy wymagał wydania zakładników, którzy mieli gwarantować dotrzymanie wzajemnych ustaleń, w ich liczbie dwóch wojewodów i najstarszego książęcego syna, Mściwoja II. Ponadto walczące strony wymieniły się jeńcami, a Krzyżacy zobowiązali się do zwrotu grodu w Sartowicach.

Mogło się wydawać, że na dłużej zapanuje pokój, a już z pewnością, że po oręż nie sięgnie Świętopełk. Nic z tych rzeczy. Nie czekając na wydanie twierdzy i nie bacząc na niepewny los syna, książę wznowił wojnę. Popchnęły go do tego z jednej strony cynizm i niegodziwość braci zakonnych, a z drugiej ich niespodziewana klęska z rąk Prusów, w połowie 1243 roku, kiedy wybita została niemal cała załoga Chełmna, gdzie przebywali zakładnicy. Jednak wzmocniona

posiłkami twierdza oparła się Świętopelkowi, a jego pierworodny Mściwój, liczący podówczas około dwudziestu dwóch lat, został wkrótce wysłany do Austrii, gdzie miał aż do 1248 roku pozostawać w niewoli u tamtejszego księcia. Lecz to nie był jedyny cios, jaki spadł na Świętopelka, gdyż Krzyżacy przekazali Sartowice Samborowi. Przeliczyli się jednak, sądząc, że w ten sposób złamią wolę walki zawziętego wroga. Stało się zupełnie na odwrót. Nie licząc się ze stratami, Świętopelk zdobył oba grody i zniszczył je, a w Świeciu wybudował nową twierdzę. Jednocześnie jego wojska spustoszyły Kujawy. Wojna zaczęła nabierać charakteru działań „na wyniszczenie”, a jednocześnie stawała się coraz bardziej okrutna. Wzniesiona w imponującym tempie warownia w Świeciu już w następnym roku przeżyła chrzest bojowy, odpierając oblężenie wojsk krzyżackich i posiłkujących je oddziałów księcia kujawskiego.

Przez kilka następnych lat trwały prowadzone z różnym skutkiem walki, przerywane krótkotrwałymi rozejmami i powodujące po obu stronach coraz dotkliwsze straty. Przełom przyniosła dopiero mediacja legata papieskiego Jakuba z Leodium, który pod imieniem Urbana IV miał zostać kolejnym papieżem. Dzięki jego aktywnym zabiegom już w 1247 roku zawarto wstępny rozejm, zaś w końcu 1248 podpisano korzystny dla Krzyżaków pokój. Mocno osłabiony Świętopelk, zagrożony utratą książęcego tronu, zgodził się na duże ustępstwa. W zamian za zachowanie i wydanie zakładników przekazał zakonowi ziemie na prawym brzegu Wisły – posiadłości chełmińskie, tzw. Lanzanie (tereny na północ od Elbląga nad Zalewem Wiślanym) i gród Zantyr. Dodatkowo, wyjąwszy port gdański, zrezygnował z pobierania ceł i zgodził się na niczym nieograniczoną żeglugę krzyżackich statków w całym biegu Wisły; granica

pomiędzy jego księstwem a państwem zakonnym miała przebiegać środkiem rzeki. Legat doprowadził jednocześnie do pozornego pojednania Świętopelka z braćmi i zwrotu na ich rzecz posiadanych wcześniej posiadłości.



Pomnik Świętopelka II w Gdańsku, fotografia współczesna.

Osamotnieni w obliczu Krzyżaków i ich licznych sojuszników Prusowie wytrwali w boju do początku 1249 roku. W lutym w Dzierzgoniu zawarto ugodę pomiędzy Krzyżakami a chrześcijańską ludnością reprezentowaną w rozmowach przez Jakuba z Leodium. Jej warunki były dla nich dość łagodne. W zamian za wyznawanie religii chrześcijańskiej i wyrzeczenie się pogańskich praktyk, opłacanie dziesięciny i poddanie się obowiązkom służby wojskowej pod krzyżackimi sztandarami otrzymali wolność osobistą wraz z dziedziczością dóbr, a także uzyskali równouprawnienie z niemieckimi kolonistami. Zdaniem Karola Górskiego, wybitnego dwudziestowiecznego historyka, „zakon nie mógł odtąd traktować nowo-



nawróconych jako niewolników ani jako pańszczyźnianych chłopów”.

Jednak warunki ugody z Dzierzgonia dotyczyły tylko części Prusów zamieszkujących Pomezanię oraz północne rejony Warmii i Natangi. Jej ograniczony zasięg sprawił, że resztę pruskich plemion Krzyżacy postanowili siłą zmusić do posłuszeństwa. Znowy wybuchły krwawe walki, w których uczestniczyło liczne rycerstwo z Zachodu. W 1251 roku do boju ponownie ruszył Świętopełk, którego Krzyżacy z rozmysłem poróżnili z Samborem, budując za jego przyzwoleniem gród w Tczewie i otrzymując obietnicę objęcia należących do niego ziem Wielkich Żuław. Książę gdańsko-pomorski musiał hodować w sobie lwa, skoro ryzykując nie tylko własne życie, ale też tron i los poddanych – po raz kolejny rzucał wyzwanie potężnemu przeciwnikowi. Gdy jednak już się na to zdecydował, działał szybko i bezwzględnie. Jego wojska wtargnęły do Pomezanii, która spłynęła krwią. Obrońcy zdobytych grodów i zamków płacili głową, ludność szła w pętach na północ. Sytuacja szybko się jednak odwróciła i Świętopełk zmuszony był odpierać wroga na swojej ziemi. Krzyżacy i poczty przybyłych z Niemiec rycerzy podeszły aż pod Gdańsk, ale jego robiące wrażenie umocnienia odstraszyły żadnego krwi i łupów wroga od szturmów bądź regularnego oblężenia. Krzyżowcy rzucili się na klasztor oliwski, w którego obronę osobiście zaangażował się Świętopełk. Własną pierśią usiłował uchronić przed zniszczeniem i grabieżą miejsce, w którym miały kiedyś spocząć jego zwłoki. Pomimo ogromnej odwagi oraz poświęcenia siebie samego i służących mu wojów zadanie to okazało się ponad siły. Klasztor oliwski został ponownie zdobyty i doszczętnie obrabowany ze wszystkich cennych przedmiotów. Wkrótce zawarto kolejny rozejm potwierdzający ustalenia z 1248 roku.

Trwające przez kilkanaście lat wyniszczające walki Robert F. Barkowski podsumował w dwóch jakże celnych zdaniach: „Zakon krzyżacki zagnieździł się w Prusach na dobre, wykorzystując partykularyzmy i krótkowzroczność polityczną książąt piastowskich i juniorów pomorskich. Opór najwaleczniejszego władcy w historii Pomorza Gdańskiego, Świętopelka II Wielkiego, oddalił jedynie na kilkadziesiąt lat tragedię tych ziem, opóźniając zalew zawołowanej i jawnej germanizacji”.

Po wycofaniu się Świętopelka z wojny przeciwko zakonowi krzyżackiemu los plemion pruskich został przesądzony. Jediną niewiadomą pozostawało, kiedy ich rozpaczliwa walka z okrutnym przeciwnikiem dobiegnie ostatecznie kresu. Dogorywające powstanie na ziemiach pomiędzy ujściem Nogatu a Toruniem zostało szybko stłumione. Krzyżacy, po krótkiej przerwie i zabliźnieniu ran, jakie pozostawiły po sobie walki z niezłomnym księciem gdańsko-pomorskim, przystąpili do ofensywy, której ostrze zostało wymierzone w Żmudź i Sambię. Celem było zapewnienie szerokiego lądowego połączenia z Inflantami. Ponadto Sambia, niewielka terytorialnie, ale najbardziej ludna na mapie Prus kraina położona w pasie ziem pomiędzy wodami Bałtyku, Pregoty i Zalewu Kurońskiego, przyciągała swoim największym skarbem – cenionym od starożytności bursztynem. Wielu miało ochotę na jego zdobycie i podporządkowanie Sambów swojej władzy.

Jako pierwszy usiłował tego dokonać Waldemar II, a po nim w Sambii pojawili się wysłannicy biskupa Chrystiana, który ten sam cel chciał osiągnąć za pomocą krzyża. Wreszcie o podbój Sambii pokusili się Krzyżacy inflanccy. W 1246 roku, wraz z posiłkami z Lubeki, wyprawili się na półwysep, ale zostali odparci z dużymi stratami. Podobny był los następnych wypraw, ale trwały pozostałością po jednej z

nich był wzniesiony u ujścia Niemna zamek Mamelburg. Wielu Lubeczan zdecydowało się osiedlić w jego bezpośrednim sąsiedztwie, co dało początek Kłajpedzie. Mamelburg miał służyć poskromieniu Sambów i jednocześnie stać się bazą przyszłych wypraw przeciwko Żmudzi.

Przełom w kampanii przeciwko Sambom nastąpił po włączeniu się do walk Krzyżaków z pruskiej gałęzi zakonu, którzy po zawarciu pokoju w Dzierzgoniu i wycofaniu się Świętopelka mogli skierować przeciwko nim większość sił. Mimo to pierwsza wyprawa przeprowadzona zimą 1253/1254 roku – przyniosła porażkę. Jednak kolejna, zorganizowana dwa lata później, zakończyła się już pełnym powodzeniem. Zresztą nie mogło być inaczej, skoro na podbój ziem hardych pogan wyruszyła potężna krucjata z udziałem krzyżowców z Niemiec i Czech z samym królem Przemysłem Ottokarem II, a także licznych wojsk zakonnych prowadzonych przez wielkiego mistrza Poppona von Osternę oraz oddziałów wystawionych przez biskupów warmińskiego i pruskiego. Obok regularnych hufców nad Bałtykiem pojawiły się gromady uzbrojonych pielgrzymów znad Renu, z Saksonii, Austrii, Turyngii, Moraw. „A wielkość tego wojska była tak duża, że przekraczała liczbę 60 000 wojowników” – napisał Piotr z Dusburga i tym razem w swojej ocenie mógł być blisko prawdy. Żądna krwi i łupów horda, mająca na ustach imię Boga, przypominała do złudzenia watahy krzyżowców, które od początku stulecia najeżdżały Langwedocję na południu Francji, uczestnicząc w zbożnym dziele wyrzynania heretyckich katarów. Sambowie nie mieli najmniejszych szans na jakikolwiek skuteczny opór i zrobili jedyną sensowną rzecz w ich beznadziejnym położeniu: zgodzili się na przyjęcie chrztu i poddali się władzy Krzyżaków. Strażnikiem czuwającym nad wykonaniem tego

przrzeczenia stał się potężny zamek z dwoma rzędami murów i dziewięcioma wieżami, wzniesiony blisko ujścia Pregoly do morza, na jej wysokim brzegu. Górujący nad okolicą i obsadzony silną załogą, miał trzymać w ryzach podbity lud. Nazwano go na cześć czeskiego władcy Królewcem (Königsberg; w języku Prusów Tuwangste).

Wkrótce nowo wybudowana twierdza ujrzała na swoim przedpolu tłumy wojowników, gdyż Sambowie po odejściu armii krzyżowców znów zerwali się do walki. Historia tego wystąpienia była krótka. Krzyżacy stłumili je we współdziałaniu z grupą miejscowych możnych, która w zamian za bogate nadania – posiadłości ziemskie wraz z obróconymi w poddanych chłopami – przeszła na stronę najeźdźców. Krwawy podbój zakończył się w 1258 roku, a prowincja została podzielona pomiędzy zakon i biskupa sambijskiego rezydującego w Królewcu. Podzielona, ale nie do końca spacyfikowana. Sambowie, przymuszeni, ponownie zgięli kark, ale w ich sercach płonęła nienawiść do Krzyżaków i w każdej chwili ich znaczna część, która odrzucała myśl o dobrowolnej współpracy, mogła się znowu zbuntować. Na razie rycerze w białych płaszczach z czarnymi krzyżami weszli w kontakt z Litwą, która miała stać się ich głównym, obok Polski, wrogiem. Jednak dopiero w następnym stuleciu, w połowie XIII wieku, książę Mendog wykonał posunięcie, którym wytrącił z rąk zakonników argument walki za wiarę przeciwko poganom. Zagrożony przez koalicję sąsiadów – książąt Rusi i Mazowsza, ale też Żmudzinów i Jaćwingów oraz Krzyżaków – Mendog zawarł z tymi ostatnimi rozejm i zgodził się na przyjęcie chrztu. W sprawę wdał się papież Innocenty IV, któremu zależało na chrystianizacji północno-wschodnich zakątków Europy. Litwa znalazła się pod opieką Rzymu. Za jej zgodą Mendog w 1253 roku zamienił koronę książęcą na królewską, a

biskupem litewskim został krzyżacki kapłan Chrystian. Oczywiście za swoje wywyższenie i odsunięcie od Litwy groźby najazdu zjednoczonych sił chrześcijańskich i pogańskich Mendog musiał odpowiednio zapłacić. Podarował Krzyżakom coś, czego sam nie posiadał, co jednak mieściło się w jego zdobywczych planach: ziemie Jaćwingów i Żmudź. Fakt, że należało je dopiero opanować, nie stanowił większego zmartwienia dla zakonu, bo z tym akurat nie miał problemów. Ponadto umowa z Mendogiem posiadała dodatkową, trudną do przecenienia wartość. Uzyskanie możliwości podboju terytoriów zamieszkałych przez zatwardziały pogan podtrzymywało nie tylko ideologiczny sens istnienia zakonu krzyżackiego, ale również zainteresowanie rzesz krzyżowców wyprawami nad Bałtyk, co wzmacniało jego potęgę. Zawierając ugodę z Mendogiem, Krzyżacy upiekli na jednym ogniu również drugą pieczęć – zniweczyli plany książąt mazowieckich, synów księcia Konrada, na poddanie Litwy i Jaćwieży zarówno ich wpływom politycznym, jak i ingerencji ze strony polskiego Kościoła. Ta rywalizacja zapoczątkowała pogorszenie dobrych dotychczas stosunków polsko-krzyżackich. Dysponujący słabym potencjałem militarnym i politycznym książęta dzielnicowi zdali sobie sprawę z utraty jakiegokolwiek kontroli nad działaniami zakonu krzyżackiego i nie byli w stanie przeszkodzić mu w dalszej dynamicznej ekspansji.

W 1260 roku zaszły jednak wydarzenia, które plany Krzyżaków postawiły pod znakiem zapytania. Wielka wyprawa przeciwko Żmudzinom zakończyła się katastrofą wojsk krzyżackich z Inflant i Prus, posiłkowanych przez oddziały Sambów i Prusów, kontyngent duński z Rewla oraz księcia Siemowita I, który jeszcze nie w pełni oswoił się z myślą, iż wspomaganie Krzyżaków nie leży już w jego

interesie. W wielkiej bitwie nad jeziorem Durbe poległ inflancki mistrz krajowy Burchard von Hornhausen i wielki marszałek zakonu Henryk Botel, a także około stu pięćdziesięciu braci-rycerzy. Piotr z Dusburga jako winowajców klęski wskazał Kuronów (Sambów), którzy w czasie bitwy odstąpili krzyżowców i przeszli na stronę wroga. Największe straty najeźdźcy ponieśli podczas panicznej ucieczki, kiedy – jak z niewątpliwą przesadą napisał kronikarz – „trzej albo czterej wrogowie zabijali po stu chrześcijan”. Zniszczenie krucjaty wywołało łatwy do przewidzenia skutek. Na terenach Prus i Inflant, wszędzie tam, gdzie dotarła wieść o pogromie, wybuchło powstanie. Bunt nie objął jedynie Pomezanii i ziemi chełmińskiej. Ale na tym nie wyczerpał się fatalny bilans bitwy nad jeziorem Durbe. Mendog zmienił front i również wystąpił przeciwko Krzyżakom. Tych ostatnich zaskoczył zasięg powstania i siła wystąpienia plemion pruskich. Było jasne, że przygotowania do niego trwały już od pewnego czasu i oczekiwano jedynie na stosowny moment, co jednak umknęło uwadze zakonu i jego sprzymierzeńcom. Ów drugi, potężny wolnościowy zryw ludności zamieszkującej terytoria od Wisły po Niemen miał się okazać o wiele niebezpieczniejszy dla Krzyżaków niż wszystkie dotychczasowe bunty. Stało się tak za sprawą całej plejady świetnych dowódców prowadzących powstańców do walki. Kilku z nich – Glappo, Glante, Dziwan, Henryk Monte, Autume – nie tylko, że zdobyło wyszkolenie wojskowe w służbie zakonu, ale doskonale poznało jego potencjał oraz sposoby wojowania mnichów i zachodniego rycerstwa. To był bezcenny kapitał, którym powstańcy dotychczas nie dysponowali.

Trwająca przez kilka lat wojna przetoczyła się przez ziemie zakonne z niszczącą mocą. Żądni zemsty za wyzysk i narzucone brutalnie poddaństwo powstańcy bez pardonu

traktowali niemieckich kolonistów i załogi zdobywanych grodów. Czasami brano jeńców, częściej jednak ich wyrzynano. Ten los spotykał nie tylko zbrojnych. Walki przez obie strony prowadzone były z najwyższą brutalnością. Piotr z Dusburga przytacza wiele przykładów obustronnego barbarzyństwa, kiedy się jednak czyta tekst jego Kroniki, trzeba pamiętać, kto był najeźdźcą, a kto walczył o utraconą wolność. Oblężeniu Lidzbarka poświęcił zaledwie trzy zdania, które świetnie obrazują, z jaką bezwzględnością toczono walki: „Niedługo potem Prusowie trzema oddziałami wojska, trzema machinami oblężniczymi oraz innymi sprzętami wojennymi oblegli zamek biskupa warmińskiego w Lidzbarku. Oblężeni w nim obrońcy, przyciśnięci głodem, zjedli 250 koni i ich uprząż. W końcu, kiedy całkiem zabrakło żywności, opuścili zamek i potajemnie wycofali się aż do miasta Elbląga, gdzie wyłupili oczy wszystkim 12 zakładnikom pruskim, których ze sobą przywiedli, i odesłali ich do ich krewnych”. Krzyżacy uszli również z Reszla. Jego załoga, świadoma swojego losu po ewentualnym zdobyciu zamku, na wieść o oblężeniu innych twierdz, m.in. w Królewcu, Bartoszycach i Krzyżborku (Kreuzburg), podpaliła umocnienia fortecy i wołała się przedzierać przez zrewoltowane tereny do swoich, niż ryzykować wątpliwą co do skutku obronę. Pod Królewcem Sambowie i posiłkujące ich oddziały innych pruskich plemion poniosły bolesną klęskę, tracąc wedle kronikarza aż trzy tysiące wojowników. Stało się to za sprawą załogi wspartej przez hufce przybyłych z Rzeszy krzyżowców pod wodzą Wilhelma IV, hrabiego Jülich i Engelberta I, hrabiego Mark. Królewiec, Elbląg, Bałga i Welawa, broniące szlaków wodnych i posiadające znaczenie strategiczne, zdołały się obronić, ale wiele znacznych grodów, w tym wspomniane Bartoszyce i Krzyżbork, padło i zostało zrównane z ziemią.

Biskupi Sambii i Warmii, z równym oddaniem głoszący słowo Boże, co wyciskający ze swoich nowych parafian możliwie dużo danin, nie zaryzykowali pozostania w ogarniętych buntem diecezjach i uciekli niemal z całym klerem.

Spoza umocnień pozostających w ich rękach fortec Krzyżacy musieli bezradnie patrzeć, jak powstańcy niszczą ich posiadłości, choćby w 1263 roku, kiedy ziemię chełmińską najechał wódz Natangów Henryk Monte i wygrał w otwartym polu bitwę pod Lubawą. Utrzymanie długotrwałej inicjatywy ułatwiła powstańcom pomoc ze strony Litwinów i Jaćwingów. Zresztą ci pierwsi nie ograniczyli się jedynie do udzielenia wsparcia Prusom, ale uderzyli na Mazowsze, mszcząc się za udział Polaków w krzyżackiej wyprawie na Żmudź. Oddziały Mendoga, wsparte przez Rusinów, niemiłosiernie złupiły dzielnicę. Padł Jazdów, z dymem poszedł Płock i dziesiątki pomniejszych osad; zginął książę Siemowit, a jego syn Konrad, noszący imię wielkiego dziada, powędrował w łykach na Litwę. To była tragiczna cena wspierania Krzyżaków i zarazem potwierdzenie ponurej zapowiedzi cyklicznych litewskich najazdów, które już od kilku lat dotykały polskie ziemie.

Mendog został skrytobójczo zamordowany w wyniku spisku nienawidzących go książąt, ale nie spowodowało to zmiany politycznych sojuszy. Litewscy i jaćwińscy wojownicy pustoszyli ziemie zakonu aż do linii Wisły. Po obu stronach nie brakowało aktów najwyższego bestialstwa. Każdy z tych popełnionych przez pogan nie sami tylko Krzyżacy potrafili umiejętnie obrócić na korzyść wojujących chrześcijan, niezależnie od ich własnego okrucieństwa. Przekonuje o tym fragment u Długosza, poświęcony trochę późniejszym wydarzeniom z 1279 roku: „Tego roku Dom Rycerzy Krzyżowych walczył z Litwinami. Dwóch rycerzy



zakonu Litwini wzięli do niewoli i jednego z nich powiesili na wielkim drzewie, potem posadzili go na jego wojennym rumaku i rozpalili wielkie ognisko z zamiarem spalenia obu, ale kiedy koń zaczął się zajmować, otworzyły się niebiosa i na krzyżowca zeszło wielkie światło i rozproszyło ogień na wszystkie strony. Potem światło wzniosło się w niebo wraz z ciałem krzyżowca, tak że nie zostało po nim ani śladu. Potem obserwujący to Litwini ujrzeli piękną dziewicę wstępującą do nieba. Uznawszy to raczej za czary niż za akt łaski bożej, chcieli powiesić drugiego krzyżowca (...). Tego drugiego nieszczęśnika wedle opowieści kronikarza w równie cudowny sposób wprost z płomieni wydostał i poniósł do nieba „ogromny biały ptak”, co widząc, poganie się rozplakali i skwitowali jawny cud słowami: „Zaiste potężny jest Bóg chrześcijan, który tak chroni swoich wyznawców”. Zadziwiające, ale całkiem podobne bajania o religijno-propagandowym zacięciu pojawiały się jeszcze kilkaset lat później, by wspomnieć chociażby, co wypisywano przy okazji oblężenia Jasnej Góry podczas szwedzkiego potopu; klasztor miał się unosić w powietrze, a kule odbijać od dachów. Krzyżacy, odcięci od posiłków sklóconych z nimi książąt polskich oraz pomocy krzyżowców z Zachodu – w Rzeszy w latach 1256–1263 trwało bezkrólewie i zaangażowani w spory polityczne wielcy feudałowie nie zamierzali się w tym czasie angażować w wyprawy nad Bałtyk – z najwyższą determinacją bronili głównie ziemi chełmińskiej i Pomezanii, czyli terytoriów stanowiących jądro ich państwa. Okoliczność ta ułatwiała powstańcom skuteczne zwalczanie słabych sił przeciwnika w innych rejonach.

Losy wojny odwróciły się w 1265 roku. Z odsieczą dla Krzyżaków zaczęły wówczas przybywać coraz liczniejsze rycerskie hufce z Rzeszy i innych krajów, a jednocześnie

owoce zaczęła wydawać polityka dzielenia i skłócania plemion pruskich. Wiele możliwych rodów, obdarowanych nadaniami ziemskimi i przypisanymi do nich poddanyimi chłopami, opowiedziało się po stronie Krzyżaków. Jednak rok 1267 przyniósł wydarzenie, które dla Krzyżaków mogło się zakończyć tyleż niespodziewaną, co zupełną katastrofą. Do Rygi, wraz z grupą krzyżowców, przybył hrabia Guncelin III von Schwerin, awanturnik obdarzony nadmierną ambicją, pomysłowością i temperamentem, wikłający się w różne polityczne przedsięwzięcia i poszukujący możliwości zrobienia za wszelką cenę kariery. Jego wybór padł na Inflanty, a ofiarą mieli się stać... Krzyżacy! Partnerem w realizacji brawurowego zamierzenia został arcybiskup Albert Suerbeer, któremu nie w smak była powiększająca się szybko autonomia Krzyżaków, powodująca ograniczenie wpływów biskupa zarówno w sferze religijnej, jak i materialnej, co Suerbeera mogło jeszcze bardziej dotyczyć. Sługa Boży i niemiecki możnowładca, w którego żyłach płynęła słowiańska, a wręcz piastowska krew po matce, zawarli umowę, która przyznawała Guncelinowi bogate nadania na ziemiach odebranych zakonowi i pogańskim plemionom. Hrabia z wigorem przystąpił do realizacji szalonego – jak się mogło wydawać – planu i poprzez swoich zaufanych ludzi zaczął werbować najemników na Gotlandii. Nawiązał też kontakty na dworze syna Aleksandra Newskiego, Dymitra perejaśławskiego, który poprowadził potężną armię na Krzyżaków. W przypadku ich porażki brawurowy zamysł Guncelina mógł się powieść. Jednak podczas bitwy pod Maholm, stoczonej na początku 1268 roku, nie doszło do rozstrzygnięcia; Krzyżacy zachowali dotychczasowy stan posiadania, a wizja hrabiego ze Schwerinu została pogrzebana wraz z setkami ruskich

wojów, którzy swoimi ciałami usłali pobojuwisko. Teraz już nic nie mogło ocalić ostatnich powstańczych bastionów.

Jako pierwsza padła Sambia, gdzie zakon wsparło stosunkowo najwięcej możnych. Jakiś czas później jej los podzieliły Natangia, Warmia, Barcja i Pogezenia. Nieznacznie dłużej stawiali opór Skalowie i Nadrowie zamieszkujący tereny pomiędzy Niemnem i Pregołą, którzy umiejętnie wykorzystali sprzyjający walkom partyzanckim mocno lesisty teren. W roku 1277 zorganizowany opór się zakończył, a mające jeszcze miejsce niesynchronizowane, ograniczone co do zasięgu, niewielkie zrywy zrozpaczonej ludności nie mogły już poważnie Krzyżakom zagrozić. Topiono je we krwi szybko i bezwzględnie.

Po uporaniu się z Prusami – przyszła pora na Jaćwież, ostatnią krzyżacką zdobycz w kończącym się stuleciu. Jej podbicie okazało się tym łatwiejsze, że zakon nie był jedynym wrogiem Jaćwingów, którzy wcześniej łupieżczymi wyprawami zyskali przeciwników w ruskich i polskich książełach. Walki z nimi zdecydowanie osłabiły potencjał militarny Jaćwieży. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych kolejne wyprawy prowadzone przez rycerzy w białych płaszczach wdzierały się coraz głębiej w terytorium walecznych pogan, którzy z godnym podziwu męstwem bronili swoich odwiecznych siedzib i zdobywali się na zaskakujące kontruderzenia. Karty zostały jednak rozdane. Kres walk nastąpił w 1282 roku, kiedy poddali się i przyjęli chrzest wodzowie Jaćwiegów na czele ze sławnym Skumandem. Część ludności zbiegła na Litwę, niektórzy znaleźli schronienie na Rusi i w Polsce, większość Jaćwingów przesiedlono na tereny Sambii, Pomezanii i Pogezenia, a wyludnione i zniszczone terytorium, które dotychczas zamieszkiwali, stało się buforem oddzielającym Krzyżaków od Litwy. Musiało minąć dużo czasu, nim ziemie

Jaćwieży znów ożyły dzięki napływającym z różnych stron osadnikom.

W tym samym roku, w którym ustał opór Jaćwingów, Krzyżacy sięgnęli po pierwsze nabytki terytorialne na lewym brzegu Wisły. W Gniewie wybudowali solidny zamek, który stał się siedzibą komtura, i – jak w monografii *Płowce 1331* napisał Piotr Strzyż: „Od tej pory zaczęli też postrzegać Gdańsk jako gospodarczą i polityczną konkurencję dla własnych ośrodków w Prusach”. Musiały upłynąć niemal trzy dekady, aby utracił ten charakter, a w jego murach mógł zagościć krzyżacki komtur. Nim tak się stało, Krzyżacy otrzymali czas na skonsumowanie ostatecznego triumfu nad Prusami i wspierającymi ich pobratymcami. Ale nie tylko nad nimi. Krzyżakom udało się też w ogromnym stopniu rozwiązać problemy wynikające ze skomplikowanych stosunków z miejscową hierarchią kościelną. Ich apogeum przyniosła papieska nominacja wyznaczająca następcę biskupa Chrystiana, Alberta Suerbeera, na arcybiskupa Prus i Inflant. Czując poparcie Stolicy Apostolskiej, usiłował on podporządkować sobie zakon, ale ten ambitny plan nie miał szans na realizację. Krzyżacy nie zamierzali wpuszczać go do Prus i arcybiskup wybrał na swoją siedzibę Rygę. Przez następne lata on i mianowani przez niego biskupi pozostawali w ostrym sporze z zakonem, ale walkę tę ostatecznie przegrali. Spośród czterech biskupstw istniejących na terenach podległych władzy zakonnej jedynie warmińskie zdołało zachować dalece posuniętą niezależność; pozostałe zostały podporządkowane państwu krzyżackiemu, a wielki mistrz i mistrz krajowy stali się zwierzchnikami kościelnymi biskupów i kanoników. Chcąc nie chcąc, jedni i drudzy musieli przyjąć zasady wynikające z reguły zakonnej i przywdziać krzyżacki strój.

Drugie powstanie kosztowało Prusów morze cierpień i krwi. Tyle, aby już na zawsze porzucili myśl o jeszcze jednym równie potężnym zrywaniu. Kiedy na terenach pomiędzy Wisłą a Niemnem przebrzmiał szcęk oręża, doszło do krzyżackiej odplaty. Nie było już mowy o jakichkolwiek umowach i łagodnym potraktowaniu buntowników. Ci, którzy złamali postanowienia ugody w Dzierzgoniu, porzucili chrześcijaństwo i stanęli do walki, nie mogli liczyć na wyrozumiałość. Nie odebrano im życia, ale uczyniono z nich niewolników lub grupę poddanych chłopów. Mieli służyć nie tylko Krzyżakom, ale także swoim pobratymcom, którzy dopomogli zakonowi w podboju. Na czele pruskiej drabiny społecznej stanęły rody kolaborujące z Krzyżakami, które z czasem przeistoczyły się w miejscową szlachtę, zaś na niższym pięttrze ulokowała się warstwa Prusów, którzy nie wzięli udziału w buncie i w nagrodę zachowali majątki; w przyszłości zyskali status „wolnych pruskich”. Części powstańców udało się zbiec w granice ościennych państw, na Ruś, Litwę i do Polski, która zmierzała do zjednoczenia po okresie rozbitcia dzielnicowego. Ten epizod z polsko-pruskiej historii przypominają herby szlacheckie Prus I, II i III, którymi pieczętowały się szlacheckie rody w Koronie. Ród heraldyczny Prus I wywodził się od braci o imionach Windyka i Obizor pochodzących najprawdopodobniej z Sambii. Później przystępowały do tego herbu i dwóch pozostałych inne rody, niekoniecznie o pruskich korzeniach; pieczętowali się nim między innymi małopolscy Turzynci, powołujący się na pokrewieństwo ze św. Stanisławem ze Szczepanowa. Niewykluczone, że ich związki rodzinne z uświęconym w XIII wieku biskupem z czasów Bolesława Śmiałego były tej samej miary, co jego status świętego (pisałem o tym w książce *Drapieżny ród Piastów*).

Niewiele ponad pięć dekad wystarczyło Krzyżakom, aby zbudować własne państwo nad Bałtykiem i osiągnąć cel, jakiego nie udało im się zrealizować ani w Ziemi Świętej, ani w Siedmiogrodzie. Ujścia Wisły, Niemna i Pregoly okazały się ich ziemią obiecaną. Splot fantastycznie sprzyjających okoliczności w połączeniu z hartem, bezwzględnością i konsekwentnie realizowaną wizją sprawiły, że siedmiu mnichów rycerzy Konrada von Landsberga rozpoczęło zdumiewające rozmachem i zadziwiające efektem przedsięwzięcie zakończone podbojem rozległych nadbałtyckich ziem.

Od momentu, gdy przy akompaniamencie bitewnego szczerku towarzyszącego zaciekłym walkom pod Akką pierwsi członkowie będącego w powijakach zakonu udzielali pomocy rannym i chorym krzyżowcom, upłynął niespełna wiek. Historia zna niewiele przykładów dokonań podobnych do tych, jakie stały się udziałem Krzyżaków.

A to był dopiero początek.

## ZAKON OD ŚRODKA

„Zakon ten jest zakonem niemieckim i zakonem Matki Boskiej niemieckiej, ponieważ nie przyjmują oni na brata nikogo, kto nie pochodzi z krajów języka niemieckiego”.

(żyjący w XIV wieku opat Jan Longus z klasztoru Saint-Bertin we Flandrii)

**W**ydaje się, że po przedstawieniu narodzin zakonu krzyżackiego i jego dziejów w Ziemi Świętej, zakończonych w dramatyczny sposób krachem królestwa Akki, a także pokazaniem, jak za pomocą miecza powstawała krzyżacka domena nad Bałtykiem, pora na bardziej wnikliwe przyjrzenie się organizacji i funkcjonowaniu zakonnej maszyny niejako od wewnątrz.

Zakon krzyżacki był doskonale zorganizowaną strukturą. Już w chwili, kiedy na jego czele stawał Hermann von Salza, istniała większość późniejszych urzędów. Najważniejsza postać w zakonie, zwana w pierwszych latach przeorem lub zwierzchnikiem, a następnie mistrzem lub magistrem, dla wyróżnienia i podkreślenia jej rangi, uzyskała miano wielkiego mistrza (*magister generalis*). Wyborem na ten urząd, który miał charakter dożywotni, zajmowała się Kapituła Elekcyjna zwoływana przez brata zastępcę, piastującego czasowo obowiązki zmarłego przywódcy zakonu i przez niego, krótko przed śmiercią, namaszczonego i wyposażonego w pieczęć. Złożona z braci przybyłych z najdalszych nawet posiadłości zakonnych (od

połowy XIII wieku), kapituła, wyznaczała komtura elekcyjnego, który rozpoczynał proces powoływania trzynastoosobowego „kolegium elektorów”. W jego skład wchodził brat kapelan, ośmiu braci rycerzy i czterech „braci w szarych płaszczach” (tzw. sariantów). Kolegium głosami większości wskazywało najgodniejszego z kandydatów. Wielkiemu mistrzowi musieli się podporządkować wszyscy członkowie zakonu. Jednak jego władza nie miała charakteru absolutnego. Była skrzępowana przez kapitułę generalną, obradującą dorocznie w dniu 14 września, w gestii której pozostawał wybór najważniejszych dostojników. Wszystkie istotne decyzje, np. w zakresie ważnych umów i darowizn dokonywanych przez zakon, wielki mistrz mógł podejmować jedynie za jej zgodą. Jest rzeczą zaskakującą, że – jak pisze Militzer – wielcy mistrzowie przez kilka dziesięcioleci nie korzystali z aparatu pomocniczego w postaci własnej kancelarii. W każdym razie jeszcze w połowie XIII wieku nie wspominają o tym statuty zakonne regulujące wewnętrzną organizację i życie zakonu. W podejmowanych działaniach pomagali w tym czasie wielkim mistrzom dobierani ad hoc bracia kapłani i pisarze sporządzający listy i dokumenty. Hermann von Salza zadbał o sporządzenie kopii zakonnych przywilejów i najważniejszych dokumentów pozostających w jego posiadaniu i przeniósł je poza Ziemię Świętą, prawdopodobnie do któregoś z domów zakonnych w Apulii na terenie południowych Włoch. Przed spotkaniami z cesarzem bądź papieżem poręczniej było mu korzystać z tego archiwum, niż odbywać długą i niebezpieczną podróż do Ziemi Świętej, aby zapoznawać się z interesującymi go dokumentami.

W kwestii dodania w tytułaturze przydomka „wielki” – podobnie było z „wielkim komturem” (*commendator magnus*),



zastępcą wielkiego mistrza lub mistrza niemieckiego w głównym domu zakonnym. Analogiczna sytuacja dotyczyła „wielkiego marszałka” oraz „wielkiego szpitalnika”, którzy swój wyróżniający przymiotnik uzyskali po roku 1206. Opisana trójka korzystała z miana tzw. Wielkich Urzędników i na jej barkach spoczywało zarządzanie w Domu Głównym, czyli w siedzibie zakonu (do 1291 roku była nią Akka). Wielki komtur skupiał w swoich rękach prerogatywy wielkiego mistrza w przypadku każdorazowej, choćby krótkotrwałej nieobecności, kiedy zaś trwała ona dłużej (co podróżującemu po Europie bądź uczestniczącemu w krucjatach Hermannowi von Salzie zdarzało się nader często), zastępcę powoływała kapituła. Podczas pokoju wielki komtur miał pieczę nad braćmi, kapłanami i rzemieślnikami, nadzorował warsztaty oraz transport, również rzeczny i morski. Częścią swoich obowiązków dzielił się z „małym komturem” zwanym później „komturem domowym” oraz, przez pewien czas, z „komturem zajmującym się posiłkami”, który dbał o zaopatrzenie w żywność i napoje oraz na specjalne żądanie obsługiwał najwyższych dostojników wraz z gośćmi.

Wielki marszałek i wielki szpitalnik podzielili natomiast pomiędzy siebie obowiązki wynikające ze sfery militarnej oraz związane z funkcjonowaniem szpitali. Szczególnie duże prerogatywy posiadał pierwszy z nich. Podczas wojny podlegali mu bracia-rycerze oraz sarianci. W czasie pokoju, pod nieobecność wielkiego mistrza i wielkiego komtura, zarządzał Domem Głównym. Czując zagrożenie, powoływał braci pod broń i dowodził oddziałami, zastępując nieobecnego wielkiego mistrza, który często zrzekał się na jego rzecz komendy. Marszałek miał do pomocy m.in. wicemarszałka, będącego jego zastępcą i adiutantem, a jeszcze podczas obecności w Ziemi Świętej – turkopoliera,

przełożonego miejscowych oddziałów złożonych z tubylców, tzw. Turkopoli, wypełniającego obowiązki chorążego. Na terenie Prus wielki marszałek był jednocześnie komturem Królewca i nadzorował rozległe komturstwa w Bałdze, Pokarminie, Memlu i Ragnecie. Dowodząc ich wojskami oraz oddziałami z biskupstwa sambijskiego, stał się – obok wielkiego mistrza – najbardziej wpływową osobą w państwie zakonnym.

W 1228 roku grono trzech najważniejszych po wielkim mistrzu urzędników zakonnych poszerzył zarządzający garderobą wielki szatny, natomiast wkrótce po śmierci Hermanna von Salzy u ich boku pojawił się jeszcze wspomniany powyżej skarbnik. Pierwszy z nich zarządzał szwalniami w Domu Głównym, zaś jego najważniejszym obowiązkiem było zapewnienie wszystkim braciom zunifikowanego ubioru. Składały się nań m.in. dwa białe płaszcze zakonne z charakterystycznym czarnym krzyżem, płaszcz z kapturem, po dwie pary pończoch, koszul, podkoszulków, sukmana i obcisły kaftan z rękawami lub bez, tzw. doublet, oraz buty. Ubraniową wyprawkę uzupełniał materac, jasek, kołdra, prześcieradło, worek na słomę. Szatny zaopatrywał braci w elementy ubioru zakładane przez nich pod zbroje, a także nakładane na nie, choćby koszulkę, zwykle bez rękawów, z herbem rodowym rycerza, tzw. jakę.

Jeszcze później (po przeniesieniu siedziby zakonu do Malborka w 1309 roku) grupę najważniejszych krzyżackich dostojników powiększyli wielki szafarz i wielki mincerz. Pierwszemu z nich (któremu szybko przydano kolegę o podobnych uprawnieniach, ustanawiając dla nich siedziby w Malborku i Królewcu) podlegał cały handel, drugi nadzorował natomiast produkcję i wprowadzanie do obiegu pieniądza.

Szczególną pozycję w systemie zarządzania zakonem posiadali komturowie jako zwierzchnicy wspólnot braci-rycerzy. Pełnili oni w podporządkowanych swojej władzy okręgach jednocześnie rolę dowódców wojskowych, jak i administratorów oraz sędziów w sprawach świeckich, a także sprawowali funkcje religijne i kościelne. Każdy z komturów miał zastępcę, wicekomtura, utrzymującego karność i dyscyplinę, zarazem będącego reprezentantem członków konwentu wobec komtura. Jednocześnie niemal każdy z braci miał w swojej pieczy jakiś fragment administracji. I tak dla przykładu „młynarskiemu” podlegały młyny, piekarnie i browary, „rybicki” zarządzał rybołówstwem, „spichlerzowy” zawiadywał spichrzami. Obok nich funkcjonowali kuchmistrz, szatny, ogrodnik, zbrojmistrz, dzwonnik, a także „pan karawanowy” odpowiadający za właściwy stan wozów, rzędów i uprzęży oraz „koński marszałek” zarządzający stajnią.

Członkowie zakonu krzyżackiego dzielili się na braci-rycerzy, braci kapłanów (kleryków i księży), półbraci oraz braci służebnych. Dwie pierwsze grupy odróżniały się od pozostałych noszeniem białych płaszczy z czarnym krzyżem na lewej, serdecznej piersi (podczas pobytu w domu zakonnym, wizyt w mieście, załatwiania niektórych spraw służbowych bracia nosili strój zielony zwany domowym). Bracia kapłani, częstokroć wywodzący się ze stanu mieszczańskiego, zajmowali się duszpasterstwem wśród członków zakonu oraz służbą szpitalną, składali te same śluby co rycerze, cieszyli się dużym respektem i szacunkiem, ale z zasady wszystkie ważne urzędy były dla nich niedostępne (poza baliwatami, gdzie mogli się ubiegać nawet o urząd komtura krajowego). Dla odmiany braciom służebnym zwanym sariantami i mającym status porównywalny z pozycją giermków przysługiwały barwy

szare. Na płaszczach nosili oni dużą literę T (*Taukreuz*), stąd często nazywano ich „braćmi w szarych płaszczach”. Zwykle pochodzili z drobnej szlachty. Składali śluby wieczyste lub czasowe i pełnili niższe funkcje administracyjne, bywali rzemieślnikami, służyli jednocześnie w oddziałach pomocniczych, pieszych lub tworząc chorągwie jazdy lekkobroej. Można ich było spotkać głównie w Palestynie oraz nad Bałtykiem. Oni również, podobnie jak bracia kapłani, byli pozbawieni możliwości piastowania wyższych urzędów. Z czasem sarianci łączyli się z półbraćmi, którzy wywodzili się z grupy świeckich dobrodziejów zakonu. Tych ostatnich nie obowiązywała reguła ani śluby zakonne, ale niezależnie od tego faktu to głównie na nich i posiadanych przez nich wpływach opierała się polityczna siła zakonu. Półbracia nosili ubiory w kolorach szarym, beżowym lub czarnym, a na ich płaszczach, odpowiednio do nazwy, widniała połowa krzyża. Oprócz półbraci istniała jeszcze grupa familiantów, mężczyzn przyjmowanych do zakonu i nadal pozostających w związkach małżeńskich, zobowiązanych do godnego życia i zapisania zakonowi w testamencie schedy spadkowej. W zakonie, co już zostało zasygnalizowane, było również miejsce dla sióstr i „półsióstr”, pracujących w szpitalach oraz w charakterze służebnic; wiele z nich znajdowało do niego drogę, idąc w ślady mężów, braci, synów lub ojców, którzy postanowili przywdziać krzyżacki płaszcz. W XIII wieku na terenie Rzeszy istniały komturie stanowiące wspólnoty kobiet m.in. w Hitzkirch w Szwajcarii. Oddzielny dom kobiecy funkcjonował w Bernie, konwent dla kobiet założono także we Frankfurcie nad Menem. Siostry zakonne stanowiły natomiast rzadkość w Prusach i Inflantach. W dużej części spośród półbraci wywodzili się zarządcy folwarków i okręgów wiejskich zwani komornikami lub podkomorzymi.



Krzyżacy bracia zakonnicy w XIII–XIV wieku według Jana Matejki, 1875 rok.

Wszyscy członkowie zakonu krzyżackiego byli zobowiązani żyć zgodnie z regułą zawartą w statutach. Określała ona sposób wstąpienia w jego szeregi, treść przysięgi, wyznaczała drobiazgowo codzienne zachowanie, obowiązujące standardy moralne, kary za przewinienia itd. Powiedziano już wcześniej, że w sprawach związanych z wojną Krzyżacy opierali się na zasadach przyjętych przez templariuszy, zaś w kwestiach szpitalnych na kanonach joannitów. Problem jednak w tym, że w obu przypadkach istniały różne wersje reguły przyjętej przez dwa starsze zakony. Zresztą nie tylko od nich dokonywali zapożyczeń. Również od zakonu dominikanów powstałego w 1216 roku oraz od cystersów i benedyktynów, przejmując cały szereg definicji i określeń. To był proces doskonale znany każdemu prawnikowi usiłującemu stworzyć możliwie pełną pojęciowo i zawierającą wszystkie istotne zapisy umowę, maksymalnie chroniącą interes mocodawcy, w tym celu sięgającego po różne kontrakty i adaptującego ich postanowienia do

własnych potrzeb. Podobnie postępowali Krzyżacy. Ich reguła kształtowała się przez wiele lat, nim osiągnęła swój końcowy kształt. Niektórzy z badaczy wskazują, że stało się to pomiędzy 1244 a 1251 rokiem, inni zawężają ten okres, odejmując od drugiej ze wskazanych dat dwa lata. Wysuwana była hipoteza, że autorem reguły i statutów zakonnych był blisko związany z Krzyżakami Wilhelm z Modeny, ale zdaniem Militzera nie znajduje ona dość mocnego potwierdzenia w zachowanych dokumentach. Pewne jest natomiast, że pierwsza reguła została sporządzona po łacinie, a dopiero potem przetłumaczona na kilka języków, między innymi francuski i niderlandzki, ze szczególnym potraktowaniem środkowoniemieckiego i dolnoniemieckiego, skąd pochodziła największa liczba członków zakonu, w dużej części nie posługujących się językiem uniwersalnym. Zakon krzyżacki, który budował swoją wewnętrzną strukturę, zapożyczając różnorakie rozwiązania od innych podobnych organizacji, już w pierwszej połowie XIII wieku stał się na tyle znany i popularny, że jego regułę w 1229 roku przejął Zakon Szpitalników Świętego Tomasza z Canterbury w Akkonie.

W pierwszych dziesięcioleciach istnienia zakonu jego nowych członków przyjmował osobiście wielki mistrz z Kapitułą. Potem, wobec lawinowego wzrostu liczby przyjęć, zarzucono ten zwyczaj i ceremoniału dokonywano w komturiach położonych blisko miejsca zamieszkania kandydatów w obecności wysłanników wielkiego mistrza. Jeszcze szybciej zrezygnowano także z wymogu odbycia rocznego nowicjatu przez kandydatów, którzy musieli mieć ukończone czternaście lat. Zezwolenia w tej kwestii już w 1221 roku udzielił Krzyżakom Honoriusz III, prawdziwy dobrodziej zakonu, na wszelkie możliwe sposoby ułatwiający im działalność.

Uroczystość obłóczyn, polegająca na przybraniu w płaszcz zakonny, została z czasem wzbogacona o dodatkowe obrzędy i poświęcenie miecza, czego nie praktykowano w innych zakonach. Wcześniej każdy kandydat na członka zakonu krzyżackiego musiał złożyć ujęte w specjalną formułę śluby, w których przysięgał dochować czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Równie dobrze można byłoby je przedstawić jako zobowiązanie do życia w stanie bezżennym i bez potomstwa, wyzbycia się prywatnego majątku i działania wyłącznie w służbie zakonu w celu pomnażania jego zasobów, a także do bezwzględnego podporządkowania się władzom zakonnym, przede wszystkim wielkiemu mistrzowi. Kandydat musiał przysiąc, że nie boryka się z żadną poważną chorobą, nie jest niczym poddanym, nie posiada żony, nie należy do innego zakonu i nie ciąży na nim długi, gdyż Krzyżacy nie mieli zamiaru ponosić z tego tytułu jakichkolwiek konsekwencji. Reguła obowiązywała w takim samym zakresie w Domu Głównym, jak i we wszystkich domach zakonnych rozrzuconych na terenach wielu krajów. Zasada życia prostego i uczciwego sięgająca do źródeł ewangelicznych nakazywała noszenie skromnego ubioru, wspólne posiłki i grupowy nocleg w przeznaczony do tego sali (tzw. dormitorium). Bracia, poza najwyższymi dostojnikami i posłańcami przewożącymi ważne dokumenty, nie mogli korzystać z zamkniętych szaf i kufrów, aby nie stwarzać podejrzeń o przechowywanie jakichś cennych przedmiotów. Niewykluczone, że odległe echo tej zasady odzywa się w kroju sędziowskich tóg (również prokuratorskich i adwokackich), pozbawionych kieszeni, w których można byłoby cokolwiek schować. Jednym z nakazów był wzajemny szacunek i udzielanie sobie pomocy oraz stronienie od zatargów. Ciekawostką może stanowić fakt, że o ile templariusze, z obawy przed bójkami i

sprzeczkami na tle nadto zaciętej rywalizacji, zabraniali swoim członkom gry w szachy i tryktraka, o tyle reguła Krzyżaków pod tym względem nie była równie surowa. Grę w szachy traktowali oni jako dobry sposób na ćwiczenie koncentracji i logicznego myślenia, co przez niektórych jest z pewną przesadą uznawane również za skuteczną naukę strategii i taktyki. I rzeczywiście, wielu słynnych wodzów namiętnie grywało w szachy. W XIV wieku z wielkim upodobaniem czynił to obdarzony genialnymi wprost zdolnościami organizacyjnymi i wojskowymi analfabeta Tamerlan, dziki i bezwzględny władca ogromnego azjatyckiego imperium; zapalonym szachistą był również wielki książę Witold.

Codzienne życie braci zakonnych bywało monotonne i uciążliwe. Większość czasu wypełniała im służba Boża; od wczesnego świtu aż do wieczora musieli uczestniczyć w modłach i mszach, co zabierało im do siedmiu godzin! Pozostały czas pożytkowali na pracę w domu zakonnym bądź poza nim, na przykład przy pracach w polu, a także na ćwiczenia wojskowe. Mało przyjemny bywał piątek. Tego dnia bracia musieli się samobiczować lub przybierać kogoś ze współtowarzyszy do pomocy w wykonaniu bolesnej pokuty. Ale część obowiązków, na czele z jakże przykrym dla wielu nakazem smagania ciała do krwi, stawała się nieaktualna podczas działań wojennych. Bóg ciągle był ważny i obecny w ich życiu, ale zdecydowanie mniej podczas wojennej zawieruchy, kiedy boska opieka i wsparcie były jednak w niższej cenie niż skuteczne machanie mieczami. Tu miejsce na małą dygresję. Przekonanie o ciągłej, boskiej przychylności w brzmieniu *Gott mit uns* (Bóg z nami) przyjęto jako oficjalną dewizę państwową w Królestwie Prus w 1701 roku, zaś w latach drugiej wojny światowej żołnierze Hitlera dopuszczający się



najbardziej nieludzkich zbrodni mieli na klamrach pasów wygrawerowane te właśnie słowa, nawiązujące nie tylko do XVIII wieku, ale i do czasów, kiedy krzyżaccy rycerze z imieniem Boga na ustach – nieśli śmierć i pożogę. W tym kontekście zdumienie musi budzić fakt, że tak fatalnie zapamiętany przez ofiary niemieckiego nacjonalizmu napis dopiero w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku zniknął na dobre ze sprzączek pasów policyjnych w RFN.

Obowiązujący Krzyżaków zestaw kar, podobnie jak u templariuszy i joannitów, bywał surowy i dzielił się na cztery kategorie. Najłżejsze przewinienia, na przykład nadużycia w jedzeniu i piciu, przez kilka dni karano batami. Udział w kłótniach, nieposłuszeństwo wobec przełożonych czy oddalenie się poza klasztor – zasługiwały na czasowe, trwające poniżej roku pozbawienie płaszcza zakonnego, ścisły post o chlebie i wodzie przez trzy dni w tygodniu, baty i pracę z niewolnikami. Opisaną karę wydłużano nawet do dwóch lat w przypadku kradzieży, grzechu cielesnego, ukrycia prywatnej własności bądź zranienia chrześcijanina. To ostatnie przewinienie, opisane w krzyżackich statutach, stanowiło oczywisty anachronizm i u czytającego musi budzić uśmiech politowania; niemal cała historia zakonu nad Bałtykiem to bezustanne pasmo niegodziwości również wobec chrześcijan, a „zranienie” bywało najczęściej niewartym wspomnienia incydentem. Do najpoważniejszych przestępstw zaliczano apostazję (porzucenie wiary chrześcijańskiej), dezercję, przekupstwo dokonane przy wstąpieniu do zakonu i homoseksualizm. Za takie pogwałcenie zakonnych praw niektórzy z obwinionych trafiali w miejsce o zaostrej regule, inni do końca swoich dni gnili w lochu. Może zaskakiwać, że o ile ci, którzy dopuścili się wykroczenia przeciwko obowiązującej regule, byli z całą bezwzględnością karani, to szeregi Krzyżaków

mogli zasilić ludzie mający na sumieniu najgorsze gwałty i zbrodnie. Już na mocy przywileju wydanego przez papieża Honoriusza III w latach dwudziestych XIII wieku bratem zakonnym mógł zostać człowiek o najmniejszej kondycji moralnej, wyklęty za rozbój i ścigany przez prawo. Aleksander IV nie dość, że w 1258 roku potwierdził ów przywilej, to jednocześnie nadał krzyżackim kapelanom prawo rozgrzeszania każdego nowego brata zakonnego. W ten sposób w jakiejś mierze Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie stał się ostoją różnorakich wyrzutków i przestępców. Zupełnie jak stworzona w XIX wieku przez Francuzów Legia Cudzoziemska. W obu przypadkach odpłacali oni zwykle swoim dobroczyńcom wierną służbą i świetnym wyszkoleniem bojowym. Nie mogli jednak raczej liczyć na długi żywot. Wedle Militzera: „Istnieją pewne wskazówki, zgodnie z którymi mordercy i bandyci stawiani byli przed wyborem albo ścięcia, albo wstąpienia do Zakonu. O ile nam wiadomo, tacy mężczyźni zmuszeni do wstąpienia nie osiągaliby w Zakonie niczego, nie mogli piastować żadnych urzędów i z reguły byli osadzani albo w Palestynie, albo w strefie Morza Bałtyckiego, gdzie prawdopodobnie szybko padali w walce”. Ci, którzy zamiast dostąpić zaszczytu oddania życia w boju przeciwko poganom, pod wpływem strachu bądź z wyrachowania zdecydowali się na porzucenie służby, byli ścigani i karani z największą bezwzględnością, tak aby ich przykład działał odstraszająco na innych.

Zakonowi krzyżackiemu, mimo wszystko, przez cały czas jego istnienia udawało się zachować elitarny charakter. Stało się tak dzięki geograficzno-narodowościowemu zawężeniu grupy, z której mogli się rekrutować bracia-rycerze i kapelani. Jego członkowie wywodzili się niemal wyłącznie z obszaru niemieckojęzycznego. Poniekąd dowodzi tego

nieudana próba połączenia szpitalników Ducha Świętego „de Saxia” z Krzyżakami podjęta z inicjatywy tych pierwszych w 1376 roku. Wspomniany wcześniej książę Racibor należał do wyjątków, podobnie jak żyjący w następnym stuleciu Henryk, syn księcia ziebickiego Mikołaja. Znane są liczne przypadki rycerzy i arystokratów spoza kręgu krajów, o których pisał opat Longus, którzy bezskutecznie ubiegali się o zaszczyt nałożenia na siebie białego płaszcza z czarnym krzyżem. Ale też wiadomo, że dla baliwatu lotaryńskiego przetłumaczono na język francuski zakonne statuty i w krzyżackich szeregach pojawiali się bracia o wyraźnie nieniemieckich imionach, zaś od pewnego momentu bez problemu mogli nimi zostać Szwedzi i Duńczycy. Dodatkowo na elitarność zakonu wpływał fakt, iż bracia-rycerze mogli się wywodzić jedynie z rodów rycerskich i arystokratycznych. Ale i w tym przypadku istniały wyjątki. Początkowo do zakonu przenikali pojedynczy bogaci mieszczanie, a szczególnie uprzywilejowani pod tym względem byli synowie patrycjuszowskich rodzin z wielkich miast niemieckich – Kolonii, Norymbergi, Lubeki, Augsburga. Przedstawicielem takiego bogatego i powszechnie szanowanego rodu był Karol z Trewiru (Karl von Trier), który dostąpił najwyższego możliwego zaszczytu i został wielkim mistrzem zakonu w latach 1311–1324. Zresztą wśród jego członków znalazło się łącznie aż dwunastu von Trierów, z kolei ośmioro (były wśród nich również kobiety) wstąpiło w szeregi dominikanów bądź cystersów. Jeżeli już wspomniano o wielkim mistrzu, to od założenia zakonu krzyżackiego do 1497 roku ten najważniejszy urząd piastowało dwóch przedstawicieli rodów książęcych, jedenastu pochodzących z możnych rodów i aż dwudziestu dwóch urodzonych w mało znanych i niewiele znaczących rodzinach rycerskich.

Zbliżony rozkład, jak się można domyślać, mógł dotyczyć również innych najwyższych stanowisk. Powyższe zestawienie dowodzi, iż złożenie krzyżackich ślubów zakonnych dla wielu bywało wstępem do zrobienia wielkich karier, nie tylko rozślawiających ród, ale i dających istotny wpływ na europejską politykę, w której zakon w kolejnych dziesięcioleciach swojego istnienia zaczął odgrywać coraz bardziej znaczącą rolę. W późniejszym czasie drzwi do niego zatrzasnęły się jeszcze szczelniej, choćby dla ludzi z ogromną fortuną, ale bez wymaganego pochodzenia, i aby się do niego dostać, należało przedstawić wywód szlachecki z dokładnym, udokumentowanym spisem swoich rycerskich przodków.

Krzyżacy zapożyczyli od starszych zakonów nie tylko postanowienia reguły, ale wzorowali się na nich także w kwestiach organizacyjnych, dokonując odpowiednich modyfikacji wynikających z ich potrzeb. Jeśli Dom Główny i wielki mistrz wieńczyli zakonną strukturę, to jej podstawę wyznaczała komturia, czyli osada lub dom zakonny z przynależnymi dobrami, poddany władzy komtura. Reguła określała, że w komturii powinno przebywać dwunastu braci, tyłu, ilu uczniów miał Jezus, ewentualnie wielokrotność tej liczby. W większości krzyżackich komturii, szczególnie rozlokowanych w krajach Rzeszy Niemieckiej i w rejonie śródziemnomorskim, znajdowało się zwykle mniej braci-rycerzy i jedynie w miejscach, gdzie zakon toczył walki z niewiernymi i poganami, w Palestynie i nad Morzem Bałtyckim, bywały one rozrośnięte liczebnie. Każda komturia miała co najmniej jednego brata kapłana odpowiedzialnego za jej życie religijne, celebrującego msze święte i jednocześnie pełniącego obowiązki proboszcza w kościele pozostającym w pieczy Krzyżaków. Komturie ściągały daniny i inne dochody z podległego sobie

terytorium, których nadwyżki kierowane były do Domu Głównego lub bezpośrednio do rejonów, gdzie Krzyżacy prowadzili działania wojenne. Komturie łączone były w prowincje (baliwaty) na czele z komturem krajowym (Landkomturem) wyposażonym w szerokie uprawnienia w sferze organizacyjnej, fiskalnej i gospodarczej. Baliwaty zorganizowane w „prowincję niemiecką” w liczbie trzynastu powstały głównie na terytorium Rzeszy (heski, saski, westfalski, brandenburski, frankoński, alzacko-szwabsko-burgundzki, brandenburski, tyrolski, utrechcki, lotaryński, austriacki, niderlandzki, czesko-morawski i turyński) i w Italii (lombardzki, apulijski, sycylijski). Ponadto funkcjonowały baliwaty francuski, armeńsko-cyprijski, romański na terenie Peloponezu, a także koblencki podległy bezpośrednio wielkiemu mistrzowi. Poza wymienionymi istniał baliwat chełmiński w Prusach, jedyny w całym rejonie nadbałtyckim. Tam gdzie ich nie utworzono, władzę nad komturiami sprawowali mistrzowie krajowi – niemiecki, pruski i inflancki. Z mistrzem niemieckim, cieszącym się od początku wysokim statusem i powagą, z czasem zrównali się znaczeniem dwaj pozostali mistrzowie krajowi i wszyscy trzech wywalczyli sobie pozycję tuż za wielkim mistrzem, dystansując pod względem prestiżu i posiadanej realnej władzy wąską grupę najwyższych zakonnych dostojników, o których była mowa na początku rozdziału. Od połowy XIV wieku funkcję krajowego mistrza pruskiego przejął wielki mistrz.

Pomimo zarezerwowania najwyższych stanowisk dla przedstawicieli znaczących rodów w zakonie krzyżackim, co stwierdza Militzer: „Ton życiu nadawała szlachta ministeriałów lub tzw. niższa szlachta”. To właśnie z tej warstwy pochodziła zdecydowana większość braci rycerzy. Wstępując do zakonu, podobnie jak Hermann von Salza,

mogli oni liczyć na zmianę statusu i zrobienie kariery. Wielu z nich, sięgając po najwyższe stanowiska zakonne, przeżywało coś, co poza jego strukturami było niemal niemożliwe: stawali się przełożonymi synów rodzin możnowładczych, częstokroć wywodzących się z rodzin dynastycznych.

W 1382 roku, na mocy uchwały kapituły generalnej, dotychczasowi bracia-rycerze przemianowali się na „panów”, co dodatkowo, w zakresie tytułatury, miało podkreślić ich elitarną pozycję. W sferze wizualnej czyniły to ściany zamków i kościołów obwieszane portretami, chorągwiami i tarczami ze znakami herbowymi, a także wykonane z najwyższą starannością i bogactwem szczegółów nagrobki, również opatrzone herbami. Był to już okres, kiedy od kilkudziesięciu lat nie istniał zakon templariuszy, a rola podupadłych w międzyczasie w świecie chrześcijańskim joannitów zdecydowanie się zmniejszyła i Krzyżacy, pod względem zasięgu oddziaływania, siły militarnej, posiadanych dóbr i potęgi politycznej – nie mieli konkurencji w jakiegokolwiek innej organizacji. Panami, nie tylko z nazwy, stali się z pewnością w Prusach Zakonnych. I tak się zachowywali, tworząc zamkniętą niemal szczelnie kastę, do której wejść mogli jedynie przybysze z Rzeszy. Charakterystyczne było, że miejscową szlachtę pruską traktowali jako wolnych chłopów, nigdy zaś w sposób porównywalny do siebie samych. Dostępowała ona pasowania na rycerzy, ale i tak nie zmieniało to wiele w kwestii towarzyszącego Krzyżakom poczucia wyższości i lekceważenia dla uhonorowanych w ten sposób potomków podbitych przez nich pogan. Ambicje „panów pruskich”, proporcjonalnie do stopnia ich elitarności, ciągle rosły, a powiększające się krzyżackie państwo, niczym ciemna, gradowa chmura, zawisło nad Polską. Znając agresywną

politykę zakonu i jego drapieżność, trudno było się spodziewać, że nie zwiastują one nadciągającej burzy.

Pozostawało jedynie pytanie: kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach nastąpi jej początek?

## GDAŃSKA ZDRADA; WOJNA Z POLSKĄ

„Przyczajenie się i błyskawiczne wkroczenie na Pomorze Gdańskie było politycznie majstersztykiem, co prawda nie bardzo odpowiadającym zakonowi duchownemu”.

(żyjący w XX wieku wielki mistrz Krzyżaków Marian Tumler, cytowany przez Hartmuta Boockmanna)

**P**ierwszy i od razu krwawy konflikt polsko-krzyżacki wybuchł w miejscu, które w drugiej połowie XIII wieku i na początku XIV zamieniło się w tygiel waśni i sporów. Było nim Pomorze Gdańskie. Jeszcze przed zjednoczeniem Polski, pod krótkimi, trwającymi półtora roku rządami Przemysła II, usiłowała je opanować marchia brandenburska, która zajęła niektóre ziemie Pomorza Zachodniego i część Wielkopolski. Brandenburczykom udało się przejściowo zdobyć Gdańsk, ale zostali z niego szybko wyparci, co jednak nie odebrało im ochoty na ekspansję w kierunku ujścia Wisły. W 1300 roku na Pomorzu Gdańskim ponownie pojawił się pretendujący do roli zjednoczyciela polskich ziem Władysław Łokietek, który już cztery lata wcześniej dokonał jego objazdu. Był jednak zbyt słaby, żeby się skutecznie przeciwstawić królowi czeskiemu Wacławowi II, który również zgłosił pretensje do władztwa nad Polską i zajął jej północne terytoria. Zresztą jednocześnie zostały one zaatakowane przez wojska książąt rugijskich. Opór stawili im pospółu starosta i wojewoda pomorski Świąca, wraz z członkami najbliższej rodziny i

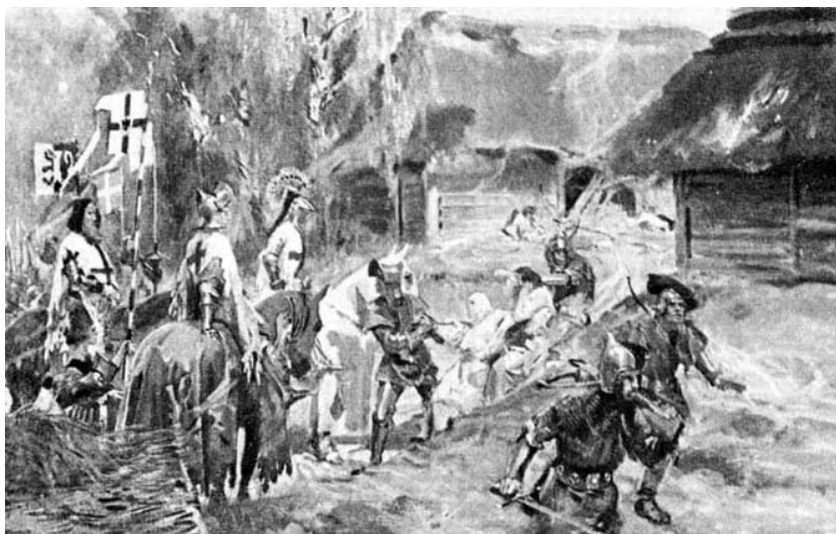


oddanym im rycerstwem trzęsący prowincją, oraz wezwani na pomoc Krzyżacy, którzy już od czasów wojny ze Świętopelkiem pożądlwie patrzyli na Gdańsk. Podczas trwającej przez kilkanaście miesięcy wojny z Rugijczykami Krzyżacy weszli do Gdańska, jednak nie zdołali go utrzymać w swoich rękach. Wyparło ich stamtąd pomorskie rycerstwo pod wodzą wysługujących się Waławowi Święców; zakon otrzymał jednak od niego nadania na lewym brzegu Wisły i w okolicach Gniewu. Krzyżacy liczyli na więcej, ale skoro z tortu udało się im wykroić tylko niewielki kawałek, to postanowili poczekać na stosowniejszą chwilę, aby skonsumentować go w całości. Cierpliwość i konsekwencja zawsze stanowiły ich mocną stronę.

Kolejna szansa na realizację ambitnego planu pojawiła się zaledwie kilka lat później. Najpierw jednak Krzyżacy przeżyli trudną chwilę, kiedy wyszło na jaw, że następca i syn Waławowa II, Waław III, zamierza przekazać Pomorze Gdańskie margrabiom brandenburskim w zamian za Miśnię. Zamiary te przekreśliła śmierć króla zgładzonego w skrytobójczym zamachu. Ciosy sztyletem nie tylko zakończyły dzieje królewskiej linii Przemyślidów, ale również otworzyły kolejny akt krwawego zatargu o ceną i tak bardzo pożądaną przez wielu władców prowincję. Na zabójstwie Waławowa III najbardziej skorzystał Łokietek – fakt ten zapewne skłonił wielu do snucia podejrzeń o zlecenie przez niego zamachu – i to on, uprzedzając Brandenburczyków i Krzyżaków, zajął Pomorze Wschodnie. Święcowie pozostali na swoich dotychczasowych stanowiskach, ale wkrótce zrazili się do Łokietka na tle rozliczeń finansowych w związku z poniesionymi przez jednego z nich, starostę Piotra Święcę, kosztami obrony ziemi słupskiej przed Brandenburczykami. Książę spłatę poręczył, a następnie nie wywiązał się z zobowiązania.

Potem zaś, jak często bywa w podobnych przypadkach, urażeni i mocno uprzedzeni do księcia Święcowie przyjęli wyciągniętą do nich przez dotychczasowych wrogów rękę i przeszli na ich służbę. Dla Brandenburczyków, zamierzających upomnieć się o przyrzeczone im przez Waclawa III Pomorze Gdańskie, okazali się nieocenionym sojusznikiem. Podczas spotkania w Lędowie, na ziemi sławieńskiej, latem 1307 roku zawarto układ, w którym Święcowie gremialnie poddali się władzy Brandenburczyków, przekazując im wszystkie swoje ziemie i grody. W literaturze często zarzuca się Święcom wcześniej zaplanowaną i w pełni wyrachowaną zdradę, co nie odpowiada prawdzie, ale z pewnością stawia ich w złym świetle i jednocześnie zdejmuje winę z późniejszego króla Polski. Jak widać, nie do końca zgodnie z faktami. Dodać w tym miejscu wypada, że właśnie podczas pobytu na Pomorzu na przełomie 1306 i 1307 roku Łokietek po raz pierwszy obok dotychczasowej tytułatury księcia krakowskiego, sandomierskiego, pomorskiego, kujawskiego, łęczyckiego i sieradzkiego użył formuły „prawdziwy dziedzic całego królestwa polskiego”. W tamtym czasie ten przejaw wielkiej dynastycznej ambicji mógł u wielu wywołać jedynie uśmiech politowania. Budzący uśmiechy swoją marną postacią (wedle wielu przekazów był mężczyzną liczącym poniżej stu pięćdziesięciu centymetrów wzrostu, czemu zawdzięczał mało rycerski przydomek) książę musiał przebyć długą drogę, aby je zgasić na ich obliczach. W miejsce Święców zarząd Pomorza powierzył Łokietek swoim dwóm bratankom, Przemysławowi i Kazimierzowi, książętom kujawskim. Pierwszy z nich miał w pieczy jego południową część i za siedzibę obrał Świecie, drugi swoją rezydencją ustanowił Tczew. W samym Gdańsku przebywał sędzia Bogusza. Łokietek, poinformowany przez szpiegów o

konszachtach pomiędzy Brandenburczykami i Święciami, wykonał uprzedzający ruch i wkroczył z rycerstwem małopolskim i kujawskim na Pomorze. Przywódca Święców, Piotr z Nowego, został uwięziony; namiestnikiem Gdańska i północnej części Pomorza książę ustanowił Boguszę, a ziemi tczewskiej – swojego bratanka Kazimierza. Łokietek tylko nieznacznie zdołał odsunąć w czasie brandenburskie uderzenie. Margrabiowie Waldemar i Otto IV ze Strzałą, w ścisłym współdziałaniu ze Święciami, zaatakowali latem 1308 roku. Ich połączone siły liczyły około trzystu rycerzy i co najmniej drugie tyle niższych rangą wojowników. Na przełomie sierpnia i września ta niewielka armia, bez prób jej powstrzymania przez Boguszę i wspierającego go kasztelana gdańskiego Wojciecha, podeszła pod bronione przez nich miasto. Trudno się dziwić brakowi reakcji z ich strony. Mieli do dyspozycji jedynie garść zbrojnych, a ani Łokietek, pacyfikujący akurat bunt wójta Alberta w Krakowie, ani książę Kazimierz nie nadesłali żadnych posiłków. Ten drugi zalecił jedynie, aby załoga strzegła grodu „bacznie i wiernie”.



Reprodukcja obrazu Wojciecha Kossaka *Łowy na ludzi. Apostolstwo Krzyżackie*, 1909 rok.

Gdańsk z początku XIV wieku nie mógł zaimponować wielkością ani liczbą mieszkańców, a jego znaczenie jako portu wiązało się z położeniem. Składał się z osady miejskiej zajmującej rejon dzisiejszego Starego Miasta oraz z grodu książęcego, połączonego z podgrodziami zamieszkałymi przez około dwa i pół tysiąca osób, i rozpościerał się na obszarze niespełna trzech hektarów. Siedziba władcy była niewielka, średnica podwórca dochodziła do osiemdziesięciu metrów, a załoga mogła liczyć od trzystu do pięciuset ludzi. Gród i podgrodzia były bardzo dobrze zabezpieczone przed atakiem wałami drewniano-ziemnymi, wzmocnionymi dodatkowo kamieniami. To była trudna do sforsowania przeszkoda, zarówno od strony lądu, jak i z łodzi na Motławie. Jednak walory obronne Gdańska okazały się zbyt słabym atutem w obliczu wroga. W jego murach Brandenburczycy mieli swoich zwolenników, którzy w decydującym momencie szturmowi wsparli atakujących, co

pozwoili im bez wikszych strat zajac miasto. Grod sie jednak oparl, ale wobec intensywnego ostrzalu i kurczacych sie zapasow zywnosci – czas gral na niekorzyść jego obrońców. Bogusza, namowiony przez przeora klasztoru dominikanow, postanowil wezwac na pomoc Krzyzakow, podobnie jak przed sześciu laty. Udao mu sie wymknac z twierdzy i dotrzeć do Elblaga, gdzie z mistrzem krajowym Henrykiem von Plotzkiem ustalil warunki, na jakich Krzyzacy zgodzili sie przyjść z pomocą gdańskiemu grodowi. Mieli go przejac na rok i broniec w tym czasie na wlasny koszt, po czym, gdyby zaszla konieczność dalszego pozostawienia załogi, poniesione z tego tytulou wydatki zrekompensowaliby w pełni Polacy. Wkrotce jednak, na ządanie Łokietka, zmieniono pierwotne ustalenia i Krzyzacy przejęli jedynie mniejszą część grodu. Pierwszemu przybytemu oddziałowi przewodzil komtur krajowy ziemi chełmińskiej Günter von Schwarzburg. Jego liczebność byla niewielka, ale pojawienie sie Krzyzakow spowodowalo opowiedzenie sie po stronie sędziego Boguszy, a tym samym i Łokietka, części pomorskiego rycerstwa, które dotychczas zajmowalo postawę wyczekującą, obserwujac przebieg wypadkow i nie chcąc nieopatrznie stanac po stronie slabszego. Teraz, w przekonaniu wielu, los przegranego byl pisany Brandenburczykom i Świecom. Nie pomylili sie w swojej ocenie. Niedlugo potem przybly krzyzackie posilki i ich oddzial powiekszy sie do okolo czterystu ludzi, w tym dwustu bialych plaszczy. Rycerzom zakonnym i wspoldzialajacym z nimi Polakom udao sie rozbić w okolicy Kościerzyny pomoc nadeslaną z Nowej Marchii dla wojsk zajmujacych Gdańsk i wkrotce, po kilku przegranych starciach w jego sasiedztwie, Brandenburczycy zamienili sie z oblegajacych w oblezonych. W powstalej sytuacji jedynym sensownym zachowaniem z ich punktu widzenia stalo sie

wycofanie, dopóki było to jeszcze możliwe. Ale wraz z napływem kolejnych krzyżackich oddziałów wyraźnie zaczęły psuć się stosunki z Boguszą i podległą mu załogą. Do ich dramatycznego zaognienia doszło w chwili pojawienia się w Gdańsku Henryka von Plotzkego, który poczuł się zaskoczony zmianą ustaleń dotyczących wydania grodu i poczytał ją za próbę oszukania zakonu przez Łokietka. Krzyżacy zatrzymali namiestnika i zażądali wydania reszty grodu. W odpowiedzi Polacy twardo upomnieli się o swojego dowódcę. Doszło do starcia, padli pierwsi ranni i zabici. Ale udało się jeszcze zażegnać groźbę wybuchu poważniejszych walk. Bogusza odzyskał wolność, Polacy wydali swoją część grodu, a Krzyżacy w dokumencie podpisanym i opieczętowanym przez komtura Henryka von Plotzkego zobowiązali się bronić go nadal i wydać po ustaniu niebezpieczeństwa, natychmiast po wypłacie równowartości poniesionych przez nich wydatków.

Chyba właśnie wówczas, albo krótki czas później, uświadomili sobie, jak słaba musi być jednocząca się w znoju Polska, skoro namiestnik Łokietka zgodził się przekazać im w posiadanie najważniejszy gród Pomorza wraz z Wisłoujściem, stanowiący okno na Bałtyk. I jeśli nawet wcześniej nie planowali jego zagarnięcia, to od tego momentu taka myśl stała się im bliska niezależnie od wizerunkowych i propagandowych strat, jakie mogły się z tym wiązać. Teraz sprawy potoczyły się szybko i w sposób tragiczny dla mieszczan oraz przebywających w Gdańsku kilkunastu rycerzy. W żaden sposób niesprowowokowani Krzyżacy uderzyli na miasto i po kilku dniach walk, w nocy z 12 na 13 listopada 1308 roku, wdarli się w obręb murów. Nastąpiło pandemonium okrucieństwa. Rozpętana rzeź, która zaczęła się już po zdobyciu Gdańska, nie była podyktowana względami czysto wojskowymi, lecz miała

spełnić jednocześnie dwa cele: usunąć spośród żywych stronników Łokietka i Brandenburczyków, a jednocześnie przerazić mieszkańców i załogi innych pomorskich miast i grodów, odbierając im chęć stawiania oporu. Długosz pozostawił przejmujący obraz krzyżackich mordów w Gdańsku: „Wrogowie wpuszczeni przez jedną bramę zajmują miasto, a wszystkich rycerzy, panów i szlachtę pomorską i – co jest okrutniejsze – wszystek lud mordują i różnymi sposobami pozbawiają życia. A nie przepuszczają nikomu z Polaków, nie oszczędzają żadnego stanu, żadnej płci ani wieku. Zarówno dorosłych, jak młodzież, dzieci i niemowlęta przy piersi bez miłosierdzia mordują (...) Rzadko dawniej wylano więcej polskiej krwi przy zdobywaniu jakiejś miejscowości, rzadko rzeź była bardziej nieludzka. Nie było żadnego rodzaju gwałtu i okrucieństwa, którego by ku zatracie Polaków nie użyła sroga ręka wrogów”. Z opisu kronikarza można odnieść wrażenie, że pod krzyżackimi mieczami padły tysiące mieszkańców Gdańska; w korespondencji przerażonego „wyczynem” zakonników papieża pojawić się miała liczba dziesięciu tysięcy zabitych. Jednak to mit, podobny do wielu innych, mocno zakorzeniony w świadomości i równie mocno odbiegający od rzeczywistości. We współczesnej polskiej historiografii pojawiają się dane zdecydowanie niższe, w niektórych przypadkach wręcz zaskakująco niskie. Należy bowiem przyjąć szacunek określający liczbę zamordowanych na „nie więcej niż stu”, jak rzecz ujmuje Kazimierz Jasiński w szkicu *Zajęcie Pomorza Gdańskiego przez Krzyżaków w latach 1308–1309* i w czym wtóruje mu Marian Biskup na kartach *Wojny Polski z Zakonem Krzyżackim 1308–1521*. Bliższa prawdy wydaje się ocena wskazująca na kilkaset do około tysiąca ofiar, tak jak to opisuje chociażby Błażej Śliwiński w książce *Rzeź i zniszczenie Gdańska przez Krzyżaków w 1308 roku*. Ile by

ich nie było, budząca grozę wieść o barbarzyństwie Krzyżaków rozniosła się lotem błyskawicy po Pomorzu Wschodnim, całkowicie paraliżując wolę walki. Nieliczne wojska zakonu z łatwością opanowały jego większą część, z wyjątkiem Świecia i sąsiadujących z nim terenów. Początkowo niektóre z osad były doszczętnie grabione i palone, jak Nowe i gród w Tczewie, którego załoga nie podjęła walki, ale Krzyżacy szybko doszli do przekonania, że nie warto niszczyć czegoś, co przy odrobinie szczęścia może przecież przejść na ich własność. Tragiczny los spotkał jednak i Gdańsk, gdyż Krzyżacy bali się, że powtórnie może wpaść on w ręce Brandenburczyków, to zaś mogło oznaczać wzięcie ich w kleszcze, gdyż spodziewali się także walki z Łokietkiem. Wszystko, co ocalało z poprzednich działań – mury i część domostw – zostało w ciągu kilku tygodni rozebrane rękami pozostałych przy życiu mieszczan. Oni sami, pozbawieni dachu nad głową, zmuszeni byli zadbać o swój los na progu nadchodzącej zimy, a to nie należało do rzeczy łatwych.

W końcu kwietnia na Kujawach we wsi Grabie doszło do spotkania Łokietka z krzyżacką delegacją, której przewodzili Henryk von Plotzke i Günter von Schwarzburg. Uczestnicy żywili do siebie trudną do ukrycia wrogość, ale podczas rozmów nie doszło do żadnych incydentów. Zakon zadeklarował zwrot zajętych ziem, ale po wpłaceniu przez księcia stu tysięcy grzywien odszkodowania, czyli sumy, jakiej w praktyce Łokietek nie był w stanie im zapłacić. Krzyżacy zachowali się jak oferent, który nie życzy sobie, aby jego propozycja została przyjęta; nikt im nie mógł zarzucić, że nie podjęli negocjacji i nie chcieli w sposób ugodowy zakończyć sporu. Był to jedynie propagandowy teatr z pozornie dobrą wolą w roli głównej. Rozmowy zostały zerwane. Krzyżacy tylko na to czekali i szybko zadbali, aby



usankcjonować zdobycz w możliwie najlepszy sposób. Posłużyła do tego transakcja z Brandenburczykami, którzy sprzedali im Pomorze Gdańskie za niemal symboliczną, dziesięciokrotnie mniejszą od żądanej od Łokietka sumę. Swoje kruche prawa własności wywiedli z niedoszłej do skutku zamiany, o której wspomniał Waclaw III. Dodatkowo margrabiowie zobowiązali się do nakłonienia Rugijczyków i książąt głogowskich do zrzeczenia się roszczeń do Pomorza i uzyskania potwierdzenia transakcji przez cesarza. Jakby podsumowaniem doskonałego interesu, jaki zrobił zakon, stało się zwycięskie oblężenie Świecia, będącego ostatnim gniazdem polskiego oporu nad dolną Wisłą. Krzyżakami nominalnie dowodził Henryk von Plotzke, ale pod jego częstą nieobecność w obozie komenda spoczywała w rękach komtura gniewskiego Zygfryda. Z przerwami na negocjacje – Polacy inicjowali rozmowy pokojowe, mając nadzieję, że zyskają na czasie i doczekają się odsieczy z głębi kraju – walki o leżącą u ujścia Wdy do Wisły twierdzę trwały przez dwa miesiące. Po raz pierwszy Krzyżacy spotkali się z zaciętym oporem, którego długo nie mogli przełamać ani groźbami, ani ostrzałem z machin oblężniczych. Jak zanotował Długosz: „(...) Krzyżacy z czterech potężnych bombard bili z całej siły we dnie i w nocy w grodowe wały”, przy czym, jak to często u niego, doszło do przekłamania; kronikarz pomylił maszyny miotające z bombardami, które na polskich ziemiach jako artyleria oblężnicza pojawiły się dużo później. Świecie miało liczną załogę, o co zawczasu zadbał Łokietek, a ponadto pod miasto zaczęły nadchodzić z odsieczą oddziały z różnych dzielnic Polski, potwierdzając, iż wojna z Krzyżakami stała się sprawą o charakterze ogólnokrajowym. Ostatecznie twierdzy nie zdołano obronić; załoga, po uzyskaniu przyrzeczenia wolnego opuszczenia grodu, wydała go Krzyżakom. Na decyzję o kapitulacji mogli

wpłynąć różne przyczyny, chociażby wyczerpujące się zapasy. Być może jednak najbardziej przyspieszył ją jeden z obrońców, zapewne pozostający w zмовie z Krzyżakami, który „grodowe maszyny obronne, kusze i inne potajemnie i skrycie połamał i zniszczył i cięciwy kusz przeciął”.

Obleżenie obfitowało również w inne dramatyczne momenty. Opisując je, Długosz uznał za stosowne poświęcić kilka linijek tekstu wspomnianemu komturowi Gniewu Zygfyrdowi, który podobno zwykł wyjeżdżać z obozu objuczony linami i zaklinał się, że nie zje posiłku, nim nie użyje ich na wieszanie Polaków. I rzeczywiście, ze świeckich murów można było z łatwością dostrzec las szubienic udekorowanych głównie zwłokami schwytyanych, miejscowych chłopów. Okrucieństwo komtura przydało mu wśród Krzyżaków sławy, ale – jak z satysfakcją pisze kronikarz – spotkała go sprawiedliwa odplata. Oto „kiedy bowiem pewnego dnia grzał przy ognisku zmarznięte członki, nagle chwycił go diabeł, udusił i wrzucił do ognia”. Być może Zygfyrd przez przypadek wpadł do ognia? Jakaż jednak średniowieczna kronika mogła się obyć bez takich opowieści! Ale upłynąć musiało następnych kilkaset lat, nim przeminęły bajania o boskiej sprawiedliwości i diabelskich sztuczках. Choć nie do końca...

Zdobycie Pomorza Gdańskiego było jednym z najważniejszych osiągnięć w dziejach zakonu krzyżackiego. To, co zapewne i tak by się w końcu stało, stanowiąc konsekwencję istniejącej sytuacji politycznej, kierunku ekspansji Krzyżaków i porównania wzajemnych sił, przyszło aż nadto łatwo i trochę niespodziewanie dzięki nadzwyczajnemu zbiegowi sprzyjających wydarzeń. Słaba ofiara sama oddała się na łaskę swego oprawcy, prosząc go o pomoc i naiwnie oczekując, że nie skorzysta z nadarżającej się wspaniałej sposobności.

Jednak gdański nabytek mógł stać Krzyżakom kością w gardle. Posypały się na nich liczne skargi, które dotarły również do papieża. Sytuacja była o tyle delikatna i zarazem skomplikowana, że Ojciec Święty od kilku lat przebywał wraz ze swoim dworem w Awinionie, w „niewoli” króla Francji Filipa IV Pięknego, który postanowił bezwzględnie rozprawić się z największym i najślawniejszym zakonem rycerskim, jakim byli templariusze. Nie ukrywał również, że chętnie przejąłby kontrolę nad pozostałymi zakonami, odbierając im przy okazji ogromne majątki. Nie bez znaczenia był fakt, iż w Awinionie długimi okresami przebywał zmuszony do opuszczenia Inflant arcybiskup ryski Fryderyk. Podobnie jak jego poprzednicy sprawujący tę godność pozostawał w ostrym konflikcie z Krzyżakami i był im gotów możliwie mocno zaszkodzić. I to właśnie pod wpływem działań Fryderyka w 1311 roku w Inflantach pojawił się papieski wysłannik Franciszek de Moliano, aby zbadać zasadność skarg kierowanych przeciwko zakonowi. Tworzyły one ogromną listę złożoną z dwustu trzydziestu zarzutów. Niektóre dotyczyły zaboru Pomorza Gdańskiego. W punkcie dwudziestym piątym owego dokumentu widniał zapis mówiący o najeździe Krzyżaków na ziemię króla polskiego i wymordowaniu w Gdańsku ponad dziesięciu tysięcy ludzi, w tym nawet dzieci w kołyskach. To był na tyle mocny zarzut, chociaż przerysowany w zakresie liczby ofiar, aby niektórzy z braci zakonnych poczuli się nieswojo. Przykład gnijącego w lochu wielkiego mistrza Jakuba de Molay i niemal całej starszyny templariuszy (likwidacja zakonu miała nastąpić 3 kwietnia 1312 roku, a dwa lata później wielkiego mistrza czekała śmierć na stosie) z pewnością musiał silnie oddziaływać na wyobraźnię.

Nie na tyle jednak, aby Krzyżacy mieli poważnie wziąć pod uwagę zwrot zagrabionych ziem albo wypłatę

stosownego wynagrodzenia finansowego na rzecz Łokietka i jego poddanych. Kolejne starcie za jego panowania miało pokazać, że Polska i jej władca są ciągle zbyt słabi, aby skutecznie się o nich upomnieć.

## ODNOWIONY KONFLIKT

„Tego samego roku na jesieni Łokietek, król Polski (...) wdarł się do ziemi chełmińskiej i (...) przez dziesięć dni wspomnianą ziemię plądrował i niszczył ogniem”.

(Piotr z Dusburga w *Kronice Ziemi Pruskiej* o rajdzie polskich wojsk w 1330 roku)

**R**ozmowy prowadzone między Polską a zakonem krzyżackim dowiodły, że unormowanie ich stosunków na drodze pokojowej nie jest możliwe. Argumenty i oczekiwania każdej ze stron były nazbyt rozbieżne, aby mogło dojść do trwałej ugody. Proces inowrocławski jedynie zaognił istniejący konflikt. Było jasne, że ostateczną rację będzie miał ten, kto przeforsuje ją przy użyciu oręża. To była twarda logika epoki, w której jeszcze do niedawna o winie lub niewinności rozstrzygały ordalia – sąd boży oparty na przeświadczeniu, że „Bóg daje zwycięstwo tylko sprawiedliwemu”, w rzeczywistości preferujący siłę i sprawność bojową oskarżonego (w 1215 roku zniósł je IV sobór laterański, w Polsce zniknęły na początku XIV wieku; ciekawostką stanowi fakt, że w Anglii parlament zniósł formalnie ów sposób dowodzenia swojej niewinności dopiero na początku XIX wieku, po tym, jak pewien oskarżony o morderstwo Anglik zażądał pojedynku sądowego celem odsunięcia od siebie zarzutów).

Krzyżacy, na czele których od 1324 roku stał Werner von Orseln, kumulujący w swoich rękach również urząd mistrza

krajowego Prus, działania przeciwko Polsce prowadzili na dwóch płaszczyznach. Z jednej strony usiłowali zdezawuować wyrok z Inowrocławia, z drugiej poszukiwali sojuszników w planowanej wojnie przeciwko Łokietkowi. Znaleźli ich w Szczecinie i Płocku. Polski władca nie pozostał dłużny i również rozpoczął działania dyplomatyczne, ale czynił to z większym rozmachem. Wszedł w bliskie sojusze, utwierdzone związkami małżeńskimi, z Węgrami i Litwą. Córka Łokietka, Elżbieta, poślubiła króla Karola Roberta, natomiast jego syn Kazimierz, w przyszłości obdarzony przydomkiem Wielkiego, ożenił się z Aldoną, córką księcia litewskiego Giedymina. Szczególnie ważny z polskiego punktu widzenia był sojusz z Litwą, która już od kilkudziesięciu lat borykała się z krzyżackimi najazdami. Jednak i oddaleni od ewentualnego teatru wojny Węgrzy mogli mieć duży wpływ na jej przebieg, zwalczając bliskiego sojusznika zakonu, jakim był władca Czech Jan Luksemburski, roszczący sobie prawa do korony Polski i zarazem jej tytularny król.

Reakcją na polskie sukcesy dyplomatyczne stało się zacieśnienie stosunków pomiędzy Krzyżakami a książętami mazowieckimi, zagrożonymi możliwością rewindykacji ich ziem przez Łokietka oraz litewskimi napadami. Na początku 1326 roku zawarli oni z zakonem na zasadzie wzajemności układ obronny skierowany przeciwko wszystkim najeźdźcom, ale było wiadomo, że jego ostrze wymierzone jest przede wszystkim w Polskę i Litwę. Zaledwie miesiąc później doszło w Łęczycy do niespodziewanego zawarcia rozejmu pomiędzy zakonem i Polską. Łokietkowi był on niezbędny wobec planowanej wyprawy na marchię brandenburską, zaś Krzyżacy przystali na niego po uzyskaniu zobowiązania księcia, że kwestia związana z zaborem Pomorza Gdańskiego i ewentualnymi

odszkodowaniami poddana zostanie arbitrażowi. Oznaczało to formalne zakończenie trwającego od 1308 roku stanu wojny, a w przypadku Krzyżaków stanowiło dyplomatyczne zwycięstwo. O składzie arbitrów i zasadach procedowania strony miały rozstrzygnąć na dodatkowym zjeździe. Nie doszło jednak do niego z winy polskiego króla nie wierzącego w moc jakichkolwiek sądowych ustaleń z zakonnikami. Jak się wydaje, krótkotrwały rozejm (do Bożego Narodzenia) został potraktowany przez Łokietka jedynie jako taktyczny wybieg obliczony na zyskanie czasu niezbędnego do przeprowadzenia ataku na marchię. Poza zdobyciem przez Polaków i posiłkujących ich Litwinów bogatych łupów jego konsekwencją stało się trwałe przyłączenie do Polski kasztelanii międzyrzeckiej. Postępowanie Łokietka zostało przez Malbork szybko rozszyfrowane i wywołało gniew najwyższych dostojników. Propaganda krzyżacka przedstawiała polskiego władcę jako wroga prawdziwej religii, korzystającego z pomocy litewskich pogan przeciwko chrześcijanom.

Słowa ustąpiły miejsca pociskom w 1327 roku, po zaatakowaniu przez Łokietka księcia płockiego Wacława (Wańki). Krzyżacy dochowali postanowień układu i najpierw przybyli mu z pomocą prowadzoną przez komtura ziemi chełmińskiej Ottona von Luterberga, następnie bez walki, samym pojawieniem się, przepędzili Polaków spod obleganego Gostynina, a w końcu wspólnie z oddziałami mazowieckimi uderzyli na Kujawy. Tam doszło do pierwszej bitwy w polu pomiędzy wojskami polskimi a Krzyżakami, jednak jej wynik pozostaje w sferze spekulacji. Faktem jest jednak, że krótko po starciu ci drudzy wycofali się na ziemię chełmińską i to może wskazywać na Polaków jako zwycięzców. Wkrótce potem, po przybyciu na teatr działań wojennych wielkiego mistrza i króla, zawarto we Włocławku

roczny rozejm. Żadna ze stron nie była jeszcze gotowa do rozpoczęcia poważniejszego konfliktu zbrojnego, a krótka kampania 1327 roku stanowiła raczej niezaplanowany epizod wynikły ze splotu zdarzeń. Polsko-krzyżacki rozejm przetrwał dłużej niż rok i być może trwałby nadal, gdyby w sprawę nie wdał się Jan Luksemburski. W końcu następnego roku ruszył z Pragi z wojskami do Prus, aby wziąć udział w zakonnej wyprawie przeciwko Żmudzinom. W drodze przez ziemie polskie, które przebył niczym ich prawowity władca, towarzyszyła mu gromadka książąt dolnośląskich i grupa rycerzy z zachodniej Europy. Łokietek nie zdołał przeszkodzić temu przemarszowi, ale po zmobilizowaniu oddziałów pod Łęczycą, realizując postanowienia sojuszu z Giedyminem, wkroczył na ziemię chełmińską.



Król Władysław Łokietek zrywa układy z Krzyżakami – obraz na podstawie relacji Jana Długosza, 1879 rok.



Wśród wielu historyków panuje przekonanie, że był to czyn nieprzemyślany, nieoparty dogłębną analizą i zważeniem związanych z nim konsekwencji. Co najmniej dwie z nich stawiały bowiem Łokietka w sytuacji niegodnej pozazdroszczenia. Atakując ziemie zakonu, wystąpił przeciwko papieskim bullom, biorącym w opiekę krzyżowców walczących z niewiernymi, a Krzyżacy – pacyfikując Żmudź – właśnie to czynili. Negatywny skutek tej propagandowej wpadki, w oczach wielu czyniącej z polskiego monarchy wroga chrześcijaństwa, pogłębiało ryzyko narażenia się na odwet ze strony połączonych sił zakonu i powracającego z krucjaty Jana Luksemburskiego, tak bowiem zarówno on, jak i inni rycerze traktowali wyprawę przeciwko żmudzkiemu poganom. Dodatkowo król Czech uzyskał wymarzony pretekst, aby z silnym sojusznikiem u boku podjąć próbę sięgnięcia po krakowski tron i dokonać zamiany formalnego tytułu króla Polski na rzeczywisty. Wszystko wydawało mu się sprzyjać, a rywal sam prosił się o kłopoty. Tak samo widzieli sprawę Krzyżacy, którzy również dostrzegli szansę na rozprawienie się ze zniechęconym wrogiem, a tym samym przekreślenie wysuwanych wciąż przez niego roszczeń. Ale Łokietek całym swoim życiem niejednokrotnie dowiódł gotowości porwania się na rzeczy szalone, a jednocześnie umiejętności wynoszenia głowy z najgorszych opresji. Teraz, u schyłku życia, oczekiwała go jedna z najtrudniejszych prób. Wielki mistrz i władca Czech zawarli ze sobą sojusz wymierzony w Polskę, a Jan Luksemburski, obok zobowiązania się do walki z Łokietkiem na własny koszt i ryzyko oraz wspierania zakonu przeciwko niemu na każde wezwanie, nadał Krzyżakom za ich oddanie w walce przeciwko poganom Pomorze Gdańskie w charakterze jałmużny. Czesko-krzyżacki sojusz przypieczętował wspólny

najazd na ziemię dobrzyńską wiosną 1329 roku. Łokietek nie miał dość sił, aby go odeprzeć. Szczelnie otoczony i zasypyany gradem pocisków z machin Dobrzyń szybko padł, ale wówczas napastnicy wykonali zaskakujący manewr i zaatakowali księstwo płockie.

W ciągu kilku lat, jakie minęły od układu w Brodnicy, musiało się wydarzyć coś, co zmieniło nastawienie księcia płockiego Waclawa do Krzyżaków. Płock się obronił, ale Wańko został zmuszony do złożenia hołdu lennego Janowi Luksemburskiemu i „podał mu się na wieczne czasy”. Ziemię dobrzyńską król Czech częściowo darował, a częściowo sprzedał zakonowi. Z rozpędu zadeklarował się to samo uczynić w przyszłości z Mazowszem. Opisane sukcesy i słabe przeciwdziałanie ze strony Łokietka jedynie rozzuchwałyły Krzyżaków. Wkrótce po zakończeniu wyprawy dobrzyńskiej Krzyżacy już bez pomocy Czechów najechali Kujawy i ziemie biskupa włocławskiego. Trzy grupy wojsk zakonnych niczym walec przetoczyły się przez nie, roznosząc śmierć i pożogę. Przyszło im to tym łatwiej, że Łokietek rozpuścił wcześniej wojska. Padł Włocławek, a dobra biskupie zostały spustoszone. Nie oszczędzono miejsc kultu i kościołów. Dramatyczne sceny rozegrały się podczas oblężenia Przedecza w pobliżu Łęczycy, zaatakowanego przez Ottona von Luterberga. Opis oblężenia pozostawił Wigand z Marburga: „W tymże roku po Wielkiej Nocy brat Otto z Luterbergu niezwykłych dokonał czynów w ziemi kujawskiej. Wraz z Prusami obległ on Przedecz i zażądał poddania go, atakując machinami i ostrzeliwując. Obrońcy atoli dali mu dumną odpowiedź, sądząc, że są dobrze strzeżeni i nie obawiając się jego gróźb. Brat jednak Otto wraz z Prusami zdobył gród w ataku, zabiwszy 80 znaczniejszych jego obrońców”. Ostatnie zdanie kronikarskiego przekazu brzmi myląco; w rzeczywistości

obrońców Przedecza wymordowano już po zdobyciu grodu. Opisując podobne zdarzenie, do jakiego doszło kilka miesięcy później, po zdobyciu przez Krzyżaków Wyszogrodu, Wigand był już bardziej rzeczowy, nie ukrywając brutalnej prawdy: „Również i zamek wyszogrodzki zdobyli Bracia i całkowicie zniszczyli, tak że nikt nie uszedł; zginęło tam (...) 200 mężów, bo nie dawano pardonu, ani brano jeńców”. Wyszogród był solą w oku Krzyżaków, gdyż – co stwierdza Piotr z Dusburga – zamieszkiwali w nim „mężowie splamieni zbrodniami, znani ze skłonności do wyrządzania zła. Napadali oni na ludzi płynących statkami po Wiśle, zabierali im rzeczy, a ich samych porywali w niewolę albo zabijali. Nikt nie mógł ich ominąć bez poniesienia uszczerbku”. Krzyżacy „po wielu szturmach gwałtem wdarli się do środka” – tu przekaz koresponduje z wcześniejszym opisem. – „Wszystkich ich wzięli do niewoli i wymordowali, zaś zamek razem z tym, co niegodziwe, doszczętnie spalili”. Do mniej dramatycznych scen doszło w Raciążu, ale i tam zginęło wielu obrońców i mieszkańców, zaś pozostali, wzięci do niewoli, odzyskali wolność po zapłaceniu wysokiego okupu przez biskupa Macieja. Podobnego szczęścia nie miała ludność Nakła i dwóch innych zdobytych przez Krzyżaków grodów. Doszło tam do prawdziwej masakry: „Te trzy zamki po kolei zdobyli przemocą, a ich wszystkich mieszkańców wzięli do niewoli i wyrznęli, zamki zaś obrócili w zgliszcza”. Los Nakła podzieliła Bydgoszcz. Zakonnicy spod znaku czarnego krzyża, walcząc przeciw z chrześcijanami, poczynali sobie niczym w pogańskim kraju, srożąc się w podobny sposób, jak kiedyś czyniły to zakony rycerskie w Ziemi Świętej w walkach przeciwko Saracenom.

Dopiero w końcu lata 1330 roku Łokietek ruszył z kontrofensywą wspartą przez oddziały węgierskie, litewskie

i ruskie. Dysponując przewagą liczebną, zaatakował ziemię chełmińską, ale głównym jego celem było odzyskanie Pomorza Gdańskiego i świeżo utraconej ziemi dobrzyńskiej. Ambitny plan legł w gruzach wobec rozdzwieków w dowództwach sojuszniczych wojsk i braku zsynchronizowania ich wspólnych działań. W konsekwencji Polacy nie połączyli się z oddziałami Giedymina pod Brodnicą. Wydaje się, że Łokietek cynicznie wykorzystał niszczący, litewski zagon przez ziemie zakonne, aby skierować uwagę Krzyżaków na zagrożenie z ich strony, a tymczasem na czele własnych wojsk i Węgrów – chciał zadać osłabionemu przeciwnikowi obezwładniający cios. Mógł to uczynić jedynie w polu, ale wielki mistrz nie zamierzał ułatwiać mu zadania. Po nieudanej próbie obrony linii Drwęcy Krzyżacy zamknęli się w swoich potężnych, murowanych zamkach, którym najeźdźcy niewiele mogli zaszkodzić. Pokazała to dobrze nieskuteczna kilkudniowa blokada Kowalewa i nieudane oblężenie Lipieńka, jedno i drugie głęboko frustrujące i kosztujące wojska Łokietka wielu zabitych i rannych. Jedyną korzyścią z wielkiej wyprawy na ziemie zakonne było ich spustoszenie i złupienie, co idealnie mieściło się w kanonach czternastowiecznej wojny. Pod Lipieńkiem doszło do zawarcia rozejmu z terminem do końca maja następnego roku, przedłużonego z kolei o jeden miesiąc. Zgodzono się na oddanie sporu pod arbitraż królów Węgier i Czech, co jednak z góry, biorąc pod uwagę ich polityczne relacje ze stronami konfliktu, przesądzało o niemożności osiągnięcia porozumienia.

Spośród najważniejszych postaci uwikłanych w wojnę krzyżacko-polską końca rozejmu nie dożył wielki mistrz. Zginął w zamachu niedługo po zakończeniu działań w 1330 roku, chwilę po odbyciu modlitwy w kaplicy domowej w

Pałacu Wielkich Mistrzów. Śmierć ta wywołała szok i roztrząsano ją jeszcze przez wiele lat. Do dzisiaj zresztą nie wyjaśniono wszystkich okoliczności tej bulwersującej sprawy. Wielkiego mistrza zabił brat-rycerz Jan von Endorf, występujący w przekazach pod różnymi nazwiskami. Niewiele o nim wiadomo, poza tym, że wciąż powodował kłopoty wynikające z niechęci do dyscypliny i mało przyjemnych cech charakteru. Podobno pokłócił się z komturem Memla, gdzie służył, i postanowił szukać sprawiedliwości oraz darowania kary u samego wielkiego mistrza. Nie znalazł zrozumienia i dokonał zabójstwa, używając w tym celu zakupionego na targu noża. Ofiarę pochowano zaledwie dwa dni później i pośpiech ten był co najmniej zastanawiający. Sprawcę natomiast uznano za wariata, który w szale zemścił się za doznane upokorzenie, i jako taki został przez krzyżacką kapitułę i papieża skazany na dożywotnie umieszczenie w lochu. Ci, którzy w Janie von Endorfie nie widzieli szaleńca, stawiali różne hipotezy na temat motywów jego działania. Ich zdaniem mógł zostać wynajęty jako płatny zabójca. Wobec tego należy postawić oczywiste w takim razie pytanie: kogo najbardziej mogła interesować śmierć Wernera von Orselna? Zapewne w największym stopniu zagrożonego krzyżackim najazdem Łokietka, który zabójstwem wielkiego mistrza wywołałby ferment w państwie zakonnym i, być może, storpedował plany kolejnej wyprawy. Pamiętać jednak należy, że Polskę i zakon w chwili śmierci wielkiego mistrza (listopad 1330 roku) łączył rozejm. Jeśli nie Łokietek, to kto? Niewykluczone, że Giedymin. W jego przypadku chęć uśmiercenia von Orselna mogła mieć związek ze zdarzeniem sprzed kilku lat, kiedy Krzyżacy, opuszczając trudny do utrzymania zamek Christmemel (Skirstymoń), podstępnie zwabili w jego mury na „uczętę pożegnalną”

grupę znamienitych Litwinów. I taką się dla nich okazała. Upojonych do nieprzytomności gości zamknięto w jednej z sal, a następnie spalono żywcem wraz z zamkowymi zabudowaniami. I rzecz najciekawsza – wśród okrutnej załogi Christmemela był Jan von Endorf. Być może okrutny czyn nie znalazł jego aprobaty i wywołał niemożliwą do zniesienia traumę? Wielu wskazuje jednak bardziej prawdopodobny trop wiodący do ewentualnych zleciodawców Jana von Endorfa. Mogli oni pochodzić z łona samego zakonu, z najwyższych jego pięter. Tam nie kochano Wenera von Orselna. Podobnie jak dzisiaj tu i ówdzie w krajach mieniących się katolickimi – bez potrzeby wskazywania palcem – nie kocha się papieża Franciszka za jego pęd do odnowy Kościoła i przywrócenia najwyższych norm moralnych. Wielki mistrz pragnął uczynić to samo z zakonem krzyżackim, chciał narzucić powrót do rygorystycznych zasad wypływających z dawnych statutów i zakonnej reguły. Czasami takie zachowanie kosztuje życie...

Tragiczna śmierć wielkiego mistrza nie zdołała jednak powstrzymać nieuchronnego biegu wydarzeń. Dla Polski i zakonu krzyżackiego nadchodził czas wielkiego starcia.

## PŁOWCE; PIERWSZE OSTRZEŻENIE

„(...) krzyżackich trupów niezliczone stosy”.

(fragment *Śpiewów historycznych* Juliana Ursyna Niemcewicza poświęcony bitwie pod Płowcami)

Następcą Wenera von Orselna został Luther von Braunschweig, którego wybrano na urząd wielkiego mistrza w lutym i jeszcze w tym samym 1331 roku zapadły decydujące rozstrzygnięcia w pierwszej wojnie zakonu z Polską od czasu utraty przez nią Pomorza Gdańskiego. Jeszcze wcześniej nastąpiły jednak ważne posunięcia organizacyjne ze strony Łokietka. Władzę nad Wielkopolską i Kujawami przekazał w ręce syna Kazimierza, czyniąc go ich namiestnikiem; ponadto oddał mu ziemię sieradzką. Stało się to kosztem ambitnego wojewody poznańskiego i starosty generalnego Wielkopolski, Wincentego z Szamotuł, stojącego na czele potężnego rodu Nałęczów. Wojewoda to postać nietuzinkowa i niejednoznaczna, o której różnie wypowiadają się historycy. Przez całe stulecia popularny był pogląd, iż Wincenty z Szamotuł dopuścił się zdrady i długo wysługiwał się Krzyżakom, aby dopiero w ostatniej chwili opowiedzieć się po stronie Łokietka. Taki jego obraz wyziera z kart *Rocznika Małopolskiego* i *Roczników Długosza*. Zarzutów wobec starosty, i to największego kalibru, pojawiło się wiele. Zarzucano mu zawarcie sojuszu z Brandenburgią (Wincentego łączyło pokrewieństwo z margrabią brandenburską i przy ich pomocy chciał zabezpieczyć rodowy majątek w przypadku wyprawy króla na

Wielkopolskę), namówienie Krzyżaków do wyprawy w 1331 roku i wcześniejszą z nimi znowę, wspieranie ich własnymi oddziałami, a także działanie z niskich pobudek przeciwko królewiczowi, który zajął jego miejsce. Jeśli nawet Łokietek nie był przekonany o zdradzie starosty i nie dysponował jej dowodami, to z pewnością nie mógł być zadowolony ze sposobu, w jaki przygotował on prowincję do walki z najazdem krzyżackim i jak nią kierował. Wincenty schodził wrogowi z drogi, tak jakby realizując wcześniejsze, tajne ustalenia. Na jego niekorzyść świadczyło porozumienie zawarte z margrabiami brandenburskimi, tzw. układ landsberski skierowany przeciwko Łokietkowi. Niewykluczone, że w jakimś czasie łączyły go również konszachty z zakonem. Bez wątpienia aurze podejrzliwości sprzyjał fakt, że ród Nałęczów przez lata utrzymywał bliskie stosunki z marchią brandenburską i Niemcami, więc przypisywano mu – wraz z Zarębami – współudział w zamachu na króla Przemysła II w 1296 roku. Odium odpowiedzialności za śmierć króla, jak i późniejszą o trzydzieści parę lat „zdradę” Wincentego z Szamotuł w niedawno opublikowanej monografii usiłował zdjąć z rodu Nałęczów i ich najbardziej znanego przedstawiciela Janusz Baniak; wydaje się, że sztuka ta mu się udała. Jego zdaniem jednym z zasadniczych dowodów za niewinnością starosty było świadectwo sędziego Mikołaja z Błazejewa, świadka w procesie warszawskim przeciwko Krzyżakom, który odbył się w 1339 roku.

Krzyżacy, którzy zapewnili sobie poparcie papieża i militarną pomoc ze strony Jana Luksemburskiego, uderzyli niespełna miesiąc po wygaśnięciu rozejmu. Z ziemi chełmińskiej wyruszyły konne oddziały pod dowództwem wielkiego marszałka Dietricha von Altenburga. W wyprawie, obok liczego rycerstwa pruskiego, uczestniczyło aż dwustu



braci zakonnych, co wskazywało na jej rangę. Krzyżacy szli przez nieprzyjacielski kraj szybko i pewnie, jakby prowadzeni czyjąś ręką; twierdzono, że ich informatorem był Wincenty z Szamotuł. Zdobyli Bydgoszcz, odstąpili od twardo bronionego Inowrocławia, potem ominęli Kruszwicę, opanowali Słupcę, niszcząc i grabiąc po drodze wiele mniejszych osad i wsi. Ich celem stały się Pyzdry, gdzie koncentrowały się królewskie oddziały pod wodzą królewicza Kazimierza; niewykluczone, że to jego chcieli porwać lub uśmiercić Krzyżacy. Właśnie tam doszło do pierwszego większego starcia z polskimi wojskami. Dietrich von Altenburg i jego podkomendni nie mieli większych problemów, aby udowodnić swoją wyższość nad wrogiem. Zarówno oddziały wielkopolskie sprowadzone przez Wincentego z Szamotuł i dwóch innych dowódców, jak i zgromadzone w Pyzdrach nie wytrzymały krzyżackiego uderzenia i poszły w rozsypkę, tracąc wielu zabitych i jeńców. Pewny swego marszałek rozdzielił wojsko na dwie grupy, które przez nikogo nie niepokozone, szybkim marszem ruszyły na Poznań i Śrem, rabując i niszcząc napotkane osady. W okolicy Jeziora Zaniemyskiego Krzyżacy napotkali wreszcie zacięty opór regularnych oddziałów wzmocnionych przez miejscowych chłopów i poniechali planu marszu na Poznań. Zamiast niego ich ofiarą padły Kostrzyn, Pobiedziska, Kłecko i Gniezno. Dawną polską stolicę Krzyżacy częściowo oszczędzili, nie niszcząc świątyni i pobliskich zabudowań. Mniejszy wpływ miały na to apel i prośby wikariusza katedry gnieźnieńskiej, wikarego Alberta, większy – z pewnością czysta kalkulacja i obawa przed reakcją kurii papieskiej. Jednak reszta miasta została rozgrabiona i spalona, zaś mieszkańcy – jak zaświadcza również przychylny zakonowi Wigand z Marburga – pozabijani lub wzięci w niewolę. Pod Żninem, który

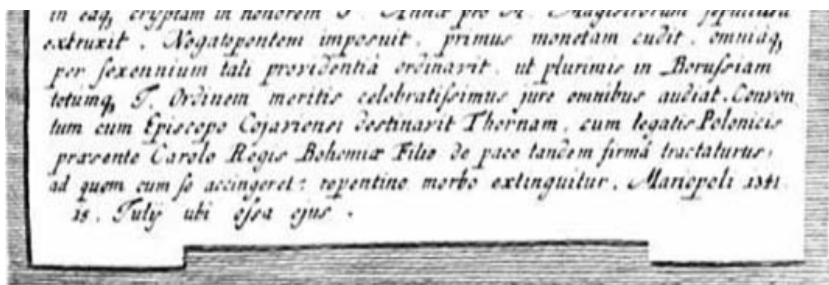
potraktowano podobnie jak Gniezno i inne miejscowości, oba krzyżackie oddziały znów się połączyły i ruszyły ku Toruniowi. W ciągu zaledwie kilkunastu lipcowych dni błyskawicznie poruszające się wojska marszałka nie tylko spustoszyły wielką połać Wielkopolski (zniszczeniu uległo ponad czterdzieści miast i wsi), ale też utwierdziły krzyżackich dostojników w przekonaniu o wyższości militarnej zakonu nad Polską. Bez wątpienia sprawę ułatwiło im zachowanie Wincentego z Szamotuł, pełnego niezdecydowania w działaniach przeciwko najeźdźcom, chowającego w sercu urazę do Łokietka i zazdrość wobec królewicza.

Jednak rajd Dietricha von Altenburga stanowił zaledwie wstęp i przedsmak tego, co miało nastąpić w końcu lata. Na wrzesień Krzyżacy zaplanowali wielkie, zgrane z Janem Luksemburskim uderzenie na Polskę i jej częściowy podział. Zakon miał zabrać Kujawy, a król Czech Wielkopolskę. Gdyby jednak wojenne szczęście na to pozwoliło – sojusznicy nie zadowoliliby się jedynie tymi nabytkami. Krzyżacy na miejsce koncentracji armii wybrali okolice Torunia. Udało im się zebrać około siedmiu tysięcy ludzi, w tym dwa tysiące ciężkozbrojnej konnicy. Obok dwustu braci-rycerzy do walki z Polakami szykowali się konni Prusowie, posiłki inflanckie przyproawdzone przez mistrza krajowego Eberharda von Monheima i rycerscy „goście” z Europy Zachodniej. Najlicniejszą grupę cudzoziemców stanowili Anglicy; setka rycerzy na czele z księciem Suffolk Thomasem Uffordem przebyła pół kontynentu, aby unurzać miecze w chrześcijańskiej krwi. Równie dobrze mogło to świadczyć o skuteczności krzyżackiej propagandy, jak i o specyficznym pojmowaniu wiary w epoce, w której religia nie uległa jeszcze degradacji widocznej choćby dzisiaj. Armią zakonną, wyposażoną w lekkie maszyny oblężnicze i oddziały piechoty

złożone z pruskich chłopów nadające się do prowadzenia oblężeń, dowodził znany nam już komtur Otto von Lutterberg wspomagany przez wielkiego marszałka, wielkiego komtura Ottona von Bollsdorfa i wielkiego szpitalnika, a zarazem komtura elbląskiego Hermanna von Oettingena. Na ich rozkazy była całkiem spora grupa komturów z różnych zakątków krzyżackiego państwa. Jak się później wyraził wielki mistrz: „Z tak potężnym wojskiem naszliśmy ziemię króla polskiego, że mogliśmy, gdybyśmy byli ostrożniejsi, przejść całą Polskę”. Piotr Strzyż, który przytoczył tę wypowiedź, dodał, że Lutherowi von Braunschweigowi chodziło jedynie o Wielkopolskę, ale są autorzy przekonani o tym, że miał on na myśli całą domenę Łokietka. Rzeczywiście, takie przypuszczenie mogła uzasadniać siła wystawionej przeciwko Polsce armii i łatwość, z jaką rok wcześniej pod Pyzdrami rozprawili się z jej wojskami Krzyżacy.



*DIETERICUS Comes ab Oldenburg etate jam so. genu-  
 nius corpore tamen et animo ad huc regetus in A. Magistram eligitur  
 1335. Benedicto X. Sum. Pontifice et Ludovico Bavaro Rom. Im-  
 peratore. Pietate et justitia preclarissimus I. ordinis gubernacula  
 laudatissime tenuit per annos 6. Arcem Manenburg sese et vallis cinxit.*



Dietrich von Altenburg, wielki marszałek w latach 1331–1335, od 1335 wielki mistrz zakonu krzyżackiego.

Już na wstępie Otto von Lutterberg zaskoczył przeciwnika liczącego na przeprawę zakonnych oddziałów w pobliżu Torunia i tam obsadzającego lewy brzeg Wisły. Krzyżacy sforsowali rzekę pod Płockiem i ruszyli w kierunku Wielkopolski. Do spotkania z armią Jana Luksemburskiego wyznaczonego pod Kaliszem na 21 września pozostało im niespełna dziesięć dni. Szli spiesznie, paląc i mordując. Trzy dni przed ustalonym terminem zdobyli Uniejów i tam z sił głównych wyłonione zostały dwa mniejsze oddziały po zaledwie kilkuset ludzi: jeden poszedł na Sieradz, drugi ruszył ku Łęczycy. Oba miasta zostały zniszczone. Szlak krzyżackich kolumn znaczył czerwony kur i rozpaczliwe krzyki wyrzynanych mieszkańców. „Bogobojni” bracia mordowali z bezwzględnością barbarzyńców, ślepnąc nawet na widok krzyża. W zdobytym bez walki Sieradzu ofiarą dzikiej grabieży padły miejscowe kościoły, a przeor błagający po niemiecku komtura Hermanna von Oettingena o litość i zaprzestanie rabunku – usłyszał w odpowiedzi pruskie: *Ne prest* – nie rozumiem. W okolicach Sieradza podobny los spotkał szesnaście innych kościołów. Kres krzyżackich sukcesów nastąpił pod Kaliszem. Nie dość, że miasto zdołało się obronić, to również nie doszło pod nim do spotkania z królem Czech, który w marszu na północ został zatrzymany

na Śląsku przez bitnego sojusznika Łokietka, a zarazem jego siostrzeńca, księcia świdnickiego Bolka II Małego. Ten ostatni niezależny książę piastowski na Śląsku osadził na miejscu butnego Luksemburczyka pod Niemczą, tą samą twierdzą, której heroiczna obrona w 1017 roku powstrzymała wojska cesarza Henryka II.

Krzyżacy nie mogli czekać na opieszalego sojusznika w obawie przed nadciągającymi w kierunku Kalisza Polakami. Otto von Lutterberg wydał rozkaz do pospiesznego odwrotu, ale szybkość marszu jego armii opóźnił tabor: liczne wozy wyładowane zdobytymi łupami. Cofający się spod Kalisza Krzyżacy czuli na plecach oddech idącego w ślad za nimi wroga. Nie tylko samego Łokietka dysponującego oddziałami z Kujaw, ziemi sieradzkiej i łęczyckiej, ale również hufcami z Małopolski. Z odsieczą królowi nadszedł z Wielkopolanami również Wincenty z Szamotuł, w którym – jak napisał Paweł Jasienica – „miłość ojczyzny pokonała pychę obrażonego magnata”. Łącznie wszystkie wymienione wojska ustępowały liczbą wrogowi, mogły liczyć około czterech tysięcy ludzi. Na więcej Polacy nie potrafili się zdobyć, gdyż silne załogi król musiał pozostawić w kilku większych miastach, licząc się z nadejściem Jana Luksemburskiego, który rzeczywiście dotarł pod Kalisz w końcu miesiąca. Było już jednak zbyt późno, aby wpłynąć na wynik starcia, do jakiego w międzyczasie doszło pomiędzy armią zakonną i wojskami Łokietka.

Wieczorem 24 września pod Koninem polska awangarda natknęła się na tylowe oddziały Krzyżaków i doszło do niewielkiej utarczki w zapadających ciemnościach. Król nie zaryzykował nocnej bitwy i cofnął się, pozostawiając gród na pastwę wroga. To przekonało Krzyżaków, że Polacy nie są na tyle silni, aby ważyć się na otwartą bitwę. Ich dowódca uznał, iż nie musi rezygnować z opanowania Brześcia

Kujawskiego. O świcie 27 września w obozowisku pod Radziejowem rozdzielił wojska na dwie grupy i z liczniejszą ruszył na to miasto, zaś mniejsza, dowodzona przez wielkiego marszałka i licząca około dwóch tysięcy zbrojnych, miała chronić tabor i stanowić ariergardę. W jej składzie znalazła się większość zakonnych dostojników i komturów, którym nie było spieszo dobywać Brześcia i nad walkę postawili wygodę. Nie przyszło im do głowy, że w ten sposób mogą wydać na siebie wyrok śmierci. Jej całun spadł na krzyżacką straż tylną pomiędzy godziną dziewiątą a dwunastą, kiedy zaatakowana została przez wojska Łokietka. Starcie było niespodziewane dla obu stron, gdyż ze względu na gęstą mgłę – dosłownie na siebie nastąpiły, nie zdając sobie sprawy, z jak silnym przeciwnikiem mają do czynienia. Kiedy opadła, Polacy ruszyli do ataku, ale ich przewaga liczebna długo nie przynosiła efektu. Krzyżacy, bardziej biegli w wojennym fachu, walczyli z brawurową odwagą, odpierając kolejne natarcia wroga. Na fatalnym dla nich wyniku starcia zaważył przypadek. Postrzelony z kuszy koń zrzucił z siebie chorążego, a wielka chorągiew ozdobiona czarnym, złożonym krzyżem, przytroczona do boku bojowego rumaka i zawsze towarzysząca marszałkowi zakonu, upadła na ziemię. Jej nagłe zniknięcie z pola widzenia walczących Krzyżaków – była punktem orientacyjnym i wskazywała, gdzie jest dowódca – spowodowało w ich szeregach najpierw dezorientację, a następnie panikę. Regularna dotychczas bitwa przerodziła się w rzeź. Jedynie część podkomendnych marszałka zdołała się wyrwać w stronę Brześcia, większość padła, ginąc lub odnosząc ciężkie rany, albo dostała się do niewoli. Poległo aż pięćdziesięciu sześciu braci-rycerzy na czele z komturami Gdańska i Elbląga, Albrechtem von Oerem i Hermannem von Oettingenem. Więcej szczęścia miał Dietrich von

Altenburg; ciężko ranny w twarz na krótko dostał się w polskie ręce, po czym został odbity podczas wznowionej bitwy. Zresztą jego los stanowi jeden z ważkich argumentów w nierozwikłanym do końca sporze dotyczącym wspomnianej wyżej grupy zabitych Krzyżaków. Wedle propagandy zakonnej oraz współczesnych niemieckich kronikarzy i późniejszych historyków mieli oni zostać wymordowani na osobisty rozkaz Łokietka i na jego oczach. Polacy temu zaprzeczają. Wielki mistrz wspomniał o „żałosnym wymordowaniu jeńców”, ale jednocześnie w wewnątrzzakonnej korespondencji brakuje nawiązania do tego zdarzenia. Nie wspomina o nim również *Kronika oliwska*. Tyle tylko, że król Władysław doskonale pasował do tezy o zgładzeniu jeńców z zimną krwią. Jako wnuk w prostej linii osławionego Konrada Mazowieckiego, był okrutnikiem z natury. W 1289 roku uczestniczył w bitwie pod Siewierzem, po której zgładzono podobnie część jeńców, Ślązaków i Wielkopolan wraz z księciem ścinawskim Przemkiem. Ale właśnie fakt, że najważniejszy spośród jeńców, wielki marszałek, przeżył, zdaje się tezę o ich barbarzyńskim wymordowaniu jeśli nie całkowicie obalać, to z pewnością zdecydowanie podważać. Jednak z tego faktu również dobrze można wysnuć wniosek przeciwny; oszczędzono go jako najważniejszego zakonnego dostojnika, a wszystkich innych z zimną krwią uśmiercono.

Dietrich von Altenburg, jak wspomniano, zawdzięczał wolność, a może wręcz życie, wznowieniu walki i kolejnej bitwie tego samego dnia. Dążył do niej Łokietek, licząc, że dzięki zaskoczeniu uda mu się rozbić również drugą grupę zakonnych wojsk. Ale o zaskoczeniu nie mogło być mowy, gdyż wielki marszałek, nim wpadł w polskie ręce, zdołał wysłać gońców spod Radziejowa i poinformowany o wszystkim Otto von Lutterberg zarządził pospieszny marsz



z odsieczą dla zaatakowanych oddziałów. I podobnie jak rano ze względu na mgłę, tak i teraz, idąc spieszenie ku sobie, obie nieprzyjacielskie armie wpadły na siebie około godziny trzynastej w okolicy wsi Płowce. Tam doszło do bitwy, która miała zająć jedno z czołowych miejsc wśród najbardziej znanych wydarzeń w historii Polski. Jej początek był zdecydowanie pomyślny dla wojsk Łokietka, którym przyszło walczyć z oddziałami wroga wchodzącymi do boju częściami. Jak napisał Strzyż – „oddziały krzyżackie docierały pod Płowce falami i w rozciągniętych szykach”. Dodać należy, że ich szeregi zasilili co poniektórzy uciekinierzy spod Radziejowa. Krzyżacy nie dali się rozbić, a z upływem czasu, wraz z nadchodzeniem na pole bitwy od strony Brześcia kolejnych jednostek, sytuacja zaczęła się zmieniać na ich korzyść. Zaciekła walka, nad którą nikt nie panował, przybrała postać bezładnej rąbaniny z udziałem niewielkich grup rycerzy bądź nawet pojedynczych jeźdźców. Dawało im to pole do wykazania się bojowym kunsztem, ale jednocześnie niweczyło szansę na odniesienie przekonującego zwycięstwa przez którąś ze stron. Polakom udało się wziąć kilkudziesięciu jeńców, w tym komturów Bałgi i Golubia, Henryka von Reussa oraz Eligera von Hohensteina. Jednak zmęczonym polskim rycerzom, z krótką przerwą walczącym już od wielu godzin, coraz trudniej było powstrzymać napór liczniejszego przeciwnika. Górę zaczęli brać Krzyżacy, zaś w polskich szeregach narastała coraz większa dezorganizacja. Część oddziałów wraz z królewiczem Kazimierzem i jego świtą wymknęła się z pola bitwy. Zginęło wielu znanych polskich rycerzy. Szczególnie bolesne straty poniósł znany i powszechnie szanowany ród Toporczyków. Padli chorążowie ziem małopolskich, krakowskiej i sandomierskiej, a wraz z ich śmiercią z oczu walczących zniknęły trzymane przez nich

chorągwie, co spowodowało panikę w szeregach rycerstwa małopolskiego. To przede wszystkim ono nie wytrzymało impetu krzyżackiego natarcia, gęsto ścieląc pobojowisko własnymi ciałami. Wielki mistrz miał się później przechwalać, że jego wojska dokonały istnej rzezi. Wkrótce w ślady syna poszedł i Łokietek, o czym wspomina *Kronika oliwska*: „(...) król uszedł ze swoim wojskiem (...) i w tej ucieczce zostali zabici liczni tak jeźdźcy, jak też piesi, i osiągnęli panowie [zakonni], jakkolwiek z wielkimi stratami swojego wojska, zwycięstwo i triumf”. Najdłużej i najdzielniej stawiało czoła wrogowi rycerstwo wielkopolskie i dokazujący cudów odwagi Wincenty z Szamotuł, ale nie mogło to już mieć wpływu na wynik bitwy. Krzyżacy odbili swojego marszałka i utracone trofea oraz zdobyli wiele nieprzyjacielskich znaków. Rozciągnięta na wielokilometrowym obszarze pogoń za uciekającymi Polakami doprowadziła Krzyżaków aż w rejon przedpołudniowego starcia. Bitwa wygasła około godziny piętnastej. Wojska zakonne opanowały pobojowisko, co stanowiło widomy znak, kto odniósł triumf, ale – nie zabawiły na nim zbyt długo. Otto von Lutterberg raczej nie bał się powrotu wroga i wznowienia walki, lecz przede wszystkim leżał mu na sercu los rannych. Tych zaś było bardzo wielu i jedynie szybka pomoc medyczna mogła uratować im życie. Jakikolwiek byłby jednak główny powód zarządzenia niezwłocznego odwrotu, wydaje się, że zakonne dowództwo zdawało sobie sprawę z trudnego położenia własnych oddziałów, mocno wykrwawionych i niezdolnych już do jakichkolwiek ofensywnych działań. Następnego dnia, po przejściu pięćdziesięciu kilometrów (!) Krzyżacy znaleźli się pod Toruniem. Pod Płowcami pozostawili po sobie stos wymordowanych jeńców, zapewne mszcząc się za zgładzonych towarzyszy. Rzecz niezwykła i zastanawiająca,

ale podobno pozostawili przy życiu, na usilne prośby Prusów zainteresowanych uzyskaniem bogatego okupu, pięćdziesięciu sześciu znaczniejszych polskich rycerzy. Ta liczba wcześniej już padła w odniesieniu do jeńców krzyżackich, co może świadczyć raczej o kronikarskiej kalce, a nie o rzeczywistym stanie rzeczy. Podobnie wygląda kwestia strat poniesionych przez obie strony.

W niektórych polskich kronikach padały niestworzone, idące w dziesiątki tysięcy liczby określające zabitych Krzyżaków, które już na wstępie należy odrzucić. Długosz, zupełnie bezkrytycznie czerpiący wiedzę z *Rocznika kujawskiego*, pisząc o bitwie pod Płowcami, stwierdził: „Podobno zginęło w niej ponad czterdzieści tysięcy wrogów, a Polaków tylko pięciuset”. Już samo to zdanie pokazuje, z jak wielką ostrożnością należy traktować jego *Kroniki*. Trzeba jednak pamiętać, że w dokumentach zakonnych poniesione straty zapewne świadomie zaniżano. Szczególnie w odniesieniu do świeckich rycerzy z Prus i oddziałów pieszych. Wiarygodna wydaje się natomiast liczba siedemdziesięciu trzech braci zakonnych, których ciała przewieziono do Torunia w celu wyprawienia im uroczystego pogrzebu. To był ogromny odsetek spośród tych, którzy udali się na wyprawę, co wskazuje na niezwykle zaciekłość boju pod Radziejowem i Płowcami. Ważną wskazówką dla ustalenia wzajemnych strat jest zapisek mówiący o tym, że biskup włocławski Maciej z Gołańczy kilka dni po bitwie kazał policzyć poległych przed urządzeniem im pochówku. Było ich 4187, podobno z widoczną przewagą zbrojnych zakonu. Ale Wigand, podający liczbę „4200 bez trzynastu”, czyli tę samą, ocenia straty zakonu na trzystu pięćdziesięciu zabitych, a polskie na sześciuset. Resztę zabitych stanowili żołnierze pośledniego stanu, zapewne w zbliżonej proporcji. Polacy utracili około

pięćdziesięciu procent, a Krzyżacy około trzydziestu procent stanów wyjściowych swoich wojsk.

Paru słów komentarza wymaga ucieczka spod Płowiec królewicza Kazimierza. Po bitwie wzięła go na celownik krzyżacka propaganda, wyrzucając mu tchórzostwo; podobno wraz z towarzyszącymi mu rycerzami dotarł aż do Krakowa i dopiero tam poczuł się bezpiecznie. W XIV wieku niewiele było większych obelg, jakie mogły spotkać herbowego, nie mówiąc już o członku rodziny królewskiej, szykującym się do objęcia tronu. Odwaga i honor były najważniejszymi atrybutami rycerza. Również z innych stron spotkały następcę tronu docinki i szyderstwa. Pełne prawo miały do nich rodziny zabitych pod Płowcami rycerzy, szczególnie tych, którzy walczyli do samego końca. Ale sprawa tylko z jednego, wskazanego powyżej, punktu widzenia wyglądała na oczywistą. Zdecydowanie inaczej postrzega ją chociażby Paweł Jasienica, wskazując na dość oczywisty fakt, że ciągle słabe jeszcze państwo polskie, które dopiero co odzyskało godność królestwa, łatwo mogło ją utracić wraz z jedynym jego dziedzicem: „W całym kraju istniała jedna jedyna głowa, na którą legalnie, prawem dziedziczenia, przeniesiona być mogła korona. I ta właśnie głowa w krytycznej fazie bitwy usuwa się czy też usunięta zostaje z zasięgu mieczy krzyżackich. Postępek wcale przezorny”. Jako taki, w ostatecznym rozrachunku fali zakonnej krytyki, bez wątpienia warty cierpkich, długo jeszcze wypowiedzanych uwag na temat Kazimierza, a i rumieńca wstydu na jego obliczu. Żył, choć już z piętnem, i to okazało się najważniejsze.

Dziewiętnastowieczne dzieło Niemcewicza, którego króciutki fragment rozpoczął niniejszy rozdział, podobnie jak późniejsza, słynna *Trylogia* Sienkiewicza, powstałe dla „pokrzepienia serc” Polaków w tragicznym dla nich okresie

zaborów, zawiera jawną nieprawdę. Sugeruje bowiem ich wielkie zwycięstwo nad Krzyżakami, a takiego pod Płowcami nie odnieśli. Tak mogą myśleć jedynie ludzie oceniający zdarzenia historyczne przez pryzmat „dzieł”, w których prawda jest spychana na drugi plan, przegrywając z towarzyszącą ich autorom potrzebą podkoloryzowania rzeczywistości lub wymogami obowiązującej propagandy.

Gdyby bitwę pod Płowcami oceniać wyłącznie pod kątem wojskowym, to z pewnością nie zakończyła się ona zdecydowanym polskim sukcesem. Co najwyżej należałoby ją uznać za nierozstrzygniętą i takiego zdania jest znaczna część historyków potrafiących się zdobyć na obiektywizm. Tych, którzy odtrąbili wielki triumf jednej lub drugiej strony, raczej nie należy traktować poważnie. Natomiast ze strategicznego, politycznego i propagandowego punktu widzenia krwawa batalia przyniosła Polsce wiele korzyści. Starcie pod Płowcami odsunęło bezpośrednio niebezpieczeństwo od granic i przekreśliło groźbę militarnego współdziałania wojsk krzyżackich i czeskich, co młodemu, krzepnącemu dopiero państwu polskiemu mogło przynieść katastrofę. W walkach z zakonem krzyżackim Polacy po raz pierwszy wyszli z głębokiej defensywy i uwierzyli, że pod względem militarnym mogą być dla niego równorzędnym przeciwnikiem. Przebieg kilkuletniej wojny obfitował w bolesne porażki, ale największa z bitew wlała w ich serca ogromną ilość optymizmu. Sedno sprawy doskonale ujął Piotr Strzyż: „Mieszkańcy Kujaw po raz pierwszy mieli okazję zobaczyć znieawidzone białe płaszcze z czarnym krzyżem pokryte kurzem i zaschniętą krwią”. To był widok jak mało co przemawiający do wyobraźni, pokazujący, że niezwyciężeni dotychczas Krzyżacy mogą jednak paść pod polskimi mieczami.



Reprodukcja obrazu Juliusza Kossaka *Bitwa pod Płowcami* (1331),  
*podanie o Floryanie Szarym*, po 1883 roku.

Jednak na razie Polacy musieli się zadowolić jedynie propagandowym sukcesem. I to na krótko. Już w listopadzie przez Kujawy przetoczył się niszczący zagon oddziałów zaciężnych przysłanych na pomoc zakonowi przez króla Czech. Ale do prawdziwie srogiego rewanżu doszło wiosną następnego roku. Kierunek ataku był taki sam. Wojska zakonne uderzyły znów na Kujawy i szybko je opanowały, nie napotykając większego oporu. Brześć wytrzymał zaledwie trzydniowe oblężenie i padł podczas generalnego szturmu. Znaczna część jego obrońców została wymordowana. Inowrocław, który w poprzednich latach stawiał zwycięski opór, poddał się bez walki. Najdłużej opierała się Pakość, której dzielnie bronił wojewoda brzeski Wojciech z Kościelca. Ale i on dał się złamać, a później za cenę wydania synów w charakterze zakładników zachował swoją pozycję pod rządami Krzyżaków.

Polski król szykował się do kontruderzenia i odebrania Kujaw przy pomocy węgierskich posiłków, ale nim podjął atak, w sprawę wdał się papieski legat Piotr z Alwerni. Pod

jego presją doszło do zawarcia rocznego rozejmu. I znów u jego podstaw legło ustalenie o sędzie rozjemczym królów Czech i Węgier, pusta formuła, która po raz kolejny nie miała szans się sprawdzić. Tym bardziej że Łokietek raczej nie usposobił przychylnie Luksemburczyka, wykorzystując już zgromadzone wojska do uderzenia na jego załogi w zamkach na południowo-zachodnich rubieżach Wielkopolski. Na ich czele wysłał Kazimierza, dając mu dobrą okazję do sięgnięcia po bitewne splendory i zmazania hańby Płowiec. Tak to chyba rozumiał sam królewicz, bo do wypędzania Czechów zabrał się z wielką energią i nie ustępującą jej brutalnością. W Kościanie, do którego Polacy wdarli się w czasie generalnego szturm, nie dano pardonu żadnemu z obrońców, pozwalając rozhulać się najdzikszym instynktom. Kazimierz zdobył kilka grodów i przyłączył do Polski ziemię kościańską, przemęcką i gostyńską. To był już ostatni akord w wojnie, która ostatecznie została przegrana.

Ale też wbrew oczekiwaniom wielu – nie doszło do jej wznowienia. Pomimo śmierci Władysława Łokietka, który zmarł na początku marca 1333 roku, i objęcia tronu przez jego młodego, niedoświadczonego następcę, Krzyżacy nie uderzyli na Polskę. Ta zaś nie posiadała dość sił, aby podjąć walkę o odzyskanie anektowanych przez nich terytoriów. Koronacji Kazimierza na króla Polski towarzyszył układ z zakonem o przedłużeniu pokoju na następny rok. Pięć lat po jego upływie, niezakłóconych szczękiem oręża dzięki kolejnym rozejmom i próbom mediacji, w tym z udziałem władców Czech i Węgier, którzy w 1335 roku w Wyszehradzie wydali niekorzystny dla Polski werdykt, dwaj nuncjusze papiescy, Francuzi, wyznaczyli natomiast termin rozprawy w procesie polsko-krzyżackim. Miał się odbyć w niewielkiej mazowieckiej mieścinie o nazwie Warszawa. Zakon zaniedbał swoje sprawy i pozwolił Kazimierzowi wykonać

kilka politycznych i dyplomatycznych posunięć, które przychylnie usposobiły do Polski papieża Benedykta XII. Było niemal pewne, że wyrok okaże się niekorzystny dla zakonu. Krzyżacy wyszli z podobnego założenia, bo ich posłowie jedynie wnieśli protest, zapowiedzieli apelację i opuścili domostwo warszawskiego wójta Bartłomieja, w którym miał obradować papieski sąd. A tam działy się ciekawe rzeczy. Stu dwudziestu sześciu świadków pochodzących z różnych stanów dało świadectwo krzyżackim nieprawościom, co stało się podstawą miażdżącego dla zakonu orzeczenia. Krzyżacy mieli zwrócić Polsce nie tylko zagrabione ziemie z Pomorzem Gdańskim i Kujawami na czele, ale także wszystkie uzyskane korzyści i dochody „z nich pobierane”.

Ten zaspokajający polskie oczekiwania i interesy wyrok miał tylko jedną słabą stronę: był faktycznie niewykonalny i przynosił satysfakcję wyłącznie w sferze moralnej. Zresztą dwa lata później jego antykrzyżackie ostrze zostało poważnie stępione. Papież, który zwyczajem swoich poprzedników i następców nie miał problemu ze zmianą zapatrywań, byle tylko mógł z tego powodu odnieść wymierną korzyść (o tę zaś postarała się krzyżacka dyplomacja), uznał, że Polska ma prawa jedynie do ziemi dobrzyńskiej i Kujaw oraz finansowego odszkodowania. Częściowe potwierdzenie papieskiego stanowiska nastąpiło w połowie 1343 roku, kiedy w Kaliszu doszło wreszcie do zawarcia ostatecznego pokoju pomiędzy Królestwem Polskim a zakonem krzyżackim. Poza obowiązkiem zwrotu wspomnianych terytoriów i zapłatą odszkodowania przyjęto, że zatrzymane przez Krzyżaków Pomorze będzie traktowane jako jałmużna polskiego władcy. To wyłącznie honorowe zwierzchnictwo i pozostałe warunki pokoju kaliskiego nikomu w Polsce nie mogły dać poczucia



zwycięstwa. Król i wielki mistrz Ludolf König von Wattzau pod wsią Wierzblin blisko Inowrocławia wymienili pomiędzy sobą dokumenty, a wraz z nimi pocałunek pokoju. Pomimo uroczystego zaprzysiężenia – Krzyżacy nigdy nie uścili ustalonego tam odszkodowania. Czując swą potęgę, okazywali jawne lekceważenie wobec przyjętych ustaleń, a zarazem Polski i jej władcy, którego – jak sami mawiali – byli w stanie ścigać aż do Krakowa. Ale też, odkładając ostateczną rozprawę z Polską, popełnili niewybaczalny błąd. Najlepszy moment bezpowrotnie przeminął. To, co w pierwszej połowie XIV wieku leżało w zasięgu zakonu i było możliwe do zrealizowania, kilkadziesiąt lat później miało już przerosnąć jego możliwości. Pokój w Kaliszu – jak celnie stwierdził Jasienica – „Dał jej czas na przygotowanie Grunwaldu”.

Dla króla Kazimierza i dostojników z jego otoczenia nie ulegało wątpliwości, że pokój zawarty z Krzyżakami pod wpływem okoliczności nie będzie trwał wiecznie i Polska, po uporządkowaniu spraw na innych granicach i polityczno-militarnym okrzepnięciu, upomni się o utracone na północy ziemie. Realizując główne przesłanie śpiewanej w jego czasach popularnej pieśni: „królu Kazimirze, nie żyj nigdy z Krzyżakami w mirze”.

Nikt jednak wówczas nie mógł wiedzieć, że zakon krzyżacki okaże się monolitem niemożliwym do skruszenia nie tylko przez ostatniego Piasta na polskim tronie, ale też – aż do początku następnego stulecia.

## CZAS POTĘGI

„Druga połowa XIV wieku jest okresem, w którym Zakon nie uwikłał się w żadne większe konflikty zewnętrzne, powszechnie też się uznaje, że był to czas rozkwitu państwa zakonnego w Prusach rządzonego mocną ręką wielkich mistrzów”.

(Hartmut Boockmann, *Zakon Krzyżacki*)

**K**ilkadziesiąt lat pomiędzy 1331 a 1409 rokiem, wolnych od wojen z Polską, uczyniło z zakonu krzyżackiego regionalną potęgę. Jej podstawę stanowiły wewnętrzna organizacja i świetnie funkcjonująca gospodarka. Kraj był podzielony na komturie, wójtostwa i prokuratorie, przy czym dwie ostatnie jednostki terytorialne podlegały bezpośrednio wielkiemu mistrzowi. Swoistą tarczą ochronną przed korupcją braci zakonnych, chociaż z pewnością niedoskonałą, były zapisy reguły wymagające rotacji na zajmowanych przez nich stanowiskach. Ponadto każdy z nich musiał raz w roku rozliczać się ze swojej działalności. Taki nowoczesny z dzisiejszego punktu widzenia sposób administrowania był niespotykany w innych europejskich krajach, gdzie rozproszona władza spoczywała w rękach szlachty, zapatrzonej w interes własny i rodziny, z którą panujący musiał się realnie liczyć. Na terenie Prus założono dwadzieścia siedem komturii (w zakonach joannitów i templariuszy odpowiadające im jednostki administracyjno-terytorialno-wojskowe zwano

komandoriami). W kolejności alfabetycznej były to: Bałga, Bierzgłowo, Brodnica, Chełmno, Człuchów, Dzierzgoń, Elbląg, Gdańsk, Gniew, Golub, Grudziądz, Kowalewo, Królewiec, Malbork, Memel, Nieszawa, Ostróda, Pokarmin, Pokrzywno, Popowo, Radzyń, Ragneta, Rybaki, Ryn, Świecie, Toruń i Tuchola. Nadano im mniej lub bardziej regularne kształty pasów ziemi ciągnących się od wybrzeża morskiego ku południowej granicy państwa zakonnego. Wyjątek stanowiła ziemia chełmińska, gdzie powierzchnia komturii była zdecydowanie mniejsza i posiadała nieregularne kształty.

Po podboju Prus jeszcze długo na ich terytorium zachowywała się przewaga miejscowego żywiołu. Pomimo ogromnego przelewu krwi i wyrzynania całych plemion podczas kolejnych powstań w dużym stopniu zachowały one swój dotychczasowy, etniczny charakter. Jeszcze około 1300 roku – co wynika z badań Gerarda Labudy – ludność pruska sięgała liczby około stu dwudziestu tysięcy, zaś Niemców było co najwyżej ośmiokrotnie mniej. Należeli oni głównie do warstwy rycerskiej i mieszczańskiej. Jeszcze zdecydowanie mniejsza była grupa sprawująca władzę, która liczyła mniej niż dwa tysiące osób. Dopiero wraz z upływem kolejnych dziesięcioleci pierwszej połowy XIV wieku, wobec zasiedlania Prus przez niemieckich chłopów sprowadzanych z Rzeszy, stosunki demograficzne zaczęły ulegać zdecydowanej zmianie. Dzięki wytężonej akcji osiedleńczej do lat pięćdziesiątych XIV wieku, kiedy napływ kolonistów ustał w związku z pustoszącą kraje Rzeszy epidemią „czarnej śmierci”, udało się założyć około tysiąc czterysta wsi na prawie chełmińskim, przy czym w każdej z nich było nie mniej niż dwadzieścia gospodarstw. Do 1410 roku powstały natomiast dziewięćdziesiąt trzy miasta, w zdecydowanej większości niewielkie ośrodki handlowe, stanowiące rynek

zbytu i wymiany towarów dla ludności zamieszkującej w promieniu kilkunastu kilometrów.

Wszystkie największe miasta powstały wzdłuż Wisły i nad Zalewem Wiślanym. Charakterystyczną cechą było zakładanie w ich bezpośrednim sąsiedztwie „nowych miast”, w taki sposób, że tworzyły ze starymi jeden system urbanistyczny przedzielony linią murów. Tak stało się w Elblągu, Braniewie i Toruniu, a także w Królewcu posiadającym trzy miasta, oraz w przodującym pod tym względem Gdańsku, który składał się z aż czterech miast. W końcu stulecia państwo zakonne liczyło już około czterystu osiemdziesięciu tysięcy mieszkańców, z czego na potomków Prusów i ludność pochodzenia polskiego skoncentrowaną głównie na ziemi chełmińskiej i na Pomorzu Gdańskim przypadało po sto czterdzieści tysięcy ludzi. Jednocześnie te dwa rejony posiadały największą gęstość zaludnienia, która w całym państwie osiągała średnią około ośmiu osób na kilometr kwadratowy. Charakterystyczny był wysoki odsetek ludności zamieszkującej miasta, który wynosił niemal dwadzieścia pięć procent. Tu przewagę liczebną i majątkową posiadali Niemcy, zdecydowanie faworyzowani przez władze zakonu. Pruskie mieszczaństwo było o wiele liczniejsze i silniejsze niż we wszystkich sąsiednich krajach i fakt ten w znacznym stopniu tłumaczy jego późniejszy wpływ na rządy wielkich mistrzów oraz przebieg wydarzeń polityczno-militarnych w XV wieku. Zresztą także na wsi rdzenna ludność pruska była wyraźnie upośledzona wobec niemieckich kolonistów. Jej zmorą był system wysokich szarwarków państwowych (obowiązkowe świadczenia nakładane na mieszkańców wsi i miast przy budowie dróg, mostów, zamków itp.), rujnujące ciężary fiskalne w postaci renty naturalnej i odrobkowej, do czego doszły jeszcze zakazy przechodzenia do miast i wsi czynszowych, co

stopniowo czyniło z początkowo cieszących się dużą autonomią włościan chłopów pańszczyźnianych.

W miastach aż do początku XV wieku przeważała zabudowa drewniana. Wyjątek stanowił Toruń, w którym już w końcu XIII wieku powstawały domy z cegły. Z czasem zaczęły one dominować w krajobrazie pruskich miast. Również w Toruniu, który pod tym względem rywalizował z Elblągiem, powstały pierwsze brukowane chodniki oraz wodociągi doprowadzające drewnianymi rurami wodę źródlaną do studzien.

Państwo zakonne było dosłownie naszpikowane zamkami obronnymi. Początkowo, aż do ostatnich dziesięcioleci XIII wieku, budowano je, wykorzystując istniejące wcześniej warownie drewniano-ziemne i kładąc warstwy kamieni lub cegieł (które z czasem stały się podstawowym materiałem) na istniejących wcześniej wałach, co zapewniało lepszą stabilizację wznoszonej budowli. Później zamki, stanowiące siedziby konwentów krzyżackich i stojących na ich czele komturów, zwane konwentualnymi bądź zamkami komtura, wznoszono już na podobnych zasadach. Krzyżacy budowali swoje zamki poza obrębem miasta i tylko czasami stykały się one jedną stroną z murami miejskimi. Jak stwierdził Karol Górski, czynili tak, „by nie rozdrażnić mieszkańców zazdrosnych o przywileje”. Poza funkcją czysto obronną miały do spełnienia – by posłużyć się słowami Marka Henzlera z artykułu *Mury komturów zamieszczonego w dodatku „Polityki” „Pomocnik historyczny. Grunwald 1410” – „rolę ekspozytury władzy państwowej i państwowych struktur gospodarczych*. Jako takie musiały budzić podziw swoim kształtem i onieśmielać niewzruszoną potęgą. Ma rację William Urban, kiedy stwierdza, że „Zakon Krzyżacki popularyzował swoją świętą misję wszelkimi dostępnymi w tym czasie sposobami. Na przykład krzyżacka architektura

podkreślała związek między obowiązkami wojskowymi i religijnymi zakonu, a jej każdy szczegół – jego solidność i potęgę”.

Schemat budowy był prosty. Zamek wznoszono na planie regularnego prostokąta z czterema narożnymi wieżami i masywną wieżą główną (donżonem) o kształcie cylindrycznym, kwadratowym lub ośmiokątnym. Pomędzy ścianami zamku a stykającym się z fosą murem obwodowym biegło szerokie na kilka metrów międzymurze (pachram). Komunikację z ufortyfikowanym przedzamczem zapewniała wąska kładka (przejazd bramny) połączona z mostem zwodzonym chronionym przez dodatkową, zdecydowanie mniejszą od pozostałych wieżę bramną. Istotnym elementem konstrukcyjnym było tzw. gdanisko (dansker), wieża spełniająca również funkcje sanitarne. Nazwa wedle niektórych badaczy wzięła się stąd, że w Malborku ustawiono ją w stronę Gdańska, co miało jakoby poniżyć jej mieszkańców. Gdanisko było połączone z bryłą zamku za pomocą wspartego na filarach murowanego lub drewnianego ganku, pod którym zwykle znajdowała się fosa lub strumień; tam odprowadzano nieczystości.



Gdanisko w zamku w Kwidzynie. Fotografia Jana Bułhaka z 1949 roku.

Przedstawiony wyżej schemat budowy i stosowane rozwiązania architektoniczne zapewniały krzyżackim zamkom wspaniałe walory obronne. Masywna, jednolita bryła zamku była nieporównanie bardziej odporna na ostrzał ze strony machin bądź artylerii niż zwykłe mury obronne, nawet ich dwa rzędy, i w związku z tym bardzo trudna do zdobycia. Istotne znaczenie miało przy tym umieszczenie nie na parterze, ale na piętrze najważniejszych pomieszczeń na czele z refektarzem, kaplicą, kapitułarzem, co pozwalało na podniesienie na wyższy poziom dużych otworów okiennych, to zaś utrudniało wdarcie się oblegających do wnętrza zamku. Aby w ogóle mogło do tego dojść, napastnicy musieli się wydostać z pułapki, jaką stanowił dla nich pachram, prawdziwa strefa śmierci doskonale wystawiona na ostrzał z kuszy, później też z broni palnej, na kamienne pociski, wrzątek i olej, słowem – wszystko to, czym mogli dysponować obrońcy odpierający atak. Utrata któregośkolwiek ze skrzydeł zamku nie pozbawiała ich

możliwości prowadzenia walki w pozostałych jego częściach, a kiedy padłyby i one, pozostawała jeszcze wieża główna, ostatni, niezwykle trudny do opanowania punkt oporu. Stawiano ją zawsze na solidnym fundamencie z możliwie dużych narzutowych gładów, aby wyeliminować lub w możliwie najwyższym stopniu utrudnić możliwość dokonania podkopu i przewrócenia konstrukcji. Grubość murów u podstawy wieży dochodziła nierzadko do czterech metrów, a dodatkowym zabezpieczeniem było ulokowanie wejścia do niej (prowadzącego po drewnianych schodkach, które w chwili zagrożenia były niszczone) wysoko nad poziomem dziedzińca; w Brodnicy było to aż dwadzieścia metrów, ale też miejscowy donżon był najwyższy ze wszystkich krzyżackich wież i mierzył pięćdziesiąt metrów. Dodatkowa i bardzo istotna funkcja wieży głównej związana była z obserwacją okolicy i przekazywaniem informacji załodze najbliższego pozostającego w kontakcie wzrokowym zamku. Gęste ulokowanie twierdz pozwalało na wielu obszarach państwa zakonnego błyskawicznie przesłać ważne, nieskomplikowane w treści wiadomości.

Największym krzyżackim zamkiem w Prusach, a jednocześnie jednym z najokazalszych w całej Europie, był zamek w Malborku. To w jego murach od 1309 roku mieściła się siedziba wielkiego mistrza. Pierwsza budowla powstała nad Nogatem na niewielkim pagórku w latach 1272–1300 na ruinach drewnianej warowni Prusów. Składała się z Zamku Wysokiego o wymiarach 51,6 na 60,7 metra oraz otoczonego murem obwodowym podzamcza liczącego 100 na 100 metrów, gdzie mieściły się magazyny, warsztaty, zbrojownia i szpital. Kompleks był przez cały XIV wiek rozbudowywany. Najpierw wzniesiono dołączony do zachodniego narożnika Zamku Wysokiego czterdziestometrowy ganek, tzw. szyję prowadzącą do wieży latrynowej, następnie zaś jego



czwarte, południowo-wschodnie skrzydło. Jeszcze później Zamek Wysoki został otoczony podwójnym murem z wewnętrznym pachramem i fosą (z czasem dodano kolejne umocnienia tworzące cztery rzędy murów) oraz dodatkowo zabezpieczony Wieżą Kleszą usytuowaną poza jego główną bryłą. Z czasem obok Zamku Wysokiego wzniesiono Pałac Wielkich Mistrzów, którego projektantem i budowniczym był sławny murator Mikołaj Fellenstein. W latach 1318–1324 na terenie podzamcza powstał Zamek Średni, pomysłany jako rezydencja wielkiego mistrza i siedziba najważniejszych urzędów w państwie zakonnym. Zaprojektowany w kształcie czworoboku o trzech skrzydłach z wolną przestrzenią wychodzącą na Zamek Wysoki był od niego zdecydowanie większy i bardziej reprezentacyjny. Główną salą Zamku Średniego był Wielki Refektarz o powierzchni czterystu pięćdziesięciu metrów kwadratowych, ogrzewany ciepłym powietrzem uzyskiwanym dzięki znajdującym się w piwnicach piecom i doprowadzanym do reprezentacyjnej jadalni za pomocą systemu kanałów. Oba zamki oddzielone zostały murem i fosą, co w przypadku oblężenia podnosiło ich walory obronne, tworząc dwa równie trudne do opanowania punkty oporu. Uzupełnieniem zamków Wysokiego i Średniego stał się Zamek Niski, zajmujący podzamcze drugiego z nich i będący w istocie zespołem budynków mieszczących różnorodne warsztaty, szpital, mieszkania dla służby, stajnie na czterysta koni, strzeżony przez mur obronny i kilka baszt. Cały kompleks zamkowo-klasztorny, otoczony murami dochodzącymi do czterech i pół metra grubości, zajmował teren ponad osiemnastu hektarów.

Rozmach, z jakim wzniesiono Malbork, wynikał z dobrze wykalkulowanego przez Krzyżaków interesu. Miał służyć nie tylko ich wygrodzie, ale nade wszystko imponować swoim

ogromem i emanować potęgą oraz stanowić magnes przyciągający do Prus rzesze europejskiego rycerstwa. Działo się tak przez całe stulecie wypełnione wyprawami na Litwę i poprzedzające Wielką Wojnę z Polską. Jedynie w latach 1399–1407 w Malborku z krótszą lub dłuższą wizytą pojawiła się niemal setka znamienitych gości. W ich liczbie znalazło się aż sześciu królów i kilkunastu książąt, a oprócz nich – arystokraci z kilkunastu europejskich krajów. Malbork mógł podjąć w tym samym czasie kilkuset gości, o czym świadczył niezwykle depozyt pieczołowicie przetrzymywany w zamkowym skarbcu: czterysta srebrnych kubków stanowiących część zastawy używanej podczas uczt wyprawianych w Wielkim Refektarzu, który z czasem przejął funkcję sali rycerskiej. Był to czas, kiedy Krzyżacy na wszelkie możliwe sposoby umilali swoim gościom pobyt w Malborku i na terenie Prus, ale też sami pławili się w zbytkach, budząc u wielu obserwatorów konsternację i zgorszenie swoim zachowaniem. Miejsce modlitw i nabożeństw zajęły ucztę i polowania, a u boku braci zakonnych pojawiały się kobiety lekkich obyczajów. Jak napisał Robert T. Tomczak, „Duch świecki zdecydowanie wziął górę w zakonie (...)”, a w wielkim stopniu podczas swoich ponad trzydziestoletnich rządów przyczynił się do tego Winrych von Kniprode. Sprawował władzę – jak to ujął Klaus Militzer – „bez liczącego się oporu i w ogóle bez większych problemów”. Jako pierwszy spośród wielkich mistrzów zwykł dokonywać objazdu kraju i zmuszać do „składania sobie hołdu”.

Krzyżackie zamki tylko w niewielkiej liczbie przetrwały w dobrym stanie do naszych czasów. Z ponad stu warowni jedynie kilkanaście wciąż cieszy oczy swoimi kształtami, wśród nich oczywiście Malbork, największa zachowana ceglana warownia średniowieczna, chociaż po wielu

przebudowach i rekonstrukcjach. Po innych pozostała częściowa zabudowa z fragmentami murów, pojedynczymi basztami i bramami, o wielu przypominają jedynie rumowiska. Przez ziemie zajmowane niegdyś przez Krzyżaków przewaliło się zbyt wiele zbrojnych konfliktów, aby ich zamki mogły się zwycięsko oprzeć wojennej zawierusze. Niektóre zostały dokumentnie zniszczone podczas wojny trzynastoletniej, przez wojska stanów pruskich, jako symbole znienawidzonej władzy zakonu. Inne uległy dewastacji bądź zostały obrócone w ruinę podczas szwedzkiego potopu. Pamiętać trzeba również o wojnie siedmioletniej i epoce napoleońskiej oraz czasach wojen światowych. Swoje zrobiły też rozbiórki i pozyskiwanie zamkowych cegieł na budowę twierdzy w Grudziądzu i odbudowę Człuchowa, który w 1598 roku padł ofiarą wielkiego pożaru i niemal w całości spłonął (z żywołu ocalały jedynie dwa budynki).

Państwo zakonne stanowiło dobrze funkcjonującą maszynę przynoszącą ogromne dochody. Warto przy tym wiedzieć, że reguła zakazywała Krzyżakom prowadzenia handlu oraz operacji kredytowych i bogacenia się na nich, ale zakonnicy zawczasu wystarali się w tym zakresie o papieską dyspensę. Zresztą nawet jej formalny brak nie powstrzymałby zakonu przed włączeniem się w system wymiany handlowej na wielką skalę. Jak podaje Wojciech Łygaś w książce *Szwedzkie opowieści. Z dziejów polsko-szwedzkich XIV–XVIII w.*, w 1407 roku dochody państwa krzyżackiego stanowiły równowartość setek ton złota. Trudno to sobie wyobrazić, ale w 1379 roku jedynie w magazynach zamku malborskiego znajdowało się siedemdziesiąt siedem tysięcy ton zboża! Właśnie ono było jednym z najważniejszych towarów, na eksporcie których zakon bogacił się najbardziej. Obok zboża eksportowy hit

stanowiło drewno, kupowane głównie na Mazowszu. Ogromna jego większość, bo aż osiemdziesiąt procent, sprzedawana była po zdecydowanie wyższych cenach na Zachód i wykorzystywana w stocznjach angielskich, niemieckich i flandryjskich. W końcu XIV wieku obroty sięgały dwudziestu siedmiu tysięcy sztuk obrobionego drewna, ale zdarzały się lata, że ta liczba ulegała podwojeniu. Ważnym towarem eksportowanym w dużych ilościach był воск – w średniowieczu produkt szczególnie poszukiwany, służący do masowej produkcji świec.

Istotne źródło krzyżackich dochodów stanowił także bursztyn. Pozyskiwano go na całym bałtyckim wybrzeżu, ale w największej ilości w rejonie Sambii. Po trwającym kilkadziesiąt lat okresie, kiedy właścicielem bursztynu był jego znalazca, a potem eksploatacją zajmowali się walczący o wyłączność z biskupem sambijskim kupcy z Lubeki, Krzyżacy zastrzegli sobie wyłączność w zakresie jego własności w ramach przysługujących im regaliów. Oznaczały one uprawnienia do pobierania danin w naturze i różnorakich opłat podatkowych i celnych, a także monopol obrotu niektórymi produktami. Powszechnie ceniona skamieniała żywica lasów iglastych sprzed milionów lat nie mogła, rzecz jasna, zostać z niego wyłączona. Początkowo Krzyżacy zadbali jedynie o zdobycie kontroli nad jak najdłuższą linią brzegową, co oczywiście wprost przekładało się na podaż cennego surowca. Ale to było tylko chwilowe zaniedbanie. W drugiej połowie XIV wieku już jedynie Krzyżacy mogli dokonywać obrotu bursztynem i czerpać z tego zyski. Przejęli kontrolę nad intratnym handlem w czasie nasilenia walk z Litwinami i należy przypuszczać, iż to właśnie potrzeba zapewnienia zakonowi dodatkowych dochodów zadecydowała o obłożeniu bursztynu pełnym monopolem zakonnego państwa. Skup pozostawał w gestii

wielkiego szafarza z siedzibą w Królewcu, przez ręce którego miał przechodzić cały pozyskany bursztyn. Oczywiście działało się tak jedynie w teorii, gdyż w praktyce dochodziło do wielu nadużyć; bursztyn był nazbyt cenny, aby wszystko odbywało się zgodnie z ustanowionymi przepisami. Niektórzy z komturów i inni urzędnicy, pomimo groźących kar, uczynili sobie z handlu bursztynem źródło dodatkowych dochodów. Co tylko oznacza, że żadna epoka z właściwym jej standardem moralności czy poczuciem przyzwoitości, przynależnością do stanu rycerskiego lub szatami zakonnymi, dobrowolnie przyjętą bądź odgórnie narzuconą regułą postępowania – nie stanowiła wystarczającej ochrony przed słabościami ludzkich charakterów. W komturstwie królewieckim ustanowiono tzw. mistrza bursztynowego, podległego wielkiemu marszałkowi i odpowiedzialnego za zbiór bursztynu na terenie objętym władzą komtura. Mistrz nie tylko gromadził bursztyn, ale także poprzez podległych sobie knechtów nadzorował wybrzeże morskie, na którym go wykopywano i poławiano. Do pracy najmowano pruskich chłopów z całymi rodzinami i, jak na panujące w Prusach warunki życia miejscowej ludności, mogli oni liczyć na zupełnie godziwą zapłatę. Jednak ci, którzy pokątnie chcieliby dokonywać połowu, w przypadku przyłapania na zabronionym procederze musieli się liczyć z utratą życia. Mistrz bursztynowy rezydował na zamku w Lochstadt, w pobliżu małej zatoczki, gdzie zbiory bursztynu należały od dawna do największych. W podziemiach mieścił się duży magazyn, w którym przechowywano „bałtyckie złoto”, zaś sam zamek był świetnie ufortyfikowany i zabezpieczony przed napaścią. Krzyżacy samodzielnie nie przetwarzali bursztynu. Wykorzystując dobrze rozwiniętą sieć faktorów i komisantów pracujących na zlecenie zakonu, wielki szafarz sprzedawał go głównie na zachód Europy, do Brugii i

Lubeki, gdzie działały liczne cechy bursztyniarskie. Tam bałtycki skarb, oprawiany w złoto i srebro, zamieniał się w jubilerskie cudęńka, chętnie nabywane i noszone przez damy wysokich rodów. Niemalże transporty trafiały też do wschodnich odbiorców. Część rozdawano w postaci prezentów, wiele było odstawianych do kurii Rzymskiej. W okresie późnego średniowiecza istniał ogromny popyt na bursztyn. Był on wykorzystywany nie tylko w wyrobach jubilerskich i traktowany jako kamień szlachetny, ale również przy produkcji ozdobnych kielichów i monstrancji oraz przy wytwarzaniu bardzo podówczas popularnych i poszukiwanych różańców zwanych „paternoster”.



Zamek w Malborku według Napoleona Ordy, grafika z 1880 roku.

Krzyżacy stworzyli w Prusach świetnie funkcjonujący system pocztowy, poniekąd działający w ramach służby wywiadowczej. W całym kraju powstały równomiernie rozmieszczone punkty pocztowe, gdzie w stajniach czekały

na kurierów świeże konie, a im samym zapewniano wypoczynek oraz wszelkie udogodnienia i rzeczy niezbędne w ich pracy. W każdym zamku wydzielone było pomieszczenie, w którym odbierano od posłańca pocztę kurierską, wręczano mu ewentualnie korespondencję do dostarczenia w inne miejsce i jednocześnie szczegółowo rejestrowano oba te fakty. Dodatkowo na odwrocie korespondencji zapisywano dzień i dokładną godzinę przybycia oraz odprawienia kuriera. Początkowo obowiązki związane z rozwożeniem poczty powierzano półbraciom, z czasem zaczęli je przejmować wierni zakonowi autochtoni. Szczególna rola przypadła Witingom (Wityngom), wywodzącym się z ludności zamieszkującej Półwysep Sambijski, która swego czasu nie przyłączyła się do największego z powstań pruskich w XIII wieku. Witingowie cieszyli się pełnym zaufaniem Krzyżaków, powierzano im niektóre funkcje w zakonnej administracji, formowano z nich załogi zamków, a podczas wojny – jako odrębna, lekkozbrojna formacja – służyli pod własną chorągwią. Oni również w ramach krzyżackiej poczty przewozili najważniejsze przesyłki. Ubrani w charakterystyczne niebieskie stroje, dosiadający najczęściej szybkich, miejscowych koników wywodzących się wprost od udomowionych tarpanów leśnych (tzw. swejki), rozwozili je także poza granicami Prus i byli dobrze opłacani. Przesyłkę pomiędzy Malborkiem a Toruniem, oddalonymi od siebie o około sto dwadzieścia kilometrów, przewożono w około trzydzieści godzin. W porównaniu do równoległych w czasie osiągnięć Inków, których kurierzy (tzw. chasquis) przebiegali podobny dystans w ekstremalnie ciężkich wysokogórskich warunkach zaledwie w około siedem, osiem godzin, możliwości krzyżackiej poczty nie są może imponujące, ale w średniowiecznej Europie stanowiła ona

przedmiot podziwu. Zapomniano tam już o dokonaniach Rzymian, którzy, korzystając z sieci doskonałych dróg, też jednak byli wolniejsi od Inków, ale tylko dwukrotnie.

Przez państwo zakonne biegło kilka ważnych traktów łączących je z innymi rejonami Europy. Szczególnie dobrze był skomunikowany Toruń, skąd wychodziły nie tylko szlaki na Poznań i Gdańsk, ciągnące się dalej ku Odrze i ku zachodowi, ale również w kierunku Lwowa (*via antiqua*), Włodzimierza, Brześcia nad Bugiem. To głównie wzdłuż nich aż do roku 1370 lokowane były nowe miasta, które, niezależnie czy leżące na terenie Prus, czy poza ich granicami, dzięki handlowi mogły się bogacić i szybko rozrastać. Z takiej możliwości skorzystała między innymi Warszawa, dodatkowo połączona traktem przez Pułtusk, Szczytno i Olsztyn z Królewcem. Jednocześnie stan dróg o znaczeniu regionalnym pozostawiał wiele do życzenia, podobnie jak ich odwzorowanie na ówczesnych mapach. Najstarsza z nich, która zachowała się do dzisiaj i przedstawia Prusy, pochodzi z połowy XV wieku i z wyglądu przypomina raczej nieskładną bazgraninę małego dziecka niż dzieło średniowiecznego kartografa. Później zaczęły powstawać już bardziej szczegółowe mapy, zwłaszcza Pomorza i ziemi chełmińskiej, ale Krzyżacy ciągle mieli kłopoty z kartograficznym odwzorowaniem terenów przygranicznych, a szczególnie tak ich interesujących ziem sięgających w głąb Litwy. Duże zasługi na tym polu położył słynny Konrad von Wallenrode, który w końcu XIV wieku, jeszcze jako wielki marszałek zarządzający zakonną służbą wywiadowczą, nakazał sporządzić mapy dróg, którymi mogły się poruszać krzyżackie oddziały atakujące Wielkie Księstwo.

Kończąc wątek związany z pocztą, wypada jeszcze dodać, że korespondencja zakonna, szczególnie ta, do której



przywiązywano większą wagę, zwykle bywała szyfrowana. Literom lub sylabom odpowiadały cyfry i liczby, czasami przestawiano słowa lub dla zmylenia czytającego, który nie był adresatem, wstawiano dodatkowe frazy. Dla dzisiejszych specjalistów, a chociażby dla bardziej wnikliwych i cierpliwych amatorów obdarzonych pewną dozą wyobraźni, rozgryzienie zakonnych szyfrów nie stanowiłoby zbyt dużej trudności, ale w czasach wielkich mistrzów dobrze służyły one zachowaniu tajemnicy korespondencji.

W Prusach członkowie zakonu korzystali z jedyne­go na tym terenie leprozorium, przeznaczonego dla chorych na trąd. Pomimo że wiedziano, iż trądem można się zakazić podczas bezpośredniego kontaktu z cierpiącym na to schorzenie, w szerokich kręgach społeczeństwa utrzymywało się przekonanie, że stanowi on swoistą karę za grzechy i niemoralne prowadzenie się. Widoczne ślady na ciele, szczególnie na twarzy, przez wielu były traktowane jako wyraz boskiej dezaprobaty. Dlatego trędowatych zbyt­nio nie żałowano, a charakterystyczny dźwięk noszonej przez nich kołatki napawał tyleż strachem, co obrzydzeniem na ich widok. Leprozorium założono w Wikrowie nieopodal Elbląga, gdzie znajdował się główny szpital zakonny pod wezwaniem Ducha Świętego. W mieście tym rezydował podszpitalnik, który w imieniu wielkiego szpitalnika zarządzał placówką. O przytułku dla trędowatych w Wikrowie pierwsze wzmianki pochodzą z 1348 roku, a zatem z okresu, kiedy w Europie pojawiła się „czarna śmierć”, a po raz ostatni wspomniano o nim równe sto lat później. Trąd, okrutna choroba straszliwie deformująca ciało i sprawiająca, że dotknięty nią człowiek stawał się „kłamliwy i miewał gniewną naturę”, grasowała po kontynencie i budziła powszechny lęk, niewiele mniejszy niż na Bliskim Wschodzie, gdzie stanowiła istną plagę. Jednak to nie trąd,

ale dżuma, zwana także morem lub zarazą morową, zbierała najstraszliwsze żniwo; w połowie XIV wieku w niektórych rejonach zabiła do osiemdziesięciu procent mieszkańców, a łącznie około dwudziestu pięciu procent ludności Europy, okazując się najbardziej śmiertelnością pandemią w całej jej historii. Polska, ale także rejon nadbałtycki, wbrew dość rozpowszechnionym twierdzeniom, wyszły z niej stosunkowo obronną ręką.

Szczyt potęgi terytorialnej, militarnej i politycznej, ale również największy rozwój gospodarczy, państwo zakonne osiągnęło na początku XV wieku. Jego ziemie rozciągały się z zachodu na wschód, od Gotlandii i pasa terytoriów Pomorza Zachodniego, poprzez Prusy i Żmudź, aż do Inflant, a na południu sięgały Mazowsza. Niczym macki ośmiornicy rozpościerały się nad Królestwem Polskim, odcinając je od Bałtyku i dławiąc jego rozwój gospodarczy. Rozległości krzyżackiej domeny nie ustępowało znaczenie polityczne i bogactwo materialne, czyniące z zakonu dominującą siłę w basenie Morza Bałtyckiego, zdolną i chętną do prowadzenia wyjątkowo agresywnej, zaborczej polityki. Ale, paradoksalnie, właśnie w tym czaiło się największe niebezpieczeństwo dla dalszego jego istnienia. Wedle Mariana Biskupa „(...) ta zaborcza polityka, szczególnie wobec Litwy, rzutowała z kolei na gospodarkę państwa zakonnego, tworząc w niej pierwsze rysy na skutek zbyt wysokich wydatków na cele militarne”. Nie mogły one trwać bez końca. Pech i przekleństwo Krzyżaków polegały na tym, że w sposób niebywały wyrosła również potęga uśpionego dotychczas sąsiada państwa „panów pruskich”, a zarazem największego ich naturalnego wroga – Królestwa Polskiego, dodatkowo wzmocnionego siłami Litwy.

Wcześniej czy później musiało dojść do brutalnej i tak długo odkładanej w czasie konfrontacji.

## LITEWSKIE REJZY

„W 1316 r. przybyli pierwsi zachodni krzyżowcy. Reńskich pielgrzymów (jak mówili sami o sobie) zwerbował Karol z Trewiru w czasie pobytu w Niemczech. Od tego czasu krzyżowcy przybywali do Prus coraz częściej w ramach tak zwanych przez nich *reisen* („rejzów” – wycieczek), co było średniowiecznym eufemizmem na określenie wojennej przygody”.

(William Urban w książce *Krzyżacy. Historia działań militarnych*)

**P**okój zawarty z Polską miał przetrwać aż do początków następnego stulecia. Było nieuniknione, że państwo zakonne, żywiące się podbojami i walką z poganami i dowodzące w ten sposób potrzeby swojego istnienia – musiało w tym długim, ponad siedemdziesięcioletnim okresie – znaleźć sobie kolejnego wroga. Stała się nim oczywiście pogańska Żmudź przedzielająca Inflanty od ziem zakonnych. Zresztą jej podbój miał być zaledwie wstępem do uderzenia na Litwę, a potem, być może, skierowania ekspansji nawet na rozległe terytoria Rusi. Te ostatnie już w 1337 roku cesarz Ludwik IV Bawarski „nadał” zakonowi i Krzyżacy, niezależnie od wątpliej podstawy prawnej owego benefitu, wprawni już w wykorzystywaniu podobnych upominków, byli gotowi sięgnąć po dokument w odpowiednim momencie. Ale najpierw musieli się rozprawić z Litwą, która również drapieżnym okiem spoglądała w

stronę Rusi, podzielonej i wyniszczonej mongolskimi najazdami.

Do pierwszych walk między Krzyżakami i Litwinami, o czym wspomniano, dochodziło już w pierwszej połowie XIII wieku. Nacisk zakonu na Litwę przybrał na sile po stłumieniu pierwszego z wielkich powstań Prusów. Sprzyjający okazał się fakt, że po śmierci Mendoga jego państwo rozpadło się na szereg walczących ze sobą księstw i na pewien czas pogrążyło w wojnie domowej. Ale trwało to krótko. Z bratobójczych walk zwycięsko wyszedł Trojden, możny związany z dworem jednego z synów Mendoga, i w 1269 roku sięgnął po tron wielkoksiążęcy. Okazał się wybitnie uzdolnionym dowódcą i politykiem. Szybko zjednoczył cały kraj i dwukrotnie pobił armię inflanckiej gałęzi zakonu krzyżackiego oraz odparł najazd Tatarów. Trojden, którego zwycięstwa utwierdziły w poczuciu siły, snuł plan zjednoczenia wszystkich plemion Bałtów i rozpętania wielkiej wojny z Krzyżakami w celu zniszczenia ich państwa. Jednocześnie jednak dawał im do ręki propagandowy i bardzo niebezpieczny dla swoich rodaków oręż, zwalczając religię chrześcijańską i na powrót czyniąc z Litwy kraj pogański. Swoich ambitnych planów Trojden nie zdołał zrealizować, a po jego śmierci znów doszło do walk o władzę. Zdobył ją na niemal dwadzieścia lat Witenes. Podobnie jak Trojden był on władcą nietuzinkowym. Jemu również udało się zadać Krzyżakom poważną porażkę w bitwie pod Korkhaus w 1298 roku i w trudnej sytuacji geopolitycznej – Litwa prowadziła jednocześnie walki przeciwko ruskim książętom, Tatarom, Mazowszu – uczynić z niej lokalną potęgę.

Następcą Witenesa został jego brat, sławny Giedymin, rządzący Litwą ponad ćwierć wieku i wśród jej wszystkich władców zajmujący szczególne miejsce. To on rozszerzył

granice Litwy, zdobywając kontrolę nad ogromnymi terenami Rusi, a jednocześnie radykalnie przeorientował dotychczasową politykę walki ze wszystkimi sąsiadami i w sojuszu z Polską wystąpił przeciwko Krzyżakom. Jednocześnie, łudząc papieża wizją chrztu Litwy, uzyskał wydanie przez niego zakonowi zakazu atakowania Wielkiego Księstwa. Był to jednak sukces raczej propagandowy niż rzeczywisty, gdyż Krzyżacy pomimo głosu swojego zwierzchnika w Rzymie nie zamierzali zrezygnować z prób podboju Litwy. Giedymin przed śmiercią w 1341 roku podzielił państwo pomiędzy siedmiu synów. Mogło się wydawać, że będzie to nieunikniony krok ku rozpadowi jego władztwa i powstaniu sytuacji podobnej do tej, jaka przed niemal dwustu laty spotkała Polskę. Stało się zupełnie inaczej. Po krótkim zamieszaniu ster rządów uchwycili dwaj najzdolniejsi spośród braci: dominującą pozycję zdobył Olgierd, wspomagany przez Kiejstuta. Ich rządy nad Litwą stały pod znakiem nieustannych wojen, co miało związek z wysuniętym przez nich wielkomocarstwowym, zdobywczym programem zakładającym opanowanie ziem nadbałtyckich i całej Rusi. Na północnym zachodzie bracia musieli przeciwstawiać się coraz silniejszemu naciskowi ze strony zakonu i regularnie ponawianym krucjatom; na południowym wschodzie prowadzili natomiast ciągłą i zwycięską ofensywę.

Szczególnie trudny okazał się dla Litwy przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych XIV wieku. W 1348 roku jej wojska poniosły ciężką porażkę z Krzyżakami nad rzeką Strawą, zaś zaledwie kilkanaście miesięcy później Polacy zajęli należącą do Litwy Ruś Halicką, a także część Podlasia i Brześć. Wkrótce jednak stosunki z Polską uległy poprawie, a Litwa, szukając przeciwwagi dla rosnącej w siłę Moskwy, zawarła sojusz z Wielkim Księstwem Twerskim.

Jednocześnie, choć z wielkim trudem, była w stanie odparać kolejne, sięgające coraz bardziej w głąb jej terytoriów wyprawy organizowane przez Krzyżaków. W latach sześćdziesiątych Litwini odnieśli szereg zwycięstw na Rusi, zdobywając kolejno Smoleńsk, Briańsk, ziemię kijowską, a dodatkowo, krótko potem, potrafili pokonać tatarską armię Złotej Ordy w wielkiej bitwie nad Siną Wodą (Sine Wody), co oddało im kontrolę nad Podolem. W ten sposób Wielkie Księstwo Litewskie coraz mocniej przesunęło polityczny punkt ciężkości na południe i wschód, z ledwością odparując mordercze ciosy wymierzone w jego rdzenne ziemie.

Śmierć Olgierda w 1377 roku otworzyła nowy rozdział zarówno w dziejach Litwy, jak i jej najbliższych sąsiadów. Na następcę księżę wyznaczył bowiem swojego syna Jagiełłę (przyjmuje się, że urodził się w 1352 lub 1362 roku, nic dokładniejszego na temat daty jego przyjścia na świat nie da się stwierdzić), któremu pisana była wielka polityczna kariera oraz sława pogromcy zakonu krzyżackiego. Nim to się jednak stało, musiał stoczyć rywalizację z Kiejstutem, a potem jego synem Witoldem, która nie tylko doprowadziła do dalszego osłabienia Litwy w walce z Krzyżakami, ale była też umiejętnie przez nich podsycana i wykorzystywana. Ich największym atutem, poza finezyjną dyplomacją i wygrywaniem na wewnętrznych konfliktach na Litwie, okazała się stała pomoc zbrojna napływająca z Rzeszy i innych krajów.

Przyczyny, dla których europejskie rycerstwo, podejmując ryzyko śmierci i jednocześnie ponosząc wielkie nakłady finansowe, wyprawiało się na Litwę, w kilku zdaniach wyjaśnił Boockmann: „Dlaczego europejska szlachta brała na siebie ten trud i te koszty? Często zadawano to pytanie. Jedną z odpowiedzi brzmiała: ponieważ tu gromadzili się

najlepsi, tu rycerstwo europejskie broniło Zachodu. Inna zwracała uwagę na możliwość «pokazania się», szlachecki sport, polowanie na pogan”. Jako uzupełnienie powyższego przekazu może służyć opinia Militzera, który napisał, że rejsy „stały się szlachetnym przedsięwzięciem, które każdy myślący o sławie szlachcic powinien choć raz wziąć na swe barki”. Litwini byli traktowani jako podludzie wykluczeni ze świata chrześcijan i jako takich – można ich było mordować bez większych oporów moralnych. Ale prześladowcy ostatnich w Europie pogan też narażali się na wielkie niebezpieczeństwo. Nie tylko podczas samych walk na Litwie i Żmudzi, ale już w czasie samej wyprawy do tych pogańskich krain. Odległa podróż dla niektórych kończyła się przedwcześnie i mało przyjemnie, kiedy zmierzając do celu, zwykle na Pomorzu, byli porywani dla okupu. Ogromna część gości z Zachodu, szczególnie z krajów niemieckich, docierała jednak nieniepokojona do miejsca przeznaczenia i brała udział w krzyżackich rejsach oznaczających wyprawę zbrojną na Litwę. Wielu, po ich odbyciu, powracało do siebie jako pasowani na rycerza. Akt ten miał tym większą wartość, że dochodziło do niego w Prusach, stanowiących poniekąd namiastkę utraconej w poprzednim stuleciu Ziemi Świętej i Jerozolimy, gdzie przyjęcie w stan rycerski w scenerii walki z niewiernymi było szczególnie cenione. Krzyżacy potrafili zadbać, aby przybywający do nich rycerscy goście czuli się wyjątkowo. Potrafili ich odpowiednio uhonorować i stworzyć atmosferę ich wyjątkowości. Jakby nie pamiętając, że pod Courtrai w 1302 roku brugijscy tkacze dokonali rzezi rycerstwa francuskiego, dwanaście lat później Szkoci rozbili ciężką jazdę Anglików pod Bannockburn, a w 1346 angielscy łucznicy sprawili mu podobną krwawą łaźnię podczas słynnej bitwy pod Crécy, symbolicznie kończąc epokę triumfów ciężkozbrojnej jazdy. Ale nad Bałtykiem, hołubieni

na wszelkie możliwe sposoby, uczestnicząc w walce z poganami, zachodni rycerze ciągle mogli się ogrzewać w niegdysiejszej sławie i uważać wciąż za niezwycięzonych. Na tych, którzy oddawali zakonowi największe przysługi podczas litewskich rejsz, czekała specjalna nagroda. Miała wyłącznie charakter prestiżowy, ale z tego powodu przez wielu była bardzo ceniona i pożądana. Dla najmożniejszych i najdzielniejszych Krzyżacy wymyślili tzw. stoły honorowe. Być może miały one związek z rycerskimi biesiadami odbywanymi w Anglii przez członków Zakonu Okrągłego Stołu (przekształconego potem w Zakon Podwiązki), ale raczej posiadały oryginalny, czysto pruski charakter. Pośrednio może o tym świadczyć fragment listu wielkiego mistrza Henryka von Plauena do władcy Francji, w którym stwierdził, że „stół honorowy papieskim i cesarskim autorytetem został przyznany i pojedynczym przywilejem prerogatywy nam nadano”. Wspomniana wyłączość była Krzyżakom niezbędna; rejsy ze stołami honorowymi, ale również z odpustami wieczystymi i możliwością zdobycia rycerskiego pasa przyciągały niczym magnes i zapewniały ciągły napływ jakże potrzebnych rycerskich posiłków.

Według Długosza, któremu jednak nie sposób do końca dawać wiary, gdyż wielokrotnie, jak i w tym przypadku, swoich twierdzeń nie wspierał wiarygodnymi dowodami, na pomysł uroczystych biesiad z udziałem rycerzy gości wpadł już w połowie XIII wieku wielki mistrz Poppo von Osterna (Osternach), władający zakonem w latach 1252–1256. Zależąc mu miało na pozyskaniu przychylności ze strony króla Przemysła Ottokara. Popularna jest także inna wersja, propagowana przez Szymona Grunaua, że stoły honorowe pojawiły się dopiero pod koniec XIV wieku, po 1382 roku, za sprawą wielkiego marszałka Konrada von Wallenrodego. Mylić się mogą obaj. Z pewnością stoły honorowe



rozstawiano już w 1375 roku oraz dwa lata później, kiedy do Prus zawitał książę Austrii Albrecht III. Chciał sobie zasłużyć na pas rycerski i wybrał do tego miejsce najlepsze z możliwych. Na dodatek stosunkowo nieodległe od jego domeny. Nim zasiadł do stołu honorowego w Królewcu, który zastawiono dla gości zakonu tuż przed reją na Żmudź, książę był podejmowany wystawnymi ucztami w Toruniu i Malborku. Tę drugą zorganizował w Wielkim Refektarzu wielki mistrz Winrych von Kniprode i na niej Albrecht III był szczególnie fetowany. W Królewcu rola ta przypadła jednak komu innemu. Za „ogólnym słowem”, czyli powszechnym wyborem zebranych, obok wielkiego mistrza zasiadł nie książę, ale szlachetny rycerz Konrad von Krey. Książę Albrecht III dzielnie pomachał mieczem i zapewne ku swojej wielkiej satysfakcji przeciął nim nić życia kilku tropionych po lasach niczym zwierzyzna pogan, czym wraz z grupą ponad siedemdziesięciu innych dzielnych wojaków zasłużył sobie na pasowanie. Później zaś, już po powrocie do Królewca, to właśnie on, już jako dumny rycerz, wydał ucztę. Najmężniejsi i najsprawniejsi w uganianiu się za niewiernymi rycerze zostali hojnie przez niego obdarowani. Rozochocony książę, rozpamiętujący ciągle swoje wojenne triumfy i rycerskie wywyższenie, „przypijał” do nich złotymi lub srebrnymi pucharami pełnymi złotych guldenów jako szczególnego rodzaju żołem, gdyż tak czynić nakazywało „stare prawo”. A skoro tak, to oczywiste jest, że tradycja honorowych stołów wieńczących wyprawy przeciwko litewskim poganom musiała już od dość dawna trwać. Najczęściej zasiadało przy nich dwunastu biesiadników, ale nie była to zasada. Bywało ich poniżej dziesięciu, a czasami czternastu. Zaszczycem było zajęcie miejsca jak najbliżej wielkiego mistrza. O tym, gdzie kto miał zasiąść, decydował sąd honorowy złożony ze znamienitych rycerzy

uczestniczących w rejzie lub tzw. król herbowy, urzędnik krzyżacki doskonale rozeznający się w heraldyce i drzewach genealogicznych poszczególnych rycerzy. Najgodniejsi i opromienieni sławą swoich czynów mogli liczyć na najbardziej eksponowane miejsca przy stołach honorowych. Pozostałych biesiadników – bywało, że ich liczba szła w setki – rozsadzano przy innych stołach, zgodnie z zasługami dla zakonu. Gradacja przyjmowana przez gospodarzy była trochę inna; Krzyżacy na swój użytek dzielili stoły na przeznaczone dla „dostojnych”, dla „panów”, dla „młodych panów” i dla służby.

Podobno najwspanialszy i zarazem najdroższy ze stołów honorowych został wystawiony pod Kownem w 1391 roku. W następnych latach opowiadano o nim legendy, w tym tę, że kosztował Krzyżaków pół miliona grzywien, ale wydaje się zupełnie nieprawdopodobne, aby taką górę złota przeznaczono na rycerską biesiadę. Tym bardziej że nie brały w niej udziału koronowane głowy. Dziewięć lat później stół honorowy przygotowany w Królewcu kosztował niespełna pięćdziesiąt grzywien. Trudno sobie wyobrazić aż tak wielką dysproporcję. Niezależnie od wysokości wydatkowanych środków stoły honorowe zawsze uginały się od wspaniałej zastawy i wymyślnych potraw, a biesiadnikom w czasie ich spożywania przygrywała kapela. Raczone się od godzin porannych do późnego wieczora lub nocy. Nie ma pewności, kiedy przygotowano pierwszy honorowy stół. Wiadomo natomiast, że ostatni został przez Krzyżaków wyprawiony 2 września 1409 roku na przedpołu obleganego od ponad tygodnia zamku w Złotorii. Wycieńczona polska załoga była u kresu wytrzymałości i bez nadziei na uratowanie życia szykowała się na ostateczny szturm. Nim nastąpił, do długiego, bogato zastawionego stołu zasiedli krzyżacy dostojnicy i najwybitniejsi spośród gości.

Przygrywała orkiestra, pojawiły się „niewiasty i dziewice z Torunia. W ich obecności urządzono atak na zamek”. Kilka lat później wielki mistrz usiłował odświeżyć długoletni zwyczaj i nawet pisał o tym w listach rozsyłanych na książęce i królewskie dwory, pragnąc zachęcić zachodnie rycerstwo do wyprawy przeciwko Polakom i Litwinom, ale zamysł ten nie doczekał się realizacji.

W pewnym momencie rejsy na Litwę stały się corocznym przedsięwzięciem organizowanym przez zakon krzyżacki. O ile początkowo wiele z nich odbywało się drogą wodną w górę Niemna, to później coraz częściej korzystano ze szlaków lądowych. Zadecydowała o tym rzecz prozaiczna – koszty. Te zaś, związane z budową zamków obronnych wzdłuż rzeki, utrzymywaniem silnych załóg i zapewnianiem zaopatrzenia, były bardzo wysokie. Tańsze okazało się przemieszczanie wojsk lądem. Pierwsze drogi wiodące ku Litwie zaczął tworzyć w latach czterdziestych XIV wieku wielki mistrz Dietrich von Altenburg, który – jak stwierdza Wigand z Marburga – „Dla dobra kraju w 1341 roku zbudował trzy szerokie drogi w kierunku ziemi Litwinów, poprzecinane rowami, które utrudniałyby dojście wrogowi”. Być może zresztą w tym przypadku chodziło raczej o jakieś terenowe przeszkody, które miały za zadanie powstrzymać pogan przed atakami w kierunku Sambii.

W rejsach organizowanych przez Krzyżaków uczestniczyli królowie, książęta i dostojnicy najwyższej rangi. Zachowało się wiele opisów takich wypraw, niektóre w szczególności, niemal dzień po dniu przedstawiające ich przebieg. Pozostawili je kronikarze, poeci towarzyszący swoim panom, ale również skarbnicy prowadzący księgi rachunkowe będące prawdziwą kopalnią informacji. Rozgłos zdobyła wyprawa zimowa z przełomu 1344 i 1345 roku. Jej celem była Żmudź, a w szczególności dwa grody: Wielona i

Pista. Zakończyła się spektakularnym niepowodzeniem, ale na dworach europejskich długo o niej rozprawiano ze względu na udział znamienitych gości, którzy zjechali do Królewca i tam przez kilka tygodni czynili przygotowania do wyprawy. W szeregach krzyżowców znaleźli się król Węgier Ludwik I, w przyszłości nazwany przez rodaków Wielkim, król Czech – oślepy Jan Luksemburski (rok później miał polec w bitwie pod Crécy), jego syn, późniejszy cesarz – Karol IV, jak również hrabiowie Holandii, Holsztynu, liczni książęta i cała plejada znanych na kontynencie rycerzy. Tej doborowej wielotysięcznej kompanii, zresztą potężnie wewnętrznie skłóconej – hrabia Wilhelm Holenderski był szwagrem cesarza Ludwika IV, na schedę po którym ostrzył sobie zęby syn Jana Luksemburskiego – nie było jednak dane przeżyć ekscytującej przygody, na jaką liczyła, ani zdobyć łupów na poganach. Wyprawę storpedowała wyjątkowo nieprzychylna aura; niespotykane wysokie o tej porze roku temperatury przyniosły roztopy i zamieniły drogi w niemal niemożliwe do przebycia bagniska. Zapadała się w nich rycerska jazda, a piesze oddziały z wielkim trudem posuwały się naprzód. Tylko szalenieliby się w takich warunkach kontynuować zaplanowaną wcześniej rejsę. Zaledwie po kilku dniach od odtrąbienia wsiadanego i wyruszenia po chwałę i łupy zawiedzeni krzyżowcy powrócili do Królewca, na równi przeklinając pogodę oraz zapadłych jakby pod ziemię tubylców, jak i wielkiego mistrza, który osobiście nie uczestniczył w wyprawie, zapewniając jedynie przewodników i nieznaczne wsparcie miejscowych oddziałów. Litwini, zwolnieni dzięki pogodowemu kaprysowi z potrzeby obrony własnych ziem, uderzyli na ogołoczone z wojsk Inflanty i odnieśli kilka łatwych sukcesów. Z tej może najkrótszej w dziejach wyprawy krzyżackich gości na Litwę pozostała dla potomnych garść pikantnych faktów.

Jeden, opisany po latach przez Karola IV, dotyczył surowo wzbranianego przez Kościół hazardu, jakim się raczyli wysoko urodzeni w oczekiwaniu na nadejście zbawiennego mrozu. W popełnieniu grzechu pomocne były kości, a stawki nie służyły bynajmniej do zabicia czasu. Oto władca Węgier lekką ręką przegrał do hrabiego Wilhelma IV z Holandii sumę sześciuset guldenów, co stało się powodem drwin i niewybrednych docinków pod jego adresem ze strony szczęśliwego gracza. Zresztą żaden z uczestników nieudanej rejzy nie krył rozczarowania i gniewu, co ostatecznie odbiło się najmocniej na wielkim mistrzu Ludolfie Königu. Wspomina o tym *Kronika oliwska*, sporządzona przez opata cystersów Stanisława w latach 1330–1356: „Z powodu tego niespodziewanego wydarzenia, dokonanego wśród chrześcijan za przyzwoleniem Bożym, jak również z powodu daremnego wysiłku wspomnianych wyżej królów i władców, mistrz popadł w bezgraniczny smutek i udrękę serca. Nic w tym dziwnego, ponieważ królowie zarzucili mu, że z jego starania i woli zostali zwiedzeni w nadziei zmierzenia się z poganami, którą mieli. Uwłaczali mu jawnie nie tylko królowie i inni możni, ale także jego bracia”. Dalej kronikarz pisze o nagłej chorobie psychicznej wielkiego mistrza, która jeszcze jesienią tego samego roku miała jakoby wpłynąć na jego decyzję o rezygnacji z urzędu. Zresztą zaledwie trzy lata później zmarł, piastując urząd komtura w Pokrzywnie, co wersję o psychicznych niedomogach każe traktować raczej z przymrużeniem oka. Goście z Zachodu, którzy tak boleśnie dla Ludolfa Königa przysłużyli się do jego degradacji, wielokrotnie swoim zachowaniem powodowali nieporozumienia i stwarzali zakonowi poważne problemy. Jego najwyżsi dostojnicy musieli umiejętnie lawirować, aby nie urazić goszczonych przez siebie władców, od których mógł zależeć ich los. Wspomniany Ludwik IV i

Luksemburgowie, zażarcie walczący o władzę nad krajami niemieckimi, w przypadku okazanej im nieprzychylności bądź doznania obrazy z łatwością mogli wziąć rewanż na położonych w ich granicach krzyżackich baliwatach. Takich ludzi, niezależnie od okoliczności, należało traktować z właściwymi honorami i obchodzić się z nimi niczym z przysłowiowym jajkiem. W żadnym zaś razie nie można było im zakazać udziału w rejzie, co niejednokrotnie spotkało pomniejszych możnowładców i rycerzy.

W końcu XIV wieku dotknęło to nazbyt krewkich gości z Anglii, którzy nie tylko dopuszczali się burd i rozsadzali dyscyplinę w szeregach krzyżowców, ale również mieli na rękach krew zięcia króla szkockiego. Władze zakonne, nie chcąc psuć stosunków z krzyżowcami z innych krajów, zaprzestały zapraszać aroganckich Anglików do Prus i po roku 1394 już nie uczestniczyli oni w litewskich rejzach. Nim to się stało, jesienią 1390 roku, w jednej z wypraw wziął udział Henryk z Bolingbroke, hrabia Derby, dziewięć lat później ukoronowany na króla Anglii jako Henryk IV. Zapewne on również przyczynił się do wyrobienia o Anglikach złego zdania. Wizyta hrabiego w państwie zakonnym była dość typowa dla gości z Zachodu, przybywających tam z jednoczesnym zamiarem przeżycia rycerskiej przygody i zasłużenia się Bogu. Przyszłemu królowi towarzyszyło około siedemdziesięciu możnych panów i trochę wojska, w tym niemal trzy dziesiątki wyśmienitych łuczników, którzy budzili podziw niezwykłą sprawnością we władaniu sławnymi na całą Europę walijskimi, długimi łukami. Oprócz zbrojnych przybyła pokaźna grupa sług, w ich liczbie ulubiona kapela hrabiego, a także skarbnik, którego zapiski i skrupulatne notatki księgowe pozwalają po wiekach, jak obrazowo określił to Paweł Pizuński, „prześledzić przebieg wyprawy z

dokładnością do jednego funta”. Zresztą nie tylko one. O wyczynach swoich rodaków w zamorskich ziemiach wspominał również Geoffrey Chaucer w słynnych *Opowieściach kanterberyjskich*. Hrabia i jego towarzysze przybyli najpierw drogą morską do Gdańska, a stamtąd popłynęli do Królewca, skąd kolejna rejza wyszła już w pole. Anglicy ruszyli w ślad za nią, ale tabor, który ciągnęli za sobą, wypełniony prowiantem i przedmiotami zbytku, mocno utrudniał marsz. Udało im się jednak bezpiecznie połączyć z główną armią idącą na Wilno. Garstka Anglików dzielnie stawała podczas oblężenia, walnie przyczyniając się do zdobycia Krzywego Grodu, a jeden z łuczników hrabiego Derby miał wypuścić strzałę, która zabiła dowodzącego załogą brata polskiego króla Władysława Jagiełły, Kazimierza Korygiełłę; wedle innej wersji miał być wzięty do niewoli i następnie ścięty. Dwa pozostałe obsadzone przez Polaków zamki zdołały się obronić, ale idącym do szturmów w pierwszej linii Anglikom, którym z fantazją przygrywała kapela, udało się zatknąć sztandary na zewnętrznym pasie umocnień.







Książęta litewscy w końcu XIV wieku według Bronisława Gembarzewskiego.

Był to jednak kres powodzenia oblegających i po kilku tygodniach krzyżowcy odeszli spod Wilna, tracąc setki zabitych i pozostawiając w rękach przeciwnika garść jeńców. W ich grupie znalazło się dwóch Anglików. Hrabia nie zostawił rodaków na pastwę losu. Jego herold dwukrotnie był wyprawiany na dwór krakowski z prośbą o ich uwolnienie, za drugim razem wspartą listem księcia Lancaster, ojca hrabiego. Użyto w nim zaskakujących argumentów mogących równie dobrze świadczyć o elementarnej niewiedzy lub też, co równie możliwe, o bezgranicznej bezczelności. Oto książę – cytując za Pawłem Pizuńskim – prosił króla Władysława, już od kilku lat zasiadającego na polskim tronie, o uwolnienie „pewnych rycerzy, którzy przez ziemie wasze do Grobu Świętego pielgrzymowali, a których wy, albo raczej jacyś z ludzi waszych, jak drapieżne wilki na stado owiec napadliście bez żadnej z ich strony winy ni przyczyny”. Niewykluczone bowiem, że możni angielscy trwali w przeświadczeniu, iż Litwini są ciągle poganami i ich zabijanie na chwałę Bożą stanowi powinność każdego prawego rycerza. Jednak próba przekonania polskiego władcy o pielgrzymce do Grobu Pańskiego biegnącej przez ziemie Litwy była aż nazbyt

karkołomna i niewiarygodna. Nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle angielscy jeńcy powrócili do swoich, wiemy natomiast, że hrabia Derby i jego ludzie kilka miesięcy, aż do połowy lutego, spędzili w Królewcu, zaś kolejnych sześć tygodni w Gdańsku. Nie interesowała ich już następna rejsa, która zimą wyruszyć miała przeciwko Litwinom; mieli poczucie spełnionego religijno-rycerskiego obowiązku i postanowili przede wszystkim miło wykorzystać czas przed powrotem do ojczyzny. Anglicy nie szczydzili sobie na przyjemnościach. Podczas pobytu w Królewcu na przemian polowali i ucztowali, w przypadku tej drugiej rozrywki nie dbając bynajmniej o umiar. Ani o fundusze, z których połowa, jak wynika ze skrzętnie prowadzonych przez skarbnika ksiąg rachunkowych, została przeznaczona na zakup najlepszych win, głównie reńskich i małmazji. Któregoś dnia, podczas wypadu do Elbląga, wesola kompania hrabiego Derby wlała w siebie wina i piwa za sumę dwóch tysięcy siedmiuset skojców (używana w średniowieczu niemiecka jednostka obrachunkowa i masy; w XIV wieku skojec stanowił równowartość dwóch groszy praskich, można było za niego nabyć około piętnastu jajek). Podobno następny dzień przyniósł Anglikom nie najlepsze wrażenia i – jak zanotował skarbnik – w ich menu pojawiła się duża ilość migdałów, wedle ówczesnego mniemania bardzo korzystnie wpływających na trawienie. Zresztą nie samym winem i piwem żyła wesola hrabiowska kompania. Notatka z 16 lutego 1381 roku zawiera pełne zestawienie jadła, jakie w ciągu wielogodzinnej biesiady pochłonęli Anglicy. Na stołach, do których zasiedli, znalazło się między innymi sto węgorzy, dwieście śledzi, sześćdziesiąt linów, dorsze, szczupaki i płocie w nieznannej liczbie, a na deser parę kilogramów fig i daktyli, czyli towaru luksusowego, pochodzącego zza mór. Podobno suma wydana na tę ucztę

stanowiła równowartość ceny siedmiu dorodnych prosiaków. Sądząc po menu, Anglicy ucztowali w jednym z tych dni, w których nie jadano mięsa (poza Wielkim Postem rozpoczynającym się Środą Popielcową chrześcijan obowiązywał post przez trzecią część roku, ale w tym czasie dopuszczano spożywanie ryb). Kiedy pojawiało się ono na ich suto zastawianych stołach, zapewne wybór dań i rachunki do zapłacenia bywały nie mniejsze.

Na zamku królewieckim znalazło się specjalne pomieszczenie, w którym hrabia Derby trzymał podarowane mu przez wielkiego mistrza sokoły. Stanowiły zaledwie jeden z prezentów. Poza nimi otrzymał trzy małe niedźwiadki i dorodnego wierzchowca, a jakby na deser – jeszcze paru młodych Litwinów. Te niezwykle podarunki odwzajemnił w iście pański sposób, obsypując darami wszystkich najwyższych krzyżackich dostojników, z którymi się zetknął podczas swojego pobytu w Prusach – poczynając od wielkiego mistrza, mistrza krajowego inflanckiego i wielkiego marszałka, a kończąc na niemałej grupie komturów.

W Gdańsku najważniejszą z przyjemności, jakim oddawali się Anglicy, były zabawy rycerskie i udział w turniejach. Spragniona przyjemności gawieź nie raz miała możliwość oglądania barwnie przyodzianych Anglików konno ścierających się z przeciwnikami na tępe kopie na Długim Targu, który zarówno wtedy, jak i dziś – stanowił centralny punkt miasta. Rozległość Długiego Targu dawała możliwość gonitwy w szrankach, zwłaszcza z wykorzystaniem płotu oddzielającego nadjeżdżających z przeciwnych kierunków rywali. W tym przypadku walczono w pełnych zbrojach lub półzbrojach, na tępe kopie bez grotu, grube i niepękające, z odpowiednio zaokrągloną końcówką, a zwyciężał ten ze współzawodników, który zrzucił przeciwnika z siodła.

To już były czasy, kiedy turnieje rycerskie – pierwsze wzmianki o nich pochodzą z drugiej połowy XI wieku – stały się mniej krwawe dla ich uczestników. Jak pisze Tomasz Szajewski, współcześnie żyjący współzałożyciel stowarzyszeń rycerskich: „Początkowo krwawe «sporty» z XII wieku, przypominające bardziej zawody rzeźników, ewoluowały na przestrzeni wieków w formę bardziej spokojnych, skodyfikowanych, opatrzonych dworskim entourage (franc. otoczenie) i miłym towarzystwem dam dworu – zabaw dworskich”. Turnieje, podczas których brutalność i żywiołowość starć zanikała coraz bardziej na rzecz ujętej w karby przepisów rywalizacji z użyciem możliwie najbezpieczniejszej broni, przestały przypominać rzeczywiste pole walki. „Aspekt militarno-uitylitarny, dominujący w dotychczasowych turniejach, zaczął ustępować miejsca charakterowi ludycznemu i merkantylnemu tych przedsięwzięć (...) Ówczesne przygotowania turniejowe zaczynały przypominać dzisiejsze organizowanie igrzysk olimpijskich”. Oczywiście biorąc stosowną poprawkę na skalę jednych i drugich – chciałoby się dodać. Pomimo wspomnianej ewolucji i zdecydowanego przestawienia akcentów owe „zabawy dworskie”, niebezpieczne dla ich uczestników z samej swojej istoty, dość często kończyły się ciężkimi ranami i kontuzjami, a niejednokrotnie śmiercią rycerzy.

Z zapisków pozostawionych przez skarbnika hrabiego Derby nie wynika jednak, aby takie nieszczęście spotkało kogoś z Anglików i ich dalszy pobyt w Prusach musiał upływać pod znakiem żałoby. Nie był też jednak wolny od poważnego incydentu, który najprawdopodobniej przyczynił się do nieodległego w czasie zaprzestania przez rycerzy z Anglii uczestnictwa w litewskich rejzach. Oto do hrabiego zgłosił się poddany księcia pomorskiego Bogusława VIII

słupskiego, kupiec Klaus Makenhagen, wyposażony w listy polecające od wielkiego mistrza i pozostający pod jego opieką. Pragnął przedstawić krzywdę, jakiej doznał ze strony rodaków hrabiego, którzy zagarnęli jego dwa statki. Nie dano mu dojść do głosu i przedstawić swoich racji, został pobity i uwięziony. Rozgniewany wielki mistrz poczuł się osobiście dotknięty tym postępkami i zażądał nie tylko natychmiastowego uwolnienia Makenhagena, ale także zapłaty stosownego odszkodowania i zadośćuczynienia mu za doznane cierpienia. Kupiec odzyskał wolność, ale niczego ponad to. I tak mógł się cieszyć, że udało mu się wydostać z rąk krewkich Anglików tuż przed ich wypłynięciem z Gdańska. Pozostała po nich widoczna pamiątka. W wielu miejscach, licznie odwiedzanych przez mieszkańców, widniał malowany herb Lancasterów, mający przypominać pobyt hrabiego Derby w nadbałtyckiej metropolii. Zresztą zaledwie po roku dane im było ujrzeć go raz jeszcze na żywo. Przybył ponownie, by uczestniczyć w wyprawie przeciwko Litwinom, o których za sprawą krzyżackiej propagandy myślał, że wciąż pozostają pogańskim ludem. Jednak nie posmakował walki. Jego kompani wdali się w awanturę i uśmiercili miejscowego rycerza oraz jego służącego. Sprawa nabrała rozgłosu i pomimo pojednawczych gestów hrabiego, który wyprawiał zabitemu wystawny pogrzeb, Anglików zaczęto wytykać palcami. Stali się czarnymi owcami, a resztki sympatii odebrała im chęć zdobycia przewodnictwa w chorągwi św. Jerzego, pod którą służyli goście z Zachodu. Obrażeni na wszystkich i niemal ze wszystkimi skłócenii, czując wokół siebie nieprzychylną atmosferę oraz jawną już niechęć ze strony wielkiego mistrza i innych krzyżackich dostojników, Anglicy zrezygnowali z udziału w wyprawie i zamiast do Królewca, skąd miała wyruszyć, postanowili udać się do... Jerozolimy. W tym przypadku chodziło już jednak

tylko o pątniczą pielgrzymkę, przynoszącą splendor i bogactwo wrażeń wraz z najważniejszym – dostąpieniem religijnego uniesienia przy Grobie Pańskim – lecz nie dającą szans na wyciągnięcie miecza z pochwy.

Szczególną pamiątką, jaka pozostała hrabiemu po pobycie nad Bałtykiem, była dwójka litewskich dzieci, które wpadły w krzyżackie ręce, być może podczas rejzy, w której osobiście uczestniczył. Niewykluczone, że były u jego boku, kiedy został królem Anglii. Praktyka zabierania ze sobą przez gości z Zachodu pogańskich dzieci nie była powszechna, ale dość często spotykana. U jej podstaw leżała potrzeba spełnienia chrześcijańskiego obowiązku rozumianego jako nawracanie pogan na jedynie prawdziwą religię. Któż to mógł uczynić lepiej niż cywilizowany, szlachetny rycerz, za jakiego uważał się każdy częstokroć prymitywny rębajło przybywający nad Bałtyk? Zwykle dzieci były chrzczone zbiorowo już w Prusach i najczęściej otrzymywały imiona swoich chrzestnych – krzyżackich dostojników lub przyjezdnych rycerzy. Ich los bywał różny. Znośny dla tych, które zasłużyły sobie na przychyłość swojego pana, ale nie do pozazdroszczenia w przypadku dzieci krnąbrnych. Niektóre były dręczone, a nawet uśmiercane, często bez poczucia wyrzutów sumienia u ich dręczycieli. Hrabia Derby za swoje dzieci zapłacił niedrogo i zgodnie z obowiązującymi cenami: jedną grzywnę. Dorosłego poganina można było nabyć za dwie grzywny, ale wyjątkowo silny i zdolny do ciężkiej pracy kosztował już cztery grzywny. Tych ostatnich Krzyżacy wyzbywali się jednak rzadko, gdyż potrzebowali ich do pracy na swoich folwarkach. Raczej nie zachowywaliby się w taki sposób, gdyby brańców była wielka liczba. W rzeczywistości zwykle bywało ich kilkuset, jak chociażby zimą 1375 roku, kiedy zagarnięto siedmiuset piętnastu Litwinów, a także w 1398 roku, gdy do niewoli wzięto siedmiuset jeńców. Rzadko

udawało się Krzyżakom – o czym pisze Wigand z Marburga – przywieźć z rejzy „niezliczoną ilość jeńców: mężczyzn, kobiet, dzieci”. Wielu z nich już do końca życia pozostawało w Prusach, stopniowo się asymilując, inni bywali wykupywani, ale z tym zawsze był kłopot. Jeńcy przechodzili z rąk do rąk, trudno było ich odnaleźć, a jeśli się już udało, to nowi właściciele wysoko podnosili cenę. O wiele większe szanse na odzyskanie wolności mieli litewscy bojarzy. Wielu przebywało w niewoli w znośnych warunkach, czasami byli nawet dopuszczani do stołu i traktowani niemal jak domownicy. Zdarzało się jednak, że w celu wymuszenia szybkiej zapłaty okupu trafiali do lochu, gdzie przetrzymywano ich na granicy życia i śmierci, jedynie o chlebie i wodzie.

Obie strony, Krzyżacy i Litwini, ustaliły specjalną taryfę opłat za wykup schwytanych jeńców z wyższych sfer. Za księcia obowiązywała stawka stu grzywien, za hrabiego płacono dwukrotnie niższą sumę. Oczekiwania związane z okupem za króla – przecież i tacy uganiali się po dzikich ostępach Prus i Litwy – były już mocno wygórowane: skarbiec zostałby pozbawiony równowartości pięciuset grzywien; ale też jedynie hipotetycznie, gdyż żaden z pomazańców bożych nie przeżył wątpliwej przyjemności dostania się w ręce pogan...

Wielkim mistrzem krzyżackim, który poprowadził najwięcej litewskich rejz, był Winrich von Kniprode. Władął zakonem w latach 1352–1382, najdłużej w całej jego historii. Nie znalazł jednak sposobu, aby coroczne najazdy przekuć w zwycięską kampanię, która oddałaby zakonowi krzyżackiemu władzę nad Litwą. Za sprawą Winricha von Kniprodego w 1376 roku powstał największy zamek na Mazurach, w Rynie, zabezpieczający Prusy przed litewskimi najazdami i zarazem stanowiący bazę wypadową dla rejz.

W 1362 roku podczas oblężenia Kowna, obok skorzystania z tradycyjnych machin miotających pociski, Krzyżacy po raz pierwszy posłużyli się artylerią. To określenie zdecydowanie na wyrost, gdyż użyte przez nich działa o długich lufach i bardzo niewielkim kalibrze czyniły sporo hałasu, ale w ostateczności nie były w stanie zaszkodzić zamkowym murom i stanowiły bardziej techniczną nowinkę niż groźną broń. Strzelały początkowo kamiennymi kulami na niewielką odległość, maksymalnie do trzystu metrów, a ich ponowne naładowanie wymagało co najmniej piętnastu minut. Jednak prace nad rozwojem artylerii w państwie zakonnym trwały już od pewnego czasu i z każdym rokiem nabierały tempa. W armatach, które w Europie pojawiły się w pierwszej połowie XIV wieku, Krzyżacy dostrzegli duży potencjał i zamierzali z niego skorzystać. W większych twierdzeniach powstały tzw. działolejnie, największą usytuowano na przedzamczu zamku w Malborku. Powstał tam cały kompleks zabudowań, gdzie zgromadzono fachowców posiadających umiejętności niezbędne do odlewania armat. Nadano im nazwę partaczy, jako że stanowili poniekąd konkurencję dla rzemieślników zrzeszonych w miejskich cechach. Partaczami w dzisiejszym rozumieniu tego określenia z całą pewnością jednak nie byli. Najczęściej prace działolejnie nadzorował któryś z braci zakonnych, bywało, że doglądał ich któryś z sariantów. Z czasem zaczęto wytwarzać armaty coraz większe i posiadające coraz lepsze parametry. W końcu wieku działa były wytapiane z brązu przy zachowaniu proporcji miedzi do cyny jak dziewięć do jednego. Działa dzieliły się na większe, miotające kamienne pociski, zwane Steinbüchsen, i mniejsze, dostosowane do pocisków ołowianych, tzw. Lotbüchsen. Ale już wkrótce miały się pojawić działa o iście gigantycznych rozmiarach. W 1408 roku, o czym pisze



Pizuński, w Malborku odlano działo „tak wielkie, jakiego nie ma we wszystkich krajach niemieckich ani w Polsce, ani na Węgrzech”. Musiało być zatem jeszcze większe od armaty odlanej w Toruniu, ważącej około czternaście i pół tony, posiadającej kaliber dziewięćdziesiąt centymetrów i wyrzucającej kamienne pociski o wadze ponad siedmiuset kilogramów! Znane są nazwiska kilku fachowców czuwających nad procesem produkcji armat, nierzadko trwającym przez wiele tygodni, nawet w przypadku o wiele mniejszych dział. Ostatnimi z takich mistrzów przed wybuchem wielkiej wojny z Polską i Litwą byli Piotr Werderer, Stynkeller z Głogowa i Henryk Dumechen.

Armat w polu, i to z bardzo dobrym skutkiem, Krzyżacy użyli po raz pierwszy podczas wiosennej rejsy w 1381 roku, kiedy ich wojska pustoszyły litewskie ziemie na prawym brzegu Niemna. W następnych latach towarzyszyły wojskom krzyżackim już w wielu wyprawach. Jednak Litwini szybko uczyli się, jak unikać ich ostrzału i zbędnych strat. Pomimo swoich rosnących walorów bitewnych armaty nie przyczyniły się do ujarznienia ostatnich europejskich pogan. Nie sprawiły tego ani tłumy zachodniego rycerstwa wraz z wojskami zakonu, rok w rok wyprawiające się przeciwko Litwinom, ani wyższość wyszkolenia i nowe rodzaje broni, jak chociażby wspomniana artyleria, ani nawet trwające ich wewnętrzne spory i częste bratobójcze walki na tle kryzysów wywołanych zmianą władzy i rywalizacją o tron wielkoksiążęcy. Zaś po roku 1386 szansa na ostateczny sukces zakonu w wojnie z Litwą uległa radykalnemu zmniejszeniu. Jej władca został bowiem królem Polski. Odtąd na drodze Krzyżaków stanęły dwa zjednoczone unią państwa, stawiające sobie za cel nie samą tylko obronę przed zakonną ekspansją...

W dziejach zakonu krzyżackiego otwierał się nowy i niebezpieczny rozdział.

## WITOLD – POŻĄDANY SOJUSZNIK

„Mieli teraz Krzyżacy kandydata do władzy nad Litwą, który nadto uleglejszym się być zdawał aniżeli nim był Jagiełło”.

(Antoni Prochaska w książce *Dzieje Witolda Wielkiego Księcia Litwy*)

Człowiek, który w przyszłości miał pod Grunwaldem jakże mocno przyczynić się do upokorzenia Krzyżaków, bynajmniej nie zawsze był ich wrogiem. Przeciwnie, w pierwszych latach swoich rządów wszedł z nimi w niebezpieczny dla Litwy sojusz. Jagiełło potrzebował co najmniej ich neutralności, szykując się do walki z Moskwą, w której szukali wsparcia zbuntowani przeciwko niemu przyrodni bracia. Już w 1379 roku do Malborka zjechało poselstwo od Jagiełły, wioząc do wielkiego mistrza powiadomienie, że następca Olgierda pragnie wraz z całym ludem przyjąć chrzest. Z punktu widzenia Krzyżaków nie była to najlepsza wiadomość, ale dobrze wiedzieli, że taki zamiar, podobnie jak wcześniejsze, rzeczywiste bądź podyktowane jedynie taktyką polityczną, nie musi zostać zrealizowany. Rok później Jagiełło zawarł z Krzyżakami tajny traktat, w którym wystawił na cios stryja, dając zakonowi przyzwolenie na bezkarne atakowanie podlegających jego władzy ziem. Na tle sojuszu z zakonem w połowie 1382 roku doszło do ostrego zatargu wielkiego księcia z Kiejstutem, który pozbawił bratanka władzy i uwięził go, sam natomiast postanowił wszystkimi siłami,

korzystając z pomocy Dymitra Dońskiego, uderzyć na Krzyżaków. W tym czasie na Litwie miał rządzić jego syn Witold. Jagiełło storpedował jednak ich plany. Dzięki mieszczanom wileńskim zdołał odzyskać wolność, a następnie, posiłkowany przez Krzyżaków, zdobył Troki, rezydencjonalne miasto Witolda. Zanosilo się na kolejną, krwawą wojnę domową, kiedy na Troki ruszył Kiejstut. Do bitwy nie doszło, gdyż Jagiełło odplacił stryjowi pięknym za nadobne, popełniając jeden z najobrzydliwszych czynów w swoim życiu. Zaproponował rozmowy i pokojowe rozwiązanie „rodzinnego” sporu, a następnie podstępnie uwięził Kiejstuta i jego syna, gdy przybyli do Wilna. Kilka dni później stary książę już nie żył, jak wielu innych nazbyt ambitnych możnych, odchodząc z tego świata w „niewyjaśnionych okolicznościach”, być może jednak doskonale znanych Jagielle. Witold natomiast nie dał się uśmiercić i wykazując się nadzwyczajnym darem do odzyskiwania wolności – po raz pierwszy, ale nie ostatni – przebrany za kobietę, zbiegł najpierw na Mazowsze do swojego szwagra księcia Janusza I, a następnie, czując jego powściągliwość, postanowił poszukać schronienia u... Krzyżaków. Podczas rozmowy z marszałkiem Konradem von Wallenrodem oddał się pod opiekę zakonu i przysiągł z całych sił służyć Krzyżakom. Ponoć miał od niego usłyszeć pełne ironii słowa: „dlaczego dawniej tego nie uczyniłeś, gdy posiadałeś Wilno, teraz nie masz ani ludzi, ani ziemi”. Książę bez ziemi i realnej siły mierzonej zbrojnymi hufcami miał jednak dla Krzyżaków ogromną wartość.

Sojusznicy Jagielle przyjęli uciekiniera z otwartymi ramionami, doceniając nadarzającą się sposobność rozgrywania dla własnych korzyści sporu pomiędzy litewskimi książętami. I zrazu nie pomylili się w swoich rachubach. Stryjeczni bracia rozpoczęli wyścig o uzyskanie

przychylności i pomocy ze strony zakonu. Jeszcze jesienią tego samego roku Jagiełło z grupą podległych mu książąt zjechał się z najwyższymi krzyżackimi dostojnikami na wyspie u ujścia Dubissy do Niemna. Patrząc przez pryzmat późniejszych dokonań Jagiełły i prowadzonej przez niego polityki, zapadłe wówczas ustalenia muszą zaskakiwać. Książę wydał Krzyżakom trzy podpisane przez siebie dokumenty, w których zobowiązał się do przyjęcia chrztu, przekazania zakonowi zachodniej, większej części Żmudzi i jego militarnego wspierania oraz dotrzymania czteroletniego rozejmu. Innymi słowy, Jagiełło stawiał się niemal w pozycji wasala. Współczesny biograf Jagiełły, polski historyk Jerzy Ochmański, następująco ocenił jego zachowanie: „W ten sposób Zakon bezkrwawo osiągnął swe najważniejsze cele, do których z uporem dążył od 100 już lat, a których mieczem nie zdołał wywojować. Czyżby Jagiełło był przeniewiercą najżywotniejszych interesów narodowych Litwy?”. Z pewnością nim nie był i dlatego przyjęte przez księcia zobowiązania zdumiewają. Tym bardziej, że już nie musiał się obawiać ataku ze strony Moskwy, ciężko doświadczonej dwa lata wcześniej przez Tatarów i chwilowo zupełnie bezsilnej oraz niezdolnej do jakichkolwiek ofensywnych działań. Ponadto, niespełna dwa miesiące wcześniej, zmarł król Ludwik Węgierski, zaś podlegli Jagielle książęta błyskawicznie wyzwolili się spod węgierskiej zależności na Rusi Halickiej.

Jest poniekąd paradoksem, że tak wielki sukces – szansa na przejęcie kontroli nad Żmudzią zapewniającą połączenie terytoriów obu gałęzi zakonu – stał się udziałem człowieka, który ze sprawami wojny, administracji centralnej, a tym bardziej wielkiej polityki, miał niewiele wspólnego. Konrad Zöllner von Rotenstein, który zaledwie kilka tygodni wcześniej zmienił na urządzenie wielkiego mistrza zmarłego w

połowie roku Winricha von Kniprodego, wcześniej był zaledwie wielkim szatnym i jego wybór dla wielu stanowił zaskoczenie. Nowy przywódca zakonu, który pod tak wspaniałymi auspicjami rozpoczynał rządy, miał prawo przypuszczać, że porozumienie z Jagiellą stanowi wstęp do całkowitego podporządkowania Wielkiego Księstwa Litewskiego i dalszych zdobyczy. Jak wielu innych nie docenił jego sprytu i politycznego talentu.

Jagiello myślał strategicznie i przenikał przyszłość na kilka posunięć do przodu. Zdawał sobie sprawę nie tylko z militarnej przewagi zakonu, ale i ze stanu własnego państwa wyniszczonego za sprawą bezustannych konfliktów i walk na różnych frontach. Co równie istotne, wiedział już o ucieczce Witolda, który w rękach Krzyżaków mógł się stać narzędziem do rozpętania kolejnej wojny domowej. Zapewne chciał dać sobie czas niezbędny do ugruntowania władzy i niezależnie od ceny zapewnić ojczyźnie spokój na granicy krzyżackiej, najtrudniejszej do obrony i dosłownie ociekającej krwią (w XIV wieku Krzyżacy przeprowadzili niemal sto wyniszczających Litwę wypraw, atakując ją częściej niż raz w roku; w 1360 roku doszło aż do trzech rejs). Oddawał pod but krzyżacki Żmudź, której w praktyce nie kontrolował i mimo że chodziło o część Litwy, łatwiej mu było o taką decyzję. Dzięki zabezpieczeniu północno-zachodniej granicy Jagiello zyskiwał możliwość przerzucenia wojsk przeciwko książętom mazowieckim, pozostającym w sojuszu z zakonem, i przeciwstawienia się ich ekspansji na Podlasiu. Przy tym niemal pewne jest, że z przyjętych zobowiązań nie zamierzał się w pełni wywiązać i traktował je jedynie jako taktyczne posunięcie wymuszone sytuacją. Pośrednio wskazuje na to okoliczność, że ratyfikację porozumienia, pomimo sprzeciwów Krzyżaków,

odłożył na inny czas. Wiele do tego momentu mogło się jeszcze wydarzyć.

I tak się stało. Stosunki pomiędzy zakonem a Litwą były coraz bardziej napięte. Obie strony, pomimo zawartego porozumienia, grały w podwójną grę. Jagiełło nieodmiennie zapewniał o dobrych chęciach, ale jednocześnie unikał opieczętowania dokumentów i szykował się do najazdu na Mazowsze. Krzyżacy byli zbyt wytrawnymi politykami, aby uwierzyć w jego puste gesty, i po cichu czynili przygotowania do wojny. Zöllner, który po raz pierwszy miał dowodzić armią, postanowił osobiście poprowadzić wojska do boju. Atak nastąpił w ostatnich dniach lata 1383 roku i zaskoczył Litwinów. Troki i otaczające je ziemie błyskawicznie wpadły w ręce Krzyżaków, którzy ruszyli następnie pod Wilno, ale poza spaleniem przedmieść oraz spustoszeniem i zrabowaniem okolicy niczego więcej nie osiągnęli. Wielki mistrz nie zamierzał wdawać się w przewlekłe działania i odwołał wojska, pozostawiając na Litwie Witolda z zadaniem budowania własnego stronnictwa i zbierania oddziałów do walki z Jagiełłą. Jednak syn Kiejstuta nie wywiązał się z postawionego przed nim zadania. Nim zebrał dość stronników, na Troki uderzył Jagiełło i po sześciotygodniowym oblężeniu przegnał krzyżacką załogę, która za cenę poddania zamku mogła swobodnie odejść do Prus. To był widomy przejaw słabości pretendenta do litewskiego tronu i wielu zakonnych dostojników mogło pomyśleć, że Witold raczej ani nie spłaci zaciągniętego kredytu zaufania, ani nie stanie się kartą atutową w rozgrywce z Jagiełłą; być może stanie się raczej nic nie znaczącą blotką, na którą nie należy już stawiać. Takiemu sposobowi myślenia nie poddał się jednak wielki mistrz. On ciągle wierzył, że osoba Witolda może mieć kluczowe znaczenie w walce z przebiegłym synem Olgerda.

W planach Zöllnera Witold, jako marionetka zakonu, miał na tronie wielkksiążęcym zastąpić stryjecznego brata. Kiejstutowicz wkrótce przyjął chrzest, trochę pokątnie i bez rozgłosu, aby nie zrazić do siebie przychylnych mu pogańskich Żmudzinów, i otrzymał imię Wiganda na cześć ojca chrzestnego, komtura z Ragnety, Wiganda von Baldersheima. Jednocześnie uznał się za lennika Krzyżaków i przyrzekł im złożyć hołd ze swoich dziedzicznych ziem oraz oddać zakonowi całą Żmudź. Najpierw jednak terytoria te musiał zdobyć. Całość lenna miała przypaść Krzyżakom w przypadku wymarcia męskich i żeńskich potomków Witolda. Pod stosownym dokumentem widniały między innymi podpisy dwóch ciągle trwających w pogaństwie bojarów, co jednak Krzyżakom nie przeszkadzało. Jak stwierdził Prochaska: „Redakcja dokumentu, w którym książę rozporządzał krajami i ziemiami, do których, jak sam mówi, prawa nie posiadał, pozostawiała wiele do życzenia, jak w ogólności wszystkie tego rodzaju akta, na których Zakon budował swoje prawa do cudzych terytoriów (...)”. Od czasu Hermanna von Salzy nic się pod tym względem nie zmieniło i sprawdzona metoda nadal obowiązywała w politycznej strategii Krzyżaków.

Na dobry początek Witold otrzymał od zakonu niewielki drewniany zamek Nowy Marienburg zbudowany na jednej z niemeńskich wysp, dokąd ściągnął rodzinę i garść zaprzysięgłych stronników. Nie dano mu czasu na wypoczynek. Wkrótce pociągnął z Krzyżakami przeciwko swoim rodakom. Podobno w wiosennej rejsie w 1384 roku uczestniczyło aż czterdzieści tysięcy ludzi. Zysk z wyprawy okazał się jednak niewielki, podobnie jak z wielu poprzednich. Zdobyto jedynie Kowno i na jego zgliszczach wielki mistrz postanowił wybudować nową warownię, prezent dla Witolda, a zarazem bazę wypadową do kolejnych



ataków na Litwę. Uzyskała nazwę Neu Marienwerder, a jej budowa w zgodzie z najlepszymi krzyżackimi standardami postępowała w błyskawicznym tempie.



Ruiny zamku w Trokach, stan warowni Witolda w XIX wieku, obraz Wojciecha Gersona, 1855 rok.

Główne oddziały zakonne wycofały się spod Kowna po nadejściu wieści o porażce części sił dowodzonych przez komtura Ragnety i szwagra Witolda, Sudemunta, w bitwie pod Wilkomierzem (ragnecki komtur położył w niej głowę). Podobno, o czym pisze Prochaska na podstawie tekstów źródłowych, Witold-Wigand ostrzegł przez swoich zaufanych ludzi Jagiełłę o wyprawie komtura Ragnety i Sudemunta, czym pokrzyżował szyki Krzyżakom. Najprawdopodobniej był to z jego strony krok w kierunku porozumienia i pojednania z krewniakiem, wywołany, być

może, rozgoryczeniem, że „pomoc do odzyskania ojcowizny (...) nie odpowiada wielkim obietnicom Zakonu”, a może poczuciem, iż jest traktowany nazbyt przedmiotowo i bezwzględnie wykorzystywany przeciwko rodakom. W gruncie rzeczy jako księcia krwi traktowano go gorzej niż podrzędnego komtura, a snuta przed nim wizja odzyskania spadku po ojcu była niepewna i zbyt odległa. Jak ujął to Prochaska: „(...) dla syna Kiejstutowego oczekiwanie było zawsze długie, a rola lennika Zakonu bynajmniej nie uśmiechała się jego nieokiełznanej, za wolnością tęskniącej naturze”. Niezależnie od przyczyn Witold przesłał wystarczająco czytelny sygnał dowodzący jego intencji. Wkrótce zresztą je skonkretyzował, powiadamiając Jagiełłę, iż jest gotów uznać się jego lennikiem za cenę bezpiecznego powrotu na Litwę. Bez wątpienia miał nadzieję na jakieś nadanie i nie pomylił się w swoich rachubach; wielki książę zapewnił go, iż może liczyć na znaczną część ojcowizny. Nie ma wątpliwości, że Witold bardzo ryzykował. Równie dobrze, zamiast spełnienia przyrzeczeń przez Jagiełłę, za to, co zrobił, mogła go czekać śmierć. Kiedy już jednak podjął decyzję o politycznej wolcie, zamienił ją błyskawicznie w czyn. I uczynił to w stylu jakże pasującym do podstępnych metod stosowanych przez Krzyżaków, w pewnym sensie swoich nauczycieli przez ostatnich kilkanaście miesięcy.

Na początku lata, wraz z niewielkim oddziałem z Marienburga, pojawił się pod leżącym na prawym brzegu Niemna Jurborkiem (Jurborgiem) i podstępnie wywabił z niego komtura oraz większość załogi. Zaatakowany zniemacka – Jurbork spłynął krwią. Nieliczni obrońcy zamku poszli pod nóż lub dostali się do niewoli. Witold zamierzał uderzyć na inne krzyżackie zamki na drodze do Ragnety, a w końcu i na tę twierdzę, ale Krzyżacy zostali na czas ostrzeżeni i ambitny plan spalił na panewce. Grupę jeńców

powiększyli jedynie komtur Markward von Salzbach i paru innych mnichów z Marienburga, który wraz z Jurborkiem został przez Litwinów oddany na pastwę ognia. W scenerii bijących w niebo płomieni książe Witold wyruszył w drogę ku Wilnu, otwierając nowy rozdział w swoim życiu.

Jego obawy, bo z pewnością takie miał, zostały rozwiane serdecznym przyjęciem, jakie zgotował mu Jagiełło. Po złożeniu mu przysięgi wierności – uczynił to jako Witold-poganin nie zaś Wigand-chrześcijanin – otrzymał od wielkiego księcia, za zgodą jego braci, Grodno, Brześć, Drohiczyn i Mielnik. Dar był hojny, ale Witold na później odłożył lustrację nadanych mu ziem i dóbr. Namówił Jagiełłę na natychmiastowe uderzenie na Neu-Marienwerder. W kierunku Kowna wyruszyła silna liczebnie i doskonale przygotowana na oblężenie armia. Jagielle towarzyszyło aż jedenastu innych książąt, zaś wojska dysponowały artylerią oraz machinami oblężniczymi. Jednak zdobycie twierdzy nie przyszło Litwinom łatwo i kosztowało ich wiele ofiar. Neu-Marienwerder, zasypywany pociskami z machin i armat, opierał się wrogowi przez półtora miesiąca, pośrednio potwierdzając kunszt krzyżackich inżynierów i budowniczych. Z odsieczą załodze przybył marszałek Konrad von Wallenrode, ale nie miał dość sił, aby rozerwać pierścień oblężenia, i po dostarczeniu na zamek zaopatrzenia – zmuszony był się wycofać. Dowodzący obroną komtur Henryk Clee zginął, a jego zastępca, po utracie większości ludzi i nadziei na pomoc, poddał fortecę. Do litewskiej niewoli dostało się pięćdziesięciu pięciu braci zakonnych i niemal pięciokrotnie więcej żołnierzy. Podnieceni zwycięstwem książęcy woje przypadkowo wzniecali pożar i zamek, który z powodzeniem mógł w przyszłości służyć przeciwko Krzyżakom, spłonął. Robert Tomczak celnie podsumował to zdarzenie, pisząc, że „Nowo

wybudowana twierdza runęła, tak samo zresztą jak plany Konrada Zöllnera”.

Zawiedziony w swoich rachubach wielki mistrz popełnił kolejny błąd i zamiast podjąć natychmiastową kontrakcję, zawarł z Jagiełłą krótkoterminowy rozejm. Dopiero w drugiej połowie 1385 roku miała ruszyć na Litwę kolejna rejsa. Księciu dało to czas na prowadzenie rozmów zmierzających do zawarcia sojuszu z Polską. Już wcześniej, konsekwentnie realizując zamysł ochrzczenia Litwy i jednocześnie zyskania alianta w wojnie przeciwko zakonowi krzyżackiemu, wysłał na dwór krakowski prośbę o rękę niepełnoletniej jeszcze królowej Jadwigi, młodszej córki Ludwika Andegaweńskiego. Koncepcja wydania jej za Jagiełłę i związania obu państw unią personalną spodobała się zwłaszcza możnym panom z Małopolski, mającym dominujący wpływ na wewnętrzną i zagraniczną politykę kraju. Myśleli racjonalnie i zamiast na księcia mazowieckiego Siemowita IV, Piasta walczącego z pomocą Wielkopolan o tron przodków, postawili na Litwina. Unia z Wielkim Księstwem wzmacniała Polskę w obliczu przyszłego, nieuniknionego konfliktu z zakonem i oznaczała jednocześnie ukrócenie niszczących litewskich najazdów, od dziesięcioleci dławiących jej rozwój gospodarczy. Dla magnatów zaś dodatkowo łączyła się z perspektywą zdobycia majątków na wschodzie. W czasie, kiedy wielki mistrz poprowadził trudną już do zliczenia „reysam magnam contra paganos” i Krzyżacy, prowadzeni przez dwóch litewskich renegatów, zapuszczali się aż za Wilno, w rejon Miednik i Oszmiany, dokąd nigdy wcześniej nie zdołali dotrzeć, na zamek w Krewie przybyli polscy posłowie i zawarli z Jagiełłą umowę sukcesyjną. Władca Litwy zobowiązał się do jej chrztu, wypuszczenia z niewoli polskich jeńców, wypłaty stosownego odszkodowania

księciu Wilhelmowi, synowi arcyksięcia austriackiego Leopolda III, któremu wcześniej przyrzeczono rękę Jadwigi (zaledwie dwa tygodnie wcześniej uczyniła to matka Jadwigi, Elżbieta Bośniaczka, co potem spowodowało cały ciąg dramatycznych wydarzeń, kiedy młodzi, zakochani w sobie bez pamięci, usiłowali przeciwstawić się narzuconej woli), a także – i to z punktu widzenia Polski miało najważniejsze znaczenie – przyłączenia ziem Wielkiego Księstwa do Korony Polskiej. W zamian Jagiełło miał poślubić Jadwigę i u jej boku zasiąść na polskim tronie. Akt wystawiony przez księcia, stanowiący jedynie zapowiedź unii, często jest w literaturze mylnie uznawany za samą unię. Jak słusznie zauważył Jasienica, „Korona polska dla Jagiełły to była wartość i cena wręcz ogromna. Wielkie Księstwo Litewskie zostało pod względem terytorialnym bardziej czy mniej teoretycznie przyłączone do Polski, natomiast ta ostatnia w sposób jak najbardziej rzeczywisty włączyła się do dotychczasowej polityki litewskiej”.

Elity litewskie były w znacznej części oburzone posunięciem Jagiełły podporządkowującym politycznie kraj Polsce, co miało stanowić zarzewie ciągłych niesnasek i dramatycznych wydarzeń. W historiografii naszych sąsiadów ugruntowało się przekonanie o polskiej zaborczości, ale jest najzupełniej oczywiste, że bez unii z Polską Litwa, z pewnością zaś jej rdzenne ziemie, w ciągu najbliższych kilku lub kilkunastu lat prawdopodobnie zostałyby wypalona ogniem i zagarnięta przez Krzyżaków. Ponadto, co też nie powinno umknąć z pola widzenia, dzięki unii Wielkie Księstwo wciągnęło Polskę do walki ze wszystkimi swymi wrogami. Dążąc do jej zawarcia, żaden z polityków zamieszkujących nad Wisłą i Wartą, dosłownie nikt obdarzony najbardziej nawet przenikliwym rozumem, nie mógł przewidzieć, że odsunięcie zainteresowania

zagranicznej polityki Polski od północy i zachodu i jej skierowanie w zupełnie przeciwnym kierunku, ku rozległym wschodnim terytoriom zdobytym przez Litwę na Rusi, przyniesie w przyszłości powstanie potężnych Prus, jednego ze sprawców upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów w końcu XVIII wieku.

Krzyżacy nie przyglądali się biernie zabiegom Jagiełły. Raz jeszcze postanowili doprowadzić do wojny domowej na Litwie. Miejsce Witolda miał zająć książę połocki Andrzej Garbaty, przyrodni brat wielkiego księcia, który nie bez przyczyny obawiał się, że zostanie pozbawiony władzy nad Połockiem na rzecz Kiejstutowicza. Tajne rozmowy przeprowadził z nim działający w porozumieniu z Konradem Zöllnerem mistrz inflancki Robin von Else, któremu udało się przekonać księcia, iż jedynym wyjściem pozostaje dla niego związanie się z Krzyżakami. W zamian za utrzymanie rządów i krzyżacką pomoc Garbaty uznał się lennikiem zakonu i aby zasłużyć sobie na wdzięczność nowego protektora – wraz z księciem smoleńskim Światosławem powziął zamiar uderzenia na Witebsk, Orszę oraz Mścisław.

Nieświadomy nowego, niebezpiecznego sojuszu i zdrady krewniaka Jagiełło finalizował tymczasem wiekopomny projekt. W styczniu 1386 roku w Wołkowysku polscy posłowie wystawili dla niego akt preelekcji, potwierdzający wybór na króla Polski i oddanie mu za żonę Jadwigi, jednocześnie zaś „wraz z braćmi i ziemianami” otrzymał glejt bezpieczeństwa chroniący go w trakcie podróży na zjazd w Lublinie, mający potwierdzić uzgodnienia krewskie i akt o preelekcji. Tam też dokonano wyboru Jagiełły na króla, dodając mu do czasu koronacji tytuł: „*dominus et tutor Regni Poloniae*” (pana i opiekuna Królestwa Polskiego). Ale Polacy, wzdragający się na wspomnienie wydarzeń sprzed równych

dziesięciu lat, kiedy Kiejstut w niszczącym rajdzie dotarł aż do Tarnowa, ciągle nie do końca ufali Jagielle. Zażądali, aby w ich rękach pozostawił grupę towarzyszących mu książąt jako gwarantów dotrzymania wcześniejszych zobowiązań. Ostrożność okazała się zbyt duża. Jadąc na krakowską koronację (4 marca 1386 roku), Litwin postawił wielkiego mistrza w mało komfortowym położeniu, wysyłając doń podskarbiego koronnego Dymitra z Goraja z zaproszeniem, aby został jego chrzestnym! Konrad Zöllner w kumy oczywiście nie przybył, nie chcąc ściągać na siebie i zakon hańby poprzez uczestnictwo w triumfie śmiertelnego wroga. Dodatkowy policzek wymierzył zakonowi Witold, który przyjął powtórny chrzest w Krakowie wraz z imieniem Aleksander.

Wielki mistrz i inni Krzyżacy dostojnicy musieli przełknąć wyjątkowo gorzką pigułkę i pogodzić się z faktem, iż tak długo pogańska Litwa właśnie przestała nią być i jednocześnie zyskała silnego sojusznika. Ale nie tylko w Polsce; za pełnoprawnego członka państw chrześcijańskich mieli ją wkrótce uznać zarówno papież, jak i król rzymski. Było to wydarzenie o znaczeniu epokowym, kreujące zupełnie nową sytuację i pozbawiające państwo krzyżackie dotychczasowej legitymacji do zwalczania litewskich pogan. Ale to niewiele zmieniło w dotychczasowej polityce zakonu, który zaczął głosić, że Jagiełło (na chrzcie otrzymał imię Władysław, które w czasach nowożytnych przyozdobiła rzymska cyfra II) oraz Litwini to fałszywi chrześcijanie, którzy w rzeczywistości nadal pozostają bezbożnikami. Już latem w głąb ziem Wielkiego Księstwa ruszyła rejza. Pod Kownem wojska podzieliły się na kilka oddziałów, które zaczęły pustoszyć księstwa trockie i krewskie. Krzyżacy dopuszczali się straszliwych zbrodni, jakby chcąc pokazać przeciwnikowi, że nawrócenie na prawdziwą wiarę w

niczemu mu nie pomoże. Pod mieczami rycerzy w białych płaszczach i ich gości ginęli wszyscy pospołu. Jedni i drudzy bez litości wyrzynali schwytanych tubylców, twierdząc, że ogniem i mieczem dokonują ich bierzmowania. Nie oszczędzano ani księży, ani nowo powstałych kościołów.

Tym razem Krzyżacy nie mieli w planach zaatakowania Wilna. Rozłożyli się obozem w pobliskich Miednikach, dokąd ściągnęły poszczególne oddziały. Tam wyprawili wielką ucztę dla walczących u ich boku rycerzy. Niewiele zabrakło, aby owo fetowanie „sukcesów”, celebrowane w warunkach polowych z czającymi się wokół nieprzyjaciółmi, zakończyło się okrążeniem armii krzyżackiej, gdyż Witold i Skirgiełło, brat Jagiełły, obsadzili na jej tyłach przeprawy na Niemnie i Wilii. Powiadomiony o niebezpieczeństwie wielki mistrz zarządził pospieszny wymarsz, podszedł pod Wilno, ale zrezygnował z oblężenia na widok jego obwałowań, po czym umiejętnie manewrując, poprowadził wojska do Prus.

Następny rok, 1387, jako pierwszy od dawien dawna upłynął bez walk. Na Litwie nie pojawił się żaden Krzyżak ani zachodni rycerz uczestniczący w rejsie. Powód był prozaiczny. Zjechał tam Jagiełło z Jadwigą, dworem, dostojnikami świeckimi i kościelnymi w celu szerzenia nowej wiary. Zresztą i wielki mistrz został poproszony o pomoc w tym zbożnym dziele, byle tylko posługiwał się pokojowymi metodami. Dla Krzyżaków było najzupełniej oczywiste, że jakikolwiek wrogi akt przeciwko Litwie będzie równoznaczny z atakiem na Polskę i propagandowo obróci się przeciwko zakonowi. Teraz ich głównym celem miała się stać Żmudź, ciągle trwająca w pogaństwie. Nim jednak wojska zakonne na nią uderzyły, Konrad Zöllner usiłował przeprowadzić finezyjny plan osłabienia wizerunku polskiego monarchy na forum międzynarodowym. Zapropował odbycie wielkiego zjazdu i rozmowy



pokojowe pomiędzy zakonem oraz Polską i Litwą, a następnie, umiejętnie grając na zwłokę, zaczął rozgłaszać, że to Jagiełło odrzuca krzyżacką ofertę ugodowego rozwiązania narosłych sporów. Wielkiemu mistrzowi szczególnie zależało na zdobyciu przychylności cesarza i papieża, bez której trudno było marzyć o prowadzeniu dawnej, zdobywczej polityki. Chciał również utrzymać rycerstwo z krajów niemieckich i z zachodu Europy w przekonaniu, że Jagiełło, chrześcijanin jedynie z nazwy, pragnie wraz z Polakami doprowadzić do zagłady zakonu krzyżackiego. Opisane zabiegi przyniosły połowiczne rezultaty wobec ożywionej działalności polskiej dyplomacji, docierającej na europejskie dwory i pokazującej krzyżackie kłamstwa i niegodziwość.

Zakon powstrzymał swój wojowniczy temperament zaledwie do późnej jesieni 1388 roku, kiedy na Żmudź wyruszył marszałek Konrad von Wallenrode. Godnego siebie przeciwnika napotkał w Skirgielle, który jako namiestnik Litwy z ramienia brata stawiał mu twardy opór. Poza spustoszeniem rozległych terenów położonych nad Niemnem Krzyżacy nie osiągnęli większych korzyści z wyprawy zorganizowanej z poniesieniem dużych kosztów, ale zaledwie kilka miesięcy później karta w politycznej rozgrywce znów odwróciła się na ich korzyść. Witold, rozczarowany zachowaniem Jagiełły i wywyższeniem przez niego Skirgielle kosztem własnej osoby, coraz bardziej skłócony z namiestnikiem – postanowił upomnieć się o swoje za pomocą metody faktów dokonanych. Tym bardziej że czuł poparcie wielu możnych litewskich, niezadowolonych z unii z Polską. Zaraz po Nowym Roku usiłował podstępem zagarnąć Wilno, ale przeszkodziła mu w tym polska załoga. Skompromitowany książę już po raz drugi zdecydował się wejść w sojusz z Krzyżakami i

rozpoczął negocjacje z wielkim mistrzem. Zakończyły się one zawarciem nowego układu potwierdzającego wcześniejsze ustalenia z Królewca: w zamian za wojskowe wsparcie książę oddawał zakonowi Żmudź. Witold utracił jednak wcześniejsze zaufanie Krzyżaków i na żądanie Zöllnera musiał zagwarantować swoją lojalność, przekazując im w charakterze zakładników członków swojej najbliższej rodziny. Po zdradzie Kiejstutowicza, Konrad von Wallenrode w zastępstwie niedomagającego poważnie wielkiego mistrza poprowadził wojska w wyprawie, o której już wspomniano, opisując udział w niej hrabiego Derby. Konrad Zöllner nie doczekał końca rejsy, zmarł w sierpniu, kiedy wojska zakonne oblegały odbudowany Jurbork. Zakon krzyżacki utracił w nim słabego wodza, dużo lepszego dyplomatę i świetnego administratora. Działał w trudnych dla Krzyżaków czasach, ale dzięki spiskowi z Witoldem udało mu się w znacznej mierze zneutralizować skutki unii polsko-litewskiej oraz chrztu. Jako pierwszy z wielkich mistrzów dostrzegł potrzebę nawiązania kontaktów z pruskimi stanami i zaczął odbywać nieregularne spotkania z przedstawicielami miejscowego rycerstwa i miast, których dopuszczał do prowadzonych przez zakon rokowań dyplomatycznych. Świetnie podsumował jego postać kilkakrotnie już przywoływany Robert Tomczak, pisząc, że „będąc zbyt zachowawczym i łagodnym człowiekiem, bliżej mu było do roli gospodarza z rylcem w ręku niż do wojownika z wzniesionym w stronę przeciwników mieczem w dłoni”.

Pomimo fatalnych wieści z Prus i pilnej potrzeby wyboru nowego wielkiego mistrza marszałek Konrad von Wallenrode zdecydował się maksymalnie wykorzystać potencjał ogromnej armii i uderzyć w samo serce Wielkiego Księstwa. Wojska krzyżackie podeszły pod bronione przez

Polaków Wilno, gdzie tak dzielnie walczyli Anglicy. Nie ustępowali im odwagą Litwini Witolda; podczas krwawych walk zginął jego brat Towciwiłł, dzieląc los brata Jagiełły, Korygiełły. Jak pisał później wielki marszałek, w Krzywym Rogu w płomieniach miało zginąć tysiąc ludzi, dwukrotnie więcej dostało się do niewoli. Ale załogi pozostałych dwóch zamków – Wysokiego i Niskiego – pomimo skruszenia części murów i ponawianych szturmów, zdołały zwycięsko przetrwać oblężenie.

Krzyżacy znów jak niepyszni odeszli do Prus, a na czele zakonu na okres zaledwie niespełna dwóch i pół roku stanął Konrad von Wallenrode, człowiek „szkaradnego oblicza”, energiczny, pełen wojskowych talentów, o zadziwiających poglądach w sprawach religii. Był prawą ręką w ostatnich latach życia Konrada Zöllnera i w praktyce to on zarządzał sprawami zakonu. Marcin Murinius, szesnastowieczny pisarz i humanista, autor *Kroniki Mistrzów pruskich na Polskie z Niemieckiego przełożonej, z przydaniem rzeczy pamięci godnych z rozmaitych kronik*, napisał o nim: „Ten był prawy żołnierz, człowiek okrutny a nieprzyjaciel i prześladowca wielki mnichów i księży (sam zakonnikiem będąc). Podobno też nie chciał przyjąć sakramentów przed śmiercią. (Chociaż nieprzytomny zapewne nie był w stanie)”. Na tak krytyczną ocenę wielki mistrz zasłużył sobie, nie tylko nazywając księży „psimi łajdakami”, gnębiąc kler podatkami i odbierając mu posiadłości (z tego powodu w jednej z kronik nazwano go Julianem Apostatą, nawiązując do rzymskiego cesarza z IV wieku, który bezskutecznie usiłował przywrócić pogaństwo), ale przede wszystkim dając schronienie francuskiemu heretykowi, niejakiemu Leanderowi, wygnanemu wraz ze swoimi zwolennikami z Francji. Pisali o nim Szymon Grunau oraz kilku innych niemieckich historyków. Wyklęty kaznodzieja, na którym miał ciążyć

wyrok śmierci, był zarazem zdolnym medykiem – Grunau widział w nim „lekarza i matematyka” – i to zapewne dodatkowo pozwoliło mu wkraść się w łaski mistrza. Otworzyło przed nim również możliwość głoszenia na terenie Prus obrazoburczych poglądów zgodnych z tymi, jakie były bliskie przeróżnym sektom żebraczym. Cytowany za Pizuńskim Leander, który prawdopodobnie sam utożsamiał się z wytępionymi niemal zupełnie na terenie Francji albigenami, twierdził między innymi, że „wszyscy mnisi i księża są heretyckimi kłamcami i nic sobie nie robią z tego, co chwalą”, „wszyscy kapłani są pod wpływem diabła”, a „wszelkie obrzędy są jedynie wymysłem księży”. Wedle Grunaua Leander równie bezkompromisowo atakował również świeckich panów i książąt, twierdząc, że wszyscy z nich, którzy „budowali klasztory, ale bawili się ciągle i uctowali, nie dojdą do Boga”. Być może to o Leanderze pisał wspomniany również przez autora *Sekretnych spraw Krzyżaków* kanonik Jan z Kwidzyna, oburzony tym, że „żył jak bydlę, pozwalając sobie ustanawiać swoje nowe wyznanie wiary i błędził w wielu innych względach”. Zarówno wielki mistrz, jak i Leander zmarli w 1393 roku, obaj w niewyjaśnionych do końca okolicznościach. Konrada von Wallenrodego dosięgła prawdopodobnie apopleksja, choć równie dobrze mogło chodzić o truciznę, zaś kaznodzieja utonął w stawie, jadąc na dysputę teologiczną z kanonikami krzyżackimi; śmierć w takich okolicznościach – bez pomocy osób trzecich – zdarza się dość rzadko. Wydaje się, że poglądy głoszone przez Leandera stały się zbyt niebezpieczne zarówno dla Kościoła, jak i krzyżackich dostojników, aby jego zgon mógł mieć naturalny charakter.

Postać Konrada von Wallenrode jest Polakom nieobca za sprawą znanego poematu Adama Mickiewicza. Poeta uczynił z niego Litwina, który jeszcze jako dziecko został siłą

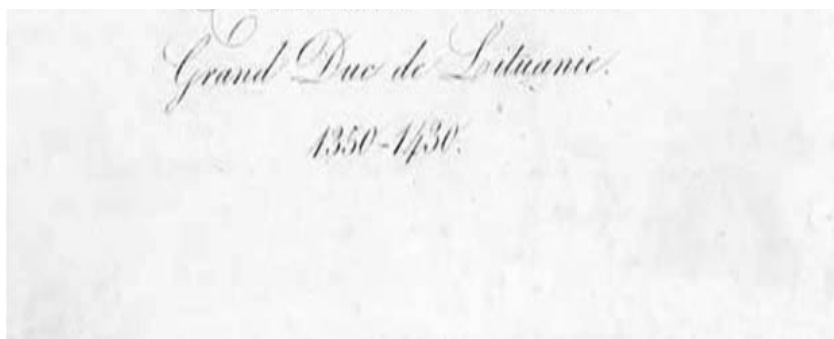
ochrzczone, później w hierarchii zakonnej doszedł do najwyższych stanowisk i zaszczytów, aby już jako wielki mistrz mścić się za krzywdy swoich rodaków. Pomysł do powstania intrygującej opowieści mógł nasunąć Mickiewiczowi fakt, że wyprawy prowadzone przez wielkiego mistrza przeciwko Litwinom kończyły się nieodmiennie niepowodzeniem w stosunku do zaangażowanych sił i środków, tak jakby z pełną świadomością pragnął zaszkodzić zakonowi. Szczególnie duże kontrowersje wywołało jego zachowanie podczas oblężenia Wilna w 1391 roku. Starosta krakowski Jan Oleśnicki (z Oleśnicy) nakazał spalenie budynków na podzamczu, wzmocnił obwałowania i bronił twierdzy z najwyższą odwagą. Na krzyżackie szturmy odpowiadał wycieczkami poza mury, jednak oblegający zaczęli brać górę. Po ich stronie inicjatywą i pomysłowością wyróżniał się marszałek Engelhard Rabe von Wildstein, swoją postawą zyskując podziw zakonnych współbraci i rycerzy gości. I w momencie, kiedy opór załogi już wyraźnie słabł, a oblegający szykowali się do decydującego szturm, wielki mistrz podjął zaskakującą decyzję, która doprowadziła do rozłamu w szeregach jego armii. Zdymisjonował Rabego, powierzając mu urząd niewiele znaczącego komtura Torunia. Wieść o tym lotem błyskawicy obiegła obozowisko, wywołując niedowierzanie i najwyższe oburzenie, zarówno wśród Krzyżaków, jak i gości. Na głosy wsparcia dla marszałka wielki mistrz odpowiedział represjami wobec zakonników z przychylnych mu komturii w Ragnecie, Bałdze i Pokarminie, a następnie zarządził odstąpienie od oblężenia Wilna.

Zresztą kto wie, czy w poetyckiej wizji Mickiewicza nie kryje się odrobina prawdy, skoro niechęć, by nie powiedzieć – nienawiść wielkiego mistrza do księży (a zakonnicy w

białych płaszczach z czarnym krzyżem byli im bliscy), nie stanowiła tajemnicy?



Alexandre Witold.



Witold według francuskiej ryciny z XIX wieku.

Krzyżacy ciągle nie mogli zadać Litwie decydującego ciosu, w dużym stopniu wobec polskiej pomocy, ale okrutnie spustoszony kraj znalazł się w skrajnie dramatycznym położeniu. Na domiar złego zaczęła się rysować fatalna perspektywa ewentualnego sojuszu pomiędzy Witoldem a jego zięciem Wasylem I, wielkim księciem Moskwy. Jagiełło nie mógł sobie pozwolić na tak wielkie ryzyko i postanowił raz jeszcze wyciągnąć rękę do zgody z Witoldem. Aby do niej doprowadzić, zdecydował się poświęcić swojego brata Skirgiełłę, pełniącego obowiązki namiestnika w Wielkim Księstwie. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej król złożył mu przyrzeczenie, że bez jego wiedzy nie odda nikomu Wilna, Grodna, Witebska i paru innych ważnych grodów. Teraz je łamał. Skirgiełło był człowiekiem imponującym talentami dyplomatycznymi i niezwykłą odwagą, ale jednocześnie nadmiernie gustującym w trunkach i pod ich wpływem nazbyt porywczym i okrutnym, czym przerażał otoczenie. Te słabości charakteru doprowadziły do skłócenia księcia z wieloma bojarami i zapewne to one sprawiły, że królowi łatwiej było podjąć decyzję o degradacji brata, który rozumiejąc stojące za nią racje, nie zamierzał się buntować. Stryjeczni bracia już po raz drugi znaleźli się w podobnej sytuacji. Korzystając z pośrednictwa zaufanego wysłannika,



który nie wzbudził podejrzeń u Krzyżaków – w rolę tę wcielił się młodziutki płocki biskup nominat Henryk, który przy okazji potrafił zadbać o własny interes i poślubił siostrę Witolda Ryngałę – z niezwykłą finezją i dyskrecją nawiązali kontakt i zasiedli do rozmów. Ich wynik był piorunujący. Pojętny uczeń Krzyżaków, który podczas dwukrotnego pobytu w Prusach i współdziałania u ich boku przeciwko rodakom wedle Prochaski „nabrał rysu stanowczości bezwzględnej”, opuścił ich z wielkim hukiem i to już na zawsze. Witold spalił Ritterswerder i dwa inne zamki – Mettenburg i Nowe Grodno, i wraz z rodziną w połowie 1392 roku zbiegł do Jagielly. Krótco potem krewniacy podpisali w Ostrowie stosowną ugodę. Na jej mocy Witold odzyskał Troki i stał się wielkorządcą (namiestnikiem) Litwy oraz Rusi. Skirgiełło na otarcie łez otrzymał Kijów. Druga wojna domowa z udziałem dwóch najwybitniejszych litewskich książąt dobiegła końca. Teraz, zamiast krzyżować broń, jako faktyczni władcy Polski i Litwy zaczęli ze sobą zgodnie współpracować. Swoje intencje Witold potwierdził złożeniem hołdu homagialnego (symbolizującego poddanie się władzy; przysięga wierności) Władysławowi II Jagielle, królowi Jadwidze i Koronie Królestwa Polskiego. Zakonowi krzyżackiemu nie wróżyło to niczego dobrego.

Wszystkie trzy państwa weszły na wyboistą ścieżkę, która kilkanaście lat później miała je doprowadzić na pola Grunwaldu. Zakon krzyżacki kroczył po niej nazbyt pewny swojej potęgi.

## DROGA KU WIELKIEJ WOJNIE

[Jadwiga] „pod wpływem jakiegoś natchnienia z nieba dodała jeszcze i to, że jak długo ona żyje, powstrzyma srogą wojnę (...), ale niech wiedzą, że po jej śmierci spotkają ich z najślusznieszego wyroku Bożego bardzo ciężkie klęski za to, że knują spiski przeciw swoim panom, opiekunom i fundatorom (...) i że za otrzymane dobrodziejstwa, za nadane ziemie i posiadłości odwdzięczają się bezprawiem”.

(słowa, jakie według Długosza zostały wypowiedziane w 1398 roku przez króla Polski Jadwigę do wielkiego mistrza Konrada von Jungingena)

**N**astępcą Konrada von Wallenrodego został wybrany Konrad von Jungingen. Pochodził ze średniej szlachty, do zakonu wstąpił kilkanaście lat wcześniej wraz z młodszym bratem Ulrichem (Ulrykiem). Nowy mistrz był przeciwieństwem swojego poprzednika; pobożny i ugodowy, stawiał dyplomację ponad wojowniczość i rozwiązywanie konfliktów za pomocą oręża. Jednak pierwsze lata jego rządów upłynęły pod znakiem wojny. Miała ona zapewnić zakonowi lepszą pozycję w późniejszych rozmowach pokojowych. Do pierwszego większego starcia po zdradzie Witolda doszło latem 1394 roku. Krzyżacka reja zatrzymała się na wyspie ze zgliszczami zamku Ritterswerder i kiedy Krzyżacy usiłowali go odbudować, zostali zaatakowani przez Litwinów. Bezpośrednie uderzenie na wyspę i polowe

umocnienia zostało łatwo odparte, a sprawnością bojową popisali się łucznicy nadesłani przez księcia burgundzkiego Filipa II Śmiałego; ich strzały uczyniły prawdziwe spustoszenie wśród atakujących. Dysproporcja sił była zbyt duża i Witold został zmuszony do odwrotu. Wkrótce Krzyżacy i ich goście, porzucając plan odbudowy zamku, ruszyli na Wilno. Pod miasto przybyły również posiłki inflanckie. Wilno zostało odcięte od świata zewnętrznego szczelnym kordonem oblegających, ale niebawem nadeszły wieści o nadciąganiu wojsk Witolda. Konrad von Jungingen, pomimo swojej zachowawczości, podjął śmiałą decyzję o zaatakowaniu nieprzyjacielskiego obozu. Zadanie powierzył liczącemu zaledwie czterystu rycerzy hufcowi, który skrycie podszedł pod nieprzyjacielski obóz i przeprowadził brawurową szarżę na wielokrotnie liczniejsze wojska Witolda. Powtórzyła się sytuacja, jaka miała miejsce w 1177 roku w Ziemi Świętej, kiedy trędowaty król jerozolimski Baldwin IV zaskoczył pod Montgisard pewnego siebie Saladyna i jednym potężnym atakiem ciężkozbrojnej konnicy rozbił jego armię. Rycerska jazda, już u schyłku okresu swojej wielkości, raz jeszcze pokazała bojową sprawność w starciu, w którym liczyło się zaskoczenie, a wróg nie był w stanie skorzystać ze strzeleckiej nawały zajmujących bezpieczne stanowiska łuczników.

Rozpędzenie wojsk Witolda dało Krzyżakom możliwość zogniskowania całej uwagi na oblężeniu Wilna. Nigdy wcześniej nie byli równie bliscy jego zdobycia. Kiedy nieustanne bombardowanie doprowadziło do zniszczenia części murów wraz z jedną z wież, wydawało się, że upadek zamku jest przesądzony. W krzyżackim obozie rycerze zakonni i ich goście w podeksycytowaniu czekali na rozkaz do ostatecznego szturmu. Ten jednak nie padł. Najprawdopodobniej litewski sabotaż sprawił, że niemal

doszczętnie spłonęły szalasy z prowiantem. Zarządzono odwrót, który odbył się wśród ciągłych walk i przyniósł krzyżowcom dotkliwe straty. Zakończona fiaskiem wyprawa skłoniła wielkiego mistrza do podjęcia rokowań. Na jednej z niemieńskich wysp doszło do zjazdu z udziałem Witolda, ale książę grał na zwłokę, zasłaniając się brakiem upoważnienia ze strony Władysława II do prowadzenia rozmów pokojowych. Czuł za sobą poparcie nie tylko ze strony stryjecznego brata, ale także króla rzymskiego (niemieckiego) i czeskiego Wacława IV, który zawarł sojusz z Jagiełłą i jako władca Niemiec zakazał zakonowi dalszej wojny przeciwko Litwie. Dla Krzyżaków stanowisko Luksemburczyka było nie do przyjęcia i na pograniczu cały czas tliła się wojna. Nie miała już jednak poprzedniego charakteru i z obu stron uczestniczyły w niej niewielkie oddziały. Jednocześnie starano się prowadzić rozmowy pokojowe, które długo nie przynosiły efektu. Krzyżacy wielokrotnie ponawiali propozycję zawarcia rozejmu za cenę przekazania im praw do Żmudzi. Wydawało się, że jest ona nadmiernie wygórowana. Jak się jednak okazało, ze strony zakonu była to właściwa strategia. Konrad von Jungingen właściwie odczytał motywacje wielkiego księcia i wyczuł moment do stawiania takiego warunku. Witold z jednej strony myślał o zdobyciu większej niezależności od Jagiełły, z drugiej w coraz mniejszym stopniu był zainteresowany toceniem wyniszczających walk na północy. Los Żmudzi, która dla Krzyżaków miała strategiczne znaczenie jako lądowe połączenie ich ziem, interesował go w coraz mniejszym stopniu.

Cierpliwość i konsekwencja wielkiego mistrza ostatecznie zatriumfowały. Jesienią 1398 roku Krzyżacy odnotowali wielki sukces polityczny, osiągając w drodze rokowań to, o co od dziesięcioleci z miernym skutkiem zabiegali za

pomocą oręża, ponosząc zarówno wielkie koszty ludzkie, jak i ogromne nakłady finansowe. Na Ostrowie Salińskim Witold zawarł z zakonem umowę, w której zrezygnował na jego rzecz ze Żmudzi. W zamian otrzymał niewielkie nabytki terytorialne wzdłuż pruskiej granicy, co w żaden sposób nie wyrównywało poniesionej straty. To była ofiara podobna do tej, jaką dziewięćdziesiąt lat wcześniej uczynił Łokietek z Pomorza Gdańskiego, umacniając swoją władzę nad Polską i czując się nazbyt słabym, aby rzucić otwarte wyzwanie Krzyżakom. Kalkulacja księcia była prosta. Chciał zabezpieczyć tyły, szykując się do wielkiej rozgrywki na południowym wschodzie, gdzie wykrwawiona wewnętrznymi sporami Żłota Orda, panująca wciąż nad rozległymi terytoriami, wydawała się łatwym do pokonania przeciwnikiem. Witold oczami wyobraźni widział się już jej spadkobiercą i panem bezkresnych czarnomorskich stepów. Podobnie jak wielu innych władców przed nim i w następnych stuleciach nie docenił jednak walorów bojowych skośnookich jeźdźców wywodzących swój bojowy kunszt wprost z genialnej szkoły Czyngis-chana.

Latem następnego roku doszło do jednej z największych i najdziwniejszych bitew czternastowiecznej Europy. Ogromna i jedyna w swoim rodzaju armia Witolda, licząca niemal czterdzieści tysięcy ludzi, złożona z Litwinów, Rusinów i Tatarów, którzy wypowiedzieli posłuszeństwo Żłotej Ordzie, stojąc u boku obalonego chana Tochtamysza, wsparta przez silny kontyngent wojsk polskich oraz Krzyżaków (około pięciuset rycerzy dowodzonych przez komtura Markwarda von Salzbacha), stanęła – w odległym stepie – do walki z ómą Tatarów pod wodzą Edygeja. Dla bezstronnego obserwatora byłby to z pewnością poruszający wyobraźnię, niezapomniany widok. Jak napisał Boockmann: „I tak w jednym szeregu walczą chrześcijanie, schizmatycy i

poganie (...) za aprobatą papieża, który chrześcijańsko-schizmatyczno-pogańskiemu wojsku przyznał przywilej bycia krucjatą”. Lecz błogosławieństwo i patronat Ojca Świętego okazały się niewystarczające i wyprawa doznała szokującej klęski w bitwie nad rzeką Worskłą. Największej i najboleśniej w życiu Witolda, przekreślającej jego ambitne plany polityczne. Jej echo rozniosło się po Europie, ale nie to było najważniejsze. Batalia przyniosła inne doniosłe skutki. Przed Litwą zatrzasnęły się drzwi do opanowania ogromnych terytoriów wschodniej Europy i jednocześnie odpadł powód, dla którego wielki książę z pozoru tak łatwą ręką pozbył się władztwa nad Żmudzią. Krzyżacy nie byli naiwni, aby nie dostrzec złowieszczych dla siebie konsekwencji klęski. Teraz, wobec zimnego prysznica doznanego nad Worskłą i krachu wielkich, politycznych planów, Witold mógł znowu zwrócić swoją uwagę w przeciwnym kierunku. Na możliwość takiego właśnie scenariusza wskazywał jego niestabilny charakter i przynależna mu łatwość łamania umów. To nie była dobra prognoza dla Krzyżaków. Łatwo pozyskana Żmudź znów mogła stać się przedmiotem ostrego sporu.

W tym samym roku, w którym doszło do umowy z Witoldem, Krzyżacy usłyszeli z ust polskiej królowej Jadwigi (właściwie króla) straszne proroctwo. Andegawenka, wychowana w atmosferze kultury rycerskiej, pełna religijnego zapału, bardzo długo widziała w nich obrońców chrześcijaństwa przed poganami, ucieleśniających najwyższe cnoty. Jednak jej stosunek do rycerzy spod znaku czarnego krzyża na białym tle ewoluował i krótko przed śmiercią radykalnie się zmienił. Podczas spotkania z wielkim mistrzem w Inowrocławiu, gdzie dyskutowano na temat zwrotu przez zakon ziemi dobrzyńskiej, zirytowana do najwyższego stopnia arogancją i butą krzyżackich

dostojników, wypowiedziała cytowane na wstępie słowa, które zabrzmiały niczym memento. Nie dla wszystkich. Zapewne jednak Konradowi von Jungingenowi, zważywszy na jego usposobienie i cechy charakteru, zapadły one głęboko w serce. Jadwiga zmarła rok później w wyniku powikłań po porodzie i po jej śmierci po polskiej stronie nie było już nikogo w otoczeniu króla, kto byłby skłonny tonować coraz bardziej zaostrzające się relacje z Krzyżakami. Im samym los przeznaczył jeszcze całą dekadę, nim zaczęło się sprawdzać proroctwo Jadwigi. Ale prowadzące do tego wydarzenia zaczęły nabierać coraz większego tempa.

Krzyżacy podarowanego sobie czasu nie wykorzystali najlepiej. Część zasobów ludzkich i środków finansowych roztrwonili, angażując się w walkę o opanowanie żeglugi bałtyckiej. Gra szła o wielką stawkę. Chodziło o zdobycie jak największego udziału w międzynarodowym handlu, dla którego Bałtyk był swoistym pasem transmisyjnym, zapewniającym zaopatrzenie dla Europy Zachodniej w produkty leśne, stanowiące naturalne bogactwo wschodnich i północnych terytoriów kontynentu, w tym – w strategiczne surowce i artykuły szkodnicze, służące do produkcji okrętów, których na Zachodzie było jak na lekarstwo. Jak stwierdził Krzysztof Gerlach w artykule *Bój o Bałtyk* zamieszczonym w „Pomocniku Historycznym. Grunwald 1410”: „Bez tych artykułów szkodniczych, pozyskiwanych z obszarów nadbałtyckich, do roli władczyni mórz z pewnością nie urosłaby nigdy Holandia, a prawdopodobnie nigdy nie udałoby się to również jej następczyni na tej posiadzie, Anglii”. Zresztą w przypadku Krzyżaków znaczenie miało nie tylko samo opanowanie morskich szlaków handlowych, tak istotnych dla zakonnej gospodarki; równie istotne było

zapewnienie szybkiego przetrzucania posiłków z zachodu Europy, a droga morska doskonale się do tego nadawała.

W momencie, w którym Krzyżacy postanowili zaangażować się w walkę o opanowanie bałtyckiej żeglugi, koniunktura międzynarodowa wyraźnie im nie sprzyjała. O dominację na Bałtyku walczyły wówczas dwie niekwestionowane potęgi: Hanza i związane w 1397 roku unią kalmarską Szwecja, Dania i Norwegia pod władzą królowej Małgorzaty oraz jej siostrzeńca Eryka Pomorskiego. Hanza (z niem. „grupa”) stanowiła potężny ekonomicznie i politycznie ponadpaństwowy związek miast, głównie pobrzeża Bałtyku i Morza Północnego, powstały w połowie XIII wieku. Krzyżacy byli suzerenem miast pruskich i inflanckich, należących do Hanzы, co powodowało liczne problemy i wymagało z ich strony znacznej fincezji we wzajemnych stosunkach. Nie mogli sobie pozwolić na otwartą wojnę z Hanzą, w której ważną rolę odgrywały Gdańsk, Królewiec, Elbląg i kilka innych podporządkowanych władzy zakonu miast.

Ale istniała jeszcze jedna siła, z którą każdy musiał się liczyć. Własne państwko założyli morskы rozbójnicy, tzw. Bracia Witalijscy (od łacińskiego słowa vitalis – żywotny, żyjący). Wywodzili się oni spośród grupy kaprów, walczących wcześniej przeciwko Danii na zlecenie księcia Meklemburgii Jana oraz miast hanzeatyckich Wismaru i Rostocku. Po zawarciu pokoju część z nich na tyle zasmakowała w rozboju i łupach, że postanowiła nadal działać, ale już jako pospolici piraci. Bracia Witalijscy, którzy rozpanoszyli się na całym akwenie, urządzili swoją główną bazę na zdobytej na Duńczykach Gotlandii i stamtąd urządzali pirackie wypady, zagrażające w podobnym stopniu żegludze wszystkich krajów, których statki przemierzały Bałtyk. Krzyżacy wysłali na Gotlandię wielką ekspedycję z



czterema tysiącami zbrojnych i dość łatwo zdobyli jej najważniejszy port, Visby, a także parę innych zamków i przyznali sobie wyspiarski łup „na wieczne czasy”, co, jak zawsze, bywa określeniem zdecydowanie na wyrost. Opanowanie wyspy wplątało ich w konflikt z państwami skandynawskimi, który miał trwać przez następnych dziesięć lat, do roku 1408. Małgorzata I próbowała zażegnać go na drodze dyplomatycznej, jednak Gotlandia, doskonale położona i panująca nad kluczowymi dla handlu szlakami, była zbyt łakomym kąskiem, aby zakonnicy mieli się go pozbyć bez walki. Na początku 1404 roku pod Visby pojawiła się flota królowej, jednak Szwedzi i Duńczycy nie zdołali opanować krzyżackiej twierdzy, na odsiecz której kilka miesięcy później przybyły okręty przysłane przez wielkiego mistrza. Teraz oblegający sami stali się obleżonymi przez przeważające liczebnie siły zakonu. Po trwających do maja krwawych walkach Skandynawowie zostali zmuszeni do kapitulacji. Sukces w pierwszym momencie wywołał euforię w Malborku, ale szybko zdano sobie tam sprawę z realnego niebezpieczeństwa, jakie niesłoby za sobą możliwe porozumienie pomiędzy krajami unii kalmarskiej a Polską i Litwą. Państwo zakonne, wtłoczone pomiędzy nie, miałoby niewielkie szanse w przypadku wybuchu konfliktu wojennego. Sytuacja byłaby tym bardziej groźna, że trwał już zatarg z Litwą. Szczęśliwie dla Krzyżaków oba unijne państwa nie stworzyły przeciwko nim jednolitego frontu.

W 1401 roku, na zjazdach bojarów litewskich w Wilnie i polskich panów w Radomiu, doszło do pewnego uporządkowania stosunków pomiędzy Koroną Polską a Litwą, które po Krewie uległy mocnemu rozchwianiu. Witold miał dożywotnio sprawować suwerenną władzę w Wielkim Księstwie, a po jego śmierci miała ona powrócić do Jagielly. Gdyby król zmarł wcześniej, wówczas Witoldowi i bojarom

przysługiwałyoby uprawnienie do współdecydowania o wyborze jego następcy. Jednocześnie wielki książę zobowiązał się do ścisłego sojuszu wojskowego z Polską i udzielania jej zbrojnej pomocy przeciwko każdemu wrogowi. Pod tym względem Litwa mogła liczyć na wzajemność. Było oczywiste, że utrzymany sojusz wojskowy jest szczególnie ważny dla Witolda, znów zwracającego uwagę ku granicy z Krzyżakami.

Jeszcze w tym samym roku wojna z zakonem została wznowiona. Teatrem najkrwawszych walk stała się Żmudź, gdzie wybuchło powstanie wspierane przez Witolda. Główną przyczyną podjęcia walki przez Żmudzinów, obok zmuszenia chłopów do poddaństwa oraz degradacji bojarów i wyższego rycerstwa do warstwy całkowicie zależnej od Krzyżaków, były straszliwe zdzierstwo i fiskalizm narzucone miejscowej ludności przez zakonną administrację. Na jej czele stał wówczas wójt Henryk von Schwelborn (znany jako Henryk Tucholski, gdyż był komturem w Tucholi), który poprzez sieć podległych mu komorników bezlitośnie ściągał daniny i świadczenia i wyjątkowo twardą ręką zarządzał prowincją ze swojej siedziby w zamku Nawezenhausen nad Niewiażą. Wielu Żmudzinów, nie mogąc znieść bezwzględного ucisku, podejmowało próbę ucieczki na Litwę. Los tych, którym to się nie powiodło, bywał straszliwy. Jedni byli poddawani torturom i zabijani, innych skazywano na dożywotnią, katorżniczą pracę. Wielu z nich uczestniczyło przy wznoszeniu krzyżackich warowni, którymi została naszpikowana Żmudź.

O ile jednak Krzyżacy z energią rozbudowywali zarząd nad tym terytorium, to realizacja z pozoru najważniejszego celu, jaki towarzyszył zakonowi w jego zdobywczej polityce – chrystianizacja pogan, od samego początku wyraźnie kulała. Fakt ten jasno pokazywał prawdziwą hierarchię wartości

przyświecających Krzyżakom. W przekonaniu wielkiego mistrza i innych zakonnych dostojników chrystianizacja jako naturalny proces i tak musiała z czasem zrobić postępy, natomiast były sprawy o wiele bardziej niecierpiące zwłoki. Największy problem stanowił Witold, który zaczął wspierać powstańców żmudzkich, a na żądanie wydania zbiegów odpowiedział z wyzywającą butą, że nie jest poddanym Krzyżaków, aby miał pod przymusem spełniać ich wolę. Losy powstania rozstrzygnęły się w ciągu trzech miesięcy. W marcu dowodzeni przez doświadczonych litewskich dowódców Żmudzini zaatakowali i zdobyli szturmem zamki Nawezenhausen i Friedeburg, a w maju już cała prowincja znalazła się w rękach powstańców i oddziałów przysłanych przez Witolda. Rządy z jego ramienia objął nad Żmudzią miejscowy bojar Skirwojła. Henryk von Schwelborn wyszedł cało z wojennej zawieruchy i dziewięć lat później miał dowodzić jedną z krzyżackich chorągwi pod Grunwaldem i – zginąć podczas ucieczki. Podobno do niego należały dwa miecze, które uczyniły tyle zamieszania, głównie wśród historyków opisujących batalię – będzie o tym mowa.

Jeszcze w trakcie walk na Żmudzi wielki mistrz spotkał się z Jagiełłą. Konrad von Jungingen podarował mu swojego ulubionego sokoła i ze wszystkich sił starał się usposobić króla przyjaźnie do zakonu. Mimo że nie doszło do żadnych wiążących ustaleń, spotkanie przebiegło w dość ciepłej atmosferze, co kilka miesięcy później, podczas spotkania z polską delegacją w Malborku, sprowokowało przywódcę zakonu do wystąpienia z kategorycznymi żądaniami pod adresem polskiego monarchy. Konrad von Jungingen chciał, aby Władysław II i polscy panowie udzielili pisemnej gwarancji swojej życzliwości wobec zakonu. Oznaczałoby to w istocie deklarację pozostawienia Litwy bez pomocy w

obliczu wojny z Krzyżakami. Król odrzucił obcesowe żądanie i pomiędzy Krakowem a Malborkiem znów zaiskrzyło.

Szukającemu wyjścia z coraz trudniejszej sytuacji, grożącej zakonowi wspólnym wystąpieniem Polski i Litwy, wielkiemu mistrzowi udało się wejść w porozumienie z najmłodszym bratem Jagiełły, Świdrygiełłą, i skłonić go do zdrady. Świdrygiełło, nienawidzący Witolda i zawzięcie z nim rywalizujący, poszedł w jego ślady i postanowił u Krzyżaków poszukać zrozumienia dla swoich politycznych ambicji. Czuł za sobą poparcie wielu pomniejszych książąt i bojarów, którzy z nie mniejszą nienawiścią myśleli o synu Kiejstuta i popierali roszczenia młodszego Olgierdowicza do tronu. Świdrygiełło, który w przebraniu kupca dostał się do Malborka, w zamian za pomoc wojskową rzekł się na rzecz zakonu Żmudzi i zobowiązał się do wydania wszystkich zbiegów. Książęta litewscy, w amoku zawziętej walki o władzę, traktowali nieszczęsną krainę i jej mieszkańców wyłącznie jak monetę przetargową, za nic mając tragedię przeżywaną przez swoich rodaków. Krzyżacy mogli jedynie zacierać ręce i z korzyścią dla siebie wygrywać na rozdierających Litwę sporach.

Wiosną 1402 roku wielki mistrz urządził w Toruniu kolejny zjazd z Jagiełłą, nie szczędząc na wspaniałym przyjęciu i hojnych darach, którymi pragnął olśnić króla i towarzyszący mu orszak panów świeckich i duchownych. Ale do beczki miodu dodał łyżkę dziegciu, gdyż właśnie tak należy traktować udział Świdrygiełły w zjeździe. Jego obecność miała pokazać, jak istotnym atutem dysponuje wielki mistrz i że w każdej chwili może z niego skorzystać, rozpętując w Wielkim Księstwie wojnę domową. W Toruniu nie zdołano osiągnąć kompromisu. Gdy tam wznoszono toasty, nieszczercze życząc sobie pomyślności i oglądając występy trefnisiów, bawiono się przy pełnych stołach, na

pograniczu krzyżacko-żmudzko-litewskim nocne niebo wciąż rozświetlał czerwony kur. Pomniejsze rejzy bezlitośnie dokonywały wypadów na Żmudź i w kierunku Wilna, puszczając z dymem napotkane osady, mordując i rabując oraz biorąc jeńców. Ale druga strona nie pozostawała bierna, a w wielu przypadkach zdecydowaniem i bezwzględnością przebijala Krzyżaków. Zaledwie następnego dnia po rozpoczęciu toruńskiego zjazdu Żmudzini wzięli szturmem Memel i dokonali barbarzyńskiej rzezi jego mieszkańców. Nie oszczędzili księży i kościołów, w których z zapamiętaniem niszczyli ołtarze, krzyże i święte relikwie. Ten upust straszliwej nienawiści do Niemców i ich religii jawnie dowodził, jak słabe korzenie zapuściła ona na Żmudzi. Budzący grozę przykład Memla był później wykorzystywany przez zakon w walce propagandowej; Krzyżacy dowodzili, że wciąż są zmuszeni walczyć z dzikimi poganami. W odwecie za Memel i łupieżczą wyprawę Witolda na Inflanty, gdzie zdobył dwa zamki i wprowadził w niewolę ich załogi, Krzyżacy i Świdrygiełło wyprawili się na Wilno. Jego zwolennicy mieli w dobrze wybranym momencie otworzyć bramę i wpuścić napastników w obręb murów, jednak chytry plan został zawczasu wykryty. Skończyło się typowym, po wielokroć powtarzanym scenariuszem: po złupieniu okolicy Krzyżacy wycofali się do Prus, nękani w drodze powrotnej przez niewielkie oddziały Litwinów. W końcu wojenny pat został przełamany decyzjami o charakterze politycznym.

Pod wpływem agitacji Jagiełły i Witolda oraz skarg płynących ze Żmudzi papież zakazał zakonowi wojny przeciwko Litwie. Wiosną 1404 roku po kilkudniowych negocjacjach zwaśnione strony zawarły wreszcie pokój w Raciążu. I znów najwyższą cenę zapłacili nieszczęśni Żmudzini, powrócono bowiem do ustaleń z Ostrowa

Salińskiego. Witold, malowany sojusznik, zobowiązał się przekazać w ciągu roku ociekającą krwią krainę zakonowi, ale także siłą zmusić jej mieszkańców do hołdu i pomagać Krzyżakom w poskramianiu buntowników! W następnych latach czynił to w imię własnych interesów, jakby niepomny na braterstwo i wspólnie przelaną krew. Polsce ustalenia raciąskie przyniosły możliwość wykupienia od zakonu w ciągu roku i sześciu tygodni ziemi dobrzyńskiej i zamku w Złotorii, Litwie zaś zrzeczenie się przez zakon wszelkich pretensji do Wielkiego Księstwa. Dodatkowo ustalono, że w przypadku naruszenia postanowień wynegocjowanych w Raciążu przez Witolda tylko on narazi się na wojnę z Krzyżakami, a Polska i zakon utrzymają między sobą pokój.

Raczej nie ma wątpliwości, kto w Raciążu odniósł większe korzyści. Krzyżacy mieli prawo uznać, że ich dobra passa trwa. Zaledwie dwa lata wcześniej uprzedzili Polaków, kupując od Zygmunta Luksemburskiego Nową Marchię, ale tylko z pozoru był to dobry nabytek. Co prawda zdobycie pomostu lądowego pomiędzy Prusami a Pomorzem Zachodnim i Rzeszą, przy jednoczesnym zagrożeniu na północno-zachodniej flance Polski, miało istotne znaczenie strategiczne, jednak szybko ujawnione problemy z administracją nowo pozyskanym terytorium i opór miejscowych feudałów sprawiły, że marchia stała się dla zakonu kulą u nogi.

Wielki mistrz zmarł podczas kolacji na początku wiosny 1407 roku. Jego śmierć poprzedziły długoletnie cierpienia wywołane kamicą nerkową. Zdumiewająca była porada, jakiej najważniejszemu krzyżackiemu dostojnikowi udzielili biegli medycy; panaceum na jego dolegliwości miały być częste stosunki seksualne i w tym celu zalecano Konradowi von Jungingenowi wizyty w malborskich zamkach. To w historii Krzyżaków był już okres, kiedy odejście od

wczesnych, bardzo restrykcyjnych reguł obowiązujących braci zakonnych przybierało czasami zaskakującą postać. Podobno przed swoją śmiercią wielki mistrz przestrzegał przed wojną z Polską i snuł czarne wizje, gdyby miało do niej jednak dojść. Twierdził również, że ewentualny wybór na jego następcę młodszego brata Ulricha, którego miał za człowieka nierozważnego i nadmiernie zapalczywego, niechybnie wplącze zakon w śmiertelnie niebezpieczny konflikt z Polakami i przyniesie niepowetowane straty.

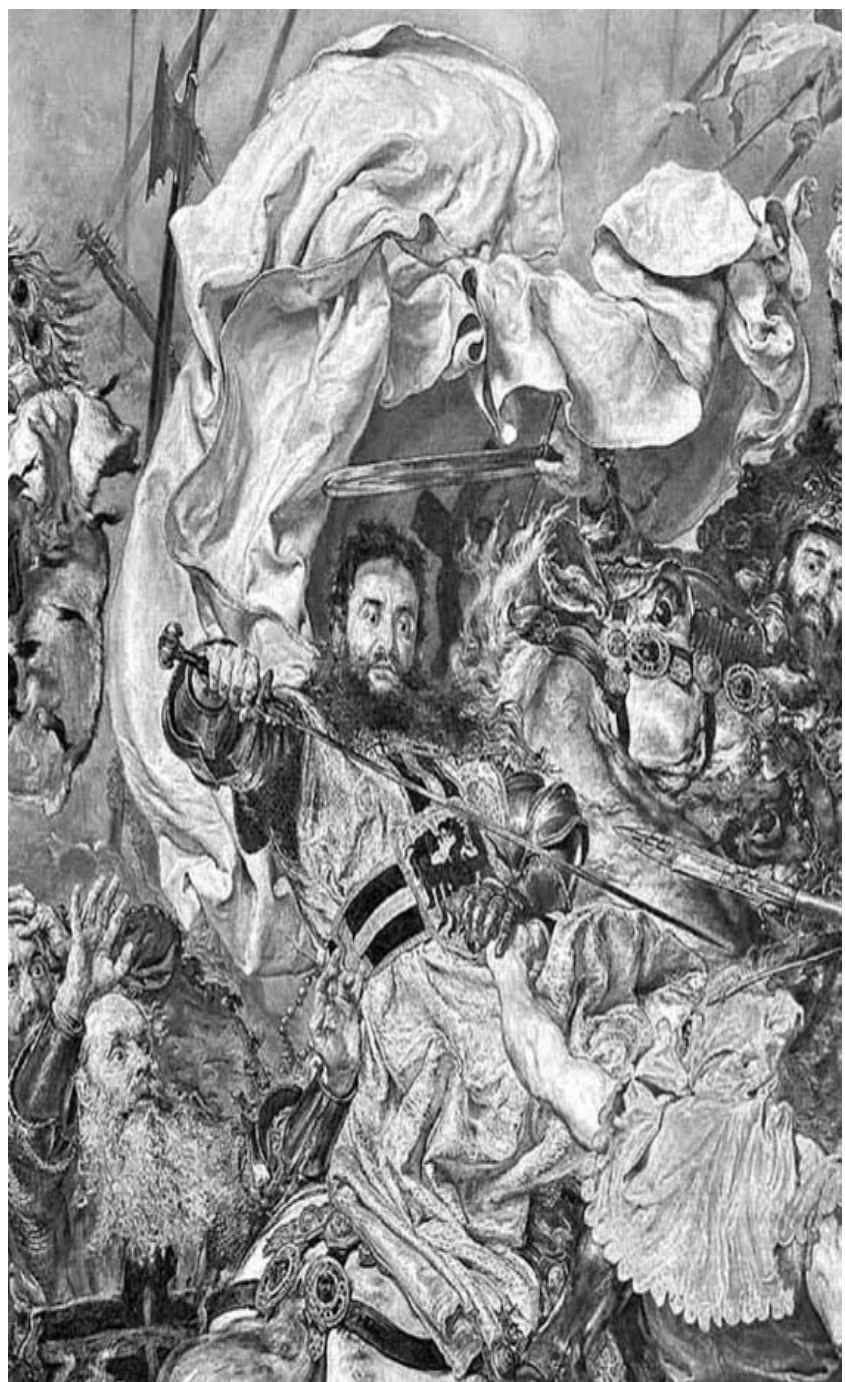
Nie posłuchano go i frakcja wojenna w zakonie, posiadająca liczebną przewagę i zde gustowana wyważoną, ostrożną polityką Konrada von Jungingena, wybrała wielkim mistrzem jego wojowniczego brata, wielkiego marszałka i zarazem komtura Królewca. Wiele negatywnych rzeczy można było powiedzieć o Ulrichu von Jungingenie, potwierdzając zdanie starszego brata, ale nie to, że był pozbawiony talentów wojskowych. Zaprezentował je podczas walk ze Żmudzinami, świetnie komenderując oddziałami i wychodząc zwycięsko z najtrudniejszych sytuacji. Wówczas ujawniły się jeszcze inne cechy jego charakteru: bezwzględność i okrucieństwo, z jakimi traktował przeciwników. Ulrich von Jungingen nie zamierzał tracić czasu na paktowanie. Od początku swojego urzędowania świadomie brnął ku wojnie i szukał pretekstu do jej wszczęcia. Wśród jego zarządzeń najważniejsze dotyczyły wzmocnienia siły wojsk zakonnych i rozbudowy potencjału militarnego. Produkcja uzbrojenia ruszyła pełną parą, zaczęto wzmacniać fortyfikacje zamków, a ich załogi wydatnie powiększono.

Powodem do zaognienia stosunków z Królestwem Polskim stał się spór o leżące przy granicy z Nową Marchią Santok i Drezdenko. Oba te grody stanowiły własność panów von Osten, którzy niegdyś złożyli hołd Kazimierzowi

Wielkiemu, a na początku wieku powtórzyli go wobec Władysława II. Później jednak Ulrich von Osten zmienił orientację polityczną i opowiedział się po stronie zakonu. Krzyżacy wykorzystali ten fakt i zakupili od niego Drezdenko, stanowiące kolejne ogniwo w coraz mocniejszym łańcuchu ziem okalających Polskę. Jagiełło nie zamierzał pozostać bierny. Zażądał od wielkiego mistrza oddania zamku w Drahimiu, w którym od kilkudziesięciu lat mieli siedzibę przychylni Krzyżakom joannici. O dobrowolnym przekazaniu twierdzy nie było mowy i polski władca wysłał przeciwko niej silną ekspedycję pod dowództwem starosty poznańskiego. Po zaledwie kilkudniowym oblężeniu Drahim padł i został wcielony do Królestwa. Wojna, choć jeszcze niewypowiedziana przez żadną ze stron, już trwała, ale ciągle jeszcze w ograniczonym zakresie i nie wymykając się spod kontroli. Wyglądało to tak, jakby skonfliktowane strony, prowokując zbrojne incydenty na pograniczu, jedynie badały swój wzajemny potencjał i gotowość do rzucenia wszystkiego na szalę. Wielki mistrz, mimo że dufny w potęgę zakonu i pewny zwycięstwa, niezależnie z kim przysłoby mu walczyć, czynił wszystko, aby Polska stanęła do wojennej konfrontacji osamotniona, bez wsparcia ze strony Litwy i jakiegokolwiek innego sojusznika. Mogła się nim okazać unia państw skandynawskich i dlatego Ulrich von Jungingen za niewysoką sumę odsprzedał władającemu nimi Erykowi Pomorskiemu Gotlandię. Jednocześnie z zadowoleniem obserwował coraz większe zaangażowanie Witolda na wschodnich rubieżach jego państwa i ochoczo wspierał go oddziałami posiłkowymi. Było najzupełniej jasne, iż uwikłanie wielkiego księcia w wojnę z władcą Moskwy Wasylem I odciąga uwagę Witolda od Polski i zakonu krzyżackiego. Można było się spodziewać, że potrwa ona



długie lata, tym bardziej że Wasyla popierało przecież wielu książąt litewskich związanych ze Świdrygiełłą. Ale w tym przypadku rachuby wielkiego mistrza i jego doradców nie sprawdziły się.





Ulrich von Jungingen, wielki mistrz 1407–1410, fragment obrazu Jana Matejki *Bitwa pod Grunwaldem*.

W końcu lata 1408 roku Witold ruszył z wielką armią na Wasyla I i spotkał się z jego wojskami pod Ugrą nad Oką. Za sprawą wielkiego księcia ramię w ramię mieli walczyć Krzyżacy i pięć tysięcy polskich kopijników pod komendą marszałka koronnego Zbigniewa z Brzezia; wielu z nich już niebawem pisane było stanąć przeciwko sobie pod Grunwaldem. Mogło się tak stać dzięki temu, że przedzieleni rzeką dwaj wielcy rywale, po nieudanej próbie jej sforsowania przez oddziały Witolda, zupełnie sensownie zarzucili pomysł obopólnej rzezi na rzecz zawarcia traktatu pokojowego. Dla Krzyżaków było to najgorsze z rozwiązań. Uratowanie ich kontyngentu przed stratami bądź nawet unicestwieniem było marnym pocieszeniem w porównaniu z faktem, że Witold, po unormowaniu stosunków z Moskwą, mógł rzucić nienaruszoną armię przeciwko zakonowi. Lecz nim jeszcze na dobre rozpoczęła ona powrót w domowe pielesze, wielki książę, co koń wyskoczy, w niewielkiej asyście ruszył w kierunku Wilna. Długosz napisał o nim w kpiarskim tonie, że „człek lubieżny i pożądlivy, czym prędzej rozstawnymi końmi do żony pośpieszył”. Bynajmniej nie do niej podążył Witold. Spieszył na spotkanie z Jagiełłą, aby powiadomić go o szczegółach

rozejmu z Moskwą. Do spotkania doszło w Nowogródku i prawdopodobnie właśnie tam bracia stryjeczni podjęli decyzję o przyjęciu nieustępliwej polityki wobec zakonu i ewentualnej wojnie z nim. Ba, oni zaczęli do niej całkowicie świadomie dążyć, rozumiejąc, że równie sprzyjający moment do rozprawy z Krzyżakami może się długo nie powtórzyć. Ale nie wszyscy myśleli w podobny sposób.

Kiedy wiosną następnego roku znów wybuchło podsycane przez Witolda powstanie na Żmudzi, a krzyżacy posłowie próbowali wbić klin w stosunki polsko-litewskie, dowodząc, że wszystkiemu winna jest Litwa, co bardziej pacyfistycznie nastawieni doradcy Jagielly „z wszelką zabiegali usilnością, aby tlejąca w zarzewiu wojna nie dojrzała i nie wybuchła”. Zarówno oni, jak i duża część szlachty zażywającej owoców pokoju nie życzyli sobie otwartego konfliktu z Krzyżakami. Nie do nich jednak należał decydujący głos. Sami Krzyżacy dostarczyli doskonałego powodu do wojny, rekwirując w Ragnecie pięć litewskich statków z solą i zbożem pod pozorem przewozu przez nie materiałów wojennych. Pod pokładami rzeczywiście było parę panczerzy i blacha do ich wyrobu, jednak nazbyt wyzywające stanowisko wielkiego mistrza, kategorycznie odrzucającego żądanie zwrotu statków i towarów, w Wielkim Księstwie uznano za *casus belli*. Teraz podobnego powodu potrzebowała Polska. Ale i tu stosunek do Krzyżaków zaczął się zdecydowanie zmieniać, czego wyrazem stały się liczne wyjazdy polskich rycerzy na Żmudź z pomocą dla powstańców.

Latem Jagiello wysłał poselstwo do Malborka, stawiając na jego czele arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Kurowskiego. Znając późniejsze fakty, nietrudno stwierdzić, iż jechał tam z jasno postawionym zadaniem sprowokowania Ulricha von Jungingena do wojny. Temperamentny i nie owijający w bawełnę arcybiskup nie

bawił się w gładkie, pozbawione treści słówka, ale – zgodnie z zapisem pozostawionym przez Długosza – wypalił wprost: „Przestań straszyć nas, mistrzu, wojną litewską: jeśli ty bowiem wybierzesz się na Litwę, bądź pewnym, że król nasz Prusy zbrojno nawiedzi. Nieprzyjaciół Litwy my za swoich uważamy wrogów; na ciebie więc zwrócimy oręż, jeśli Litwę zaczepisz”. Odpowiedź wielkiego mistrza, spokojna i rzeczowa, jakby się liczył z takim postawieniem sprawy przez wysłannika Jagiełły, nie pozostawiała złudzeń co do dalszego biegu wydarzeń: „(...) Ja, twoją mową objaśniony i upewniony, raczej na głowę samą niż na członki cios mój wymierzę; ziemię osiadłą niż pustą, miasta i włości raczej niż lasy nawiedzić wolę; wojnę zamierzoną przeciwko Litwie na królestwo polskie obrócę”.

Groźne słowa nie zostały rzucone na wiatr. Już 6 sierpnia w stolicy państwa zakonnego obwołano wojnę, zaś akt jej wypowiedzenia, umotywowany zdradą Żmudzinów i udzieloną im pomocą przez Jagiełłę i Witolda, król Władysław, ogłoszony wrogiem zakonu, otrzymał tydzień później. Plan ataku wymierzonego w „głowę” rosnących w potęgę Polski i Litwy był uzasadniony z czysto wojskowego punktu widzenia, wzięwszy pod uwagę, który z jego członów reprezentował większy potencjał militarny, gospodarczy i polityczny. Sam w sobie stawał jednak zakon krzyżacki przed największym wyzwaniem w jego dotychczasowych dziejach.

Po niemal osiemdziesięciu latach utrzymywanego z trudem pokoju nadchodził czas rozliczenia zadawnionych krzywd.

## W PRZEDEDNIU

„Skoro od tak dawna nie wojowano z Zakonem, nic chyba dziwnego, że system obronny zardzewiał trochę od tej strony i słabo zniósł pierwsze uderzenie Krzyżaków, nieustannie zaprawiających się w boju”.

(Paweł Jasienica w *Polsce Jagiellonów*)

O ile decyzja Malborka o wojnie z Polską nie wywołała wielkiego zaskoczenia na krakowskim dworze, to skrytość i szybkość mobilizacji oraz nagłość krzyżackiego ataku z pewnością już tak. Kiedy to nastąpiło, Polacy dopiero gromadzili główne siły w Małopolsce, a pogranicze nie było dość dobrze zabezpieczone. Zakonne hufce wtargnęły w granice królestwa zaraz po otrzymaniu korespondencji przez Jagiellę, a pojedyncze oddziały uczyniły to nawet wcześniej. Niemal wszędzie Krzyżacy brali górę nad zaskoczonym i słabo przygotowanym do wojny przeciwnikiem. Dość prozaiczne sedno polskich porażek obrazowo przedstawił zacytowany wyżej Jasienica.

Główny atak przeprowadził sam wielki mistrz z rejonu Brodnicy na ziemię dobrzyńską. Trwający kilkanaście dni rajd przewalił się przez nią niczym niszczący wszystko na swojej drodze huragan. Nim padły dwie największe twierdze, Dobrzyń i Bobrowniki, Krzyżacy dopuścili się barbarzyńskich gwałtów i mordów na bezbronnej ludności. Pod Bobrownikami Ulrich von Jungingen z pogardą odrzucił

przekazaną mu przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Kurowskiego propozycję rozejmu.

Krzyżacki rajd na ziemię dobrzyńską zapisał się znamienym wydarzeniem. Oto z konnymi i pieszymi oddziałami wielkiego mistrza pociągnęły cztery armaty z pełną obsługą. Nie byłoby w tym nic szczególnego, ostatecznie artylerią wojska zakonne posługiwały się już wcześniej, ale tym razem po raz pierwszy armaty nie zostały rozdzielone. Wspomniany już Henryk Dumechen – w tym miejscu pozwalam sobie zacytować Pawła Pizuńskiego – „Połączył je w związek ogniowy, który jako żywo przypomina baterię. Każdy z podległych mu artylerzystów zajmował się jednym działem, a jeszcze jeden pomocnik zarządzał amunicją. Był on do stałej dyspozycji Dumechena, który kierował ogniem całej «baterii». Z jej pomocą Krzyżacy zdobyli zamki polskie w Dobrzynie, Rypinie, Lipnie, Bobrownikach i Złotorii. To pierwszy znany przypadek, kiedy w operacjach polowych aktywnie działała zwarta formacja artyleryjska”. Do powyższego, bez wątpienia bardzo ciekawego fragmentu dotyczącego rozwoju artylerii wkraśl się drobny bład. Oczywiście krzyżackie armaty nie raziły pociskami murów Złotorii, leżącej na Dolnym Śląsku i oddalonej od teatru wojny o dobrych kilkaset kilometrów, ale Złotorii, niewielkiej miejsciny w ziemi dobrzyńskiej. Obie miejscowości są zresztą nagminnie ze sobą mylone w różnych historycznych opracowaniach, co niestety wskazuje na manierę powielania błędnych treści zawartych w innych dziełach. Czyni to również tak bardzo przeze mnie lubiany i ceniony Paweł Jasienica, co jedynie oznacza, że nawet najlepszym zdarzają się potknięcia.

Wspomniany upadek Złotorii, ostatniej polskiej placówki stawiającej opór Krzyżakom, sprawił, że w ich ręce dostała się cała ziemia dobrzyńska. Oznaczało to, iż zakon zyskał

świetną bazę do prowadzenia dalszych działań nie tylko przeciwko Kujawom i Mazowszu, ale również centralnym dzielnicom Polski.

Równoległe do uderzenia na ziemię dobrzyńską wojska zakonne zaatakowały z terenu Pomorza Gdańskiego obszar Krajny na północy Wielkopolski. Ich głównym celem była Bydgoszcz, najważniejszy polski ośrodek na tych terenach. Miasto nie podjęło obrony i zostało zdobyte z marszu. Zamek bronił się natomiast dwa dni. O jego szybkim opanowaniu przesądziła zdrada burgrabiego Bernarda, który był w zмовie z Krzyżakami. Doskonale zdawali sobie oni sprawę, że osiągnięty praktycznie bez strat sukces może mieć wielkie znaczenie dla dalszego przebiegu wojny. Bydgoszcz stanowiła zasłonę dla pomorskich posiadłości zakonu i jednocześnie, podobnie jak ziemia dobrzyńska, była kluczem do Wielkopolski i Kujaw. Nic dziwnego, że natychmiast stanęła w niej silna załoga złożona z zaciężnych i rozpoczęły się prace zmierzające do podniesienia walorów obronnych twierdzy. Wzmocniono nie tylko mury, ale także zaopatrzone zamek w dodatkowy sprzęt, armaty i rusznice. Zadbął o to komtur Henryk von Plauen, którego nazwisko i czyny miały stać się głośne nie tylko w Prusach i Polsce już po niecałym roku.

Dwóm głównym uderzeniom towarzyszyły mniejsze wypadki. Krzyżakom udało się zdobyć bądź zniszczyć parę mniejszych miejscowości na ziemi wałeckiej, ale sam Wałcz zdołał się im oprzeć. Poważnie zniszczone zostały również ziemie księstwa czersko-warszawskiego, które oddziały zakonne zaatakowały wyłącznie z myślą wyrządzenia możliwie największych szkód. Książę Janusz nie puścił tego płazem i oddał cios. Jego wojska wdarły się na terytorium komturii ostródzkiej, spaliły Działdowo i puściły z dymem otaczające je wsie. Obok niewielkiego wypadu pospolitego



ruszenia z Wielkopolski na terytorium Nowej Marchii był to odosobniony przypadek kontruderzenia na ziemi krzyżackie, gdyż Jagiełło zabronił akcji odwetowych, nie chcąc rozpraszać sił przed zamierzoną koncentracją wojsk. Zamiast orężem wołał się początkowo posłużyć dyplomacją i propagandą, na tym polu rozpoczynając wielkie starcie z zakonem krzyżackim. Kancelaria królewska wystosowała z Wolborza do świeckich panów i hierarchów kościelnych uroczysty protest przeciwko krzyżackiej agresji. Król nie poprzestał na samej walce propagandowej. Po zebraniu w Łęczycy oddziałów pospolitego ruszenia z Małopolski i Wielkopolski monarcha ruszył na Bydgoszcz, zbyt ważną w systemie obronnym państwa, aby pozostawić ją w rękach zakonu.

Polacy dotarli tam 28 września, równy miesiąc po opanowaniu Bydgoszczy przez Krzyżaków. Oblężenie miasta i zamku rozpoczęto z wielką energią i już pierwszego dnia walczące strony zasypały się pociskami z broni palnej i kusz. Obie też poniosły bolesne straty za sprawą gęstego ostrzału. W kierunku oblężonej twierdzy zbliżały się oddziały Henryka von Plauena, natomiast wielki mistrz koncentrował armię pod Świeciem, skąd w kilku marszach mógł nadejść z pomocą. Przez krótką chwilę wydawało się, że właśnie pod Bydgoszczą może dojść do wielkiego starcia polsko-krzyżackiego. Jednak Jagiełło absolutnie nie był do niego gotów bez wsparcia Witolda, który ze względów logistycznych zapowiedział przyrowadzenie armii z Litwy dopiero w następnym roku. Bez większego żalu przyjął zatem zaproponowane przez króla czeskiego Wacława Luksemburskiego usługi rozjemcze, mimo że działał on w porozumieniu z władzami zakonu i był jego sojusznikiem. Polski władca jako warunek wstępny wysunął żądanie usunięcia się Krzyżaków z ziemi dobrzyńskiej i objęcia jej

przez wojska Waclawa do chwili rozstrzygnięcia sporu. Nie do zaaprobowania okazała się jednak dla Jagiełły propozycja przejęcia przez Czechów na czas rozmów również Bydgoszczy i nie zamierzał zaprzestać oblężenia. Stanowisko takie przyniosło wymierny efekt. Wcześniejsze krzyżackie zabiegi o wzmocnienie twierdzy zdały się na nic wobec postawy oblegających i 6 października zamek padł. Spektakularny sukces, szczególnie w sferze moralnej i propagandowej, nie wpłynął na ogólną sytuację i zaledwie dwa dni później zakon krzyżacki i Królestwo Polskie zawarły rozejm mający trwać do 24 czerwca następnego roku, nawiązujący do postanowień układu kaliskiego sprzed niemal siedemdziesięciu lat. Ziemia dobrzyńska pozostała przy Krzyżakach (co było zgodne z przyjęciem zasady *status quo ante bellum* oznaczającej, że każdy zachowuje zdobyte przed zawarciem rozejmu terytorium), a w lutym król Waclaw miał wydać wyrok polubowny, przede wszystkim w odniesieniu do Żmudzi. Zresztą jakiegokolwiek by było orzeczenie Luksemburczyka, obie strony zdecydowały się już na wojnę i niczyje mediacje ani wyroki nie byłyby w stanie ich od tego odwieść. Jagiełło był już pewien współdziałania ze strony Witolda, z którym w grudniu spotkał się w Brześciu i wraz z nim w obecności podkanclerzego koronnego Mikołaja Trąby przyjął plan kampanii. Jego głównym zamysłem był marsz skoncentrowanej polsko-litewskiej armii w kierunku Malborka i zmuszenie przeciwnika, pod grozą spustoszenia wielkich połaci państwa zakonnego, do przyjęcia walnej bitwy w polu. Uznano, że przewlekanie walk na terytoriach naszpikowanych twierdzami musiałoby doprowadzić nie tylko do wykrwawienia armii, ale także pozwolić Krzyżakom na uzyskanie wsparcia chociażby ze strony Zygmunta Luksemburskiego i Inflantczyków.

Wielki mistrz tym bardziej parł do decydującego starcia, że w końcu roku udało mu się zawrzeć wojskowe porozumienie nie tylko z książętami zachodniopomorskimi, ale przede wszystkim sojuszniczy traktat z Zygmuntem Luksemburskim (formalnie aż do roku 1413 związanym pokojem z Polską), który zobowiązał się do pomocy w przypadku posłużenia się przez Jagiełłę „pogańskimi” Litwinami, Rusinami i Tatarami, to zaś w praktyce było przesądzone (np. w oczach części zachodniego rycerstwa dwie pierwsze nacje uchodziły za Saracenów). Krzyżacy przyrzekli natomiast poprzeć starania Zygmunta o cesarską koronę i wypłacić mu trzysta tysięcy węgierskich złotych w zamian za zaangażowanie przez niego w wojnie z Polską trzech tysięcy kopii, co oznaczało trzykrotnie większą liczbę zbrojnych. Zapobiegliwie też wielki mistrz i król Węgier dokonali przyszłego podziału łupów i w zawartej umowie „na papierze” okroili Polskę ze znacznej części kontrolowanych przez nią terytoriów; Luksemburczyk miał przyłączyć do Węgier Podole, Ruś Czerwoną i Mołdawię, zakon zarezerwował dla siebie Litwę, Żmudź, Kujawy i ziemię dobrzyńską. W wyniku krzyżackich zabiegów królestwo Jagiełły z trzech stron – od północy, zachodu i południa – otoczone zostało murem wrogów. Ta trudna sytuacja mogła jeszcze się pogorszyć w przypadku, gdyby kraje zachodnie uległy kłamliwej propagandzie zakonu i udzieliły mu wydatnej pomocy militarnej.

Tak się jednak nie stało.

## PROPAGANDOWE STARCIE

„To tylko ich życzenie aby mogli kraje cudze jakimkolwiek bądź sposobem posiadać. Skąd zaiste wnosimy, że jeśli tak przewrotnie z innymi książętami jak z nami postępować będą, trudno, aby się kto przy nich utrzymał. Nie ma wątpliwości, że kiedyś, jeśli ich Bóg opatrzny nie ukróci, wszystkie państwa i królestwa przed ich przemocą ukłękną (...) Bowiem bezkarność ich nie dopuszcza, aby wola szła za rozumem, ale wymaga, przeciwnie, iżby rozum podlegał woli”.

(fragment wysłanego z Opatowa orędzia Władysława II Jagiełły do władców chrześcijańskiej Europy)

**R**ównoległe do działań wojennych i w przerwach pomiędzy nimi obie strony prowadziły niezwykle aktywną kampanię dyplomatyczną. Jej podstawowy cel był jasny: przedstawienie przeciwnika w jak najgorszym świetle, siebie zaś jako ofiarę jego agresywnej polityki, a w przypadku Krzyżaków także zapewnienie sobie realnej pomocy na europejskich dworach. Było to tym istotniejsze, że strumień rycerstwa ciągnącego nad Bałtyk zaczął się wyraźnie zmniejszać. Dla zakonu było sprawą życia i śmierci, aby całkowicie nie ustał. Do ofensywy propagandowej przystąpili Krzyżacy jeszcze w czasie przygotowań do ślubu Jagiełły z Jadwigą i unii polsko-litewskiej, aby po obu tych wydarzeniach poprowadzić ją z niesłychanym rozmachem. Argumenty, jakimi posługiwał

się zakon, w jednym zdaniu wyłożył Prochaska: „Zaraz po chrzcie i koronacji w Krakowie rozesłano z Malborka po Zachodzie przez posłów jakby protesty przeciwko tym dziejowego znaczenia aktom, że małżeństwo jest nieprawe, nieważne, pozbawiające niemieckiego księcia należącego się mu tronu, że koronacja jest uzurpacją, a unia gwałtem przeciwko prawom Zakonu i bezbożnym łączeniem się z poganami, a co gorsza, ze schizmatycką Rusią przeciwko Zakonowi, a tym samym przeciwko Kościołowi i rzymskiemu Państwu”.

Podbudowę dla opisanych działań stanowiło wypracowanie doktryny politycznej uzasadniającej prowadzenie wojny. Pojawiło się pojęcie wojny sprawiedliwej i niesprawiedliwej. Oczywiście zarówno Krzyżacy, jak i Polacy oraz Litwini starali się dowieść, że prowadzą pierwszą z nich. Zakon sięgnął po myśli świętego Augustyna, który sformułował je jeszcze w V wieku, stawiając wyraźną granicę pomiędzy światem chrześcijańskim i pogańskim i stwierdzając, że walka z niewiernymi jest miła Bogu i uzasadniona. Mówiąc inaczej – usprawiedliwiona. Takie podejście wyraźnie pobrzmiewa w treści krzyżackich kronik. Na ich kartach, chociażby w wielokrotnie cytowanej *Kronice Ziemi Pruskiej*, znajdują się liczne opisy straszliwych mordów i gwałtów, ale rzadko kiedy ich autorzy odpowiedzialnością za rozlew krwi obciążają zakon.

Jest wielce symptomatyczne, że Krzyżacy nie nazywali polskiego króla jego chrześcijańskim imieniem, ale konsekwentnie nazywali go Jagiełłą. Dzisiaj często piszemy i mówimy o Władysławie Jagielle, zapominając o rzymskiej dwójce pomiędzy imionami, i nie ma to większego znaczenia; doskonale przecież wiadomo, o kogo chodzi. Ale w dobie wielkiej wojny w latach 1409–1411, przed nią i po niej,

sprawa tytułatury polskiego władcy nie była zgoła obojętna. Przeciwno nazywaniu go Jagiełłą polski monarcha przy każdej okazji mocno protestował. Motywy Krzyżaków były bowiem jasne i niegodziwe. Jagiełło, nie zaś Władysław II, to wedle ich propagandy nieokrzesany, dziki Litwin, poganin, który nieszczerze przyjął chrzest i bezprawnie zasiadł na polskim tronie. Jako taki nie zasługiwał na przyjęte w chrześcijańskiej wspólnocie honorowe traktowanie, a jego rodzinny kraj mógł być ciągle postrzegany jako terytorium poddane misji chrystianizacyjnej. Wiadomo, jak ona wyglądała w praktyce. Już ponad dwie dekady przed Grunwaldem Sędziwój z Szubina podczas negocjacji z Krzyżakami wypowiedział słowa odsłaniające prawdziwe intencje zakonu: „Teraz widzimy dobrze, że wy chcecie kraju litewskiego i że z naszym panem królem walczyacie o kraj litewski, a nie o wiarę chrześcijańską”. Wiara, nie tylko zresztą w przypadku Krzyżaków – tak się dzieje nieodmiennie do dzisiaj – stanowiła jedynie ideologiczną przykrywkę prawdziwych celów.

W połowie 1410 roku profesor prawa kanonicznego z Akademii Krakowskiej, Stanisław ze Skarbimierza, wystąpił z kazaniem zatytułowanym *O wojnie sprawiedliwej*. Jego słuchaczami byli studenci i inni uniwersyteccy wykładowcy. To była gorąca oracja w obronie króla Władysława oraz Polski i Litwy, którym przyznawał uprawnienie do prowadzenia wojny z zakonem krzyżackim i chrześcijanami nawet przy korzystaniu z pomocy pogan. Jednak tylko wtedy, kiedy chrześcijanie niesprawiedliwie dopuszczają się szkód. Ten akurat warunek, wskazany w wywodach Stanisława ze Skarbimierza jako niezbędny, Krzyżacy swoim zachowaniem wypełniali permanentnie. Na krakowskim profesorskim oparł się biskup płocki Jakub z Kurdwanowa, zapewniając polskich wojów, iż wojna przeciwko

Krzyżakom, drapującym się jedynie w szaty gorliwych chrześcijan, a w rzeczywistości niosącym na swych mieczach gwałty i grabieże, będzie „najsprawiedliwsza”. Tym wystąpieniem, usuwając moralne wątpliwości u wielu Polaków szykujących się do starcia z zakonnikami noszącymi krzyż na piersiach, biskup „poruszył serca rycerzy do obrony Królestwa”. Wywody Stanisława ze Skarbimierza oraz Jakuba z Kurdwanowa pozostawały w kontrze do argumentów zawartych w mowie dominikanina Jana Falkenberga, którą wygłosił podczas pobytu na uniwersytecie wiedeńskim. Potępił on wykorzystywanie w wojnie prowadzonej przez chrześcijańskich władców pogan i nazwał taki proceder grzechem „przeciwko miłości i przeciwko prawu naturalnemu”. Chociaż nie wskazał wprost Jagiełły i Witolda, to dla wszystkich było aż nadto jasne, że odnosi się właśnie do nich. Według Falkenberga wyrzynanie bezbronnej ludności pogranicza przez Krzyżaków i ich gości z zachodniej Europy stanowiło o wiele chwalebniejszy czyn niż uzasadniona obrona przed okrucieństwami w sojuszu z niewiernymi. Dziwi, że polscy myśliciele i filozofowie w swoich mowach, listach bądź dyplomatycznych memoriałach nie podnieśli znanego przecież faktu sprzed paru wieków, kiedy królowie niemieccy i cesarze rzymscy w wojnach z Polską wykorzystywali na dużą skalę posiłkowe oddziały pogańskich Wioletów. Wówczas plemienne bożki nie raziły niemieckich chrześcijan, niosących śmierć i zniszczenie polskim chrześcijanom.

Podczas dyplomatycznego starcia nie poprzestano na słowach. Zarówno wielki mistrz, jak i król Władysław II wysłali na Zachód swoich zaufanych przedstawicieli, obdarzonych darem wymowy i mających doświadczenie dyplomatyczne.

Szczególnie wielkie usługi oddał polskiemu władcy Jarosław z Iwna Grzymalita, rycerz bardziej znany w Europie zachodniej niż w Polsce. Długosz użył wobec niego określenia „sławny rycerz hiszpański”. Miał on bowiem za sobą kampanie przeciwko Maurom w Hiszpanii, gdzie zawarł wiele znajomości i przyjaźni z miejscowymi i przyjezdnymi rycerzami uczestniczącymi w iberyjskiej rekonkwicie. Jarosław, mając u boku herolda królewskiego, odwiedził kilka z krajów niemieckich, Danię, Francję i Anglię, aby odwieść miejscowe rycerstwo od decyzji o udziale w wojnie z Polską i jej – jak przedstawiali to Krzyżacy – pogańskim władcą. Podczas posłuchań na dworach władców tych państw odczytywane były listy Jagiełły wskazujące, iż Władysław II i jego królestwo są zagrożone krzyżacką ekspansją, a zakon posługuje się w swojej propagandzie nieprawdziwymi informacjami. Ale wysłannik polskiego władcy posługiwał się nie tylko słowem pisanim i mówionym. Książęta meklemburscy otrzymali hojny dar w postaci trzystu kop groszy i zapewne lepiej przemówił im do wyobraźni niż wszystkie inne argumenty. Należy przyjąć, iż nie tylko oni okazali się beneficjentami i brzęcząca moneta ze skarbca polskiego króla popłynęła także do innych władców, na których przychylności szczególnie mu zależało. Jak bardzo Jarosław z Iwna okazał się skuteczny w realizacji swojej misji, świadczy przesłany Krzyżakom list króla rzymskiego Ruprechta z Palatynatu (był nim od 1400 roku i konkurował o tę godność z pozbawionym tytułu króla rzymskiego Wacławem IV Luksemburskim, władcą Czech) oraz treść raportów sporządzonych przez ich wysłannika, nie ustępującego Jarosławowi dyplomatyczną sprawnością Dietricha von Lögendorfa (Dytryka von Legendorfa), rycerza z ziemi chełmińskiej, zaufanego dyplomaty wielkiego mistrza, który także został wysłany na Zachód. Obaj w swojej



korespondencji podkreślali sprawność Grzymality i wskazywali na propagandowy wydźwięk jego działań, podających w wątpliwość czystość zamierzeń Krzyżaków. Ruprecht zapewniał jednak, że ludzie przychylni zakonowi skutecznie potrafili zbić argumentację polskiego herolda, i deklarował mu swoją niezmienną przychylność. Jarosław z Iwna i jeszcze inny polski wysłannik, który jak on przemierzył w dyplomatycznej misji podobną drogę, nie zdołali radykalnie zmienić spojrzenia zachodnich władców na politykę zakonu krzyżackiego nad Bałtykiem, ani odwieść rycerstwa tych krajów od pomocy w przededniu wojny z Polską i Litwą. Szczególnie nie powiodło im się to w Anglii. Henryk IV, który wcześniej osobiście uczestniczył w litewskich rejach, nie dość, że potraktował polskiego wysłannika z przymrużeniem oka, to w rozmowie z Dietrichem von Lögendorfem podkreślił, iż ma się „za dziecko Prus”, i przekazał mu skopiowane listy Jarosława z Iwna. Władca Anglii zapewnił nawet krzyżackiego dyplomate, iż chętnie wzięłby osobisty udział w wyprawie do Prus i stanął po stronie zakonu w wojnie z Polską i Litwą, nie może jednak opuścić królestwa w obliczu sporu z Francją. Wypowiedź ta oznaczała, że nie będzie protestował przeciwko uczestnictwu w niej poszczególnych możnych i rycerzy.

Bez wątpienia przedstawiciele króla Władysława sprawili jednak, że pogląd wielu możnych na charakter stosunków krzyżacko-polsko-litewskich uległ zmianie, zaś ich skłonność do spieszenia zakonowi z odsieczą – osłabła. O tym, że nie jest to czcza opinia, świadczy fragment jednej z krzyżackich kronik, w której znalazł się zapis, że pojmany Jarosław z Iwna (jakiś czas później pojmany i uwięziony przez Krzyżaków) przyczynił zakonowi wiele szkód na dworach niemieckich władców.

O ile wysiłki polskiej dyplomacji nie przyniosły wielkich sukcesów na południu i zachodzie Europy, to udało jej się uzyskać przychyłność papieża Aleksandra V, który wezwał zakon do pokojowego uregulowania stosunków z Polską i z pewnością osłabił jego pozycję na terenie Rzeszy. Ważniejsze okazało się jednak zneutralizowanie inflanckiej gałęzi zakonu, która ani podczas działań wojennych w 1409 roku, ani w czasie decydujących zmagañ latem następnego roku dość wydatnie wsparła swoich pruskich współbraci (pod Grunwaldem walczyła tylko jedna chorągiew inflancka pod wodzą Fryderyka von Croego). Stało się tak za sprawą Witolda, który zawarł z osłabionymi porażkami w wojnie z Pskowem Inflanckami układ pokojowy, przewidujący trzymiesięczny okres wypowiedzenia; kiedy wreszcie zrobili to pod naciskiem Ulricha von Jungingena – zabrakło czasu na przerzucenie wojsk na teatr wojny z Polską i Litwą. Fakt ten z pewnością osłabił potencjał Krzyżaków i miał wpływ na przebieg najważniejszej w ich dziejach bitwy.

Oficjalnym i zakulisowym rozgrywkom z udziałem Jarosława z Iwna i Dietricha von Lögendorfa towarzyszyły wydarzenia związane z poddaniem sporu polsko-krzyżackiego sądowni polubownemu Wacława IV, którego wysłannicy jesienią 1409 roku pośredniczyli w zawarciu rozejmu. Wielki szpitalnik Werner von Tettingen wraz z komturem toruńskim Albrechtem von Schwarzburgiem, w drodze do Pragi odwiedzili Budę i w imieniu wielkiego mistrza zawarli sojusz z królem Zygmuntem Luksemburskim. W Pradze stanęli na początku stycznia i w tym czasie pojawili się tam również wysłannicy króla polskiego, na czele z biskupem poznańskim Wojciechem Jastrzębcem i marszałkiem Zbigniewem z Brzezia, oraz księcia Witolda i książąt mazowieckich. Było niemal z góry przesądzone, że rywalizujący z Ruprechtem i walczący o

poparcie polityczne na terenie Rzeszy Waclaw IV swoim werdyktem nie zrobi krzywdy zakonowi krzyżackiemu, mającemu ugruntowaną pozycję w krajach niemieckich. I tak się stało, chociaż wydane przez Luksemburczyka na początku lutego orzeczenie trudno uznać za złamanie prawa bądź jawne nagięcie faktów na rzecz Krzyżaków. Zgodnie z jego najważniejszym punktem strony miały pozostać przy swoich terytoriach sprzed wybuchu konfliktu. Oznaczało to powrót do Polski ziemi dobrzyńskiej, zaś do zakonu Żmudzi. Dodatkowo królewski werdykt nakazywał obustronne wydanie jeńców, odnowienie ustaleń pokojowych zapadłych w Kaliszu i postanowień z Raciaża. Po wspomnianym werdykcie dalsze mediacje przeniesiono na maj do Wrocławia, a jakiś czas potem strony miały debatować nad sposobem zadośćuczynienia z powodu gwałtów i grabieży na pograniczu.

Wyrok Waclawa IV nie spodobał się Polakom. Uznawali w nim rzetelnego arbitra jedynie do chwili wydania orzeczenia, co akurat w przypadku wszelkich arbitraży jest praktyką często spotykaną. Do Wrocławia przedstawiciele Władysława II już nie przybyli, oddając niejako pole rywalowi. Ten zaś miał prawo głosić wiarołomstwo polskiego władcy, który przecież uroczyście zobowiązał się do uszanowania werdyktu króla Czech. Krzyżacy, korzystając z sytuacji, kuli żelazo póki gorące i sprezentowali Waclawowi drogocenny podarunek, a właściwie łąpówkę w postaci trzydziestu tysięcy florenów. Czeski monarcha odłożył na bok wcześniejsze dobre relacje z Jagiełłą i wychodząc poza granice postępowania arbitrażowego, stwierdził w wystawionym przez siebie dokumencie, że zachowanie strony polskiej uwalnia zakon od jej roszczeń i pretensji. Faktycznie oznaczało to uznanie krzyżackich nabytków. Stało się najzupełniej jasne, iż o tym, jak będzie przebiegała

granica na spornych terytoriach, nie zadecyduje siła argumentów ani jakiegokolwiek dokumenty, tym bardziej zaś kwestionowany przez jedną ze stron arbitraż, ale wojna.

Nadmiernie pewni siebie Krzyżacy nie wyobrażali sobie, jak fatalne skutki może im przynieść jej kolejna odsłona.

## PRZECIWNICY

„Król polski Władysław zważywszy, że nie została żadna nadzieja na zachowanie pokoju z Krzyżakami, rozesłał listy i wici i nakazał wszystkim panom, rycerzom i poddanym swojego Królestwa Polskiego i podległych mu ziem, by chwyciwszy za broń ruszyli do Prus przeciwko Krzyżakom”.

(Jan Długosz, *Roczniki czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego*)

**W**ojsko zebrane przez Jagiełłę miało międzynarodowy charakter. Poza Polakami i Litwinami znaleźli się w nim przedstawiciele wielu innych narodowości. Najbardziej egzotyczny oddział stanowili Tatarzy przyprowadzeni przez syna obalonego chana Tochtamysza, Dżalal-ed Dina, wspomagającego księcia Witolda. Jądro sił stanowiła armia Królestwa Polskiego, łącznie pięćdziesiąt jeden chorągwi; Litwini wystawili ich o jedenaście mniej. Chorągwie stanowiły jednostkę organizacyjną i taktyczną nadrzędną wobec poczty rycerskiego (kopii). Z chorągwi, kilku lub kilkunastu, w warunkach bitewnych tworzone były natomiast hufce. Liczebność zarówno chorągwi, jak i kopii była bardzo zróżnicowana. Zwykle poczet rycerski składał się z kopijnika i dwóch strzelców, ale wielu mniej zamożnych rycerzy służyło samodzielnie. Inaczej rzecz się miała z możnowładcami, którzy ruszali na wojnę w asyście nawet kilkunastu zbrojnych. Różnice występowały także w

zakresie uzbrojenia, ale nie były one równie duże. W znacznej mierze stanowiły pochodną możliwości finansowych, ale istotne znaczenie posiadały również inne czynniki. Warto w tym miejscu posłużyć się ciekawym wywodem Marcina Skrobka zawartym w artykule *Rzemiosło wojenne* opublikowanym w „Pomocniku Historycznym. Grunwald 1410”: „Powszechnie obowiązywała zasada wykwapowania według najlepszych możliwości, która uzależniała jakość uzbrojenia od dobrej woli rycerza. Jedynie beneficjenci nowych nadań ziemskich mieli ściśle określone ramy swoich powinności rycerskich. Służba wojskowa według najlepszych możliwości mogła pogłębiać tendencje do redukcji wydatków i zobowiązań militarnych na rzecz państwa. Z drugiej strony, duże znaczenie miały uczucia patriotyczne, ambicje indywidualne i rodowe. Rycerzowi nie wypadało ruszać na wojnę z ekwipunkiem, który nie odzwierciedlał jego pozycji społecznej. Bardzo ważną rolę odgrywała również świadomość, że od wyposażenia całego pocztu rycerskiego może zależeć życie i zdrowie rycerza kopijnika oraz udział w zdobyczach wojennych, które minimalizowały koszty związane z uczestnictwem w wyprawie. Dlatego wielu rycerzy zapożyczało się na potrzeby zakupu lepszego uzbrojenia i dobrego konia bojowego. Wszystko to doprowadziło do ukształtowania się norm obyczajowych, regulujących wymiar powinności wojskowych w zależności od pozycji społecznej i zamożności zainteresowanego”. Na wezwanie króla do kraju powróciło wielu polskich rycerzy z różnych względów przebywających poza granicami. Był wśród nich sławny w całej Europie Zawisza Czarny z Garbowa.

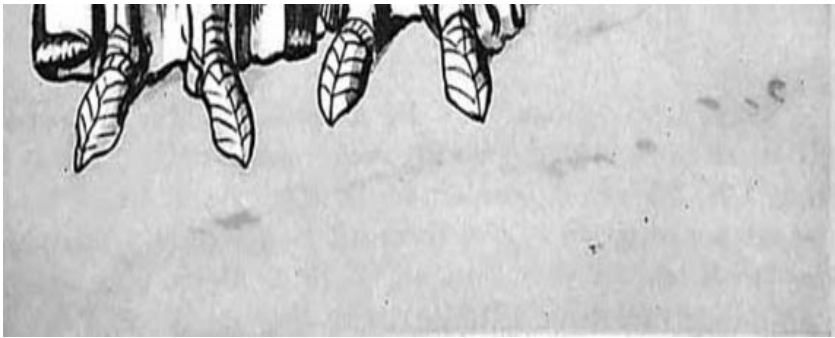
Niemal połowę chorągwi koronnych wystawili możnowładcy, siedemnaście sformowano na zasadach terytorialnych, trzy przywieźli książęta mazowieccy, dwie

wystawili Gryfici i Jelici, trzy składały się z najemnych i zaciężnych, a dwie, chorągwie gończa i nadworna, podlegały bezpośrednio królowi. Elitę tworzyły cztery jednostki: chorągiew wielka całego Królestwa (krakowska), wspomniane nadworna i gończa, a także chorągiew św. Jerzego, pod sztandarem której zgromadzili się zaciężni z Moraw i Czech dowodzeni przez Czecha Jana Sokoła z Lamberku i Ślązaka Zbysławka z Dobrej Wody. Poza nimi nieliczne chorągwie dorównywały wartością bojową oddziałom krzyżackim, a jak stwierdził Długosz, Polacy w swojej masie odczuwali obawę i strach przed konfrontacją z armią zakonną.

Armia polsko-litewska, co należy traktować jako termin umowny ze względu na jej skład etniczny, była niemal w całości złożona z jazdy. Jej szeregi były pozbawione uzbrojonych chłopów, co niezgodnie z prawdą historyczną zasugerowała jedna ze scen powszechnie znanego i często emitowanego filmu *Krzyżacy* w reżyserii Aleksandra Forda z 1960 roku, ukazująca śmierć wielkiego mistrza, zaatakowanego i ginącego z rąk chłopskiej piechoty. Korona wystawiła najprawdopodobniej około dwudziestu tysięcy zbrojnych, liczba wojowników przyprawdzonych pod Grunwald przez Witolda przenosiła o dwa-trzy tysiące połowę tej liczby. Siły te wzmacniały tysiące ciurów obozowych. Jądro wojsk wielkiego księcia stanowili Rusini, zgromadzeni w szesnastu chorągwiach ziemskich w sile około ośmiu tysięcy. Długosz, prezentując wojska wielkiego księcia, dopuścił się jawnej manipulacji. Wskazał czterdzieści chorągwi, ale opisał dokładnie o osiem mniej. Uczynił tak, gdyż nie należało zbyt wiele miejsca poświęcać chorągwiom wystawionym przez Tatarów. Musiało być ich zatem nie trzystu, jak pisze kronikarz, ale dziesięciokrotnie więcej, niewielu mniej niż rodowitych Litwinów!







Rycerze z końca XIV wieku według Bronisława Gembarzewskiego.

Nie do końca fałszywie muszą zatem zabrzmieć skargi jednego z zakonnych kronikarzy, który stwierdził, że „[Król Jagiełło] zebrał przeciw chrześcijaństwu Tatarów, Rusinów, Litwinów i Żmudzinów (...) Nie wystarczyli mu źli ludzie z pogan i Polaków, ale wynajął wielu najemników z Czech, Moraw i różnego rodzaju rycerzy i zbrojnych, którzy wbrew jakimukolwiek honorowi i dobroci i uczciwości przyszli z pogaństwem przeciw chrześcijanom pustoszyć ziemie Prus”. W jego mniemaniu poczucie honoru było zarezerwowane wyłącznie dla Krzyżaków i zachodniego rycerstwa, które z imieniem Boga na ustach, a często dla samej przygody i pasowania krwawo dokazywało na Żmudzi i Litwie. Zapomniał przy tym jakby, że armia wystawiona przez zakon również nie była jednorodna, a mówiąc wprost: stanowiła europejskie pospolite ruszenie. Dość przypadkowe i jednak stosunkowo nieliczne, aby można się było upierać przy dość popularnym, ale mającym niewiele wspólnego z rzeczywistością stwierdzeniu, że pod Grunwaldem doszło do gigantycznego zbrojnego starcia Wschodu z Zachodem. Nieprawdą jest, aby w krzyżackiej armii walczyła czołówka zachodnioeuropejskiego rycerstwa, jego kwiat nie zjechał bowiem nad Wisłę. Pojawili się w niej reprezentujący różne narodowości zaciężni i najemni, podobnie jak w wojskach

Jagiellny, a także rycerze z krajów niemieckich, Węgier, Czech, Moraw, Anglii, Francji, ale nie były to „głośne” nazwiska.

Zgrupowani zostali w siedmiu chorągwiach. Na ich temat pozostały zapiski w tzw. Księdze żołdu. Wynika z niej, że w lipcu na terenie Prus przebywało na koszt zakonu 5751 rycerzy, a 3712 spośród nich uczestniczyło w bitwie pod Grunwaldem. Być może zresztą, że było ich więcej, gdyż ocena została oparta na niepełnych danych; tę drugą liczbę wnikliwy badacz tematu, Krzysztof Kwiatkowski, podnosi o pięciuset ludzi. To jednak było o wiele za mało, żeby definiować batalię we wskazany powyżej sposób. Największym splendorem wśród siedmiu jednostek złożonych z cudzoziemskich rycerzy cieszyła się chorągiew św. Jerzego dowodzona przez Krzysztofa Gersdorfaa, poddanego króla Węgier, w której służyła grupa jego rodaków. Własne oddziały przyprowadzili książę szczeciński Kazimierz i książę oleśnicki Konrad VII Biały. Oczekiwania Krzyżaków na militarne wsparcie były o wiele większe. Jednak nawet oni sami nie zdołali zmobilizować wszystkich dostępnych sił. Musi zaskakiwać, że z ogólnej liczby około pięciuset siedemdziesięciu braci-rycerzy, jacy na początku XV wieku przebywali w Prusach, jedynie około dwustu pięćdziesięciu wyruszyło pod rozkazami wielkiego mistrza przeciwko wrogowi i wzięło udział w decydującej o losach wojny bitwie. Każdy z nich miał jednak u boku w ramach swojego pocztu aż do ośmiu sariantów, półbraci, bądź zwykłych knechtów. To oni tworzyli elitę armii, walcząc w dwóch chorągwiach: wielkiego mistrza i chorągwi wielkiej całego zakonu, służącej do przełamywania szyków wroga. Liczyły one odpowiednio po około pięciuset i siedmiuset ludzi. Bardzo silną jednostką była również chorągiew

biskupa warmińskiego, licząca aż dwieście pięćdziesiąt jeden kopii i dwustu czterdziestu pięciu pieszych.

Inaczej niż przeciwnik, armia krzyżacka dysponowała piechotą, liczącą ponad dwa tysiące ludzi, a także posługiwała się strzelającą kamiennymi kulami artylerią obsługiwaną przez co najmniej kilkudziesięciu puszkarzy. Działa te nie wyrządziły wrogowi niemal żadnej szkody, może dlatego, że znajdującego od podszewki artyleryjskie arkana Henryka Dumechena zabrakło pod Grunwaldem i nie było komu skutecznie kierować ostrzałem. Liczba wojsk krzyżackich walczących pod Grunwaldem, podobnie jak w przypadku ich przeciwnika, stanowi niewiadomą. Najczęściej przyjmuje się, że wahała się pomiędzy piętnastoma a dwudziestoma tysiącami zbrojnych. Witold Mikołajczak, współczesny historyk, autor monografii poświęconej bitwie pod Grunwaldem, uściśla te liczby, pisząc o wojskach zakonnych liczących od 18 300 do 21 500 zbrojnych, w tym od tysiąca do trzech tysięcy artylerzystów i pieszych, a nadto wskazując obsługę taboru w nieznaną bliżej sile. Stefan Maria Kuczyński, co jest poglądem dość odosobnionym, wskazał dwadzieścia jeden tysięcy jazdy i sześć tysięcy piechoty. Siłami zakonnymi, które – jak się wydaje – mogły stoczyć zwycięską kampanię w oparciu o system warowni bez konieczności wystawiania się na ryzyko klęski w polu, dowodził wielki mistrz, zaś jego zastępcą był wielki komtur i zarazem marszałek zakonu, Kuno von Lichtenstein. Szczęśliwie dla przeciwnika – wybrali zgoła inną strategię.



Rycerz krzyżacki w pełnej zbroi płytowej i hełmie typu „psi pysk”,  
rekonstrukcja: A. Nowakowski, rysunek: A. Klein.

Przez wieki funkcjonowało w Polsce wyobrażenie, po części obecne do dzisiaj, o „zakutej w stal” potężnej armii Krzyżaków, dosiadającej ogromnych bojowych rumaków, nielicznych polskich chorągwiach dorównujących jej uzbrojeniem ochronnym oraz litewsko-rusko-tatarskiej cizbie okrytej skórą i dosiadającej mikrych koników. To zgoła nieprawdziwy, częściowo wynikający z niewiedzy i romantycznej oceny średniowiecza, ale też intencjonalnie

nasycony propagandą obraz, mający podnieść prestiż i splendor zwycięstwa słabszego nad silniejszym. Warto wiedzieć, że zbroja płytowa upowszechniła się dopiero w latach dwudziestych i trzydziestych XV wieku (szczególnie tzw. biała), była bardzo droga i pod Grunwaldem jedynie bracia zakonni (choć nie wszyscy), rycerze ziemianie, kadra dowódcza i część gości mogła używać właśnie takiego uzbrojenia ochronnego (łącznie zapewne nie więcej niż tysiąc ludzi). Większość walczących po krzyżackiej stronie kopijników stosowała tradycyjne kolczugi, wzmacniane przez płytowy napierśnik lub tzw. płaty (zwykle skórzana kamizelka o kroju poncho wzmocniona przymocowanymi od spodu, w poziomie lub pionie, płatami z żelaza). Tylko niektórzy z rycerzy posiadali pełną płytową ochronę na nogi i ręce, podobnie jak przyłbice – hełmy z ruchomą zasłoną twarzy. Do ochrony głowy służyły głównie otwarte stożkowe hełmy lub proste w konstrukcji i tanie tzw. kapaliny z opadającym rondem, pod które zakładano kolcze czepce. Ciało, poza zbroją, chroniły trójkątne, owalne lub prostokątne tarcze. Te ostatnie, zwane pawężami, posiadały w górnej krawędzi wycięcie na umieszczenie sięgającej czterech metrów długości kopii, co pozwalało trzymającemu ją rycerzowi odciążyć ramię od nadmiernego ciężaru.

Piechota była wyposażona w kapaliny, kolczugi lub płaty. Charakterystyczne były dla niej dużo większe pawęża niż w przypadku jazdy. Służący w armii krzyżackiej Prusowie korzystali ze stożkowatych szyszaków (*prusche Helme*) i pancerzy naszywanych żelaznymi łuskami.

Pomijając już niepodważalny fakt, że wojska Jagiełły i Witolda zdecydowanie górowały liczbą nad wrogiem, to widoczna różnica w uzbrojeniu dotyczyła tylko lekkiej jazdy wielkiego księcia. Uzbrojeniem zaczepnym niewiele ustępowała ona wrogowi, dysponując mieczami, szablami,

lekkimi włócznieami (sulicami), toporami, tasakami oraz łukami. Inaczej było w przypadku uzbrojenia ochronnego. Jak twierdzi Mikołajczak: „Tylko nieliczni rycerze ruscy i litewscy posiadali zbroje w postaci metalowych płytek przytwierdzonych do skóry”. Lepiej zapewne prezentowała się jazda tatarska; ciężka korzystała ze zbroi lamelkowych (metalowe płytki łączone cienkim rzemieniem), lekka zaś z tzw. zbroi miękkich stanowiących połączenie kilku warstw tkaniny lub filcu, często dodatkowo wzmacnianych metalowymi elementami. Słabością wojsk Witolda były konie. Niewielkie, bardzo wytrzymałe i nie wymagające zbyt dużej dbałości, doskonale sprawdzały się w szybkich zagonach, ucieczkach i pościgach, natomiast podczas bezpośredniej konfrontacji w polu z krzyżacką jazdą, korzystającą z potężnych bojowych rumaków rozbijających wrogie szyki niczym niepowstrzymany taran, nie mogły stanowić atutu. I właśnie ten mankament o mały włos nie przesądził o wyniku bitwy pod Grunwaldem.

Jak w podtytule swojej monografii napisał Witold Mikołajczak, armia Jagiełły i Witolda znalazła się podczas jej trwania „o krok od klęski”. Ale go nie zrobiła.

## GRUNWALD. ZŁAMANY KRĘGOSŁUP?

„Rozbiegli się jak obłąkani po domach, salach i izbach i wiele nocy spędzili na lamentach, smutkach i skargach”.

(Jan Długosz o reakcji przebywających w Malborku braci zakonnych na wieść o klęsce wojsk krzyżackich pod Grunwaldem)

**B**itwa pod Grunwaldem zajmuje szczególne miejsce w polskiej historii. Została przedstawiona w setkach popularnych monograficznych opracowań i w opasłych dziełach poświęconych polskiej wojskowości. Data jej stoczenia, jako jedna z nielicznych, kojarzy się większości Polaków. Podobnie jak przekaz mówiący o wielkim zwycięstwie wojsk króla Jagiełły nad armią krzyżacką. Tyle i tylko tyle. Bardziej szczegółowe informacje i frapujące okoliczności towarzyszące jednej z największych batalii końca średniowiecza dla zdecydowanej większości rodaków, którzy znajomość historii wynieśli przede wszystkim ze szkoły, pozostają jednak w sferze niewiedzy. Dlatego w tym rozdziale pozwolę sobie jedynie naszkicować przebieg starcia i położyć główne akcenty na mniej znane fakty, rozwiewając jednocześnie jakąś część narosłych wokół Grunwaldu mitów. Zebrało się ich niemało, podobnie jak w przypadku przeświadczenia o ogromnej technicznej przewadze wojsk zakonu nad armią Jagiełły i Witolda. Obraz bitwy wypaczył w znacznym stopniu Długosz, który w wielu fragmentach swojej relacji opierał się na Zbigniewie

Oleśnickim, jej uczestniku i przypuszczalnym autorze *Kroniki konfliktu Władysława króla polskiego z Krzyżakami w roku Pańskim 1410*, pragnącym ukryć własną nieudolność i manipulującym faktami.

Wznowienie wojny nastąpiło wieczorem 24 czerwca. Tym razem to Polacy i Litwini zaatakowali pierwsi. Celem uderzenia stało się pogranicze kujawskie i Nowa Marchia; Żmudzini wykonali sabotażowy zagon w kierunku Ragnety. Z Torunia widać było łuny pożarów płonących wsi. Jedynie trzy tygodnie dzieliły zakon krzyżacki oraz Polskę i Litwę od jednego z największych starć w końcówce europejskiego średniowiecza. Nim jednak do niego doszło, przeciwnicy zdążyli popełnić po kilka poważnych błędów i nawzajem się zaskoczyć.

Jagielle i Witoldowi udało się zmylić krzyżackich szpiegów i utwierdzić wroga w przekonaniu, że ich armie połączą się w Warszawie, czemu nie mógł przeszkodzić. W rzeczywistości stało się to już na prawym brzegu Wisły, w odległości tylko trochę większej od zakonnych granic niż sto kilometrów. Polacy sforsowali rzekę po przygotowanej zawczasu w najgłębszej tajemnicy przeprawie. Jej twórca, niejaki mistrz Jarosław, rozpoczął budowę mostu na łodziach już w zimie, zaraz po naradzie w Brześciu, a jego pracę w Kozienicach nadzorował starosta radomski Dobrogost Czarny z Odrzywołu herbu Nałęcz. Poszczególne części przeprawy splawiono w dół rzeki, zmontowano je w całość pod Czerwińskiem i Polacy przeszli na drugi brzeg Wisły, szerokiej w tym miejscu na około pięćset metrów, w ciągu trzech dni! Mistrza Jarosława przedstawia się jako genialnego twórcę, a jego dzieło uznaje za szczyt ówczesnych osiągnięć technicznych. Dobrze jednak wiedzieć, że zaledwie kilka lat wcześniej w dziele *Bellifortis* jego autor, Konrad Kyeser, związany z dworem



Luksemburgów, przedstawił opis i dokładny szkic podobnego mostu i przypuszczalnie podsunął Polakom pomysł zbudowania wzorowanej na nim przeprawy. Ulrich von Jungingen zapewne nie tracił czasu na lektury tego rodzaju rewolucyjnych opracowań i wieści o moście mistrza Jarosława zbył lekceważącym komentarzem.

Trzy dni po sforsowaniu Wisły do obozu Jagielly pod wsią Jeżów przybyli posłowie Zygmunta Luksemburskiego, a wraz z nimi Krzysztof Gersdorf, przed którym król nie ukrywał potęgi własnych wojsk. Zarówno on, jak i posłowie węgierscy krążący w następnym dniu pomiędzy polskolitewskim obozem a Krzyżakami mieli im przez cały czas dostarczać aktualnych wiadomości na temat wojsk polskiego króla. To było dziwne zachowanie. Mikołajczak postawił tezę, że władca „samą demonstracją siły chciał wymusić przyjęcie korzystnych warunków pokoju”. Niewykluczone zresztą, że miał na to nadzieję do samego końca, jeszcze w dniu bitwy, zwlekając do ostatniej chwili z daniem sygnału do walki. Przesądziło o nim dopiero kategoryczne wezwanie do boju wysłane przez wielkiego mistrza, a słynne dwa nagie miecze wręczone Jagielle przez pysznych Krzyżaków – rzekomo jako wyraz lekceważenia i pogardy dla przeciwnika – stanowiły w rzeczywistości symboliczne rzucenie rękawicy, co było wpisane w rycerski etos. W tradycji krzyżackiej, wprost przeciwnie niż w polskiej historiografii, zachowanie wielkiego mistrza, który zrezygnował z zaskoczenia i wyzwał wroga na bój, było oceniane jako wielce honorowe.

Polacy i Litwini przekroczyli zakonną granicę 9 lipca. Zaraz po tym doszło do poważnego incydentu, który zresztą był później wykorzystywany propagandowo przez Krzyżaków. Grupa litewskich wojów ograbiła kościół i dopuściła się profanacji Najświętszego Sakramentu. Dwaj z

nich zostali skazani na śmierć, a karę powieszenia na oczach wojska musieli wykonać na sobie własnoręcznie. Ale żądzy rabunku i mordy w armii, w ten pokazowy i jakże brutalny sposób, nie udało się ugasić. Cztery dni później, po kilkugodzinnych walkach, żołnierska tłuszcza wdarła się w mury Dąbrowna, mordując i grabiąc wszelki dobytek. Mieszkańcy i załoga zostali bezlitośnie wyrżnięci lub poszli do niewoli, miasteczko puszczono z dymem, a nieliczni zbiegowie roznieśli wieści o barbarzyńskim zachowaniu armii Jagiełły i Witolda.

Wielki mistrz, którego największym strategicznym błędem było dopuszczenie do połączenia wojsk polsko-litewskich, zdołał częściowo go naprawić, zabezpieczając przeprawę na Drwęcy pod Kurzętnikiem i tam zamierzając stoczyć bitwę obronno-zaczezną, ale po odejściu wroga z okolic solidnie umocnionego brodu podjął decyzję o jej wydaniu w innym miejscu. To zaś, jak pokazał przebieg wydarzeń, okazało się fatalnym wyborem. Ulrich von Jungingen lepiej jednak manewrował swoimi oddziałami i 14 lipca pojawiła się przed nim szansa na pełne zaskoczenie przeciwnika między Frygnowem i Grunwaldem. Nie wykorzystał jej wobec zmęczenia własnych wojsk i zmiany kierunku marszu przez armię polsko-litewską. Udało mu się natomiast dobrze wykorzystać warunki terenowe i ukryć przed nieprzyjacielem swój odwód w obszernej dolinie. Do konfrontacji doszło nazajutrz w rejonie Stębarku i Grunwaldu.

Sojusznicze wojska zajmowały front szerokości około trzech kilometrów, mając w pierwszym rzucie ponad trzydzieści chorągwi i resztę wojsk uszykowanych w głąb ugrupowania. Prawe skrzydło tworzyły oddziały Witolda, z Litwinami w centrum, chorągwiami smoleńskimi po ich prawej stronie i Tatarami po lewej, natomiast na drugiej,

lewej flance ustawiły się polskie jednostki z chorągwiami małopolskimi, gończą i św. Jerzego w centrum szyku, oraz Wielkopolanami usytuowanymi na zewnątrz.

Krzyżacy stanęli w trzech rzutach składających się odpowiednio z dwudziestu pięciu, około dziesięciu i szesnastu chorągwi; te ostatnie, ukryte dobrze przed nieprzyjacielem i mogące liczyć około trzech i pół tysiąca ludzi, stanowiły odwód. Na czele zajęła pozycje artyleria i – prawdopodobnie – oddziały piesze.

Obie armie długo tkwiły naprzeciw siebie, co w panującym upale nie mogło być niczym przyjemnym, szczególnie dla ciężkozbrojnej krzyżackiej jazdy. Jagiełło żarliwie się modlił, przyjął komunię, ale też zdążył pasować na rycerzy kilkuset giermków, co zwykle czyniono już po bitwie. Powstaje pytanie, czy postępując w ten sposób, chciał osłabić siły fizyczne Krzyżaków, podobnie jak miał to zrobić w końcu XVII wieku Jan Sobieski z Turkami pod Chocimiem, z rozmysłem aplikując im całonocne czuwanie w strugach marznącego deszczu. A może raczej, co już sygnalizowano, jeszcze w ostatniej chwili liczył na rozejm?





*Władysław Jagiełło i Witold modlą się przed bitwą pod Grunwaldem, Jan Matejko, 1855 rok.*

Właściwa bitwa, poprzedzona rozpoznawczym uderzeniem lekkiej jazdy Witolda na pozycje krzyżackiej artylerii, rozpoczęła się w południe. Stało się to krótko po epizodzie z nagimi mieczami i cofnięciu się przez krzyżackie wojska, które w ten sposób dały więcej wolnego pola do rozwinięcia szyków przez wroga. Jak napisał biskup Oleśnicki w *Kronice konfliktu*: „Trwała zaś bitwa przez sześć godzin i wówczas dopiero Krzyżacy zwrócili się do odwrotu. Tym razem uszli aż do swoich obozów”.

Wojska Jagiełły i Witolda zaatakowały jednocześnie na całym froncie. Pierwsza faza starcia przyniosła większe powodzenie Krzyżakom. Polakom udało się zepchnąć wroga

o sto kilkadziesiąt metrów, ale Krzyżacy to samo uczynili z Litwinami, co spowodowało niebezpieczne rozluźnienie szyku na styku armii polsko-litewskiej. Doskonale wykorzystał ten moment Ulrich von Jungingen, kierując dodatkowe siły w powstałą lukę. Najpierw rzucili się do ucieczki Tatarzy, pociągając za sobą nie tylko jazdę litewską i Rusinów, ale też wielu polskich rycerzy i czesko-morawskich najemników spod chorągwi św. Jerzego. Na placu, wśród resztek swoich wojsk, pozostał Witold, który, jak napisał Długosz, „biczem i potężnym krzykiem” usiłował bezskutecznie powstrzymać panikę, a także trzy trwające nieustępliwie na pierwotnych pozycjach chorągwie smoleńskie dowodzone przez rodzonego brata wielkiego księcia, kniazia Semena-Lingwena Olgierdowicza. Dzielni Smoleńszczanie ponieśli ogromne straty, a jedna z chorągwi została wybita niemal do nogi.

Historycy do dzisiaj spierają się, czy ucieczka części armii wielkiego księcia była taktycznym posunięciem obliczonym na sprowokowanie Krzyżaków do złamania własnych szyków i męczącej pogoni, zresztą często stosowanym przez Tatarów. Wydaje się, że stanowiła raczej spontaniczny, wymuszony sytuacją odruch. W przeciwnym razie uciekające oddziały z pewnością wciągnęłyby przeciwnika w przygotowaną wcześniej zasadzkę. Tak się jednak nie stało i po pewnym czasie zarówno powracający na pole bitwy Krzyżacy, jak i wojownicy Witolda – jedni i drudzy przetrzebieni liczebnie, ale pełni bojowego animuszu – znów przystąpili do walki.

Losy batalii ważyły się do wczesnego wieczora. Walce towarzyszyły dramatyczne momenty, choćby utrata chorągwi przez polskiego chorążego, co na krótką chwilę, do czasu jej odzyskania, spowodowało wybuch radości po stronie wroga. Zupełnie niespodziewanie zagrożone zostało

życie Jagiełły, zaatakowanego przez pojedynczego jeźdźca, „gościa” zakonu Dypolda von Köckritza, który oderwał się od formacji i z nastawioną kopią szarżował na króla. Władca nie uniknął starcia i ranił napastnika, dobił go zaś Oleśnicki. Jednak decydującym momentem bitwy okazała się kapitulacja walczącej po stronie zakonu chorągwi św. Jerzego. Jej śmiertelnie wyczerpani rycerze nie byli w stanie kontynuować walki i największa krzyżacka jednostka poszła w pęta, co fatalnie odbiło się na morale reszty walczących wojsk. Po latach burgundzki szlachcic Enguerrand de Monstrelet zanotował w swojej kronice – o czym wspomina Witold Mikołajczak – że dowódca chorągwi dopuścił się zdrady: „I, jak niosła powszechna wieść, bitwa została przegrana wskutek zdrady wielkiego konetabla z Węgier, który znajdował się w drugim hufcu chrześcijan i bez walki uszedł ze swoimi Węgrami”. Zarzut zdrady i ucieczki to oszczerstwo wynikające z niezajomości faktów, ale wskazanie, że to rycerze spod znaku św. Jerzego przyczynili się do klęski, jest zgodne z prawdą. W dalszej części bitwy poddać się miała również chorągiew ziemi chełmińskiej, ale to nastąpiło już po rozbiciu głównych sił krzyżackich i nie miało wpływu na ostateczny wynik; dostarczyło jednak zakonowi asumptu do tego, aby obarczyć jej dowódcę i dowodzonych przez niego rycerzy odpowiedzialnością za przegraną.

Po godzinie piętnastej, kiedy szala już wyraźnie przechyliła się na stronę polsko-litewską, Ulrich von Jungingen podjął rozpaczliwą próbę odwrócenia losów bitwy. Osobiście poprowadził do boju odwód złożony z kilkunastu chorągwi ciężkozbrojnej jazdy. Uszykowane w potężny klin stanowiły pancerną pięść, której uderzenie miało rozstrzygnąć o krzyżackiej wygranej. Siły te szybko jednak zostały osadzone przez przeważające liczebnie i

rozgrzane bojem polskie rycerstwo. Szczególnie wykazała się chorągiew krakowska i Małopolsanie. Jak można wyczytać w *Kronice konfliktu*: „już w pierwszym zderzeniu padli mistrz, marszałek i komturzy całego Zakonu Krzyżackiego”. Wraz z ich śmiercią w Krzyżakach zgasł duch walki. Odwód został otoczony i wybity lub poszedł w niewolę. Część wrogich oddziałów szukała schronienia w taborze, ale nie dał on im wystarczającego oparcia. Dość szybko został zdobyty, a zwycięzcy znaleźli na wozach stopy powroźów, mających posłużyć pętaniu polskich i litewskich jeńców. Ale nie tylko to. Były tam również wielkie zapasy wina, którym Krzyżacy zamierzali uczcić spodziewany triumf. Tę zdobycz Jagiełło potraktował w sposób wystawiający mu świetne świadectwo jako wodzowi. Nakazał rozbicie beczek, a strumienie czerwonego wina dały później asumpt do obrazowych twierdzeń o pobojuwisku ociekającym krwią.

Bitwa dogasała w zapadających ciemnościach. Polacy i Litwini triumfowali. Ostatnim mocnym akordem krwawej batalii był pościg za uchodzącymi we wszystkich kierunkach resztkami wojsk krzyżackich. Lekkie chorągwie prowadziły go na przestrzeni ponad trzydziestu kilometrów. W pogoni za pierzchającym wrogiem wziął udział sam monarcha i tylko dzięki niemu część uciekinierów została oszczędzona. Jak zanotował Długosz: „droga na przestrzeni kilku mil [staropolska mila liczyła ponad 7,5 kilometra – przyp. S.L.] była usłana trupami, ziemia nasiąknięta krwią poległych, a powietrze pełne głosów jęczących i konających”.

Bitwa dokonała straszliwego upustu krwi po stronie krzyżackiej. Pobojuwisko zaległy stopy nieprzyjacielskich trupów. Tysiące poszły w pęta. Padli prawie wszyscy najwięksi dostojnicy i około dwustu braci-rycerzy. Polacy i Litwini ponieśli zdecydowanie mniejsze straty. Zginęło jedynie kilkunastu liczących się rycerzy, ale żaden z



wybitnych i powszechnie znanych. Jeśli nawet nie wierzyć w tym względzie relacji Długosza, to z pewnością istotny dowód stanowi późniejsza korespondencja, w której brak informacji o przeciwnej treści.

Nazajutrz u stóp Jagielly wyrosła sterta zdobytych na wrogu chorągwi. Należały do Krzyżaków i ich gości, między innymi rycerzy ze Szwajcarii i Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Wśród nich wyróżniał się bogactwem szczegółów i pięknem wykonania gonfanon (gonfalon; wywodząca się z czasów rzymskich prostokątna chorągiew mocowana krótszym bokiem do drzewca i po przeciwległej stronie zakończona tzw. ogonami lub płomieniami) biskupa Pomezanii ze złotym orłem na czerwonym tle, który władca wysłał w prezencie królowej Annie. Pozostałe złożono w kaplicy polowej, później zaś krzyżackie znaki – łącznie trzydzieści dziewięć banerów i gonfanonów miało trafić do katedry krakowskiej. Ten akurat bitewny łup nie posiadał charakteru materialnego, ale uznawano go za niezmiernie cenny. Jeszcze po upływie kolejnych pięciuset lat sztandar miał zachować swój nadzwyczajny charakter. W średniowieczu za zwycięzcę w bitwie uznawano tego, kto opanował pole walki i zmusił wroga do odwrotu, a skala triumfu liczona była liczbą zdobytych na nim chorągwi.

Powszechne jest uformowane przez liczne opracowania historyczne, w tym może w największym stopniu przez dzieło Stefana Marii Kuczyńskiego, przekonanie o zapożyczeniu przez Jagiellę taktyki i strategii od Mongołów (Tatarów). I zarazem o wielkiej mądrości polskiego króla, bijącego pod tym względem na głowę wielkiego mistrza. Świadczyć o tym miała jakoby okoliczność, iż Jagiello nie wdawał się osobiście w walkę, stojąc z orszakiem i zabezpieczającą go chorągwią na wzgórzu, skąd miał dobrą panoramę bitwy i możliwość szybkiego reagowania na

zmieniającą się sytuację. To jednak jeden z wielu mitów. Już kilkanaście lat przed Grunwaldem we francuskim traktacie militarnym można było przeczytać zdanie, cytowane przez Nadolskiego, że władca podczas batalii powinien: „przyglądać się, jak jego ludzie walczą, a jeśli zajdzie potrzeba, zbliżać się do jednego lub drugiego, aby ich zachęcić i dodać im odwagi, a gdyby wszystko miało być stracone, powinien móc się ratować, bo lepiej przegrać bitwę niż stracić króla, bo utrata króla może równać się utracie królestwa”. Jak pamiętamy, do tej mądrej przestrogi zastosował się pod Płowcami Łokietek, chociaż uczynił to bez wspierania się wywodami jakiegokolwiek uczonego statysty.

Wydaje się, że Jagiełło był nie tylko nominalnym wodzem jako monarcha, ale rzeczywiście dowodził w bitwie. Tu i ówdzie podaje się w wątpliwość tę okoliczność, wskazując Witolda, czasami zaś Zyndrama z Maszkowic, marszałka Zbigniewa z Brzezia lub któregoś z czeskich rycerzy.

Podczas samej bitwy i późniejszego pościgu armia krzyżacka została rozbita, ale nie całkiem unicestwiona. Niektórzy z rozbitków zdołali w ciągu doby przebyć ponad sto kilometrów i już nazajutrz znaleźć się w Malborku. Ale wielu nigdy tam nie dotarło. Rycerzy z krzyżami na płaszczach tępiono z największą zajądłością. W jednej z krzyżackich kronik, tzw. *Kontynuacji Possilgego*, można przeczytać wiele mówiące zdanie na temat zachowania Polaków i ich sprzymierzeńców podczas bitwy: „nie godzili w nikogo innego tylko w braci i w konie”. Ci, którzy nie zginęli w bitwie lub nie utopili się w okolicznych bagnach, byli tropieni i zabijani w trakcie ucieczki. Jak obrazowo napisał Paweł Pizuński: zwycięzcy „zabijali wszystkich, którzy choćby tylko wizualnie przypominali Krzyżaka. Czasami wystarczyło, że uciekinier miał brodę. Komtura

Tucholi Schwelborna rycerze polscy dopadli pod Elgnowem i ścili «w godny pożałowania sposób». Różne treści mogą się ukrywać pod tym stwierdzeniem, ale chyba nie to, że komtur zegnał się z życiem po rycersku.



**D**o man zalt von gottes gedinet / an dem  
 vnd so dar vmb dem kuarren magdalene  
 tag / des tags ein großer brüt so peß für  
 dem kring von polant am andern teil / vnd  
 hatten si in beiden siten vmb 6000000 geworden  
 vnd in den dornochte dem merreie von hiltzen or  
 den dann si auch den mer eren vnd güttes gonden

Bitwa pod Grunwaldem w *Spiezer Berner Chronik* Diebolda Schillinga;  
lata 80. XV wieku.

Jeńców potraktowano w różny sposób. Noc spędzili w większości pod gołym niebem, ważniejszym dostojnikom zapewniono nocleg pod namiotami. Większość schwytanych do niewoli rycerzy i prostych żołnierzy wkrótce zwolniono w zamian za przysięgę, że w ciągu dwóch i pół miesiąca stawią się w Krakowie i zapłacą okup. Tak potraktowano zagranicznych gości zakonu, jego poddanych walczących w bitwie i zaciężników. Nawet w epoce, kiedy honor wynoszono na piedestał i częstokroć ludzie posługujący się mieczem nic ważniejszego od niego nie posiadali, oczekiwanie spełnienia powyższego zobowiązania stanowiło niemalą naiwność. Nie popełniono jej wobec krzyżackich braci rycerzy, książąt krwi i dowódców wojsk zaciężnych, chociaż, być może, to właśnie od nich należałoby w największym stopniu oczekiwać dotrzymania słowa. Jednych uwolniono, inni trafili do niedługiej w wielu przypadkach niewoli, ale kilku, dokładnie trzech, czekał zupełnie inny los.

Jednym z nich był wspomniany już wcześniej komtur Pokarmina, Markward von Salzbach, pojmany przez ojca Jana Długosza, Jana Wieniawę Długosza z Niedzielska. Wraz z dwoma innymi Krzyżakami, wójtem Żmudzi Schenburgiem i Jurgiem Marszałkiem, został przekazany na życzenie króla w ręce Witolda i już nie wyszedł z nich żywy. Prawdopodobnie 20 lipca został na rozkaz księcia uśmiercony i stało się to w zgodzie z odwiecznym schematem; ludzi, którzy za wiele wiedzą, a jeszcze więcej mogą powiedzieć, wielcy tego świata wolą się pozbyć. Szybko i bez ceregieli. A Markward von Salzbach wiedzą kompromitującą Witolda z całą pewnością dysponował. Ale nie tylko. Podobno również przy jakiejś okazji ciężko obraził księcia, zarzucając mu wiarołomstwo, co akurat było zgodne z prawdą i zapewne wywołało tym większą wściekłość

Litwina, ale również posunął się do naruszenia czci jego matki, nazywając ją „ladaczną i nieczystą matroną”. Być może jednak ważniejsze było jeszcze coś innego. Oto Markward von Salzbach i dwaj pozostali nieszczęśnicy zaledwie kilkanaście miesięcy wcześniej uczestniczyli w delegacji, którą w Kownie przyjmował wielki książę. Zapisków z przebiegu rozmów nikt nie czynił, ale mogły tam zostać przedstawione różne propozycje. Znając charakter Witolda, jego mało chlubne czyny i polityczne wołty, niewykluczone, że padła nie tylko oferta kolejnej zmiany politycznego frontu, ale może i jakieś kompromitujące zapewnienie o ewentualnym jej przyjęciu przy spełnieniu określonych warunków.

Powodów, dla których komtur Pokarmina nie miał prawa przeżyć, nabierało się – jak widać – kilka. Książę skorzystał z nadarzającej się okazji i bez skrupułów pozbył się Krzyżaka, a wraz z nim dwóch jego kompanów, którzy żadnej obrazy się nie dopuścili, ale mogli być powiernikami komtura i znać mało budującą przeszłość księcia. Było potem trochę krzyku i zarzutów kierowanych pod adresem Witolda – jakkolwiek by było, chrześcijanina, a zachowującego się niczym dziki poganin – ale cel uświęcił środki. Martwi Krzyżacy już nie mogli mu w niczym zaszkodzić. Być może zresztą nie tylko jemu. Niewykluczone, że trzej zakonnicy zostali zgładzeni za przyzwoleniem samego Jagiełły, który też mógł się obawiać ujawnienia przez nich posiadanej i kompromitującej wiedzy o faktach, które powinny pozostać w głębokim ukryciu. Może o tym świadczyć monarszy rozkaz wydania krzyżackich dostojników w ręce wielkiego księcia.

W całej swojej historii zakon nie poniósł równie wielkiej klęski jak pod Grunwaldem. Stanowiła cios, z którego nie sposób było się do końca podnieść. Ludwig von Baczko,

żyjący na przełomie XVIII i XIX wieku kronikarz dziejów Prus, cytowany przez Andreasa Kosserta w książce *Prusy Wschodnie. Historia i mit*, użył barwnego porównania, oceniając to, co się wydarzyło w połowie lipca 1410 roku: „Od czasu owej nieszczęsnej przegranej bitwy pod Tannenbergiem (Grunwaldem) dzieje niemieckiego zakonu przypominają historię choroby suchotnika, którego mimo niezliczonych dolegliwości, odczuwanych co dzień, wciąż jeszcze trzyma przy życiu nadzieja na ozdrowienie, aż w końcu nieoczekiwanie krwotok nagle położy mu kres”. Już nigdy do końca swojego istnienia zakon nie zdołał odbudować zasobów ludzkich. Ponad ćwierć wieku po Grunwaldzie, w roku 1437, liczba braci-rycerzy w Prusach sięgała czterystu, a po upływie kolejnych kilkunastu lat, w przededniu wojny trzynastoletniej, miała się obniżyć do trzystu. Miało to związek ze spadkiem liczby członków w konwentach na terenie Rzeszy, ale także z kryzysem gospodarczym i spadkiem dochodów zakonu. Mnisi w białych płaszczach, sprzeniewierając się zakonnym regułom, zawzięcie strzegli swojego stanu posiadania i z rozmysłem regulowali liczbę ewentualnych rywali – beneficjentów pruskich bogactw. Taki stan rzeczy Hartmut Boockmann określił „problemem moralnym” stanowiącym jedną z głównych przyczyn upadku zakonu.

Wracając do głównego nurtu rozważań, wypada stwierdzić, że klęska pod Grunwaldem miała z pewnością wymiar militarnej katastrofy. Lecz nie tylko straty ludzkie, a na pewno nie przede wszystkim one, wyznaczały jej pułap. Wolno postawić tezę, że jeszcze gorszy był wstrząs wynikający z nagłej utraty przekonania o własnej niezwyciężoności i propagandowy bagaż wiążących się z tym skutków.

Często w historycznych opracowaniach dla opisanego tego, co się przydarzyło zakonowi krzyżackiemu pod Grunwaldem, są niemal jednym tchem używane określenia w rodzaju „śmiertelny cios” i „złamany kręgosłup”. Obu nie można odmówić barwności, ale ze względu na częstotliwość używania przy różnych okazjach określenia te zamieniają się w banał. Na dodatek, w przypadku pierwszego z nich, jakże odległy od prawdy. Nie można mówić o „śmierci” zakonu, gdyż nie tylko przetrwał on Grunwald, ale jeszcze kilkakrotnie przeżywał swoje wielkie dni i po licznych przeobrażeniach istnieje do dzisiaj. Cios, jaki otrzymał, był, owszem, obezwładniający, ale ani śmiertelny, ani nawet łamiący kręgosłup. Zakon nie stał się bynajmniej bezradnym inwalidą zdanym na łaskę zwycięzcy i bardzo szybko pokazał, że jest w stanie otrząsnąć się po druzgocącej klęsce militarnej. Jej wymiar można porównać jedynie z trzynastowieczną porażką kawalerów mieczowych w bitwie pod Szawłami, po której zdecydowali się połączyć z Krzyżakami. Teraz ci drudzy znaleźli się w podobnej sytuacji; wielu szeptało o konieczności szukania ocalenia w fuzji z joannitami, ale ostatecznie koncepcja ta nie znalazła dość zwolenników. Być może najlepiej oddaje pogrunwaldzką rzeczywistość stwierdzenie użyte przez Williama Urbana o uznaniu bitwy „za nieuleczalną ranę, która doprowadziła do wykrwawienia się zakonu na śmierć”. Ale proces ten siłą rzeczy musiał trwać jeszcze przez jakiś czas.

Wydaje się, że Krzyżaków przed zupełnym upadkiem, poza zachowaniem Władysława Jagiełły, o czym będzie mowa, i splotem innych sprzyjających im okoliczności, w największej mierze ocaliła wytrwałość i żelazna konsekwencja, a także struktura ich państwa, którego podstawy organizacyjne, siła polityczna i finansowa okazały

się na tyle mocne, aby mogło ono przetrwać największy kryzys w swoich dziejach.

Był on niezmiernie kosztowny i spowodował przełom w stosunkach z państwem polsko-litewskim, rozpoczynając okres jego militarnej i wojskowej dominacji nad Krzyżakami, jednak już kilka miesięcy po Grunwaldzie stało się jasne, iż na moment decydujących rozstrzygnięć przyjdzie jeszcze długo poczekać.



## ZAŻEGNANY KRYZYS

„Nic nie może się stać bez woli Boga, który  
wszystkim opatrznie rządzi”.

(słowa Władysława Jagiełły skierowane do obrońcy  
Malborka, komtura Henryka von Plauena)

**M**ężem opatrnościowym pokonanego na polach Grunwaldu zakonu krzyżackiego okazał się komtur Świecia, czterdziestoletni podówczas Henryk von Plauen, który na swoje szczęście, ale także z ogromną korzyścią organizacji, której ślubował wierność i posłuszeństwo, nie uczestniczył w bitwie. Jego zadaniem była blokada Bydgoszczy i ochrona Pomorza Gdańskiego, czyli krzyżackich tyłów. Znalazł się tam dlatego, że nie ceniono go za zdolności dowódcze i wielki mistrz uznał, że lepiej sprawdzi się na obronnej placówce niż podczas bitwy, w której wymagany był zmysł taktyczny i czysto wojskowe umiejętności, a tych – zdaniem zakonnych dostojników – nie posiadał. Komtur miał do dyspozycji około trzech tysięcy ludzi. Obiektywnie niezbyt dużo, ale wieczorem 15 lipca była to siła niebagatelna. Kiedy nadeszły wieści spod Grunwaldu, Henryk von Plauen nie poddał się panice i nie histeryzował jak wielu innych, ale bez zwłoki zaczął działać. Nie tracił czasu na rozważanie, jak dalece niedorzeczna może być wiadomość o całkowitym zniszczeniu zakonnej armii, bo i takie informacje zewsząd do niego docierały, ale czym prędzej pospieszył do Malborka. Postąpił wbrew otrzymanym wcześniej rozkazom, co w każdej innej sytuacji

oznaczałoby karygodną niesubordynację. Jego zachowanie w momencie zupełnego rozchwiania państwa pozbawionego kadry kierowniczej okazało się jednak dla zakonu zbawienne. Pozostał co prawda przy życiu wielki szpitalnik Werner von Tettingen, ale dramatyczna sytuacja go przerosła i nie zdobył się na jakiegokolwiek energiczne działanie. W murach stolicy komtur pojawił się 18 lipca i na miejscu zastał grupkę wystraszonych rycerzy i garść ich sług. Natychmiast zażądał przyznania sobie tytułu namiestnika z pełnią władzy. Przepisy zakonne nie znały takiej procedury, ale też nikt nie przewidział nadzwyczajnych wydarzeń, jakie miały miejsce pod Grunwaldem. Komtur Świecia nie miał najmniejszych wątpliwości, że o losie zakonu może przesądzić obrona Malborka. Upadek twierdzy stanowiącej serce państwa i uznawanej za jedną z najpotężniejszych w całej Europie najprawdopodobniej byłby równoznaczny z utratą Prus, to zaś w konsekwencji mogłoby doprowadzić do likwidacji zakonu również na terenie Inflant. Być może komtur rzeczywiście nie dokonałby wielkich rzeczy w polu, ale jako komendant Malborka i organizator obrony sprawdził się doskonale. Do twierdzy w błyskawicznym tempie ściągnął nie tylko okolicznych, świeckich rycerzy oraz marynarzy z Gdańska, ale także zebrał dość zaopatrzenia, aby wystarczyć na długotrwałe oblężenie. Jednocześnie spalił zamkowe przedmieścia i rozesłał listy z prośbą o pomoc do mistrzów krajowych w Inflantach i w Niemczech oraz na dwory królewskie i książęce w Europie. Można się kwaśno uśmiechać, czytając cytowany za Williamem Urbanem dokument i słowa o zbawieniu skierowane: „Do wszystkich książąt, baronów, rycerzy, i żołnierzy i innych lokalnych chrześcijan, do wszystkich, do kogo trafi ten list (...) i powiadamiający, że król Polski i książę Witold z wielkimi siłami i niewiernymi obległ

Malbork (...)” zawierały płomienną prośbę o pomoc: „Dlatego prosimy was, przeświecni i szlachetni Panowie, abyście pozwolili swoim poddanym, którzy pragną pomóc i bronić nas przez miłość Chrystusa i całego chrześcijaństwa, czy to dla zbawienia, czy dla pieniędzy, przyjść nam z pomocą najszybciej jak to możliwe, abyśmy mogli ich odeprzeć”. Można się kwaśno uśmiechnąć, czytając słowa o zbawieniu i pieniądzach, wymienione jednym tchem; rzutki komtur nadał im równoprawne znaczenie, nie niuansując motywacji chętnych do pospieszenia z pomocą zakonowi. Ostatecznie dla bożych sług liczył się jedynie cel.

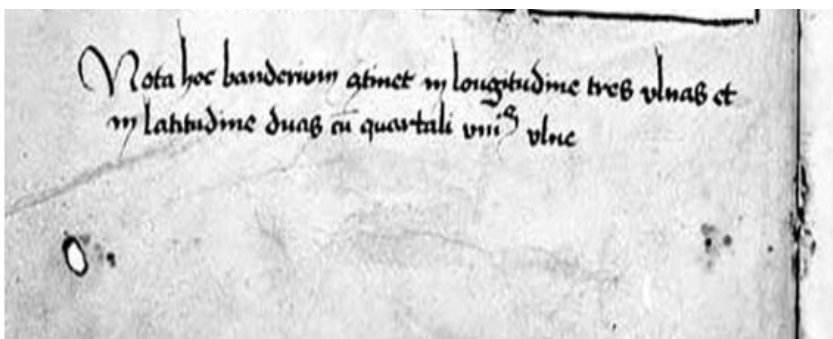
Henryk von Plauen otrzymał zaskakująco dużo czasu na przygotowanie obrony. Kiedy on uwijał się jak w ukropie, polsko-litewska armia obejmowała w posiadanie pole bitwy, a rycerstwo kontentowało się przerastającym wyobraźnię triumfem. Nic jednak nie stało na przeszkodzie wysłaniu oddziałów lekkiej jazdy z zadaniem chociażby zablokowania krzyżackiej metropolii, co pewnie i tak doprowadziłoby do jej kapitulacji. Nie uczyniono tego i nieliczna awangarda wojsk Jagiełły pojawiła się pod Malborkiem dopiero 22 lipca, zaś on sam dotarł pod krzyżacką stolicę trzy dni później. Kroczył w triumfalnym pochodzie, przyjmując kolejne hołdy, klucze od poddających się zamków, biskupstw pruskich i miast – wśród nich znalazły się Gdańsk i Toruń – i mianując własnych starostów. Jasienica przytacza cytat z jednego z krzyżackich kronikarzy, który podsumował potem to gremialne i zaskakujące odstępstwo, pisząc z goryczą, że o „tak wielkiej niewierności i tak szybkiej zmianie nie słyszano nigdy i w żadnym kraju, bo kraj poddał się królowi w przeciągu jednego miesiąca”.

Banderu Ayyri Cruciferoz Maus  
qd nige epialis de vicis de Jungen dno bat in  
quo erant sui prefatores Curatores et milites  
Palidomericus aute suu in quo orpho est ex albo harrasso  
insign infra scripto mtektu he calia probis in fuge pro  
veta Crifit

Lantudo



Lantudo



Chorągiew wielkiego mistrza. Ilustracja w dziele Jana Długosza  
*Banderia Prutenorum* z 1448 roku.

Te kilkadziesiąt dni po Grunwaldzie oddało w polskie ręce niemal wszystkie większe krzyżackie miasta poza Królewcem, Ragneta, Bałgą, Pokarminem i najważniejszym ze wszystkich – Malborkiem. Polski władca ciągnął ku niemu powoli, nieomal majestatycznie, odbywając raczej triumfalny przemarsz niż wojenny pochód i, jak się mogło zdawać, w przekonaniu, że wszystko zostało rozstrzygnięte, a upadek państwa zakonnego został przesądzony. Jasienica nie jest w stanie ustrzec się przekąsu, kiedy przedstawia zawstydzające fakty związane z owym ślamazarnym podejściem pod Malbork. „Poprzedniej jesieni król potrzebował sześciu etapów, by dotrzeć z okolic Łęczycy pod Bydgoszcz (sto pięćdziesiąt kilometrów w linii powietrznej). Było to w ostatnich dniach września. Nienaruszone wojsko krzyżackie czyhało w pobliżu, zmuszając do ostrożności, która siłą rzeczy opóźnia. Tym razem maszerowało się w lipcu, po rozgromieniu wroga”. Szybciej niż jazda Jagiełły dotarł do Malborka rozklekotany wóz wiozący zwłoki wielkiego mistrza, które król, wykonując wspaniały rycerski gest, zaraz po bitwie nakazał odesłać do krzyżackiej stolicy. Ich nie najlepszy już stan świetnie obrazował sytuację, w

jakiej znalazł się zakon. Wydawało się, że zupełny jego rozkład jest tylko kwestią czasu.

Potężna armia polskiego monarchy dość niechlujnie, pozostawiając niestrzeżone miejsca, opasała mury Malborka, których w przypadku zdecydowanych szturmów i konsekwentnego oblężenia nie było tak naprawdę komu bronić. Ale jednego i drugiego zabrakło. Oblegający zachowywali się tak, jakby przeciwnik wcześniej czy później miał zrezygnować z oporu i otworzyć bramy przed polskim władcą. Namiestnik, za takie myślenie, był skłonny skrócić o głowę każdego z obrońców i postanowił walczyć do upadłego. Determinacja jego oraz załogi wystarczyła, aby przetrwać kilka pierwszych tygodni, kiedy trwał mało skuteczny ostrzał przy użyciu bombard, a o podjęciu generalnego szturmego nawet nie myślano, przejawiając o wiele większą aktywność podczas łupienia ziem zakonu. Komtur twardo się bronił i nawet wyprowadził część ludzi poza mury z wycieczką, a jednocześnie robił wszystko, aby zyskać na czasie. Jego emisariusze wymykali się niepostrzeżenie z twierdzy, zapewniając załodze kontakt ze światem zewnętrznym. Ba, niektórzy czynili to za zgodą polskiego króla! Jednemu z sędziwych duchownych pozwolono opuścić twierdzę wraz z pokaźną sumą trzydziestu tysięcy dukatów i listami, które były przeznaczone dla obrońców Gdańska, Człuchowa i Świecia i zachęcały ich do wytrwania. Jednocześnie Henryk von Plauen zaproponował polskiemu władcy rozmowy pokojowe i przybył w towarzystwie brata do królewskiego obozu. Podczas spotkania z Jagiełłą, Witoldem i grupą doradców złożył propozycję oddania Pomorza Gdańskiego, ziemi michałowskiej i chełmińskiej w zamian za pozostawienie przy zakonie Prus, które – by posłużyć się słowami Stefana Marii Kuczyńskiego – zostały „krwią narodów

chrześcijańskich na barbarzyńcach zdobyte”. Jak dowodzi historia, również ta świeżej daty, wyjątkowo trudno jest zdobywcom rezygnować z tak cennych i okupionych licznymi ofiarami łupów. Niełatwo z całą pewnością orzec, czy oferta złożona przez Henryka von Plauena była szczerą, czy chodziło mu wyłącznie o zyskanie na czasie oraz o zlustrowanie polskiego obozu i wyczucie nastrojów po stronie przeciwnika. Jakkolwiek by było, skutecznie zagrał na zwłokę i otrzymał kilka dodatkowych dni bezcennego czasu, kiedy polscy i litewscy dygnitarze i dowódcy radzili nad przyjęciem lub odrzuceniem krzyżackiej propozycji. Polscy panowie nawet nie brali pod uwagę niepowodzenia i za ich sprawą rozmowy zerwano, żądając bezwarunkowej kapitulacji. I jak się niebawem okazało, nie była to rozważna decyzja.

W polsko-litewskim obozie rozpoczęły się choroby, zaczęła szwankować aprowizacja, a sytuację pogorszyły jeszcze bardziej pierwsze słoty i chłodne noce. Rycerzom było spieszno do majątków i rodzin. Jakby tego było mało, panosząca się w obozie dyzenteria zabrała więcej ofiar niż niejedna regularna bitwa z udziałem licznych wojsk. Dodatkowo zaczęły nadchodzić niepokojące informacje o odzwie, jaki wywołał apel Krzyżaków o pomoc. Na początku sierpnia Zygmunt Luksemburski skierował do patrycjatu Gdańska i do stanów pruskich list, w którym wzywał do wytrwania w wierności zakonowi i zapewniał, że niebawem przybędzie z pomocą. Ale nie to było najbardziej niepokojące. W liście pojawiło się zdanie o śmierci wielkiego mistrza w walce z poganami oraz z ich sprzymierzeńcami, a także zapowiedź wystosowania apelu do władców europejskich o zbrojne i finansowe wsparcie Krzyżaków. I krótko potem wystąpił z nim do „wszystkich władców i panów, królów, książąt, margrabiów, prałatów, komesów,

baronów, burgrabiów, rycerzy, giermków i szlacheckich oraz pozostałych czcicieli krzyża Chrystusowego i wiernych”. Ton pisma i użytych w nim sformułowań przywołuje skojarzenie z nawoływaniem do świętej wojny w czasach pierwszych krucjat. Na szczęście dla Polski i Litwy – nie mogły wywołać podobnego skutku, ale bez wątpienia spowodowały pewien oddźwięk i przyczyniły się do zainteresowania losem śmiertelnie zagrożonego zakonu. W Czechach, na Śląsku, w krajach niemieckich formowały się oddziały, które lada dzień miały ruszyć z odsieczą. Jeden z czeskich możnych, Benesz z Donina, w korespondencji przesłanej do Henryka von Plauena zapewniał o rychłym nadejściu samego króla oraz margrabiego morawskiego Josta „ze wszystkimi swoimi panami, rycerzami i giermkami”. Pomimo późniejszego potwierdzenia tej deklaracji przez Wacława IV nie miał on bynajmniej w planach osobistej interwencji przeciwko Polsce. Zaprzętały go wystarczająco sprawy tronu rzymskiego, który po śmierci Ruprechta stał się przedmiotem pożądania ze strony kilku kandydatów i ostatecznie, w połowie następnego roku, miał przypaść Zygmunтови Luksemburczykowi. Jednak finalnie jakakolwiek zbrojna pomoc okazała się zbędna.

Polacy i Litwini nie wykazali się cierpliwością i konsekwencją. Na parę dni przed końcem lata oblężenie zostało zwinięte i von Plauen triumfował. Malbork się obronił, zakon przetrwał. A do krachu zabrakło doprawdy niewiele. Kilka miesięcy później, podczas spotkania z polskim władcą, niezłomny obrońca krzyżackiej stolicy zdobył się na szczerść i – jak zaświadcza Jan Długosz – miał stwierdzić: „(...) gdybyś tylko do dni piętnastu przedłużył oblężenie, tak bowiem byliśmy ściśnięci niedostatkiem i głodem, że na wszystkich lud strzegący zamku mieliśmy już tylko dwa barany i trzy poletki słoniny. Zabrakło przy tym i



chleba i z tej przyczyny panować poczęła biegunka. Zgoła nie mogliśmy już dłużej wytrzymać obłączenia, gdybyś ty przy nim chciał wytrwać”. Otóż to – gdyby Władysław II chciał wytrwać... Ale władca Polski nie wytrwał, a na list odpowiedział komturowi słowami z początku rozdziału. W taki sposób można wszystko uzasadnić, najłatwiej własną nieudolność. I to wciąż działa.

Nie sposób w tym miejscu nie zacytować Pawła Jasienicy i jego do bólu gorzkiej oraz w takim samym stopniu prawdziwej oceny zaprzepaszczenia zwycięstwa grunwaldzkiego: „Grunwald nie znajduje analogii w dziejach Europy. Nikt tak wielkiego zwycięstwa w równy sposób nigdy nie zmarnował. Ale to właśnie dowodzi, że proces odchylania się od europejskiej normy trwał i się rozwijał”. Można tylko do jego słów dodać, że, niestety, tak naprawdę ów fatalny dla Polski i Polaków proces nigdy się nie zatrzymał. Stracone szanse to nasza specjalność.

Mało budującą konstatacją, że Polacy nie wykorzystali bezprzykładnego sukcesu w polu dla zebrania owoców w postaci wygrania wielkiej wojny i nie sięgnęli po nadarzącą się sposobność do zlikwidowania państwa krzyżackiego, musi prowadzić do zadania narzucającego się wprost pytania: dlaczego tak się stało? Wydarzenia spod Malborka to jedynie żaloszny skutek zachowania Władysława Jagiełły po bitwie grunwaldzkiej. Nagle śmiały i zdecydowany dowódca przemienił się w niedołęgę. Nawet przyjmując, że nie był wielkim wodzem, to skala popełnionych przez niego zaniedbań i błędów musi budzić zdumienie. Dopuszczył się ich z powodu własnej nieudolności czy też pod wpływem euforii wywołanej ogromem militarnego sukcesu? Ale przecież to nie był niedoświadczony młodzieniec pozbawiony wyobraźni, nieposiadający przygotowania wojennego, któremu nagle zaszumiało w głowie. Jednak odrzucenie

takiego właśnie przypuszczenia automatycznie powoduje przyjęcie innego. Zupełnie przeciwnego. Że oto król Władysław, mając obok siebie stryjecznego brata Witolda, który pod Grunwaldem utracił połowę swoich wojsk, z premedytacją zrobił wszystko, aby nie dobić rozłożonego na łopatki zakonu krzyżackiego. Miał poważne powody, żeby tego nie czynić.

Jagiello był przede wszystkim Litwinem, i to Litwinem z krwi i kości. Żyjący na przełomie XV i XVI wieku Bernard Wapowski napisał o nim, że „dziwnie do Giedyminowego domu i do plemienia swego przywiązany, zamki i wsie od Królestwa Polskiego i Rusi odrywał i te Litwinom swoim przyznawał”. Zawsze stawiał Litwę przed Polską i jej siłami wspierał swoją prawdziwą ojczyznę. Król patrzył na pogrunwaldzką rzeczywistość przez pryzmat osobistych i dynastycznych interesów, te zaś niekoniecznie musiały być w pełni zgodne z interesami Polski. Będący już w poważnym wieku i ciągle na darmo wypatrujący męskiego potomka władca doskonale zdawał sobie sprawę, że unia z Polską, zrodzona przecież w bólach i tylko z wielkim trudem utrzymywana, po jego bezpotomnej śmierci może łatwo ulec zniweczeniu. Po obu stronach chętnych do jej pogrzebania było wystarczająco wielu. Na krótką chwilę związane ze sobą i pozornie zaprzyjaźnione kraje mogły łatwo powrócić do polityki konfrontacji, którą uprawiały przez dziesiątki lat. W takim zaś razie, co było widoczne już na pierwszy rzut oka, zwycięska w wojnie z zakonem krzyżackim Polska, nadmiernie spotężniła po aneksji jego ziem, stałaby się dla Litwy aż nadto niebezpiecznym przeciwnikiem. Kalkulacja była prosta: dwóch słabszych i skonfliktowanych ze sobą wrogów mogło uczynić mniej zła niż jeden, kumulujący w sobie siłę obu. Polityka równowagi, z mocno poturbowanym, ale wciąż istniejącym i mającym niemało do powiedzenia

państwem zakonnym mogła się wydać Jagielle najlepszym rozwiązaniem. Oczywiście z punktu widzenia jego ojczyzny. Zdaniem Jasienicy: „Osłabiony Malbork mógł się stać dla Litwy już nie śmiertelnym wrogiem, lecz partnerem. Jagiełło znakomicie prowadził działania mające na celu złamanie sił zakonnych w polu, czyli decydujące ich osłabienie. Nic nie wskazuje, że przewidywał możliwość zniweczenia tego państwa”. Dodać jeszcze wypada, że to król, w przeciwieństwie do polskich panów, był skłonny przyjąć ofertę Henryka von Plauena i zachować resztki państwa krzyżackiego wraz z Malborkiem, co powyższy wywód mocno wspiera.

Finalnie Malbork się obronił, zaś obladowani łupami Polacy i Litwini odeszli spod jego murów i w drodze powrotnej, niejako z rozpędu, zdobyli jeszcze zamek w Radzyniu. Nad Malborkiem miała czuwać dość silna załoga pozostawiona w pobliskim Sztumie, jednak wszystkim, którzy myśleli, iż wypełni postawione przed sobą zadanie, najwyraźniej zabrakło wyobraźni. W chwili, kiedy wojska Jagiełły sforsowały Drwęcę i powróciły na teren królestwa, Krzyżacy, którzy doszli już do siebie po doznanym szoku, przeszli do niespodziewanej kontrofensywy. Mogli tak uczynić dzięki posiłkom przybyłym z Inflant i pomocy udzielonej przez pruskich świeckich panów. I stała się rzecz nieomal niewiarygodna. Tak łatwo zdobyty przez Jagiełłę kraj w zaledwie dwa tygodnie został odzyskany przez Krzyżaków! Polska zdobycz rozsypała się niczym domek z kart. Zamki i miasta padały jedno po drugim. Jedynie Brodnica, Toruń i Nieszawa zdołały się obronić; Gdańsk, który nie chciał wpuścić Krzyżaków w swoje mury, licząc na rychłe przyłączenie miasta do Korony, podobnie jak Toruń – uzyskał status miasta neutralnego. Przeważnie polskie załogi szybko rezygnowały z oporu i w zamian za

zachowanie życia wolno odchodziły w kierunku granicy. Poza jednym wyjątkiem. Załoga Elbląga, wbrew umowie, została częściowo wymordowana, a po części wtrącona do lochu. Krzyżacy twierdzili, że to obrońcy nie dotrzykali warunków kapitulacji i jako pierwsi dopuścili się gwałtów, rabując mieszkańców.

Henryk von Plauen nie zamierzał zadowolić się odzyskaniem większości zakonnego terytorium. Jego pewność siebie i hardość wzrastały wraz z napływającymi zewsząd krzepiącymi wieściami. Zygmunt Luksemburski najechał ziemię sądecką, co mogło stanowić wstęp do poważniejszej akcji przeciwko Polsce. I rzeczywiście, Węgrzy nie poprzestali na jednorazowej akcji i po pewnym czasie mieli znów zaangażować się w bezpośrednią zbrojną pomoc Krzyżakom. Jednocześnie z Zachodu zaczęły przybywać posiłki. Najsilniejszy oddział, liczący cztery tysiące ludzi, przyprowadził z Nowej Marchii wójt Michał Küchmeister von Sternberg. Wcześniej był wójtem Żmudzi i dzięki osobistym zdolnościom zdecydowanie podniósł rangę obu sprawowanych przez siebie urzędów. Küchmeister bez większych problemów zdobył Tucholę i szykował się do ataku na klasztor cystersów w Koronowie, skąd, idąc najkrótszą drogą, zamierzał uderzyć na Bydgoszcz. Jagiełło nie chciał ułatwiać mu zadania i zadziałał z godną podziwu szybkością. Naprzeciw oddziałom wójta wyruszył wojewoda poznański Sędziwój z Ostroroga z siłami dwukrotnie mniejszymi, ale złożonymi z bitnych, świetnie wyszkolonych w rycerskim fachu chorągwi. Polacy ubiegli wroga i zajęli klasztor, zaś Küchmeister rozpoczął powolny odwrót. Dośćgnięty jednak przez nieprzyjacielską awangardę, nazbyt ufny w liczebną przewagę i zmylony co do składu polskich jednostek, wdał się w bitwę absolutnie pewny zwycięstwa. Okazał się niezłym taktykiem, opracował

zupełnie sensowny plan z pozorowanym odwrotem części sił i wciągnięciem przeciwnika w zawczasu przygotowaną pułapkę, ale Polacy nie dali się podejść i po trwającym wiele godzin, kilkakrotnie przerywanym starciu to oni triumfowali. Bitwa była krwawa, ale jednocześnie toczona zgodnie z rycerskimi zwyczajami. Jej fragment w biogramie Henryka von Plauena zawartym w książce *Poczet wielkich mistrzów krzyżackich w Malborku 1309–1457* tak opisał Wojciech Lorek: „Obie strony ruszyły do szarży, po której rozegrał się szereg honorowych pojedynków. Rycerze walczyli w zachodnim stylu niczym na turniejach rycerskich. Dwa razy przerywano bitwę, by odpocząć i biesiadować. Przeciwne strony przesyłały sobie podarki i wino, honorowano najwaleczniejszych, a jeńcy zasiadali do stołu wspólnie ze zwycięzcami”. To dworskie zachowanie – cóż za epoka! – nie stało na przeszkodzie we wzajemnym zapamiętaniu mordowania się.

Przełom w bitwie nastąpił w momencie, kiedy Polacy zdobyli krzyżacką chorągiew. Podobnie jak pod Grunwaldem fakt ten wprowadził chaos w nieprzyjacielskich szeregach. Zdezorientowane krzyżackie oddziały zaczęły się cofać, a następnie rzuciły się do ucieczki, mając na karkach polską jazdę, głównie lekkozbrojną. Prości knechci padli pod mieczami, rycerze, którym nie udało się ująć, w znacznej części, na czele z samym Kuchmeisterem, poszli w pęta. Stanowili zbyt cenny nabytek, aby pozbawiać ich życia i wraz z nim tracić widoki na okup. Te akurat rachuby, ku rozczarowaniu zwycięzców, nie do końca się sprawdziły, gdyż Jagiełło nie tylko podjął znamienitych jeńców z odległych krain wspaniałą ucztą wydaną na zamku w Bydgoszczy, ale również wspaniałomyślnie zwrócił im wolność. Także dzięki temu niewielka w gruncie rzeczy bitwa pod Koronowem zdobyła powszechny rozgłos.

Zapewne przecenił ją Długosz, pisząc, że „(...) wygrana pod Koronowem była rzeczywiście mniejszą niż pod Grunwaldem, wszelako ze względu na niebezpieczeństwo, wytrwałość i zapał walczących można ją wyżej kłaść nad grunwaldzką”. Jak zaznaczono, nie było brzęczącej monety w zamian za jeńców, ale zamiast niej uzyskano o wiele większą, choć trudniejszą do prostego przeliczenia korzyść. Uwolnieni goście zakonu, powracając w rodzinne strony, wszędzie opowiadali o polskim królu z najwyższym uznaniem, podkreślając jego szlachetne i znamionujące chrześcijańskiego monarchę zachowanie. Dopelnieniem tej szeptanej, ale nośnej propagandy zaniesionej na Zachód stały się opuszczające królewską kancelarię manifesty, trafiające na możnowładcze, książęce i królewskie dwory, piętnujące postępowanie Krzyżaków i tłumaczące powody, dla których Polska i Litwa musiały wdać się w wojnę z zakonem.

Na skutki opisanej taktyki nie trzeba było długo czekać. Napływ ochotników wydatnie się zmniejszył, w krzyżackich szeregach zaczęły się mnożyć dezercje. Wyraźnie można było wyczuć, że klimat dla dalszej wojny z Polską staje się coraz mniej sprzyjający. Parł do niej głównie Henryk von Plauen, wierzący głęboko w opiekę czuwającej nad Krzyżakami Opatrzności, ale większość zakonnych dostojników nie podzielała jego odczuć i planów. Pomimo tego na początku listopada kapituła generalna podjęła decyzję o formalnym wyborze namiestnika na urząd wielkiego mistrza. Jego wojownicze usposobienie zgąsło, kiedy zlustrował wojska i przekonał się o upadku morale i narastającej niechęci do kontynuowania wojny. Chęci nie było również po polskiej stronie i na początku grudnia doszło do zawarcia niemal czterotygodniowego rozejmu. Niebawem, w Raciążu, rozpoczęły się rozmowy pokojowe.

Wielki mistrz uczestniczył w nich najpierw osobiście, a następnie poprzez swoich pełnomocników. Jednocześnie jednak robił wszystko, aby się przygotować do wznowienia działań. Jego bojowego ducha osłabiła dopiero porażka wojsk węgierskich, które zaczęły pustoszyć południowe pogranicze Polski, ale doznały porażki w bitwie pod Bardiowem. Istotną okazała się także presja ze strony dwóch pozostałych mistrzów krajowych, niemieckiego i inflanckiego, którzy optowali za zakończeniem wojny. I pomimo trwających na pograniczu utarczek oraz demonstracyjnego prężenia muskułów przez obie strony – 1 lutego zawarto w Toruniu pokój.

Najtrudniejszym punktem do uzgodnienia okazała się kwestia Żmudzi. Ostatecznie zakon zgodził się ją oddać Litwie, ale tylko na czas życia Jagiełły i Witolda. Strony zobowiązały się do wydania sobie wszystkich miast i zamków zdobytych przez nie podczas konfliktu. Oznaczało to, że ziemia michałowska, chełmińska i Toruń znów będą należały do zakonu. Ziemia dobrzyńska wraz z zamkami w Bobrownikach i Złotorii powracała do Polski, a polski skarbiec miał się wzbogacić o kwotę stu tysięcy kop groszy czeskich przeznaczonych na wykup krzyżackich jeńców spod Grunwaldu, przede wszystkim gości zakonu, których w żadnym razie, głównie ze względów wizerunkowych, nie można było pozostawić w niewoli. Owe sześć milionów groszy, stanowiących w przeliczeniu dwieście sześćdziesiąt tysięcy guldenów, to była bez wątpienia ogromna suma i jej utrata musiała podkopać ekonomiczne podstawy krzyżackiego państwa. Jednak nie na tyle, aby zagrozić samemu jego istnieniu. Ostatecznie zaledwie kilka lat wcześniej Krzyżacy odkupili Nową Marchię za kwotę stu sześćdziesięciu tysięcy guldenów, zaś niespełna półtora roku po Grunwaldzie mieli się zobowiązać do wypłaty na rzecz

Zygmunta Luksemburskiego aż trzystu tysięcy guldenów w zamian za jego włączenie się w wojnę przeciwko Polsce; oba te fakty unaoczniają gospodarczą siłę państwa zakonnego. Ma rację Boockmann, kiedy pisze: „Nadużyciem jest zatem upatrywanie w tych odszkodowaniach wojennych głównej przyczyny późniejszych trudności pruskiego państwa zakonnego i jego ostatecznego upadku”. Problemy finansowe w sposób istotny wpłynęły na dalsze losy Krzyżaków, ale o ich krachu w różnym stopniu zdecydowało wiele innych przyczyn.

Inne kwestie, które poruszono w postanowieniach pokoju toruńskiego, w tym decyzję, do kogo będą należały Drezdenko i Santok, poddano rozsądzeniu przez sąd polubowny złożony z dwunastu arbitrów, po sześciu wystawionych przez każdą ze stron, a w przypadku braku werdyktu, co było rzeczą najbardziej prawdopodobną, miał go wydać sąd papieski. Wśród postanowień pokoju znalazły się również zapisy odnoszące się do wielu spraw o mniejszej wadze, dotyczących szczegółowego przebiegu granicy, wymiany towarowej, rybołówstwa, zapewnienia bezpieczeństwa na szlakach handlowych, żeglugi na Wiśle i Drwęcy oraz mnóstwa innych. Wprowadzenie ich w życie miało się okazać niezwykle trudne, stanowiąc zarzewie ciągłych nieporozumień.

Dopiero w maju opieczętowne dokumenty z zapisami pokoju toruńskiego strony wymieniły między sobą w Złotorii.

Ocena pokoju toruńskiego nie może być jednoznaczna. Jak stwierdza Andrzej Nadolski w monografii bitwy grunwaldzkiej: „W Królestwie od razu odczuto niewspółmierność pozyskanych w tym pokoju korzyści z sukcesem militarnym odniesionym na Polach Grunwaldu. Opinia o wygranej bitwie i przegranych układach, choć nie



całkiem słuszną, utrwaliła się w polskiej świadomości historycznej i dotrwała do naszych czasów”.

Pomimo że zakon krzyżacki uratował się przed upadkiem i poniósł jedynie niewielkie ubytki terytorialne, to jednak król Władysław II, chociaż wcześniej wypuścił z rąk szansę starcia go na proch, kończył wojnę jako zwycięzca. Nie tylko jako władca państwa, które zdecydowanie, militarnie i gospodarczo, niszcząc domenę zakonu i zmuszając go do ogromnych odszkodowań, osłabiło śmiertelnego i uznawanego za niezwyciężonego wroga, ale również pod względem propagandowym. Dodatkowo polski król okazał wspaniałomyślne oblicze chrześcijańskiego władcy, nie dążąc do zupełnej likwidacji państwa krzyżackiego. Jak napisał Wojciech Lorek: „Krzyżacy natomiast, podpisując pokój, zrzekli się niejako praw «krzyżowców walczących z odstępcami» oraz jawnie przyznali się do poniesionej klęski”.

Jednak ich państwo wciąż trwało.

## DYPLMATYCZNA DOGRYWKA

„Lecz Polacy i ich król Jagiełło są wstrętnymi Bogu heretykami i nieczystymi psami, które powróciły do wymiotów swojego pogaństwa. Zatem z całkowitą pewnością wszyscy, nie tylko władcy świeccy, lecz też ich poddani, którzy z miłością podniosą broń dla wytępienia Polaków i ich króla Jagiełły, wysłużą sobie życie wieczne”.

(Jan Falkenberg w *Satyrze przeciwko herezjom i innym niegodziwościom Polaków i ich króla Jagiełły*)

Jakby dopełnieniem bitwy grunwaldzkiej i pokoju toruńskiego stała się walka propagandowa, mająca na celu przychylnie usposobienie opinii międzynarodowej i jej przekonanie, że to druga strona ponosi winę za wojnę i tak wielki upust chrześcijańskiej krwi. Prowadzono ją z nie mniejszą zapalczewością i zaangażowaniem niż przy użyciu oręża. W rolach głównych wystąpili nie tylko znani nam już myśliciele i filozofowie, rzadko kiedy sięgający w swoich traktatach i wypowiedziach po gołe fakty, co raczej naginający je do dowodzonej przez siebie tezy i posługujący się ledwie maskowaną demagogią. Po stronie krzyżackiej prym wiedli dominikanin Jan Falkenberg i kanonista z Erfurtu Jan Urbach; interesów Polski i Władysława II zawzięcie bronili rektor Akademii Krakowskiej Paweł Włodkowic, biskup poznański Andrzej Łaskarzyc i płocki – Jakub z Kurdwanowa. Pozycja Krzyżaków była mocniejsza, gdyż dysponowali całą stertą dokumentów z XIII i XIV

wieku, wystawionych przez cesarzy, papieży i Mendoga, potwierdzających ich prawa do Żmudzi. Doktor prawa kanonicznego Andrzej Łaskarzyc zanegował ich autentyczność, obwiniając wprost Krzyżaków o fałszerstwa. Podczas audiencji przed papieżem Janem XXIII opisał dzieje polsko-krzyżackiego konfliktu i przedstawił Władysława II jako prawego władcę chrześcijańskiego, który wbrew własnej woli został zmuszony do walki przeciwko zakonowi krzyżackiemu. Użył też nie podnoszonego dotychczas argumentu, że to polskiemu władcy, jako prawnemu następcy fundatora zakonu na polskich ziemiach, przysługiwały prawa zwierzchnie i udzielone Krzyżakom przez inne podmioty przywileje, gdyż w wielu przypadkach zostały podstępnie wyłudzone i dlatego nie posiadają mocy wiążącej.

W 1412 roku Polska i zakon krzyżacki powróciły do koncepcji oddania dzielących je sporów pod sąd polubowny. Chodziło o naruszenia postanowień pokoju toruńskiego. Tym razem arbitrem został Zygmunt Luksemburski. Rozmowy toczyły się przez trzy letnie miesiące w Budzie, gdzie jednocześnie odbywał się wielki zjazd dla uczczenia wyboru Zygmunta na króla rzymskiego. Wyrok zapadł w końcu sierpnia i nikogo nie zaskoczył. Potwierdzał ustalenia pokoju toruńskiego i nakładał na każdą ze stron karę dziesięciu tysięcy grzywien czystego srebra za każdorazowe naruszenie jego warunków. Ciekawy był rozkład pożytków związanych z tą sumą. Poszkodowany miał otrzymać zaledwie jej trzecią część, zaś reszta w podobnych częściach miała zasilić skarbce arbitra i papieżstwa. Nad egzekucją wyroku i uregulowaniem drobnych spraw na pograniczu państwa krzyżackiego oraz Polski, Litwy, Mazowsza i Pomorza Zachodniego miał czuwać specjalny wysłannik Zygmunta, jego subarbiter, możny węgierski Benedykt

Makrai (Benedykt z Makry). W Polsce pojawił się on wczesną jesienią 1412 roku, w połowie listopada przybył do Malborka, zaś na początku następnego roku dotarł na Litwę; swoją misję zakończył w czerwcu. Nie przyniosła ona rozwiązania wielu palących problemów, czego jednak należało się spodziewać. Obie strony, których roszczenia w wielu punktach zasadniczo się różniły, szczególnie w kwestiach terytorialnych, na różne sposoby torpedowały wysiłki subarbitra, a zakon w pewnym momencie przestał uczestniczyć w podejmowanych przez niego czynnościach. Makraiowi udało się doprowadzić między innymi do wykonania orzeczeń dotyczących jeńców, zbiegów z państwa zakonnego oraz przebiegu niektórych odcinków granicy. Jako wynik pracy pozostawił obszerny protokół obrazujący podjęte przez siebie działania i zarazem ukazujący skalę stojących przed nim trudności. W każdym razie okazał się człowiekiem wielkiej miary, z niezwykłą solidnością i zaangażowaniem usiłującym wykonać nałożone na siebie zadanie. Ta wysoka ocena jego osoby znalazła swoiste potwierdzenie rok później, kiedy kolejny proces polubowny przed Zygmuntem Luksemburskim, już z udziałem innego jego pełnomocnika, nie zakończył się konkludującym rozstrzygnięciem i wyrok nie został wydany.





Zygmunt Luksemburski i Barbara Cylejska przybywają na sobór w Konstancji.

Wielką publiczną areną propagandowo-dyplomatycznej walki pomiędzy zakonem krzyżackim a Polską i Litwą stał się sobór w Konstancji obradujący w latach 1414–1418. Na jego forum Krzyżacy usiłowali się przebić z narracją o sprzyjaniu Jagiełły i Witolda pogaństwu i przekonać o swoim moralnym chrześcijańskim prawie do ich zwalczania. Ze świetną obroną dezawuuującą takie stanowisko wystąpił wspomniany już Paweł Włodkowic, rozpoczynając ją słowami *Saevientibus olim (...)* (w czasach nowożytnych wydawcy ukuli nazwę *Tractatus de potestate papae et imperatoris respectu infidelium*, czyli o władzy papieża i cesarza w stosunku do niewiernych). Pojawiła się w nim idea pokojowego współistnienia państw oraz ostra krytyka zakonu krzyżackiego, sięgającego głównie po siłowe, brutalne metody nawracania pogan na wiarę chrześcijańską. Włodkowic twierdził, że zarówno z mocy prawa narodów, jak i prawa naturalnego poganie mogą posiadać własne państwa, a ich napadanie i zagarnianie stanowi grzech. Argumenty Włodkowica w uczonych wywodach sprawnie zbijał Urbach, który odwoływał się do św. Augustyna. Wspierał go biskup Lodi Jakub Balardi, propagując myśl, że poganie „w każdym chrześcijaninie, którego zabijają, zabijają Chrystusa, znieważają krzyż, naruszają cześć

świętych chrześcijan”. Poza granice rzeczowej polemiki wykroczył natomiast Jan Falkenberg, który ponad mniej lub bardziej przekonujące argumenty przedłożył najzwyczajsze obelgi. Upublicznienie jego *Satyry przeciwko herezjom i innym niegodziwościom Polaków i ich króla Jagielly* spowodowało wielki skandal. Dominikanin swoje poprzednie wywody wzbogacił o niewybredne, pełne pogardy i zapiekłej nienawiści słownictwo, zupełnie nieliczące z jego stanem zakonnym. Falkenberg mówił i pisał o Polakach jako o fałszywych chrześcijanach, a Litwinów nazywał synami diabła. Jego zdaniem jedni i drudzy zasługiwali na śmierć. Za sprawą polskiej delegacji soborowej z Mikołajem Trąbą na czele zapalczywy dominikanin poddany został silnej krytyce, jego „dzieło” potępione, zaś wyrażone w nim poglądy uznane za „kłamiwe, gorszące, niesprawiedliwe i heretyckie”. Szczególnie to ostatnie określenie miało swój ciężar gatunkowy. Komisja badająca Satyrę... zażądała jej spalenia i uwięzienia Falkenberga, na co jednak nie wyraził zgody papież. Polacy oprotestowali stanowisko papieża Marcina V do przyszłego soboru, co z jednej strony wzbudziło jego niechęć, ale jednocześnie pobudziło wielu europejskich intelektualistów, filozofów i myślicieli do dyskusji na temat granic uprawnień papieża w sprawach wiary, przy okazji zaś upowszechniło poglądy polskiej i litewskiej strony, pozostające w ścisłym związku z konfliktem z zakonem krzyżackim.

Procesy z udziałem zakonu i państwa polsko-litewskiego miały się toczyć także w następnych latach, bez szans na definitywne, satysfakcjonujące obie strony zakończenie. Ich widownią miały być Wrocław, Rzym, Poznań i Kraków. Polska i Litwa odwołały się od wyroku Zygmunta Luksemburskiego do Stolicy Apostolskiej, ale autorytet

papieża nie okazał się dość wystarczający, aby zamknąć ugodą nabrzmiały konflikt. Jeśli i jemu nie udało się tego dokonać, to stało się oczywiste, że pokojowe rozstrzygnięcie nie jest możliwe.

Prezentowane dokumenty i finezyjna szermierka na uczone argumenty prowadzona przez wyśmienitych jurystów i myślicieli – zdały się na nic. Każda ze stron pozostała przy swoim zdaniu, przekonana o własnej racji. Najmądrzejsze i poparte najbardziej logicznymi wywodami słowa okazały się mieć o wiele mniejszą wagę od przekutego w oręż żelaza i zbrojnych hufców.

I znów, jak wielokrotnie wcześniej, to właśnie im miała przypaść główna rola w sporze pomiędzy zakonem krzyżackim a Polską i Litwą.



## W ODWROCIE; CZAS PORAŻEK

„Bóg sam wie, w jak ciężkim dziś jestem położeniu”.

(Zdanie zaczerpnięte z listu wielkiego mistrza Michała Küchmeistera von Sternberga do Zygmunta Luksemburskiego)

**P**róby arbitrażu z udziałem Zygmunta Luksemburskiego i pokój toruński nie przyniosły trwałego uspokojenia w stosunkach pomiędzy zakonem krzyżackim a państwem polsko-litewskim. Mówiąc obrazowo, stanowiły cienką warstwę balsamu nałożoną na świeżą ranę. Wielki mistrz okazał się człowiekiem, który był gotów zrobić wszystko, aby nie doszło do jej zablźnienia. Do czynu popychał go charakter. Nie miał środków, żeby wznowić wojnę, wybrał zatem inny sposób aktywności. Jak napisał Paweł Pizuński: „Jest taki gatunek ludzi. Wszędzie wietrzą spiski i knowania. Potrzeba im nawet tego, bo walka i konfrontacja dodaje im wigoru. Ciężko z takimi żyć, zwłaszcza gdy zajmują się polityką”. Z Henrykiem von Plauenem żyć było wyjątkowo trudno. I niebezpiecznie. Przepęłniała go żądza zemsty i był przekonany, że hańbę Grunwaldu i przegraną należy zmyć krwią. Wszystkich, którzy wedle niego się do niej przyczynili, uważał za zdrajców i zrobił wszystko, aby ich ukarać. Nieważne, czy byli rzeczywiście winni, czy jedynie wedle wielkiego mistrza zasługiwali na karę.

Na jego celowniku znalazł się jeden z wyższych urzędników zakonnych, którego Henryk von Plauen oskarżył

o spisek i zamiar sięgnięcia po urząd wielkiego mistrza. Jerzy von Wirsberg, bo o nim mowa, nie był tuzinkową postacią. Zasłużył się dla zakonu jako królewiecki szafarz, objawiając wyjątkowe zdolności organizacyjne i handlowe. Potrafił z samej tylko sprzedaży zboża osiągnąć większe dochody niż wszystkie wpływy do skarbcza Królestwa Polskiego. Nic dziwnego, że po bitwie grunwaldzkiej, w której szczęśliwie dla siebie nie uczestniczył, został obarczony wyjątkowo odpowiedzialnym zadaniem. Miał z kilku pozostających w krzyżackich rękach zamków ściągnąć możliwie największą ilość pieniędzy i kosztowności, które posłużyłyby do zaciągnięcia najemników. Potwierdził swoją sprawność, odnajdując ukryte srebrne naczynia stołowe należące do Ulricha von Jungingen i uwalniając pozostałych przy życiu braci od zgromadzonych przez nich skarbów. Ale później Jerzy von Wirsberg uczynił kilka rzeczy, dających Henrykowi von Plauenowi doskonały pretekst do wysunięcia oskarżeń. Wraz z częścią zebranych przez siebie środków wyruszył do Pragi z misją dokonania zaciągów. Liczył na przyprowadzenie nad Bałtyk czterech tysięcy kopijników, ale ostatecznie miało ich tam dotrzeć czterokrotnie mniej. Nie dość, że Wirsberg nie wywiązał się z powierzonego zadania, to jeszcze dał się omotać królowi Wacławowi, który uczynił go tajnym radcą i dopuścił do swojego bliskiego otoczenia, a także udzielił wysokiej pożyczki, uzależniając Krzyżaka finansowo. Czeski władca postanowił bowiem doprowadzić do zmiany na urzędzie wielkiego mistrza i upatrzył sobie Wirsberga, który pod wpływem jego zabiegów uwierzył, że może się okazać mężem opatrnościowym wystawionego na próbę zakonu. Po powrocie do Prus dostojnik przeżył prawdziwą huśtawkę nastrojów. Najpierw sięgnął po stanowisko komtura Radzyna, ale wkrótce potem z rozkazu wielkiego mistrza został aresztowany. Wstawił się za nim

Wacław czeski, prosząc o uwolnienie i przysłanie Wirsberga do Pragi, ale zamiast niego otrzymał od Henryka von Plauena list z wyjaśnieniem, że komtur został uwięziony „dla licznych spraw i zbrodni, które opowiedzieć byłoby długo”. Oznaczało to, że pomimo szacunku dla króla Czech, który był dobrodziejem zakonu i Krzyżacy powinni się liczyć z jego zdaniem, wielki mistrz jest gotów narazić na szwank dobre stosunki w imię własnych ambicji. Jerzemu von Wirsberga postawiono ciężkie zarzuty, w których mieszała się prawda z fałszem. Obarczony został odpowiedzialnością za spiskowanie ze stojącym na czele Towarzystwa Jaszczurczego Mikołajem z Ryńska oraz innymi rycerzami, a także o przygotowywanie buntu przeciwko wielkiemu mistrzowi. Podobno miał nawet kontaktować się z Polakami i Litwinami. Zarzucono mu również malwersację pokaźnych sum, co akurat zbyt nie odbiegało od prawdy. Wirsberg został wtrącony do więzienia, ale przeżył i po latach doczekał się ułaskawienia.

Takiego szczęścia nie miał Mikołaj z Ryńska. Po torturach przyznał się do spisku i zdrady, co nie dziwi, zważywszy na kwalifikacje ówczesnych oprawców, i w maju 1411 roku został ścięty w Grudziądzu. Jego towarzysze uniknęli śmierci, uciekając do Polski. Za Mikołajem z Ryńska wstawiał się osobiście król Władysław, wskazując, że działacze Towarzystwa Jaszczurczego zostali objęci amnestią na mocy postanowień toruńskich, ale jego protesty jedynie rozsierdziły Henryka von Plauena, który listę krwawych ofiar swojego terroru poszerzył między innymi o burmistrzów Gdańska i Tucholi oraz rajców z tych miast. W Gdańsku nakazał rozwiązać radę miejską i powołać do niej wyłącznie ludzi jawnie sprzyjających zakonowi. Wielki mistrz nie poprzestał na terrorze fizycznym. Narzucił miastom nadmierny podatek, mający pokryć straty wojenne

i kontrybucję. Protesty ich przedstawiciele uciszył, powołując specjalną radę złożoną ze świeckich rycerzy i lojalnych mieszczan, która wyrażała zgodę na wszystkie zarządzenia płynące z Malborka. Wywołało to burzę niezadowolenia.

Wydaje się, że Henryk von Plauen zapewne poradziłby sobie z mieszczanami, ale jego brutalne metody i krótkowzroczna polityka wywołały również fale głębokiego sprzeciwu w łonie samego zakonu. W opozycji wobec niego stanął wielki marszałek i komtur Michał Kūchmeister, popierany przez grupę dostojników krzyżackich. Ich niepokój budziło nie tylko zachowanie wielkiego mistrza wobec miast pruskich, ale również zamiar wznowienia wojny z Polską.

Przygotowania do uderzenia na Wielkopolskę i Mazowsze zakończyły się spektakularnym krachem, gdyż zgromadzone pod Lidzbarkiem Welskim wojska, głównie rycerstwo pruskie i milicje miejskie, wykazały niesubordynację i na rozkaz dowodzącego nimi marszałka odmówiły udziału w kampanii. Wieści spod Lidzbarka były dla Henryka von Plauena niczym grom z jasnego nieba. Postanowił przykładowo rozprawić się z opozycją, ale Michał Kūchmeister wykonał uprzedzające posunięcie. Wykorzystał okoliczność, że wielki mistrz, zbyt zadufany i pewny kontroli nad sytuacją, nie zapewnił sobie osobistej ochrony i na początku jesieni 1413 roku – dokonał jego aresztowania. Nie zdobył się jednak na krok, jaki zapewne wykonałby Henryk von Plauen w odwrotnej sytuacji: nie pozbawił go życia. Po krótkotrwałym wtrąceniu do lochu niedawnemu obrońcy Malborka pozwolono osiąść w niewielkim Pokrzywnie, jednak bez nadziei na jakiegokolwiek awanse. Był to swego rodzaju areszt domowy. Opętany myślą o zemście, przy pomocy brata, Ulryka von Plauena, komtura gdańskiego, upadły dostojnik zaczął knuć spisek przeciwko swojemu

następcy i prześladowcy, wybranemu wielkim mistrzem na początku 1414 roku. Sprawa się wydała i Henryk von Plauen na następne osiem lat wylądował w więzieniu. Ulryk nie zamierzał dzielić jego losu i zdecydował się na zdradę. Udał się na dwór Jagiełły i nie tylko wystąpił z prośbą o pomoc w uwolnieniu brata, ale wstąpił do chorągwi nadwornej władcy Polski i Litwy! Stał się w ten sposób niezwykle cennym nabytkiem, który można było wykorzystać w celach propagandowych, służących wywołaniu fermentu i niezgody wewnątrz zakonu. Tam zaś ciągle sprawowali urzędy stronnicy obalonego mistrza, z których wielu było gotowych podjąć z polskim królem grę zmierzającą do obalenia Küchmeistera i jego kliki. Ulryk von Plauen był też nieocenionym źródłem informacji o jego słabych stronach. Wedle Długosza później „odpłacał się Ulryk królowi wierną posługą w licznych przeciw Krzyżakom wyprawach”.

Historyk, zgodnie z manierą epoki, trochę przesadził, pisząc o licznych wyprawach, aż tak wiele ich nie było, ale kolejnej wojny pomimo pokojowego nastawienia wielkiego mistrza i dostojników zakonu nie dało się uniknąć. Tym razem garnęli się ku niej Polacy i Litwini, którzy parę miesięcy wcześniej zawarli unię w Horodle, zbliżającą jeszcze bardziej oba narody i będącą „manifestacją jedności wobec wrogów zewnętrznych” oraz dającą dodatkowy impuls do podjęcia aktywniejszych działań przeciwko Krzyżakom. To była ostatnia rzecz, jakiej mógł sobie życzyć nowy wielki mistrz, który nie zamierzał prowadzić wojennej polityki swojego charyzmatycznego poprzednika i potrzebował czasu na uporządkowanie spraw w łonie zakonu. Küchmeister rozwiązał powolną Henrykowi von Plauena radę i jednocześnie przywrócił rozwiązane przez niego rady miejskie, gwarantując jednocześnie wolne wybory burmistrzów, rajców i ławników. Pod warunkiem

złożenia przysięgi wierności zezwolił także zbiegłym członkom Związku Jaszczurczego na powrót do Prus. Kroki podjęte przez nowego wielkiego mistrza nie wynikały bynajmniej z miękkiego serca bądź wyczulenia na los bliźnich, ale stanowiły wynik chłodnej oceny istniejącej sytuacji. Rujnujący społeczeństwo Prus fiskalizm z jednoczesnym ograniczeniem praw stanowych prowadził do niechybnej katastrofy. Oceniając postępowanie Michała Kuchmeistera, Robert Tomczak stwierdził: „Rozluźnił zatem stosunki Krzyżaków z poddanymi w Prusach, choć dowiodło to, że zmalała akceptacja panowania zakonnego wśród poddanych”. Zmalala do tego stopnia, że w drugim roku jego rządów doszło do groźnego buntu gdańskich mieszczan, nie potrafiących sprostać rosnącej drożyznie i nadmiernym obciążeniom podatkowym. Dobrotliwy – jak się mogło z pozoru wydawać – Michał Kuchmeister pokazał wówczas swoją drugą twarz i bunt został krwawo spacyfikowany. Zapadło kilkanaście wyroków śmierci i orzeczono czterdzieści banicji wobec przywódców antykrzyżackiej rebelii.

Zagrożony polsko-litewskim najazdem Kuchmeister usiłował negocjować, ale przedstawione żądania były dla zakonu niemożliwe do przyjęcia; oddanie Pomorza Gdańskiego, ziemi chełmińskiej, michałowskiej, Żmudzi, Jaćwieży, ale również mających strategiczne znaczenie okolic Nieszawy, Drezdenka i Santoka w praktyce okroiłoby Krzyżaków z ich najważniejszych ziem i wydało na łaskę śmiertelnego wroga. Wielki mistrz użył wszelkich środków, aby osiągnąć porozumienie, spotkał się nawet osobiście z Władysławem II na jednej z wiślanych wyseppek. Jednak wszystko, co udało mu się uzyskać, to kilkutygodniowe przedłużenie pokoju.

Postawiony pod murem Kűchmeister zaczął czynić gorączkowe przygotowania do zbliżającej się nieuchronnie wojny. Jego zabiegi dyplomatyczne i słane na Zachód listy z rozpaczliwymi apelami o możliwie szybką pomoc zbrojną odniosły niewielki skutek. Ciosem dla wielkiego mistrza była postawa Zygmunta Luksemburskiego, który wyraźnie zdystansował się od polsko-krzyżackiego konfliktu. Zawiódł się także na królu angielskim i niemieckich książętach. Z Zachodu nie przybyły spodziewane posiłki, tymczasem Jagiełło i Witold zmobilizowali liczną armię, w której obok Polaków i Litwinów znalazły się oddziały książąt śląskich, mazowieckich, oddziały z Moraw, tworzące „liczną chorągiew ludzi zdatnych i ćwiczonych w boju”, Tatarzy oraz najemnicy ze Śląska i Czech.

Władysław II wypowiedział wojnę zakonowi krzyżackiemu niespełna miesiąc po upływie terminu pokoju i wydał rozkaz do ataku. Pewny swej potęgi – nie cofnął go mimo przybycia krzyżackiej delegacji z ofertą wydania ziemi michałowskiej i Nieszawy. Był to gest spóźniony i dalece niewystarczający z punktu widzenia polsko-litewskich oczekiwań. Połączone wojska Jagiełły i Witolda, jak przed czterema laty, przekroczyły Wisłę pod Zakroczymiem, ale przeprawa ze względu na fatalne warunki pogodowe trwała aż osiem dni. Po kilkudniowym marszu przeprowadzono przegład wojsk i sprawiono je w hufce, co nie było bynajmniej prostym zadaniem, gdyż, jak pisze Długosz, „nie było bowiem nigdzie dość obszernego pola, na którym wojsko pomieścić by się mogło”. A potem rozpoczęła się trzymiesięczna kampania wypełniona zwycięstwami. Listę miast i zamków, które wpadły w ręce najeźdźców, otworzyła Nidzica. Miasto padło natychmiast, ale załoga zamku wytrzymała ponad tydzień i do jego zdobycia niezbędny okazał się krwawy szturm. Los wyróżnionej załogi podzielał na

wyobraźnię i Olsztynek dobrowolnie otworzył bramy przed wrogiem. Lecz wcześniej stało się coś zaskakującego. „Po drodze [ku Olsztynkowi – S.L.] oddziały Jagiełły zniszczyły kaplicę na polu grunwaldzkim”. Piszący te słowa Witold Mikołajczak, autor książki *Wojny polsko-krzyżackie*, nie opatrzył ich dodatkowym komentarzem. A przecież było to zdarzenie zaskakujące i mogące wywołać propagandowe reperkusje w chrześcijańskim świecie. Wydaje się, że chodziło o wywarcie zemsty na przybytku, który miał symbolizować ofiarę złożoną przez walczących za wiarę rycerzy Chrystusa w bitwie z poganami. Tak właśnie wystawienie kaplicy w miejscu, gdzie znajdował się obóz wojsk zakonnych – zbudowano ją z inicjatywy Henryka von Plauena i konsekrowano w 1413 roku – traktowali Krzyżacy.

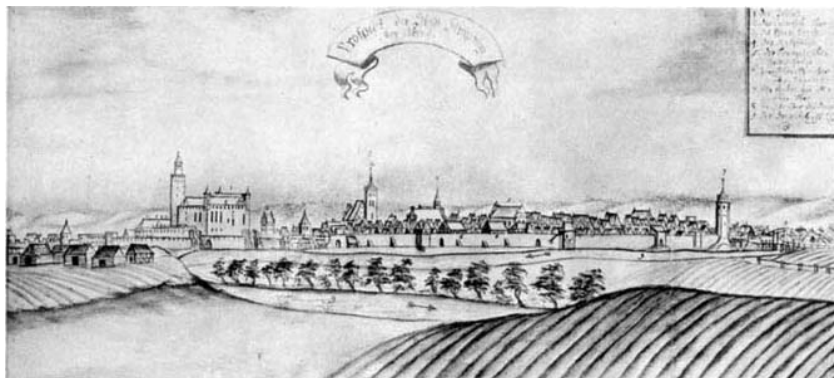
Następną zdobyczą wojsk królewskich był wydany żołnierzom na łup Olsztyn. Stamtąd, po kilkudniowym odpoczynku i uzupełnieniu zapasów, armia ruszyła w dalszy pochód. Krzyżacy nie odważyli się stawiać oporu w polu. Zastosowali jedyną możliwą taktykę spalonej ziemi, aby opóźnić marsz przeciwnika. Na jego drodze zniszczono wszystkie młyny, zasiewy, uprowadzono lub wybito inwentarz żywy. Działania te spowolniły ruchy wrogiej armii, ale jej nie powstrzymały. Wkrótce padło Dobre Miasto i wiele mniejszych miejscowości. Spustoszona została cała Warmia po Elbląg i Braniewo. Pod Lidzbarkiem Warmińskim wojska Jagiełły szczęśliwie uniknęły zasadzki przygotowanej przez czeskich najemników służących po krzyżackiej stronie. Również tam do obozu królewskiego przybyła delegacja zakonna z propozycją rozejmu, ale polski monarcha ją odrzucił. Podobnie jak zamiar uderzenia na Królewiec, co wiązało się z fatalnym stanem dróg rozmokłych z powodu ulewnych deszczów. Ostatecznie ruszono na Elbląg, z góry jednak rezygnując z uderzenia na



Malbork. Padły Dzierżgoń, Prabuty, Barczewo, Jeziorany oraz Biskupiec, w którym wojsko wzięło „wielką zdobycz w złocie, srebrze, drogich sukniach i kamieniach”. Należy przyjąć, że łup zdobyty w ostatnim z wymienionych miast był rzeczywiście obfity, skoro Długosz poświęcił mu taką właśnie wzmiankę. Lecz wojenna fortuna właśnie się odwracała od zwycięskich, jak dotychczas, wojsk polsko-litewskich.

Uderzenie na posiadający doskonale walory obronne Elbląg, dysponujący morskim połączeniem z Królewcem, co gwarantowało stały dopływ posiłków i zaopatrzenia, okazało się poważnym błędem; hamowało bowiem świetnie przebiegającą ofensywę i narażało na niepotrzebne straty przy zdobywaniu twierdzy. Jednak ostateczny kres wojennym triumfom Jagiełły przyniosło oblężenie Brodnicy. Zaatakowano ją, porzucając pierwotny plan uderzenia na Chełmno i Toruń, pod wpływem podstępu Krzyżaków, którzy wykazując się dużym sprytem, podrzucili nieprzyjacielowi nieprawdziwą informację o słabości załogi i braku żywności oraz wojennego wyposażenia. Walki pod Brodnicą przeciągnęły się na kilka tygodni, a na dodatek, nic sobie nie robiąc z prośb stryjecznego brata i polskich panów, armię opuścił Witold. Wielki mistrz zamierzał wykorzystać ten fakt i zaatakować osłabione siły Jagiełły, ale doradcy odwieśli go od tego zamiaru. Starcie w polu raczej nie wróżyło wciąż zdecydowanie słabszym Krzyżakom powodzenia, natomiast dotychczasowa taktyka walki spoza murów obronnych zaczęła przynosić pożądaný skutek. Nieprzyjacielską armię dotknęły choroby. Nadmiar mięsa i niedostatek chleba wywołały niemal powszechną biegunkę. Wielu żołnierzy zmarło, setki innych osłabły i nie nadawały się do służby. Jak napisał Długosz, „Cieszył się z tego nieszczęścia nieprzyjaciel, jakby z największego zwycięstwa,

pochlebając sobie, że Bóg spuścił na Polaków taką klęskę ku jego obronie”. Później, właśnie ze względu na tak mocno doskwierający brak chleba, kampania 1414 roku zyskała nazwę głodnej (głodowej) wojny.



Panorama Brodnicy w pierwszej połowie XVIII wieku. Po prawej widoczny zamek, grafika Georga Friedricha Steinera z lat 1738–1745, wydana przez Rudolfa Heinera w 1925 roku.

Przeciągające się oblężenie Brodnicy Kűchmeister wykorzystał na zabiegi dyplomatyczne. Dotarł do papieża i spowodował wysłanie przez niego do Prus nuncjusza apostolskiego Jana, biskupa lozańskiego, z zadaniem doprowadzenia do zaprzestania walk. Jego misja zakończyła się powodzeniem, gdyż w powstałej patowej sytuacji, nie dającej widoków na rozstrzygnięcie wojny przed nadchodzącą zimą, obie strony potraktowały zawarcie rozejmu jako korzystne rozwiązanie. Czas jego obowiązywania ustalono na dwa lata, zaś wszystkie sporne kwestie pomiędzy zakonem a Polską i Litwą miały być rozpatrzone na wspomnianym wcześniej soborze w Konstancji. Polacy i Litwini obyli się jedynie zagarniętymi podczas wyprawy łupami, rezygnując z nabytków terytorialnych, co powodowało, że wielki mistrz wychodził z wojny z podniesioną głową, zakon zaś mógł się w pewnym

sensie czuć nawet zwycięzcą. Ostatecznie stan jego posiadania się nie zmniejszył, a zniszczenia wojenne i związane z nimi wydatki stanowiły cenę wartą zapłacenia w zamian za utrzymanie całości państwa. Jednak taka ocena znajdowała uzasadnienie jedynie tuż po zakończeniu działań wojennych. Już niedaleka przyszłość miała pokazać, że państwo zakonne, nadwątlone kolejnym konfliktem, słabnie nie tylko militarnie, ale również gospodarczo i politycznie, a proces ten staje się niemożliwy do powstrzymania. Niszcząca wojna na własnym terytorium i drenujące zakonną kasę ogromne wydatki na zaciągi najemników powodowały – aby posłużyć się słowami Klausea Miltzera – „że w sprawach finansowych Zakon nie mógł złapać oddechu”. W praktyce miał go już nigdy nie odzyskać.

W Konstancji Krzyżacy długo pozostawali w defensywie, nie potrafiąc sprostać propagandowej i polemicznej sprawności przedstawicieli Władysława II i przebić się z własną argumentacją. Polska delegacja zdołała uzyskać cofnięcie przez Jana XXIII papieskich i cesarskich przywilejów zakonu w stosunku do Rusi i Litwy, a w pewnym momencie zaczęło się rysować niebezpieczeństwo oskarżenia go o herezję i widmo likwidacji. Z odsieczą pospieszyli Zygmunt Luksemburski i papież. Wielki mistrz wysłał do drugiego z nich błagalny w tonie list – cytowany przez Daniłowicza – w którym zaklinał, aby „swój nieszczęśliwy zakon i kraj srogiemi nawiedzony klęskami i niedolą (...) wyrwał z toni przepaści”. Z pomocą najważniejszej postaci świata chrześcijańskiego zakon krzyżacki wy dostał się z tarapatów, ale nie umiał osiągnąć sukcesu w kluczowej dla siebie sprawie i doprowadzić do zamiany rozejmu z 1414 roku w trwałą pokój. Niezależnie od ustaleń czynionych w Konstancji, doszło do kolejnego już spotkania wielkiego mistrza z Jagiełłą, tym razem na jednej z

wysepek na Niemnie; rozmowy spelzły jednak na niczym. Czas trwania rozejmu kilkakrotnie przedłużano i ostatecznie miał obowiązywać do 1418 roku. Jesienne negocjacje pod Wieloną z udziałem przedstawicieli Jagiełły, Witolda i wielkiego mistrza, stanowiące próbę przeciągnięcia w czasie zawieszenia broni, nie przyniosły skutku i wówczas zakon sięgnął po niegodny sposób zasiania zamętu po stronie przeciwnika: przygotował udaremiony zawczasu zamach na polskiego władcę.

Jagiełło był gotów do uderzenia na Krzyżaków, ale pod wpływem pośrednictwa legatów papieskich i wspomnianego już wcześniej arbitrażu Zygmunta Luksemburskiego wycofał wojska znad granicy. Polski król zrobił krok do tyłu, ale jednocześnie z uporem i konsekwencją szykował się do starcia z zakonem. Jego służba dyplomatyczna zanotowała kilka spektakularnych sukcesów. W 1421 roku Jagiełło zawarł przymierze z elektorem brandenburskim Fryderykiem I Hohenzollernem, odcinając Krzyżaków od Rzeszy i Nowej Marchii. Sojusz miał przypieczętować małżeństwo córki Jadwigi z synem elektora i zarazem jego imiennikiem, ale ostatecznie do ślubu nie doszło. Uzupełnieniem tego porozumienia stał się wymierzony w zakon sojusz z królem Erykiem Pomorskim, co nie przełożyło się wprost na pomoc zbrojną, ale miało poważny wydźwięk polityczny. Mogło też poważnie zakłócić handel zakonu i dopływ posiłków drogą morską, gdyż Eryk kontrolował Sund i inne cieśniny duńskie i bez jego zgody żaden statek nie mógł wpłynąć na Bałtyk ani wypłynąć z niego na Morze Północne. Pod znakiem zapytania stanąłby wywóz zboża i produktów leśnych, stanowiących podstawę krzyżackiej gospodarki. Sytuacja zaczęła być nieznośna dla obu stron, jednak na wojnę nie mogła się zdecydować żadna z nich. Krzyżacy byli zbyt słabi, Polacy i Litwini obawiali się reperkusji międzynarodowych w

przypadku zbrojnego uderzenia na państwo zakonne. Zygmunt Luksemburski, pomimo zakulisowych rozmów z Jagiellą i czynionych mu obietnic wsparcia go w konflikcie z Krzyżakami, w rzeczywistości wspierał właśnie ich. Szpiegom Władysława II udało się przechwycić jego korespondencję do wielkiego mistrza, w której namawiał go do podjęcia działań wojennych i podpowiadał taktykę oraz sposób zachowania w przypadku polsko-litewskiej kontrakcji; w takim razie nazbyt mocno przyciśnięty i zagrożony zakon – miał się powołać na toczący się proces papieski.

Michał Kuchmeister nie był jednak skłonny nadstawiać ucha na podszepty Luksemburczyka. Do jego wszystkich kłopotów doszły w tym czasie problemy ze strony Hanzy. Przedstawiciele miast zrzeszonych w jej związku wymusili na zakonie rezygnację z tzw. podatku funtowego, wprowadzonego jeszcze w 1409 roku i odbierającego kupcom początkowo trzecią część ich dochodów, a później nawet nakładającego na nich dwukrotnie większy haracz. W zamian za rezygnację z rujnującego podatku Hanza zaproponowała wsparcie zakonu podczas wojny z Polską dwutysięcznym kontyngentem na terenie Prus lub czterokrotnie mniejszym w Inflantach. Wielki mistrz, nie mając zbyt dużego pola manewru, przyjął tę propozycję, ale jak się miało okazać, nigdy żaden żołnierz wystawiony przez Hanzę nie wziął udziału w kampanii przeciwko polskiemu władcy. Tymczasem na pograniczu już od początku 1422 roku trwały walki, w których Polacy wykorzystali między innymi lekką konnicę wołoską hospodara mołdawskiego Aleksandra, wyspecjalizowaną w lotnych, niszczących zagonach. W atmosferze narastającej obawy przed wojną, która mogła przynieść zakonowi zagładę, czując brzemień wieku (miał umrzeć kilkanaście miesięcy później) i nie

potrafiąc poradzić sobie z piętrzącymi się problemami, wielki mistrz postanowił zrzec się urzędu. Stało się to w styczniu. Kapituła przychyliła się do jego woli i błyskawicznie, jeszcze w końcu zimy, dokonała wyboru nowego przywódcy zakonu.

Następcą Michała Küchmeistera został Paweł (Paul) Bellitzer von Russdorff, który miał sprawować urząd do 1441 roku. Nie ma wątpliwości, że Küchmeister przewodził zakonowi krzyżackiemu w jednym z najtrudniejszych momentów w jego historii. Nie był wybitnym wodzem ani dyplomata, ale pomimo wszelkich trudności udało mu się pozostawić państwo w nienaruszonym kształcie. Jednak znajdowało się ono już na równi pochyłej, z której nie było odwrotu. Zdaniem Roberta Tomczaka „(...) okres rządów Küchmeistera von Sternberga należał do przełomowych w dziejach wzajemnych stosunków polsko-krzyżacko-litewskich, ponieważ koniec jego panowania jako wielkiego mistrza w 1422 roku można uznać za istotne ogniwo procesu upadku znaczenia oraz możliwości militarnych zakonu krzyżackiego w Prusach”. Historiografia niemiecka wyraża się o Michale Küchmeistrze bez sympatii i sentymentu, uznając go za nieudolnego przywódcę zakonu, który nie zdołał sprostać stojącym przed nim wyzwaniom. Niektórzy uważali go za zdrajcę, który obalił swojego poprzednika, aby zawrzeć niekorzystny dla zakonu pokój z Polską. Szczególną niechęć do postaci Küchmeistera żywili naziści, dla których ideałem wielkiego mistrza – czemu raczej trudno się dziwić – był jego niezłomny i okrutny poprzednik. Różnej maści krytycy zapominali przy tym o realiach, w jakich przyszło mu działać, co bywa zwykłą przywarą historyków i ludzi oceniających przeszłe zdarzenia z perspektywy czasu.

Nowy wielki mistrz, Paweł Bellitzer von Russdorff, poprzednio prokurator kętrzyński, komtur Tucholi,

podskarbi, wielki szatny i wreszcie wielki komtur, czyli faktycznie minister gospodarki i spraw wewnętrznych, pomimo stosunkowo młodego wieku (urodził się w latach osiemdziesiątych XIV wieku) musiał cieszyć się w zakonie dużym szacunkiem i zaufaniem, skoro kapituła zdecydowała się właśnie na jego wybór spośród szerokiej grupy kandydatów. To był kapitał, jakiego nie posiadał Küchmeister. Jednak wraz z najwyższym urzędem Paweł Bellitzer von Russdorff odziedziczył trapiące zakon problemy wewnętrzne i mocno skomplikowaną sytuację w stosunkach zagranicznych. Swoje rozpoczął od kontrowersyjnej decyzji o uwolnieniu i rehabilitacji Henryka von Plauena, co jednak ani nie przysporzyło mu zwolenników, ani w niczym nie poprawiło fatalnej sytuacji międzynarodowej.

W lipcu Jagiełło i Witold wkroczyli w granice zakonu, co dało początek dwumiesięcznej tzw. wojnie golubskiej. Krzyżacy już na wstępie doznali kompromitującej porażki pod Lubowlą, usiłując nieudolnie bronić przeprawy przez Drwęcę i zapobiec wdarciu się przeciwnika na teren ziemi chełmińskiej i Pomezanii. Ich wojskami dowodził wielki marszałek Ulrich Zenger, mając u swego boku Henryka von Plauen. Do bitwy praktycznie nie doszło, gdyż po otoczeniu miasta i zamku przez polskie oddziały siły przeciwnika wycofały się, a następnie poszły w rozsypkę bez walki. Rycerstwo z Prus i Pomorza Gdańskiego nie zamierzało walczyć w polu ponad cztery tygodnie, do których było zobowiązane; ponadto armia krzyżacka cierpiała na poważne kłopoty aprowizacyjne. Do starcia doszło pod pobliskim Bratianem, gdzie resztki wojsk krzyżackich, przy pomocy artylerii i kuszników, usiłowały powstrzymać przeprawę, ale brawurowa szarża królewskiej chorągwi gończej z łatwością unicestwiła tę próbę.

Przebieg starcia pozwolił Pawłowi Bellitzerowi von Russdorffowi wyciągnąć oczywisty wniosek o bezsensowność podejmowania walki w otwartym polu i Krzyżacy zamknęli się w zamkach warownych, licząc na przetrwanie nieprzyjacielskiej nawały. Nic się zatem w ich taktyce nie zmieniło, ale też nie mogło, skoro zapewniający o swoim wsparciu cesarz wycofał się z obietnic, posiłki z Rzeszy były zablokowane, a mistrz inflancki sam borykał się z kłopotami i nie przybył z pomocą. Przez kilka tygodni Polacy oraz Litwini, wsparci przez Tatarów, bezlitośnie pustoszyli ziemie zakonne, w czym przodowali skońnoocy sojusznicy Witolda. Krzyżakom we znaki dali się też Wołosi, których zagon dotarł w okolice Malborka, wywołując wielkie zamieszanie i panikę. Nie wskazywało to bynajmniej, choć tak mógł myśleć przeciwnik, na zamiar uderzenia na krzyżacką stolicę. Głównym celem była ziemia michałowska z Toruniem, Chełmnem i Grudziądzem. Wielki mistrz dosyć naiwnie zaproponował Jagielle i Witoldowi podjęcie rokowań, ale dopiero po opuszczeniu przez ich wojska granic państwa zakonnego. Wraz z odmowną odpowiedzią nadeszła zapowiedź eskalacji działań, jeśli nie zgodzi się na realne i satysfakcjonujące ich ustępstwa. Na to Paweł Bellitzer von Russdorff nie był jeszcze gotów. Ale też nie zamierzał bezsilnie obserwować barbarzyńskiego pustoszenia jednej z najważniejszych prowincji krzyżackiej domeny i zarządził dywersyjne działania na pograniczu Kujaw i Wielkopolski. Miał nadzieję, że ewentualne sukcesy zakonnych oddziałów w tym rejonie odciągną część nieprzyjacielskich wojsk z głównego teatru wojny, a może nawet – ale to akurat było nazbyt życzeniowe myślenie – spowodują ich wycofanie się. Akcją, skoordynowaną z działaniami oddziałów z Nowej Marchii i księstwa szczecińskiego, mieli dowodzić komturowie Człuchowa i



Gdańska. Powiodła się ona o tyle, że Krzyżacy i ich sojusznicy spustoszyli kawał terytorium, grabiąc i paląc Sępólno, Kamień Krajeński, klasztor w Koronowie oraz okoliczne wsie. Porzucili jednak zamiar uderzenia w kierunku Poznania. Opisane niewielkie sukcesy, podobnie jak i towarzysząca im w czasie wyprawa komtura Ragnety przeciwko litewskiej Wielonie, pozostały jednak bez większego wpływu na sytuację na głównym obszarze działań wojennych.

Największym sukcesem Polaków, poza zadaniem wrogowi ogromnych strat materialnych, było zdobycie Golubia wraz z zamkiem. Połączone wojska polsko-litewskie dotarły tam w połowie sierpnia. Opanowanie twierdzy, doskonale przygotowanej do obrony nie tylko za sprawą potężnych murów, ale i dzięki położeniu (Golub z trzech stron opływały wody Drwęcy) miało strategiczne znaczenie, gdyż umożliwiało niezakłóconą możliwość transportu zaopatrzenia dla wojsk walczących w widłach Drwęcy i Wisły. Pomimo budzących respekt umocnień miasto padło szybko i zostało dokumentnie ograbione. Położony nieopodal na wzgórzu zamek, z podejściem możliwym jedynie z jednej strony, od podzamcza, bronił się dłużej. Załoga składająca się po części z najemników i dowodzona przez komtura golubskiego, postawiła zdecydowanie poważniejszy opór niż obrońcy miasta. Nie przeraził jej ani ogrom armii oblężniczej, ani prowadzony przez kilkadziesiąt godzin ostrzał z kilkunastu armat. Kiedy jednak oblegający przeszli do zdecydowanego szturm, serca załogi zmiękły. W krótkim, ale intensywnym starciu zginął komtur i kilkunastu braci zakonnych, najemnicy zaś, zamiast kłaść głowy za sprawę zakonu, woleli wybrać niewolę.

Chwile triumfu przeżyli niebawem Krzyżacy pod Kowalewem. Miasteczko przewencyjnie spalili, przenosząc obronę do przylegającego doń zamku. W nim, pomimo opanowania przez oblegających podzamcza, zwycięsko oparli się kilkakrotnym szturmom. Jagiełło tkwił pod zamkiem przez ponad tydzień i zarządził odwrót po otrzymaniu niesprawdzonych wieści o nadciąganiu z Zachodu znacznych posiłków dla zakonu. Mogło chodzić o ośmiotysięczną armię wystawioną przez elektorów i książąt Rzeszy. W rzeczywistości miała się ona zebrać dopiero pod koniec miesiąca i nie istniało realne zagrożenie odsieczą z jej strony, ale dla Polaków i ich władcy, już również mocno zmęczonych kampanią, wiadomość o krzyżackich posiłkach stała się dobrym pretekstem do porzucenia oblężenia odpornej fortecy i wycofania się w granice królestwa. Jednak niemal w ostatniej chwili Jagiełło zmienił decyzję i za sprawą poufnych informacji o zamiarze wystąpienia przez wielkiego mistrza z nowymi propozycjami pokojowymi postanowił jeszcze przez jakiś czas pozostać na terenie ziemi chełmińskiej. Tym razem jego informatorzy nie mylili się. Wkrótce miało się okazać, jak bardzo opłacalne stało się przeciągnięcie działań o kilka następnych tygodni.

Paweł Bellitzer von Russdorff miał już dość wojny. Za murami Malborka czuł się dość bezpieczny, ale z napływających do jego kancelarii raportów wylaniał się ponury obraz rosnących z każdym dniem strat w ludziach i ogromu szkód materialnych. Pomimo nadejścia posiłków z Inflant nie zdecydował się na ogołocenie z załóg zamków pruskich i wydanie przeciwnikowi decydującej bitwy w polu. Zresztą przed takim krokiem bez pomocy posiłków z Rzeszy ostrzegał go Zygmunt Luksemburski. Wielki mistrz nie podzielał również nadmiernego optymizmu wielkiego marszałka, który nie chciał słyszeć o rokowaniach i

organizował co i rusz niewielkie akcje zaczepne, w większości nieudane lub przynoszące mało znaczące lokalne sukcesy, które nie mogły w żaden sposób zaważyć na wyniku wojny. O wiele istotniejsza okazała się niechęć rycerstwa z Prus Dolnych do walki za Krzyżaków; ważniejszy był los ich własnych rodzin i stan majątków zagrożonych spustoszeniem. Wielki mistrz, który przez kilka tygodni z przerażeniem obserwował rosnące straty i nie potrafił skutecznie przeciwstawić się wrogowi, w połowie września dojrzał do powzięcia kategorycznej decyzji i zrobił jedyną możliwą rzecz w zaistniałej sytuacji: poprosił o pokój. Dobrze wiedział, że tym razem nie obejdzie się bez bolesnych ustępstw.

Teraz sprawy potoczyły się nad wyraz szybko. Delegacje walczących stron spotkały się w obozie wojsk polsko-litewskich nad jeziorem Mełno. Krzyżaków reprezentowali biskupi pomezkański i warmiński, przedstawiciele rycerstwa, marszałek inflancki i komturowie gdański oraz elbląski. I właśnie na tych ostatnich, słynących z energii, zdecydowania i oddania zakonowi najbardziej liczył wielki mistrz. Mieli robić dobrą minę do złej gry i zajmować możliwie twarde stanowisko, aby zminimalizować nieuchronne straty. Lecz nie pozwolono im ugrać zbyt wiele. Próby powrotu do ustaleń pokoju toruńskiego zostały kategorycznie odrzucone. Polsko-litewska delegacja z sekretarzem królewskim Zbigniewem Oleśnickim i wojewodą krakowskim Janem Tarnowskim (dziadkiem sławnego w następnym stuleciu imiennika, hetmana wielkiego koronnego) podczas kilkudniowych negocjacji twardo obstawała przy swoich żądaniach, dając wprost do zrozumienia, iż ich nieprzyjęcie przez Krzyżaków spowoduje wznowienie wojny. To był zbyt ciężki argument, aby można było go zlekceważyć. Na takie dictum nie istniało

żadne skuteczne panaceum – najbardziej wyrafinowana dyplomacja, choć akurat Krzyżacy byli od niej dalecy, musiała ustąpić przed siłą.

Zawarty w końcu września 1422 roku „wieczysty” pokój w Mełnie jedynie częściowo potwierdził obawy wielkiego mistrza. Pozbawił Krzyżaków praw do Żmudzi, ziem na lewym brzegu Niemna, okolic Połągi, Nieszawy, Murzynowa i Orłowa; udało im się utrzymać Pomorze Gdańskie i ziemię chełmińską. Obyło się także bez wzajemnych odszkodowań. Zakon musiał jednak zrezygnować z połowy cel toruńskich i zgodzić się na wolność handlu. W tym kontekście ogromne znaczenie miało objęcie w posiadanie Nieszawy. Pozwalało ono polskim kupcom na omijanie Torunia i spływ z towarami wprost do Gdańska.

Poniesione straty terytorialne rodziły poważne konsekwencje. Wielki mistrz musiał zrezygnować z planów lądowego połączenia Prus z Inflantami. Potężnym policzkiem dla zakonu i jego przywódcy stał się też fakt, iż gwarantem pokoju ustanowiono stany pruskie, które uzyskały prawo wypowiedzenia posłuszeństwa Krzyżakom w przypadku zerwania wynegocjowanego traktatu.

Ale, prawdę mówiąc, mogło być o wiele gorzej. Z pewnością ma rację Tomczak, kiedy pisze: „Można uznać, że pokój nie był nadzwyczaj haniebnym dla wielkiego mistrza, zważywszy na sytuację, w jakiej znajdował się zakon”. I – trzeba koniecznie dodać – nie był nadzwyczaj zwycięski dla Polski i Litwy. Wojna, która dobiegła swego kresu w Mełnie, z pozoru zakończyła się zdecydowanym polsko-litewskim triumfem. Jagiełło dysponował mniejszymi siłami niż w dwóch poprzednich kampaniach, ale – zdobył więcej. Nie tyle jednak, ile w zaistniałej sytuacji mógł i powinien osiągnąć, wykorzystując słabość przeciwnika. Zupełnie niezrozumiałym błędem była rezygnacja z Golubia; po

rozbudowie umocnień zamku i obsadzeniu go liczną załogą można było uczynić tę twierdzę wysuniętą podstawą wyjściową do zaatakowania w przyszłości ziemi chełmińskiej.

Jako celną, ale też podszytą zawodem i goryczą, przyjęć należy ocenę wyrażoną przez Witolda Mikołajczaka na kartach książki *Wojny polsko-krzyżackie*: „po stronie polskiej nie po raz pierwszy zabrakło determinacji, by sporne tereny siłą odebrać Zakonowi. Gdyby porównać działania militarne z lat 1327–1332, gdy Zakon miał przewagę, do działań zbrojnych w latach 1409–1422, gdy Polska górowała militarnie, to należy stwierdzić, iż posunięcia wojskowe Zakonu były bardziej przemyślane niż polskie”.

Lecz czas, kiedy przekładało się to na sukcesy, już przeminął.

## ZBUNTOWANY LITWIN

„Nic na świecie nie może nas z wami poróżnić”.

(fragment listu księcia Świdrygiełły z 1432 roku do wielkiego mistrza krzyżackiego Paula Bellitzera von Russdorffa)

**W** końcu października 1430 roku zmarł książę Witold. Człowiek, który przez lata dostarczał Krzyżakom trosk i budził w nich strach, będąc obok Jagiełły najbardziej znienawidzonym wrogiem zakonu. Gdyby odszedł chociażby kilka lat wcześniej, w krzyżackich zamkach radoowano by się, a bracia zakonni padaliby sobie w ramiona, świętując zdarzenie, na które od dawna z utęsknieniem czekali. Lecz teraz, o dziwo, w państwie krzyżackim niemal nikt się nie cieszył ze śmierci księcia i nie wznoszono na tę intencję kielichów z winem. Wielki, tak długo budzący grozę Litwin zmarł w najgorszym z punktu widzenia interesów zakonu momencie. Dosłownie chwilę przed realizacją misternej politycznej kombinacji, która miała go uczynić królem i w praktyce doprowadzić do zerwania unii pomiędzy Polską i Litwą, czyli czegoś, co od kilku dekad stanowiło główny cel krzyżackich zabiegów. Z pomysłem uczynienia Witolda królem kilkanaście miesięcy wcześniej wystąpił Zygmunt Luksemburski, dla którego było oczywiste, iż jest to droga do jakże pożądanego osłabienia obu tych państw, a szczególnie Polski, stanowiącej bezpośrednio zagrożenie dla jego interesów jako władcy Czech i Węgier, którego jedynie trzy lata dzieliły od

sięgnięcia po cesarską koronę. Paweł Bellitzer von Russdorff w imieniu zakonu natychmiast podchwycił ten pomysł i zadeklarował wsparcie dla starań Witolda o królewską koronę. Zaskakujące, ale przychylność dla koncepcji wywyższenia kuzyna wyraził początkowo także Władysław II i dopiero pod wpływem zdecydowanego oporu polskich panów, grożących sprzeciwieniem się planom koronacji starszego z synów Jagiełły, a nawet detronizacją władcy, zmienił diametralnie swój stosunek do poczynań Witolda i coraz mocniej rysującej się perspektywy jego koronacji. Za tę chwiejność król zapłacił przywilejem dla polskiej szlachty, gwarantując jej w Jedlni zakaz osadzania herbowych w więzieniu bez wyroku sądu. Jednocześnie porozumiał się z Witoldem i ustalił, że po jego śmierci ten z synów Jagiełły obejmie wielkoksiążęcy tron Litwy, który zostanie królem Polski. Kiedy Krzyżacy i Zygmunt Luksemburski zacierali ręce, upajając się myślą o czekających Polskę problemach, a stary książę sposobił się do wymarzonej ceremonii i przyjęcia korony z rąk papieża, w sprawę wkradł się los, brutalnie przekreślając rachuby i oczekiwania jednych, przynosząc zaś ulgę i czyniąc niespodziewany prezent innym.

Miejsce Witolda zajął najmłodszy syn Olgierda, rodzony brat polskiego króla, Bolesław Świdrygiełło (1370–1452). Czyniąc go wielkim księciem, Jagiełło miał nadzieję, że wdzięczny za wywyższenie brat uzna za swoich następców monarszych synów, Władysława i Kazimierza. Jednak polski władca nie tylko złamał postanowienia unii w Horodle, ale również popełnił poważny błąd, nie biorąc pod uwagę ambicji brata myślącego o założeniu własnej dynastii na Litwie. To było dość dziwne zachowanie, bowiem polityczne poglądy i skłonność Świdrygiełły do knucia intryg i spiskowania nie stanowiły tajemnicy. Nie był on bynajmniej

zwolennikiem unii polsko-litewskiej, uważając ją za niekorzystną dla Wielkiego Księstwa. Już na początku wieku zaczął się znosić z Krzyżakami przeciwko Jagielle i Witoldowi, a potem przez tego ostatniego był przez wiele lat więziony. W 1419 roku, po ucieczce z więzienia i krótkim pobycie na Węgrzech, pogodził się z nimi i po pewnym czasie otrzymał nadanie na Rusi Zadnieprzańskiej. Nie zmienił jednak ani charakteru, ani antypolskiego nastawienia. Było niemal pewne, że zrobi wszystko, aby osłabić związek obu państw, być może posunie się nawet do rozpętania wojny domowej. I tak się stało. Sposób, w jaki Świdrygiełło okazał swą niewdzięczność i nielojalność, zaskoczył wielu, ale najbardziej samego króla. Nie spodziewający się zamachu na własną osobę, Jagiełło w końcu roku został na krótko uwięziony przez młodszego brata na zamku w Wilnie. Krok ten spowodował interwencję polskich oddziałów, które zajęły część Podola. Oznaczało to, że zwaśnione strony od słów i nieprzyjaznych gestów przechodzą do czynów prowadzących wprost do wojny domowej. Szybko stało się jasne, na kim wielki książę może się oprzeć, rzucając wyzwanie starszemu bratu. Za Świdrygiełłą opowiedzieli się upośledzeni w prawach liczni prawosławni bojarzy, licząc, że po zwycięstwie księcia i oderwaniu Litwy od Korony Polskiej zostaną warstwą mającą wpływ na rządy państwem. Sprzymierzeńców znalazł Świdrygiełło także poza granicami Wielkiego Księstwa. Pomoc zadeklarowali Tatarzy, gospodar mołdawski Aleksander, ale przede wszystkim Krzyżacy i Zygmunt Luksemburski, imający się każdej okazji do osłabienia Polski. Właśnie jego Świdrygiełło uznał za swojego protektora, potwierdzając w ten sposób, że pragnie uniezależnić Litwę od Polski.



Korzystając z zaskoczenia, książę uderzył na zajmowane przez Polaków Podole oraz Ruś Halicką, co dało początek trwającej kilka miesięcy tzw. wojnie łuckiej. Początkowo zanotował kilka sukcesów. Jego dobra passa skończyła się wraz z przybyciem na teatr działań wojennych oddziałów z głębi Polski. Doszło do zawarcia rozejmu, zaś po upływie roku – Świdrygiełło w wyniku zamachu stanu został pozbawiony władzy i uszedł do Połocka. Jego miejsce na wielkksiążęcym tronie zajął brat Witolda, Zygmunt Kiejstutowicz. Próba odzyskania władzy, podjęta przez brata Jagiełły we współdziałaniu z Krzyżakami inflanckimi i Rusinami, zakończyła się dotkliwą przegraną Świdrygiełły w bitwie pod Oszmianą w grudniu 1432 roku.

Zaangażowanie polskich wojsk na południowo-wschodnich rubieżach miało swoje poważne konsekwencje. Pokusa wywołana оголоceniem nadgranicznych ziem zakonu z wojsk zaangażowanych w wojnie przeciwko Świdrygiełłu okazała się zbyt wielka, aby Krzyżacy byli w stanie się jej oprzeć. Oczekiwali niemal dekadę na możliwość odwetu i oto nadarzyła się sposobność. Dokument przyjęty w Melnie, podobnie jak sterty innych, okazał się świstkiem pergaminu, który tracił swą moc w obliczu sprzyjających okoliczności, zaś „wieczysty” pokój miał znów ustąpić krwawej wojnie. Nim do niej doszło, Rusdorff zawarł ze Świdrygiełłą przymierze zaczepno-odporne przeciwko Polsce; książę zapewnił krzyżackiego przywódcę nie tylko o swoim pełnym oddaniu, ale także o tym, że pragnie „żyć lub zginąć razem”. Wielki mistrz, prowadząc swoją grę, oficjalnie do samego końca zapewniał wysłanników Królestwa Polskiego o swoich pokojowych zamiarach. Równocześnie jednak szykował się do piorunującego ataku.



Świdrygiełło według *Sarmatiae Europaeae descriptio* Alessandra Guagniniego, wydanej przez Macieja Wierzbietę w Krakowie w 1578 roku.

Krzyżackie oddziały, podzielone na trzy większe oddziały pod komendą komtura toruńskiego, wielkiego marszałka i wójta Nowej Marchii, uderzyły odpowiednio na ziemię dobrzyńską, Kujawy i ziemie na północno-zachodnich rubieżach Wielkopolski. W arsenale ich atutów znalazły się zaskoczenie, szybkość, bezwzględność i zdrada. Tej ostatniej dopuścił się Mikołaj Tumigrała z Sękocina, na którym spoczywał obowiązek obrony Kujaw zaatakowanych przez najsilniejsze z krzyżackich zgrupowań. Z dymem poszły

Nieszawa i Włocławek, w ręce napastników dostał się Radziejów i Inowrocław (zarówno miasto, jak i zamek). Krzyżacy nie żartowali. Szlak ich kolumn znaczyły trupy i dymiące zgliszcza. Ludność najechnych terenów mogła mówić o wielkim szczęściu, jeśli utraciła tylko dobytek. Kiedy jednak nadeszła wieść o rozejmie zawartym przez Jagiellę i jego wojowniczego brata, Krzyżacy uznali za stosowne wycofać się z Kujaw i ziemi dobrzyńskiej. Nie zakończyło to bynajmniej działań wojennych, choć nabrały one innego wyrazu. Bogobojni i szlachetni zakonnicy, za jakich ciągle pragnęli uchodzić rycerze zakonu krzyżackiego, poszukali wsparcia wśród rzezimieszków i pospolitych zbójców, którzy za pieniądze i dla spodziewanego łupu skłonni byli dopuścić się wszelkich niegodziwości. Powierzono im zadanie wzniesienia pożarów i atakowania niewielkich miasteczek i wsi. Z hersztami band Krzyżacy ustalili wysokość zapłaty za każdą spaloną osadę; wieś wyceniono na grzywnę, wydane na żer płomieni miasto dawało bandytom trzykrotnie większy zarobek. Pogranicze zasnuło się dymami, przerażona ludność kryła się w lasach lub uciekała w głąb kraju. Nim oddziały rycerskie powróciły z wyprawy przeciwko Świdrygielle, zrozpaczeni mieszkańcy zaczęli organizować samoobronę. Długosz opisał zwycięską utarczkę takiego oddziału dowodzonego przez kilku rycerzy, stoczoną w okolicach Nakła. Krzyżacy, prowadzeni przez marszałka inflanckiego Wenera von Nesselrodego, dysponowali konnicą w sile siedmiuset ludzi i licznym oddziałem piechurów, ale na swoją zgubę zupełnie zlekceważyli przeciwnika. Przewaga liczebna i wyszkolenie bojowe okazały się zbyt słabymi atutami w konfrontacji z szalonym natarciem byle jak uzbrojonego chłopstwa żadnego krzyżackiej krwi. Dzięki impetowi wielkopolskich wieśniaków nie byli się w stanie

przeciwstawić ani konni, ani piesi knechci. Nim jeszcze zdolali ustawić szyki, fala wrzeszczących wniebogłosy i wywijających różnorakim orężem chłopów wdarła się w ich pozycje, niosąc śmierć i makabryczne rany od kos, kłonic, drągów. Jedyne garstce walczących na ich czele rycerzy wielu Krzyżaków zawdzięczało to, że bitwa nie zakończyła się ich rzezią, a jedynie niewolą. Dostali się do niej marszałek i siedmiu komturów, co – zważywszy, z czyich rąk Krzyżacy doznali porażki – musiało być dla nich wyjątkowo upokarzające. Utracili ponadto cztery chorągwie, to zaś było dodatkowym, bolesnym ciosem. Porażka pod Nakłem była zaledwie zwiastunem tego, co wkrótce czekało zakon. Po polskiej stronie dojrzywał bowiem plan odwetu. Gdyby Krzyżacy posiadali dar widzenia przyszłości, z pewnością nie zdobyliby się na opisane akcje zaczepne. Przyszło im za nie zapłacić dramatycznie wysoką cenę.

Król Władysław II w 1433 roku zwołał zjazd w Sandomierzu i uzyskał zgodę na wojnę z zakonem. Pomimo różnych prób, czynionych między innymi przez wysłanników papieża, nic już go od niej nie mogło odwieść. Ale to nie była najgorsza wiadomość dla Krzyżaków. W sojuszu z Polakami, do którego doszło latem poprzedniego roku, mieli wystąpić czescy husyci, znani tyleż ze sprawności wojennej, co niesłychanej srogości. Ruch husycki wyrósł na gruncie działalności Jana z Husinca zwanego Husem, magistra sztuk wyzwolonych, propagatora języka czeskiego, który krytykował nadużycia rodzimego duchowieństwa i nawoływał panów świeckich i duchownych do sprawiedliwych rządów, „zgodnie z prawem Bożym”. Podważał w ten sposób istniejący ład społeczny, stając się tym samym śmiertelnym wrogiem Kościoła i świeckich władców. Hus, zwabiony podstępnie przez Zygmunta Luksemburskiego na sobór w Konstancji, gdzie miał się

oczyszczyć z zarzutów, został oskarżony o herezję – ten akurat zarzut miał ówczasie uniwersalną i straszną zarazem moc – i wraz ze swoimi dziełami spalony na stosie. Jeżeli jednak komukolwiek wydawało się, że kończy to sprawę, to każdy, kto tak myślał – był w błędzie.

Potępienie i śmierć reformatora zrewoltowały Czechy. Z Pragi wygnano katolickich księży, zaczęto atakować kościoły i grabić majątki duchownych. W innych miastach zaczęły wybuchać krwawe rewolty z udziałem pospólstwa, a wędrowni kaznodzieje, pozostający pod wpływem nauk Husa, głosili rychłe nadejście „królestwa Bożego”, w którym wszyscy byliby sobie równi. Biedota i chłopci zaczęli tworzyć wspólnoty religijne, wybierając na siedziby miejsca słabo zaludnione lub niedostępne, wśród nich górę Tabor. W niedalekiej przyszłości jej nazwa miała stać się sławna w środkowej Europie. W lipcu 1419 roku kroplą, która przelała dzban goryczy i wzajemnej nienawiści, okazały się wydarzenia praskie związane z husycką procesją. W jej trakcie doszło do rozruchów i wymordowania burmistrza i rajców, których wyrzucano z okien ratusza wprost na nastawione na sztorc piki. Rannych okrutnie dobijano. Prawdopodobnie całe wydarzenie zostało dokładnie zaplanowane przez husytów i miało na celu zradykalizowanie społeczeństwa czeskiego przeciw Kościołowi katolickiemu. Rok później zebrane na górze Tabor gromady husytów zadeklarowały gotowość oddania życia w walce z antychrystem, za którego uważali papieżstwo, wiarę katolicką i jej wyznawców. Cały kraj ogarnął niewyobrażalny chaos, a wraz z nim nastąpił kilkunastoletni okres wojen prowadzonych przez różne odłamy husytów. Na czoło wybili się taboryci i kalikstyni. Czechy zamieniły się w federację republik miejskich, dysponujących własnymi oddziałami zbrojnymi, walczących zarówno pomiędzy sobą,

jak i z wrogiem zewnętrznym – papieżem i wygnanym władcą (Zygmunt najpierw w 1420 roku, opierając się na niemieckich posiłkach, został koronowany na króla Czech, a rok później zdetronizowany przez czeskie stany).

Marcin V pragnął odzyskać religijną kontrolę nad Czechami, zaś Zygmunt Luksemburski utracony tron. Za sprawą papieża przeciwko husytom wyruszyło pięć krucjat, złożonych głównie z rycerstwa Rzeszy. Wszystkie zostały rozbite, a po klęsce czwartej z nich, w 1428 roku, husyci przeszli do kontrofensywy, rozpoczynając trwające kilka lat tzw. *spanilé jízdy* (wspaniałe jazdy) – łupieżcze wyprawy na Morawy, Śląsk, Łużyce, Słowację, marchię brandenburską. Zaskakujące zwycięstwa nad ciężkozbrojnym rycerstwem zapewniały husytom oryginalna taktyka, pomysłowość i niezwykła zawziętość w walce połączona z zapalem religijnym, dzięki czemu zrewolucjonizowali sztukę wojenną późnośredniowiecznej Europy. Właściwy husytom sposób wojowania, ich taktykę i uzbrojenie, przedstawił Piotr Marczak w niewielkiej, ale świetnie udokumentowanej i opatrzonej bogatą ikonografią monografii *Wojny husyckie*. We wstępie stwierdził: „To właśnie dzięki innowacjom militarnym husyci byli w stanie pokonać pięć krucjat. Ich wojska po raz pierwszy zastosowały tabor wozowy jako ruchomą fortecę, na niespotykaną dotąd skalę zaczęto używać artylerię oblężniczą i polową oraz ręczną broń palną [gwoli ścisłości husyci rozwinęli tę taktykę na wielką skalę, zaś od stosowanych przez nich krótkich rusznic, piszczele, wzięła się nazwa pistolet – S.L.]. Taktyka ta doprowadziła do mistrzowskiego współdziałania poszczególnych rodzajów broni: wozów bojowych, piechoty, jazdy. Wobec tej «militarnej rewolucji» feudalna jazda, stosująca taktykę szarzy na wprost, okazała się bezsilna. Warto dodać, że taktyka taborowa była z powodzeniem stosowana przez inne

armie europejskie, zarówno w XV wieku, jak i w następnych stuleciach”. W tym miejscu nie sposób uniknąć dygresji, że najzdolniejszymi naśladowcami taborytów mieli się okazać kozacy, których piechota walcząca w oparciu o rzędy szcepionych ze sobą wozów w XVII wieku wielokrotnie wykazywała swoją wyższość nad wojskami Rzeczypospolitej. Za ojca zupełnie oryginalnej i jakże skutecznej taktyki wykorzystania wozów bojowych jako ruchomej twierdzy (wcześniej służyły one do osłony tyłów armii i obozów, co pokazuje chociażby zachowanie Krzyżaków pod Grunwaldem) jest uznawany Jan Žižka z Trocnova, najśłynniejszy dowódca husytów. Po jego śmierci jesienią 1424 roku odłam taborytów przyjął nazwę „sierotek”, dla podkreślenia swojego przywiązania i emocjonalnej więzi ze zmarłym wodzem.

Porozumienie z 1433 roku nie było bynajmniej pierwszym, jakie Polska i Władysław II zawarli z husytami. Już w pierwszej połowie lat trzydziestych, kiedy ich ruch dopiero krzepł, a widoki na owocną współpracę z Zygmuntem Luksemburskim stały się polityczną mrzonką, wśród najbliższych doradców polskiego króla narodziła się koncepcja nawiązania z nimi bliskich kontaktów. Sygnały dochodzące z południa, których źródło stanowili nie tylko dyplomaci, wskazywały, że zbuntowani przeciwko cesarzowi Czesi chętnie wejdą w porozumienie z Polakami, których interesy wydawały się im zbieżne. Wkrótce z Pragi nadeszła do nieodległego przecież Krakowa propozycja oddania czeskiego tronu Jagielle. Husyci mylili się jednak w swoich rachubach związanych z osobą polskiego monarchy. Dla niego oferta sięgnięcia po czeski tron, chociaż kusząca, w praktyce była nie do przyjęcia. Nie mógł tego uczynić z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze zostałby władcą heretyków, po drugie zaś, przyjąłby rządy nad narodem

buntowników, którzy odebrali je boskiemu pomazańcowi. Taki krok oznaczałby konfrontację z częścią europejskich monarchów, którzy nie uznali aktu detronizacji Zygmunta Luksemburskiego, na to zaś Władysław II nie mógł sobie oczywiście pozwolić. Uczynił zatem coś innego, co jednak w jego mniemaniu pozwalało z korzyścią dla Polski i Litwy skorzystać z niespodziewanej koniunktury politycznej.

Na czeskim tronie, zgodnie z dyskretnie prowadzonymi z husytami rozmowami, miał zasiąść wielki książę Witold. Jednak to nie on, ale jego namiestnik, bratanek Jagiełły, Zygmunt Korybutowicz, ruszył na południe z pięćotysięcznym oddziałem zwerbowanym w Polsce i na Litwie, aby przygotować grunt pod koronację Witolda. Namiestnik z pomocą husytów bez szczególnych problemów opanował większą część kraju, ale jego mierne kompetencje jako wodza obnażyło kilkumiesięczne nieudane oblężenie zamku Karlsztejn, w którym zaledwie czterystu obrońców przeciwstawiło się całej armii. Jeszcze gorsze było to, że nie potrafił umiejętnie poruszać się w skomplikowanych meandrach polityki i nie umiał ułożyć wzajemnych stosunków z głównymi odłami husytów. Wiosną 1423 roku wydawało się, że misja Zygmunta Korybutowicza na terenie Czech ostatecznie dobiega końca, gdy Władysław II porozumiał się z Zygmuntem Luksemburskim i w Kieżmarku zawarł z nim sojusz, a w konsekwencji tego – książę został odwołany na Litwę. Ale właśnie wówczas rozpoczął się najbardziej dynamiczny i awanturniczy okres w życiu Zygmunta Korybutowicza, któremu przestała odpowiadać rola pionka przesuwanego rękami władców na szachownicy europejskiej polityki. Zapragnął wywalczyć koronę Czech dla siebie. Udało mu się nawet wkroczyć do Pragi, ale osiągnięty we współdziałaniu z husytami sukces okazał się nietrwały. Po kilku latach jego władza została



obalona, zaś on stał się najemnym kondotierem, który po latach walk na czele husytów w końcówce życia miał oddać swój miecz na usługi Krzyżaków. Ale o tym będzie jeszcze mowa, teraz zaś pora, aby powrócić do przerwane go wątku i 1433 roku.

Celem wyprawy zaplanowanej przez Jagiełłę i jego doradców wojskowych, we współdziałaniu z czeskimi taborytami, miało być Pomorze Gdańskie oraz Nowa Marchia, przekazane Krzyżakom w zastaw przez Zygmunta Luksemburskiego. Do uderzenia na Pomorze zmobilizowano pospolite ruszenie i oddziały zaciężne, atak przeciwko Marchii mieli przeprowadzić Wielkopolanie dowodzeni przez wojewodę Sędziwoja z Ostroroga i wsparci przez ponad siedem tysięcy husytów, w tym siedem setek jazdy, dysponujących trzystoma pięćdziesięcioma wozami bojowymi. Na czele „sierotek” stał głośny dowódca Jan Czapek z San. Jego oddziały składały się z biedoty i Polacy, obok zapewnienia żołądu (dwanaście groszy od kopii), pokrycia kosztów wyżywienia i poniesionych strat, musieli wyposażyć żołnierzy Czapka w kilkaset par butów, a ponadto zapewnić sukno na ubrania i uzbrojenie.

Do spotkania Polaków z Czechami doszło w Międzyrzeczu i stamtąd ich połączone siły rozpoczęły swój niszczący rajd, który zamienił Nową Marchię w dymiące pogorzelisko. Próbkę wojennego rzemiosła, sprytu i okrucieństwa dali husyci podczas oblężenia Strzelec Krajeńskich, pod które dotarli, paląc wszystkie napotkane po drodze osady i dwory. Po kilku dniach bezskutecznej blokady, podczas zainicjowanych dla niepoznaki rozmów pokojowych, ludzie Czapka dokonali podkopu pod mury i po ich zawaleniu wdarli się do miasta. Doszło do masakry mieszczan, którym nie pospieszyły z pomocą stacjonujące nieopodal oddziały zakonu. W szczególnie okrutny sposób potraktowani zostali

schwytani przez żołnierzy Czapka księża katolicy i anonimowy Czech, który z jakichś powodów naraził się rodakom. Wszystkich umieszczono w beczkach ze smołą i spalono żywcem. Straszliwy przykład Strzelec, których los podzielił Dobiegniew, podziałał na inne miasta. Ich mieszkańcy nie myśleli o stawianiu oporu, a jedynie o zachowaniu życia i w panice uciekali przed nadchodzącymi husytami. To samo czynili Krzyżacy; nawet wojowniczy Henryk von Plauen, który nadciągnął z Turyngii z oddziałem najemników, wolał nie ryzykować starcia z „sierotkami” i cofnął się do silnie umocnionej Chojny, obsadzając częścią sił Gorzów. Oba te miasta zdołały się obronić przed wrogiem, który nie posiadał wystarczająco silnej artylerii. Jednak ani ten fakt, ani przybycie zaciężnych z Brandenburskiej i oddziału przyprowadzonego przez komtura człuchowskiego nie zmieniły ogólnej sytuacji.

Polacy i Czesi nadal srożyli się na ziemiach Marchii, puszczając z dymem kolejne miasteczka i dziesiątki wsi, a po ich stronie opowiedzieli się książęta pomorscy – szczeciński, wołogoski i słupski. Największej pomocy udzielił im Bogusław IX słupski, którego oddziały wkroczyły od północy na teren Marchii. Na początku lipca połączone wojska polsko-czesko-pomorskie zaatakowały ziemie Pomorza Gdańskiego. Pomimo sześciotygodniowego oblężenia i kilkakrotnych szturmów nie udało im się zdobyć mężnie bronionych przez komtura Bałgi Chojnic. Padł natomiast Tczew i tam doszło do masakry czeskich najemników na krzyżackim żołdzie, których „sierotki” Czapka spaliły na stosie. Krótco potem sojusznicy pojawili się pod Gdańskiem, jednak brak ciężkiej artylerii spowodował, że po paru dniach odstąpili spod miasta. Dla Czechów, którzy po raz pierwszy w życiu zobaczyli morze, było to niezapomniane doznanie; na pamiątkę zabrali ze sobą bukłaki wypełnione morską

wodą. Spod Gdańska Polacy i Czesi przez lasy tucholskie ruszyli na południe, zdobywając z marszu zamek w Jasińcu. Były to już końcowe akordy ich najdalszego od ojczyzny rajdu, jednej z „najwspanialszych jazd”, która przeraziła Krzyżaków.

Wielki mistrz miał już dość „sierotek” i ich bezkompromisowego sposobu prowadzenia wojny. Jego stan ducha, mocno przy tym koloryzując, przedstawił Długosz: „Pod te czasy, mistrz Pruski Paweł Russdorff wybrał się był z zamku Marienburga [Malborka – S.L.] na wyspę Żuławę i tam, zabawiając się myślistwem, biegał z sokołami na ptaki. A kiedy spostrzegł (...) że miasto Tczewo (...) w ogniu stańło i wpadło w ręce nieprzyjaciół, jęknął boleśnie, a umknąwszy co prędzej, wrócił do Marienburga strwożony i zdyszany i gromił swoich komturów i radców, którzy go swemi niecnymi namowy skłonili prawie poniewolnie do złamania przymierza wieczystego pokoju”. Raczej trudno uwierzyć, aby człowiek, który podczas szalejącej wojny i wiszącej nad państwem grozy upadku oddawał się myśliwskiej pasji, przez niemal dwie dekady mógł sprawować najbardziej eksponowany zakonny urząd, jak i w to, że przystąpił do wojny z Polską wbrew swojej woli. Strwożenie zaś wielkiego mistrza miało źródło nie w samych klęskach. Jego głębokie obawy zaczęło budzić coraz bardziej kategoryczne stanowisko stanów pruskich, które pod groźbą wypowiedzenia posłuszeństwa żądały zakończenia niepomysłnej wojny. Paweł Bellitzer von Russdorff i zakonni dostojnicy ulegli rosnącej presji ze strony własnych poddanych i postanowili się z niej wycofać. Pod Bydgoszczą w połowie września stanął rozejm, zaś trzy miesiące później, 15 grudnia 1433 roku w Łęczycy, Krzyżacy zawarli z Polską dwunastoletni pokój. Jego wypracowanie nie było łatwe, gdyż początkowo Jagiełło postawił nazbyt ciężkie warunki,

grożąc kolejnym najazdem. Ostatecznie ustalono, że przy Krzyżakach pozostanie Nieszawa, zaś Polacy zatrzymają zamki zdobyte na terytorium Nowej Marchii. Ponadto Paweł Bellitzer von Russdorff zobowiązał się nie wspierać Świdrygiełły i skłonić do podobnego zachowania mistrza inflanckiego, co pozostawało w sferze wyłącznie życzeniowej i jako takie stanowiło pusty zapis. O wiele istotniejsze znaczenie miało postanowienie, że „(...) strony przyrzekały zachować ten traktat tak wiernie, iż obowiązywały się nie słuchać ani papieża, ani Cesarza, ani żadnego króla, ani żadnego zgromadzenia duchownego prawnego, to jest soboru, gdyby je chcieli namawiać do zerwania go”.

Wielki mistrz dotrzymał warunków pokoju łączyckiego. Stało się tak pomimo presji ze strony Zygmunta Luksemburskiego, namawiającego go do złamania porozumienia, ale również mimo zgonu Władysława II w połowie następnego roku. Świdrygiełło jeszcze przed zgonem brata uaktywnił się i ponownie spróbował szczęścia w walce o rządy na Litwie. Po zawarciu rozejmu z możnymi na Rusi Czerwonej nie musiał się obawiać walki na dwa fronty, jedynym jego wrogiem był Zygmunt Kiejstutowicz. W sojuszu ze Świdrygiełłą, obok Rusinów, wystąpił mistrz inflancki Cysse von Rutenberg, który po cichu liczył na pełne uzależnienie się od pruskiej linii zakonu i miał nadzieję, że dopomoże mu w tym – po zwycięstwie – właśnie Świdrygiełło. Sprzymierzone wojska litewsko-krzyżackie uderzyły na Troki, ale nie mogąc ich zdobyć, omijając Wilno, skierowały się na południe w celu połączenia się z nadciągającymi od strony Łucka oddziałami ruskimi. Jednak to im się nie udało. Zygmunt, korzystając z przewagi, zaatakował Rusinów w rejonie Klecka i zmusił ich do wycofania się. Na wieść o porażce sojuszników również Świdrygiełło i Rutenberg zarządzili odwrót. Ich wojska za

sprawą fatalnej aury i chorób zostały zdziesiątkowane bez stoczenia bitwy, a trudy kampanii drugiego z wodzów – miały kosztować życie. Następcą Rutenberga został Franke von Kerskorff, który poszedł w ślady poprzednika i wspierał Świdrygiełłę. Tę dwójkę w połowie 1434 roku uzupełnił przybyły z Czech Zygmunt Korybutowicz, bez powodzenia przez kilka lat walczący o tron tego kraju. Sojusz ze Świdrygiełłą porzuciła natomiast część książąt ruskich, zjednanymi przywilejami przez Kiejstutowicza.

Rozstrzygnięcie wojny domowej nastąpiło w następnym roku. Poprzedziły je intensywne przygotowania obu bezpośrednio uwikłanych w konflikt stron. Zbrojono się na Litwie i w Inflantach. Ale nie tylko tam. Polska rada koronna przy małoletnim królu Władysławie III, nazwanym później Warneńczykiem, podjęła decyzję o wyekspediowaniu korpusu posiłkowego z pomocą dla Zygmunta Kiejstutowicza. Przygotowania związane z jego powstaniem nie umknęły krzyżackim szpiegom. Wielki mistrz miał obawy, że, być może, Polacy szykują się nie tylko do wysłania wojsk na Litwę, ale również myślą o zaatakowaniu Prus. Zarówno on, jak i jego poprzednicy tak wiele razy gwałcili porozumienia i traktaty, że podobnego zachowania ze strony Polski, choć niezbyt pasującego do stylu uprawianej przez nią polityki, nie wykluczano. W rozmowaniu wielkiego mistrza zadziałał znany mechanizm oceniania rywala własną miarą. Paweł Bellitzer von Russdorff zamierzał odpowiedzieć Polakom w podobny sposób i odstrasząco zarządzić przygotowania wojenne, ale wówczas odezwali się przedstawiciele stanów pruskich, stojących na straży dochowania pokoju z Łęczycy. Burmistrz chełmiński Jan Sterz użył słów, które wielkiego mistrza musiały zmrozić. Zalecił mu wsłuchiwać się w głos płynący ze strony stanów, gdyż w przeciwnym razie „mógłby powiać

zły wiatr, który niełatwo opadnie”. Ledwie zawołowana groźba wypowiedzenia posłuszeństwa przez poddanych kosztowała Sterza areszt, ale wielki mistrz zweryfikował swoje pierwotne zamiary i zarządził jedynie ograniczoną koncentrację armii na granicy z Polską, z góry wiedząc, że nie zdecyduje się na jej użycie. Tym bardziej że po drugiej stronie granicy rozlokowane były silne oddziały koronne; Polacy, nauczeni niedawnym doświadczeniem, nie zamierzali własną słabością prowokować Krzyżaków do ataku. Ostatecznie na Litwę wyruszyły z Polski stosunkowo niewielkie, liczące około czterech tysięcy ludzi oddziały, złożone jednak wyłącznie z jazdy, dowodzone przez Jakuba z Kobylan (Kobyłańskiego), w latach 1425–1430 marszałka dworu wielkiego księcia Witolda. Ich uzupełnienie stanowiły jednak załogi zamków już wcześniej obsadzonych przez Polaków. Zygmunt Kiejstutowicz mógł wyprowadzić w pole około pięciu tysięcy wojowników. Komendę nad połączonymi wojskami objął Kobyłański. Z naprzeciwnika nadchodziły siły Świdrygiełły, liczące około siedmiu tysięcy lekkokonnej jazdy, a z Inflant na spotkanie ze zbuntowanym księciem nadciągali Kerskorff oraz Zygmunt Korybutowicz w sile około trzech tysięcy jazdy i półtora tysiąca piechoty, w tym zaciężni i goście zakonu z Zachodu. Towarzyszyło im około dwustu wozów bojowych; komendę nad nimi oraz pieszymi wyszkolonymi na wzór husycki sprawował książę. Po połączeniu nieprzyjacielskie armie były zbliżone siłą, ale polsko-litewska posiadała zdecydowanie bardziej jednorodny charakter, co bez wątplenia – również wobec skupienia komendy w jednych rękach – ułatwiało dowodzenie i manewrowanie.

Do starcia doszło w okolicy Wilkomierza nad rzeką Świętą. Poprzedziły je skomplikowane manewry wojsk Świdrygiełły i Krzyżaków, wynikające z braku jednolitego

poglądu na sposób rozegrania bitwy. Gdy do niej doszło, wszystko potoczyło się błyskawicznie. Huraganowy atak polskiej i litewskiej konnicy potężnie zmieszał szyki nieprzyjaciela. Polacy rozprawili się z Krzyżakami i ich gośćmi, Litwini uczynili to samo z ruskimi sojusznikami Świdrygiełły. Reszty dokonała niemożliwa do opanowania panika. Pokonana armia runęła do niepowstrzymanej ucieczki, pozostawiając obóz na pastwę wroga. Krzyżacki tabor okazał się nędzną imitacją husyckiego oryginału. Szybko dał się rozerwać, tym łatwiej, że broniąca go piechota została pozbawiona możliwości prowadzenia ostrzału na nacierającego wroga wobec zawilgocenia prochu. Pobojuwisko usłały liczne trupy Krzyżaków i ruskich wojów, w tym kilkunastu pomniejszych książąt walczących za sprawę Świdrygiełły. Szczególnie dotkliwe były straty tych pierwszych. Głowy położyli Frank von Kerskorff i były marszałek zakonu Werner von Nesselrode, zginęło także kilku innych wysokich dostojników. Jeszcze więcej żołnierzy Świdrygiełły i Kerskorffa dostało się do niewoli. Los ten spotkał także ciężko rannego Zygmunta Korybutowicza, który wkrótce potem zmarł. Pozostaje niewyjaśnioną zagadką, czy stało się tak wyłącznie wskutek odniesionych obrażeń, czy może jego śmierć przyspieszył rozkaz ze strony Zygmunta Kiejstutowicza, który wykorzystał sposobną okazję i pozbył się niebezpiecznego kuzyna. Znając jednak naturę wielkiego księcia, można przyjąć, że raczej nie pozostał bierny i miał na rękach krew Korybutowicza. Długosz wydał mu fatalną opinię, pisząc, że Zygmunt Kiejstutowicz to „człek nad podziw srogi i łakomy, do karanja śmiercią lub wydzierstwem z łada przyczyny pochopny (...) a przy tym niezmiernie chciwy (...) Okrutnik chytry i podstępny, każdego za łada oskarżeniem jakoby zdrając i buntownika (...) najpierw odzierstwem ze

wszystkiego, potem więzieniem, a na ostatek, co się często zdarzało, srogimi káźniami, wśród których badani sami na siebie z bólów winę kładli, i śmiertelnie niewinnie karali". Można się skrzywić, czytając tę charakterystykę, ale trzeba pamiętać, w jakich czasach żył litewski książę; był ich nieodrodnym dzieckiem i z pewnością miał szansę stać się jednym z bohaterów Niccolò Machiavellego, autora sławnego dzieła zatytułowanego *Książę*, stanowiącego pochwałę tyłez cynicznego, co prowadzącego do sukcesu zachowania ubranego w formułę: cel uświęca środki.



Pieczęć majestatyczna Zygmunta Kiejstutowicza, staloryt z II połowy XIX wieku.



Upust krwi, jaki dotknął inflancką gałąź zakonu, był porównywalny z tym, jakiego doznali pod Grunwaldem ich bracia w Prusach. Marszałek Henryk von Buckenborde słał do wielkiego mistrza błagalne listy o wojskowe wsparcie i przysłanie choćby kilkuset zbrojnych, co pokazuje, w jak trudnej sytuacji znaleźli się Inflantczycy. Ogołocone z załóg zamki, które rozpaczliwie sztukowano spieszonymi bałtyckimi korsarzami, stały otworem przed Litwinami; ci jednak nazbyt łatwo zrezygnowali z ich opanowania. Stało się tak pomimo kategorycznych nalegań ze strony Jakuba z Kobylan, aby przenieść działania na terytorium Inflant. A może właśnie ze względu na nie. Książę prowadził całkowicie autonomiczną politykę i nie życzył sobie posądzenia o uleganie polskim wpływom, czemu jakiś czas później miał dać świadectwo w cytowanym przez Jasienicę liście do Albrechta Habsburga: „My nigdy nie byliśmy niewolnikami ani też nasze Wielkie Księstwo nigdy nikomu, jak daleko pamięć ludzka sięga, nie było poddane i teraz nie trzymamy go od nich (Polaków), lecz siedzimy na nim, objąwszy je z łaski Bożej, prawym dziedzictwem przodków naszych, po śmierci brata naszego śp. Witolda”. Zamiast na północny zachód wołał skierować zwycięskie wojska w przeciwnym kierunku, aby rozprawić się z niebezpiecznym kuzynem i jego ruskimi sojusznikami. Szansa na niemal bezkrwawe anektowanie rozległych ziem pozostających w rękach zakonu inflanckiego minęła. Mało tego. Książę wystosował do wielkiego mistrza list z zapewnieniem, że pragnie żyć z nim w przyjaźni i nie zaatakuje jego posiadłości. On również, podobnie jak jego wielcy krewniacy, Jagiełło i Witold, wybrał politykę równowagi, w jego mniemaniu najlepszą dla Litwy. Nie życzył sobie likwidacji zakonu krzyżackiego, stawiał na jego dalsze istnienie, stanowiące mniejszy lub większy problem dla

unijnego partnera i przez to osłabiające jego pozycję wobec Wielkiego Księstwa. Ale na dłuższą metę była to śmiertelna pułapka, której skutków dla państwa polsko-litewskiego Kiejstutowicz nie mógł jednak odgadnąć. Konsekwencje jego politycznych wyborów w kilku zdaniach przedstawił Jasienica: „Magnes wschodni, tak silnie oddziałujący na Litwę, okazał się istnym błogosławieństwem dla nadbałtyckiej niemczyzny. Poszczerbiona i nadwątlona ocalała jednak ze śmiertelnych niebezpieczeństw. Zachowała pozycje zarówno wokół Królewca, jak Rygi, a w przyszłości znowu je wzmocniła w sposób, który przyniósł wyłącznie klęski, i to całej Europie”.

Krwawa bitwa nad rzeką Świętą zamknęła trwające przez kilkanaście dziesiątek lat krzyżacko-litewskie zapasy. W końcu 1435 roku w Brześciu Kujawskim został podpisany traktat pokojowy pomiędzy zakonem krzyżackim a Polską i Wielkim Księstwem Litewskim. W swoim głównym zrębie powtarzał postanowienia z Mełna. Pod zapisami kolejnego już pokoju wieczystego, obok polskich, litewskich i krzyżackich, zawisły również pieczęcie książąt mazowieckich: Bolesława IV, Kazimierza II, Siemowita V, Władysława I oraz księcia słupeckiego Bogusława IX i wojewody mołdawskiego. Ponadto traktat został zaprzysiężony i opieczętowany przez przedstawicieli stanów pruskich i polskich, których przysięga miała być co jakiś czas ponawiana. Rozwiązanie to oznaczało brak zaufania strony polsko-litewskiej wobec zakonu, ale także niewątpliwy wzrost znaczenia jego poddanych, którzy już od kilkunastu lat przyjęli na siebie rolę gwarantów zawieranych traktatów pokojowych. Wielki mistrz stawał się w coraz większym stopniu ich zakładnikiem, bezsilnie obserwując rosnące znaczenie miast pruskich.

Zawierając pokój w Brześciu, Paweł Bellitzer von Rusdorff miał mieszane uczucia. Z jednej strony towarzyszyła mu świadomość klęski poniesionej przez Inflantczyków i ich słabości, z drugiej zdawał sobie sprawę, że państwo polsko-litewskie, po śmierci Władysława II skazane na rządy regencyjne wobec małoletniości jego następcy, nie jest tak silne jak wcześniej. Jeśli jednak w jego głowie pojawiła się myśl o ewentualnym wykorzystaniu tej sytuacji i rozpętanu nowej wojny, to szybko musiał się z nią rozstać pod wpływem twardej postawy stanów pruskich, przeciwnych zarówno samemu konfliktowi, jak i podniesieniu podatków, co było wstępnym warunkiem rozpoczęcia przygotowań. Nieszczęśliwe wmieszanie się mistrza inflanckiego i jego wojsk w konflikt na Litwie z pozoru kosztowało zakon niewiele – utratę Nieszawy i stosunkowo małe odszkodowanie, niespełna dziesięć tysięcy złotych węgierskich. Na dodatek Polacy niespodziewanie zgodzili się oddać Krzyżakom opanowane podczas działań wojennych zamki w Nowej Marchii. Lecz nie kilometry kwadratowe i pieniądze, szczególnie tak niewielka ich ilość, miały znaczenie. Istotne było to, że zakon już po raz drugi, cytując Jasienicę, „wyrzekał się związków z postronnymi potęgami – a więc papieżem, soborem i cesarzem – przestawał więc być ekspozyturą niemczyzny, wspieraną przez rozmaite moce Zachodu. Schodził do roli zwykłego państwa, pilnującego własnych spraw”. Konkutowanie z takim rywalem stawało się o wiele łatwiejsze niż wcześniej. I to była największa strata, jaką przyniósł Krzyżakom pokój w Brześciu Kujawskim.

Cóż zaś stało się ze Świdrygiełłą? Sprawcy kilkuletniej wojny domowej na Litwie udało się ocalić życie i wolność i z niedobitkami ująć spod Wilkomierza. Przez kilka następnych lat, korzystając z ruskiej pomocy, opierał się

wielkiemu księciu Zygmuntovi Kiejstutowiczowi na Wołyniu, Kijowszczyźnie i Podolu, aż został z tych terytoriów wyparty i zmuszony do ucieczki na Wołoszczyznę. Wymuszona banicja trwała do 1442 roku. Powrócił na Wołyń i osiadł w Łucku już po śmierci swojego zwycięskiego rywala, który dwa lata wcześniej doczekał się odpłaty za liczne okrucieństwa i na zamku w Trokach został zabity w skrytobójczym zamachu przez kniaziów Czartoryskich. Ostatecznie Świdrygiełło uznał władzę polskiego króla i jednocześnie kolejnego wielkiego księcia litewskiego, Kazimierza Jagiellończyka.

Świdrygiełło, zatwardziały buntownik, który na Litwie uczynił więcej zamieszania niż jej śmiertelni wrogowie, Krzyżacy, zmarł w 1452 roku. Zaledwie dwa lata przed wybuchem następnej wielkiej wojny z zakonem. Ale tym razem jej ciężar miała wziąć na swoje barki niemal wyłącznie Polska.

## PRZED BURZĄ. ZWIĄZEK PRUSKI

„Lata 1435–1454 charakteryzowały się wyciszeniem waśni politycznych”.

(współczesny historyk Wiesław Sieradzan w artykule *Sąsiedztwo po Grunwaldzie* opublikowanym w „Pomocniku Historycznym. Grunwald 1410”)

**U**zupełniając powyższy cytat, należałoby dodać, że owe dwie dekady, podczas których zakon krzyżacki porzucił dotychczasowy sposób uprawiania polityki zagranicznej i trwał w pokojowej koegzystencji z sąsiadami, okazały się ostatecznie niczym innym niż ciszą przed nadchodzącą burzą. Jej wybuch poprzedziły wzbierające z każdym rokiem wewnętrzne problemy coraz bardziej rozsadzające spoistość i siłę państwa zakonnego. Potężnie osłabiły je nie tylko przegrane kampanie wojenne, ale również spory związane z próbą usamodzielnienia się niemieckiej i inflanckiej gałęzi zakonu od wielkiego mistrza. Pretekst stanowiła polityka uprzywilejowania i ułatwiania przez Pawła Bellitzera von Russdorff kariery rycerstwu z Nadrenii, w tym wielu jego krewniakom i kuzynom, kosztem kandydatów z innych rejonów Rzeszy. Otwarty bunt przeciwko niemu wszczął w 1438 roku niemiecki mistrz krajowy Eberhard von Seinsheim, podburzony przez cesarza i czujący poparcie mistrza inflanckiego. Seinsheim sięgnął do dawno wypróbowanej przez Krzyżaków metody i posłużył się sfabrykowaną przez cesarza fałszywką, w której nieszcześny Werner von Orseln przyznawał jakoby

mistrzowi niemieckiemu prawo odsunięcia od władzy wielkiego mistrza w przypadku niewłaściwego i narażającego interesy zakonu pełnienia przez niego urzędu. Z próby sił zwycięsko wyszedł wielki mistrz, jednak oba skrzydła zakonu, szczególnie inflanckie, powiększyły obszar niezależności od Malborka. Konwenty w kilku komturiach wypowiedziały się zdecydowanie przeciwko forowaniu Nadreńczyków i w atmosferze rosnącego sprzeciwu wobec wielkiego mistrza – doszło do zamachu stanu. Uwięziony został mianowany przez niego wielkim marszałkiem Henryk von Rabenstein, on sam zaś, zagrożony rebelią i podzieleniem losu protegowanego, musiał się zgodzić na rewizję rozdzielonych przez siebie najważniejszych urzędów i stanowisk. Utrzymanie się przy rządach, już mocno podminowanych i niepewnych, paradoksalnie zawdzięczał Paweł Bellitzer von Russdorff poparciu stanów pruskich, które przecież od dłuższego czasu sprawiały mu kłopoty. I tu pora na przedstawienie kolejnej z poważnych chorób trawiących zakon.

Rozgrywki personalne osłabiały go, ale stanowiły zaledwie jeden z problemów. O wiele poważniejszy łączył się z rosnącą emancypacją ośrodków miejskich i stanów pruskich, której konsekwentnie, ale też bezskutecznie, usiłowała przeciwstawić się nieliczna grupa rządząca krajem „panów pruskich”, po Grunwaldzie i następnych klęskach nie budząca już jednak wcześniejszego szacunku i strachu. To stany stały się większym niebezpieczeństwem niż zewnętrzni wrogowie. Jak stwierdził Boockmann, doszło do sytuacji, w której: „Zakon czy raczej jego reprezentanci czuli się zagrożeni w swoich uprawnieniach władczych, stany zaś czuły się szykanowane”. Głównym źródłem sprzeciwu poddanych wobec państwa była nadmierna centralizacja władzy skupionej w rękach krzyżackiej elity i wynikające z

tego bezprawie, a także monopolizacja handlu i ucisk fiskalny. Boockmann przytoczył charakterystyczne zdarzenie z 1428 roku, kiedy na pytanie źle potraktowanych rycerzy służebnych: „Czymże jest prawo chełmińskie?” uzyskali z ust krzyżackiego dostojnika jakże symptomatyczną, a jednocześnie hardą i lekceważącą odpowiedź: „My jesteśmy waszym prawem”. W podobny sposób zakon usiłował traktować handel, podstawę swojej gospodarczej potęgi. Zdaniem przywołanego wyżej historyka „(...) żaden bowiem inny niemiecki władca nie prowadził u schyłku średniowiecza tak szeroko zakrojonego handlu, jak Zakon”. Lwią część przychodów z tytułu eksportu i importu, odwrotnie niż działo się to w innych krajach, w Prusach zabierał panujący, bogacąc się szczególnie na handlu zbożem, podstawowym produkcie wysyłanym na zachód Europy. Taki stan rzeczy uderzał nie tylko w kupców, ale również i w jeszcze większym stopniu w przekształcające się w szlachtę pruskie rycerstwo jako producentów płodów rolnych. Zresztą od przełomu XIV i XV wieku Krzyżacy usiłowali na wszelkie dostępne sposoby, często naginając bądź wprost łamiąc prawo, pozbawiać tę grupę ziemi, którą kiedyś otrzymała wraz ze zwolnieniem od zapłaty czynszu, ale jednocześnie z obowiązkiem pełnienia służby wojskowej. Kiedy gros sił w wojskach zakonnych zaczęli stanowić zaciężni, świeckie rycerstwo w Prusach stało się dla Krzyżaków swoistym kamieniem u nogi, nie przysparzając z posiadanych przez siebie majątków ziemskich zadowalających przychodów. Do opisanych kłopotów dołączyło się jeszcze inne niepokojące zjawisko związane wprost z ogromnymi zniszczeniami, jakie przyniosły działania wojenne. Oto znaczna powierzchnia terytorium państwa zakonnego wyludniła się, a z oczywistych względów najbardziej było to widoczne w południowych Prusach. Na

tereny te przybywali osadnicy, głównie pochodzący z Polski chłopi, zmieniając w ciągu kilkunastu lat proporcje demograficzne. Język polski zagościł nawet w kościołach Torunia, który wydawał się opoką niemczyzny.

Na czele grupy miast już od kilkadziesiąt lat związanych mocnymi więzami z Hanzą (Królewiec, Chełmno, Braniewo, Toruń) stanęły Gdańsk i Elbląg. Ich wspólny front, już wkrótce po zawarciu pokoju brzeskiego, spowodował odmowę podniesienia podatków na spłatę należnego Polsce odszkodowania. Chcąc nie chcąc, wielki mistrz musiał zaciągnąć pożyczki i ogołocić jeszcze bardziej straszący dnem zakonny skarbiec, aby wywiązać się z zobowiązań. W odwecie sięgnął po represje i wielu rajców wylądowało w więzieniach. Ale to jedynie utwierdziło w opinii władze pruskich miast, które zdawały sobie sprawę z rosnącej siły i konieczności ścisłego współdziałania w celu wywalczenia jak największej niezależności wobec zakonu. Zapewne otuchy i budującego przykładu dodawały im wieści płynące z nieodległej zagranicy. Nowy układ polityczny w ciągu kilku lat trzeciej dekady XV wieku powstał na Węgrzech, w Szwecji, w Saksonii, gdzie zwoływano sejmy, a także w Danii, a potem we wspomnianej Szwecji i Norwegii, gdzie pozbawiony został tronu Eryk Pomorski.

Na początku 1439 roku wspólny front pruskich miast wykluczył rozpatrywaną przez władze zakonne możliwość zerwania pokoju brzeskiego. Rosnąca świadomość własnej siły zapowiadała, że już tylko krok dzieli je od podjęcia ważnych decyzji. W lutym 1440 roku na zjeździe przedstawiciele miast pruskich w Elblągu uchwalono utworzenie Związku Pruskiego. Miał chronić przed samowolą Krzyżaków i jednocześnie doprowadzić swoim działaniem do uzyskania przywilejów stanowych oraz większego wpływu na politykę i gospodarkę państwa



zakonnego. Musiało minąć kolejnych trzynaście miesięcy, nim doszło do uroczystego podpisania aktu związkowego przez pięćdziesięciu siedmiu przedstawicieli szlachty oraz dziewiętnastu miast, w tym siedmiu hanzeatyckich. Lista była otwarta i w następnych latach miała się stopniowo powiększać o kolejne miasta i herbowych. Pod aktem erekcyjnym Związku Pruskiego znalazły się podpisy członków reaktywowanego kilka lat wcześniej Towarzystwa Jaszczurczego, między innymi chorążego chełmińskiego Jana Cegenberga. Krzyżacy nie zareagowali na powstanie Związku. Zdawali sobie sprawę z jego siły i to zapewne powstrzymało ich przed represjami i próbą pacyfikacji. Zakonna elita dostrzegała skalę zagrożeń, jakie niosła ze sobą działalność obu organizacji, ale „panowie pruscy” byli na tyle słabi, że nie zdecydowali się na sięgnięcie po radykalne środki. Paradoksalnie, jedynym zadowolonym z istnienia Związku Pruskiego mógł być wielki mistrz. Oto w akcie jego powstania stany przyrzekały wierność właśnie jemu, a nie zakonowi. Taki zapis wzmacniał pozycję Pawła Bellitzera von Russdorffa i pozwalał wygrywać wewnątrzzakonne waśnie za pomocą groźby odwołania się do reprezentacji stanów, które już raz, jak pamiętamy, uratowały go przed utratą władzy. Była to jednak polityka balansowania na linie. Zakon tracił kontrolę nad poddanymi, którzy dostrzegając jego słabość i brak zdecydowanej kontrakcji, zaczęli wysuwać kolejne postulaty. Ich realizacja miała im zapewnić większy udział we władzy nad państwem w sferze gospodarczej, podatkowej i sądowniczej. Stany zażądały zniesienia cła funtowego (podatek pobierany na cele wojskowe, którym obłożone były miasta hanzeatyckie; wynosił 1/144 wartości towarów przywożonych i wywożonych, po roku 1423 w całości egzekwowany przez Krzyżaków) oraz powołania sądu

najwyższego złożonego z przedstawicieli władzy i stanów, jako organu właściwego dla rozstrzygania sporów o przywileje. Poddawany coraz większej presji, zarzucany żądaniami i niedomagający zdrowotnie wielki mistrz postanowił zwołać kapitułę generalną w Malborku, aby radzić nad problemami, z którymi przyszło się mierzyć zakonowi. Nie przewidział jednak, że jej obrady przybiorą zupełnie inny charakter i staną się w praktyce forum sądowym, on zaś – oskarżonym. Wobec Pawła Bellitzera von Russdorffa wytoczono zarzuty nepotyzmu, stronnictwa, nieudolności, nadmiernego ulegania stanom pruskim i dopuszczenia do powstania Związku Pruskiego, co miało największy ciężar gatunkowy. W konsekwencji tego bezpardonowego ataku z wielu stron wielki mistrz na początku stycznia 1441 roku został zmuszony złożyć urząd, a zaledwie tydzień później zakończył życie. Istnieje wersja, że został uderzony w głowę przez jakiegoś szaleńca, co upodabniałoby okoliczności jego śmierci do zgonu Wenera von Orselna.

Następcą Pawła Bellitzera von Russdorffa został trzy miesiące później Konrad von Erlichshausen. To on stał za zamachem stanu wymierzonym w poprzednika i był jednym z najbardziej zagorzałych jego przeciwników, krytykując przede wszystkim politykę kadrową w łonie zakonu. Z tego właśnie powodu został pozbawiony urzędu wielkiego marszałka i musiał objąć komturstwo toruńskie. Marcin Murinius napisał o nim, że był „bardzo dobry, a żadnej chuci do wojny nie miał”. I rzeczywiście, to był człowiek ogarnięty ideą przeprowadzenia odnowy moralnej swoich współbraci i poważnie traktujący zapisy reguły zakonnej, kiedy zaś osiem lat później umierał, Krzyżacy ciągle z nikim nie wojowali. Ten czas wielki mistrz poświęcił porządkowaniu spraw wewnątrz zakonu i jego wzmocnieniu. Nie wszystko poszło

jednak po jego myśli. Stany pruskie, które bez przeszkód złożyły przysięgę wierności nowemu wielkiemu mistrzowi, nie zgodziły się złożyć jej na wierność zakonowi. Konrad von Erlichshausen nie zamierzał zaognić konfliktu z dwoma pozostałymi mistrzami, niemieckim i inflanckim, i za cenę zgody na ich autonomię, która od pewnego czasu była faktem, załagodził rozsadzający zakon spór. W parze z poprawiającą się sytuacją wewnętrzną szły dobra koniunktura gospodarcza oraz stosunki międzynarodowe. Regularne transporty pruskiego zboża płynęły do zachodnich portów, zapełniając złotem zakonny skarbiec. Krzyżakom udało się otworzyć nowe rynki zbytu, przede wszystkim w Holandii, z którą przez ponad trzy lata pozostawali w głębokim sporze wynikłym na tle ograbienia przez jej flotę statków hanzeatyckich, w tym również należących do miast pruskich. Holendrzy nie tylko uwolnili pojmanych zakonnych marynarzy i wypłacili stosowne odszkodowania, lecz przywrócili też pełną wolność handlową pomiędzy obydwojma państwami. Minęło również napięcie w relacjach z Anglią, wywołane nieprzyjawnymi incydentami na morzu, jakich dopuścili się angielscy kupcy, atakując hanzeatyckie jednostki.

Najważniejsze znaczenie dla zakonu posiadały jednak stosunki z Polską. Zaraz na początku swoich rządów Konrad von Erlichshausen dwukrotnie spotkał się z polskim królem Władysławem III; za pierwszym razem, podczas wizyty w Brześciu Litewskim, potwierdził postanowienia pokoju sprzed sześciu lat, zaś krótko później z wielką pompą, i okazując niewymuszoną życzliwość, gościł młodziutkiego władcę w Toruniu. Ten bezpośredni kontakt z następcą Jagielly pozwolił mu wyzbyć się obaw związanych z zagraniczną polityką Korony Polskiej. Nie było w niej miejsca na agresywne zachowania wobec Prus. Polacy od

kilku lat ogniskowali swoje zainteresowanie na południu i jednocześnie borykali się z własnymi wewnętrznymi kłopotami. W 1438 roku czescy husyci zaproponowali tron młodszemu z Jagiellonów, królewiczowi Kazimierzowi, co kanclerz cesarski Kaspar Schlick podsumował w zdaniu: „Zjednoczenie Polski i Czech byłoby, ze stanowiska polityki niemieckich krajów, wielkim nieszczęściem, od którego niech Pan Bóg uchwowa”. Polscy panowie radzący w Nowym Korczynie nad czeską ofertą postanowili ją przyjąć i Kazimierz, wbrew stanowisku wszechwładnego biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego, faktycznie prowadzącego polską politykę zagraniczną, wyruszył ze zbrojną asystą do Czech. Wyprawa zakończyła się fiaskiem. Jagiellończyk został uprzedzony przez władcę Węgier, Albrechta II Habsburga, który sięgnął po czeski tron. Podobny los spotkał wyprawę poprowadzoną przez Władysława III. W Polsce doszło tymczasem do wojny domowej z udziałem dwóch konfederacji. Jednej, zawiązanej przez biskupa krakowskiego dla obrony katolicyzmu i wyplenienia herezji, oraz drugiej, skierowanej przeciwko Oleśnickiemu, skupiającej różnorodne odłamy opozycji, na czele z kasztelanem bieckim Spytkiem z Melsztyna. Konfederaci, zwolennicy ruchu husyckiego, zostali rozgromieni przez wojska koronne w wyjątkowo krwawej bitwie pod Grotnikami. Po jej zakończeniu miał miejsce wyjątkowo ohydny epizod; nad wziętym do niewoli, ciężko rannym Spytkiem dokonano „sądu”, „trzykrotnym wołaniem pozywano dychającego jeszcze winowajcę”, a następnie jako „zdrajcę ojczyzny” bestialsko go zamordowano. Jego obnażony, okaleczony trup miał przez trzy dni leżeć na pobojowisku. Równie bezwzględnie, cięci w kawały szablami, po przeszło dwóch następnych stuleciach potraktowani zostali jeńcy spod Mątew, gdzie również

rodacy wyrzynali się nawzajem z dziką satysfakcją (piszę o tym w książce Sobieski. Lew, który zapłakał). To nie są obrazy pasujące do wyobrażenia Polaków, brzydzących się jakoby okrucieństwem i jak ognia unikających wojen domowych.

Krwawe przesilenie w Pradze tylko o kilka miesięcy poprzedziło niespodziewaną śmierć Albrechta II Habsburga, co znów zwróciło zainteresowanie polskiej polityki zagranicznej ku południu. Władysław III sięgnął po koronę Węgier, ale Jagiellonom wymknął się z rąk tron Czech, przeznaczony dla syna Albrechta, urodzonego już po jego zgonie Władysława Pogrobowca. Krzyżacy pilnie obserwowali opisane wydarzenia, ciesząc się ze spokoju na własnych granicach, ale też bez zadowolenia przyjmując wzrost potęgi Polski. Kiedy jednak w 1444 roku Władysław III ruszył z krucjatą przeciwko Turkom i w wielkiej bitwie pod Warną wraz z tronem dwóch królestw postradał również własną głowę, co na kilka lat sparaliżowało dotkniętą bezkrólewem Polskę, dla Malborka był to wymarzony scenariusz.

Zakon otrzymał czas na wewnętrzną odbudowę i odzyskanie sił po wyniszczających wojnach. Wielki mistrz zmierzał ku temu z godną podziwu konsekwencją. Wyobrażenie o stanie państwa uzyskał dzięki prostemu organizacyjnemu zabiegowi, wysyłając dwóch zaufanych ludzi z zadaniem zlustrowania krzyżackich zamków pod kątem nie tylko samego ich przygotowania do obrony i posiadanych zasobów materialnych, ale również zachowania braci zakonnych. Obraz, jaki się wyłonił z przedstawionego przez nich raportu, w wielu przypadkach był zatrważający. Konrad von Erlichshausen był realistą, ale i on poczuł się zaskoczony tym, o czym mu doniesiono. Wiele zamków popadło w ruinę, a sprzeniewierzenie się regule i upadek

moralny braci bił w oczy. Niemal zasadą stało się, że postępowali niczym świeccy rycerze, porzucając dawny styl zachowania. Było oczywiste, że jego wyrugowanie i powrót do dawnych, rygorystycznych zasad, jak tego chciał wielki mistrz, może się okazać bardzo trudne, bądź w ogóle niewykonalne. Podczas zwołanej kapituły opór starszyny przed radykalnymi reformami okazał się niemożliwy do przełamania. Trudno się temu dziwić, skoro wysocy dostojnicy również byli beneficjentami poluzowania rygorów moralno-religijnych, czerpiąc pełnymi garściami z możliwości tworzenia osobistych majątków. Parę istotnych zmian wielkiemu mistrzowi udało się jednak przeforsować. Braciom zakazano posiadania majątków ziemskich i prowadzenia handlu na własną rękę pod rygorem surowych kar. Ponadto Konrad von Erlichshausen wykonał posunięcie, które przysporzyło mu zwolenników i zapewniło szacunek; zadeklarował – i swojego słowa w tym względzie dotrzymał przez cały okres rządów – nadawanie stanowisk i urzędów bez wyróżniania bądź dyskryminowania którejkolwiek z grup.

Popularności dodały mu również posunięcia wymierzone w Związek Pruski. Miały one charakter finezyjnego nacisku i wykorzystywania sprzeczności i nieporozumień wewnątrz tej organizacji, umiejętnie prowokowanych przez samego wielkiego mistrza, który z wyczuciem stosował starorzymską zasadę: dziel i rządź. Rozdźwięk w łonie Związku Pruskiego wywołała kwestia przywrócenia cła funtowego oraz wprowadzenia nadzwyczajnego podatku, przeciwko czemu zaprotestowali głównie przedstawiciele ziemi chełmińskiej. Konrad von Erlichshausen wykorzystał tę okoliczność do osłabienia jedności związku. Jak istotę prowadzonej przez niego polityki celnie ujął Robert Tomczak: „Wielki mistrz prowadził podwójną grę, w której

starał się obiecywać szlachcie jedno, miastom drugie, a i tak zmierzał do wprowadzenia własnych pomysłów, usiłując tym samym skłócić te dwie grupy społeczne w Prusach”. Udało mu się to dzięki wykorzystaniu naturalnego konfliktu w sferze handlowej, wynikającego z cen produktów rolnych i różnicy w zyskach osiąganych przez miasta i rycerstwo (szlachtę).



Toruń, grafika z XVII wieku.

Nie będzie błędem stwierdzenie, że od czasów Hermanna von Salzy i Hermanna von Balka zakonem krzyżackim zarządzało niewielu przywódców na miarę Konrada von Erlichshausena. Dodatkowo udało mu się zyskać sprzymierzeńców w gronie biskupów pruskich. Ze szczególnie zajadłą krytyką i atakami na Związek Pruski podczas zgromadzenia stanów w Elblągu w 1446 roku występował biskup warmiński Franciszek Kuhschmalz, zarzucając, że nie tylko działa wbrew prawu boskiemu i świeckiemu ustanowionemu przez papieży, sobory i cesarzy, ale także usiłuje poddać spory z duchownymi specjalnemu sądownictwu. Zarzuty spotkały się z wielkim oburzeniem ze

strony związkowców, którzy nie będąc świadomymi prawdziwych intencji wielkiego mistrza, postanowili u niego poszukać pomocy i arbitrażu. Ten zaś, ku swojej radości postawiony w roli rozjemcy, skorzystał z sytuacji i zaproponował Związkowi Pruskiemu samorozwiązanie, co w jego mniemaniu miało uchronić kraj przed wyniszczającym konfliktem stanów z Kościołem. Jednak tym razem Konrad von Erlichshausen wpadł we własne sidła, gdyż doszło do zażegnania sporu pomiędzy Związkiem i biskupami i przyczyna zakończenia jego działalności w sposób naturalny odpadła. Taki stan rzeczy wzbudził irytację zakonnych dostojników. Pojawiły się głosy, aby reprezentacji stanów pruskich pozbyć się siłą. Racjonalność takiego rozwiązania z punktu widzenia Krzyżaków wydawała się oczywista. Związek Pruski z każdym rokiem zyskiwał na znaczeniu i odkładanie w czasie nieuchronnej rozprawy z nim zmniejszało szanse zakonu na odzyskanie wcześniejszej pozycji. Należało działać, ale to bez wątpienia mogło przynieść wojnę domową i zaprzepaszczenie trwającej od kilkunastu lat odbudowy potencjału krzyżackiego państwa. Jednak ten problem przestał wkrótce dotyczyć Konrada von Erlichshausena. Jego zdrowie poważnie zaszwankowało. Najpierw przeszedł udar mózgu, potem atak apopleksji. Wielki mistrz zmarł w listopadzie 1449 roku na zamku w Malborku. Krótko przed śmiercią, proszony o wyznaczenie swojego następcy, wskazał na komtura Ostródy, optującego za kompromisem i kontynuacją pokojowej polityki. Czuł jednak, że raczej nie znajdzie on uznania w oczach kapituły, w której większość mieli zwolennicy radykalnych rozwiązań. Murinius napisał, że „(...) przez te czasy spokojnego mistrza mając Krzyżacy, zwątlonych też sił będąc, a w rozpuszcie wielkiej żyli, co bardzo mistrza frasowało, że od tego ciężkiego frasunku śmierć musiał mieć, cnotliwy człowiek



Konrad von Erlichshausenn”. Odchodził ze świadomością, że pomimo wielkich wysiłków i starań nie udało mu się przeprowadzić zaplanowanych reform ani uchronić zakonnego państwa przed niebezpieczeństwem, jakie groziło mu ze strony Związku Pruskiego.

Już za kilka lat miało się ono ujawnić w pełnej grozie.

## WOJNA TRZYNASTOLETNIA

„W ciągu roku tego wybuchła bardzo ciężka wojna, tym cięższa, im bardziej niespodziewana, między mistrzem Ludwikiem, komturami i Zakonem Krzyżackim z jednej, a rycerzami, szlachtą i mieszczanami Prus z drugiej strony”.

(Jan Długosz w *Rocznikach czyli kronikach sławnego Królestwa Polskiego* pod rokiem 1454)

**Z**marły mistrz miał rację. Jego następcą nie został człowiek stateczny i wyważony, ceniący pokój i skłonny do prowadzenia przez zakon dotychczasowej polityki. Po władzę sięgnął Ludwig von Erlichshausen, bratanek poprzednika, stanowiący jego całkowite przeciwieństwo. Robert Tomczak napisał o nim wprost: „Całe wcześniejsze panowanie swojego stryja Konrada zaprzepaścił w przeciągu kilku lat, choć otrzymał od niego państwo w dobrej kondycji finansowej i ze względnie stabilną sytuacją wewnętrzną”. I to on, nadto ambitny, nieostrożny i porywczy, żyjący przekazami starszych braci o czasach niegdyśszej potęgi, lekceważący realia i pragnący ją za wszelką cenę odbudować – poprowadził zakon do największej po Grunwaldzie, a skutkami przewyższającej go zapewne klęski.

Pomimo silnego poparcia skrzydła konserwatywnego, które zdobyło w zakonie pozycję dominującą, wielki mistrz zrazu nie chciał wykopywać wojennego topora i po odebraniu od stanów przysięgi wierności, z pomocą

papieskiego legata, usiłował zmusić Związek Pruski do samorozwiązania. Ludwig von Erlichshausen zagroził mu ekskomuniką. Rozpoczęła się wymiana listów i wzajemnych oskarżeń oraz mniej lub bardziej zawołowanych gróźb. Ostatecznie postanowiono poddać się sądowi cesarskiemu. Fryderyk III Habsburg, noszący cesarską koronę od 1452 roku, miał wydać wyrok w końcu lata 1454 w Wiedniu. Wkrótce rozpoczęła się żmudna procedura, przeglądanie dokumentów i słuchanie świadków. Zwaśnione strony przedstawiały posiadane dowody, lecz nie czekały biernie na wyznaczony termin cesarskiego orzeczenia. Krzyżacy, licząc na przychylny werdykt, na wszelki wypadek, gdyby jednak okazał się niekorzystny bądź nie został uszanowany przez Związek Pruski, podjęli przygotowania wojskowe, zaciągając żołnierzy i gromadząc zapasy żywności. Ich oponenti postanowili natomiast poszukać wsparcia na polskim dworze, a nadto uzyskali potwierdzenie przez cesarza przywilejów dla miast pruskich. Król Kazimierz Jagiellończyk przyrzekł wspierać związek w konflikcie z Krzyżakami, dostrzegając w rosnącym fermentie w państwie zakonnym oczywistą korzyść dla Polski.

W połowie 1453 roku doszło do dramatycznego wydarzenia. Delegaci związku zostali napadnięci i obrabowani przez nieznaną sprawców zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Wiednia, a kilku z nich uprowadzono. Okazało się, że nie padli ofiarą przypadkowych rzezimieszków; wśród napastników był wójt krzyżacki z Lipinka i trudno się było spodziewać, aby na tak zuchwały krok powążył się z własnej inicjatywy. Temperatura sporu pomiędzy zakonem a Związkiem Pruskim wyraźnie zaczęła rosnać. Atmosfera w dużych miastach gęstniała, krzyżacka władza nad nimi stawała się coraz bardziej iluzoryczna. W murach Torunia rozlegały się

słowa piosenki: „Przyszła nareszcie chwila, w której przyjaciele Zakonu spokojnie zasypiać nie będą”. Mieszczanie zaczęli się zbroić, zaś chłopci coraz liczniej popierać związek. Jego przedstawiciele postanowili powołać dwunastoosobową tajną radę jak organ wykonawczy. Wybrani zostali do niej wybitni przedstawiciele stanów pruskich słynący z antykrzyżackiej postawy. To nie byli ludzie wierzący w pokojowe rozwiązanie sporów z zakonem i od momentu stworzenia przez nich swego podziemnego rządu związku – również oni zaczęli przygotowywać się do wojny.

Jak bardzo było to sensowne, okazało się jesienią 1453 roku, kiedy na kilka miesięcy przed ustalonym terminem cesarz wydał wyrok. Zupełnie druzgocący dla Związku Pruskiego i jakby nie przystający do wcześniejszego zachowania Fryderyka III. Cesarz nakazał rozwiązanie organizacji jako założonej bezprawnie, nazwał jej członków bezbożnikami i zagroził karami w przypadku niepodporządkowania się ogłoszonemu przez siebie werdyktowi. Ale to nie wszystko. Około trzystu przywódców związkowym, jako aktywnym działaczom i prowodyrom wzywającym do oporu wobec władzy zakonu, nakazano zapłacić życiem. Cesarski wyrok okazał się iskrą, która spadła na beczkę prochu.

W dniu 4 lutego 1454 roku Tajna Rada Związku Pruskiego wypowiedziała przysięgę wielkiemu mistrzowi i wysłała posłów do króla Kazimierza Jagiellończyka z prośbą o włączenie Prus Krzyżackich do Królestwa Polskiego. Było to równoznaczne z rozpoczęciem wojny domowej w państwie zakonnym. Niespełna trzy tygodnie później wypowiedział ją Krzyżakom polski król, a na początku marca – wydał edykt o inkorporacji Prus. Nikt wówczas nie mógł przewidzieć, że wojna będzie trwała przez długich trzynaście lat. Tym

bardziej że jej pierwsze tygodnie stały pod znakiem piorunujących zwycięstw związkowców nad Krzyżakami. Decydujący okazał się czynnik zaskoczenia. Niemal jednocześnie zostały zaatakowane przez pruskie rycerstwo najważniejsze twierdze i ogromna ich większość padła po krótkotrwałym oporze lub bez walki. Wielki udział mieli w tym dopuszczeni do spisku mieszczenie sprzyjający Polsce. Na długiej liście zakonnych miast i fortec, które już w lutym dostały się w ręce Związku Pruskiego, znalazły się Gdańsk, Toruń, Gniew, Tuchola, Golub, Rogoźno, Kowalewo, Pokrzywno, Człuchów, Grudziądz, Brodnica, Radzyń, przy czym jedynie cztery ostatnie stawiały bardziej zacięty opór. Obroniły się tylko Sztum i Malbork, do których dołączyły odzyskane przez Krzyżaków Chojnice.

W okamgnieniu zakon utracił niemal całe Prusy. Zamknięty w stolicy wielki mistrz i krzyżacy dostojnicy z rozpaczą zapoznawali się z dramatycznymi raportami i wsłuchiwali w dochodzące zza murów twierdzy echa wydarzeń potwierdzających skalę klęski. Pruskie mieszczaństwo i szlachta gremialnie zgłaszali akces do związku, posłuszeństwa odmówiła Krzyżakom kapituła warmińska. Wszystko się waliło i wyglądało na to, że przeszło dwa wieki krzyżackiej obecności w Prusach i wszystkie ich usiłowania pójdą na marne. Ale do tego potrzebny był skoordynowany wysiłek, który pozbawiłby zakon ostatnich bastionów władztwa. Zabrakło go. Polacy nie potrafili zadziałać dość szybko i wykorzystać nadarżającej się sposobności do likwidacji władzy zakonu krzyżackiego na terenie Prus.

Malbork cieszył się zasłużoną sławą jednej z najsilniejszych warowni w Europie i pod względem zaopatrzenia w prowiant i zapasy wojenne był dobrze przygotowany do obrony, ale posiadał załogę

niewystarczającą do obsadzenia całości fortyfikacji. Liczyła ona trzy tysiące ludzi i w przypadku energicznie prowadzonego oblężenia wcale nie musiała zwycięsko doczekać na pomoc zaciężnych wojsk z Zachodu, na które wielki mistrz poświęcił niemal wszystkie finansowe zasoby zakonu. W akcie desperacji postanowił zastawić elektorowi brandenburskiemu Nową Marchię za nędzne czterdzieści tysięcy florenów, sumę zupełnie nieadekwatną do jej wartości. Ale jest też pewne, że obrona stolicy, niezależnie od wysiłków i potęgi oblegających, prowadzona byłaby z najwyższą determinacją. Wskazuje na to los, jaki spotkał niejakiego Mikołaja, puszkarza, który dał się przekupić oblegającym i zobowiązał do zagwoźdżenia największych malborskich dział. Jego kara miała być przestrożą dla innych i zapewne taki skutek osiągnęła. Zdrajca został żywcem poćwiartowany na oczach zgromadzonej na zamkowym dziedzińcu większej części załogi, a ci, którzy kaźni nie widzieli, poznali jej makabryczne szczegóły z opowiadań swoich kamratów. Musiały podzielać na wyobraźnię, bo brak informacji, aby ktoś jeszcze zechciał się skusić na judaszowe srebrniki. Zresztą Malbork szybko oswobodził się z blokady. Jego załoga dokonała śmiałej wycieczki za mury i rozbiła siły przeciwnika złożone głównie z Gdańszczan, co pozwoliło Krzyżakom odzyskać kontrolę nad Wielkimi Żuławami zapewniającymi zaopatrzenie w żywność dla zakonnej stolicy. Ten niewielki w istocie sukces wlał otuchę w krzyżackie serca, a szczególnie podniósł na duchu zdruzgotanego sytuacją wielkiego mistrza, który w pierwszym momencie po wybuchu buntu wpadł w rozpacz i nawet myślał o uznaniu Związku Pruskiego, byle tylko powstrzymać fatalny dla zakonu bieg wypadków. Nieoczekiwanie pomogli w tym sami Polacy, którzy przecież mogli być największymi beneficjentami pruskiego wybuchu.

Stało się podobnie jak w dobie Grunwaldu. Tak o tym napisał Długosz: „Mistrz i Krzyżacy z ich zwolennikami zepchnięci w jeden kąt, trzymali jedynie zamek Malbork i Sztum, które można było łatwiej zdobyć, gdyby posłów pruskich – jak twierdzili – szybciej odprawiono. Byli też niektórzy spośród dostojników polskich, którzy wobec tak wielkiej zmienności powodzenia spraw pruskich uznali tak ślepy los za bardzo podejrzany i obawiali się, że lada dzień może nastąpić jego zmiana, tak jak wiedzieli, że zgodnie ze swą naturą żadne powodzenie nie zwykło spotykać śmiertelnych bez zawiści”.

Zamiast dokonać dzieła i zdobyć ostatnie krzyżackie twierdze, w końcu wiosny Kazimierz Jagiellończyk odbył triumfalną wizytację Prus. Towarzyszył mu tłum biskupów, wojewodów, dygnitarzy, rycerstwa i liczne oddziały wojska. W Toruniu, w którym polski żywioł był może najsilniejszy, „wszedłszy na podniesienie i na tron zbudowany w tym celu i ozdobiony na rynku miasta (...), w płaszczu, strojny w diadem królewski, ze wszystkimi insygniami królewskimi: jabłkiem, berłem i mieczem, w asyście prałatów i dostojników polskich, przyjął hołd od ziemi chełmińskiej”. Wojewoda razem ze szlachtą i starszyzną, niosąc chorągwie i miejskie godła: „Na znak uległości i poddania się rzucili je do stóp królewskich i złożyli przysięgę wierności, posłuszeństwa i podległości, przysięgę, która miała być wiecznie przestrzegana”. Tłumy gawiedzi pragnące uczestniczyć w niezwykłym wydarzeniu były tak duże, że król wraz z asystą z wielkim trudem przedostał się do wnętrza kościoła św. Jana, w którym po mszy odśpiewano *Te Deum laudamus* (Ciebie, Boga, wysławiamy). Podobna uroczystość odbyła się kilka dni później w Elblągu. Królewiec, który również byłby rad powitać władcę, musiał

się zadowolić obecnością jego przedstawiciela, kanclerza Jana z Koniecpola.

Upojenie wywołane bezkrwawymi triumfami szybko ustąpiło miejsca prozie wojny. Niebawem miała ona ukazać Polakom swoje okrutne oblicze. Dwa tysiące zaciężnych żołnierzy, blokujących Malbork, Sztum i Chojnice, zwerbowanych przez stany pruskie na Śląsku, w Polsce i Czechach, nie chciało walczyć bez zapłaty umówionego żołdu. Ten zaś, zważywszy, że szeregowy wojak pobierał dwa floreny tygodniowo, zaś oficerowie zdecydowanie więcej, siedł w tysiące florenów węgierskich (floreń stanowił równowartość półtorej grzywny pruskiej) za każdy miesiąc służby. Król, który przez cały okres swoich rządów miał borykać się z problemami finansowymi, robił wszystko, aby utrzymać oddziały zaciężnych, jednak zaciągane przez niego pożyczki okazały się niewystarczające, a obłożenie dodatkowymi podatkami wojennymi pomorskich miast – wywołało głębokie niezadowolenie. Jeszcze większy ferment panował w szeregach zaciężnych oblegających Chojnice, pod które król Kazimierz zwołał pospolite ruszenie z Kujaw i Wielkopolski. Dyscyplina niemal zupełnie upadła, żołnierze grozili dowódcy, Mikołajowi Szarlejskiemu, śmiercią i porzuceniem oblężenia. Osiemnaście tysięcy szlachty zatrzymało się w niedalekiej od Chojnic Cerekwicy i zażądało od władcy nie tylko potwierdzenia już istniejących, ale nadania nowych przywilejów stanowych, grożąc, że „w przeciwnym razie nie pójdą wcale do walki”. Postawiony w przymusowym położeniu Jagiellończyk – do obozu dochodziły wieści o idącej z Niemiec odsieczy dla Chojnic – zgodził się na wszystkie żądania i rozococona, pewna siebie szlachta zaczęła się szykować do bitwy. Żądali jej głośno Wielkopolanie, podczas gdy dowódcy zaciężnych proponowali przepuścić odsiecz do Chojnic i zamknąć ją w



twierdzy z dotychczasową załogą, aby tym łatwiej i jednym, i drugich głodem zmusić do kapitulacji.

Kazimierz przychylił się do pierwszej koncepcji i zdecydował o stoczeniu batalii w polu. Doszło do niej 18 września 1454 roku na południe od Chojnic. Polacy wybrali obronną pozycję na wzgórzach, częściowo niwelując jakościową przewagę nieprzyjaciela. Jednak tysiące herbowych z lekceważeniem wypowiedało się o nadciągającym, zdecydowanie mniej liczny wrogu, oczekując łatwego zwycięstwa. Było tak aż do momentu ukazania się nieprzyjacielskich hufców, liczących około ośmiu tysięcy konnych i pieszych zaciężników (źródła krzyżackie wspominają o niemal dwukrotnie liczniejszej armii). Prowadzili je cieszący się sławą zdolnego wodza morawski zaciężny Bernard Szumborski oraz śląski Piast, książę Rudolf żagański. Widząc nadchodzące głębokie szeregi zawodowych rębajłów, Wielkopolanie i Kujawianie struchleli, a ich dowódcy – trzej wojewodowie i kasztelan, mocno odwykli od prowadzenia żołnierzy do boju – poczuli na plecach nieznośny ciężar odpowiedzialności. Jak stwierdził Długosz: „niewielu bowiem było wśród nich rycerzy ćwiczonych w boju, ale najwięcej nowozaciężnych, którzy – jak to ludziom wrodzone – przy pierwszym spotkaniu odczuli trwogę”. Jednak szlachta nie uchyliła się od boju. Z furią runęła na wroga i w pierwszym impecie zepchnęła jego hufce do zacieklej obrony. Książę Rudolf padł, a Szumborski na chwilę dostał się do niewoli, aby następnie, wypuszczony na słowo rycerskie – trudno dzisiaj to pojąć! – nadal dowodzić armią.



*Bitwa pod Chojnicami, 1454 rok. Kopia obrazu Fritza Grotmeyera.*

Wydawało się, że krzyżacka odsiecz ugnie się pod nawałą polskich mieczy. Stałoby się tak niechybnie, gdyby część nieprzyjacielskiej piechoty nie postawiła twardego oporu, korzystając z osłony wozów bojowych. Dało to czas pozostałym oddziałom na ochłonięcie, a Polaków zmusiło do przegrupowania sił przed następnym uderzeniem. Ale wówczas na polskich tyłach powstał nieopisany zamęt i część oddziałów rzuciła się do panicznej ucieczki. Stało się tak za sprawą niespodziewanego ataku załogi Chojnic, przed którym się nie zabezpieczono. Sytuacja diametralnie się odwróciła i bliscy porażki Krzyżacy odnieśli całkowite zwycięstwo. Polskie pospolite ruszenie i zaciężni rozpierzchli się, a sam król – o czym wspomniał Długosz – ledwie uniknął wzięcia do niewoli: „Sam król o mało nie wpadł w ręce nieprzyjaciół, z zaciętą bowiem wytrwałością dotrzymywał placu, krzepiąc i usiłując odświeżyć bitwę; zaledwie ci, którym straż jego była powierzona, zdolali opierającego się zabrać z pola i zmusić do ucieczki”. Pobojowisko zasłały trzy tysiące polskich trupów, Krzyżacy

stracili jedynie stu zabitych. Spośród znaczniejszych polskich panów polegli podkanclerzy Piotr ze Szczekocin i starosta kolski Jan Zawisza z Rożnowa, syn sławnego Zawiszy Czarnego. Wojewodowie poznański i inowrocławski dostali się do niewoli, a łupem przeciwnika padło ponad trzy tysiące wozów wyładowanych sprzętem wojskowym, żywnością, przedmiotami zbytku i kosztownościami. Zarówno to, jak i porównanie wzajemnych strat świadczyły o tym, że pod Chojnicami doszło do swoistego rewanżu za Grunwald. Poważnej klęski w żadnym stopniu nie równoważyło trochę wcześniejsze zdobycie Sztumu.

Nim jeszcze ostygły zwłoki zabitych, po stronie polskiej wylały się wzajemne żale. Obrzucając się zarzutami o tchórzostwo i złe dowodzenie, zaczęto szukać winowajców klęski. Najgłośniej gardłowali ci, którzy jako pierwsi uciekali spod Chojnic. Zupełnie inaczej zachowywali się przedstawiciele miast pomorskich i rycerstwa, którzy prosili polskiego władcę, „aby się nie zrażał doznaną przeciwnością, ale czym prędzej nowe zbierał wojska”. Podobno – jak twierdzi Długosz – Kazimierz w odpowiedzi miał stwierdzić, że „klęska doznana bardziej go rozgniewała niż pokonała”. To były jednak tylko słowa. W rzeczywistości cios, jakiego doznał Kazimierz Jagiellończyk i jego królestwo, był nad wyraz bolesny. Wojna, której płomień mógł zostać stłumiony pod Chojnicami, rozpałała się na dobre. Twierdza została odblokowana, a Krzyżacy, którzy w przeciwieństwie do wroga potrafili skorzystać z wielkiego, połowego zwycięstwa, zaraz potem odbili Tczew, Gniew, Ostródę, Olsztynek, Miłomłyn i wiele innych zamków. Autorytet zakonu i wielkiego mistrza wzrósł stosownie do serii sukcesów, a mieszczaństwo, dostrzegając nieudolność Polaków, zaczęło się skłaniać ku Krzyżakom. Tym bardziej

że na początku 1455 roku pod Łasinem królewskie wojska znów poniosły dotkliwą porażkę. Tym razem Krzyżakom uległo pospolite ruszenie z Rusi i Małopolski, o wiele bardziej doświadczone i sprawniejsze w boju niż Wielkopoleanie. Wynik obu bitew z udziałem szlachty wyraźnie dowodził wyższości bojowej oddziałów zaciężnych, walczących po stronie zakonu krzyżackiego.

Przykre doświadczenie tyle nauczyło króla i jego doradców, że na czerwcowym sejmie w Piotrkowie udało się przeprowadzić uchwały podatkowe z myślą o uzyskaniu żołdu przeznaczanego na zaciężnych. Werbowano ich głównie na terenie Czech i Śląska, jednak – jak stwierdza Długosz – „szło to leniwo, choć potrzeby były palące”. Nie mogło być inaczej, skoro szlachta, w szczególności małopolska, najmniej zainteresowana wojną na północnych kresach państwa, z oporami godziła się na dodatkowe ofiary finansowe. Ostatecznie akcja werbunkowa przyniosła rezultaty dalece odbiegające od potrzeb i oczekiwań. W końcu lata, jakby zapominając o doznanych klęskach, ale też nie mając wielkiego wyboru, król znów posłużył się tłumami pospolitego ruszenia, które na ziemiach zakonnych przedostały się po moście łyżwowym na Wiśle pod Toruniem, co wpisywało się w chlubną tradycję zapoczątkowaną przez Jagiełłę mostem o podobnej konstrukcji ułożonym pod Czerwińskiem. Podobno armia liczyła sto tysięcy ludzi, ale to raczej kronikarskie bajania i w rzeczywistości król poprowadził przeciwko Krzyżakom wojska trzykrotnie mniej liczne, ale w ówczesnych realiach i tak imponujące liczebnością. I na tym oraz na cieszącym oczy iście „marsowym” wyglądzie koronnych hufców kończyła się ich wartość. Niewielki Łasin, dzisiaj liczący około dwóch i pół tysiąca mieszkańców, po raz drugi w ciągu kilku miesięcy okazał się pechowy dla Polaków. Krzyżacki zamek z

niewielką załogą oparł się nielicznym rotom zaciężnego żołnierza, bynajmniej nie spieszącego się do jego zdobywania wobec zaległości w wypłacie żołdu, oraz tłumom herbowych, zupełnie niewprawnych w zdobywaniu nawet stosunkowo niewielkich twierdz. Zresztą wkrótce, za zgodą monarchy, szlachta rozeszła się, spiesząc ku domowym pieleszom na żniwa i do bliskich.

Porażki pospolitego ruszenia i nie stanowiące tajemnicy kłopoty finansowe Krzyżaków spowodowały, że w otoczeniu króla zrodziła się brawurowa myśl wykupienia części zakonnych zamków od ich zaciężnych załóg, którym nie płacono umówionego żołdu. Na polską ofertę odpowiedzieli najemni Czesi, ale ich dowódca, Oldrzych (Ulryk) Czerwonka, w zamian za oddanie Malborka, Chojnic, Tczewa, Gniewa i paru innych twierdz – zażądał nazbyt wysokiej sumy: czterystu tysięcy złotych. W pierwszym momencie wydawała się ona niemożliwa do zebrania, ale zdesperowany władca, zamiast krwιά, wołał za pomocą pieniędzy złamać siłę wroga i podjął wyzwanie zdobycia ogromnej sumy. Na miasta pomorskie nałożono specjalny podatek, a Kazimierz, upokarzając się i nadwyrężając królewski majestat, prosił krakowski kler o wypożyczenie kościelnych klejnotów i błagał o pomoc własną matkę. Ostatecznie udało się uzyskać nawet trochę większą sumę od żądanej i usatysfakcjonowani Czesi wydali Polakom dwadzieścia jeden miast i zamków, w których stali załogą. Na pierwszym miejscu tej listy znalazła się krzyżacka stolica. Na początku czerwca 1457 Malbork widział niezwykle zjawisko: wielki mistrz, płacząc, opuszczał jego mury, a dwa dni później wjechał do miasta Kazimierz Jagiellończyk. Sprzedajni jurgieltnicy sprawili to, czego nie mogły dokonać tysiące zbrojnych przed trzema laty i wcześniej,

bezpośrednio po Grunwaldzie. Jednak triumf, zbudowany na kruchych podstawach, okazał się krótkotrwały.

Już trzy miesiące później Krzyżacy odzyskali miasto, a polska załoga utrzymała się w zamku. Dopiero w 1460 roku, kiedy Polacy musieli za zwycięstwo nad wrogiem zapłacić nie pieniędzmi, ale krwią, udało się zdobyć Malbork po regularnym oblężeniu i odtąd miał pozostawać w polskich rękach aż do upadku państwa w XVIII wieku. W tym czasie stał się jedną z ulubionych rezydencji polskich władców. Zdrada Czechów, chociaż oni sami mieli zupełnie inne zdanie na swój temat, była dla zakonu obezwładniającym ciosem. Zdarzyła się w samym sercu jego najważniejszych posiadłości i pozbawiła Krzyżaków najwartościowszych punktów oporu. Teraz wojna miała się toczyć z różną intensywnością; większą aktywność dość długo wykazywał zakon, ale obie strony dobrze wyczuwały, kto może wyjść z niej jako zwycięzca. Wojska królewskie atakowały w wielu miejscach jednocześnie, spychając wroga do defensywy i obrony twierdz. Do bitew w polu dochodziło sporadycznie. Zawodowe oddziały, mimo że dość słabe liczebnie, o wiele lepiej sprawdzały się w walkach niż pospolite ruszenie. Krzyżacy odnosili jedynie niewielkie sukcesy, takim było chociażby opanowanie Brodnicy oraz kilku innych miast, głównie przy pomocy mieszczan. Jak zanotował Długosz: „Miasto Stargard zostało wydane wrogom przez trzech rajców”; we Frydlandzie, wpuszczeni potajemnie w mury miejskie Krzyżacy wymordowali „w łózkach dwustu pięćdziesięciu rycerzy z załogi królewskiej”. Podobnie miało być w Toruniu i Gdańsku, ale w obu tych miastach na czas wykryto antypolski spisek i ustrzeżono się rzezi.

Przełom w wojnie i przejęcie inicjatywy przez Polskę potwierdziła stoczona we wrześniu 1462 roku bitwa pod Świecinem koło Pucka (nie Świeciem, które pojawia się w

niektórych opracowaniach). Polskimi wojskami, złożonymi z dwóch tysięcy zaciężnych, dowodził Piotr Dunin herbu Łabędź, od poprzedniego roku naczelny dowódca oddziałów zaciężnych z tytułem ich hetmana. Krzyżacy, pod komendą Fritza Rawenecke, dysponowali armią o kilkuset ludzi liczniejszą, lecz ich przewaga na nic się zdała. Dunin panował nad przebiegiem starcia i z wielkim wyczuciem rzucał do boju kolejne oddziały. W krytycznym momencie, kiedy krzyżacka konnica przeprowadziła brawurowy atak, spychając Polaków w kierunku taboru, powstrzymał jej szarżę chmurą bełtów wystrzelonych przez ukrytych w lesie kuszników, co wywołało popłoch w szeregach przeciwnika. Starcie trwało z przerwami kilka godzin i charakteryzowało się wielką zaciekłością. Jego opis pozostawił Długosz, pisząc o całkowitym zwycięstwie. „Zabrali Polacy 200 wozów, 15 dział i wszystek obozowy rynsztunek. Ze strony nieprzyjacielskiej legło w bitwie 2 tys. ludzi, 600 dostało się do niewoli. Z Polaków, prócz Hektora Chodorowskiego herbu Bróg, żaden szlachcic nie zginął; tylko z gminu, tak z konnych, jak i pieszych, 100 mężów”. Bardzo niewiele od śmierci dzieliło Dunina: „Sam nawet dowódca wojska, Piotr Dunin, odniósł ciężką, chociaż nie niebezpieczną ranę w rękę, prócz tego draśnięty w udo przy pęknięciu od strzału działowego zbroi”. Największy polski kronikarz zdecydowanie przesadził, pisząc o krzyżackich stratach i nie doszacowując polskich. Gdyby przyjąć jego przekaz za dobrą monetę, nieprzyjacielska armia byłaby niemal w całości unicestwiona. W rzeczywistości zginęło około tysiąca ludzi Fritza Rawenecke na czele z nim samym, natomiast po polskiej stronie było wielu rannych, z których duża część zmarła, podnosząc wysokość strat do dwustu pięćdziesięciu żołnierzy. Również liczba jeńców została bardzo przez Długosza zawyżona; było ich poniżej stu. Bez wątpienia

jednak batalia, tak zdecydowanie wygrana przez Dunina, miała ogromne znaczenie. Zdaniem Marcina Spórny, autora *Słownika najślynniejszych wodzów i dowódców polskich*: „Starcie pod Świecinem okazało się przełomowym wydarzeniem w wojnie trzynastoletniej – pierwszym znaczącym zwycięstwem polskim, kończącym okres krzyżackich sukcesów”. Teraz nastąpił czas polskich triumfów.

Równoległe do działań lądowych niemal przez cały okres wojny z różną intensywnością trwały starcia na otwartym morzu w całym rejonie południowego Bałtyku oraz na wodach Zatoki Gdańskiej i Zalewu Wiślanego. Do polsko-krzyżackiego konfliktu wciągnięte zostały Dania i Szwecja oraz miasta hanzeatyckie. Pierwszy z tych krajów, kontrolujący cieśniny duńskie, a tym samym handel bałtycki z krajami Zachodu, już jesienią pierwszego roku wojny zawarł z zakonem przymierze, wspomagając go silną flotą. Zagwarantowało to Krzyżakom kontakt z krajami Rzeszy i dowóz zaopatrzenia oraz posiłków. Szwecja, władana przejściowo przez Karola VIII Knutssona, rywalizującego z królem Danii Chrystianem I, wsparła natomiast Polskę. Hanza zadeklarowała neutralność, ale w maju 1455 roku zawarła układ z Danią, uzyskując prawo swobodnej żeglugi w zamian za niepopieranie wrogów tego państwa; w praktyce chodziło o Polskę, Szwecję i stany pruskie. Tym samym Hanza zdradziła interesy swoich miast, z zaangażowanym w wojnę z zakonem Gdańskim na czele. Zaraz po zawarciu wspomnianego sojuszu Dania wypowiedziała wojnę Polsce, Szwecji i Związkowi Pruskiemu. Krok ten wywołał natychmiastową reakcję Gdańska, którego władze wydały swoim kapitanom listy kaperskie, uprawniające do atakowania i przechwytywania wszystkich statków zmierzających do krzyżackich portów. Oznaczało to ogłoszenie blokady zakonnego wybrzeża. Jako



pierwsza ofiarą tego zarządzenia padła flotylla statków niderlandzkich, mających w ładowniach transport soli. Nałożono na nie karę i pozwolono powrócić do kraju, ale sprawa zyskała rozgłos, pokazując, że rada miejska Gdańska nie rzucała słów na wiatr. Gdańscy kaprzy patrolowali nie tylko rejon wybrzeży Inflant i Cieśniny Bałgijskiej, którą przegrodzili palami, ale dokonywali także rajdów w okolice wysp duńskich, atakując nadmorskie osiedla. Celem podobnych, grabieżczych wypraw stało się ujście Pregoty, okolice Memla i Półwysep Sambijski. Niderlandczycy, pomimo nauczki, nie zrezygnowali z handlu z Krzyżakami i przełamali blokadę, ale stało się to za cenę kilku statków, które utracili w regularnej bitwie z gdańszczanami. Tym razem wszystkie zdobyte jednostki zostały skonfiskowane wraz z przewożonym towarem.

Największą bitwę morską w tej wojnie (choć akurat to określenie jest wysoce przesadzone, zważywszy miejsce, w którym do niej doszło) stoczono w 1463 roku. Flotylle wojujących stron spotkały się bowiem nie na pełnym morzu, ale na Zalewie Wiślanym. Przyczyna tkwiła w przebiegu działań na lądzie. Polacy szczelnie otoczyli leżący poniżej wideł Wisły i Nogatu Gniew, zapewniający Krzyżakom kontrolę nad długim odcinkiem Wisły i połączenie z zamkami w Prusach i na Pomorzu. Jednocześnie Gniew utrudniał połączenie pomiędzy Polską a Gdańskiem i ułatwiał komunikację państwu zakonnemu z Rzeszą. Jego strategiczne znaczenie doceniały obie strony. To było już drugie oblężenie potężnej twierdzy. Pierwsze, prowadzone na początku wojny, zakończyło się w kontrowersyjnych okolicznościach. Polskie oddziały odeszły spod Gniewu, mimo że jego załoga cierpiała na brak żywności i wody i kapitulacja była jedynie kwestią czasu. Okazało się, że dowódcy zostali przekupieni przez Krzyżaków i w głośnym

procesie zarządzonym przez króla skazano ich na śmierć. Jednak teraz komendę nad wojskami sprawowali ludzie o nieposzlakowanej opinii, Piotr Dunin i rotmistrz Tomec z Młodkowa, i było jasne, że po raz drugi Gniewu i jego załogi łapówka nie uratuje.

Zakon nie miał wyboru, musiał podjąć próbę odblokowania twierdzy o tak dużym znaczeniu dla dalszych losów wojny. Krzyżacy zdobyli się na duży wysiłek i zgromadzili aż czterdzieści cztery jednostki, duże łodzie i galery rzeczne, które wypłynęły z portu królewieckiego z odsieczą dla Gniewu. Na ich pokładach pomieściło się około tysiąca pięciuset żołnierzy, dowodzonych osobiście przez wielkiego mistrza, który doskonale zdawał sobie sprawę z wagi przedsięwzięcia. Ludwig von Erlichhausen liczył na niespodziewane przedostanie się z armadą tzw. Wisłą Elbląską (zakręcającą w okolicy Kieźmarku w kierunku Gdańska) w rejon ujścia Wisły i połączenie się z operującymi tam oddziałami Bernarda Szumborskiego, a następnie możliwie szybkie podejście w okolice Gniewu i zaskoczenie walczących pod jego murami oddziałów przeciwnika. Wiadomości o planach Krzyżaków dotarły jednak do Gdańszczan, którzy pomimo możliwości rzucenia do walki niewielkich, czterokrotnie ustępujących przeciwnikowi sił błyskawicznie przeprowadzili brawurową kontrakcję. Ich atutem byli doświadczeni dowódcy.

Dysponując w pierwszym momencie zaledwie jedenastoma statkami i nie mając większych szans na stoczenie zwycięskiej bitwy na wodach Zalewu Wiślanego, głównodowodzący flotyllą rajca Maciej Kolmener postanowił zatarasować tor wodny na Wiśle Elbląskiej. Wybrał najwęższe miejsce i tam kazał zatopić galar wiślany, a pozostałą wolną przestrzeń przegrodził drewnianymi palami. Za tą przeszkodą ustawiła się gdańska flota.

Krzyżacy nie odważyli się na jej forsowanie, racjonalnie oceniając, iż ewentualne straty będą zbyt wysokie, a gwarancja dalszej niezakłóconej żeglugi niepewna. Wielki mistrz wydał flocie rozkaz wycofania się w głąb Zalewu Wiślanego. Zapewne nie przewidywał żadnych dalszych kłopotów i przemyślał nad innym sposobem pospieszenia z odsieczą dla Gniewu. Ale gdańszczanie postarali się o wyjątkowo przykrą niespodziankę. Ich statki, po udrożnieniu toru wodnego, popłynęły w ślad za krzyżacką flotyllą. Wkrótce do Gdańszczan dołączyły jednostki z Elbląga, częściowo obsadzone polskimi zaciężnymi. Połączona flota obu miast liczyła około trzydziestu jednostek, nadal liczbą ustępując siłom krzyżackim. Niewiele zabrakło, aby ta dysproporcja stała się jeszcze większa, gdyż z Królewca wypłynęło kilka dalszych statków. Zostały one jednak przechwycone przez Gdańszczan i do wzmocnienia floty wielkiego mistrza nie doszło.

Jeśli Ludwиг von Erlichhausen sądził, że posiadana przewaga uchroni go przed atakiem przeciwnika, to się grubo pomylił. Kolmener i dowodzący posiłkami z Elbląga Jakub Vochs, po wysłuchaniu opinii swoich dowódców, postanowili wydać Krzyżakom bitwę. Liczyli zarówno na większe umiejętności nawigacyjne, jak i lepsze wyszkolenie własnych załóg. I w przeciwieństwie do wielkiego mistrza – nie pomylili się w swojej ocenie.

Nad ranem 15 września flotylla gdańsko-elbląska dopadła w Zatoce Świeżej wolniej płynącego wroga, po czym rozwinęła się do ataku w popularnym podówczas szyku półksiężycy. Żadna ze stron nie posiadała artylerii, a uzbrojenie zaczepne stanowiły rusznice i kusze. Ostrzał przy ich użyciu stanowił jedynie wstęp do abordażu jako podstawowego manewru w arsenale ówczesnej taktyki walki na morzu. Polegał on na podplynięciu do wrogiej jednostki,

wdarciu się na jej pokład i zdobyciu statku podczas bezpośredniego boju wręcz przy użyciu najróżniejszej broni. Jak w książce *Wojny na Bałtyku X–XIX w.* napisał Edmund Kosiarsz: „Uderzenie było tak silne, że Krzyżacy już w pierwszej fazie walki zaczęli opuszczać swe jednostki i chronić się na ląd”. Mogli tam szukać schronienia, gdyż ich statki zostały zepchnięte na płyciznę. Uczyniła tak licząca dwustu ludzi załoga dużego galaru wiślanego, której przewodził komtur Bałgi Siegfried Flach von Schwarzenberg, a wiele innych, nie zwlekając, poszło za jej przykładem. Takie zachowanie musiało się skończyć w jeden sposób: krzyżacka flota niemal w całości uległa unicestwieniu. Część łodzi została spalona i zatopiona, inne stały się łatwym łupem atakujących z impetem i śmiałością Gdańszczan i Elblążan, którzy zagarnęli do niewoli ponad pięciuset Krzyżaków. Setki zakonnych żołnierzy i marynarzy spoczęły w wodach Zalewu Wiślanego, a sam wielki mistrz cudem zdołał wynieść głowę z bitewnego zamętu. Zresztą szczęście nie opuściło go także kilkanaście dni później, kiedy morski desant, wysadzony przez gdańskich kaprów na wybrzeżu Sambii, o mało co nie wziął go do niewoli.

Nieszczęsna dla Krzyżaków batalia na wodach Zatoki Świeżej już ostatecznie popchnęła zakon ku klęsce w całej wojnie. Bezpośrednie konsekwencje starcia i zniszczenia krzyżackiej floty ujawniły się trzy miesiące później, kiedy w Nowy Rok skapitulowała wyczerpana dziewięciomiesięcznym oblężeniem załoga Gniewu. Tym samym zlikwidowany został krzyżacki przyczółek na lewym brzegu Wisły. Parę miesięcy później padł Puck. Klęska i utrata floty oznaczała również ogromne kłopoty finansowe, ale przede wszystkim już do końca wojny pozbawiła Krzyżaków możliwości prowadzenia działań na Bałtyku i wodach Wisły. To zaś oznaczało przerwanie przez gdańskich

kaprów morskich szlaków, którymi płynęło zaopatrzenie i posiłki dla zakonu. To zaś, co przydarzyło się wielkiemu mistrzowi, oznaczało, że nawet wybrzeża w pobliżu Królewca, dotychczas bezpieczne, utraciły taki charakter.

W końcu 1463 roku Krzyżaków spotkał jeszcze inny bolesny cios. Bernard Szumborski, który nie mógł się doczekać od zakonu zapłaty, wycofał się z wojny. Zrobił to w sposób wyjątkowo dotkliwy dla swoich dotychczasowych chlebobawców. Porozumiał się z Kazimierzem Jagiellończykiem i jak przystało na pozbawionego skrupułów kondotiera walczącego dla pieniędzy – przekazał mu zamki w Brodnicy, Chełmnie i Olsztynie. Na szczęście dla zakonu sam nie oddał się na służbę polskiego króla. Zrobiło to jednak wielu jego dotychczasowych podkomendnych, dla których nie miało znaczenia, że w przyszłości będą musieli bić się z niedawnymi towarzyszami broni. A to był dopiero początek problemów.

Wycofanie się Bernarda Szumborskiego zapoczątkowało całą serię zrad i decyzji o opuszczeniu Krzyżaków przez ich dotychczasowych sojuszników. Najpierw zbuntowali się mieszcianie kołobrzescy, wypowiadając posłuszeństwo biskupowi kamińskiemu, który wiernie stał przy zakonie. Krzyżacy usiłowali odbić miasto, ale uzyskało ono pomoc Gdańska i zdołało się obronić. W samym końcu zimy 1464 roku, po ułożeniu stosunków z przedstawicielami Związku Pruskiego, na stronę Kazimierza Jagiellończyka przeszedł natomiast biskup warmiński, wpuszczając polskie załogi do podległych mu zamków. Do Królewca niemal dzień po dniu docierały kolejne fatalne wieści. Polacy i Gdańszczanie oblegli Puck, a oddziały z Elbląga wdarły się na Półwysep Sambijski, skąd już tylko krok dzielił je od zakonnej stolicy. Wielki mistrz, pozbawiony wojsk i funduszy, spoza potężnych murów mógł jedynie bezsilnie przyglądać się

widniejącej na horyzoncie łunie pożarów i drzeń o własne bezpieczeństwo. Ale i tam nie czuł się całkowicie pewnie. Mieszczanie stawali się coraz bardziej bezczelni, przeklinając krzyżackie rządy, sarkać zaczęła również miejscowa szlachta. Wielki mistrz poczuł się schwytyany w pułapkę. Nie miał pieniędzy na opłacenie zaciężnych oddziałów i nie mógł walczyć; pozostały mu negocjacje ze znieawidzonym wrogiem. Nadmierna ambicja i pogarda dla Polaków nie pozwoliły mu jednak uznać się za pokonanego. Wciąż liczył na odmianę i odwrócenie losów wojny.

Podczas rozmów w Toruniu w lipcu 1465 roku pełnomocnicy wielkiego mistrza przejawiali na tyle nieustępliwe stanowisko, że pertraktacje zakończyły się na niczym. Na konsekwencje takiej postawy Krzyżacy nie czekali długo. Polacy otoczyli szczelną blokadą Nowe, ostatnią twierdzę przeciwnika nad Wisłą, a krótko potem zdobyli Puck i Działdowo. Sytuację zakonu jeszcze bardziej pogorszyła morowa zaraza, przerzedzając szeregi jego oddziałów w większym stopniu niż wroga. Jakby tego było mało, do walki przeciwko Krzyżakom stanęli poddani biskupa warmińskiego, w końcu roku samorzutnie tworząc oddziały zbrojne. Szala wyraźnie przechyliła się na polską stronę. Jedyne krzepiące wieści płynące z twarzo bronionego Nowego to było zbyt mało, aby Ludwigo von Erlichhausen i zakonna starszyczna mogli sobie złożyć szczere życzenia noworoczne. Tym bardziej że anemiczna próba odzyskania inicjatywy i zaatakowania kilku większych miast z Toruniem i Elblągiem zakończyła się niepowodzeniem.

Czara gorczy przelała się, kiedy z Rzeszy przybyło niemal tysiąc zaciężnych, ale nie było im z czego zapłacić za służbę; w lutym zaś Polacy opanowali Nowe. Oznaczało to, iż zakon został odcięty od Wisły, a widoków na kontrofensywę nie

było już żadnych. Zresztą z Polski doszły frustrujące wiadomości o uchwaleniu dodatkowych podatków na oddziały zaciężne i przygotowaniu do podjęcia decydujących działań zmierzających do zakończenia wojny. Oznaczało to, że już w tak wielkim stopniu okrojone terytorialnie państwo zakonne może stanąć w obliczu całkowitej likwidacji. Wielki mistrz nie miał w zanadru żadnych atutów i wreszcie dojrzał do podjęcia stanowczych rozmów. Ale tym razem Polacy nie zamierzali się już w nie wdawać. Wszystko wydawało się jasne; wojna z ich punktu widzenia była praktycznie wygrana i ewentualnie tylko kapitulacja na ich warunkach wchodziła w grę. Na to zaś Krzyżacy ciągle nie chcieli się zgodzić, a dla wielkiego mistrza wizja definitywnej utraty Malborka była nie do przyjęcia. Wojna zatem tliła się nadal, ale już bez spektakularnych bitew i oblężeń. Dochodziło jedynie do niewielkich starć i dywersyjnych wypadów nielicznych krzyżackich oddziałów, co nie mogło mieć wpływu na ostateczny wynik zmierzającego ku końcowi konfliktu.

Zimą działania ustały, a na początku następnego roku Krzyżacy już po raz ostatni usiłowali ożywić je przy pomocy posiłków z Inflant, które jednak – wobec zamknięcia szlaku morskiego przez kaprów gdańskich i elbląskich – nie zdołały przemaszerować przez Żmudź. Pewną aktywność w polu wykazywał marszałek Henryk Reuss von Plauen, usiłując bezskutecznie zaatakować kilka pozostających w polskich rękach zamków. Ostatnim znaczącym epizodem w wojnie, ze względu na miejsce – zamykając ją symboliczną klamrą, stało się oblężenie Chojnic. Piotr Dunin zdobył je pod koniec września, przekreślając wspomnienie haniebnej bitwy z początku wojny. Dwumiesięczne oblężenie miało dramatyczny przebieg, gdyż zrozpaczona załoga nie przebierała w środkach, próbując utrzymać twierdzę. Wedle

przekazu Długosza: „Oblężnicy, pobudzeni do wściekłości i rozpacz, miotali na Polaków strzały zatrute, od których wielu rannych umierało. Ta jednak, chociaż tak zgubna i barbarzyńska srogość, nie zachwiała stałości Polaków, którzy jakby ślepi i zapamiętali, śmierć lekceważąc, rzucali się na mordercze ciosy nieprzyjaciół”. Pod miasto ściągnięto setki chłopów i robotników miejskich do sypania wałów i okopów oraz stanowisk dla artylerii. Obrońcy parokrotnie przeprowadzili niebezpieczne wycieczki, jedną z większych, kosztującą obie strony mnóstwo zabitych i rannych, zaledwie na kilkanaście dni przed kapitulacją. Gdy wreszcie ona nastąpiła, Krzyżacy „wydali w ręce wodzów królewskich miasto, działa i wszelkie statki wojenne. A siadłszy zaraz na konie, łzami zalani, wyrzekali na książąt niemieckich i ich głowę” (pod tym mianem kronikarz miał na myśli cesarza, który nie przysłał obiecanych posiłków).

Chojnice były już ostatnią krzyżacką twierdzą na Pomorzu Gdańskim. Przed trzynastu laty jej nazwa kojarzyła się braciom zakonnym z wielkim triumfem, teraz była podzwonnym dla ich marzeń o zachowaniu silnego państwa. Niespełna miesiąc po tym, jak polskie oddziały wkroczyły w mury Chojnic, 19 października 1466 roku w Toruniu Korona Polska i zakon krzyżacki, korzystając z pośrednictwa legata papieskiego, zawarły pokój. Dla zakonu nad wyraz bolesny i degradujący, ale zapewniający dalsze istnienie. Tracił bowiem ponad połowę dotychczasowego stanu posiadania: całe Pomorze Gdańskie, Powiśle z Żuławami, ziemię michałowską, chełmińską, Warmię. Oznaczało to, że został wypchnięty z terenów dzisiejszej Polski. Jeśli dodać do tego Nową Marchię, objętą przez Brandenburgię, to skala strat była przeogromna. Za ich cenę państwo krzyżackie miało nadal trwać pod mianem Prus Zakonnych ze stolicą w Królewcu. Lecz nie same straty terytorialne wchodziły w grę.



Wielki mistrz nie dość, że został zobowiązany do złożenia hołdu lennego polskiemu królowi, to również musiał się zrzec związków z cesarstwem, godności księcia Rzeszy Niemieckiej i tracił samodzielność w zakresie polityki zagranicznej. Państwo krzyżackie stawało się przybudówką Królestwa Polskiego; miało służyć mu pomocą zbrojną i godziło się, aby połowa członków zakonu wywodziła się spośród poddanych polskiego władcy. Gorzkie pocieszenie stanowiło ustalenie, że Ludwig von Erlichhausen i jego następcy będą zasiadać w radzie królewskiej. Upokorzony porażką wielki mistrz już niedługo miał trawić w sobie jej wspomnienie. Zmarł wiosną następnego roku świadomy zarówno własnych błędów, jak i fatalnego stanu, w jakim pozostawiał państwo. Jak w jego biogramie napisał Tomczak: „Porażka zakonu była dotkliwa, a niesława, jaką się okrył wielki mistrz, ogromna. Nastąpiły dla zakonu krzyżackiego nowe czasy, niechybnie prowadzące go do sekularyzacji, która niebawem nastąpiła. Skończyła się więc pewna epoka w dziejach zakonu, który już nigdy potem nie odzyskał potęgi, utraconej w wymiarze militarnym na polach Grunwaldu, a ostatecznie w Toruniu w roku 1466, za panowania nieszczęsnego Ludwika von Erlichhausena”.

Czasy świetności zakonu krzyżackiego bezpowrotnie minęły. Zagadką pozostawało jedynie to, jak długo będzie istniał w nowym kształcie.

## OSTATNIE STARCIE

„Pierwej tarzać się będę w krwi króla polskiego,  
niż mu przyrzekać”.

(słowa wielkiego mistrza Marcina Truchsesa von  
Wetzhausena)

**W**łaśnie odmowa złożenia hołdu polskiemu królowi przez Marcina Truchsesa von Wetzhausena i jego dwóch następców stała się jedną z przyczyn, które doprowadziły do ostatniej wojny polsko-krzyżackiej. Zakon zmierzał do niej przez kilkadziesiąt lat. Następca Ludwiga von Erlichhausena, Henryk Reuss von Plauen, jako pierwszy z wielkich mistrzów został wybrany w Królewcu. I w gruncie rzeczy tylko tym zapisał się w dziejach zakonu, gdyż stanowisko piastował zaledwie przez dziewięć tygodni. Zmarł na apopleksję, być może wywołaną trudnym do strawienia faktem złożenia królowi polskiemu hołdu w Piotrkowie w listopadzie 1469 roku. Kolejny wielki mistrz, Henryk Reffin von Richtenberg, otrzymał całe siedem lat na sprawowanie rządów nad słabnącym coraz bardziej zakonem. Dość łatwo przelknął gorzką pigułkę, jaką było złożenie hołdu lennego Kazimierzowi Jagiellończykowi, a potem czał się, aby wsadzić mu nóż w plecy. Sposobna chwila nadeszła, gdy doszło do zatargu o obsadę biskupstwa warmińskiego.

Jeden z kandydatów, Mikołaj Tungen, wystąpił zbrojnie przeciwko królowi, a wielki mistrz odmówił mu zbrojnej pomocy, do której był zobowiązany jako lennik Królestwa

Polskiego. To była poważna nielojalność, którą zaraz potem Henryk Reffin von Richtenberg przemienił w zdradę, oddając się pod opiekę królowi węgierskiemu Maciejowi Korwinowi, z którym Kazimierz pozostawał w otwartym konflikcie. Zanosilo się na otwartą wojnę ze zdrazieckim lennikiem. Tym bardziej że po śmierci wielkiego mistrza następny przywódca zakonu, Marcin Truchsess von Wetzhausen, odmówił złożenia hołdu i wypowiedział na tyle harde i obelżywe słowa zacytowane na wstępie rozdziału, że trzeba było przywołać go do porządku z użyciem oręża. Animuszu dodał Krzyżakom legat papieski, który obłożył Kazimierza Jagiellończyka ekskomuniką za samodzielne obsadzanie urzędów kościelnych, zresztą niezatwierdzonej przez papieża, i jednocześnie zwolnił zakon oraz mieszkańców Prus od przysięgi wobec monarchy. Ekskomuniki z końca XV wieku były już karykaturą wcześniejszych o kilkaset lat poprzedniczek, ale ciągle jednak na wielu robiły wrażenie. Wykorzystując sytuację, wielki mistrz zebrał wojska i zajął kilka miast z Chełmnem i Brodnicą. Wbrew jego oczekiwaniom Krzyżaków nie poparły kraje Rzeszy, władca Węgier ani stany pruskie. Przeciwnie, te ostatnie udzieliły pomocy wojskowej oddziałom królewskim. Akcja zakończyła się niepowodzeniem i Marcin Truchsess von Wetzhausen został zmuszony do kapitulacji.

Po złożeniu przysięgi wierności przez następnych niespełna dziesięć lat postępował jak na lennika przystało, a oddziały krzyżackie posiłkowały króla podczas wyprawy mołdawskiej w 1485 roku. Podobnie zachowywał się kolejny wielki mistrz, Jan von Tieffen, człowiek ze wszech miar rozsądny, stonowany i obdarzony szerokimi horyzontami umysłowymi. Jego najważniejszym celem stała się odnowa moralna w łonie zakonu, ale to już nie był czas, aby „młodzież na ascetów wychować”. Bracia zakonnicy coraz

bardziej upodobniali się do świeckich rycerzy ze wszystkimi ich przyzwyczajeniami i upodobaniem do dworskiego życia. Laicyzacja obyczajów czyniła błyskawiczne postępy. Lepiej powiodły się akcje kolonizacyjna i osiedleńcza, prowadzące do poprawy fatalnej sytuacji gospodarczej; był to bowiem czas, kiedy roczne dochody zakonu spadły do zaledwie kilkunastu tysięcy grzywien. Jan von Tieffen musiał się zmierzyć z rzuconym przez biskupa warmińskiego pomysłem przesiedlenia zakonu na Podole do walki z Turkami i Tatarami, co bardzo spodobało się polskiemu królowi Janowi Olbrachtowi. Szczęśliwie dla Krzyżaków projekt upadł dzięki dyplomatycznemu naciskowi ze strony wspierającego ich króla rzymskiego Maksymiliana Habsburga. Oddział kilkuset Krzyżaków wziął natomiast udział w wyprawie polskiego monarchy przeciwko Turcji w 1497 roku, która zakończyła się katastrofą podczas dramatycznego odwrotu przez Bukowinę. Udał się na nią także wielki mistrz i trudy obozowego życia przyplacił śmiercią. Jego podkomendni w ogromnej większości zginęli, dzieląc los znacznej liczby Polaków, co dało asumpt do powstania mocno odbiegającej od prawdy i dość bezkrytycznie powtarzanej przy różnych okazjach rymowanki – „Za króla Olbrachta wyginęła szlachta”.

W ostatnie dziesięciolecie XV wieku weszli Krzyżacy, mając za wielkiego mistrza księcia krwi – Fryderyka Saskiego z rodu Wettynów, jednego z najświetniejszych rodów w Europie (który po upływie z górą dwustu lat miał dać dwóch władców Rzeczypospolitej Obojga Narodów), a jednocześnie brata szwagra polskiego króla. Jeszcze przed przyjęciem najwyższego zakonnego urzędu Fryderyk zastrzegł, że nigdy nie złoży mu hołdu. Jego śmiałość wystawiona została na próbę, gdyż Olbracht, pomimo związków rodzinnych wielkiego mistrza, postanowił siłą

wymusić na nim uległość. Śmierć monarchy przekreśliła jednak plany wojny. Jego brat i następca, Aleksander Jagiellończyk, podtrzymał żądanie złożenia hołdu, ale Polska, potężnie szarpana najazdami Tatarów, w tym czasie zmagła się z o wiele większymi problemami niż lennicza nielojalność Krzyżaków i jego termin zaczął się odwlekać. Wielki mistrz, zagrożony polską interwencją, przeprowadził w międzyczasie reformę wojskową, dzieląc państwo zakonne na pięć okręgów podporządkowanych przedstawicielom świeckiego rycerstwa oraz ograniczając daleko posuniętą samodzielność komturów i wójtów. Zlikwidował również największe komturstwa: w Królewcu, Bałdze i Pokarminie. Księżę zreformował także sądownictwo. Powstał sąd apelacyjny, zwany dworskim, rezydujący cztery razy w roku w Królewcu. Swoją drugą nazwę zawdzięczał faktowi, że w jego składzie dominowali świeccy doradcy wielkiego mistrza, zapewniając sądowi decydujący wpływ na wydawane orzeczenia i wymiar sprawiedliwości. Prusy zakonne wyraźnie szły ku absolutyzmowi i zeświecczeniu.

Sigismundus de I. Koninc van Polen &c. 183

**S**igismundus de eerst, de Poolse Kroon verkreech,  
 De Tartaren seer vyreet, bekrijde hy met Zeech,  
 Den Turck, Moldaet en Duytsch, en Moscoviters met,  
 Syn van hen vvederstaen, en door syn siveert verplet,  
 Polen heeft hy verrijckt met Wetten en ghebouven,  
 Den Edeldom vereent, voor komen groot benouven,  
 Als hy vvel had gheheerst, twee en vier mael thien laren,  
 Is hy vvt' Aertliche Ryck, int Hemelsche vervaren.



Sigismundus de I. Koninc van Polen. Grootheerich

*Sigismundus de L. Comiti de ...  
in die Litzhau. Hertoch in Russia, Pruissen, Masowien etc.*

G g

Sigismundus

Zygmunt I Stary, grafika z początku XVII wieku.

Fryderyk Saski zmarł w końcu 1510 roku, kiedy na krakowskim tronie zasiadał już Zygmunt Stary. Zapamiętano mu, że do końca swoich dni nie złożył hołdu polskiemu monarsze i – w przeciwieństwie do poprzedników uwiecznionych na obrazie zawieszonym w królewieckiej katedrze – dumnie dzierży uniesiony do góry miecz. Jednak to niewielkie propagandowe i moralne zwycięstwo w niczym nie zmieniło sytuacji Krzyżaków. Cień wielkiego mocarstwa zawisł nad ich państwem i realna stała się groźba jego likwidacji. Szukając wyjścia z dramatycznej sytuacji, kapituła zakonna postanowiła postawić na czele zakonu kolejnego księcia, zaledwie dwudziestojednoletniego Albrechta von Hohenzollerna-Ansbacha, po kądzieli wnuka Kazimierza Jagiellończyka, a jednocześnie siostrzeńca Zygmunta Starego i jego dwóch zmarłych braci. Atut pokrewieństwa miał wpłynąć na stabilizację napiętych stosunków. Tak się jednak nie stało. Godząc się na jego wybór, polski król zadeklarował dobitnie, że „jeśli Albrecht będzie wypełniał obowiązki wynikające z traktatu, to zakon znajdzie spokój i łaskę u niego, w przeciwnym razie odrzuci pokrewieństwo i zbrojnie wymusi na nim ciężący obowiązek”. Ambitny młodzieniec puścił mimo uszu tę przestrożę. Marzyły mu się uniezależnienie zakonu od

Polski i chwała dawnych wielkich mistrzów sprzed bitwy grunwaldzkiej. Albrecht chciał wykorzystać uwikłanie swojego suzerena w konflikt z Moskwą oraz jego zaangażowanie na tle dynastycznym w Czechach i na Węgrzech. Mając poparcie cesarza, odrzucił propozycje ugodowe podczas zjazdu w Piotrkowie w 1512 roku, na którym uległe stanowisko zaprezentowali przedstawiciele niemieckiej i inflanckiej gałęzi zakonu. Wyraźnie prowokował Zygmunta Starego i zmierzał do wojny. Krzyżacy rozpoczęli zbrojenia, werbowali oddziały poza granicami, zaś Albrecht skrycie popierał mnożące się zbójckie napady na Warmię. W swoich wojennych kalkulacjach liczył na pomoc cesarstwa i krajów Rzeszy. Aby zwiększyć szanse na zwycięstwo, wszedł w sojusz zaczepno-odporny z wielkim księciem moskiewskim Wasylem III, co stanowiło jawną zdradę.

Polska i jej król wytrzymali stan niewypowiedzianej wojny długo, aż do późnej jesieni 1519 roku. Wówczas na sejmie koronnym w Toruniu, w obawie przed coraz bardziej rysującym się niebezpieczeństwem krzyżackiego najazdu na Prusy Królewskie, przy silnym wsparciu ze strony Gdańska, zapadła decyzja o prewencyjnym uderzeniu na ziemie zakonu. Atak skierowany głównie na tereny biskupstwa pomezkańskiego ze stolicą w Kwidzynie miał wykonać hetman wielki koronny Mikołaj Firlej na czele z około sześcioma tysiącami żołnierzy. Później siły te miały zostać wzmocnione przez zdecydowanie liczniejsze, świetnie wyszkolone oddziały zaciężnych Czechów.

Rozpoczęły się dwuletnie działania wojenne, już ostatnie w dziejach stosunków polsko-krzyżackich. Prowadzono je z dużą intensywnością, ale żadna ze stron nie była w stanie uzyskać decydującego zwycięstwa. Polacy spustoszyli Pomezanię i zdobyli kilka miast, ale wielki mistrz udanie



kontratakował w innych miejscach, zdobywając między innymi Braniewo. Szybko okazało się, że istotną rolę w dalszych działaniach będzie miała do spełnienia artyleria oblężnicza, której Polakom brakowało. Bez niej nie było możliwe zdobycie potężnych krzyżackich warowni. O wiele większy skutek powodowały polskie zagony, niszczące całe połacie państwa zakonnego, głównie na terenie Pomezanii i Dolnych Prus oraz Warmii. Brali w nich udział Tatarzy, przodujący w tego typu działaniach. Wiosną, po powtórny oblężeniu z udziałem czeskich zaciężnych i z wykorzystaniem nadesłanej przez króla ciężkiej artylerii, hetmanowi udało się opanować Pasłęk. Stąd wyruszył ku Królewcowi.

Atak na krzyżacką stolicę poprzedziło opanowanie leżącego na jej odległym przedpolu Pokarmina, w czym dopomogła gdańska flota operująca na wodach Zalewu Wiślanego. Pod Królewcem pierwsze polskie i czeskie oddziały pojawiły się w ostatnich dniach maja. Blokada miasta rozpoczęła się od długotrwałych rozmów ugodowych i spotkania wielkiego mistrza z Zygmuntem Starym. Książę postawił jednak warunki niemożliwe do przyjęcia przez stronę polską, w rzeczywistości zmierzające do przekreślenia postanowień pokoju toruńskiego. Czas biegł, a Albrecht umiejętnie grał na zwłokę, licząc na zbrojne wystąpienie Wasyla III przeciwko Polsce i Litwie oraz posiłki z Rzeszy. Oddziały Firleja ugrzęzły nie tylko pod Królewcem, ale także pod Braniewem, usiłując bezskutecznie zdobyć tę strategicznie położoną twierdzę, kontrolującą przejście pomiędzy Górnymi i Dolnymi Prusami. Pozwoliło to wielkiemu mistrzowi na podjęcie działań ofensywnych na Mazurach i w ziemi łomżyńskiej. Pomimo zaangażowania dość dużych sił zdobycie Lidzbarka Warmińskiego nie powiodło się.

W tym samym czasie, późnym latem 1520 roku, głównie dzięki zaangażowaniu wielkiego komtura Klausa von Bacha, we Frankfurcie nad Odrą zbierała się wielka armia z odsieczą dla Krzyżaków. Za uzyskane w krajach Rzeszy pieniądze, udało się zaciągnąć niespełna dwa tysiące konnych i osiem tysięcy pieszych knechtów, mających do dyspozycji artylerię polową w liczbie osiemnastu dział i trzy działa oblężnicze. Na ich czele stanęli Wolf I von Schönburg oraz były wielki marszałek Wilhelm von Isenburg. Od samego początku słabością tych licznych wojsk był brak funduszy, które wystarczyły jedynie na wypłatę zaliczki i opłacenie przemarszu na teren działań wojennych. Ta okoliczność, wobec słabości finansowej zakonu, wcześniej czy później musiała spowodować poważne problemy. Zygmunt Stary, w obawie o połączenie wojsk zakonu z odsieczą, zmobilizował potężne siły, liczące około czterdziestu tysięcy zbrojnych, jakościowo ustępujące jednak przeciwnikowi. Idący z zachodu zaciężni opanowali kilka miast, między innymi Starogard Gdański i Tczew, odebrali od ich władz przysięgę wierności zakonowi, a na początku listopada pojawili się pod Gdańskiem.

Zdobycie miasta, wobec silnych obwarowań, przerosło jednak ich możliwości. Pod Gdańskiem zaciężna armia zaczęła się rozprzęgać. Brakowało żywności, a żołnierze nie doczekawszy się oczekiwanego żołdu, zaczęli dezertować. Na dodatek pod twierdzą, pomimo solennej zapowiedzi, nie przybył z oddziałami zakonnymi wielki mistrz. Armia Wolfa I von Schönburga oraz Wilhelma von Isenburga rozpoczęła odwrót, a oni sami przez posłańców namawiali Albrechta do zawarcia pokoju z Polską. Jednak nieudana z czysto wojskowego punktu widzenia wyprawa zaciężnych przyniosła zakonowi realne korzyści. Zmusiła Polaków do ruchów wojsk i zwinięcia oblężenia Braniewa, ale przede

wszystkim wyczerpała ich zasoby finansowe, co miało się odbić na dalszych działaniach. Zresztą z jeszcze większymi kłopotami przyszło się mierzyć księciu Albrechtowi. Pomoc z Rzeszy i z Inflant, skąd przybył transport srebra, była zbyt mała, aby pokryć rosnące potrzeby. Burzyli się nieopłacony zaciężni. Na dodatek w Prusach Krzyżackich wybuchła zaraza, która w połączeniu z głodem zdziesiątkowała ludność. W kraju coraz głośniej zaczęły się podnosić głosy za zakończeniem wojny, ale wielki mistrz nie zamierzał się w nie wsluchiwać. Naiwnie liczył, że jest w stanie pokonać wuja i Polskę, i mimo niewielkich sił uparcie podtrzymywał działania wojenne. W styczniu 1521 jego oddziały pojawiły się pod Olsztynem, gdzie administratorem dóbr kapituły warmińskiej był Mikołaj Kopernik, formalny zwierzchnik załogi. W sprawach wojskowych był ignorantem i nie walczył z bronią w ręku, ani nie wydawał rozkazów, ale dzięki jego zabiegom organizacyjnym miasto zostało dobrze przygotowane do obrony i oparło się krzyżackiemu atakowi. Za sprawą Kopernika naprawiono mury i zaopatrzone zamek w zapasy żywności. Słynny astronom nie brał pod uwagę poddania Olsztyna zakonowi, co potwierdza fragment jego listu do króla: „(...) nawet jeśli przyszło nam zginąć”. Faktycznie takiego zagrożenia nie było, doszło tylko do niewielkiego incydentu, kiedy Krzyżacy zaatakowali forteczną bramę, ale z braku drabin nie mieli szans wspiąć się na mury i szybko odstąpili spod miasta. Literatura stworzyła mit słynnego astronoma, który pod Olsztynem powstrzymał krzyżacką nawałę, ale na tle innych wojennych wydarzeń z lat 1519–1521 próba jego opanowania jawi się jako niewiele znaczący epizod. Stanowił on już jeden z ostatnich akordów w wojnie. Krzyżacy zdołali jeszcze zdobyć Nowe Miasto nad Drwęcą oraz podjęli próby opanowania Lidzbarka i Elbląga, i zaktywizowania działań na Zalewie

Wiślanym, ale na podjęcie większej ofensywy nie było ich już stać. Albrecht, zawiedziony przez cara, mistrza inflanckiego i cesarza, został zmuszony zaangażować się w prowadzone już od pewnego czasu rozmowy pokojowe.

Na początku kwietnia w Toruniu podpisano warunki czteroletniego rozejmu, przyjmując, że walczące strony pozostaną z aktualnym stanem posiadania. Kwestie związane z przysięgą wielkiego mistrza królowi Zygmuntowi Staremu i jego podległości Polsce poddano międzynarodowemu orzeczeniu. Jak w książce *Wojny Polski z zakonem krzyżackim 1308–1521* słusznie ocenił powyższe ustalenia Marian Biskup: „Był to rezultat «wojny pruskiej» – wojskowo nie rozstrzygniętej, a politycznie dla Polski niemal przegranej”. Obie strony wyszły z wojny wyczerpane finansowo. Skarbiec polskiego monarchy został uszczuplony o trzysta tysięcy złotych polskich (podówczas była to jeszcze tylko jednostka obrachunkowa; pierwsze złote warte trzydzieści groszy zostały wybite za Zygmunta Augusta w 1564 roku), a Prusy Krzyżackie zostały bezlitośnie spustoszone. Wstępne zakonne szacunki określały poniesione straty na czterysta tysięcy grzywien, czyli sumę ponad dwadzieścia razy wyższą niż roczne przychody państwa z końca poprzedniego stulecia. Dla porównania, Gdańsk wycenił swoje koszty wojenne na sumę zaledwie dwukrotnie niższą.

Wojna przekonała Zygmunta Starego i jego doradców, że definitywne militarne pokonanie zakonu nie jest bynajmniej łatwą sprawą. Posiadał on wciąż wielu sojuszników i jeśli nawet nie uzyskał z ich strony wystarczającej pomocy wojskowej, to wspierali go skutecznie na niwie politycznej i propagandowej. Jak stwierdził król, kolejna wojna, gdyby do niej miało dojść, będzie wymagała stworzenia wokół Prus Krzyżackich „lepszego płotu” i poświęcenia dużo większych

środków na zorganizowanie silnej armii zaciężnej, zdecydowanie liczniejszej od tej, która walczyła przeciwko Albrechtowi. Konflikt – co podkreśla Marian Biskup – pozostawił w kołach rządzących Polską fatalne, prowadzące w dalszej perspektywie do opłakanych skutków przekonanie, iż „lepiej unikać kolejnego, militarne starcia z Zakonem jako zbyt kosztownego i zbyt ryzykownego, także dla prestiżu samej władzy królewskiej”. Albrecht był świadom tych opinii i pomimo „kompromisu toruńskiego”, jak zawarty rozejm nazwano w Polsce, zachował dotychczasową wojowniczość i był gotów w sprzyjających okolicznościach wznowić działania wojenne. Ale to już nie nastąpiło.

Starania o uzyskanie przychylności przyszłych rozjemców na Węgrzech i w krajach Rzeszy zakończyły się niczym, podobnie jak pomysł arbitrażu. Powodzenia nie przyniosły również wysiłki dyplomatyczne, zmierzające do zdobycia na Zachodzie zbrojnej pomocy i niezbędnych subsydiów. Bolesny policzek spotkał Albrechta ze strony Anglików, którzy niegdyś z taką ochotą spieszyli z pomocą dla zakonu. Kilka miesięcy po zakończeniu wojny do Anglii wyruszył jego bliski świecki doradca Dietrich von Schönberg, który wcześniej w podobnym celu posłował do Wasyla III. Nad Tamizą nie wskórał niczego. Już dawno minęły czasy, kiedy angielscy panowie wyprawiali się przeciwko nadbałtyckim „Saracenom”. Nie tylko w oczach panującego od 1509 roku Henryka VIII zakon krzyżacki był już jedynie dożywającym ostatnich dni niegdysiejszej chwały odległym państwkiem, zdominowanym przez pręgą ku politycznej i militarnej potędze Polskę, z którą lepiej było utrzymywać poprawne stosunki. Trudnej misji nie ułatwili zresztą Schönbergowi Polacy. Pozostający w służbie dyplomatycznej polskiego monarchy poeta Jan Dantyszek, wielki admirator i przyjaciel sławnego Erazma z Rotterdamu, w tym samym czasie

pojawił się w Anglii, skutecznie torpedując wysiłki krzyżackiego posła. Doszło nawet do ich spektakularnego spotkania na londyńskim bruku. Dantyszek wspomniał o tym w liście do Zygmunta Starego, cytowanym przez Henryka Zinsa: „Zdarzyło się, że gdy szedłem do kościoła (...) ukazał się naprzeciw Dietrich. Na mój widok (...) nagle się zaczerwienił i jakby rażony piorunem przeszedł na drugą stronę ulicy. Powitał mnie ze zwieszoną głową i trzęsącymi się kolanami (...) Rodacy moi nie mogli się nadziwić, że on, którego znali jako wyniosłego i gwałtownego człowieka, ustąpił mi z drogi. Odpowiedziałem, że przyjmuję to za omen, iż w taki sam sposób cofną się intrygi jego pana przed poczynaniami mego Najjaśniejszego Pana”.

Oczekiwania Dantyszka zrodzone podczas londyńskiego spotkania z wysłannikiem Wielkiego Mistrza miały się spełnić tylko połowicznie.

## HOŁD; PRZEOBRĄZENIE

„Tak dla chwilowej korzyści i miłego spokoju podpisano hańbiący traktat, który niejako był przyznaniem, że już Polska żadnej wielkiej sprawy podjąć i przeprowadzić nie zdoła”.

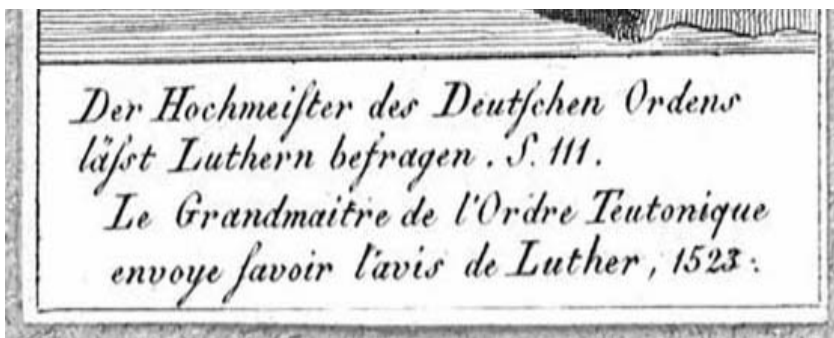
(Michał Bobrzyński w *Dziejach Polski w zarysie*)

**O** kres czteroletniego rozejmu, podczas którego księciu Albrechtowi nie udało się zawiązać antypolskiego sojuszu i wznowić wojny, pogłębił w państwie zakonnym procesy laicyzacyjne, coraz bardziej upodabniając je do świeckiego księstwa. Jednym z przejawów postępujących zmian była rezygnacja z obsadzania tradycyjnych, najwyższych urzędów, jak chociażby wielkiego szpitalnika i wielkiego szatnego. Liczba braci zakonnych błyskawicznie malała, aby w 1525 roku osiągnąć stan zaledwie pięćdziesięciu pięciu! Wśród nich było piętnastu starych i niedołężnych rycerzy, co potężny niegdyś zakon czyniło groteskowym reliktem. Dostrzegając to z pewnością Albrecht, który pragnął jak najszybciej zerwać z coraz mocniej ciężącą i nieprzystającą do nowych czasów tradycją. Jako pierwszy spośród wielkich mistrzów zorganizował turniej rycerski i sam wziął w nim udział. Jego rozrastający się dwór, liczący około czterystu osób, zaczął gościć europejskich humanistów oraz przedstawicieli obozu reformacyjnego. Związane z tym zmiany w świadomości wielkiego mistrza, jego doradców i pruskiej szlachty, której przychylność książę zdobył dzięki licznym nadaniom ziemskim, tworzyły

podglebie rewolucyjnej decyzji, która miała zakończyć trzystuletnią epopeję zakonu krzyżackiego w Prusach. Jego przestarzała struktura i związana z nią religijna idea przeżyły się. Szczególnie z punktu widzenia powiększającej się i ściśle związanej z osobą wielkiego mistrza grupy wielkich posiadaczy ziemskich, którzy dali początek osławionym później pruskim junkrom.







Albrecht Hohenzollern rozmawia w Wittenberdze z Marcinem Lutrem – ilustracja nr 3 do historii Polski zamieszczona w *Historisch-Generalogischer Kalender auf das Gemeinjahr 1797*. Autor: Daniel Chodowiecki.

W 1523 roku, podczas pobytu w Rzeszy, Albrecht zetknął się z ideą ewangelicką i zaczął jej hołdować. Fakt ten skłonił Marcina Lutra, najważniejszą postać niemieckiej reformacji, do publikacji listu otwartego, w którym wzywał Krzyżaków do porzucenia celibatu i reguły zakonnej. Wkrótce potem doszło do spotkania księcia z Lutrem w Wittenberdze i zapewne pod jego wpływem wielki mistrz podjął wstępną decyzję o rozwiązaniu zakonu krzyżackiego i przekształceniu państwa w świeckie księstwo pod swoimi rządami jako lennika Polski. W sytuacji, kiedy dwie pozostałe gałęzie zakonu, niemiecka i inflancka, odmówiły wielkiemu mistrzowi wsparcia finansowego i faktycznie usamodzielniały się, było to jedyne racjonalne rozwiązanie. W Królewcu pojawili się protestanci kaznodzieje, a z ambon zaczęły padać słowa wymierzone w Kościół katolicki i przynależne mu obrzędy. To samo zadanie – przekształcenia świadomości i wymoszczenia gruntu dla szykowanych zmian – miała spełniać również powstała w Królewcu ewangelicka drukarnia. Na ich rzecz działali też wysłannicy wielkiego mistrza, prowadzący agitację wśród stanów.

W kontrze do jego planów pozostawały głównie miasta i część Krzyżaków, którzy wysunęli pomysł powołania na miejsce Albrechta mistrza inflanckiego i dalszego istnienia zakonu w dotychczasowej postaci za cenę zawarcia układu z Polską. Przeciwnicy koncepcji sekularyzacji państwa okazali się jednak zbyt słabi, aby powstrzymać bieg wydarzeń. Ostatecznie tylko siedmiu braci-rycerzy nie zdecydowało się na przyjęcie nowej wiary i opuściło zakon. W końcu 1524 roku na tajnym spotkaniu przedstawiciele pruskiej szlachty książę uzyskał pełne poparcie dla swoich planów i wkrótce potem rozpoczął pertraktacje z Zygmuntem Starym. Jednak polityczna atmosfera nagle się zagęściła.

Pod wpływem wcześniejszych zabiegów księcia o poddanie sporu pod sąd rozjemczy w Polsce podniosły się głosy, aby nie przedłużać rozejmu z Krzyżakami. Jednocześnie sejm podjął uchwałę o usunięciu zakonu z Prus, nawiązując do pomysłu sprzed ćwierćwiecza. To nie były czcze pogroźki; posłowie uchwalili podatki z przeznaczeniem na wojnę z Krzyżakami. Wydawało się, że ich dni są policzone. Tego samego zdania był między innymi wygnany z kraju król duński Chrystian II, który stwierdził, że „gdyby król polski chciał rozpocząć wojnę przeciw wielkiemu mistrzowi, pokonałby go bez trudu, gdyż wszyscy go opuścili i nikt już mu nie wierzy, tak iż los Prus jest przypieczętowany”. Jednak Krzyżakom przyświecała szczęśliwa gwiazda. Uratowała ich gra politycznych interesów w samej Polsce. Wojna oznaczała konieczność zwołania pospolitego ruszenia i zapewne ustępstwa wobec wysuwanych przez szlachtę postulatów w kwestii tzw. egzekucji praw, polityki fiskalnej i nowych przywilejów stanowych. To były powody wynikające z uwarunkowań wewnątrzpaństwowych, dla których Zygmunt Stary i jego otoczenie na czele z kanclerzem koronnym Krzysztofem

Szydłowieckim byli przeciwni rozwiązaniom militarnym. Istniały też względy polityki zagranicznej. Związanie protestanckich Hohenzollernów z Polską mogło zerwać ich związki z cesarzem i Habsburgami, naturalnym, tradycyjnym przeciwnikiem Polski. Jednak już współcześnie pojawiła się sugestia, że władca, który wedle Bobrzyńskiego „miłował nade wszystko spokój, pogwałconemu Albertowi (pisownia oryginalna – S.L.) podał rękę do zgody (...) dozwolił zrzucić habit, przyjmując protestantyzm i dziedzicznym księciem Prus pod zwierzchnictwem Polski się ogłosić”, został wraz z radą najzwyczajniej w świecie przekupiony. Przed tym, jak wiemy, nie chroni nawet piastowanie najwyższych urzędów.

W marcu 1525 roku do Krakowa przybyli wysłannicy wielkiego mistrza – jego brat margrabia Jerzy Hohenzollern oraz szwagier, książę Fryderyk II legnicki. Złożyli oni polskiemu monarsze ofertę sekularyzacji Prus Krzyżackich i następnie oddanie ich księciu Albrechtowi i jego potomkom w dziedziczne lenno, powiększone dodatkowo o część ziem Prus Królewskich. Na forum senatu, gdzie z udziałem biskupa warmińskiego Maurycego Ferbera i przedstawicieli Prus Królewskich radzono nad propozycją, wybuchła niewielka burza. To głównie oni, zainteresowani przede wszystkim likwidacją państwa zakonnego, oraz grupa senatorów skupiona wokół prymasa Jana Łaskiego, nieformalnego przywódcy szlachty, argumentowali, że przyjęcie oferty Albrechta co najmniej bardzo opóźni wcielenie jego lenna bezpośrednio do ziem Królestwa Polskiego. Opory oponentów zostały przełamane, nie zgodzono się jednak na uszczuplenie ziem Prus Królewskich, natomiast prawo dziedziczenia miało objąć trzech braci księcia.

Ostateczne rozstrzygnięcia zapadły podczas trzech kwietniowych dni. Najpierw Zygmunt Stary i pełnomocnicy Albrechta podpisali stosowny traktat, nazajutrz król, delegaci zakonu i stanów pruskich przyjęli go w osobnych wystawionych przez siebie aktach, zaś 10 kwietnia odbyła się uroczystość, o której słyszał niemal każdy Polak – „hołd pruski” przedstawiony na monumentalnym i powszechnie znanym obrazie przez Jana Matejkę. Na rynku krakowskim, tuż koło słynnych Sukiennic, Albrecht Hohenzollern na kolanach złożył zasiadającemu na tronie w stroju koronacyjnym władcy Polski hołd i wyraził gotowość wiernego wypełniania obowiązków lennych, a następnie Zygmunt Stary powołał go na władcę Księstwa Pruskiego. Symbolika aktu inwestytury zawarta została w przekazaniu księciu jego nowego godła podkreślającego zależność od Polski – proporzec z czarnym orłem z literą „S” (od imienia monarchy, łac. Sigismund) i królewską koroną na białym tle. Po przysiędze złożonej przez lennika nastąpiła spektakularna scena, która z pewnością na wszystkich, może najbardziej na krakowskiej gawiedzi, wywarła wielkie wrażenie. Grupa towarzyszących księciu Krzyżaków zdarła ze swoich płaszczy czarne krzyże. W sferze wyobraźni nic lepiej nie mogło symbolizować końca pruskiej gałęzi znieawidzonego w Polsce zakonu.

Hołd pruski zamykał dotychczasowe stosunki polsko-krzyżackie i otwierał całkowicie nowy rozdział. Wojna ustała, strony zobowiązały się do zwrotu zajętych terytoriów, wyłącznym suwerenem księcia Albrechta stawał się polski monarcha. Zdaniem Mariana Biskupa, współautora książki *Dzieje zakonu krzyżackiego w Prusach*, Prusy Krzyżackie „na skutek usunięcia wszelkich pozostałości duchownego władztwa Zakonu i dawnego zwierzchnictwa papieskiego

były odtąd, podobnie jak Prusy Królewskie, wyłącznie częścią składową Korony, która stawała się ich jedyną dysponentką”.

Było niewiadomą, jak z tej możliwości Polska skorzysta. Michał Bobrzyński, piszący w XIX wieku i dokonujący rozrachunku historycznego z perspektywy kilku stuleci, z pewnością nie zawarłby w swoim pomnikowym dziele tak gorzkiej oceny traktatu krakowskiego, gdyby Polska postąpiła zgodnie ze swoim najlepiej pojętym interesem.

Tak się nie stało i Prusy Książęce, jako spadkobierca zakonu krzyżackiego, choć długo nic na to nie wskazywało – miały wyrosnąć na śmiertelnie niebezpiecznego przeciwnika.

## TRAGICZNY SPADEK

„Albrecht uznawał traktat krakowski jako jedyną drogę ratunku przed całkowitym zjednoczeniem z państwem polskim, które odtąd było w pełni związane postanowieniami układu”.

(Marian Biskup, Gerard Labuda, *Dzieje zakonu krzyżackiego w Prusach*)

**H**ołd złożony przez Albrechta i publiczne zdarcie czarnych krzyży przez zakonnych dostojników, mające z ich punktu widzenia głęboko upokarzający wymiar, warte były poniesionej ofiary. Widmo zupełnego krachu przeminęło, trochę inaczej odziani i oddający się innej religii „panowie pruscy” rozpoczęli nowy etap swojego istnienia. Przystosowanie do zmienionej sytuacji następowało nadzwyczaj szybko. Prusy jak żadne inne państwo wpisały się w przesłanie wynikające z zawartego w Augsburgu w 1555 roku pomiędzy cesarzem i książętami protestanckimi Rzeszy pokoju religijnego, normującego stosunki wyznaniowe i polityczne w ich domenach. Brzmiało ono: *Cuius regio, eius religio* (Czyj kraj, tego religia). Jak napisał Andreas Kossert: „Z dnia na dzień władca kraju zarządził zmianę wyznania religijnego i przejście od tradycyjnego porządku prawnego na nowy. Coś takiego jeszcze nigdy dotąd w Europie się nie zdarzyło. Fakt, że cesarz obłożył banicją nie tylko byłego wielkiego mistrza, ale także jego poddanych, pokazuje wyraźnie, jak przełomowy charakter miało w świadomości ludzi to posunięcie księcia”. Albrecht,

który rządził aż do swojej śmierci w 1568 roku, nie zamierzał zbyt oglądać się na suzerena i od samego początku prowadził samodzielną, aktywną politykę, która w sposób zdecydowany ograniczała proces jednoczenia się z Koroną pod względem ustrojowym i politycznym. Oparł się na dawnych rycerzach zakonnych, którym rozdawał starostwa w dożywotnie użytkowanie; z czasem stały się one dziedziczne, dając początek wielkiej własności ziemskiej na terenie Prus Książęcych.

Książę był nieodrodnym synem swojego rodu, znanego z ekspansywnych dążeń do stałego powiększania stanu posiadania. Krzyżacy w dawnej postaci przeminęli, ale ich rolę nad Bałtykiem przejęli Hohenzollernowie. Jednak pomimo popełnionego na samym początku błędu Polska na przestrzeni następnych dziesiątków lat kilkakrotnie miała szansę na jego naprawienie i wchłonięcie pruskiego lenna. Nie uczyniła tego jedynie wobec własnej nieudolności, braku wyobraźni i zabiegów drugiej strony, potrafiącej użyć wszelkich dostępnych sposobów, aby przychylnie nastawić do siebie ludzi sprawujących w Polsce władzę i odpowiedzialnych za jej politykę zagraniczną.

O ile Zygmunt Stary miał dla siostrzeńca wiele ciepłych uczuć, to jego żona, królowa Bona, odnosiła się do księcia z jawną nienawiścią, uważając, że knuje intrygi i pragnie zdobyć polski tron. Takie myślenie miało słabą stronę, gdyż jedyny syn księcia był umysłowo chory. Byli jednak inni Hohenzollernowie. W końcu jej punkt widzenia i uczucia wobec Albrechta zaczął podzielać starzejący się władca. W 1539 roku sprzeciwił się koncepcji dziedziczenia przez elektora brandenburskiego po Albrechcie i jego braciach. Uczynił to głównie z bojaźni, aby polscy monarchowie w przyszłości „nie byli zmuszeni przez potężnych książąt pruskich do rozdzielenia sił i wystawienia na łup



niewiernych tego królestwa, które jest jakby przedmurzem krajów chrześcijańskich”.

Sytuacja sprzyjająca przejściu Prus przez Polskę nastąpiła po śmierci ostatniego z Jagiellonów, Zygmunta Augusta. Syn Zygmunta Starego okazał się mniej przenikliwym władcą od ojca i dopuścił brandenburskich margrabiów do dziedziczenia po ich wschodniopruskich kuzynach. Już podczas pierwszego bezkrólewia w 1572 roku margrabia Jerzy Fryderyk Hohenzollern, znany z chciwości i despotyzmu, rozpoczął starania o przejście formalnej opieki nad chorym synem Albrechta, w którego imieniu występowała tzw. Rada Rządząca. Jednak jego zabiegi natrafiły na zdecydowany opór ze strony pruskiej szlachty, której przedstawiciele kilka lat później złożyli hołd Stefanowi Batoremu. Jednocześnie zażądali odsunięcia elektora od spraw Prus Książęcych i wyznaczenia przez Rzeczpospolitą gubernatora do zarządu nimi. Stąd był już tylko krok do inkorporacji byłego zakonnego terytorium. Ale polski władca miał na głowie inne problemy. Szykował się do wojny z Moskwą i od zaraz były mu potrzebne pieniądze. W zamian za dwieście tysięcy złotych powierzył Jerzemu Fryderykowi pieczę nad obłąkanym księciem, co było oczywiście posunięciem wbrew polskiej racji stanu. Dla Madziara w tamtym momencie ważniejsza była rozprawa z carem – uzyskana kwota pokryła wydatki wyprawy na Połock – a o odległych konsekwencjach swojej decyzji zapewne nie pomyślał. To jeszcze można jakoś zrozumieć, ale domyśl, czym się kierował król w sytuacji, gdy stany pruskie proponowały Polsce sto tysięcy złotych rocznie, byle tylko monarcha sam objął kuratelę nad księciem i zatrzasnął drzwi przed Brandenburczykiem, może podsuwać tylko jedno logiczne rozwiązanie. Zapewne obok sowitych, ukrytych przed oczami opinii publicznej „upominków”, Jerzy

Fryderyk zdobył przychylność Batorego, fundując mu wspaniałą i podniosłą uroczystość, kiedy na zamku w Malborku doszło do podpisania stosownych dokumentów, a przedstawiciele elektora z pełną uniżonością traktowali władcę Rzeczypospolitej. I tak niewiele znaczące z punktu widzenia państwa błahostki, być może, zdecydowały o dalszym biegu historii. Jeszcze ciągle można było go skorygować, ale w ciągu następnego stulecia Polska miała już tylko jednego króla, który mógł to sprawić.

Hohenzollernowie z linii elektorów brandenburskich okazali się wyjątkowo konsekwentni i cierpliwi, i w końcu osiągnęli swój główny cel. Stało się tak za sprawą pustego skarbu i karygodnego zlekceważenia żywotnych interesów państwa przez polskie elity rządzące. W 1611 roku, kiedy Rzeczpospolita była pochłonięta kolejną wojną z Moskwą, jej sejm w zamian za finansowe wsparcie utrzymał kuratelę władców Brandenburgii nad chorym umysłowo, pozbawionym męskiego potomka Albrechtem Fryderykiem Hohenzollernem, księciem w Prusach, i przekazał im prawa do sukcesji jego tronu. Po śmierci księcia w 1618 roku elektor Jan Zygmunt – za zgodą polskiego monarchy – przejął pruski spadek, wcześniej faszerując Rzeczpospolitą subsydiami i coraz mocniej uzależniając ją finansowo. Powstał w ten sposób połączony unią personalną twór Brandenburgia-Prusy.

Prymas Karnkowski nazwał zachowanie Zygmunta III Wazy wpuszczeniem „węża w zanadrze”. Było to celne określenie. Król i Rzeczpospolita przymykali drzwi przed inkorporacją bogatej i mającej strategiczne znaczenie prowincji, przekreślając ustalenia sprzed dziewięćdziesięciu trzech lat i pozwalając Hohenzollernom zrobić wielki krok ku wyrwaniu Prus Książęcych spod lennej zależności wobec Polski. Ostatecznie stało się to cztery dekady później, kiedy

lennik pokazał swoje groźne i zdradzieckie oblicze. Podczas potopu szwedzkiego Wielki Elektor Fryderyk Wilhelm przeszedł na stronę króla Karola X Gustawa, którego armia zajęła ogromną część Rzeczypospolitej. W zamian za zmianę frontu i obrócenie oręża przeciwko dotychczasowemu sojusznikowi w zawartych w 1657 roku traktatach welawsko-bytowskich zawarował sobie i swoim potomkom zwolnienie z obowiązków lennych. Jedynie w przypadku wygaśnięcia linii potomków Wielkiego Elektora pruskie lenno miało powrócić do polskich władców.

Niepełna dwadzieścia lat później o zbrojnym przyłączeniu Prus do Rzeczypospolitej poważnie myślał Jan III Sobieski. Rozpoczął aktywne zabiegi dyplomatyczne i przygotowania militarne, pragnąc wykorzystać pomoc Francji i Szwecji, co z oczywistych względów nie mogło być popularne. Fryderyka Wilhelma uratowali Turcy, którzy zaangażowali polską armię na południowo-wschodnich rubieżach i sposobność na odzyskanie Prus Książęcych uleciała. Jak się miało okazać – bezpowrotnie. Następca Wielkiego Elektora, Fryderyk I Hohenzollern, w 1701 roku koronował się na „króla w Prusach”, a kilkadziesiąt lat później szybko zmierzające ku politycznej i militarnej potędze Prusy stały się inicjatorem rozbioru Rzeczypospolitej.

Osiągnęły to, czego nie udało się dokonać zakonowi krzyżackiemu w XIV wieku.

## DALSZE LOSY

„Obecny Zakon Niemiecki jest zgoła inną instytucją niż jego średniowieczny poprzednik i działalność jego, zwłaszcza w dziedzinie charytatywnej, jest bez wątpienia pożyteczna, podobnie jak wysiłki dla odtworzenia naukowego obrazu swojej przeszłości”.

(Marian Biskup, Gerard Labuda w książce *Dzieje zakonu krzyżackiego w Prusach*)

**W** wydarzenia z 1525 roku, które wyznaczały koniec dziejów zakonu krzyżackiego w Prusach, nie zamknęły jego istnienia. Gałąź inflancka zachowała autonomię przez następnych kilkadziesiąt lat. Mistrzowie krajowi, Plettenberg i jego następca Fürstenberg, oparli się namowom sekularyzacji i próbom opanowania Inflant przez księcia Albrechta, ale coraz słabszy zakon nie zdołał się przeciwstawić interwencji moskiewskiej. Resztki Krzyżaków zostały rozbite przez wojska cara Iwana Groźnego w bitwie pod Ennes w 1558 roku. Niemal wszyscy biorący w niej udział bracia-rycerze polegli bądź dostali się do niewoli. Fürstenberg, jako jeniec, miał umrzeć w Rosji, a ostatni już mistrz krajowy, Gotthard Kettler, postanowił poszukać pomocy na Litwie. Jego determinacja, aby utrzymać dalsze istnienie zakonu, była tak duża, że oddał w zastaw Litwinom kilka zamków. Jednak bieg wydarzeń przekreślił jego usiłowania.

Krach nastąpił zaledwie trzy lata po klęsce pod Ennes. Część ziem, Estonia, dostała się w ręce Szwedów, inne przypadły Duńczykom. Kettler uznał, iż jedyny ratunek dla resztek krzyżackich posiadłości może przynieść rozwiązanie podobne do tego, po jakie sięgnął książę Albrecht. Zdecydował się na sekularyzację i poddanie się władzy króla Polski i zarazem wielkiego księcia Litwy, Zygmunta Augusta. Oferta została przyjęta. Kettler otrzymał w lenno graniczącą od północy ze Żmudzią Semigalię i Kurlandię ze stolicą w Mitawie, a reszta terytoriów zakonnych została wcielona do Litwy. Dłużej zachowała samodzielność Ryga, ale i ona w 1581 roku uznała zwierzchność polskiego władcy. Nieliczni Krzyżacy inflanccy, którym udało się wynieść życie z wojennej zawieruchy i uniknąć moskiewskiej niewoli, przeistoczyli się w posiadaczy ziemskich i w kolejnych pokoleniach, jako miejscowa szlachta i arystokracja, aż do początku XX wieku kultywowali dawne tradycje.

W dotychczasowym kształcie zakon utrzymał się na terenie Niemiec, skąd przez setki lat pochodzili jego członkowie. Stało się tak mimo niesprzyjającego faktu rozrzucenia posiadłości zakonnych na całym terytorium Rzeszy. Tylko ich część podlegała bezpośrednio władzy mistrza niemieckiego. Baliwaty, zarządzane przez komturów krajowych, w dużej mierze stanowiły autonomiczne organizmy, wymykające się spod jego kontroli. Już w 1494 roku mistrz niemiecki Andreas von Grumbach stał się księciem Rzeszy po otrzymaniu regaliów od cesarza. Stolicą jego posiadłości, skupionych głównie w Szwabii i Frankonii, został Mergentheim. Znaczna część baliwatów w pierwszej połowie XVI wieku stała się cenną zdobyczą świeckich książąt na terenie Rzeszy. W XVII wieku w dobrach zakonu rekrutowani byli żołnierze do dwóch pułków służących w wojskach cesarskich. Jeden z nich,

Deutschmeister Regiment, stacjonował w Wiedniu, a oficerami byli w nim rycerze zakonni. W następnym stuleciu, w przededniu epoki napoleońskiej, zakon krzyżacki składał się z dziesięciu mistrzów krajowych, stojących na czele baliwatów: pięćdziesięciu dziewięciu komturów i dwudziestu siedmiu rycerzy. Jego rosnąca elitarność wynikała z zasady, wedle której w zakonne szeregi mogli wstąpić kandydaci będący w stanie wywieść szesnastu szlacheckich przodków. W tym czasie w zakonie nie było już ani braci służebnych, ani zakonnic. W latach 1732–1761 wielkim mistrzem zakonu krzyżackiego był wnuk Jana Sobieskiego, Klemens August z rodu Wittelsbachów, arcybiskup Kolonii. W 1809 roku, kilka lat po tym, jak Napoleon zlikwidował Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, cesarz Francuzów rozwiązał również zakon w państwach utworzonego przez siebie Związku Reńskiego i oddał dawne krzyżackie posiadłości sprzymierzonym z Francją księżętom niemieckim. Dokonana kasata sprawiła, że dalsze jego istnienie było związane z Cesarstwem Austrii. Od 1834 roku, kiedy przywrócono zakonowi dawną regułę, uzyskał on nazwę Deutsch-Ritter-Orden (Niemiecki Zakon Rycerski), a ćwierć wieku później powrócił do swoich pierwotnych korzeni i poświęcił się opiece nad chorymi i rannymi podczas konfliktów zbrojnych; w czasie pierwszej wojny światowej w armii austriacko-węgierskiej istniały cztery szpitale polowe prowadzone przez zakon. Trochę wcześniej pojawiły się w nim znów zakonnice. Ostatni wielki mistrz z rodziny Habsburgów, arcyksiążę Eugeniusz, złożył urząd w 1923 roku, zaś po upływie kolejnych sześciu lat papież Pius XI nadał zakonowi nową regułę, likwidującą instytucję braci-rycerzy. Pozostali w nim jedynie bracia duchowni i kongregacja sióstr. Zakon uzyskał nazwę Der Deutsche Orden. Kolejny wielki wstrząs przyniósł Zakonowi

Niemieckiemu Anschluss Austrii przez Hitlera. Jedną z konsekwencji była jego likwidacja zarówno w tym kraju, jak i na terenie zagarniętej przez Niemców Czechosłowacji; trochę domów zakonnych działało nadal w Jugosławii i w północnych Włoszech. Heinrich Himmler nie chciał mieć jakiegokolwiek konkurencji, budując własny, przerażający zakon SS. Jego nieformalną stolicą oraz miejscem, gdzie odbywały się spotkania najwyższych nazistowskich funkcjonariuszy i uskuteczniano dziwaczne, wzorowane na średniowiecznych mistyczne obrzędy, był zamek Wawelsburg w Nadrenii Północnej-Westfalii.

Wraz z końcem wojny działalność zakonu została reaktywowana w Austrii oraz na terytorium Niemiec Zachodnich. W 1964 roku stacja misyjna zakonu pojawiła się w Szwecji. W 1981 roku liczył on siedemdziesięciu czterech braci księży i aż czterysta siedem siostr, oprócz nich zaś kilkunastu rycerzy honorowych i ponad czterystu tzw. familiarów. Współcześnie zakon dzieli się na pięć prowincji: niemiecką, austriacką, włoską, czesko-słowacką i słoweńską. Strój zakonników stanowi czarna sutanna, pas oraz biały płaszcz z czarnym krzyżem na ramieniu. Swoją aktywność zakon skupił na działalności charytatywnej, duszpasterskiej i wydawniczej. Przez cały czas utrzymuje kontakty z Kurią Rzymską, która dokonuje jego wizytacji, sam zaś ma w Rzymie swojego przedstawiciela, generalnego prokuratora. W 2018 roku urząd wielkiego mistrza na sześcioletnią kadencję objął Frank Bayard. Jego poprzednik, Bruno Platter, sześćdziesiąty piąty wielki mistrz, przewodził zakonowi przez 18 lat.

W zakonnych szeregach po 1945 roku pojawiały się różne postaci. Jego honorowym rycerzem został kanclerz NRF Konrad Adenauer, za żelazną kurtyną uznawany za

politycznego jastrzębia i rewizjonistę, obecnie zaś członkami zakonu jest trzech księży z Polski.



## ZAKOŃCZENIE

**N**a ocenie Krzyżaków zaważyło wiele okoliczności. W Polsce ciągle funkcjonuje ich czarna legenda. Przez wieki synonimem obcego bywał Niemiec, a Niemiec nierzadko kojarzył się z Krzyżakiem. Tak straszliwy w dziejach Polski czas Wielkiej Wojny 1914–1918 roku, ale głównie okres drugiej wojny światowej i hitlerowskiej okupacji, przywołujący skojarzenia z krwawymi podbojami i eksterminacją całych plemion przez zakon krzyżacki, wyrył w polskiej świadomości głęboki ślad. Ugruntowały go literatura piękna i film. Niesłychanie popularne stało się określenie: czarne krzyże nad Polską, oznaczające wprost niemiecką Luftwaffe, bestialsko bombardującą polskie miasta i atakującą bezbronnych cywilów, ale w przenośni także niemiecki ekspansjonizm, w wielkim stopniu utożsamiany z bezwzględnym duchem krzyżackiej zdobyczości. W kształtowaniu fatalnego wizerunku zakonu krzyżackiego niepoślednią rolę odegrał Henryk Sienkiewicz, znany w świecie noblista, pisarz, który na przełomie XIX i XX wieku wypracował sobie wśród czytelników szczególną pozycję. Uwiódł ich nie tylko słynną *Trylogią* poświęconą dramatycznym dziejom siedemnastowiecznej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, ale również powieścią *Krzyżacy*. W obu tych dziełach, zresztą pisanych w dramatycznym momencie polskiej historii i z jasno określonym celem, intencjonalnie dopuścił się uproszczeń i przekłamań historycznych, niejednokrotnie przedstawiając opisywane wydarzenia niezgodnie z rzeczywistością. Właśnie na ten aspekt, pisząc w sposób pozbawiony zapalczywości i jednostronności ocen, zwrócił

uwagę Boockmann: „Sienkiewicz przedstawia Krzyżaków środkami zaczerpniętymi z XVIII-wiecznej powieści grozy: jako sadystów w każdym calu (...) Rycerze Zakonu określani są w tej powieści oraz w innych książkach z tamtych czasów jako zaraza i germańska nawałnica: znajdujemy tutaj również metaforę fali stosowaną przez Niemców w odniesieniu do Słowian. Rycerze podbijają ludność Prus, narzucają jej niewolnicze warunki egzystencji, a przeciwnik, który wpadnie w ich ręce, poddawany jest sadystycznym torturom. Rycerze są postaciami odrażająco brzydkimi albo też ich powierzchowność szpeci arogancja i nienawiść”.

Boockmann należy bez wątpienia do tej grupy niemieckich historyków, którzy potrafią się zdobyć na obiektywne sądy i wznieść ponad nacjonalistyczne uprzedzenia. Trudno jednak Polakowi czyta się chociażby wywody piszącego w XIX wieku Heinricha von Treitschkego, cytowanego przez Andreeasa Kosserta. W jego artykule Prusy, niemiecki kraj zakonny, Krzyżacy zostają w sposób nierozzerwalny wpisani w dzieje Niemiec, a ich zbrodnie nad Bałtykiem są przedstawiane jako godna najwyższej pochwały cywilizacyjna krucjata: „Ledwo Niemcy jak wichur przemkną poprzez połać kraju, a już niemieckie statki wiozą bale i kamienie w dół Wisły, a na najbardziej zewnętrznych granicach zdobytego obszaru powstają owe zamki, których strategicznie szczęśliwe położenie znajdujący się na sztuce wojennej jeszcze dziś podziwiają – najpierw Toruń, Chełmno, Kwidzyn. Te wysunięte strażnice są w pomniejszeniu tym, czym kraj zakonny był dla Rzeszy: mocną groblą portową, śmiało budowaną od niemieckiego brzegu w głąb dzikiego morza wschodnich ludów (...) Wielkie dary niemieckiej cywilizacji, miecz i ciężki pług, budowle z kamienia i «swobodne powietrze» miast, surowa dyscyplina Kościoła upowszechniają się wśród

niefrasobliwych ludów wschodu”. Podziw dla odległych przodków łączy się u Treitschkego z jawną pogardą dla Słowian i ludów bałtyckich. I jeszcze ten z pozoru obojętny, w rzeczywistości zawierający ładunek jawnego lekceważenia przymiotnik, kiedy pisze o „niefrasobliwych ludach”. Ma rację w tym znaczeniu, że w odległej przeszłości może nazbyt niefrasobliwie najpierw ściągnięto zakon krzyżacki nad Bałtyk, a potem pozwolono mu zapuścić tam drapieżne korzenie.

Wydaje się, że dopóki znajdują się historycy i pisarze postrzegający dzieje i cywilizacyjną misję Krzyżaków w podobny sposób, jak czyni to Treitschke, to będą oni w Polsce i na Litwie, ale nie tylko tam, przedstawiani na modłę Sienkiewicza. Zaś demony przeszłości długo jeszcze nie znikną.

Dzieje wzrastania państwa zakonnego w Prusach powinny stanowić cenną, ponadczasową naukę. Pokazują, że narodziny zła i destrukcji łatwo przeoczyć lub zlekceważyć, kiedy zaś już okrzepną, trudno im się skutecznie przeciwstawić.

Tocząca się kołem historia Polski zna niestety wiele podobnych przykładów.

## BILIOGRAFIA

### ŹRÓDŁA

Długosz Jan, *Banderia Prutenorum*, wyd. Karol Górski; tłum. wstępu i objaśn. na łac. Gabriela Pianko, Lidia Winniczuk, Toruń 1958.

Długosz Jan, *Roczniki czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego*, Ks. 5–12, tłum. Julia Mrukówna, Warszawa 1973–2004.

*Kronika konfliktu Władysława króla polskiego z Krzyżakami w roku pańskim 1410*, tłum. Jolanta Danka, Andrzej Nadolski, Olsztyn 1984.

*Kronika wielkopolska*, tłum. Kazimierz Abgarowicz, wstęp i koment. Brygida Kürbis, Warszawa 1965.

Murinius Marcin, *Kronika mistrzów pruskich*, wstęp i oprac. Zbigniew Nowak, Olsztyn 1989.

Piotr z Dusburga, *Kronika Ziemi Pruskiej*, tłum. Sławomir Wyszomirski, wstęp i koment. historyczny Jarosław Wenta, Toruń 2004.

*Reguła Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie*, tłum. Janusz Turpinda, Malbork 2002.

Stanisław, *Kronika oliwska. Źródło do dziejów Pomorza Wschodniego z połowy XIV wieku*, tłum. Dominika Pietkiewicz, wstęp i koment. Błażej Śliwiński, Malbork 2008.

Wapowski Bernard z Rachtamowic, *Dzieje Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego od roku 1380 do 1535*, t. 1, tłum. Mikołaj Malinowski, Wilno 1847.

Wigand von Marburg, *Kronika Nowopruska obejmująca lata 1293–1394*, tłum. Edward Raczyński, Sandomierz 2017.

*Z archiwum Zakonu Niemieckiego. Analekta z wieku XIV i XV*, wyd. Antoni Prochaska, Kraków 1911.

*Zakon krzyżacki i jego państwo w Prusach. Wybór tekstów źródłowych*, red. Andrzej Radziwiński, Toruń 2005.

### OPRACOWANIA

- Arnold Udo, *Zakon krzyżacki. Z Ziemi Świętej nad Bałtyk*, Toruń 1996.
- Arszyński Marian, *Budownictwo warowne zakonu krzyżackiego w Prusach (1230–1454)*, Toruń 1995.
- Baker Alan, *Rycerstwo średniowiecznej Europy: życie i legenda*, tłum. Zbigniew Dalewski, Warszawa 2004.
- Balard Michel, *Łaciński Wschód. XI–XV wiek*, tłum. Waldemar Ceran, Kraków 2010.
- Balzer Oswald, *Królestwo Polskie 1295–1370*, red. Anna Kucińska-Kucharczyk, Kraków 2005.
- Barański Marek Kazimierz, *Dynastia Piastów w Polsce*, Warszawa 2008.
- Barber Richard, *Rycerze i rycerskość*, tłum. Józef Kozłowski, Warszawa 2000.
- Barkowski Robert F., *Historia wojen gdańskich. Średniowiecze*, Warszawa 2017.
- Baszkiewicz Jan, *Polska czasów Łokietka*, Warszawa 1968.
- Bieniak Janusz, *Geneza procesu polsko-krzyżackiego z lat 1320–1321 (inowrocławsko-brzeskiego) [w:] Balticum. Studia z dziejów polityki, gospodarki i kultury XII–XVII wieku ofiarowane Marianowi Biskupowi w siedemdziesiątą rocznicę urodzin*, red. Zenon Hubert Nowak, Toruń 1992.
- Bieniak Janusz, *Zarębowie i Nałęczce a królobójstwo w Rogoźnie*, Warszawa 2018.
- Biskup Marian, *Gdańska flota kaperska w okresie wojny trzynastoletniej 1454–1466*, Gdańsk 1953.
- Biskup Marian, *Trzynastoletnia wojna z Zakonem Krzyżackim 1454–1466*, Warszawa 1967.
- Biskup Marian, *Wojny Polski z zakonem krzyżackim (1308–1521)*, Gdańsk 1993.
- Biskup Marian, Czaja Roman, Długokęcki Wiesław, Dygo Marian, Józwiak Sławomir, Radziwiński Andrzej, Tandecki Janusz, *Państwo zakonu krzyżackiego w Prusach. Władza i społeczeństwo*, Warszawa 2020.
- Biskup Marian, Labuda Gerard, *Dzieje zakonu krzyżackiego w Prusach: gospodarka, społeczeństwo, państwo, ideologia*, Gdańsk 1988.

- Błaszczyk Grzegorz, *Dzieje stosunków polsko-litewskich od czasów najdawniejszych do współczesności*, t. 1: Trudne początki, Poznań 1998.
- Błaszczyk Grzegorz, *Dzieje stosunków polsko-litewskich od czasów najdawniejszych do współczesności*, t. 2: Od Krewa do Lublina, cz. 1, Poznań 2007.
- Bobrownicka Maria, *Pogranicza w centrum Europy: slavica*, Kraków 2003.
- Bobrzyński Michał, *Dzieje Polski w zarysie*, oprac. i wstęp Marian H. Serejski, Andrzej F. Grabski, Warszawa 1986.
- Boockmann Hartmut, *Zakon Krzyżacki. Dwanaście rozdziałów jego historii*, tłum. Robert Traba; tłum. przejrzała Wanda Lipnik, Warszawa 1998.
- Bumblauskas Alfredas, *Wielkie Księstwo Litewskie. Wspólna historia, podzielona pamięć*, tłum. Alicja Malewska, Warszawa 2013.
- Borkowski Jacek, *Zamki państwa krzyżackiego*, Warszawa 1999.
- Chłopocka Helena, *Procesy Polski z zakonem krzyżackim w XIV wieku. Studium źródłoznawcze*, Poznań 1967.
- Christiansen Eric, *Krucjaty północne*, tłum. Janusz Szczepański, Poznań 2009.
- Ciesielska Karola, *W zasięgu krzyżackiego miecza*, Warszawa 1961.
- Czaja Roman, *Miasta pruskie a Zakon Krzyżacki: studia nad stosunkami między miastem a władzą terytorialną w późnym średniowieczu*, Toruń 1999.
- Daniłowicz Ignacy, *Skarbiec dyplomatów papieżkich, cesarskich, królewskich, książęcych, uchwał narodowych, postanowień różnych władz i urzędów posługujących do krytycznego wyjaśnienia dziejów Litwy, Rusi Litewskiej i ościennych im krajów*, t. 1–2, Wilno 1862.
- Davies Norman, *Boże igrzysko. Historia Polski*, t. 1–2, tłum. Elżbieta Tabakowska, Kraków 1987.
- Dąbrowski Jan, Grodecki Roman, Zachorowski Stanisław, *Dzieje Polski średniowiecznej*, t. 1–2, Kraków 1995.
- Delestowicz Norbert, Lorek Wojciech, Tomczak Robert T., red. Norbert Delestowicz, *Poczet wielkich mistrzów krzyżackich Malborku 1309–1457*, Kraków 2018.

- Derdej Piotr, *Koronowo 1410*, Warszawa 2008.
- Dollinger Philippe, *Dzieje Hanzy (XII–XVII wiek)*, tłum. Vera Soczewińska, Gdańsk 1975.
- Dorna Maciej, *Bracia zakonu krzyżackiego w Prusach w latach 1228–1309. Studium prozopograficzne*, Poznań 2004.
- Dygo Marian, *Studia nad początkami władztwa zakonu niemieckiego w Prusach (1226–1259)*, Warszawa 1992.
- Dyskant Józef, *Zatoka Świeża 1463. Przebieg działań wojny trzynastoletniej na morzu i wodach śródlądowych na tle rozwoju żeglugi w połowie XV wieku*, Warszawa 1987.
- Ekdahl Sven, *Grunwald 1410. Studia nad tradycją i źródłami*, tłum. Maciej Dorna, Kraków 2010.
- Ekspansja niemieckich zakonów rycerskich w strefie Bałtyku od XIII do połowy XVI wieku. Materiały z konferencji historyków radzieckich i polskich w Toruniu z r. 1988*, red. Marian Biskup, Toruń 1990.
- Gies Frances, *Życie średniowiecznego rycerza*, tłum. Grzegorz Siwek, Kraków 2021.
- Gies Frances, Gies Joseph, *Życie w średniowiecznym zamku*, tłum. Jakub Janik, Kraków 2017.
- Gładysz Mikołaj, *Zapomniani krzyżowcy. Polska wobec ruchu krucjatowego w XII–XIII wieku*, Warszawa 2002.
- Gouguenheim Sylvain, *Krzyżacy*, tłum. Małgorzata Dalla Bella, Sławomir Józwiak, Malbork 2012.
- Górski Karol, *Państwo krzyżackie w Prusach*, Gdańsk 1946.
- Górski Karol, *Ustrój państwa i zakonu krzyżackiego*, Gdynia 1938.
- Górski Karol, *Zakon Krzyżacki a powstanie państwa pruskiego*, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1977.
- Grabowski Janusz, *Między Polską a zakonem krzyżackim w Prusach. Mazowsze wobec pokoju kaliskiego z 1343 roku [w:] Od traktatu kaliskiego do pokoju oliwskiego. Polsko-krzyżacko-pruskie stosunki dyplomatyczne w latach 1343–1660*, red. Almut Bues, Warszawa 2014.
- Grabski Andrzej Feliks, *Polska w opiniach Europy Zachodniej XIV–XV w.*, Warszawa 1968.

- Güttner Sporzyński Dariusz von, *Święte wojny Piastów*, tłum. Georgia von Güttner Sporzyńska, Anna Kijak, Warszawa 2017.
- Haftka Mieczysław, *Zamki krzyżackie w Polsce. Szkice z dziejów*, Malbork 1999.
- Hauziński Jerzy, *Fryderyk II Hohenstauf*, Poznań 2015.
- Heinl Karl, *Witold i Krzyżacy. Stosunki księcia litewskiego Witolda z zakonem krzyżackim w Prusach w czasie walki o litewskie dziedzictwo 1382–1401*, tłum. Piotr Tańkowski, Oświęcim 2017.
- Historia Gdańska*, t. 1–2, red. Edmund Cieślak, Gdańsk 1978.
- Historia Torunia*, t. 1, red. Marian Biskup, Toruń 1999.
- Howard Michael, *Wojna w dziejach Europy*, tłum. Tadeusz Rybowski, Wrocław 1990.
- Hubert Witold, *Wojny bałtyckie*, Warszawa 1938.
- Jackiewicz-Garniec Małgorzata, Garniec Mirosław, *Zamki państwa krzyżackiego w dawnych Prusach. Powiśle, Górne Prusy, Warmia, Mazury, Olsztyn* 2006.
- Janiszewska-Mincer Barbara, Mincer Franciszek Bonawentura, *Rzeczpospolita Polska a Prusy Książęce w latach 1598–1621*, Warszawa 1988.
- Jasienica Paweł, *Polska Jagiellonów*, Warszawa 1979.
- Jasienica Paweł, *Polska Piastów*, Warszawa 1979.
- Jasiński Kazimierz, *Zajęcie Pomorza Gdańskiego przez Krzyżaków w 1308–1309*, „Zapiski Historyczne” (Toruń), 1966, t. XXXI, z. 3.
- Jasiński Tomasz, *Najstarsze kroniki i roczniki krzyżackie dotyczące Prus*, Poznań 1996.
- Jasiński Tomasz, *Złota Bulla Fryderyka II dla Zakonu Krzyżackiego z roku rzekomo 1226*, „Roczniki Historyczne”, R. 60: 1994.
- Jóźwiak Sławomir, *Centralne i terytorialne organy władzy zakonu krzyżackiego w Prusach w latach 1228–1410. Rozwój – przekształcenia – kompetencje*, Toruń 2012.
- Jóźwiak Sławomir, *Na tropie średniowiecznych szpiegów: wywiad i kontrwywiad w polsko-litewsko-krzyżackich stosunkach politycznych w XIV i pierwsze połowie XV wieku*, Inowrocław 2005.
- Jóźwiak Sławomir, *Wywiad i kontrwywiad w państwie zakonu krzyżackiego w Prusach. Studium nad sposobami pozyskiwania i*



- wykorzystywaniem poufnych informacji w późnym średniowieczu, Malbork 2004.
- Józwiak Sławomir, Trupinda Janusz, *Organizacja życia na zamku krzyżackim w Malborku w czasach wielkich mistrzów (1309–1457)*, Malbork 2007.
- Karwasińska Jadwiga, *Sąsiedztwo kujawsko-krzyżackie 1235–1343*, Warszawa 1927.
- Koczy Leon, *Polityka bałtycka Zakonu Krzyżackiego [w:] Dzieje Prus Wschodnich*, Toruń – Warszawa 1936.
- Kosiarz Edmund, *Wojny na Bałtyku X–XIX w.*, Gdańsk 1978.
- Kossert Andreas, *Prusy Wschodnie. Historia i mit*, tłum. Barbara Ostrowska, Warszawa 2009.
- Krzyżacy: historia, zamki, bitwy*, red. Katarzyna Kucharczuk, Warszawa – Wierzchy Parzeńskie 2015.
- Krzyżaniakowa Jadwiga, Ochmański Jerzy, *Władysław II Jagiełło*, Wrocław 1990.
- Kuczyński Stefan Maria, *Wielka Wojna z Zakonem Krzyżackim w latach 1409–1411*, Warszawa 1987.
- Kwiatkowski Krzysztof, *Wojska zakonu niemieckiego w Prusach 1230–1525. Korporacja, jej pruskie władztwo, zbrojni, kultura wojny i aktywność militarna*, Toruń 2016.
- Kwiatkowski Krzysztof, *Zakon niemiecki jako „Corporatio Militaris”, cz. 1: Korporacja i krąg przynależących do niej: kulturowe i społeczne podstawy działalności militarnej zakonu w Prusach (do początku XV wieku)*, Toruń 2012.
- Kwiatkowski Stefan, *Średniowieczne dzieje Europy*, Warszawa 2006.
- Labuda Gerard, Biskup Marian, *Historia Pomorza*, t. 1: Do roku 1466, Poznań 1969.
- Labuda Gerard, *Studia krytyczne o początkach Zakonu Krzyżackiego w Prusach i na Pomorzu. Pisma wybrane*, Poznań 2007.
- Lech Piotr Witold, *Pierwsza wojna polsko-krzyżacka 1308–1343*, Gdańsk 2009.
- Leśniowski Henryk, Nowakowski Andrzej, *Sekrety Krzyżaków*, Poznań 1992.

- Lindholm David, Nicolle David, *Krucjaty w basenie Morza Bałtyckiego 1100–1500*, tłum. Konrad Ziółkowski, Oświęcim 2019.
- Łowmiański Henryk, *Agresja Zakonu Krzyżackiego na Litwę w wiekach XII–XV*, „Przegląd Historyczny” 1954, t. 45, nr 2–3.
- Łowmiański Henryk, *Polityka Jagiellonów*, Warszawa 1995.
- Łowmiański Henryk, *Polityka ludnościowa Zakonu Niemieckiego w Prusach i na Pomorzu*, Gdańsk 1947.
- Łowmiański Henryk, *Prusy – Litwa – Krzyżacy*, Warszawa 1989.
- Łowmiański Henryk, *Prusy pogańskie*, Toruń–Warszawa 1935.
- Łowmiański Henryk, *Studia nad dziejami Wielkiego księstwa Litewskiego*, Poznań 1983.
- Łygaś Wojciech, *Szwedzkie opowieści. Z dziejów polsko-szwedzkich XIV–XVIII w.*, Gdańsk 2005.
- Maksymilian Grzegorz, *Pomorze Gdańskie pod rządami Zakonu krzyżackiego w latach 1308–1466*, Bydgoszcz 1997.
- Marczak Piotr, *Wojny husyckie*, Warszawa 2004.
- Mikołajczak Witold, *Grunwald 1410. Krok od klęski*, Zakrzewo 2007.
- Mikołajczak Witold, *Wojny polsko-krzyżackie*, Zakrzewo 2009.
- Militzer Klaus, *Historia zakonu krzyżackiego*, tłum. Ewa Marszał, Jerzy Zakrzewski, Kraków 2007.
- Morton Nicholas, *Krzyżacy w Ziemi Świętej 1190–1291*, tłum. Mateusz Józefowicz, Kraków 2018.
- Morys-Twarowski Michael, *Przedmurze cywilizacji. Polska od 1000 lat na straży Europy*, Kraków 2019.
- Mórawski Karol, Tyszkiewicz Jan, *Krzyżacy*, Książka i Wiedza, Warszawa 1970.
- Nadolski Andrzej, *Grunwald 1410*, Warszawa 1993.
- Nikodem Jarosław, *Jadwiga król Polski*, Wrocław 2009.
- Nikodem Jarosław, *Witold. Wielki Książę Litewski (1354 lub 1355–27 października 1430)*, Kraków 2013.
- Nowak Tadeusz Marian, *Walki z agresją zakonu krzyżackiego w okresie jednoczenia państwa polskiego*, Warszawa 1952.
- Nowak Tadeusz Marian, *Władysław Łokietek – polityk i dowódca*, Warszawa 1978.

- Nowak Tadeusz, Wimmer Jan, *Dzieje oręża polskiego do roku 1793*, Warszawa 1968.
- Nowak Zenon, *Polityka północna Zygmunta Luksemburskiego do roku 1411*, Toruń – Łódź 1964.
- Nowakowski Andrzej, *O wojskach Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie zwanego krzyżackim*, Olsztyn 1988.
- Nowakowski Andrzej, *Uzbrojenie wojsk krzyżackich w Prusach w XIV w. i na początku XV w.*, Łódź – Wrocław 1980.
- Nowakowski Andrzej, *Wojskowość w średniowiecznej Polsce*, Malbork 2005.
- Ochmański Jerzy, *Historia Litwy*, Wrocław 1966.
- Okulicz-Kozaryn Łucja, *Dzieje Prusów*, Wrocław 1997.
- Olejnik Karol, *Obrona polskiej granicy zachodniej: okres rozbitcia dzielnicowego i monarchii stanowej (1138–1385)*, Poznań 1970.
- Piastowie. Leksykon biograficzny*, red. Krzysztof Ożóg, Stanisław Szczur, Kraków 1999.
- Piowarczyk Dariusz, *Poczet rycerzy polskich XIV i XV wieku*, Warszawa 2008.
- Pizuński Paweł, *Krzyżacy od A do Z*, Skarszewy 1999.
- Pizuński Paweł, *Poczet wielkich mistrzów krzyżackich*, Skarszewy 1999.
- Pizuński Paweł, *Sekretne sprawy Krzyżaków*, Gdańsk 2005.
- Pociecha Władysław, *Geneza hołdu pruskiego (1467–1525). Rozprawa z pracy zbiorowej „Dzieje Prus Wschodnich”*, Warszawa – Gdynia 1937.
- Polska i jej sąsiedzi w późnym średniowieczu*, red. Krzysztof Ożóg, Stanisław Szczur, Kraków 2000.
- Polska, jej dzieje i kultura. Od czasów najdawniejszych do chwili obecnej*, t. 1: *Od pradziejów do roku 1572*, red. Stanisław Lam, Warszawa 1927.
- Polski Słownik Biograficzny*, t. 1–53, wybrane biogramy, 1935–2020.
- „Pomocnik Historyczny. Grunwald 1410. Ostatnia wielka bitwa rycerskiej Europy”, dodatek „Polityki”, 2010, nr 4.
- Potkański Karol, *Zdrada Wincentego z Szamotuł*, Kraków 1899.
- Potkowski Edward, *Grunwald 1410*, Warszawa 1994.
- Potkowski Edward, *Rycerze w habitach*, Warszawa 1974.

- Powierski Jan, *Prusowie, Mazowsze i sprowadzenie Krzyżaków do Polski*, t. 1, Malbork 1996.
- Powierski Jan, *Studia nad polityką Krzyżaków i ich sąsiadów w początkach XIV w.*, „Gdańskie Studia z Dziejów Średniowiecza”, nr 1–2: 1994.
- Prochaska Antoni, *Dzieje Witolda Wielkiego Księcia Litwy*, Kraków 2008.
- Radoch Marek, *Walki Zakonu Krzyżackiego o Żmudź od połowy XIII wieku do 1411 roku*, Olsztyn 2011.
- Rogalski Leon, *Dzieje Krzyżaków oraz ich stosunki z Polską, Litwą i Prussami, poprzedzone rysem dziejów wojen krzyżowych*, t. 2, S. Orgelbrand, Warszawa 1848.
- Rosik Stanisław, Wiszewski Przemysław, *Wielki poczet polskich królów i książąt*, Wrocław 2007.
- Runciman Steven, *Dzieje wypraw krzyżowych*, t. 1: *Królestwo Akki i późniejsze krucjaty*, tłum. Jerzy Schwakopf, Warszawa 1987.
- Samsonowicz Henryk, *Krzyżacy*, Warszawa 1988.
- Samsonowicz Henryk, *Konrad Mazowiecki (1187/88 – 31 VIII 1247)*, Kraków 2008.
- Samsonowicz Henryk, *Łokietkowe czasy*, Kraków 1989.
- Samsonowicz Henryk, *Złota jesień polskiego średniowiecza*, Poznań 2001.
- Sikorski Janusz, *Zarys historii wojskowości powszechnej do końca XIX w.*, Warszawa 1972.
- Smolka Stanisław, *Kiejstut i Jagiełło*, Kraków 1888.
- Sokołowski August, *Dzieje Polski ilustrowane*, t. 1–2, Wiedeń 1904.
- Solak Andrzej, *Rycerze Chrystusa*, Kraków 2017.
- Starnawska Maria, *Między Jerozolimą a Łukowem. Zakony krzyżowe na ziemiach polskich w średniowieczu*, Warszawa 1999.
- Strzyż Piotr, *Płowce 1331*, Warszawa 2009.
- Studia grunwaldzkie*, red. Marian Biskup, t. 1, Olsztyn 1991.
- Sypek Robert, *Zamki i obiekty warowne państwa krzyżackiego*, cz. 1: *Ziemia chełmińska i michałowska*, Warszawa 1999.
- Szajnocha Karol, *Jadwiga i Jagiełło 1374–1413. Opowiadanie historyczne*, t. 1–2, Warszawa 1974.
- Szczur Stanisław, *Historia Polski. Średniowiecze*, Kraków 2002.

- Szujski Józef, *Dzieje Polski podług ostatnich badań spisane...*, t. 1–2, Lwów 1862.
- Szybkowski Sobiesław, *Wojna Polski i Litwy z Zakonem Krzyżackim w latach 1409–1411*, Malbork 2010.
- Szymczak Jan, *Sposoby zdobywania i obrony grodów w Polsce w okresie rozbicia dzielnicowego*, „Studia i Materiały do Historii Wojskowości”, t. 22: 1979.
- Śliwiński Błażej, *Pomorze Wschodnie w okresie rządów księcia polskiego Władysława Łokietka w latach 1306–1309*, Gdańsk 2003.
- Śliwiński Błażej, *Rzeź i zniszczenie Gdańska przez Krzyżaków w 1308 roku. Przyczyny, przebieg i skutki*, Gdańsk 2006.
- Świdarska Hanna, *Z dziejów stosunków angielsko-krzyżackich XIII–XV w.*, „Teki Historyczne” 1959, nr 10.
- Tate Georges, *Orient w czasach wypraw krzyżowych*, tłum. Maja i Adam Pawłowscy, Wrocław 1996.
- Teterycz-Puzio Agnieszka, *Polscy krzyżowcy. Fascynująca historia wędrówek Polaków do Ziemi Świętej*, Poznań 2017.
- Tęgowski Jan, *Pierwsze pokolenia Giedyminowiczów*, Poznań – Wrocław 1999.
- Tomek Waclaw Władiwoj, *Historia Królestwa Czeskiego*, t. 1, tłum. Helena Strażyńska, Kraków 1902.
- Topolski Jerzy, *Polska w czasach nowożytnych. Od środkowoeuropejskiej potęgi do utraty niepodległości (1501–1795)*, Poznań 1994.
- Tymieniecki Kazimierz Karol, *Misja polska w Prusiech i sprowadzenie krzyżaków*, Toruń 1935.
- Tyszkiewicz Jan, *Ostatnia wojna z Zakonem Krzyżackim 1519–1521*, Warszawa 2015.
- Urban Wiliam, *Krzyżacy. Historia działań militarnych*, tłum. Eugeniusz Możejko, Warszawa 2005.
- Uzbrojenie w Polsce średniowiecznej, 1350–1450*, red. Andrzej Nadolski, Łódź 1990.
- Wasik Bogusz, *Budownictwo zamkowe na ziemi chełmińskiej od XIII do XV wieku*, Toruń 2016.
- Wielka historia Polski*, t. 2. Jerzy Wyrozumski, *Dzieje polski piastowskiej (VIII wiek–1370)*, Kraków 1999.

- Wies Ernst W., Fryderyk Barbarossa. *Mit i rzeczywistość*, tłum. Witold Radwański, Warszawa 1996.
- Włodarski Bronisław, *Polityczne plany Konrada I księcia mazowieckiego*, Poznań – Toruń 1971.
- Wojciechowski Wiktor, *Bitwa pod Płowcami 27 września 1331 w ujęciu historyków, kronikarzy i pisarzy*, Bydgoszcz 1961.
- Wojciechowski Zygmunt, *Zygmunt Stary*, Warszawa 1946.
- Wróbel Jan, *Grunwald 1410*, Kraków 2020.
- Wyrozumski Jerzy, *Kazimierz Wielki*, Wrocław 1982.
- Zajączkowski Stanisław, *Dzieje Litwy pogańskiej do 1386 r.*, Łódź 1930.
- Zajączkowski Stanisław, *Dzieje Zakonu Krzyżackiego*, Poznań 1946.
- Zajączkowski Stanisław, *Podbój Prus i ich kolonizacja przez Krzyżaków*, Toruń 1935.
- Zajączkowski Stanisław, *Polska a Zakon Krzyżacki w ostatnich latach Władysława Łokietka*, Lwów 1929.
- Zakon Krzyżacki w Prusach i Inflantach. Podziały administracyjne i kościelne w XIII–XVI wieku*, red. Roman Czaja, Andrzej Radzimski, Toruń 2013.
- Zieliński Andrzej, *Opat krzyżowców święty Bernard*, Warszawa 2005.
- Zieliński Andrzej, *Rycerze krzyża i miecza*, Warszawa 2020.
- Zientara Benedykt, *Henryk Brodaty i jego czasy*, Warszawa 1975.
- Zientara Benedykt, *Historia powszechna średniowiecza*, Warszawa 1994.
- Zins Henryk, *Polska w oczach Anglików XIV–XVI wiek*, Lublin 2002.
- Zonenberg Sławomir, *Kronika Szymona Grunaua*, Bydgoszcz 2009.
- Zonenberg Sławomir, *Kronika Wiganda z Marburga*, Bydgoszcz 1994.

## **FRAGMENTY TEKSTÓW Z EPOKI**

- De Primordiis Ordinis Theutonici narratio*, za: *Reguła Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie*, tłum. Janusz Turpinda, Malbork 2002.
- Narratio itineris navalis ad Terram Sanctam a. 1189* oraz Jakub z Vitry, *Historia orientalis*, za: Nicholas Morton, *Krzyżacy w Ziemi Świętej 1190–1291*, tłum. Mateusz Józefowicz, Kraków 2018.
- Zapis ze Statutów Zakonu Krzyżackiego (s. 68), za: Marian Biskup, Gerard Labuda, *Dzieje zakonu krzyżackiego w Prusach*, Gdańsk 1988.

- Cytat z Jana Longusa (s. 104), za: Edward Potkowski, *Rycerze w habitach*, Warszawa 1978.
- Cytat z tzw. *Kontynuacji Possilgego* (s. 293), za: Andrzej Nadolski, *Grunwald 1410*, Warszawa 1993.
- Jan Falkenberg, *Satyra przeciwko herezjom i innym niegodziwościom Polaków i ich króla Jagiełły* oraz pozostałe cytaty z mów na soborze w Konstancji, za: „Pomocnik Historyczny. Grunwald 1410. Ostatnia wielka bitwa rycerskiej Europy”, dodatek „Polityki”, 2010, nr 4.
- Cytaty z listów Michała Küchmeistera von Sternberga (s. 324, 336), za: Ignacy Daniłowicz, *Skarbiec dyplomatów papieżkich, cesarskich, królewskich, książęcych, uchwał narodowych, postanowień różnych władz i urzędów posługujących do krytycznego wyjaśnienia dziejów Litwy, Rusi Litewskiej i ościennych im krajów*, t. 1–2, Wilno 1862.
- Cytaty ze s. 263, 300, 347, 379, za: Paweł Jasienica, *Polska Jagiellonów*, Warszawa 1979.
- Cytat ze s. 362, za: Leon Rogalski, *Dzieje Krzyżaków oraz ich stosunki z Polską, Litwą i Prussami, poprzedzone rysem dziejów wojen krzyżowych*, t. 2, Warszawa 1848.
- Cytat ze s. 364, za: Marian Biskup, *Wojny Polski z Zakonem Krzyżackim (1308–1521)*, Gdańsk 1993.
- Cytat ze s. 412, za: Paweł Pizuński, *Poczet wielkich mistrzów krzyżackich*, Skarszewy 1999.
- Cytat ze s. 417, za: Edward Rymar, *Pomorskie i polskie wątki w działalności i twórczości Johannesesa de Kitzschera (ok. 1460/65–1521)*, „Studia z dziejów średniowiecza” 2017, nr 21.
- Cytat ze s. 421, za: Marian Biskup, *List Kapituły Warmińskiej do króla Zygmunta I napisany własnoręcznie przez Mikołaja Kopernika w Olsztynie w 1520 r.*, „Komunikaty Mazursko-Warmińskie”, 1970, nr 2.
- Cytat za s. 428, za: Zygmunt Wojciechowski, *Zygmunt Stary*, Warszawa 1946.

## ŹRÓDŁA ILUSTRACJI

AKG/EAST NEWS: s. [394](#)

Alamy: s. [87](#), [162](#)

Andrzej Nowakowski, Uzbrojenie wojsk krzyżackich w Prusach w XIV w. i na początku XV w.: s. [74](#), [279](#)

Biblioteka Jagiellońska: s. [47](#), [110](#), [303](#)

Biblioteka Narodowa: s. [173](#)

British Library: s. [9](#)

Bronisław Gembarzewski, Żołnierz polski. Ubiór, uzbrojenie i oporządzenie wojska polskiego od XI wieku do 1831 roku: s. [201](#), [275](#)

Burgerbibliothek w Bernie, Szwajcaria: s. [294](#)

Muzeum Narodowe w Warszawie: s. [140](#), [181](#), [218](#), [287](#)

National Széchényi Library w Budapeszcie: s. [39](#)

Polona: s. [233](#), [366](#), [416](#)

Wikipedia: s. [15](#), [31](#), [59](#), [126](#), [151](#), [252](#), [321](#), [334](#), [351](#), [383](#), [427](#)

Zbiory Alte Pinakothek w Monachium: s. [24](#)